

π

MARK

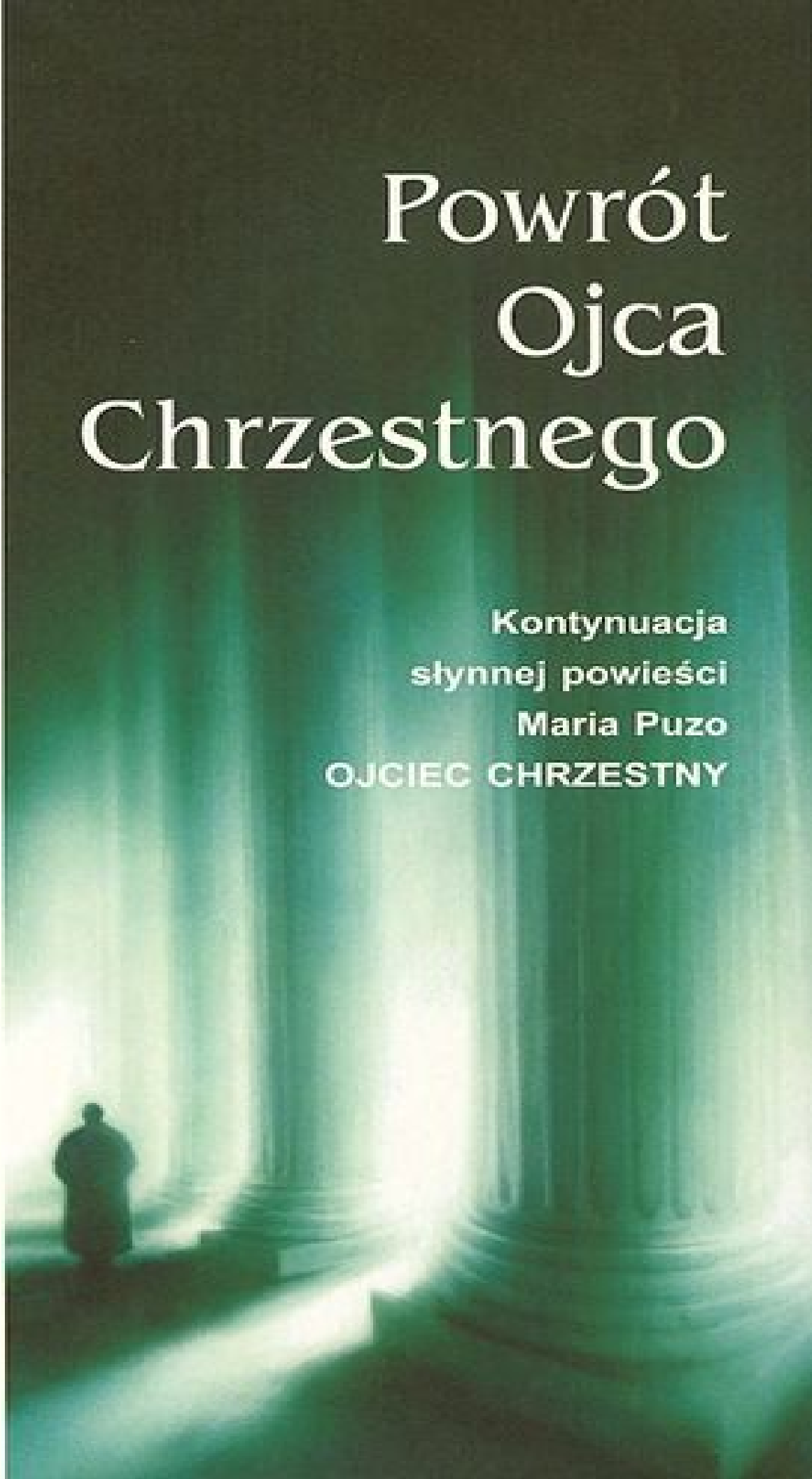
WINEGARDNER

Powrót Ojca Chrzestnego

Kontynuacja
słynnej powieści

Maria Puzo

OJCIEC CHRZESTNY



MARK

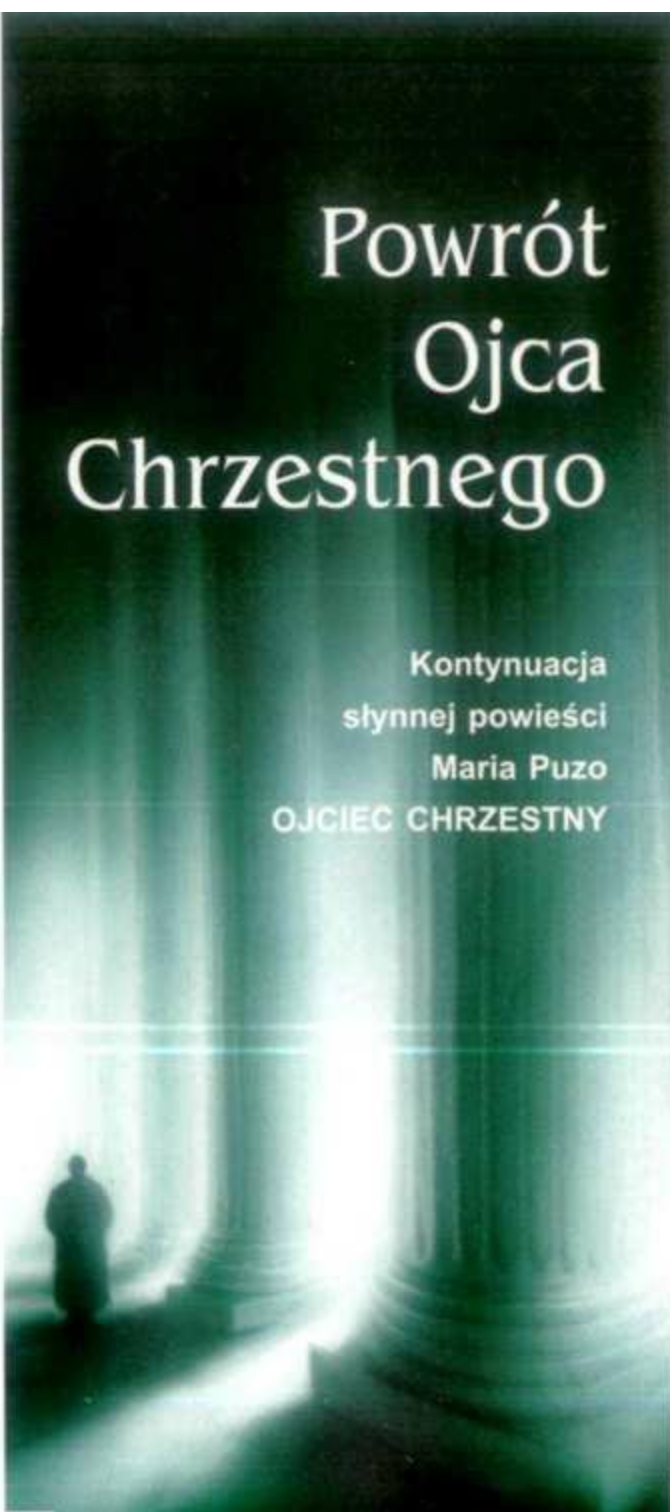
WINEGARDNER

Powrót Ojca Chrzestnego

Kontynuacja
słynnej powieści

Maria Puzo

OJCIEC CHRZESTNY





Kontynuacja najśłynniejszej powieści o amerykańskiej mafii.
Rodzina Corleonów buduje potężne imperium
sięgające wpływami do świata show biznesu,
wymiaru sprawiedliwości i polityki – z Białym Domem włącznie...



Powrót

Ojca

Chrzestnego

Powieść ci Maria Puzo w serii 71

RODZINA BORGIOŃ

GLUPCY UMIERAJĄ

CZWARTY K

MROCZNA ARENA

DZIESIĄTA ALEJA

W przygotowaniu

OJCIEC CHRZESTNY

SYCYLIJCZYK

OMERTA

WINEGARDNER

Powrót

Ojca

Chrzestnego

Z angielskiego przełożył

GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

WARSZAWA 2005

Tytuł oryginału:

THE GODFATHER RETURNS

Copyright © The Estate of Mario Puzo 2004

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2005

Copyright © for the Polish translation by Grzegorz Kołodziejczyk 2005

Redakcja: Beata Słoma

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz ISBN 83-7359-224-5

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155, (22)-535-0557

www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy

Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk

tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Sprzedaż wysyłkowa

internetowe księgarnie wysyłkowe:

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.vivid.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

adres dla korespondencji:

skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: OpolGraf S.A., Opole

Alla mia familia

Ten, kto porzuca stare życie dla nowego, wie, co traci, ale nie wie, co znajdzie.

przysłowie sycylijskie

Oni zabijali moich kolegów.

Audie Murphy, najczęściej odznaczany

w czasie drugiej wojny światowej amerykański [^]Œolnierz tymi słowami odpowiedział na pytanie,
jak znalazł odwagę, by walczyć z całą
kompanią niemieckiej piechoty.

Układ chronologiczny

Powrót

Powrót

ojca

ojca

chrzestnego

chrzestnego

(1955—

(1959—

1958)

1962)**

Ojciec

Ojciec

Ojciec

chrzestny

chrzestny II

chrzestny III

(1945—1954)

(1958—

(1979—1980)

1959)*

* *Ojciec chrzestny II* przedstawia takŜe w szeregu reminiscencji młodość Vita Corleone (1910—1939).

** Druga część *Powrotu ojca chrzestnego* takŜe przedstawia reminiscencje z młodości Michaela Corleone (1920—1945).

Postacie

Rodzina Corleone

Vito Corleone, pierwszy ojciec chrzestny najpotężniejszej rodziny mafijnej Nowego Jorku

Carmela Corleone, żona Vita i matka ich czworga dzieci Sonny Corleone, najstarszy syn Vita i Carmeli Sandra Corleone, żona Sonny'ego, mieszkająca obecnie na Florydzie Francesca, Kathy, Frankie i Chip Corleone, dzieci Sonny'ego i Sandry Tom Hagen, *consigliere* i nieoficjalnie adoptowany syn Vita Corleone Theresa Hagen, żona Toma i matka ich trojga dzieci Fredenco „Fredo” Corleone, drugi syn Vita i Carmeli (zastępca szefa rodziny w latach 1955—1959)

Deanna Dunn, aktorka, laureatka Oscara, żona Freda Michael Corleone, najmłodszy syn Vita i sprawujący władzę don rodziny Corleone

Kay Adams Corleone, druga żona Michaela

Anthony i Mary Corleone, dzieci Michaela i Kay Connie Corleone, córka Vita i Carmeli

Carlo Rizzi, zmarły mąż Connie

Ed Federici, drugi mąż Connie

Struktura organizacyjna rodziny Corleone

Cosimo „Momo Karaluch” Barone, *soldato*, podwładny Geraciego, siostrzeniec Sally'ego Tessia

Pete Clemenza, *caporegime*

Fausto Dominick „Nick” Geraci, jr, *soldato*, podwładny Tessia, później *caporegime*, wreszcie szef

11

Charlotte Geraci, Źona Nicka

Barbara i Beverly Geraci, córki Nicka i Charlotte Rocco Lampona, *caporegime*

Carmine Marino, *soldato*, podwładny Geraciego i daleki kuzyn rodziny Boccicchich

Al Neri, szef ochrony hoteli naleŹących do rodziny, w razie potrzeby organizujący ochronę w innych sytuacjach

Tommy Neri, *soldato*, podwładny Lampona, bratanek Ala Neriego Richie „Dwa Gnaty” Nobile, *soldato*, podwładny Clemenzy, później *caporegime*

Eddie Paradise *soldato*, podwładny Geraciego Salvatore Tessio, *caporegime*

Konkurencyjne rodziny mafijne

Gussie Cicero, *soldato*, podwładny Falcone i Ping-Ponga, właściciel klubu w Los Angeles

Otilio „Leo Mleczarz” Cuneo, szef, Nowy Jork Frank Falcone, szef, Los Angeles

Vincent „śyd” Forlenza, szef, Cleveland

Gruby Paulie Fortunato, szef rodziny Barzinich, Nowy Jork Cesare Indelicato, *capo di tutti capi*, Sycylia Tony Molinari, szef, San Francisco

Rechoczący Sal Narducci, *consigliere*, Cleveland Ignazio „Jackie Ping-Pong” Pignatelli, zastępca, a później szef w Los Angeles

Louie „Buźka” Russo, szef, Chicago

Czarny Tony Stracci, szef, New Jersey

Rico Tattaglia, szef, Nowy Jork (jego następcą został Osvaldo „Ozzie”

Altobello)

Joe Zaluchi, szef, Detroit

Przyjaciele rodziny Corleone

Marguerite Duvall, tancerka i aktorka

Johnny Fontane, aktor, laureat Oscara i prawdopodobnie największy piosenkarz salonowy, jaki kiedykolwiek żył

Buzz Fratello, konferansjer z nocnego klubu (zwykle pojawiający się z Soną, Dotty Ames)

Fausto „Szofer” Geraci, kierowca ciężarówki w rodzinie Forlenzy, ojciec Nicka Geraciego

Joe Lucadello, przyjaciel z młodości Michaela Corleone

Annie McGowan, piosenkarka i aktorka, kiedyś prowadząca telewizyjny teatrzyk lalkowy *Jojo, pani Serek i Annie* Hal Mitchell, emerytowany komandos piechoty morskiej i „papierowy”

właściciel należących do rodziny Corleone kasyn w Las Vegas i Tahoe

Jules Segal, naczelny chirurg w należącym do rodziny Corleone szpitalu w Las Vegas

M. Corbett „Mickey” Shea, dawny wspólnik Vito Corleone przy nielegalnej produkcji alkoholu, były ambasador w Kanadzie James Kavanaugh Shea, gubernator New Jersey, syn ambasadora Daniel Brendan Shea, asystent prokuratora generalnego stanu New Jersey, syn ambasadora

Albert Soffet, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej William Brewster „Billy” Van Arsdale III, dziedzic „cytrusowej”

fortuny Van Arsdale'ów

KSIĘGA I

Wiosna 1955

Rozdział 1

W zimny poniedziałek po południu, wiosną 1955 roku Michael Corleone wezwał Nicka Geraciego na spotkanie na Brooklynie.

Gdy nowy don wszedł do domu świętej pamięci ojca na Long Island, żeby zadzwonić, dwóch mężczyzn ubranych jak usmarowane małpy oglądało w telewizji przedstawienie teatrzyku lalkowego. Czekali, aż zdrajca dostarczy Michaela, a tymczasem podziwiali cycki wykarmionej płatkami kukurydzianymi blondynki, manewrującej lalkami.

Michael wszedł na podest, na którym znajdował się narożny pokój, wykorzystywany przez ojca jako gabinet. Był sam. Usiadł

przy biurku z przesuwającym blatem, które kiedyś należało do Toma Hagen. Biurko *consigliere*. Michael zadzwoniłby z domu, ponieważ Kay wyjechała z dziećmi do rodziców w New Hampshire, ale

jego telefon był na podsłuchu. Tak samo jak druga linia. Nic z tym nie robił, bo chciał zmylić podsłuchujących. Lecz zmyślne połączenie telefoniczne prowadzące do tego gabinetu — chronione długim szeregiem łapówek — mogło wyprowadzić w pole armię gliniarzy. Michael wybrał numer. Nie potrzebował notesu z numerami, bo miał wyjątkowy talent do ich zapamiętywania. W

domu

panowała cisza. Matka była z Connie i jej dziećmi w Las Vegas. Po drugim dzwonku odebrała Sona Geraciego. Ledwie znał tę kobietę, lecz powitał ją imieniem — Charlotte — i zapytał o córki. Michael z reguły unikał telefonu i nigdy przedtem nie dzwonił do Geraciego w domu. Zwykle rozkazy były buforowane: przechodziły przez trzech ludzi, tak aby nie można ich było powiązać z donem.

17

Charlotte drżącym głosem odpowiedziała na pytania Michaela, po czym poszła zawołać męża.

Nick Geraci miał za sobą długi dzień. Dwa statki wiozące heroinę, mające przyplłynąć z Sycylii dopiero w przyszłym tygodniu, zawinęły wczoraj w nocy do portów, jeden w New Jersey,

a drugi w Jacksonville. Ktoś głupszy siedziałby już za kratkami, ale Geraci wszystko wyprostował, przekazując pieniądze na rzecz funduszu Międzynarodowego Bractwa Kierowców Ciężarówek.

Należący do bractwa kierowcy spisali się po mistrzowsku. Następnie złożył wizytę (wręczając sowitą daninę) *capo* rodziny Straccich, kontrolującej doki w północnym Jersey. O piątej wyczerpany Geraci siedział na podwórku swojego domu w East Islip i bawił się z córkami w rzucanie podkówkami do celu. Obok fotela w gabinecie spoczywała dwutomowa historia wojen rzymskich, którą właśnie zaczął czytać. Lektura na wieczór. Gdy zadzwonił telefon, Geraci sączył już drugą szklaneczkę *chivas* z wodą. Na grillu smażyły się steki z kością, a w radiu szła transmisja z podwójnego starcia Dodgersów z Filadelfią. Charlotte, która przygotowywała w kuchni resztę posiłku, niosła słuchawkę z długim kablem. Krew odpłynęła z jej tw

— a

Crz

z y

eś.

ć, Fausto. — Tylko dwóch ludzi nazywało go w ten sposób. Drugim był Vincent Forlenza, ojciec chrzestny Geraciego mieszkający w Cleveland. — Chcę, żebyś wziął udział w tym spotkaniu, które ustawił Tessio. O siódmej w restauracji Two Toms, znasz ją?

Niebo było błękitne i bezchmurne, ale każdy, kto zobaczyłby, jak Charlotte zapędza dziewczynki do domu, pomyślałby, że nad Long Island nadciąga huragan.

— Jasne — odparł Geraci — ciągle tam jadam. — To był test.

Geraci miał albo zapytać o spotkanie ustawione przez Tessia, albo nie. W szkole zawsze dobrze radził sobie na testach. Wyczuł, że w tej sytuacji najlepiej być szczerym. — Ale nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jakie spotkanie?

— Ze Staten Island przyjeżdża paru ważnych ludzi, żeby załatwić pewne sprawy.

Staten Island to rodzina Barzinich, która obstawiła ten teren.

Lecz jeśli Tessio załatwił rozmowy pokojowe z Michaeliem i don Barzinim, dlaczego on, Geraci, dowiaduje się o tym od Michaela, a nie od Tessia? Spojrzał na płomienie pod grillem. Wtedy zrozumiał, co się stało. Pokręcił głową i zaklął cicho.

18

Tessio nie żyje. I pewnie wielu innych.

Nazwa miejsca spotkania była wskazówką. Tessio uwielbiał ten lokal. A to oznaczało, że najprawdopodobniej skontaktował się z Barzinim wcześniej i albo on, albo Barzini zastawił pułapkę na Michaela, a ten jakoś to przewidział.

Geraci poruszył steki długą stalową szpatułką.

— Chcesz, żebyś pojechał tam jako ochrona, czy żebyś usiadł przy stole? — zapytał.

— Diabelnie długo milczałeś.

— Przepraszam. Musiałem zdjąć steki z grilla.

— Wiem, czym się martwisz, Fausto, ale nie wiem dlaczego.

Czy to oznaczało, że nie ma się czym martwić? Czy raczej to, że Michael próbuje odgadnąć, jaką rolę on, Geraci, odegrał w zdradzie Tessia?

— No cóż, wędrowcze — odparł Geraci, starając się naśladować głos Johna Wayne'a — nie martwię się, tylko tyłek mam odparzony od siodła jak wszyscy diabli.

— Słucham?

Geraci westchnął.

— Martwię się nawet wtedy, gdy nie ma powodu do zmartwień. — Poczł przyływ wisielczego humoru. — No to mnie

zastrz

— el —

Wła o

ś d

ni p

e o

w

dl i

ae

t d

e z

g i

oa

łj b

ese

t z

e n

ś atm

a i

k ę

i tn

d i

oe.

b

ry — rzekł Michael. — Bo

się martwisz. Właśnie dlatego cię lubię.

— Więc wybaczysz mi, jeśli powiem coś, co jest oczywiste.

Nie jedź trasą, którą zwykle jeździsz. I unikaj Flatbush.

Teraz z kolei Michael długo milczał.

— Flatbush? Dlaczego tak myślisz?

— Bumsi grają u siebie.

— Rzeczywiście — potwierdził Michael.

— Dodgersi. Drugi mecz w Filadelfii.

— Słusznie.

Geraci zapalił papierosa.

— Nie jesteś już kibicem baseballu, co?

— Kiedyś byłem.

Nie dziwiło to Geraciego. Wielu łebskich facetów odwróciło się od sportu, gdy zobaczyli, jaki biznes kryje się za zakładami. —

To może być rok Burnsów — zauważył.

— Ciągłe to słyszę — odrzekł Michael. — Oczywiście, wybaczam ci.

19

— Co mi wybaczasz?

— Źe zwróciłeś uwagę na to, co oczywiste.

Geraci zdjął steki z grilla i położył na półmisku.

— Mam do tego talent.

Godzinę później przyjechał do Two Toms z czterema ludźmi i rozmieścił ich na zewnątrz. Usiadł sam i zamówił espresso. Nie bał się. Michael Corleone, w odróżnieniu od swoich braci, nie-okrzesanego Sonny'ego i Śłośnego Freda, odziedziczył charakter po ojcu, który lubił wszystko przemyśleć. Nie

zleciłby zabójstwa na podstawie przecucia. Upewniłby się, bez względu na to, jak długo by to trwało. A jeśli ktoś taki jak Michael Corleone chce go wypróbować, Geraci zachowa się z honorem, choćby miało go to dużo kosztować. Był pewny, że wyjdzie z tej próby cało.

Nigdy nie słyszał, by Salvatore Tessio powiedział choć jedno złe słowo o Michaelu, lecz nie wątpił, że Sally działa ręką w rękę z Barzinim. A Barzini musiał być wściekły na nepotyzm, który sprawił, że Soltodziób taki jak Michael został donem. Musiał

wiedzieć, jakim szaleństwem jest odcinanie organizacji od lokalnych korzeni i kierowanie jej na zachód, by stała się... Czym?

Geraci przejął mnóstwo kwitujących niegdyś interesów założonych przez pracowitych niepiśmiennych ojców założycieli, imigrantów, które zostały zrujnowane przez urodzonych w Ameryce synów z dyplomami i marzeniami o ekspansji.

Geraci zerknął na zegarek, który dostał od Tessia z okazji ukończenia college'u. Michael z pewnością nie odziedziczył

legendarnej punktualności dona. Geraci zamówił drugą kawę.

Raz po raz udawał, że jest lojalnym członkiem organizacji Corleone, i mimo że nie miał jeszcze czterdziestu lat, prawdopodobnie zapewniał jej największe dochody. Kiedyś był

bokserem

wagi

ciężkiej. Występował jako As Geraci (przydomek z dzieciństwa, który postanowił zachować, mimo że Amerykanie dodawali go do jego nazwiska i przekreślali), ale też pod wieloma pseudonimami (był Sycylijczykiem, lecz miał jasne włosy, więc mógł podawać się za Irlandczyka lub Niemca). Podczas walki z bokserem, który kilka lat później posłał na deski mistrza świata wagi ciężkiej, przez sześć rund utrzymywał się na nogach. Obijał się po salach gimnastycznych od dziecka. Przysiągł sobie, że nigdy nie stanie się jednym

z tych podpitych patalachów, którzy chwieją się na nogach, ściskając w dłoniach torebkę z wczorajszymi pączkami. Walczył

o

2 fo

0 rsę, nie o sławę. Jego ojciec chrzestny z Cleveland (który —

o czym Geraci stopniowo się przekonał — był też ojcem chrzestnym całego miasta) skontaktował go z Tessiem, człowiekiem

prowadzącym największe operacje hazardowe w Nowym Jorku.

Ustawione walki oznaczały mniejszą liczbę ciosów na głowę.

Wkrótce wzywano Geraciego, żeby dał komuś wycisk w ciemnym zaułku (pierwszymi ofiarami było dwóch wyrostków, którzy napadli córkę

Ameriga

Bonasery,

przedsiębiorcy

pogrzebowego

zaprzyjaźnionego z Vitem Corleone). Dostawało się krzykaczom i łajzom,

który sami się o to prosili. W ten sposób Geraci zarobił dość pieniędzy, żeby pójść do college'u. Kiedy miał dwadzieścia pięć lat, skończył uczelnię, odszedł z szajki reketierskiej i został

obiecującym członkiem *regime* Salvatore Tessia. Zaczynał z wątpliwymi „papierami”: był jedynym bywalcem Klubu Patricka Henry'ego, który nie przyszedł na świat na Brooklynie lub na Sycylii; jedynym, który miał dyplom wyższej uczelni i jednym z niewielu, którzy nie chcieli nosić przy sobie broni i odwiedzać dziwek.

Jednak najlepszą drogą do awansu było zarabianie pieniędzy dla tych, którzy byli nad nim, a Geraci robił to tak skutecznie, że wkrótce zapomniano o jego dziwactwach. Doskonała taktyka Geraciego polegała na tym, by przesadzać przy każdej robocie.

Zamiast wymaganych pięćdziesięciu procent, oddawał sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt. Nawet gdyby go złapali, co mogli mu zrobić —

rozwalić? To było bezbłędne podejście. Za duże wpłaty były inwestycjami, które miały zwrócić się z nawiązką jak przy wygranej w automacie. Im więcej zarabiał dla przełożonych, tym był

bezpieczniejszy i szybciej pisał się w górę. Im wyżej zaś stał, tym więcej miał pod sobą ludzi, którzy płacili jemu pięćdziesiąt procent.

A jeśli jakiś pazerny dureń go kantował, Geraci był dość bystry, by go na tym przyłapać. W całym Nowym Jorku stało się jasne, że istnieje różnica między ciosem największego twardziela, z jakim kiedykolwiek się biłeś, a ciosem byłego mistrza wagi ciężkiej, po którym oko zamienia się w krwawą papkę. Opowieści o tym, co Geraci może zrobić, jeśli ktoś zajdzie mu za skórę, stały się legendą ulicy.

W W

czk

a r

só

i t

e c

e

w n

o ije

n m

y u

Gsi

e a

r ł

a crio

b

o ić

p

a n

n i

oc,

w Ŝ

ał e

b

c y

z ad

r o

n s

y t arc

y s

n w

eko

je

k

a p

rtie

e n

k ią

pd

r ze

y :-

w

d y

z s

i t

aa

ł r

ocz

w y

y ł

c o

h i p
o
u p
z r
y o
s s
k i
a ć
ł.
d A
la
s c
i z
e a
b s
i e
e m
z
w n
alaw
ni e
aj t
ą c i
e t

oo

db

py

oł

bo r z

ub

sę

td

an

ne

o .

wi Z

sa

k-

o

st

ir

na

ss

pz

een

kt ie

or t

ao

l
de
op
ks
óza
w .b
ro
Tń
es o
si d
o pi
z ę
gś
ł c
o is ic
ł z
y
j
e p
g is
o to
kle
a t
nu

d.

ydaturę do rodziny

Corleone, a w czasie ceremonii palec Geraciego przeciął sam Vito.

21

Po wojnie Geraci rozpoczął własną działalność lichwiarską.

Specjalizował się w interesach z przedsiębiorcami nie zdającymi sobie z początku sprawy, jak rozdmuchane są ich koszty wyjściowe, i jak trudno po zakończeniu kontraktu uzyskać pieniądze

od tych, którzy powinni zapłacić (temu też Geraci umiał zaradzić).

Brał również na cel biznesmenów, którzy wpadli w sidła hazardu lub mieli jakąkolwiek inną słabość, sprawiającą, że potrzebowali szybkiej gotówki. Wkrótce wykorzystywał te firmy do prania pieniędzy i dostarczał mądralom argumentów do uzyskania zwrotu podatku — póki nie nadeszła pora, by wykupić interes. Przez miesiąc głównymi drzwiami płynęły dostawy różnych rzeczy i wychodziły tylnymi: prezenty dla synów i przyjaciółek oraz zaprzyjaźnionych gliniarzy. Reszta była sprzedawana ludziom z sąsiedztwa, polującym na okazje. A kiedy przychodziły rachunki, przychodził też pośar — makaroniarska pośoga. Geraci nienawidził zarówno określenia, jak i prymitywnej strategii. Położył jej kres, zdobywając dyplom prawniczy na kursach wieczorowych i dorabiając do pośarów całkowicie legalną procedurę upadłościową. Przejął wszystkie firmy, z jakimi się zetknął (miał swojego człowieka w Delaware), chroniąc osobiste aktywa właściciela. Jeśli ten okazał się równym gościem, Geraci dorzu

Ki c

e a

d l

y t

ys

Mią

cc

h d

a o

el l ar

Có

ow

rl i

e

ok

na

ew

, a

kłe

o k

r

z z

y i

se

t m

aj i

ą cn

a

z Fclo

z r

ę y

ś d

ci z

oie

w l
e u
g b
o w
p
r N
zee
j v
ś a
ci-a
dz
oj ie
c .
a

na emeryturę, potajemnie wszedł w prostytucję i narkotyki —

przed czym Vito się wzbraniał — postawił Geraciego na czele sekcji narkotyków. Kazał mu osobiście wybrać kilkunastu ludzi z *regime* Tessia i niedobitków grupy Sonny'ego. W ciągu kilku miesięcy Geraci zdołał ustalić pewne sprawy z wielkim Sycylińczykiem,

donem

Cesare

Indelicatem,

z

potęgami

władającymi

dokami w New Jersey oraz Jacksonville oraz lotniskami w Nowym Jorku i regionie Midwest. Zawiadywał flotyllą kilkunastu małych samolotów naleŜących do firm kontrolowanych przez rodzinę

Corleone, która jednak nie była ich właścicielem na papierze.

Rodzina Corleone, o czym nie wiedziała większość członków organizacji, zarabiała na narkotykach tyle samo, co wszyscy inni w Ameryce. Bez tych pieniędzy nigdy nie zgromadziliby wojennego skarbcza, dzięki któremu mogli rozprawić się z Barzi

W n

r i

e m

sz cie, tuŝ po dziewiątej, do Two Toms wszedł Peter Clemen-i Tattaglią.

22

za z trzema ochroniarzami i usiadł przy stoliku Geraciego. To, ŝe nie pojawił się sam Michael, tylko przysłał *caporegime*, tego, który przez długie lata sprawował pieczę nad najwaŝniejszymi likwidacjami przeprowadzonymi przez rodzinę, Geraci uznał za zły znak. Nie ulegało wątpliwości: Tessio nie ŝył.

— Jesz? — spytał Clemenza, sapiąc po wysiłku, jakim było dla niego przejście z samochodu do stolika.

Geraci pokręcił głową.

Clemenza machnął mięsistą łapą w powietrzu przesyconym zapachami restauracji.

— Jak moŝna się temu oprzeć? Wrzućmy coś na ruszt. Jakąś małą przekąskę. — Zamówił i pochłonał *antipasto crudo*, talerz bakłaŝanów, dwa koszyczki chleba i makaron z sosem z owoców morza. Ostatni z rodu, Clemenza, prawie w dosłownym sensie — teraz, po śmierci Tessia ostatni *capo*, którego Michael odziedziczył po ojcu.

— Tessio nie zginął — szepnął Clemenza Geraciemu, gdy szli do wyjścia.

Geraciego ŝcisnęło w ŝołądku. Zamierzali zmusić go, ŝeby to on nacisnął spust. To miał być sprawdzian lojalności. Pewność, ŝe zda go pomyŝlnie, nie była ŝadną pociechą.

Zapadł zmrok. Geraci jechał z Clemenzą na tylnym siedzeniu. Po drodze Clemenza zapalił cygaro i zapytał Geraciego, co wie, a czego moŝe się domyŝlić. Geraci powiedział prawdę. Nie wiedział jeszcze wówczas, ŝe wcześniej zabici zostali przywódcy rodzin Barzinich i Tattaglia.

Nie mógł wiedzieć, ŝe Clemenza spóźnił się na spotkanie z nim, gdyŝ

przedtem musiał udusić garotą Carla Rizziego, szwagra Michaela Corleone. Tych i jeszcze kilku innych strategicznych morderstw dokonano tak, by wyglądały na robotę ludzi Baraniego lub Tattaglii. O tym teŝ Geraci nie miał pojęcia. Lecz to, czego się domyŝlał, było prawdą. Przyjął

cygaro od Clemenzy, ale go nie zapalił. Powiedział, że schowa sobie na późn

Wie

ó j

z. wjechał do zamkniętego warsztatu Sinclair tuż koło Flatbush Avenue. Geraci wysiadł, podobnie jak pozostali inni mężczyźni jadący dwoma samochodami, które stanęły obok. W jednym jechali ludzie Clemenzy, w drugim — Geraciego. Clemenza i jego kierowca zostali w środku. Kiedy Geraci się odwrócił i zobaczył ich w wozie, jego ciałem wstrząsnął dreszcz strachu. Rozejrzał się, szukając wzrokiem tych, którzy go zabijają i próbując odgadnąć, jak

23

to się stanie. I dlaczego jego ludzie stoją nieruchomo i się przyglądają. Dlaczego zdradzili.

Clemenza opuścił szybę.

— To nie tak, chłopcze. Sytuacja jest po prostu za bardzo... —

Uniósł dłonie do nalanej twarzy i potarł ją szybko, jakby chciał

zetrzeć plamę. Wypuścił ciężko powietrze. — Ja i Sally... Nawet nie chcę myśleć, od jak dawna się znamy. Niektórych rzeczy po prostu nie chce się widzieć. Rozumiesz?

Geraci rozumiał.

Grubas się rozplakał. Łkał po cichu i wcale się tego nie wstydził.

Odjechał, nie powiedziawszy nic więcej. Machnął ręką na kierowcę i podniósł szybę, patrząc prosto przed siebie.

Geraci odprowadził wzrokiem znikające tylne światła wozu.

Pod ścianą pierwszego stanowiska na brudnej posadzce leżały dwa ciała w kombinezonach, jedno na drugim. Czerniejąca krew wypływała z ran, mieszając się ze sobą. W drugim stanowisku znajdował się Salvatore Tessio. Z jednej strony pilnował go Al Neri, nowy cyngiel Michaela, a z drugiej były gliniarz, z którym Geraci miał wcześniej sporo do czynienia. Stary siedział na skrzynce po puszkach z olejem, przygarbiony, i gapił się na buty jak

sportowiec zdjęty z boiska w czasie beznadziejnie przegranego meczu. Poruszał ustami, ale Geraci nie rozumiał słów. Trząsał się, ale działał się tak już od roku, bo na coś chorował. Słyszał tylko kroki Geraciego i piskliwy zniekształcony śmiech dolatujący z inn

N eg

rio

s p

k o

i m

ną i

ł e

s

n z

a cz

G en

r i

a a

c ,

i m

eg o

o.g

ą

Tc

e y

s

sp

i o

o ch

ni o

e dz

p i
o ć
d w
ni y
ó ł
s ą
ł c
g z
ł n
o ie
w
y z
. te
N l
ee
r w
i i
p z
oo
ł r
o a
Ń .
y ł

dłoń na ramieniu starego wojownika i ścisnął je lekko w geście groteskowego pokrzepienia. Tessio upadł na kolana, wciąż nie podnosząc głowy i wciąż poruszając ustami.

Neri podał Geraciemu pistolet kolbą do przodu. Geraci nie znał

się za bardzo na broni i nie umiał się nią posługiwać. Pistolet był

ciężki jak kasa pełna bilonu i długi jak śledź do namiotu. Do wykonania egzekucji nie była potrzebna broń takich rozmiarów.

Geraci tkwił w tym interesie od tak dawna, że wiedział, iż w takich sytuacjach najczęściej wybiera się pistolet kalibru 22 z tłumikiem

— trzy szybkie strzały w głowę (drugi dla pewności, trzeci dla jeszcze większej pewności, a czwartego się nie oddawało, ponieważ tłumiki zacinały się przy oddawaniu w krótkim czasie zbyt wielu strzałów). Ten pistolet natomiast był większy od dwudziestkidwójki i nie miał tłumika. Geraci stał w ciemnym pomieszczeniu

z Tessiem, którego kochał, i Nerim, który przykuł go kiedyś kajdankami do kaloryfera i przywalił w podbrzusze. Uszło mu to na sucho. Nick Geraci wziął głęboki oddech. Zawsze kierował się głową, nie sercem. Serce to tylko krwisty motor, rządzi głowa.

Zawsze myślał, że nadejdzie taki czas, gdy będzie stary i ustawiony; wtedy przeprowadzi się z Charlotte do Key West i będzie udawał

opływającego w luksusy głupka.

Teraz, patrząc na Tessia, uświadomił sobie, że nigdy tak nie będzie. Tessio był od niego starszy o dwadzieścia kilka lat i aż do tej chwili Geraciemu wydawało się, że to bardzo dużo. Tessio przyszedł na świat w ubiegłym stuleciu. Za minutę umrze. Przeszły

życie, kierując się głową, a nie sercem, i dokąd go to zaprowadziło?

Właśnie tutaj. Człowiek, którego kochał, za chwilę zamieni jego głowę w krwawą papkę.

— Przykro mi — wymamrotał Tessio, wciąż patrząc w dół.

Te słowa mogły być skierowane do Corleone, do Geraciego albo do Boga. Geraci z całą pewnością nie chciał tego wiedzieć.

Wziął pistolet i obszedł Tessia. Okrągła łysina błyszczała w ciemności, oświetlona blaskiem ulicznych latarni.

— Nie — powiedział Neri. — Z przodu. Patrz mu w oczy.

— Kpisz sobie ze mnie, kurwa.

Neri odchrząknął.

— Chyba nie wyglądam, jakbym sobie z ciebie kpił.

— Kto to wymyślił? — zapytał Geraci.

Neri nie miał w ręku pistoletu, lecz Nick nie wyszedłby z brudnego warsztatu Śywy, gdyby zabił kogoś oprócz Tessia. Z

kanciapy

dobieg

— ł

Nh

i u

e ra

wg

i a

e n

m m

i e

ntia

el ic

o z

b n

c e

h g

o o

d ś

zi m

i

mec

ni h

e u

t.

o — odparł Neri. — Jestem

tylko posłańcem, sir.

Geraci przechylił głowę. Ten kiep był zbyt tępy, żeby zrozumieć o zastrzeleniu posłańca. Ale był chyba dość sadystyczny, żeby przeprowadzić egzekucję w najbardziej okrutny możliwy sposób.

Powiedział „sir”? Co to miało znaczyć?

— Salvatore Tessio — rzekł Geraci — zasługuje na większy szacunek, bez względu na to, co zrobił.

— Walcie się! — powiedział na głos Tessio, wciąż nie odrywając spojrzenia od poplamionej smarami posadzki.

— Podnieś głowę, zdrajco — rozkazał Neri.

Trzęsąc się ani mniej, ani więcej niż dotąd, stary zrobił, co mu kazano. Suchymi oczami patrzył w oczy Geraciego, lecz był już

25

daleko. Z jego ust popłynął gwałtowny strumień imion, które nic dla Geraciego nie znaczyły.

Nick podniósł pistolet i zobaczył, że ręka mu nie drży. Czuł za to wdzięczność, a zarazem obrzydzenie do siebie. Delikatnie przystawił lufę do miękkiego czoła starego. Tessio nie poruszył się i nie zamrugał, nawet przestał się trząść. Gruba skóra podniosła się wokół muszki pistoletu. Geraci nigdy przedtem nie zastrzelił

człowieka.

— To tylko interesy — wyszeptał Tessio.

„Mojego ojca uczyniło wielkim to, że nigdy nie traktował

niczego wyłącznie jak interesu” — powiedział Michael Corleone na pogrzebie Vita. „Wszystko było sprawą osobistą. Mój ojciec był tylko śmiertelnym człowiekiem, tak jak każdy inny. Ale był

człowiekiem wielkim, a ja nie jestem jedynym tu dziś obecnym, który uważał go za boga wśród ludzi”.

— Na co czekasz? — szepnął Tessio. — *Sonofottuto*. Zastrzel mnie, ty cipo.

Geraci strzelił.

Ciało Tessia odskoczyło w tył tak gwałtownie, że kolana trzasnęły niczym pękające dachówki. Powietrze zabarwiło się od różowoszarej mgiełki. Kawalek czaszki Tessia, wielkości jarmułki, odbił się od ściany warsztatu, uderzył Neriego w twarz i spadł na posadzkę. Zapach rozprysniętej krwi Tessia zmieszał się z wonią jego gówna.

Nick Geraci potarł ramię, gdy pistolet odbił boleśnie. Poczuł, że zalewa go euforia zmazująca wszelkie wahanie, które wcześniej go dręczyło. Nie czuł śladu, strachu, odrazy ani gniewu. Jestem zabójcą, pomyślał. A zabójcy zabijają.

Odwrócił się, śmiejąc się nie z powodu szaleństwa, lecz z radości bardziej intensywnej niż ta, którą czuł, smakując własną heroinę.

Wiedział, co się dzieje. Nie pierwszy raz zabił człowieka. Czasem nic nie czuł, zabijając, lecz nawet to mogło być kłamstwem, mówił

sobie. Bo prosta prawda była taka, że zabijanie ludzi jest przyjemne.

Powiedziałby to każdy, kto zabił, ale tego nie powie. Bo nie chce!

W książce o pierwszej wojnie światowej, którą Geraci przeczytał, poświęcono temu cały rozdział. Prawie nikt nie chciał o tym mówić, bo u większości ludzi przeważnie było tak, że po przyjemności pojawiała się odraza. Dlatego nie chcieli mówić. Poza tym nawet największy przygłup wiedział, co się stanie po tym, jak ogłosi, że przyjemnie jest zabijać innych i przekona słuchaczy, iż mówi

prawdę. To byłoby złe. A jednak było przyjemne. Doznanie niemal erotyczne — do tego też nie należało się przyznawać, i to była kolejna rzecz, którą rozumiał prawie każdy kretyn. Ty jesteś silny, a ten, który leży martwy, nie jest. Ty żyjesz, a tamten nie.

Zrobiłeś coś, o czym w szczególnie gorącej chwili marzył prawie każdy człowiek na świecie, lecz większość nigdy tego nie robi.

To było łatwe i zapewniało fantastyczne doznania. Geraci sunął po śliskiej od brudu posadzce warsztatu, niemal pewny, że tym razem nieprzyjemne odczucie później się nie pojawi. Nie będzie żadnego

„później”. Wszystko zawsze będzie teraz. Wszystko zawsze jest teraz.

Pragnął uściskać obecnych i przybić z każdym piątkę, ale zamiast tego tylko do nich podszedł, unosząc broń szybciej niż oni. A ponieważ byli to w głębi serca tchórzliwi frajerzy, padli na ziemię.

Dzięki temu Geraci lepiej widział cel za drzwiami kanciapy: prostokąt mglistego błękitu. Strzelił. Poczuł odrzut (Czyby Neri naprawdę był tak głupi, by dać mu broń z więcej niż jednym nabojem? Co za idiota!). Ułamek sekundy później rozległ się tępy łoskot. Z chmury trującego dymu wytrysnęła mała kula ognia, przyjemnie rozświetlająca mgiełkę spadającego szkła. Ludzie nigdy nie zbudowali przedmiotu, którego zniszczenie daje większą satysfakcję niż telewizor.

Wtedy zapadła cisza.

Geraciemu wydawało się, że trwa okropnie długo.

— Hej! — krzyknął chrapliwym głosem jeden z ludzi Geraciego. — Ja to oglądałem.

Napięcie zostało rozładowane. Dokładnie tak, jak zalecił pan doktor. Neri klepnął lekko Geraciego w plecy, a ten oddał mu broń.

Potem wszyscy zabrali się do roboty.

Ludzie Clemenzy potraktowali piłą trupy dwóch zabójców, którzy mieli zamordować Michaela Corleone. Geraci siedział na skrzynce po puszkach z olejem i patrzył. W jego żyłach płynęło tyle adrenaliny, że wszystko zlewało się w jedno. Brudne okna.

Kalendarz z rozebraną do pasa młeczarką z kluczem francuskim w dłoni. Paski klinowe na metalowych hakach. Zwłoki przyjaciela.

Guzik na mankiecie. Cały kosmos pozbawionych różnic bytów.

Kiedy podwładni Clemenzy skończyli robotę, Neri wręczył

Geraciemu piłę i wskazał głowę Tessia. Skóra wokół ziejącej rany na głowie już posiniała.

27

Odrętwiały Geraci wziął piłę i opadł na jedno kolano. Później będzie wściekły na myśl o tej chwili. Ale wtedy zachowywał się tak, jakby sprawdzał współczynnik pH wody w swoim basenie.

Kiedy człowiek widzi rzeczywistość w jej zasadniczej dosłowności, czy odcinanie głowy człowieka, który był mu jak ojciec, różni się od oddzielania soczystej nogi indyka? Grubsza kość, ale piła jest lepszym narzędziem od tasaka, który dostałeś w prezencie urodzi-nowym od szwagra.

Nick Geraci zamknął oczy Tessia i odsunął piłę. „Później” jednak przyszło — w chwili jasności uświadomił sobie, że taka już jest natura „później”.

Neri zacisnął dłoń na przedramieniu Geraciego i wziął piłę.

— To też był rozkaz.

— Jak brzmiał? — spytał Geraci.

— Zobaczyc, czy chętnie to zrobisz.

Geraci wiedział, że lepiej nie pytać, czy okazał odpowiedni zapal, ani tym bardziej o tego, kto wydał rozkaz. Stał z twarzą bez wyrazu i nic nie mówił. Wskazał gestem kieszeń zakrwawionej marynarki. Neri skinął głową. Geraci wyjął cygaro, które dostał od Clemenzy, kubańskie, w kolorze ciemnej

czekolady. Usiadł na skrzynce i z rozkoszą zapalił.

Ludzie Clemenzy odarli zabójców z ubrań, a później upchnęli je oraz dziesięć części ciała do walizy. Zwłoki Tessia leżały na posadzce.

Właśnie wtedy Geraci domyślił się wszystkiego.

Nie było potrzeby wysyłać wiadomości do Barziniego. Wszyscy zamieszani w zdradę Tessia byli już zbyt martwi, by skorzystać z jakiegokolwiek wiadomości. A klan Corleone chciał, żeby ciało Tessia zostało znalezione. Tę część Brooklynu łączono z rodziną Barzinich. Gliny uznają, że to właśnie oni zlecili egzekucję.

Detektywi zaczęli się głowić, gdy znajdą niemożliwe do zidentyfikowania zwłoki zabójców, a później wyciągną wnioski, które

jednak w żadnym razie nie będą dotyczyć rodziny Corleone. Ci zaś nie będą nawet musieli zawracać głowy swoim sędziom ani policjantom. Zwykle w takich sytuacjach daje się komu trzeba cynk

o typach na wyścigach i odpuszcza odsetki od kredytów, ale tym razem nie będzie konieczne nawet to. Pismaki zagrają dokładnie tak, jak

G a

e k

r

a ch

i ce

m M

usi i

ac

ł h

a

pre

zl

y C

z o

n r
a l
ć e
, o
Ń n
e e
,
t
ow
bł p
yrz
s e
k k
oto
l n
i a
w n
y i
u
p
l Ń
a e
n .k
aŃ dy centymetr

wydrukowanych brudnych kłamstw to szczyt dziennikarskiej cnoty.

28

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na zwłoki swego mentora, Geraci wsiadł do samochodu z Alem Nerim. Nie bał się, nie był nawet rozgniewany. Teraz był tylko mężczyzną patrzącym w przyszłość, gotowym stawić czoło temu, co go czeka.

Przez kilka tygodni po zabójstwach Geraci współpracował ściśle z Michaeliem Corleone. Pomagając opracować każde posunięcie toczącej się wojny, obserwując Michaela, Geraci zaczynał

rozumieć, jak bardzo nie docenił nowego dona. Rodzina Corleone miała meliny w każdej dzielnicy miasta i na kilku przedmieściach, trwała tam nieustanna rotacja. Mieli podziemne garaże pełne samochodów i ciężarówek z lewymi numerami i dowodami rejestracyjnymi. Niektóre były opancerzone i miały silniki jak samochody biorące udział w wyścigu Le Mans. Inne wyglądały doskonale, lecz w istocie były złomem, który mógł w każdej chwili

po

naciśnięciu ukrytej dźwigni, tamując ruch i powstrzymując ewentualny pościg. Niektóre przeznaczone na roztrzaskanie lub wyłowienie z rzek i mokradeł. Było też kilka dokładnych replik wozów,

którymi jeździli ważni członkowie rodziny; ich zadaniem było wyprowadzenie w pole świadków, wrogów lub policji. W całym mieście znajdowały się arsenały broni: za wieszakami na ubrania w pralni chemicznej przy Belmont Avenue, pod workami z cukrem i mąką na zapleczu piekarni w Carroll Gardens, w skrzyniach hurtowni trumien w Lindenhurst. Michael Corleone szykował się do przejęcia pełnej kontroli politycznej nad stanem Nevada oraz Kubą, a im więcej Geraci się dowiadywał, tym bardziej wydawało mu się

Wię

e l to

ki p

mria

s w

te d

r o

n p

y o

pd

lo

ab

ne

MicR

ho

ad

elz

ain

ba

yłC

to

ar

kl

ie

:o

pn

oe

km

ój, ia

sł

za

ern

oa

kl

ai

ś

ec

ki

se

pp

ał

na

sjc

a

w

i irę

ec

le

oj

kas

c tjr

aó

, Ŝ

aó

w

na sp

tr

ę a

p w

ni a

e

l n

e i

pŝ

s z F

e B

z I

o , r g a

a n t

i a

z k

o Ŝ e

w a n z

i d

e j ę

p c

r i

z a

e

s t d

ę y

p r

ce

zk

yto

c r

h a r o F

d B

zi I

n

ub

w ra

cn

a e

ł g

y o

m w

k rsau

j k

u i

, en

p k

r ę

z

y i

s

js

eq

dc

ne

og

co

z

ec

sz

nł

yn

me

k

us

mw

ao

cj

ne

ig

ao

ni p

u ie

i rw

r s

o z

z e

s g

zeo

r z as

ny

i -

u

site

ntn

e tra

e.

sów z Sycylią — a wszystko po to, by zalegalizować biznes, przejąć kontrolę nad Kubą, zdobyć dostęp do Białego Domu, a nawet do Watykanu. Wszystko, co nowe, miało być zbudowane za pieniądze innych ludzi: „poŜyczki”, z których znaczna część pochodziłaby z funduszy emerytalnych rozmaitych związków.

Kierowcy cięŜarówek, elektrycy i właściciele lokali z szafami 29

grającymi otrzymaliby większy zwrot kapitału aniŜeli z karuzeli, jaką była giełda papierów wartościowych. Klan Corleone odgradzałby

się

coraz

grubszym

murem

od

ulicznej

przestępczości.

Niebawem Corleone mogliby przestać posługiwać się „słupami”

i działać otwarcie. Nie dałoby się odróżnić ich od superprzestępców, znan

Gy

ec

r h

a

cm

i i

ulio

w n

a o

Sam

ł f

plra

a j

n e

r

z ó

a w

n iz

e li

w s

yty

k

oF

n o

a r

l t

nu

yn

. e

P 5

o 0

0

p .

r

ostu zbędny. Wszak

klan Corleone już prowadził jedyny w historii świata biznes przynoszący zysk z roku na rok. Ale robił, co mu kazano. Wkrótce nie miał już wyboru. W dalszej perspektywie nie mógł stracić.

Jeśli wszystko się uda, osiągnie to, czego naprawdę pragnął, czyli stanie na czele starego *regime* Tessia: tradycyjnego interesu, mocno zakorzenionego w lokalnych społecznościach. A jeśli Corleone za bardzo się rozpędzą i rozproszą, Geraci będzie mógł wziąć sobie to, co mu się słusznie należy i dalej robić swoje.

Zmuszał się, by nie myśleć o Tessiu. Bokser szybko uczy się zapominać o tym, co go spotkało. W przeciwnym razie zamienia się w nieruchomą kaczkę, którą każdy może odstrzelić. Geraci ani na chwilę nie przestał nienawidzić boksu, kiedy walczył, lecz dziesięć lat po ostatnim pojedynku musiał przyznać, że czas spędzony na ringu dobrze mu zrobił.

W ciągu tego lata Nick Geraci i Michael Corleone stali się prawie przyjaciółmi. Gdyby jedna lub dwie sprawy ułożyły się inaczej, mogłoby tak pozostać.

Na przykład gdyby Michael nie postanowił w sierpniu uczynić swojego brata Freda zastępcą. W klanie Corleone nigdy nie było takiego stanowiska, a Michael uważał je za symboliczne. Chciał

w ten sposób wciągnąć Freda, poczciwego nieudacznika, w krąg rodzinnych interesów. Gdyby tylko Michael dał ludziom z organizacji do zrozumienia, że to wyłącznie symboliczne stanowisko.

On z

A a

l ś

b n

o ie

g p

d o

y w

by i ed

G z

e i

r ał

c o

i t

bym

ył n

z iko

N m

o u

we.

go Jorku, a nie z Cleveland.

Gdyby nie łączyły go tak mocne więzi z donem Forlenzą. Gdyby był mniej ambitny. Gdyby, dowiedziawszy się, że Michael wyznaczył Freda na *sottocapo*, nie zapytał go z szacunkiem, czy stracił rozum. Gdyby późniejsze przeprosiny sprawiły, że nieopatrzna uwaga poszła w zapomnienie.

Gdyby Fredo wiedział, że jego nowa rola jest symboliczna, może nie dążyłby tak uparcie do tego, by załatwić coś na własną rękę. Może nie próbowałby stworzyć miasta umarłych na bagnach 30

New Jersey. Może dożyłby przyjęcia z okazji swoich czterdziestych ósmych urodzin.

Gdyby Tom Hagen był bardziej zaangażowany we wszystkie aspekty rodzinnych interesów, a nie został odsunięty jako *consigliere*, co skłoniło go do ubiegania się o stanowisko gubernatora

Neva

G d

d y

y .

by dwadzieścia lat wcześniej w Cleveland, po tym, jak don Forlenza został postrzelony po raz drugi, lecz przed swoim pierwszym atakiem serca, nie namaścił na swojego następcę mężczyzny

w jego wieku. Gdyby zabiła Forlenzę jedna z jego licznych przypadłości. Gdyby Sal Narducci, człowiek o umiarkowanych ambicjach, nie czekał przez dwadzieścia lat, licząc na to, że lada chwi

G la

d

yby Vito Corleone nie zauważył, że Narducci służy jako p

c rz

o e

n j

s m

ig i l e

i

e s

r te

e r.

w czasie kilkunastu spotkań komisji. Gdyby niedługo przed swoją śmiercią nie zasugerował synowi, że jeśli zrobi Narducciego donem, nie czekając, aś uczyni to sama natura, wyeliminuje największego

sojusznika klanu Barzinich poza Nowym Jorkiem.

Wystarczyłoby zmienić jedną czy dwie z tych okoliczności, i kto wie? Może Nick Geraci i Michael Corleone siedzieliby obok siebie nad brzegiem basenu gdzieś w Arizonie jak dwa stare wyleniałe kozły, wznosząc toasty za dobrze przeżyte życie, pośerając wzrokiem sześćdziesięcioletnie ślicznotki i łykając viagr

O

ę historii można powiedzieć wiele, ale nie to, że była nieunikniona.

Vito Corleone zwykł mawiać, że każdy człowiek ma tylko jedno przeznaczenie. Jego życie było olbrzymim zaprzeczeniem tego ulubionego aforyzmu. Owszem, uciekł z Sycylii, kiedy przyszli ci, którzy chcieli go zabić. Kiedy młody cwaniak z sąsiedztwa, Pete Clemenza poprosił go o ukrycie torby z bronią, Vito nie miał

wielkiego wyboru. A gdy popełnił pierwsze przestępstwo w Ameryce, kradzież drogiego dywanu, wydawało mu się, że jedynie pomaga Clemency go przenieść. Wszystkie te przypadki go znalazły. Nic w tym nadzwyczajnego. Złe przypadki znajdują każdego.

Niektórzy nazwą to przeznaczeniem. Inni nazwą to szansą. Pomidor albo pomidor. Lecz następne przestępstwa Vito — porywanie ciężarówek z Clemenzą i jeszcze jednym młodym cwaniakiem z piekła rodem, jakimś Tessiem — były już aktami woli. Kiedy zaprosili Vito, by przyłączył się do ich złodziejskiej szajki, mógł

31

powiedzieć „nie”. Ale powiedział „tak”, a to sprawiło, że stał się przestępcą-drapieżnikiem. Gdyby odmówił, wkroczyłby na inną ścieżkę; może otworzyłby rodzinną firmę, a jego trzech synowie mogliby do niej przystąpić, nie zostając wcześniej mordercami.

Vito był zręcznym intuicyjnym matematykiem, błyskotliwie umiejącym ocenić prawdopodobieństwo, oraz wizjonerem. Wiara w coś tak irracjonalnego i obcego wyobraźni jak przeznaczenie nie pasowała do jego charakteru. Była go niegodna.

Lecz czy jakikolwiek człowiek jest ponad racjonalizowanie najgorszej rzeczy, jaką kiedykolwiek zrobił? Kto z nas, gdyby był

bezpośrednio i pośrednio odpowiedzialny za śmierć setek ludzi, między innymi jednego ze swoich dzieci, nie okłamałby samego siebie, gdyby to kłamstwo, nie poddane dokładniejszemu badaniu, wydawało się nawet głęboką prawdą?

Nick Geraci i Michael Corleone byli młodzi, przebiegli, twórczy, ostrożni i twardzi. Obaj mieli talent do stwarzania siebie na nowo, do skłaniania przeciwnika, by ich nie docenił, a potem wykorzystywania tego jako przewagi. Często powtarzano, że byli zbyt

podobni, dlatego ich przeznaczeniem było, by stali się wrogami.

Często powtarzano, że wojny toczyły się po to, by zaprowadzić pokój. Często powtarzano, że ziemia jest płaska i że w ten sposób demony kłamią. „Mądrości rzadko się powtarza, a jeszcze rzadziej słysz

My

i "

c ,

h m

ae a

l w

Cia

o ł

rl ś

e w

o i

n ę

e te

i j p

Ni a

c m

k i ę

G c

e i

r

aV

cii to

n

a C

po

e rle

w o

n n

o e.

m ogli dokonać innych

wyborów. śyćie mogło potoczyć się lepiej, niŜ się potoczyło.

Przeznaczenie z pewnością nie skazało ich na to, by siebie zniszczyli.

Rozdział 2

Właścicielem krematorium był nie kto inny jak Amerigo Bonasera. Neri miał własny klucz. Weszli z Geracim głównymi drzwiami, ściągnęli z siebie zakrwawione ubrania i włoŜyli najlepsze z tych, które znaleźli na zapleczu. Geraci był roslým męŜczyzną. Jedyną rzeczą, która mniej więcej na niego pasowała, był lniany garnitur w kolorze dziecięcej kupki, o dwa numery za mały. Bonasera był jedną nogą na emeryturze, większość czasu spędzał w Miami Beach. Jego zięć wziął

walizkę i kłębek zakrwawionych ubrań od Neriego i nie powiedział ani słowa.

Jeden z ludzi Geraciego odwiózł go do domu. Jeszcze nie minęła północ. Charlotte nie spała. Siedziała w łóŜku, rozwiązując krzyŜówkę z „Timesa”. Była dobra w ich rozwiązywaniu, lecz brała

je

do rę

Nik

ci

k t ylk

G o

er w

ac tie

d
s y
t,
a g
nąd
ły
c
w o
ś
n j
oą
g g
a r
c y
h z
ło
ó.

Ŝka. Wiedział, jak wygląda

w garniturze. Przekrzywił głowę, uniósł brwi tak, jak jego zdaniem zrobiłby to komik, i powiedział:

— Ta-daa!

Jego Ŝona nie roześmiała się ani nawet nie uśmiechnęła. W

wiadomościach telewizyjnych mówiono o „morderstwach na Philipie Tattaglim i Emiliu Barzinim, dokonanych w gangsterskim stylu”.

Charlotte odrzuciła gazetę.

— To był długi dzień — powiedział Geraci. — Długa historia, okay, Charlotte? I nie mówmy o tym

więcej.

Patrzył, jak Sona mierzy go taksującym spojrzeniem. Patrzył, jak jej twarz wiotczeje. Charlotte zmuszała się, żeby nie powie-

dzieć, żeby nigdzie nie pójdzie. Chciała poprosić, żeby opowiedział

jej tę historię, ale przełknęła to pragnienie. Nie powiedziała słowa.

Geraci rozebrał się, rzucając ubranie na krzesło. Przez ten czas, gdy sikał, mył zęby i zakładał piśmę, Charlotte pozbyła się garnituru (nigdy więcej go nie zobaczył), zgasiła światło, położyła się i udała, że śpi.

W domu rodziców w New Hampshire Kay Corleone leżała obok śpiących dzieci w tym samym podwójnym łóżku, w którym spała jako

dziewczynka.

Próbowiała

skupić

się

na

powieści

Dostojewskiego, ale trapiło ją pytanie, którego nie zadawała i wiedziała,

że

nie może zadać: dlaczego Michael zasugerował jej tę wizytę i wybrał porę.

W Las Vegas, gdzie narodził się stek za dolara pięćdziesiąt i kubek kawy za pięć centów, w oświetlonym małą lampką apartamencie hotelowym na najwyższym piętrze pierwszego wysokościowca w mieście, noszącego nazwę Zamek na Piasku, Connie

Corleone Rizzi przyciskała do piersi niedawno ochrzczonego chłopca i spoglądała daleko ponad światłami miasta. Resztki dnia wyparowały z pustyni. Connie cieszyła się, choć z reguły nie była skora do radości. Czowała się zmęczona: musiała wcześniej wstać, żeby zdążyć na samolot, a później przez całą drogę znosić wiercenie się i psoty sześciolatniego syna Victora, podczas gdy jej matka, Carmela, prawie nie ruszyła palcem, żeby pomóc, tylko marudziła, że przez tę podróż nie poszła na mszę. Ale synek, ochrzczonego wczoraj imieniem jej brata Mike'a, który został chrzestnym, był

jak aniołek: spał, kwilił cichutko i wtulał w nią nosek. Gdzieś nad Górami Skalistymi po raz pierwszy się roześmiał. A teraz robił to za każdym razem, gdy dmuchnęła mu w czółko. To znak,

pomyślała Connie. Dzieci przynoszą ze sobą swoje szczęście. Przeprowadzka tutaj będzie nowym początkiem dla wszystkich. Carlo się zmieni.

JuŜ się zmienił. Nie uderzył jej ani razu, od kiedy zaszła w ciążę.

Mike

zamierzał

powierzyć

Carlowi

znacznie

bardziej

odpowiedzialną rolę w rodzinnym interesie. Carlo teŜ miał

przyłeciec,

Ŝeby

obejrzeć domy i pomóc w kupowaniu rzeczy, których potrzebowali, ale w ostatniej chwili Mike powiedział, Ŝe Carlo musi zostać.

In

3 te

4 resy. Ani jej ojciec, ani Saden z braci nigdy czegoś takiego nie zrobił, nie pozwolił Carlowi poczuć się kimś waŜnym. Connie przesunęła synka do drugiej piersi i pogładziła go po miękkich włoskach. Malec się uśmiechnął. Dmuchnęła na jego czółko.

Zaśmiał się. Connie teŜ się roześmiała.

W sąsiednim pokoju Victor zaczął skakać na łóŜku, choć bez końca powtarzano mu, Ŝeby tego nie robił. Zadzwoił telefon.

Connie się uśmiechnęła. To pewnie Carlo. Pozwoliła Victorowi odebrać.

— Maamo! — zawołał chłopiec. — Wujek Toom dzwoni!

To był Hagen. Connie wstała. Chłopiec zaczął głośnie płakać.

Carmela Corleone wyszła z hotelu, owinięta długą chustą, ze schyloną głową, osłaniając oczy przed raŝącymi neonami i mamrocząc do siebie po włosku. Ruszyła ulicą Strip. Było juŜ po dziewiątej, za późno na mszę, zwłaszcza w poniedziałek, lecz w mieście z tyloma kaplicami ślubnymi nie powinno

być trudno zdeterminowanej kobiecie znaleźć księdza. A przynajmniej kleryka.

Gdyby i to się nie udało, Carmela chciała znaleźć ciche i święte miejsce, w którym mogłaby schronić się przed tymi krzykliwymi światłami, upaść na kolana i błagać o łaskę dla przeklętych dusz, zwracając się, tak jak co dzień, do Dziewicy Maryi jak jedna cierpiąca matka do drugiej.

KSIĘGA II

Wrzesień 1955

Rozdział 3

Cztery miesiące później, wczesnym rankiem w weekend Święta Pracy, Michael Corleone leżał w łóżku w Las Vegas obok Sony, a jego dzieci w innym pokoju nieco dalej. Wszyscy spokojnie spali. Wczoraj w Detroit, na ślubie córki najstarszego przyjaciela swojego świętej pamięci ojca Michael bardzo nieznacznie skinął głową Salowi Narducciemu, którego prawie nie znał. W ten sposób uruchamiał plan, którego celem było zaszokowanie wszystkim jeszcze żyjącym poważnym wrogiem rodziny Corleone. Jeśli się powiedzie, na Michaela nie padnie cień podejrzania. W amerykańskim podziemiu zapanuje trwały pokój.

Ostateczne krwawe zwycięstwo klanu Corleone było już blisko. Na chirurgicznie naprawionej twarzy Michaela Corleone pojawił się ledwie widoczny uśmiech. Michael oddychał równo i głęboko. Poza tym leżał

bez ruchu, spokojnie, ciesząc się snem sprawiedliwego w chłodnym powietrzu swojego nowego domu. Na zewnątrz, mimo że światło dnia

było jeszcze bardzo blade, pustynia już się smażyła.

Nieopodal oleistych brzegów rzeki Detroit dwóch przycięskawych mężczyzn w jedwabnych koszulach z krótkimi rękawami, jeden w niebieskozielonej, drugi w pomarańczowej, wyszło z domku gościnnego posiadłości Joego Zaluchiego, dono Detroit, człowieka, który ocalił swoje miasto od przemocy Purpurowego Gangu. Mężczyzną w pomarańczowej koszuli był Frank Falcone. Kiedyś mieszkał w Chicago, a teraz był szefem zorganizowanej przestępczości w Los Angeles. Drugim był Tony Molinari, jego odpowiednik

z San Francisco. Za nimi podążali dwaj mężczyźni w płaszczach, dźwigający po dwie walizki. Znajdowały się w nich między

innymi garnitury, które mężczyźni w koszulach mieli na sobie wczoraj na ślubie pary z rodzin Clemenzy i Zaluchiego. Na powierzchni wody unosiły się martwe ryby. Z garażu wielkości stodoły wyjechała limuzyna i zbliżyła się do idących mężczyzn.

Kiedy znalazła się na ulicy, ruszył za nią policyjny radiowóz.

Siedz

O ą

b c

o y

k w

ł ó

ń

s d

z

a u

g

l r

ę i

c a

il r

i z

b

w ył

g ro

u p

n ła

o ca

w n

ą y

d p

r r

o z

ge

ęz

iZ

al

w u

z c

dłhi

u e

Ŝ go

o .

g rodzenia

dojechali do bramy z napisem TYLKO DLA POJAZDÓW RA-TUNKOWYCH. Radiowóz się zatrzymał, a limuzyna pojechała dalej aŜ na asfaltową płytę lotniska. MęŜczyźni w jedwabnych koszulach wysiedli i zaczęli pić kawę z tekturowych kubków. Ich ochroniarze zajęli się ćwiczeniami karate.

Podkołował do nich samolot z logo koncernu zajmującego się pakowaniem mięsa, kontrolowanego po cichu przez Michaela Corleone. Logo miało postać profilu lwa. Na metryce urodzenia pilota widniało nazwisko Fausto Dominick Geraci, jr, lecz na licencji przyczepionej do szyby było inne: Gerald O'Malley. Plan lotu, przedstawiony wieŜy kontrolnej, był pusty. Geraci miał tam swojego człowieka. Na wszystkich lotniskach w Ameryce Geraci korzystał z samolotów, które na papierze nie naleŜały do niego.

Pod jego fotelem znajdowała się torba pełna gotówki. Na zachodnim niebie zbierały się chmury.

Po drugiej stronie rzeki, tuŜ za Windsorem, drzwi pokoju numer czternaście motelu Happy Wanderer Motor Inn uchylły się nieco.

Ukazał się w nich Fredo Corleone, nowo mianowany *sottocapo* Michaela. Miał figurę kręgla i był ubrany w pogniecioną koszulę, którą nosił od wczorajszego wieczoru i spodnie od garnituru.

Wyjrzał na parking. Nie zauwaŜył nikogo. Poczekał, aŜ przetoczy się jakiś rozklekotany samochód.

Hałasował tak głośno, że mógłby obudzić śpiącego człowieka. Fredo usłyszał ruch na łóżku za nim, lecz nie zamierzał się oglądać.

Wreszcie teren był bezpieczny. Fredo nasunął na oczy kapelusz z szerokim rondem, zaniknął cicho drzwi i szybko skręcił za róg.

Szedł

po

nabrzeżu,

a

później

przez

kino

dla

zmotoryzowanych, zaśmiecone kubkami i pojemnikami po prażonej kukurydzy. Na pojemnikach narysowano postacie grubych niebieskich

skich klaunów z przechylnymi głowami i twarzami ściągniętymi w okrutnym, znaczącym uśmiechu. Kapelusz nie należał do Freda.

Może był własnością mężczyzny w motelowym pokoju lub pochodził z jednego z wielu miejsc, w których Fredo zatrzymał się wczoraj wieczorem. Mógł nawet należeć do któregoś z goryli. Byli nowi, nie znał ich. W głowie mu dudniło. Poklepał się po kieszeniach koszuli, a potem po kieszeniach spodni. Fajki zostawił

w pokoju, zapalniczkę też. Zapalniczka była prezentem od Mike'a: wysadzana

drogimi

kamieniami,

z

Mediolanu.

Miała

wygrawerowany napis GWIAZDKA 1954, lecz nie było na niej imienia,

rzecz

jasna. Nigdy nie umieszczaj na niczym swojego nazwiska, mawiał

ojciec. Fredo nawet nie zwolnił kroku. Do diabła z tym. Przeskoczył

śluzowaty rów i przebiegł przez parking do budynku mieszkalnego.

Samochód, lincoln, pożyczony mu przez Zaluchiego, ukrył za spalarnią śmieci. Marynarka od garnituru leżała zwinięta na tylnym siedzeniu obok białej satynowej koszuli, która nie była własnością Freda

W si b

a u

dłt.e

lk

N i

a,

pk

i t

ł ór

sia

ę ja

i k

r n

z a

u j

c b

ił a

r

f d

l z

asie

z j

k b

ę ył

n a

a jfe

og

t o

el w

p ła

assn

aŃo

eś

r c

a i.ą

.

Być moŃe

nadszedł czas, Ńeby zerwać z wódą, pomyślał. I z tym drugim. Jezu Chryste. Jak coŃ, czego tak bardzo pragniesz, moŃe wydawać się tak obrzydliwe tuŃ po fakcie? Z tym teŃ zerwie. Nigdy więcej klubów

po

godzinach.

DoŃć

płacenia

narkomanom

tak

nieprzytomnym, Œe nie wiedzą, czyjego kutasa ssą. MoŜna zacząć od

dzisiaj,

po powrocie do Las Vegas, gdzie Fredo sływał jako wielbiciel dam, a miasto było tak małe, Œe tego drugiego i tak nie mógł sobie załatwić. Wrzucił bieg i odjechał niczym bogobojny kanadyjski dziadek, udający się na mszę. Na światłach dokończył jednak whisky. Wjechał na główną drogę i przyspieszył. W tym tempie bez trudu zdąŜy na samolot do Vegas. Zaczęło padać. Dopiero gdy włączył

wycieraczki,

zauwaŜył

skrawek

papieru

pod

podło

W k

cietn

mik

n i

y em

m

p n

o a

k

oj r

uę

k

n ę

u p

mea

r s

a

c Ő

z e

t r

e a

r ,

n a r

ś a

ciceh

un

m e

otk

e l a

u lb

H o

a

p c

p o

y ś

W w

a

ndty

erm

er

ro

n d

a z

gi a

ju

m.ę Śczyzna na łóŜku obudził się. Był przedstawicielem firmy zaopatrującej restauracje. Mieszkał w Dearborn, miał Ŝonę i dwoje dzieci. Ściągnął poduszkę z podbrzusza i wstał. Obwąchał czubki palców i przetarł oczy. „Troy? — zawołał. — Hej, Troy? A niech to szlag. Tylko nie to. Troy?". Wtedy zobaczył zapalniczkę.

Zobaczył teŜ pistolet Troya. Troy wyglądał na faceta, który nosi broń,

ale nie taką. To był kowbojski rewolwer, colt kaliber 45 z rączką i spustem owiniętym białą taśmą klejącą. Nagi męŜczyzna nigdy 41

przedtem nie miał w ręku pistoletu. Usiadł z powrotem na łóŜku.

Zrobiło mu się słabo. Był cukrzykiem. Gdzieś powinny być pomarańcze. Pamiętał, Ŝe Troy dał barmanowi pięćdziesiąt dolców, Ŝeby

ten przyniósł z kuchni torbę pomarańczy. Zjadł trzy przy barze, podczas gdy Troy podszedł do drzwi i wyjrzał na ulicę. Nie pam

Się

e t

r a

c ł

e , c

z o

a

b s

i i

ł ę

o

st

ma

u ł o

mz

o r

c e

ns

i z

e t

j ą

, o

n w

a so

kcó

ór w

z .

e

pojawił się pot.

— Myślisz pan, że jesteś w Ritzu? — mruknął mężczyzna w recepcji.

Dobre pytanie. Gdzie on właściwie jest? Chciał o to zapytać, ale najpierw musiał zrobić coś z poziomem cukru we krwi.

— Jest w ogóle coś do jedzenia? — spytał. — Jakiś automat na monety? Czy może mi pan przynieść na przykład batonika?

— Nogi panu nawaliły? — warknął recepcjonista.

Mężczyzna obiecał, że zapłaci pięć dolarów za dostarczenie batonika do pokoju. Recepcjonista odparł, że zaraz przyjdzie.

Mężczyzna musiał zadzwonić do Sony. To się już zdarzało.

Powie, że chodzi o sekretarkę, kobietę. Obiecał Sonie, że to się więcej nie powtórzy. Zaczął wybierać numer, gdy nagle uświadomił

sobie, że recepcjonista musi połączyć się z linią zewnętrzną. Pewnie poszedł po batonik.

Mężczyzna miał dobrą pracę, wspaniałą Sonę, piękne dzieci i ładny dom. Niedawno przystąpił do rotarian. A teraz znów spędził

noc z jakimś ulicznym cwaniakiem, robiąc te rzeczy, i obudził się w niedzielę rano w takim miejscu.

Znów wstał, żeby poszukać pomarańczy. Na próżno. Zobaczył

spodnie, ale śnieżnej koszuli już nie. Nie mógł też znaleźć kapelusza.

Nie pamiętał nazwy spelunki, przed którą zostawił samochód.

Będzie musiał wrócić do domu taksówką, bez koszuli, a potem Sona będzie wozila go po nędznych przedmieściach, a on będzie się rozglądał. Łatwiej byłoby kupić nowy wóz.

Podniósł rewolwer.

Colt był jeszcze cięższy, niż wyglądał. Mężczyzna przesunął

palcem po lufie i otworzył usta. Oparł koniec lufy na języku i przytrzymał.

Usłyszał pisk opon przed motelem. Po odgłosie trzaśnięcia drzwiami odgadł, że jest to duży wóz. To musi być Troy. Wrócił po niego. Trzasnęły drugie drzwi.

A więc było ich dwóch.

Przyjechali aż z Chicago. Nie przyszli po niego, choć nagi 42

mężczyzna o tym nie wiedział. Śledzili go wiele godzin i o tym też

nie wiedział. Nagi mężczyzna wyjął lufę z ust, wstał i wymierzył

broń w drzwi. „Do zobaczenia w piekle” — szepnął. Usłyszał to zdanie w filmie. Nie był twardzielem, lecz trzymając palce zaciśnięte na perłowej ręczce sześciostrzałowego colta, czuł się jak twardziel, a jakże.

Francesca Corleone siedziała w dużym samochodzie matki i przez dziesięć sekund trzymała wciśnięty klakson. Znajdowała się przed wjazdem do domu w kolorze koralu, w Hollywood na Florydzie.

Mieszkała tu od śmierci ojca, Sonny'ego, który zginął w wypadku samochodowym (tak jej powiedziano, a ona nie miała powodu, by nie wierzyć). „Przestań” — poprosiła jej siostra bliźniaczka Kathy, rozparta na tylnym siedzeniu. Czytała jakąś francuską książkę w oryginale. Wybierała się do college'u Barnard, chciała być chirurgiem.

Francesca wybrała uczelnię Florida State w Tallahassee i nie mogła się doczekać wyjazdu — nade wszystko chciała być sama, z dala od domu. Ale po tych strasznych wypadkach w Nowym Jorku, po tym, jak nazwisko tamtej części rodziny trafiło do gazet — nawet jeśli wszystko to były kłamstwa — jej start w nowe życie będzie najłatwiejszy. Kiedyś Kathy chciała jechać do szkoły do Nowego Jorku, po części po to, by być blisko rodziny, która tam mieszkała. Teraz oczywiście wszyscy oprócz babci Carmeli i okropnej ciotki Connie się wyprowadzili. Wyglądało na to, że wujek Carlo po prostu zniknął jak jeden z tych świrusów, którzy wychodzą rano po papierosy i nigdy nie wracają. Postąpił strasznie, nawet jak na takiego czubka, lecz Francesca musiała przyznać, że każdy mąż Connie musiał

rozważać taki krok. Kathy, zwłaszcza w tym mieście, będzie codziennie pytana, nawet przez wykładowców, czy jest spokrewniona z

tymi

osławionymi gangsterami Corleone. Jeśli ostatnich kilka miesięcy w Ho

M l

a lty

k w

a, o

t o

a d

a m

po o

d Ś

y n

k a

t

y b

c y

z ł

n o

a u

w z

i n

e a

d ć

ż z

m a

a, w

m s

i k

a ł a z

ó

j e w

o k

d ę

w n

i a

e

ż p

ć r

sz

ays

m z

o ło

chść

o ,

d eto

m

Fr

d a

o n

c

s e

z s

kca

ól .m

u

S s

a ia

m ła

o

c b

h y

o c

d n

e a

m ! t o p

D r

o z

y g

N o t o

w w

e g a n

o a

J n

o a

r w

k e

u ! t w

B T

o a

g l

u l

a h

d a

ziss

ę e

kie,. Œe

Francesca wysiadzie pierwsza. Znów nacisnęła klakson.

— To mnie bardzo denerwuje — powiedziała Kathy.

— Mówisz, jakbyś naprawdę czytała tę książkę.

Kathy odpowiedziała po francusku, albo udała, Œe mówi w tym języku.

43

Francesca nie uczyła się języków obcych i zamierzała albo unikać tego problemu, wybierając włoski — którego, prawdę powiedziawszy, nie znała wcale tak dobrze — albo idąc na kierunek wolny od wymogu znajomości języków.

— Jesteśmy Włoszkami — zauważyła Francesca. — Czemu nie uczysz się włoskiego?

— *Sei una fregna per sicuro* — odparła Kathy.

— Ładnie się wyrażasz.

Kathy wzruszyła ramionami.

— Umiesz przeklinać po włosku — stwierdziła Francesca —

ale nie czytać.

— W ogóle nie będę czytała, jeśli się nie zamkniesz.

Ich matka była właśnie w domu swoich rodziców. Siedziała tam bardzo długo, wydając ostatnie polecenia dotyczące opieki i karmienia

braci

Franceski:

piętnastoletniego

Franka

i

dziesięcioletniego

Chipa. Chłopiec naprawdę miał na imię Santino jr i był nazywany Tino aŜ do pewnego letniego dnia, w którym po powrocie z treningu baseballu oznajmił, Ŝe od tej pory będzie reagował tylko na imię Chip. Francesca pewnie teŜ mogła to zrobić. W college'u wybrałaby sobie nowe imię, na przykład Fran. Fran Collins. Franny Taylor.

Frances Wilson. Mogłaby, lecz tego nie zrobi. Jej rodzina zmieniła juŜ wymowę nazwiska z Cor-lee-own na Cor-lee-own i to wystarczyło. Była dumna ze swego nazwiska, z tego, Ŝe jest Włoszką.

Była

dumna, Ŝe jej ojciec zbuntował się przeciwko ojcu gangsterowi i bra

Z c

n io

ó m

w

z i

a t s

r t

ą a

b ł i ł s

a.i ę

C s

z z

e an

m u

u j t ą

o c

ty

am

k dp

ł r

ua

gw

o o

t

r b

w iz

a n

? es

B m

ab e

c n

i e

a m

i .

d z P

iao

dz

ea

kt

i y

t m

a

k

w

z is

gw

n o

o i

r m

uj c

ą zas

w i

s e

z i

y stak

k

o z

, m

cie

o ni n

m a

ó z

ww

i isk

m o

a .

t K

ka.i edy

T

y zn

m ajd

c z

hł ie

o

p s

ao

kb

oie

m m

ę

n Ś

a a.

w

et

morderstwo uszłooby na sucho, zwłaszcza kiedy zacznie się mecz futbolu. Francesca zatrąbiła jeszcze raz.

— Dzięki tobie... — zaczęła Kathy, a Francesca dokończyła: —

...o wiele łatwiej ci wyjeŚdŚać. Wiem. — Kathy westchnęła, tak jak potrafi westchnąć tylko amerykańska dziewczyna. Po chwili delikatnie pogładziła Francescę po włosach. Bliźniaczki przez osiemnaście lat Śycia nie spędziły osobno ani jednej nocy.

Hotel i kasyno Zamek z Piasku, naleŚące do Hala Mitchella, nigdy nie były zamknięte. Nie zamykał

się teŝ Johnny Fontane, który dał dzisiaj dwa koncerty (o dwudziestej i o północy). Był na 44

nogach całą noc, bawiąc elegantów i kumpli. Później, na dobrą wróŝbę (nazajutrz miał sesję nagraniową), udał się do swojego apartamentu, gdzie czekały na niego dwie ślicznotki. Jedną była Francuzka, blondyneczka, tańcząca w kasynie po drugiej stronie ulicy. Twierdziła, ŝe miała jedną kwestię („Ojej, spójrz!”) w zeszłorocznym filmie z Mickeyem Rooneyem, w którym Mickey grał poszukiwacza ropy na pustyni. Trafia na próbę nuklearną i otrzymuje taką dawkę promieniowania, ŝe od tej pory kaŝdy automat hazardowy, którego dotyka, wyrzuca pieniądze (nie ma w nim sceny, w której twardziele spuszcza ją lanie Mickeyowi Rooneyowi). Drugą była smakowita brunetka z blizną po cesarskim cięciu, której prawdopodobnie płacono za obecność (Johnny'emu to nie przeszkadzało, w jego hierarchii profesjonalizm był

najcenniejszym z ludzkich osiągnięć). Kiedy jak dŝentelmen zapytał,

czy

któraś z nich ma coś przeciwko póŝściu do łóŝka — no wiecie, wszyscy troje? — tylko się roześmiały i zaczęły rozbierać.

Brunetka, która przedstawiła się jako Eve, miała do tego smykałkę

—

doskonale wiedziała, kiedy ona, a kiedy blondynka powinna Johnny'emu obciągnąć („Ojej, spójrz!”, szepnęła z uśmiechem blondynka, kiedy zobaczyła, jaki jest duŝy). Wiedziała teŝ, kiedy trzeba

zrobić to przy fontannie na ŝrodku pokoju, podczas gdy blondynka drapała go po plecach. Eve doskonale wyczuła moment, w którym naleŝało pchnąć Johnny'ego na plecy, posadzić blondynkę na jego kutasie, zacząć całować blondynkę i ścisnąć jej cycki. Johnny doznał wytrysku w ciągu kilku sekund. To był dar. Wiele kobiet go nie posiadało. Blondynka miała na imię Rita. Był to skrót od Marguerite. Johnny nigdy nie zapominał ich imion po przebudzeniu.

Wciąż tam była, kiedy rano poszedł na górę do basenu. Nie cierpiał

męŝc

D z

u y

d z

n n

ił,

o k

tó

m r

u z

y

w sp

gł ra

o w

wid

e z

, ail it w

o o

nid

eę

zr ó

pŃ

oow

woy

dm

u p

g a

ł l

ę u

b s

o z

kk

oie

ś m

ci . S

w t

o r

d z

ya

. s

n

Ną

i ł

e

z

p s

ili e

t b

a i

ke

dc

uię

Ŝ Ŝ

o,k

i

j

a sz

k lsa

i f

ę r

ok

ws i

z yw

st s

kk

i oc

m zy

w ł

y w

da n

w a

ałjg

o, ł ę b

w sz

k y

aŝm

d

y mi e

r j

aszcui

e .

j K

uSi ed

ni y

e.

sz

S o

e k

k

r m

et i

? n

ął,

C J

h o

o h

d n

zi n

ć y

z

o n

d ó

w

st s

o i

l ę

i

k z

a a

nu

d r

o z

y

sł i

o lp

i o

k l

a i,c

zy

z ł

o sd

t o

a d

wi w

aj u

ą s

c t u.

wszędzie

niedokończone drinki. Nikt tego nie zauwaŜa. Wszyscy natomiast zauwaŜają, Ŝe przyjmujesz kaŜdego proponowanego drinka. KaŜdy biedny palant, który próbował dotrzymać mu kroku w picciu, kończył, leŜąc zwinięty w taksówce, odwoŜając go do domu na polecenie Johnny'ego Fontane. Kontrolował picie. Kontrolował

to, co robi i z kim to robi.

45

Wynurzył się. Przepłynął kilka długości na rozgrzewkę, wziął

głęboki oddech i znów się zanurzył. Powtórzył to jeszcze trzy razy i wyszedł z basenu. Na dachu budynku, na samym skraju, wisiał

billboard z napisem: ZOBACZ WIELKI WYBUCH! NAJLEPSZY

WIDOK NA BOMBĘ W CAŁYM LAS VEGAS! Pod namalowaną purpurowopomarańczową chmurą podano czas, jutro rano.

Wczesnie rano. Johnny słyszał, Ŝe miano otworzyć bar z bufetem śniadaniowym i przyznać jakieś dziwce tytuł Miss Bomby Atomowej.

Jaki frajer zerwie się o świcie, Ŝeby popatrzeć na wybuch bomby sto kilometrów dalej? MoŜe im się zdaje, Ŝe zaczną świecić i rozbrajać automaty do gry? Jeśli ktoś chce zobaczyć bombę, powinien obejrzeć najnowszy film Johnny'ego. Złapał szlafrok i zbie

Ri g

t ł

y d

j o

u

Ŝ p

o

nik

e o

j

b u

y,ł p

o.r ze

G s

r k

z a

e k

czu

nją

a c

d p

z o

ie d

ww

c a

z

yst

n o

k p

a.n

ie

P

o n

k a

ó r

j a

z

w.

ciąŜ pachniał

whisky, papierosami i cipką. Posąg nagiej kobiety w fontannie, której wysunięta ręka wtedy aŜ się prosiła, Őeby jej się złapać, wymagał remontu. Johnny ubrał się i na wszelki wypadek, Őeby nie usnąć w drodze do Los Angeles, zaŜył zieloną pigułkę przepisana przez doktora Jules'a Segala.

Johnny Fontane wynurzył się w ostrym świetle dnia na hotelowym parkingu dla VIP-ów i nawet się nie wzdrygnął.

Zacisnął

dłonie na klapach marynarki, tak ostrych, Őe moŜna by nimi kroić mięso, i wsiadł do nowego czerwonego thunderbirda. Tutejsi gliniarze znali jego samochód. Rozpędził czerwonego ptaka do ponad stu pięćdziesięciu na godzinę, zanim wyjechał z miasta.

Zerknął na zegarek. Za kilka godzin muzycy zaczną pojawiać się w studiu. Poświęcą godzinę na dostrajanie instrumentów i czece gadanie, a przez następną będą ćwiczili pod kierunkiem Eddiego Neilsa, dyrektora muzycznego, który będzie kierował nagraniem tej płyty. Johnny powinien być na czas. Nagra pierwszych kilka utworów, dotrze na lotnisko przed szóstą, wskoczy do czarterowego samolotu razem z Falconem i Gussiem Cicerem i wróci ze sporym zapasem czasu przed prywatnym koncertem, obiecany Michaelowi Corleone.

Dopiero o czwartej rano, gdy Tom Hagen przybył zmęczony do części goŐcinnej klubu golfowego i tenisowego Vista del Mar, uŐwiadomił sobie, Őe zapomniał rakiety. Sklep ze sprzętem otwierano dopiero o dziewiątej, dokładnie wtedy, gdy Hagen miał

46

się spotkać z ambasadorem na czternastym korcie. Nie mógł

pozwolić sobie na spóźnienie. Zapytał recepcjonistę, czy moŜe poŜyczyć raketę, a ten spojrzał na niego, jakby Tom naniósł błota na białą wykładzinę w holu. Wyjaśnił, Őe ma zamówiony kort na wczesną godzinę i zapytał, czy moŜna się jakoŐ dostać do sklepu teraz, ale recepcjonista pokręcił głową i odparł, Őe nie ma klucza.

Hagen spytał, czy moŜna cokolwiek zrobić, albo teraz, albo przed ósmą trzydzieŐci jutro rano, a recepcjonista przeprosił i powiedział, Őe nie. Hagen wyjął dwa banknoty studolarowe i oznajmił, Őe będzie wdzięczny, jeśli jest coŐ w ludzkiej mocy, co moŜna zrobić.

Meŝczyzna siê uŝmiechnął.

Wczoraj Hagen obudził siê w swoim łóŝku w Las Vegas i przed ŝwitem poleciał z Michaeliem Corleone do Detroit, ŝeby spotkać siê z Joem Zaluchim przed ŝlubem jego córki. Póŝniej był ŝlub, nastêpnie wesele, a potem lot powrotny do Vegas. Mike mógł

wróciç do domu i połoŝyç siê spaç. Hagen poszedł do biura i przez godzinê zajmował siê papierkowà robotà. Wstąpił na chwilê do domu, ŝeby siê przebrać i pocałowaç ŝpiàcà córkê Giannê, która niedawno skończyła dwa latka, oraz ŝonê Theresê, zajmujàcà siê kolekcjonowaniem sztuki i bardzo podekscytowanà obrazem Jack-sona Pollocka, przysłanym wlaŝnie od jej marszanda z Nowego Jorku. Jego synowie, Frank i Andrew, byli juŝ nastolatkami. Kaŝdy spał za zamkniêtymi drzwiami swojego pokoju zapchanego ksiàŝkami fantastycznonaukowymi i płytami Murzynów. Całowanie było

juŝ w

T y

o k

m l

uc

H z

a o

g n

e e

n . pakował sprzêt tenisowy, Theresa zaŝ chodziła po ich nowym domu, przystawiajàc wspaniały, zachlapany farbà obraz do białyh ŝcian. Wykorzystała przeprowadzkê do Las Vegas i ogromne białe ŝciany jako pretekst do szalonych zakupów. Obrazy były warte kilka razy wiêcej niŝ dom. Tom uwaŝał, ŝe to wspaniałe, iŝ ma ŝonê obdarzonà dobrym smakiem.

— Moŝe naprzeciwno czerwonego Rothko w głównym holu?!

— zawołała.

— Moŝe sypialnia? — odpowiedział Tom.

— Myŝlisz?

— Tak mi przyszło do głowy — odparł. Uchwycił jej spojrzenie i podniósł brew na znak, ŝe nie mówił o lokalizacji obrazu.

Theresa westchnęła.

— MoŜe masz rację. — Postawiła obraz i wzięła go za rękę.

MałŜeństwo.

47

Tom czuł się jednak za bardzo zmęczony, więc nie wyszło zbyt dobrze.

Hagen nie był juŜ *consigliere* rodziny Corleone, lecz po śmierci Vita — który zastąpił Toma na tym stanowisku — i Tessia, w sytuacji gdy Clemenza przejmował interesy w Nowym Jorku, Michael potrzebował pomocy doświadczonego człowieka. Czekał

z przedstawieniem nowego *consigliere*, do chwili gdy uzyska pewność, Ŝe wojna z Barzinim i Tattaglią definitywnie się zakończyła. Michael miał coś w zanadrzu, lecz Hagen zdołał

jedynie

wydedukować, Ŝe ma to coś wspólnego z Cleveland. Hagen tymczasem

wciąż

wykonywał

swoją

robotę,

jednocześnie

przygotowując się do następnego etapu. Miał czterdzieści sześć lat, był

więc

T e s

r t

aa

zr sz

wy

s t o

ałd

, r

s o

ł d

yszic

ą ó

c w

p ,

u k

k i

a e

n d

i y

e u

d m

o ie

dr ra

z li

w . l

S b

ł y

u ł

Ŝ

bz

ad

e

hc

oy

t d

elowan

. ie

T z

o a

m

st

o a

k ray

z n

ała

t sa

i k

ę ie

d g

o łsu

ć p

st

p w

rz a

e .

widujący, żeby złożyć zamówienie przed

położeniem się spać. Wychylił pierwszą filiżankę kawy, zanim kelner zamknął za sobą drzwi. Słaba. Taka, jak wszędzie tutaj.

Hagen pogratulował sobie odgadnięcia, że będzie potrzebował

dwóch dzbanków. Wziął pierwszy i wyszedł na balkon. Ósma rano, słońce ledwie wzniosło się ponad góry, a już panował skwar.

Komu potrzebna sauna? Zanim opróżnił pierwszy dzbanek kawy, w ciągu mniej więcej dziesięciu minut, hotelowy szlafrok był

mokry.

Hagen ogolił się, wziął prysznic i włożył koszulkę i szorty.

O ósmej trzydzieści stał przed sklepem sportowym, czekając, aż

ktoś się zjawi. Po kilku minutach, które wlokły się w nieskończoność, poszedł do recepcji. Inny niż przedtem recepcjonista

wyja

T s

o ni

mł, s

wre

ó k

ciile

ro

d w

o sni

klk

e j

p u

i Ś

k

uj.e

st

C zi

eŚ

ke

a z

n a

i r

e az

b

y z

ł a

o d

z

niw

e o

z n

n i

o śna

e .j eJg

e o

ś

l p

i a

i g

st e

nri.

ała

choć jedna rzecz, której nauczył się od Vita Corleone — a czy było coś, czego się od niego nie nauczył? — była nią punktualność.

Chodził w tę i z powrotem, nie ośmielając się wejść do toalety, z obawy Œe moŒe przeoczyć kierownika lub pracownika. Kiedy wreszcie ktoś nadszedł, była to kobieta słowiańskiego pochodzenia, wyglądająca bardziej na masaŒystkę niŒ na kierownika czy sportsmenkę. Zegarek pokazywał punktualnie godzinę dziewiątą.

Hagen złapał raketę, rzucił na blat dwieście dolarów i powiedział

kobiecie, Œeby zatrzymała resztę.

— Nie przyjmujemy gotówki — odparła. — Musi pan podpisać.

48

— Gdzie mam podpisać?

— Jest pan członkiem klubu? Nie rozpoznaję pana.

— Jestem gościem ambasadora Shei.

— Więc on musi podpisać za pana. On, członek jego rodziny lub jego lokaj. — Ostatnie słowo wymówiła niepoprawnie.

Hagen wyjął kolejny banknot i powiedział, Œe jeśli okaŒe dość serca, Œeby to wszystko wyprostować, to pieniędzy będzie o wiele więcej niŒ na zapłacenie za raketę i jej czas.

Spojrzała na niego tak samo, jak wczoraj recepcjonista, ale wzięła pieniądze.

Hagen miał wraŒenie, Œe zaraz pęknie mu pęcherz, lecz było juŒ

pięć po dziewiątej. Zerwał tekturę z rakiety i wyrwał przed siebie martwym sprintem. Właśnie takie słowa przyszły mu do głowy: martwy sprint.

Kiedy wpadł na kort numer czternaście z dziesięciominutowym opóźnieniem, nikogo nie zastał.

Hagen spóźniał się tak rzadko, że nie wiedział, co zrobić. Czyżby ambasador zdążył już odejść? Czy może też się spóźni? Jak długo powinno się czekać na ambasadora?

Czy postąpi rozsądnie, jeśli pójdzie się wysikać, a później wróci?

Rozejrzał się. Krzaków rosło tu mnóstwo, ale to nie było miejsce, w którym mężczyzna powinien sikać w krzakach. Stał więc, przestępując z nogi na nogę. Ambasador na pewno był i odszedł.

Wreszcie Hagen nie mógł dłużej wytrzymać i pobiegł do najbliższej toalety. Kiedy wrócił na kort, zastał kartkę przyczepioną do siatki.

„Ambasador Shea — nie mogłem grać w tenisa tak wcześnie.

Śniadanie połączone z lunchem? Basen numer dwa. Ktoś po pana przyjdzie”.

Z kartki nie wynikało, dokąd ten ktoś ma przyjść.

Kay Corleone wskazała drogę do lotniska w Las Vegas.

— On pojechał za daleko — powiedziała. — Michael, źle pojechaliśmy.

Michael, który siedział obok niej na tylnym siedzeniu nowego czarnego cadillaca, pokręcił głową.

Kay zmarszczyła czoło.

— Mamy jechać samochodem aż do Los Angeles? Rozum ci odebrało?

To była ich piąta rocznica. Ona, dzieci, a nawet jej matka i pastor Kościoła baptystów już byli na mszy. Michael będzie załatwiał

49

interesy przed, w trakcie i po prywatnym koncercie, który Johnny Fontane da wieczorem dla Związku Kierowców Ciężarówek. Ale obiecał Kay, że cały dzień aż do tego czasu będzie jedną wielką randką, taką samą, jak kiedyś, tylko lepszą.

Michael znów pokręcił głową.

— Nie pojedziemy samochodem. I nie wybieramy się do Los Angeles.

Kay odwróciła się i spojrzała na drogę, którą nie pojedą. Nagle poczuła się, jakby miała w brzuchu bryłę lodu.

— Michael, wybacz — powiedziała — ale naszemu małżeństwu przydarzyło się już chyba wszystko, co... — Zakręciła rękami jak sędzia w czasie meczu, sygnalizując jakiś faul.

Michael się uśmiechnął.

— To będzie przyjemna niespodzianka — zapewnił. —

Przyrzekam.

Wkrótce

dojechali

do

jeziora

Mead.

Nieopodal

stał

przycumowany hydroplan. Samolot był zarejestrowany na studio filmowe

Johnny'ego Fontane, choć ani Fontane, ani nikt, kto pracował

w stu

— d

iu

N ,i o

es n

p i

o m

d

z n

i i

a e

n w

ka i

ed

n z

u ia

m ł

e .r jeden — rzekł Michael, wskazując

hydroplan.

— OŜeŜ ty. Numer jeden? Policzyłeś je? Naprawdę powinieneś zostać profesorem matematyki. — Podskórny dreszcz, który odczuwała kiedyś z powodu tego, iŜ został tym, kim został, osłabił tak bardzo, Ŝe być moŜe naprawdę myślała to, co powiedziała.

Wysiedli z samochodu.

— To tylko liczenie. Michael wzruszył ramionami. — W

najlepszym razie rachunki. Nie matematyka. — Wyciągnął rękę w stronę doku. — Madame...

Kate chciała powiedzieć, Ŝe się boi, ale nie mogła. Nie miała powodu podejrzewać, Ŝe chce jej zrobić coś złego.

— Niespodzianka numer dwa...

— Michael...

— ...polega na tym, Ŝe ja usiądę za sterami.

Oczy Kay się rozszerzyły.

— Zacząłem uczyć się pilotaŜu, kiedy byłem w piechocie morskiej — ciągnął — zanim... no wiesz. — Zanim wysłano mnie, Ŝeby w czterdziestopięciostopniowym upale walczył na zrytych tunelami wyspach nafaszerowanych gulaszem z błota i ludzkich 50

trupów. — Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale latanie pozwala mi się odpręŜyć. Brałem lekcje.

Kay odetchnęła. Nie zauwaŜyła, Ŝe wstrzymywała oddech. Nie uświadamiała sobie, Ŝe przez te wszystkie godziny, które spędzał

poza domem bez wytłumaczenia, bała się, iŜ ma romans. To nieprawda. Bała się czegoś gorszego.

— To dobrze, Ŝe masz hobby — wykrztusiła wreszcie. — KaŜdy go potrzebuje. Twój ojciec miał ogród. Inni męŜczyźni grają w golfa.

— Golf — powtórzył Michael. — Hm. Ty nie masz hobby, prawda?

— Nie mam — odparła Kay.

— Zawsze jest jakiś golf. — Michael miał na sobie szytą na miarę sportową marynarkę i śnieŜnobiałą koszulę bez krawata. Nie posmarował włosów brylantyną. Lekki podmuch wiatru trocheje zmierzwił.

— Co byś powiedział, gdybym znów zaczęła uczyć? — zapytała.

— To jest praca — odparł Michael. — Nie potrzebujesz pracy.

Kto by się zajmował Mary i Anthonym?

— Zaczęłabym dopiero wtedy, kiedy byśmy się na dobre rozlokowali. Wtedy będzie tu juŜ twoja matka, ona mogłaby się nimi

zająć. Carmela byłaby szczęśliwa, gdyby mogła to robić. —

W gruncie rzeczy Kay bała się, co mogłaby usłyszeć od teściowej, gdyby ta się dowiedziała, Őe synowa zamierza pracować poza dome

— m

.

C —

hceT

s o

z n

prap

cra

o w

w d

a ę

ć

? b

yło

— zb

dy

z ity

wlik

ł o

s ih

ę o

b

Mb

i y

c .

h ael.

Kay odwróciła głowę. Właściwie nie o to jej chodziło.

— Daj mi czas na zastanowienie. — Jego ojciec by się nie zgodził, ale Michael nie był swoim ojcem. Michael, tak samo jak jego ojciec, poślubił kiedyś ładną włoską dziewczynę, lecz Kay o tym nie wiedziała i nie była tą dziewczyną. Martwił się o jej bezpieczeństwo, choć według kodeksu Kay raczej nic nie groziło.

Położył dłoń na jej ramieniu i ścisnął lekko.

Kay położyła rękę na jego ręce. Wzięła głęboki oddech.

— Słuchaj — powiedziała — nie wsiądę do tej maszyny.

A nie wsiądę z całą pewnością, dopóki nie powiesz mi, dokąd się wybieramy.

Michael wzruszył ramionami.

— Tahoe — odparł z nieznacznym uśmiechem. — Nad jezioro Tahoe. — Wskazał hydroplan. — To chyba jasne.

51

Powiedziała mu kiedyś, że byłoby wspaniale, gdyby tam pojechali. Nie sądziła, że słuchał.

Otworzył drzwi samolotu. Kay wsiadła. Jej sukienka podjechała w górę i napięła się na tyłku. Michael poczuł dziki impuls, żeby złapać ją z tyłu za biodra, ale tylko przesunął po jej ciele palcami.

Nic nie jest bardziej seksowne niż patrzeć w ten sposób na Sonę, kiedy ona o tym nie wie.

— Jedyne szkopuły z hydroplanami polega na tym — rzekł, kiedy wsiadł do kabiny i uruchomił silnik — że czasem koziółkują.

— Koziółkują! — krzyknęła Kay.

— Rzadko — dodał Michael, wysuwając dolną wargę, jakby chciał zaznaczyć, że jest to bardzo mało prawdopodobne. —

A wiesz, co się dzieje, kiedy hydroplan przekoziółkuje? Unosi się na powierzchni.

Kay popatrzyła na niego z uwagą.

— To pocieszające.

— Ja cię naprawdę kocham — powiedział. — Wiesz o tym, prawda?

Kay spróbowała zrobić minę bez wyrazu, którą Michael tak bezbłędnie opanował.

— To też pocieszające.

Wystartowali tak gładko, że wszystkie mięśnie Kay się rozluźniły. Wcześniej nie wiedziała, że są zaciśnięte. Nie miała pojęcia,

od jak dawna.

Rozdział 4

Nad jeziorem Erie mały samolot wpadł w paszczę burzy. W

kabinie było gorąco, a to bardzo odpowiadało Nickowi Geraciemu.

Pozostali mężczyźni w samolocie pocili się tak samo jak on.

Ochroniarze zrzucili to na karb temperatury. Twardziele. Kiedyś był jednym z nich, uznany za wielkiego tępego osła, na którym można polegać i którego można się łatwo pozbyć.

— Myślałem, że burza jest za nami — rzekł Frank Falcone, ubrany w pomarańczową jedwabną koszulę, ten, który nie wiedział, kim naprawdę jest pilot.

— Powiedział co wiedział — mruknął ten w niebieskozielonej, Tony Molinari, dla którego nie było to tajemnicą.

Egzekucje na czołowych postaciach przestępczych syndykatów rodzin Barzinich, Tattaglia i Corleone

wzbudziły powszechne zainteresowanie stróŜów prawa, od lokalnych, cięŜko myślących gliniarzy po FBI (choć dyrektor biura nadal utrzymywał, Ŝe tak zwana mafia to mit — przypuszczalnie dlatego Ŝe rodzina Corleone coŝ na niego miała). Przez wiêkszà czêŝc lata nawet drobni lichwiarze z naroŜnych barów musieli zwinàc interes. Dwaj pozostali donowie z Nowego Jorku, Ottilio „Leo Mleczarz” Cuneo i Anthony „Czarny Tony” Stracci pilnowali zawieszenia broni. Czy to oznaczało koniec wojny, nikt nie wiedziaå.

— Przepraszam, ale miaåem na myŝli prawdziwà burzê —

odparå Falcone. — Tê wååŝnie zasranà burzê.

Molinari pokrêciå gåowà.

— ŝartowanie z tobà to strata czasu, przyjacielu.

Ochroniarze, wyraŝnie pobladli, gapili siê na podåogê samolotu.

53

— Efekt jeziora — stwierdziå Geraci. — Chodzi o to, Ŝe miêdzy powietrzem i wodà wystêpuje ostra róŜnica temperatur. — Staråå

siê, Ŝeby jego gåos brzmiaå tak samo jak gåos pilota w filmie.

Rozluŝniå uŝcisk dåoni na sterze. — Dlatego burza moŝe nadejŝc z kaŝdej strony, zupeånie nagle. Dziêki temu jest ciekawiej, prawda?

Molinari poåoŝyå rêkê na jego ramieniu.

— Dziêkujê, panie zasrany profesorze.

— Bardzo proszê, sir — odparå Geraci.

Falcone byå kiedyŝ najwaŝniejszym åacznikiem w Chicago —

kupowaå polityków, sêdziów i gliniarzy — a teraz prowadziå

wååŝny interes w Los Angeles. Molinari miaå czterogwiàzdkowà restauracjê w pobliŝu portu i udziaåy we wszystkim, w czym chciaå je miec. Michael Corleone uprzedziå Geraciego, Ŝe Falcone i Molinariego zawsze coŝ róŜniå, zwååŝcza stosunek do rodzin nowojorskich. Falcone uwaŝaå je za zadufane, a Molinari sàdziå, Ŝe zbyt lekkomyŝlnie uciekajà siê do przemocy. Molinari byå

teŝ osobiŝcie przywiàzany do ŝwiêtej pamieci Vita Corleone, a Falcone niczego takiego nie czuå. Lecz w ciàgu ostatnich kilku lat donowie z Zachodniego Wybrzeŝa nawiàzali ostroŝnà, lecz skutecznà wspóåpracê, zwååŝcza w dziedzinie importu i dystrybucji narkotyków z Filipin i Meksyku (Michael nie musiaå

tłumaczyć, że jest to jeden z powodów, dla których wysłał Geraciego na spotkanie z nimi). Zanim Michael przejął władzę w rodzinie Corleone, byli najmłodszymi donami w Ameryce.

— O'Malley, co? — spytał Falcone.

Geraci skierował samolot w górę, szukając lepszej warstwy powietrza. Wiedział, co ma na myśli Falcone: nazwisko na licencji pilota. Sterowanie było tak trudnym wyzwaniem, że Falcone nie dopominał się o odpowiedź, gdy jej nie usłyszał. To nie oczy widzą, tylko mózg. Tak jak przewidział Michael, Falcone zobaczył

irlandzkie

nazwisko

i

jasnowłosego,

potężnie

zbudowanego Sycylijczyka. Naturalnie zakładał, że człowiek ten działa

w Cleveland, więc jest Irlandczykiem. Czemu nie? W organizacji w Cleveland pracowało tylu syków, Irlandczyków i Murzynów, że nazywano ją Tygłem. Ludzie z zewnątrz nazywali jej dona

T,

e V

n in

k c

a en

m t

u a

fl F

a o

rl

ben

yl z

ę

k,

o „

nś

i y

e d

czem

ny "

. . Na Wyspę Grzechotników nie

było łatwo się dostać. Falcone mógł nie wsiąść na pokład samolotu należącego do Corleone. Don Forlenza miał nadzieję, że przybędzie na ślub, ale zdrowie mu nie dopisało.

54

Samolot wzniósł się wreszcie ponad chmury. Teraz był skąpany w oślepiającym blasku słońca.

— Więc jesteś z Cleveland, O'Malley, tak? — zapytał Falcone.

— Tak jest, sir. Tam się urodziłem i wychowałem. — Myląca odpowiedź, choć prawdziwa.

— Nasz DiMaggio i Jankesi byli w tym roku poza zasięgiem Indian.

— Dopadniemy was w następnym sezonie.

Molinari zaczął opowiadać o tym, jak widział DiMaggio grającego w szeregach Fok z San Francisco i stwierdził, że nawet wtedy

był bogiem. Molinari zarobił niezłą kupę forsy, przez wiele lat ustaw

— i

aj

L ą

uc

d m

zi e

e cze

m

a F

j o

ą k,

s a

w le

o j n

e i g d

w y

y

o w

br te

a d

ŝ y

e ,

n i g

a d

y

n g

a ra

t ł

e u

m n

at i ch

W D

łoiM

ch a

ó g

wg

, io

c.

o,

O'Malley?

— Ja chyba nie mam Śadnych wyobraŜeń, sir.

— ZasłuŜyliśmy sobie na miano *cacasangue* — stwierdził

Falcone.

— Słucham? — spytał Geraci, choć doskonale wiedział, co znaczy to słowo.

— Mądrała — odparł ochroniarz Falcone.

— Cwaniak, tak? — powiedział Geraci tonem Kędziora z filmu *Trzej klauni*.

Molinari i jego goryle się zaśmiali.

— Nieźle — pochwalił Molinari.

Geraci zaśmiał się jak klaun. To teŜ rozbawiło wszystkich oprócz Falcone.

Rozmowa była urywana; przeszkadzał niespokojny lot i nazwisko na licencji Geraciego. Przez chwilę mówili o restauracjach,

a później o walce o tytuł w sali Armory w Cleveland, na którą zamierzali się wybrać wieczorem zamiast jechać do Vegas, Ŝeby zobaczyć się z Fontaną. Impreza zamknięta, na którą zostali zaproszeni dzięki Michaelowi Corleone, miała rozpocząć zjazd Związku Kierowców CięŜarówek. Rozmawiali teŜ o *Nietykalnych*

— film spodobał się obu, po części dlatego, że ich rozbawił.

Geraci słyszał o nim w radiu i zirytowało go stereotypowe przedstawienie prawych policjantów i zastrajających się makaronem, śladnych krwi Włochów. Filmu nie widział. Lubił czytać książki.

Kiedyś przysięgał sobie, że nigdy nie będzie miał telewizora, lecz w zeszłym roku Charlotte i dziewczynki zamęczyły go. Znał

pewnego człowieka — Geraci zawsze znał albo miał pewnego 55

człowieka — i któregoś dnia pod dom zajechał samochód, z którego dwóch mężczyzn w kombinezonach wyciągnęło największy telewizor, jaki był na rynku. W niedługim czasie Charlotte podawała

posiłki na stoliku telewizyjnym na kółkach, a sobota zamieniła się w „wieczorek z telewizją”. Obrzydlistwo. Geraci cieszył się, że jego matka nie dożyła tych czasów. Miał ochotę wyrzucić telewizor na ulicę, lecz mężczyzna nie może walczyć na wszystkich frontach.

Tydzień później właściciel firmy budowlanej, znajomy Geraciego, odwołał brygadę robotników z Queens, gdzie budowali garaż, i kazał im wykopać dzikie morwy rosnące za basenem. Kilka tygodni później stał już tam domek Geraciego, jego jaskinia.

Uciekał tam przed hałasem i poczuciem nierealności, które spadało na niego, gdy oglądał w tym przeklętym pudle coś innego niż sport.

Gerac

— i s

Zk

aie

c r

z o

y w

naał

m s

ya

m

sc o

h l

oo

dt

z w

ić .d

ół.

Samolot trzeszczał. PasaŜerowie oglądali kaŜdy pręt, kaŜdą śrubę, nakrętkę i nit, jakby się spodziewali, Ŝe maszyna lada chwila rozleci się na kawałki.

Geraci starał się ufać przyrządom, a nie oczom i niepewności.

Oddychał równo. Wkrótce w dole ukazała się brązowa jak kupa powierzchnia jeziora.

— Wyspa Grzechotników, tak? — spytał Molinari, wskazując ręką.

— Potwierdzam — odparł Geraci filmowym głosem. — To z Ŝargonu pilotów, panowie.

— Na tym mamy lądować? — odezwał się Falcone. — Na tym zasranym skrawku pasa?

Wyspa miała powierzchnię zaledwie około dwudziestu hektarów, czyli mniej więcej tyle, co jedna piętnasta nowojorskiego Central Parku. Patrząc z góry, moŜna było odnieść wrażenie, Ŝe zajmuje ją pole golfowe i zatrwaŜająco mały pas startowy. Wystawało z niej na północ długie moło, sięgające prawie do wód kanadyjskich, które w czasach prohibicji było bardzo przydatne. Ta prywatna wyspa była tak skrajną częścią Stanów Zjednoczonych, Ŝe drukowano tu nawet inne znaczki pocztowe.

— Jest o wiele większy, niŜ się wydaje — zapewnił Geraci, choć wcale nie był tego pewny. Nigdy nie lądował na wyspie ani nawet na niej nie był, mimo Ŝe w gruncie rzeczy naleŜała do jego *padrino*.

Molinari poklepał dłoń Falcone.

56

— OdpręŜ się, przyjacielu — rzekł.

Falcone skinął głową, oparł się wygodnie i próbował wycisnąć ostatnią kroplę kawy z kubka.

Kilka chwil przed lądowaniem samolot dostał się w opadający prąd powietrzny i spadał ku powierzchni jeziora jak ciśnięty ogromną ręką. Geraci widział grzywy fal. Pociągnął draŜek,

wyrównał i przeleciał nisko nad brzegiem.

— Ooo-kay — mruknął, szarpiąc drąŜek. — Spróbujmy jeszcze raz.

— Jezu Chryste, chłopcze — jęknął Molinari, choć był tylko o kilka lat starszy od Geraciego. Ten zaś wymruczał pod nosem po łacinie dwudziesty trzeci psalm. Kiedy dotarł do fragmentu o niełękaniu się zła, zamiast powiedzieć: *bo Ty jesteś ze mną*, palnął: —

„Bo jestem najtwardszym skurwielem w całej dolinie”.

Falcone się roześmiał.

— Nigdy nie słyŜałem tego po łacinie.

— Znasz łacinę? — spytał Molinari.

— Uczyłem się na księdza.

— Taak, mniej więcej przez tydzień. Nie rozpraszaaj pilota, Frank.

Geraci podniósł kciuk do góry.

Znalazł warstwę spokojnego powietrza i drugie podejście do lądowania było nieprawdopodobnie gładkie. Dopiero teraz, kiedy lot dobiegł końca, jeden z goryli zaczął wymiotować. Geraci poczuł smród i musiał powstrzymać odruch wymiotny. Drugi ochroniarz zwymiotował na siebie. Po chwili na pasie pojawili się męŜczyźni w Őółtych kombinezonach.

Geraci zaczerpnął przez okno ŐwieŜego powietrza. PasaŜerowie wysiedli. Ludzie z obsługi pootwierali parasole, podłoŜyli klocki pod koła, złoŜyli skrzydła i zabrali wszystkie walizki oprócz jednej.

Na brzegu czekał na nich duŜy czarny powóz wyściełany czerwonym aksamitem, ciągnięty przez białe konie. Stumetrowa jazda,

pierw

G s

erz

aa

c ik

la

p s

a a

tr .

zył, jak donowie i ich obrzygani przyboczni pędzą do powozu. Kiedy zniknęli w środku, Geraci wniósł bagaŜ na wzgórze, otworzył drzwi piwnicy i zszedł po schodach do pomieszczenia, w którym znajdowało się niegdyś kwitnące kasyno.

Minąwszy stanowisko dla muzyków i zasnuty pajęczyną bar, znalazł

się

w garderobie. Zapalił światło. Tylną ścianę stanowiły przesuwane drzwi, które kojarzyły mu się z warsztatami samochodowymi na 57

Brooklynie, ale poza tym wewnątrz przypominało ekskluzywny salon w Vegas: ogromne łóŜko, wszędzie czerwony aksamit, wanna na podeście. Za stalowymi drzwiami znajdował się magazyn z konserwową Œywnością, maskami gazowymi, pojemnikami z tlenem,

generatorami,

systemem

oczyszczania

wody,

amatorskim

nadajnikiem radiowym i sejfem. PoniŜej, w skale, mieścił się ogromny

zbiornik z paliwem i prawdopodobnie kolejne pomieszczenia i zapasy. Gdyby don Forlenza otrzymał jakieś ostrzeŜenie, w razie gdyby co się stało — nalot policji stanowej, zamach, rosyjski atak atomowy — mógł ukrywać się tutaj przez całe lata. Forlenza kontrolował związek branŜowy robotników pracujących w kopalni soli pod jeziorem niedaleko Cleveland. KrąŜyły plotki, Œe dzień i noc robotnicy nie robili nic, tylko drąŜyli tunele prowadzące do oraz z Wyspy Grzechotników. Geraci musiał się rozeŒmiać. Chłopak taki jak on, syn kierowcy cięŜarówki, stał w miejscu, o którego istnieniu przec

St ię

ał t,n

y

p

at c

r z

z ł

ą o

c w

n i

a e

tk

e c n

z i

k g

ę d

. y nawet nie usłyszał. Wniósł teczkę

z pie

P n

i i

e ę

n d

i z

ą m

dz i

e do

b

y d

ł r

y u

ig

l i

ue

zg

j o

ą. po

S m

kó ire

as z

t c

e z

c e

z n

k i

i a

i

mp

iao

ł s

a t aw

wi i

ęł

kp

s r

zz

ąe

d

w s

ae

r j

t f

oe

ś m

ć .

niŃ

tysiące małych kawałków papieru w jej wnętrzu. Pieniądze to tylko tysiące znaczków postawionych przez rząd, który nie umiał

pokryć nawet jednego procenta tego, co miał na ulicach. Najlepszy patent na reketierstwo? Rząd wypuszcza tyle znaczków płatniczych, ile chce, a później wydaje ustawę, Ńe pieniędzy nie wolno przyjmować. Z tego, co wiedział, pieniądze odpowiadały wartości miesięcznego zysku z kasyna w Las Vegas, w którym Corleone i Forlenza mieli swoje punkty, a takŃe okazałego daru będącego wyrazem uznania dla goŃcinności i wpływów dona Forlenzy. Te sterty banknotów miały odpowiadać wartości pracy setek ludzi, zredukowanej do nadruku, węzełków na sznurku, które zostały wymienione na siłę przetargową garstki ludzi i działanie jeszcze mniejszej garstki. Bezwartościowy papier, który Forlenza przyjmie bezmyŃlnie. Znaczkę, nic więcej.

Minchionaggine, powiedziałby ojciec Nicka. Za duŃo głów-kujesz.

Fredo opuŃcił szybę i podał celnikowi prawo jazdy.

— Nie mam nic do oclenia.

— To sę pomarańcze?

58

— Które?

— Na tylnym siedzeniu. Na podłodze.

I rzeczywiście tam były: siatka pomarańczy Van Arsdale. Ściśle rzecz biorąc, nie były to pomarańcze Freda. Nie wziąłby pomarańczy do ust, nawet gdyby był to ostatni kęs jedzenia na świecie.

— Czy mógłby pan podjechać samochodem na tamten pas, sir?

Obok tego mężczyzny w białym mundurze.

— Może pan sobie wziąć te pomarańcze. Zabrać, wyrzucić, nie obchodzi mnie to. Nie są moje. — Ojciec kupował pomarańcze tego dnia, kiedy go zastrzelono, a Fredo był tego świadkiem. Jedna z kul rozwalila owoc na kawałeczki, zanim trafiła Vita w brzuch.

Wiele rzeczy, które wydarzyło się tamtego dnia, rozplywało się we mgle. Fredo pamiętał, że zmagał się z pistoletem. Mężczyźni odbiegli Dziewiątą Aleją, ani razu nie wystrzelili do Freda —

za mało znaczył, żeby marnować na niego choćby jedną kulę.

Fredo zapamiętał tę pomarańczę. Nie pamiętał o tym, że zapomniał

sprawdzić, czy ojciec syje, tylko siedział na krawężniku, szlochając.

Fotograf, który zrobił mu wtedy zdjęcie, dostał za nie wszelkie możliwe nagrody. — Nawet zapomniałem, że tam są.

— Panie Frederick. — Urzędnik przeglądał prawo jazdy Freda, wystawione na lipne nazwisko, Carl Frederick. Ale dokument był

autentyczny, wydany przez urząd stanu Nevada. — Ile wypił pan dziś rano?

Fredo pokręcił głową.

— Tam mam podjechać? Do tego człowieka?

— Tak, sir. Bardzo proszę.

Dwaj mężczyźni, ubrani jak policjanci z Detroit, zbliżali się do człowieka w białym mundurze. Fredo sięgnął do tyłu i naciągnął

śóltą koszulkę na butelkę whisky. Mężczyzna w białym mundurze poprosił go, żeby odsunął się od samochodu.

Mniej więcej w ten sam sposób przydarzyło się to jego bratu Sonny'emu. Jeśli to pułapka i ci ludzie chcą go zabić, to ma tylko jedną szansę: musi sięgnąć pod fotel, natychmiast, wyjąć pistolet, wysiąść z wozu i zacząć strzelać. A jeśli to prawdziwi policjanci?

Wtedy miałyby na koncie jednego lub dwóch zabitych gliniarzy i równie dobrze mogłyby być martwy. Chociaż Mike'owi uszło to na sucho.

Trzeba pomyśleć.

— Sir — powiedział policjant — proszę wysiąść.

Jeśli to prawdziwi gliniarze i znajdą pistolet, aresztują Freda.

59

Ktoś mógłby to załatwić, prawdopodobnie Zaluchi. Teraz i tak nie było możliwości pozbycia się broni.

Fredo wziął do ręki jedną pomarańczę. Otworzył drzwi i wysiadł

powoli. śladnych gwałtownych ruchów. Rzucił pomarańczę mężczyźnie w białym mundurze i przygotował się na śmierć.

Tamten

tylko się odsunął. Gliniarze złapali Freda za ręce, zanim poma

— r

ań

A c

za

w s

y pa

n d

i ł

e a

n

p a

o z

w i

i e

n m

ni i sę

c.i e być z policji konnej? — Fredo

rozglądał się gorączkowo w poszukiwaniu zabójców z karabinami maszynowymi kalibru czterdzieści pięć.

— WjeŜdŜa pan do Stanów Zjednoczonych, sir. Proszę tędy.

— Znacie ten samochód? — spytał Fredo. — NaleŜy do pana Joego Zaluchiego, który, jak pewnie wiecie, jest waŜnym biznesmenem w Detroit.

Uścisk policjantów zelŜał, ale tylko trochę. Zaprowadzili go za budynek urzędu celnego z dwuspadowym dachem. Serce Freda waliło o Őebra. WciaŜ rozglądał się za zabójcami, czekał na metaliczny odgłos szczęku zamków. Myślał o wyrwaniu się policjantom i rzuceniu do ucieczki. Właśnie zamierzał to zrobić, gdy gliniarze wskazali mu białą linię na betonie i kazali po niej przejść.

A więc naprawdę sã gliniarzami. Nie zabiją go. Prawdopodobnie.

— Panu Zaluchiemu zaleŜy na jak najszybszym odzyskaniu samochodu — zaznaczył Fredo.

— Z rękami w ten sposób, sir — rzekł jeden z policjantów.

Powiedział to z kanadyjskim akcentem, który Fredo zawsze uwaŜał

za komiczny.

— Na pewno nie jesteście z policji konnej? — upewnił się Fredo, ale zrobił, co mu kazano.

Zdawało mu się, Őe jak dotąd idzie idealnie prosto, lecz nie zrobiło to wraŜenia na Őartownisiach. Kazali mu wyrecytować alfabet wstecz, co uczynił bezbłędnie. Spojrzał na zegarek.

— Jeśli podacie mi swoje nazwiska, chłopcy — rzekł — pan Zaluchi z pewnością chętnie wniesie datek na wasz fundusz emerytalny czy coś. A ja zrobię to samo co on.

Funkcjonariusze przekrzywili głowy jak dwa psy.

Fredo dostał napadu śmiechu.

— Co tak pana bawi, panie Frederick?

Fredo pokręcił głową. Zdradzony przez swoje nerwy, próbował

dosłownie zetrzeć uśmiech ze swojej twarzy. Nic go nie bawiło.

— Przepraszam, jeśli pana nie zrozumiałem, sir — powiedział jeden z policjantów. — Czy proponował nam pan łapówkę?

Fredo ściągnął brwi.

— Czy nie uSłysłem słowa „datek”?

— Tak pan właśnie powiedział — odparł drugi gliniarz. — Bob chyba pomyślał, że proponuje pan jakies *qui pro quo*.

Ledwo gliniarz nauczył się paru prawniczych słówek, zaraz przydzielają go do trzepania piany na granicy. Trzepanie piany —

na myśl o tym wyrażeniu kąciki ust Freda same się uniosły, choć był na siebie wściekły, a nie rozbawiony. Trzepanie piany. Nie przetrzepią Freda Corleone, który przeleciał połowę tancerek w Las Vegas i właśnie tam wracał, żeby zająć się drugą połówką. Wziął

głęboki oddech. Nie będzie się śmiał.

— Nie chcę kłopotów. I nie chciałbym niczego sugerować, ale... — znów musiał walczyć ze śmiechem — zdałem egzamin, czy nie?

Policjanci wymienili spojrzenia.

Urzędnik w białym mundurze wyszedł zza węgła budynku. Otóż

to, pomyślał Fredo. Lecz mężczyzna nie niósł pistoletu Freda, tylko mokry pognieciony skrawek papieru, rozpostarty na tabliczce, który trzymał przez chusteczkę do nosa.

— Może pan to wyjaśnić, panie Frederick?

— Co to takiego? — spytał Fredo. Wtedy sobie przypomniał: zostawił broń w pokoju w motelu. — Nigdy tego nie widziałem.

Mężczyzna przysunął nos do kartki.

— Tu jest napisane: „Wybacz mi, Fredo” — przeczytał. — Kim jest Fredo?

Wymówił imię tak, że rymowało się z *guido*.

Fredo nie mógł już dłużej się powstrzymać i parsknął śmiechem.

Rozgrzewka, którą przepisał lekarz, miała trwać pół godziny —

świetnie — lecz Johnny Fontanę nie zamierzał ryzykować. Zaczął

na pustyni, zatrzymał się w Barstow na kubek parującej herbaty z miodem i cytryną, i właśnie po raz pięćdziesiąty wykonywał

murmurando oraz ćwiczebne wycia, kiedy przemknął na czerwonym świetle kilka przecznic od gmachu National Records Tower.

Policjant na motocyklu wykonał raptowny zwrot i pojechał za nim. Zatrzymali się jednocześnie w pobliżu tylnego wejścia do 61

budynku. Obok krawężnika chodził, paląc papierosa, Phil Ornstein, drugi człowiek w National.

Johnny przesunął palcami po rzednących włosach, podniósł

kapelusz z siedzenia obok i wysiadł z samochodu.

— Załatwisz to, Phil? — powiedział Johnny, wskazując kciukiem policjanta.

— Jasne. — Phil zgasił papierosa. — Myśleliśmy, że przyjedziesz od razu po recitalu o północy. Zapłaciliśmy za pokój w hotelu

Amb

G a

lisa

ni d

a o

r r

z ,

za

d t

j y

ął si

k ę

a sn

ki.e

zjawieś.

— Pan jest Johnny Fontane, prawda?

Nie zwalniając kroku, Johnny odwrócił się, wyszczerzył

w uśmiechu wszystkie zęby, mrugnął okiem, złożył dłoń na kształt pistoletu i wypalił kilka razy z nieistniejącej lufy.

Phil ruszył w stronę policjanta, zatrzymał się, westchnął i przesunął ręką po włosach.

— Mojej Sonie i mnie bardzo podobał się pański najnowszy film — rzekł gliniarz.

To był western, prawdziwy knot. Dla widzów — jeśli tacy istnieli — którzy gotowi byli uwierzyć, że ktoś taki jak Johnny Fontane jeździ na koniu i ratuje przyzwoitych ludzi przed *desperado*. Johnny dał gliniarzowi autograf na bloczku mandatów.

— Znow pan coś nagrywa, tak? — spytał gliniarz.

— Próbuję — odparł Johnny.

— Moja Sona zawsze uwielbiała pańskie płyty.

Właśnie dlatego Sadna firma muzyczna z Nowego Jorku nie chciała podpisać z Johnnym umowy: Nie zdołał tego zmienić Saden piosenkarz, który był bardziej lubiany przez kobiety niż

przez mężczyzn, stwierdził jakiś *pezzonovante* z Worldwide Artists.

Ale jeszcze bardziej rozżłościło Johnny'ego uśmiecie przez gliniarza czasu przeszłego: powiedział „uwielbiała”, a nie „uwielbia”. Filmy są świetne, ale nawet teraz, gdy miał własne studio i Nagrodę Akademii (obecnie spoczywającą w zabawkowej kołysce córki w domu byłej Sony), ludzie rządzący tutaj traktowali go jak makaroniarza, który wpełznął się na przyjęcie. Długie oczekiwanie na planie nudziło go potwornie i miał dość mądrali nazywających go Johnny-Jedno-Ujęcie. Od tej pory, jeśli dostanie porządną rolę, zgoda, ale jeśli nie, to do widzenia. Nie miał do tego serca. Nie był

naprawdę aktorem ani tancerzem, ani idolem nastolatek, ani nawet ekranowym szansonistą. Był Johnnym Fontane, piosenkarzem 62

salonowym, i to dobrym. A jeśli dawał z siebie wszystko — zaś kontrakt z National mu na to pozwalał — być może jednym z najlepszych, jacy kiedykolwiek pojawili się na scenie. Może nawet najlepszym. Czemu nie? Jeśli ludzie patrzą na ciebie i widzą kogoś innego niż ten, kim naprawdę jesteś, to jest to piekło.

Oczywiście nie zamierzał mówić tego na głos. Nie mówi się nic złego do kogoś, kto był wobec ciebie lojalny. Ani o nim.

— Jak ma na imię pańska Sona? — spytał Johnny.

— Irene.

— Bywa pan czasem z Soną w Las Vegas?

Gliniarz pokręcił głową.

— Rozmawialiśmy o tym.

— Musiałby pan to zobaczyć, żeby uwierzyć. Przez cały miesiąc jestem w Zamku na Piasku. Knajpa pierwszej klasy. Jeśli zechce pan przyjechać, wprowadzę pana.

Gliniarz podziękował.

— Niezły skurwiel — mruknął Johnny do Phila, gdy jechali windą. — Myślałby kto, że rozplywa się z zachwyty nad moim talentem. Założy się, że ma taką kolekcję autografów, że zajęłaby cały garaż.

— Cynik z ciebie, panie Fontane.

— Odprę się, Phil, jesteś za poważny. — Johnny zauważył

swoje odbicie w stalowej ścianie windy i bez wątpienia wyglądał

poważnie. Zdjął kapelusz, przesunął palcami po włosach i założył

kapelusz. — Wszystko gotowe?

— Od ponad godziny. Ale słuchaj, muszę cię o czymś uprzedzić.

Johnny zrobił twarz pokerzysty i nic nie odpowiedział. Słuchał.

To właśnie Phil Ornstein był tym, który zaproponował Johnny'emu siedmioletni kontrakt po tym, jak wszystkie inne czołowe firmy sobie odpuściły (za nędzne pieniądze, ale co z tego? Forsa nie była w tym najważniejsza). To Phil Ornstein uparcie twierdził, że głos Johnny'ego Fontane znów jest lubiany, a jego wizerunek jako pijaka i awanturniczego łotra nie znalazł potwierdzenia. Poza tym tylko przyczyni się do zwiększenia sprzedaży płyt.

— Wiem, że chciałeś, aby dyrektorem muzycznym był Eddie Neils. Jeśli naprawdę tego chcesz, dobrze, spróbujemy.

Johnny nacisnął guzik „stop”. To właśnie Eddie Neils nagrywał

i aranżował piosenki Johnny'ego, które stały się przebojami. Johnny pojechał do niego do domu i powiedział, że nie wyjdzie, dopóki

nagusów. A kiedy Johnny'emu udało się wreszcie przewyciężyć podłą akustykę i jego śpiew zabrzmiał jako tako, Eddie zgodził się znów z nim pracować.

— Chcesz mi powiedzieć, że Eddiego tu nie ma?

— Właśnie to chcę ci powiedzieć — odparł Phil, klepiąc się po brzuchu. — Wrzód mu się otworzył. Musiał pojechać wczoraj do szpitala. Wyjdzie z tego, ale...

— Nie ma go tutaj.

— Tak. To jedna rzecz. A druga jest taka, że my i tak nie wybraliśmy go na kierownika muzycznego twojej nowej płyty.

Nie uszło uwagi Johnny'ego, że Phil miał dość klasy, by powiedzieć „twojej nowej płyty”, a nie „twojego *comebacku*”.

— Od początku chcieliście kogoś innego — stwierdził Johnny.

— Tego młodzika, puzonistę.

— Tak. Cya Milnera. On nie jest młodzikiem. Ma jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Pozwoliliśmy sobie zlecić mu napisanie kilku nowych aranżacji.

Milner został puzonistą Lesa Halleya, ale już po odejściu Johnny'ego z zespołu. Nigdy się nie spotkali.

— Od kiedy? Od wczoraj?

— Tak. On szybko pracuje. Przeszedł już dzięki temu do legendy.

Młodzik jest już legendą, a ja jestem Johnny-Jedno-Ujęcie.

— A co z aranżacjami, które napisał Eddie?

— Je też możemy wykorzystać. Wszystko jedno.

Phil przesunął dłonią po włosach, których w większości nie było.

Należał do ludzi, którzy nieświadomie przejmują maniery innych.

— Myślisz, że jestem trudny? — Johnny wcisnął mocno guzik

„stop”. — Daj spokój, Phil. Damy staremu Cyowi szansę, trochę poprobujemy i zobaczymy, czy umie wyczarować odrobinę magii.

— Dziękuję, Johnny.

— Zawsze lubiłem syków z manierami.

— Odpieprz się, Johnny.

— I z ikrą.

Johnny wysiadł z windy i ruszył szybkim krokiem do sali A1, jedynej wystarczająco dużej, by mogła pomieścić tyle instrumentów smyczkowych, ile chciał. Pchnął drzwi i skierował się prosto do stojącego na podście męczyzny z włosami w kolorze szary blond.

Facet był ubrany w angielski tweedowy garnitur i nosił okulary

w rogowych oprawkach. Jedno szkielek było tak grube, że oko za nim wyglądało śmiesznie. Postawny, barczysty, miał prezencję futbolisty, a nie dyrygenta. Przypominał dobrodusznego dyrektora szkoły z filmu. Dokonali wzajemnej prezentacji, wymieniając minimalną liczbę słów. Johnny wskazał kciukiem mikrofon, a Milner skinął głową.

Potem mruknął coś do inżyniera dźwięku i wszedł na podest.

Muzycy sięgnęli po instrumenty. Zdjął marynarkę, podniósł

muskularne ramiona i machnął batutą. Johnny stał przy mikrofonie i był gotów.

— Do dzieła, panowie. — To było wszystko, co powiedział.

Johnny zaśpiewał mocno od samego początku, a orkiestra, wszyscy bez wyjątku ludzie Eddiego Neilsa, podążyli ochoczo jego tropem. Było zupełnie jak kiedyś. Johnny czuł, że unosi się wraz z piosenką. A więc nie zapomniał, jak to się robi. Tak jak nie zapomina się jazdy na rowerze.

Kiedy skończyli, ci w kabine zaczęli bezgłośnie bić brawo.

Milner usiadł na stołku. Johnny zapytał, co sądzi, a Milner odparł, że musi pomyśleć. Johnny chciał wiedzieć, czy powinni powtórzyć, ale Milner nic nie odpowiedział. Wstał i podniósł ręce.

Powtórzyli. Milner znów usiadł i zaczął notować.

— Co robisz?

Milner pokręcił głową, ale nie powiedział nic więcej. Johnny spojrzał na Phila, który zrozumiał znak i zawołał Johnny'ego i Milnera do kabiny.

— Pozbywamy się dwóch trzecich składu orkiestry — oznajmił

Milner.

Nie powiedział „powinniśmy” albo „może powinniśmy”, tylko po prostu stwierdził. Johnny się śachał. Właśnie taka orkiestra akompaniowała mu, kiedy nagrywał swoje największe hity, właśnie do takiego brzmienia ludzie tęsknili.

Milner nie ustępował. Stał z twarzą bez wyrazu, słuchając tyrady Johnny'ego.

Wreszcie podał karteczkę Philowi. Była na niej lista muzyków, których naleŜy odesłać do domu. Phil uniósł brwi i wskazał na siebie. Milner powiedział, Ŝe nie obchodzi go, kto to zrobi.

— Psiakrew — zaklął Johnny. — Róbcie, co macie zrobić. —

Usiadł cięŜko na skórzanym fotelu.

To Milner odprawił muzyków. Johnny usiadł i popatrzył na listę piosenek, które wybrał. Porównał aranŜacje przygotowane przez Neilsa z tymi, które wyszły spod ręki Milnera. Zapisy Milnera 65

były robione pośpiesznie i upstrzone niechlujnymi notatkami. Nie tak kiedyś bywało.

Kilka chwil później Johnny znów stał przy mikrofonie, spoglądając na kartkę z zapisem nutowym leŜącą na pulpicie. Tym razem

była to aranŜacja Milnera, stary numer Cole'a Portera, który Johnny juŜ kiedyś nagrał. Chciał jednocześnie zabić Milnera i go uściskać.

Byłoby cudownie, gdyby udowodnił mu, Ŝe się myli. Ale modlił

się o

C t

i, o

,

k Ŝ

t e

ó b

r zy

y mi

w a

i ł

d r

zia

ec

lj

i ę

.

Johnny'ego Fontane w klubach, a nawet ci, którzy widzieli go podczas nagrania dziesięć lat temu, nie rozpoznaliby mężczyzny pochylonego z zadumą nad mikrofonem.

Muzycy

podnieśli instrumenty, inżynier dźwięku poprosił o próbę mikrofonową. Właśnie się do niej przygotowywali, kiedy wszedł

posłaniec

i zapytał, gdzie ma postawić herbatę pana Fontane. Johnny wskazał

miejsce, ale się nie odezwał. Kołysał się w miejscu ze wzrokiem utkwionym w zapisie nutowym, lecz na niego nie patrzył. Wszystko to trwało kilka chwil, ale Johnny z jednej strony miał wrażenie, że upłynęły godziny, a z drugiej, że czas mija w okamgnieniu. Zamknął

oczy

J.

o K

hn ie

n d

y y

p ro

a st

w a

i t

e n

i

no

i

eś

p

zi

ae

uwa

ał

Ńt

yę

ł,p

kio

es

den

yk

zę

a,

cj

ze

ęg

ło

asg

ił

ęo

s

p

i b

o y

seł

n c

kz

ay

. st

T y

e ja

mk

p

o

d

j e

e s

g z

o c

z ó

o w

dd k

e a

c i

h p

u ew

b n

ył ie

o n

t i

a e

k w

ie

p l

o e

d b

ni a

e r

sd

i z

o ie

n j

e od

d

z n

i i

ę e

k j

i
fr
ca
zp
ę u
s j
t ą
e cy
m .
u pływaniu

w basenie, Œe śpiewał prawie nieświadomie. AranŜacja była wszędzie, a zarazem jakby jej nie było, wkraczała, kiedy tego chciał

i sama schodziła mu z drogi, kiedy tego potrzebował. Jedną linijkę dalej Johnny myślał tylko o tym, Œe włóczęga z piosenki ładnymi słówkami i Œarcikami próbuje przekonać samego siebie, Œe zdoła przeŒyć bez kobiety, która go opuściła. Zanim zaczął się refren, Johnny juŜ był tym włóczęgą. Nie śpiewał dla ludzi, którzy mogli słuchać go w studiu, w radiu lub we własnym pokoju z butelką whisky znikającą o wiele za szybko. Śpiewał do siebie i dla siebie, snując opowieść o prawdach tak osobistych, Œe mogłyby wypalić dziurę w kamieniu. KaŜdy, kto naprawdę słyszał muzykę, widział

wyłącznie gładkie słowa i fałszywe fasady powstające w miejsce utraconej miłości oraz obwinianie wszystkich, którzy postąpili słusz

P n

i i

o e

s

e i

n c

k ię

a o

d p

o u

bi ś

eci

g l

ł i

a . I

k m

oń o

c g

a. l i tylko rozpaczać.

Milner opuścił batutę i spojrzał na inżyniera dźwięku, a ten skinął głową. Wszyscy w studiu, nawet muzycy z okrojonej orkiestry, zaczęli bić brawo. Milner ruszył w stronę kabiny.

66

Johnny odsunął się od mikrofonu i spojrzał na uśmiechnięte twarze zachwyconych ludzi. Milner wrócił z kabiny i zaczął

rozstawiać mikrofony. Milczał. Mówił tak mało, a zarazem tak dużo, że można go było wziąć za Sycylijsczyka.

— Nie — rzekł Johnny. — Bardzo wszystkim dziękuję, ale nie.

Byliście wspaniali, ale stać mnie na więcej. Spróbujmy jeszcze raz, dobra?

Milner ustawił kolejny mikrofon.

— Ósmy takt, Cy — rzucił Johnny. — Możesz to zrobić jak kawałek z Pucciniego?

Milner wydobyl z kieszeni koszuli pomięty skrawek papieru wyglądający jak kwitek z pralni, usiadł przy pianinie, uderzył

kilka razy w klawisze, nabazgrał kilka nut i wydał kilka krótkich poleceń niektórym muzykom.

Wkrótce Johnny nie będzie chciał słyszeć o współpracy z Eddiem Neilsem.

Śpiewając tę piosenkę, odpłynął gdzieś daleko i był absolutnie pewien, że może odpłynąć tam znowu, jeszcze dalej i głębiej.

Mógł to zrobić jeszcze dziesięć razy. Mógł zapełnić całą płytę długogrająca piosenkami, które odrywały ludzi od Śycia i wciągać ich głębiej w Śycie i — nagle przyszło mu to do głowy jak błysk —

ułożyć te piosenki w sposób, w jaki robił to Les Halley, kiedy Johnny był jego solistą; połączyć na płycie, tak że wszystkie ze sobą współgrają, tworząc efekt, jakiego jeszcze nigdy nie udało się osiągnąć nikomu, nawet najlepszym jazzowym wygom.

Phil Ornstein gratulował wszystkim. Nie będzie zachwycony, że poświęcą całą sesję na nagrywanie tej jednej piosenki, ale cóż, trudno. Johnny Fontane zaprotestowałby, gdyby powiedziano mu, że klienci wchodzą do sklepu i pytają o nowe płyty National Records. Oni szukają piosenek. I piosenkarzy.

Milner wspiął się na podest. Okulary sprawiały, że jego zwykłe oko wyglądało jak skierowane na orkiestrę, a to drugie, ogromne, na Johnny'ego. Johnny spojrzał w dół i znów zaczęli.

W ósmym takcie duch Pucciniego otworzył piosenkę jeszcze szerzej. Johnny zaczerpnął tchu, napełnił płuca powietrzem i po-płynął z nurtem.

Michael i Kay milczeli przez większą część pierwszej godziny lotu. Kay zachwycała się oszałamiającą urodą pustyni, porównując

ją do dzieł abstrakcyjnych malarzy, których Michael nie znał, choć wiedział, że powinien znać. Jednak udawał, że zna. Kay mówiła przez chwilę o sztuce, a on zachodził w głowę, dlaczego po prostu nie powiedział prawdy w tak banalnej kwestii.

Zapytał o przeprowadzkę. Kay zastanawiała się, czy powiedzieć mu o tym, że w zeszłym tygodniu, gdy członkowie rodziny Clemenzy zjawili się w domu rodziców Michaela, który już kupili, zastali

Carmelę stojącą przy oknie w gabinecie zmarłego męża. Nie wchodziła tam od lat. Była pijana i mamrotała pod nosem modlitwę po włosku. To mój dom, oznajmiła. Nie wyjeżdżam na śladną pustynię. Wkrótce Michael i tak o tym usłyszy. Kogo ona oszukuje?

Micha

— eII

dju

zi Ś

e n

ś a

w p

i e

et w

nin

e o

w

— ie

o .

d parła. — Connie bardzo pomogła.

Nawet ta neutralna informacja była naładowana cięŜką treścią.

Michael nie zareagował na wzmiankę o siostrze, choć wiedział, iŜ

Connie obwinia go o śmierć jej męża, Carla, mimo Őe asystent prokuratora okręgowego, którego Michael poznał na Guadalcanal, oskarŜył o morderstwo cyngla Barziniego.

— To dziwne — powiedziała Kay po kolejnej długiej chwili milczenia — lecieć nad pustynią morskim hydroplanem.

Nagi piasek i zarośla rozpościerały się aŜ po horyzont. W końcu z mgiełki na północy wyłoniły się kształty, które okazały się górami.

— Jak się sprawują dzieci? — spytał wreszcie Michael.

— Widziałeś je rano — odparła Kay. Mary, która miała dwa latka, płakała i wołała: „Tatusiu, tatusiu”, kiedy wychodzili.

Anthony, który za rok o tej porze pójdzie do przedszkola, siedział

pod skrzynką na podłodze i oglądał telewizję przez dziurkę. Był to program, w którym gliniane figurki stawiały czoło Őyciowym problemom: pokusie niepodzielenia się z nikim czerwonym wozem lub nieprzyznania do udziału w zbiciu lampy, przy której mama szła na maszynie. Prawie z całą pewnością można powiedzieć, Őe mały gliniany chłopiec nigdy nie będzie musiał

zmierzyć się ze świadomością, Őe dwóch jego wujków zostało zamordowanych, a o jego glinianym tatusiu w sweterku nigdy nie napiszą w „New York Timesie”, iŜ uwaŜa się go za „postać z podziemnego świata”. Jego szczuplutki gliniany dziadziuś raczej nie padnie martwy u jego stóp.

— A ty jakie odniosłeś wrażenie?

— Wydawało mi się, że radzą sobie świetnie. Mają już kolegów w sąsiedztwie?

68

— Wciąż się rozpakowuję, Michael. Nie miałam jeszcze czasu...

— Racja — przerwał jej Michael. — Nie krytykuję cię.

Byli już tak blisko obszaru przestrzeni powietrznej Reno, że Michael mógł się zameldować.

— Twoi rodzice mieli dobrą podróż?

— Tak. — Ojciec Kay wykładał teologię w Dartmouth wystarczająco długo, by otrzymać za to niewielką emeryturę, która stała

się dodatkiem do drugiej, pobieranej od czasu, gdy pięć lat temu przestał być pastorem. Rodzice Kay kupili przyczepę mieszkalną i zamierzali zwiedzać Amerykę. Przyjechali wczoraj, by pomóc Kay zrobić porządek w domu i zobaczyć wnuki. — Powiedzieli, że parking dla przyczep jest tak ładny, że chyba nigdy nie wyjadą.

— Zamek na Piasku miał własny parking dla przyczep samochodowych

— w

Sy

ąc

h

ta.

m mile widziani. Mogą zostać tak długo, jak chcą.

— To był śart. Więc co zaplanowałeś? Co można robić w Tahoe?

— A co byś powiedziała na kolację i kino?

— Jeszcze nawet nie ma jedenastej.

— Lunch i kino. Popołudniowy seans. Musi być jakiś, na który zdążymy.

— Dobrze. O Boże! Michael, spójrz, jakie to piękne!

Jeziro, o wiele większe, niż Kay sobie wyobrażała, było upstrzone kutrami i otoczone przez góry. Wokół rósł ciemny gęsty sosnowy las, sięgający aż do brzegów. Powierzchnia wody była gładka niczym lakierowany stół.

— Tak — zgodził się Michael. — Nigdy nie widziałem piękniejszego miejsca.

Zerknął na Sonę. Kay obracała się w fotelu, wychylając głowę, żeby objąć wzrokiem jak najwięcej piękna, w które powoli opadali.

Wyglądała na szczęśliwą.

Michael zszedł niedaleko brzegu i posadził samolot blisko doku i hangaru dla łodzi. Wokół nie było niczego prócz lasu i polany, z której wrzynał się w wodę niewielki cypel.

— To dość daleko od miasta — zauważyła Kay.

— Znam doskonały lokal, w którym można zjeść lunch —

odparł Michael. — Tu nieopodal.

Kiedy samolot kołował w stronę kładki, z lasu wyszło trzech mężczyzn w ciemnych garniturach.

69

Kay zaczerpnęła tchu i wcisnęła się w fotel. Mężczyźni stanęli na nabrzeżu, a Kay wykrzyknęła głośno imię męża.

Michael pokręcił głową. Znaczenie tego gestu było oczywiste: Nie martw się. Ci ludzie dla mnie pracują.

Mężczyźni wsiedli do pontonów i przycumowali samolot do mola. Polecenia wydawał Tommy Neri, bratanek Ala. Al — który ubrany w stary mundur nowojorskiego policjanta wystrzelał cały magazynek słuśbowego pistoletu w pierś dona Emilia Barziniego, i który wypatroszył kuchennym nożem głównego cyngla Phillipa Tattaglii, a następnie oddał mocz w parujący otwarty brzuch zabitego — pracował jako szef ochrony wszystkich hoteli kontrolowanych przez rodzinę. Podobnie jak Al Tommy był

kiedyś

policjantem w Nowym Jorku. Wszyscy trzej mężczyźni byli młodzi, wyglądali jak świeżo upieczeni absolwenci liceum. Niemal bez słów

Ka r

y u

tsz

y y

m li

c

zz

a p

s o

e w

m ro

o t

d em

wr

ó w

ci ła

a s.i ę do Michaela. O tym, co się stało,

moŜna było powiedzieć bardzo duŜo albo zgoła nic.

— Poczekaj tu — rzekł Michael, dotykając twarzy w miejscu, w którym została kiedyś zmiaŜdŜona. Robił to, prawdopodobnie nieświadomie, kiedy się denerwował. Został uderzony przez policjanta i przez lata nie próbował tego naprawić, tylko ciągle dmuchał

przez nos i mówił o tym, Őe ma zepsutą twarz. Wreszcie ze względu na Kay zrobił sobie operację, po której wyglądał lepiej, ale inaczej niŜ kiedyś. Nie tak samo, jak Michael sprzed wypadku. Kay nigdy mu o

P

o ty

d m

sz

e n

d ile

p

d o

o w

dire

zdz

wii ał

ha.

ngaru, sięgnął na podmurówkę, znalazł

klucz i wszedł.

Kay chciała, ale i nie chciała pytać, czyj jest hangar. Nie powstrzymała jej lęk przed odpowiedzią, lecz obawa, że Michael nie chce, żeby o to pytała.

Wyszedł po chwili z naręczem róż, które jej podał. Kay cofnęła się o krok. Po chwili wyciągnęła rękę i przyjęła kwiaty.

Pocałowali się.

— Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy — rzekł Michael.

— Myślałam, że to lot był prezentem.

— To tylko część pakietu.

Znow zniknął w hangarze i wyszedł z plażowym kocem w paski i ogromnym koszykiem piknikowym przykrytym obrusem w czerwonej kratce. Z koszyka niczym skrzyśowane miecze wystawały dwa długie bochenki włoskiego chleba.

70

— *Voilà!* — powiedział Michael, wskazując ruchem głowy polanę. — Lunch na plaży.

Kay ruszyła pierwsza. Położyła kwiaty na ziemi i rozpostarła koc.

Usiedli na modłę włoską, twarzą do siebie. Oboje poczuli głód, więc niemal rzucili się na jedzenie. W pewnej chwili Michael zawiesił na głowie Kay kiść winogron.

— No dobrze — rzekła Kay. — Będę gryzła. — Zjadła jedno winogrono.

— Ładnie to zrobiłaś — pochwalił Michael.

Kay spojrzała na las, ale nie zauważyła mężczyzn, którzy wyszli im na spotkanie.

— Nie to miałam na myśli. Nie tylko to. — Zrobiła pauzę. Ale dlaczego by nie spytać? To nie będzie pytanie o interesy. Michael przywiózł ją tu na randkę z okazji ich rocznicy. — Skąd pochodzi to jedzenie?

Michael wskazał na przeciwną stronę jeziora.

— Zamówilem.

— Czyja to ziemia?

— Ta tutaj?

Kay ścisnęła brwi.

— Zdaje się, że twoja.

— Zdaje się?

— Tak, twoja. — Michael wstał i wyjął z tylnej kieszeni spodni skrawek papieru. Była to odbitka umowy. Tak samo jak na wszystkich ich aktach własności, na umowie widniało nazwisko Kay.

— Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy — powiedział

Michael po raz drugi.

Kay podniosła rękę. To, że stać ich było na taką posiadłość oraz dom w Las Vegas, zarazem podniecało ją i przerażało.

— Wiesz, jak zapewnić dziewczynie dobrą zabawę —

stwierdziła.

Michael wiedział, że nie powinien nazywać tej ziemi prezentem rocznicowym. Przesadzał.

— I jeszcze jeden prezent, ostatni — oznajmił, kładąc prawą dłoń na nieistniejącej Biblii i unosząc lewą rękę. — Nie będzie więcej niespodzianek.

Kay spojrzała na niego i zjadła truskawkę.

— Kupiłeś tę ziemię, nie mówiąc mi?

Michael pokręcił głową.

— Mam

udziały

w

spółce

zajmującej

się

obrotem

nieruchomościami, która ją kupiła. Pomyślałem, że moglibyśmy zagospodarować ten teren. Dla nas, dla rodziny.

— Dla rodziny?

— Tak.

— Wyjaśnij, co masz na myśli, mówiąc o rodzinie.

Michael odwrócił się i spojrzał na jezioro.

— Kay, musisz mi zaufać. Sytuacja jest teraz bardzo delikatna, ale nic się nie zmieniło.

Wszystko się zmieniło. Ale wiedziała, że nie wolno jej tego powiedzieć.

— Zabrałeś nas do Las Vegas, a teraz, jeszcze zanim się rozpakowaliśmy, chcesz nas zabrać tutaj?

— Fredo już przygotował dla nas wszystko w Vegas. Ale w dłuższej perspektywie Tahoe to lepsza okazja. Dla nas, Kay.

Możesz wspólnie z architektem zbudować dom swoich marzeń. To może potrwać rok, nawet dwa. Nie spiesz się. Zrób wszystko jak najlepiej. Dzieci mogą się wychowywać, pływając w tym jeziorze, chodząc po lesie, jeżdżąc konno i na nartach. — Odwrócił się do Kay. — W dniu, w którym poprosiłem cię o rękę, powiedziałem, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, za pięć lat nasze interesy będą całkowicie legalne.

— Pamiętam — odparła, choć od tamtej chwili nigdy o tym nie rozmawiali.

— To wciąż aktualne. Musieliśmy to i owo skorygować, to prawda, i nie wszystko poszło jak trzeba. Nie brałem pod uwagę, że stracę ojca. Były też inne sprawy. Jeśli planuje się coś z udziałem innych ludzi, nie można oczekiwać, że wszystko pójdzie dobrze.

Ale... — Michael podniósł palec wskazujący — ...jesteśmy blisko.

Mimo pewnych przeciwności, Kay, jesteśmy bardzo, bardzo blisko. — Uśmiechnął się i opadł na kolana. — Las Vegas już

zdobyło

sobie pewną reputację. Bez względu na to, jaką wersję planu przyjmiemy, nasz biznes w hotelach i kasynach tam pozostanie. Ale Tahoe to co innego. To miejsce, które zawsze będzie działać na naszą korzyść. Mamy tu tyle miejsca, że możemy wybudować taki dom, jakiego zapragniesz. Dla mojej matki, twoich rodziców, jeśli zechc

M a

i .

c D

ha l

ea

l

k

n a

i Ń

e de

w g

s o

p ,

o k

m to

ni b

ał ę

d

o zsie

w c

o h

jec

j i

a

s ł

i t

o u

st b

rzy

e ć

,

a z

n n

i a

o j d

b z

r i

ae

c isi

e.ę m

K i

a e

y j

S

z c

ne

a.ł a

go na tyle dobrze, by wiedzieć, że prawdopodobnie nie jest to przypadek.

72

— Mogę tu przylatywać hydroplanem, a w Reno, które jest niedaleko, mogę lądować odrzutowiec dowolnych rozmiarów. Do Carson City jest stąd mniej niż godzina jazdy. Do San Francisco trzy.

— Carson City?

— To stolica stanu.

— Myślałam, że Reno jest stolicą.

— Wszyscy tak myślą. Ale stolicą jest Carson City.

— Jesteś pewien?

— Byłem tam w interesach, w samym gmachu urzędu stanowego. Chcesz, żebym ci to udowodnił?

— Pewnie.

— To Carson City, Kay, wierz mi. Jak mam ci to udowodnić?

— Ty zaproponowałeś, że mi udowodnisz.

Michael wziął jajko, przytrzymał jak strzałkę i cisnął w stronę.

Kay złapała jajko i odrzuciła w ten sam sposób. Pocisk przeleciał

obok Michaela i odbiwszy się od ziemi, wpadł do jeziora. Michael się roześmiał.

— Miło popatrzeć na ciebie takiego — westchnęła Kay.

— Co masz na myśli?

— Nie potrafię tego wyjaśnić.

Michael usiadł koło niej.

— Ja też nie umiem wyjaśnić wielu rzeczy, Kay. Ale mam wizję. Zawsze ją miałem, tylko że teraz

jest o wiele bliŹsza rzeczywistoŹci. Nasze dzieci dorastaj mniej wicej w taki sposb jak ty, tak jak wszystkie amerykaskie dzieciaki, ktre mog by, kimkolwiek zechc. Ty wychowaaŹ si w maym miasteczku, one teŹ si tak wychowaj. Ty chodziaŹ do dobrego college'u, one teŹ bd.

— Ty sam chodzieŹ do dobrego college'u. Nawet lepszego niŹ

ja.

— Ale ty go skoczyaŹ. Nie bd miay Źadnego powodu, Źeby z niego odchodzi, a na pewno nie po to, by pomc mi w interesach. Nie bd pod moim wpywem, tak jak ja byem pod wpywem mojego ojca, a mieszkanie tutaj si do tego przyczyni.

Oddalamy rodzin od...

Kay uniosa brew.

— Zdefiniuj j sobie jak chcesz. Rodzina. Nasza rodzina. My.

Dystansujemy si od... — Michael podnis do poowy oprnion butelk mleka i wypi reszt... — ...powiedzmy, Źe od Nowego 73

Jorku. JuŹ to powinno nas skierowa na nowe tory. To, co posiada-my w stanie Nevada — a to nie jest bardzo zaludniony stan, Kay, jeszcze nie — pozwoli nam zreorganizowa moje interesy w sposb, ktry byby niemoŹliwy w Nowym Jorku. JuŹ uporaliŹmy si

z najtrudniejsz czci roboty. Zapamitaj moje sowa: za pic lat rodzin

— a C

Po or

w l

i e

n o

n n

a e

b p

y o

 win

— n

p a
o b
w y
t ć
ó r r
z ó
y w
ł a n
i
K e
a l
y e
. g

alna jak Standard Oil.

Michael westchnął. Jeśli była taka sama jako nauczycielka, jej uczniowie jednocześnie mieli szczęście i wielkiego pecha.

— Wybacz mi, Œe nie mogę ci tego powiedzieć ze stuprocentową pewnością. A czy cokolwiek w Œyciu daje taką pewność?

— Rodzina, tak?

Michael postanowił uznać to za niewinny Œart.

— Co innego mogę teraz zrobić? Odejść na emeryturę? Nawet gdybym mógł tak postąpić i nie zrobić cię wdową — co potem?

Przyjęłabyś pracę ekspedientki w sklepie z butami, a ja poszedłbym do szkoły wieczorowej i skończył college? Wielu ludzi na mnie polega, Kay, i choć ty i dzieci jesteście na pierwszym miejscu i zawsze będziecie, innych teŒ muszę brać pod uwagę. Freda, Connie, moją matkę — a to tylko najbliższa rodzina, nie biznes.

Sprzedaliśmy firmę zajmującą się produkcją oliwy z oliwek, bo potrzebowaliśmy znacznej ilości

legalnej z punktu widzenia władz gotówki, ale wciąż mamy decydujące udziały w rozmaitych całkowicie legalnych przedsiębiorstwach: fabrykach, firmie obrotu nieruchomościami, kilkunastu restauracjach i sieci punktów sprzedaży hamburgerów, gazetach, stacjach radiowych i agencjach sprzedaży biletów, w studiu filmowym, a nawet w spółce inwestycyjnej na Wall Street. Naszymi udziałami w hazardzie i udzielaniu kredytów można tak kierować, żeby były to legalne interesy. Jeśli chodzi o wydawanie pieniędzy na pomoc politykom, których chcemy umieścić we władzach — coś, w taki sposób działają wszystkie wielkie korporacje czy związki zawodowe.

Pewnie mógłbym usiąść i patrzeć, jak wszystko się wali, jak wszystko tracimy. Albo... — Michael znów podniósł palec —

...mógłbym podjąć jeszcze kilka działań z w kalkulowanym ryzykiem i spróbować przeprowadzić plan, który jest już, powiedziałbym, w osiemdziesięciu procentach zrealizowany.

Wiesz, żeby nie mogę podać ci jego szczegółów, ale powiem ci tyle: jeśli mi zaufasz, Kay, za pięć lat będziemy siedzieli w tym miejscu, patrząc, jak nasze dzieci — Mary, Anthony, a może jeszcze kilkoro

— pływają w jeziorze,

74

a Tom Hagen, mój brat Tom, będzie dwa miesiące przed elekcją na gubernatora wielkiego stanu Nevada. Nazwisko Corleone zaś dla większości Amerykanów będzie znaczyło mniej więcej tyle samo, co nazwiska Rockefeller i Carnegie. Pragnę osiągnąć wielkie rzeczy, Kay. Wielkie rzeczy. A największym powodem, dla którego chcę to zrobić, pierwszym i najważniejszym, jesteś ty i dzieci.

Pozbierali rzeczy po lunchu. Michael gwizdnął i Tommy Neri wyszedł z lasu. Powiedział, żeby on i jego ludzie już jedli, lecz chętnie jeszcze coś przekąszą.

Michael wprowadził Kay do hangaru. W środku znajdowała się łódź Chris-Craft wykładana drewnem świerkowym. Michael wyciągnął rękę, Kay wsiadła. Myślała, że Tommy Neri wsiądzie za nią, lecz on odcumował łódź i został na brzegu.

— Tak się zastanawiam — powiedział Michael, wyprowadzając łódź tyłem na jezioro — jaki właściwie jest tradycyjny prezent na piątą rocznicę ślubu?

— Drewno. A propos. — Kay wyciągnęła z torebki kartkę i podała mężowi.

— Naprawdę drewno?

— Naprawdę. Otwórz.

Michael uśmiechnął się i wskazał drzewa porastające brzegi jeziora.

— Zobacz — rzekł. — Drewno.

— RozłóŚ kartkę — powiedziała Kay.

Z kartki wysunęła się broszurka. Michael ją podniósł.

— Spójrz. Drewno.

Broszurka pochodziła z klubu sportowego w Las Vegas.

— Kupiłam ci zestaw kijów golfowych — wyjaśniła Kay. —

Drewnianych i metalowych. — Ścisnęła jego prawy biceps. —

Musisz tam pójść, Œeby je wypróbować.

— Golf, tak?

— Nie lubisz golfa? Nie chcesz spróbować?

— Chcę — odparł, trąc policzek. — Doskonale. Będę grał

w golfa. Tak jak kaŜdy klasyczny szef amerykańskiej firmy.

Uwielbiam golfa. Naprawdę.

Michael wrzucił bieg i zaczęli płynąć po jeziorze do miasta.

Kay wśliznęła się na fotel obok niego, a Michael otoczył ją ramieniem. Otworzył do końca przepustnicę. Kay połoŜyła głowę na jego ramieniu i trzymała przez całe dwadzieścia minut.

— Dziękuję — powiedziała, kiedy dopłynęli do brzegu. —

75

Podobało mi się wszystko. I twój plan. — Nachyliła się ku niemu. — I... — Pocałowała go. Michael zwykle nie lubił okazywać publicznie uczuć, lecz w tym pocałunku było coś, co go zelektryzowało. Kay zaczęła się od niego odsuwać, ale on przyciągał

ją

do si

K e

i b

e i

d e

y i ca

wrło

e w

sz a

c ł
i
ec
or
sia
ęz
m
roo
zc
dn

ziewli, bez tchu, usłyszeli oklaski.

Klaskało dwóch nastolatków na brzegu. Byli z dziewczynami.

Dziewczęta zaczęły się usprawiedliwiać:

— To niedorozwoje — oznajmiła jedna.

— Nigdzie nie można z nimi pójść — dodała druga.

Wszyscy byli ubrani tak, jakby właśnie wyszli z kościoła.

— Nie ma za co przepraszać — rzekł Michael. — Jest tutaj jakieś kino?

Okazało się, że kino jest. Młodzi ludzie wskazali drogę. Chłopcy wlekli się za dziewczynami, chichocząc i poszturchując się.

— Chciałam powiedzieć... — zaczęła Kay.

— że mnie kochasz — dokończył Michael.

— Jesteś nie lepszy od tych wyrostków — stwierdziła Kay. —

Ty też mnie kochasz.

Kino było zamknięte. Wyświetlano film wyprodukowany przez studio Johnny'ego Fontane, należąca w sześćdziesięciu procentach do zarejestrowanej w Delaware prywatnej spółki, której akcje posiadały „słupy” rodziny Corleone. Pewnego dnia Michael wykupi ten kram za symboliczną sumę.

Jeśli będzie warto, rzecz jasna.

Firma była kiedyś całkiem dochodowa. W tym filmie, tak jak w większości ostatnio nakręconych, nie występował Johnny Fontane. Michael zastukał w okno.

— Kino jest zamknięte, Michael.

Michael pokręcił głową i zapukał mocniej. Wkrótce w holu pojawił się łysy facet w kowbojskiej koszuli i ogrodniczkach i ruchem ust powiedział, że kino jest nieczynne. Michael znów pokręcił głową i zapukał w drzwi. Mężczyzna podszedł.

— Przykro mi, panie kolego, ale w niedzielę mamy tylko jeden seans, o wpół do ósmej.

Michael ruchem ręki dał mężczyźnie znać, żeby otworzył drzwi.

Tamten spełnił jego życzenie.

— Rozumiem — powiedział Michael — ale moja Sona i ja mamy randkę, a ten aktor — tu się odwrócił i zerknął na plakat —

Dirk Sanders, jest jej najbardziej ulubionym gwiazdorem. Prawda, kochanie?

76

— O, tak, tak.

— Mogą go państwo zobaczyć. Wpół do ósmej.

Michael spojrzał na lewą rękę mężczyzny.

— Widzi pan, o siódmej trzydzięci musimy być w domu, a dzisiaj jest rocznica naszego ślubu. Piąta. Wie pan, jak to jest, prawda?

— Jestem właścicielem, a nie operatorem.

— Więc pański czas jest jeszcze cenniejszy. Nie spodziewam się, że wyświadczy pan taką przysługę obcemu człowiekowi. Wie pan, jak się obsługuje projektor, prawda?

— Oczywiście, że wiem.

— Czy w takim razie moglibyśmy zamienić parę słów na osobności? To potrwa tylko chwilę.

Mężczyzna przewrócił oczami, lecz Kay widziała, że zimne spojrzenie Michaela zrobiło na nim wrażenie. Wpuścił go do środka. Zamienili szeptem kilka słów. Po chwili Michael i Kay siedzieli na środku widowni, a na ekranie pojawił się obraz.

— Co mu powiedziałaś?

— Okazało się, że mamy wspólnych znajomych.

Kilka minut później, gdy główni bohaterowie dosłownie wpadli na siebie w udźwiękowionym obrazie Paryża w technicolorze, właściciel kina przyniósł parze widzów dwie szklanki wody sodowej i pojemnik ze świeżym popcornem. Bohater i bohaterka filmu

momentalnie zapalili do siebie niechęcią, co zapowiadało, że niechybnie się w sobie zakochają. Niebawem Kay i Michael zaczęli się obściskować w ciemnościach jak nastolatki. Nie mogli wyjść teraz, gdy właściciel kina wyświetlał film tylko dla nich. Więc brnęli

— da

U le

w j

a.

ŝ R

ajo

biło

—

ss

zię

e

pco

nęłaz

g

K o

a rę

y, c

e

ł j

a .

piąc Michaela za członek. —

Drewno.

Michael parsknął śmiechem.

— Ciii — wydyszała Kay.

— Jesteśmy sami — odparł Michael. — Całkiem sami.

Rok temu jeden z dwóch męŜczyzn przechadzających się koło okienka biletowego przy bramce 10B na lotnisku w Detroit był

fryzjerem przy Court Street na Brooklynie, podlegającym facetowi, który podlegał facetowi podlegającemu Pete'owi Clemenzie. Drugi hodował kozy na Sycylii koło Prizzi. Lojalność, awanse typowe 77

dla pola bitwy oraz zwyczajny brak siły roboczej sprawiły, Őe wspięli się po drabinie prędeej, niŜ to się dzieje w czasie pokoju.

Fryzjer był z trzeciego pokolenia imigrantów, mówił okropnie po włosku, a pasterz kóz wciąż zmagał się z angielskim. PasaŜerowie samolotu do Las Vegas, którym mieli polecieć, właśnie wchodzili na pokład. Wciąż nie było śladu Freda Corleone. Hodowca kóz przystawił do ucha wyimaginowaną słuchawkę. Fryzjer westchnął

i skinął głową. Jaki miał wybór? Podszedł do automatu i zaczął

wrzucać do niego ćwierćdolarówki.

— Obsługa — powiedział głos w Las Vegas. Plotka głosiła, Őe dziewczęta z centrali telefonicznej, tej i drugiej na Brooklynie, były siostrzenicami Rocca Lampona, i Őe wszystkie co do jednej są śliczne. Jednak nikt ich nigdy nie widział, więc nie mógł mieć pewności.

— Dzwoni pan Fryzjer.

— Tak, sir. Co chce pan przekazać, panie Fryzjer?

— Nasz багаŜ zaginał — odparł męŜczyzna. Omal nie powiedział „przepadł”, a to oznaczałoby, Őe został zabity. — Nie będzie go w umówionym samolocie.

— Tak, sir. Czy to wszystko?

Czy to było wszystko? Kiedy don Corleone usłyszy, Őe nowi ochroniarze Freda zgubili go w kasynie gdzieś w gąszczu Detroit, to naprawdę będzie wszystko, nie ma co.

— Proszę przekazać, że ja i pan... — Fryzjer zamilkł. Jak jest po włosku „koziół”? Zakrył dłonią słuchawkę. Hodowca kóz był

po drugiej stronie holu, zamawiał kawę. — *Come si dice* „koziół”?

— *La capra* — odparł pasterz, kiwając głową.

Jak gdyby fryzjer, który wychował się przy Court Street, kiedykolwiek miał okazję nauczyć się tego zrasanego słowa.

— Pan Capra i ja szukamy bagażu. Mamy nadzieję, że polecimy następnym samolotem, razem z bagażem.

— Tak, sir. Dziękuję, sir.

Sandra Corleone zaparkowała roadmastera na trawie przed akademikiem Franceski.

— Och, mamó — powiedziała Francesca, zakładając nowy, modny płaszcz przeciwdeszczowy. — Nie zamierzasz tutaj parkować, prawda?

Wszystkie inne samochody stały stłoczone na chodniku przy ulicy.

78

— Jestem pewna, że tak jest świetnie — odparła Sandra, wyłączając silnik i odwracając się, żeby obudzić Kathy. Dwa inne samochody jak na komendę stanęły tuż obok. — Ludzie muszą gdzieś parkować.

Otworzyły bagażnik. Kathy objuczyła Francescę i Sandrę pudłami ze sklepu alkoholowego, którego właścicielem był

narzeczony jej matki. Wszyscy inni studenci mieli pudła firm przewozowych lub kufierki. Kathy wzięła tylko wiatraczek stołowy i bakelitowe radio Franceski.

— Ktoś musi otworzyć drzwi — wyjaśniła.

Drzwi frontowe były szeroko otwarte. Kathy wcisnęła guzik windy. Matka już była złana potem. Postawiła pudła na podłodze.

— Wszystko w porządku — powiedziała, za bardzo zdyszana, żeby wydusić coś jeszcze. Miała trzydzieści siedem lat, była staruszką, i bardzo przybrała na wadze od czasu, gdy przeprowadziły się na Florydę.

— Nie mogę uwierzyć, że kazałaś mamie dźwigać te ciężary —

stwierdziła Francesca.

— Nie czuję się za dobrze — odparła z uśmiechem Kathy. —

A ja nie mogę uwierzyć, że włożyłaś płaszcz przeciwdeszczowy.

— Nigdy nie wiadomo, kiedy zacznie padać — odcięła się Francesca. Kathy wiedziała doskonale, że chodzi o przepisy określające zasady ubierania. Francesca miała na sobie spodnie.

Studentki ubrane w coś innego niż sukienki musiały się czymś okryć.

Jak dowiedziała się Francesca w czasie rekonesansu, większość wybierała płaszcze. Przepisy prawdopodobnie nie obowiązywały w dniu przeprowadzki, lecz Francesca wolała nie ryzykować.

Nale

K

i a

e ł

da

y d

o

d

o o

t s

a ó

r ł b

y,

k

d t

o ó

r

p e

o s

k t

oo

j s

u u

j

F ą

r

asi

n ę

c ed

s o

k ip

, rz

K e

ap

t i

hsó

y w

p .

o stawiła wiatraczek

i radio, upadła na podwójne łóŜko bez pościeli, złapała się za brzuch i jęknęła.

Francesca przewróciła oczami. Sama rzadko miewała skurcze, więc sceptycznie podchodziła do ciągłych problemów siostry. Ale strofowanie było równie bezproduktywne jak postępowanie Kathy.

— Gdzie jest pościel? — zapytała Sandra.

— Na drugim łóŜku — odparła Francesca.

— Nie ta. — Wyjęła pilnik i zaczęła otwierać pudła. Francesca zeszła sama. Kiedy wróciła na górę, łóŜko było zasłane róŜową pościelą, a Kathy siedziała z zamkniętymi oczami i mokrą ściereczką na czole, oparta na poduszkach z obu łóŜek. Wiatraczek skiero-79

wany był na nią, a ona piła colę przez słomkę i słuchała jazzu z radia.

— Skąd wzięłyście colę?

— Opiekunka akademika przyniosła — odparła Sandra. — Dla ciebie, na powitanie.

— Powiedziałam, Őe jestem tobą.

Przez krótką chwilę Francesca była wściekła. Ale to chyba nie był zły pomysł. W końcu to tylko cola. A jeśli Kathy udała Francescę, zrobiła to skutecznie i na dłuŜszą metę nie będzie z tego powodu Őadnych kłopotów. Podobnie jak z Kathy.

— Dzięki — powiedziała Francesca, machając ręką.

— Nie ma o czym mówić.

— Nie będę.

— Podzielisz się tą colą?

— Charles Mingus leci w radiu.

— Cudownie. Podzielisz się colą?

Kathy podała jej butelkę.

— Charles Mingus gra na basie. Nieźle rzeźbi, co?

Francesca wyjęła słomkę i wypła tyle napoju, ile zdołała. Miała nadzieję, Őe wypije wszystko, lecz gaz podraŜnił ją w nos. Oddała butelkę siostrze.

Kiedy znów zeszły na dół, matka wsunęła głowę do Őwietlicy, złapała rachityczne drewniane krzeselko i wskazała Francesce boczne drzwi na końcu ciemnego korytarza. Zajęcia zaczynały się dopiero we wtorek, a dzięki matce Francesca zdołała juŜ złamać dwie kardynalne zasady: „Nie zostawiać otwartych bocznych drzwi” oraz „Nie wnosić mebli ze Őwietlic”. Inne dziewczęta i ich rodzice natychmiast teŜ z tego skorzystali.

Matka wzięła trzy cięŜkie pudła i ledwo szła. Francesca postawiła rzeczy na schodkach prowadzących do bocznych drzwi i poczekała na matkę.

— Dlaczego nie poszłaś do szkoły dla dziewcząt? — zawołała Sandra Corleone, dysząc cięŜko i

wskazując głową sąsiedni budynek, do którego z pomocą rodziców wprowadzało się kilkunastu młodych męŜczyzn. Matka Franceski mówiła bardzo głoŝno. —

Tak

S ja

u k

ki t

e w

n o

k j

a a

s

S i

a o

n st

d r

r a

y ?

była tak przepocona, Ŝe w kilku miejscach Francesca widziała przeŝwitujący ciemny stanik i majtki. Nie była szczupła, lecz bielizna robiła wraŝenie zbyt duŝej. — Zamierzasz sama wyładować wszystkie rzeczy Kathy?

80

— Nie martw się o Kathy. Nic jej nie będzie. Wiesz, nikt mi nie powiedział, Ŝe tuŝ obok będzie akademik dla chłopców. — Po chwili dodała jeszcze głoŝniej: — Nie podoba mi się to.

Francesca była pewna, Ŝe ludzie juŝ im się przyglądają. Korciło ją, Ŝeby poprawić matkę i powiedzieć „męski akademik”, ale to tylko pogorszyłoby sprawę.

Następnym razem matka wzięła lŝejszy ładunek. Mimo to, gdy dotarły do bocznych drzwi, sapała i musiały się zatrzymać. Opadła na

drewniane

krzeselko,

które

zatrzeszczało.

Ludzie

przeprowadzający się na Florydę mają podobno przebywać dużo na

słońcu

i szczupłe, żeby dobrze wyglądać w stroju do gry w tenisa i na plaży. A matka Franceski wciąż była. Latem Francesca przyłapała Stana Alkoholowego szczypiącego matkę w tyłek i mówiącego, że podob

— a

J m

aku

s

mię

o

Ń j

ee

j

c i t o

b b

yo

ć ł

e

z k

i .

mF

n ra

o n

? ces

— c

s a

p z

yt ad

ł r

a Œa

m ła

at .

ka.

— Nie jest.

— Jesteś chora?

Francesca spojrzała na matkę, która dostawała udaru, siedząc na wątlým krzeselku.

— Nie jestem chora.

— Po sąsiedzku, tuŒ obok — powiedziała matka, wskazując kciukiem męski akademik. — Uwierzyłabyś? Bo ja nie mogę.

Czy ktoś wie, dlaczego ona mówi tak głoŒno?

— Więc dlaczego nie chciałaś iŒć do szkoły dla dziewcząt?

Francesca była pewna, Œe ludzie w męskim akademiku to usłyszeli.

— To jest dobra szkoła, mamó, zgadza się? — Wyciągnęła rękę, Œeby pomóc matce wstać. — No, chodź.

Francesca wiedziała, że kiedy dojadą do Barnard, Kathy usłyszy:

„Dlaczego musiałaś wyprowadzać się tak daleko od domu?”.

Wszystko, co robiła Francesca, było niedobre, bo różniło się od tego, co robiła Kathy, i vice versa. Przed potańcówką z okazji rozpoczęcia roku szkolnego matka zabrała Francescę na stronę, by wychwalać zalety chłopaka Kathy, którego ta tego wieczoru rzuciła.

Później Francesca zaprosiła go na prywatkę u Sadiego Hawkinsa.

Nazajutrz matka zaczęła wymieniać wszystkie jego wady. On się zmienił, powiedziała. Widzi to kaśdy, kto ma oczy.

Następną wycieczkę na dół Francesca odbyła sama. Dopiero wtedy zauważyła, ile drzwi jest ozdobionych greckimi literami.

Matka i Kathy wyperswadowały jej przyjazd tydzień wcześniej na 81

zabawę w Śeńskim akademiku — matka dlatego, że nastawiła się na jedną długą wycieczkę samochodową, a Kathy dlatego, że jej zdaniem takie spotkania są dobre dla WASP*, dziwek i głupich blondynek, ale nie dla jej siostry, która ma rodzinę i nie musi udawać, że jest siostrą zgrai szlajających się waspów. Francesca stwierdziła, że to przesądza sprawę i dlatego pojedzie. Ale nie pojechała. A teraz przyszło jej do głowy, że znajomości, które dziewczęta z akademika zawarły w zeszłym tygodniu, już mogły ją naznaczyć jako outsiderkę, jako tę inną. Zanim dotarła do swojego pokoju, matka zdążyła już

otworzyć pudła i walizki i zaczęła układać rzeczy. Wyciągnęła te

mały

obrazek Matki Boskiej i zestaw rogów byka — Francesca wiedziała, że ani

— jed

Ni n

e o

,

m a

un

s i sd

zr u

t g
e i
g e
o n
r i
o e
b z
i o
ć sta
— n
pie
o w
wi p
e o
dzk
i o
a łu
a p
F o
ra w
ncy
eje
s ź
c d

a. z

ie matki.

— E, tam — odparła Sandra. — To nic wielkiego.

— Naprawdę. Sama mogę się tym zająć.

Kathy parsknęła śmiechem.

— Dlaczego nie powiesz jej po prostu, Œeby nie grzebała ci w manatkach?

— Nie chcę, Œebyś grzebała w moich manatkach, mamó.

— W domu grzebię w twoich manatkach. Manatki? Mam nadzieję, Œe w tej porządnej szkole nauczą cię, Œebyś nie mówiła jak jakiś

pluga

— w

y

N ib

c i.t

nik

— .

P A

o p

wi o

e z

d a

z it

ay

ł m

a ,

„ c

bio

t

np

i r

k ó

" b

? uje

— sz

A p

j r

e z

śle

i d

t e m

go n

ą

ni u

e k

z r

a y

u ć,

w h

aŚm

ył?

a ś,

to przypominam ci, że nie jesteśmy w domu.

Sandra podniosła głowę, jakby przestraszył ją głośny hałas.

Potem usiadła przy biurku Franceski i wybuchnęła płaczem.

— No i masz — westchnęła Kathy, prostując się na łóżku.

— Ty też nie pomagasz.

— Nie mówiłam do ciebie — odparła Kathy, i oczywiście miała rację: nie tylko ziewanie i śmiech potrafią być zaraźliwe.

Bliźniaczki też zalały się łzami. Wszystkie trzy przytuliły się do siebie na łóżku. To był straszny rok. Pogrzeb dziadka Vita był

ciężkim przeżyciem dla wszystkich. Później dziwne zniknięcie wujka Carla. Chip, najukochańszy w całej rodzinie, nie wytrzymał

i rozbił jakiemuś chłopcu czaszkę termosem, gdy tamten go przezywał. Ale tylko raz zdarzyło się, że wszystkie obejmowały się,

* WASP — White Anglo-Saxon Protestant — członek amerykańskiej białej elity pochodzenia anglosaskiego.

82

łkając. Dziewczęta były w klasie, miały matematykę z panem Chromosem. Dyrektor przyszedł po nie i zabrał do swojego gabinetu, nie wyjaśniając dlaczego. Siedziała tam już ich matka z zaczerw

— ien

W io

asn

z ą

,

o o

j p

ci u

e c

c hn

m ię

a tłą

t

ww

y a

p r

az

dą

e.

k — powiedziała. Wszystkie trzy

osunęły się na cuchnącą, pomarańczową kanapę dyrektora i szlochały nie wiadomo jak długo. A teraz zachowywały się tak samo

i na pewno przypomniały sobie tamten dzień. Zaczęły łkać jeszcze głośn

W irej

s i

z ś

cic

ei sk

usa

pć

o s

k ię

oi łc

yo

r

s a

i z

ę

i m

o

wycn

p i

u e

ś j

c .i ły z objęć. Sandra powiedziała:

— Chciałabym tylko... — Nie zdołała dokończyć zdania.

Ktoś zapukał głośno w drzwi. Francesca podniosła głowę, spodziewając się, że opiekunka akademika właśnie teraz zobaczy ją

po raz pierwszy i zapamięta. Ale była to para: on w niebieskim garniturze, a ona z fryzurą na pudła. Oboje się uśmiechali. Na piersiach mieli przyczepione karteczki z napisem DZIEN DOBRY.

NAZY

— W

Pr A

ze M

pr

a S

s I

z E

a ..

m. — rzekł męŜczyzna. Z karteczki wynikało, Ŝe ma na imię Bob. — Czy to jest pokój numer trzysta dwadzieścia dwa?

Numer był namalowany czarną farbą na drzwiach. MęŜczyzna dotykał go palcem wskazującym.

— Tak, bardzo przepraszamy — powiedziała kobieta. Oboje mieli bardzo silny południowy akcent. Na karteczce widniało nazwisko BARBARA SUE („BABS”). Ze zmarszczonym czołem patrzyła na obrazek Matki Boskiej. — Jeśli chcą panie, Ŝebyśmy przyszli później...

— To jest jej pokój — oznajmił męŜczyzna, odsuwając się na bok i delikatnie przepychając przez próg Ŝniadą dziewczynę, która nie odrywała wzroku od swoich skórzanych butów marki Mary Janes.

— Chyba przeszkadzamy — stwierdziła kobieta.

— Przeszkadzamy? — spytał męŜczyzna.

Sandra Corleone wydmuchała nos w chustkę. Kathy wytarła twarz o poduszkę Franceski, a ta posłuŜyła się ręką.

— Nie — odparła. — Przepraszamy. Proszę wejść.

— Fantastycznie — wymamrotał męŜczyzna. — Jestem pastor Kimball, to moja Ŝona, pani Kimball, a to nasza córka Suzy. Przez

„z”. Nie skrót od Suzanne, tylko po prostu Suzy. Przywitaj się, Suzy.

— Dzień dobry — powiedziała Suzy i znów opuściła wzrok na bury.

— Jesteśmy baptystami — tłumaczył męŜczyzna, ruchem głowy

wskazując Matkę Boską. — Ale katolicy mieszkają w sąsiednim miasteczku, w Foley. Grałem kiedyś w piłkę z ich duszpasterzem, ojcem Ronem.

Francesca przedstawiła siebie i rodzinę, wymawiając nazwisko jako Cor-lee-own — nawet matka tak ostatnio robiła — i przygotowała się na pytanie o jego pochodzenie. Ale pytanie nie padło

S .

u

zy spoglądała to na jedną siostrę, to na drugą, wyraźnie zdezorientowana.

— Tak, jesteśmy bliźniaczkami — wyjaśniła Kathy. — Ona będzie z tobą mieszkać. Ja wyjeŜdŜam

do innej szkoły.

— Jesteście identyczne? — zapytała Suzy.

— Nie — odparła Kathy.

Suzy spojrzała z jeszcze większym zdziwieniem.

— Ona Źartuje — uspokoiła ją Francesca. — Oczywiście, Źe jesteŹmy identyczne.

MęŹczyzna zauwaŹył rogi byka. Dotknął ich. Były jak najbardziej prawdziwe.

— Suzy jest Indianką — oznajmił. — Tak jak wy.

— Została adoptowana — szepnęła kobieta.

— Ale nie jest z plemienia Seminolów — zapewnił i rozeŹmiał

się tak głoŹno, Źe wszyscy w pokoju podskoczyli.

— Nie rozumiem — bąknęła Sandra.

MęŹczyzna przestał się Źmiać, wzdychając jękliwie. Suzy usiadła przy biurku, które miało być jej, i popatrzyła na blat z formiki.

Francesca miała ochotę dać jej kwiaty, poczęstować winem, czekoladą albo czymkolwiek, co by ją rozweseliło.

— DruŹyna Florida State — wyjaśnił męŹczyzna. — To sŹ Seminole. — Udał, Źe rzuca piłkę. ZaŹmiał się jeszcze głoŹniej, a później równie nagle przestał.

— Naturalnie — rzekła Sandra. — To znaczy, jeśli chodzi o Indian. Ale my jesteŹmy Włoszkami.

MęŹczyzna i kobieta wymienili spojrzenia.

— Ciekawe — mruknął. — Cie-kawe.

— Tak — dodała kobieta. — To coŹ innego.

Francesca przeprosiła i powiedziała, Źe jej mama i siostra muszŹ juŹ

jechać, ale ona wróci za minutę i pomoŹe Suzy rozpakować manatki.

Jej matka wzdrygnęła się lekko, znów słysząc to słowo, lecz oczywiście nie poprawiła Franceski w obecności Kimballów.

Idąc do samochodu, Francesca i Kathy trzymały się za ręce. Źadna nie potrzebowała ani nawet nie mogła wydusić z siebie słowa.

— Chcesz, żebyś prowadziła, mamó?

Sandra otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę i kluczyki. Rzuciła je Kathy.

— Nie zajdź w ciążę — powiedziała Kathy.

Matka nie skomentowała tego ani nawet nie udała, że teatralnie mdleje.

Waspką też nie zostanę, pomyślała Francesca. Ani głupią blondynką. Ani siostrą żadnej innej dziewczyny. Ścisnęła dłoń Kathy

— . Nie psuj sobie wzroku czytaniem — rzuciła Francesca.

— Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła — przestrzegła Kathy.

— Może jestem tobą — odpowiedziała Francesca.

To był ich stary sekret. Zawsze się zastanawiały, jak matka odróżniała je, kiedy były niemowlętami. Zakładały, że zostały kilka razy

zamienione i dopiero wtedy, gdy trochę podrosły, mogły pilnować swoich

P c

o h

c

atłós

w a

a m

ły o

ś

sic

ęi .

w obydwie policzki, tak jak to robią mężczyźni i Kathy wsiadła do samochodu.

Kiedy Francesca uścisnęła matkę na pożegnanie, Sandra wreszcie zdołała to z siebie wydusić.

— Chciałabym tylko — szepnęła — Œeby twój ojciec tu był

i mógł was zobaczyć. — Cofnęła się z triumfalnym wyrazem twarzy. Spoglądała to na jedną, to na drugą bliźniaczkę. — Jego córce studentki. — Bardzo głośno wytarła nos.

— Tata nigdy nie lubił, kiedy płakałyśmy — przypomniała Francesca.

— A kto lubi, gdy rodzina płacze? — spytała Kathy.

— On sam teŜ za często nie płakał — przypomniała Francesca, wycierając twarz rękawem płaszcza.

— Œartujesz? — zdziwiła się matka. — Sonny? Był

największym dzieciuchem z nas wszystkich. Płakał w kinie, a kiedy usłyszał

starą, sentymentalną, włoską piosenkę, szlochał jak niemowlę. Nie pami

U ę

p tła

y c

nie

ęł?

o juŜ siedem lat i Francesca naprawdę nie pamiętała.

Odprowadziła

wzrokiem

roadmastera

sunącego

wąską

zatłoczoną uliczką z rosnącymi po obu stronach palmami. Kiedy samochód skręcił za rogiem, ruchem ust powiedziała „do widzenia”.

Nie mogła tego wiedzieć, lecz załoŜyłaby się o Œycie, Œe jej siostra zrobiła dokładnie to samo.

Rozdział 5

Nick Geraci usłyszał kroki zbliŜające się z ciemności po drugiej stronie opuszczonego kasyna. CięŜko zbudowany kulawy męŜczyzna w skrzypiących butach.

— Przykro mi z powodu twojej matki, chłopcze — rozległ

się głos.

Geraci wstał. To był Rechoczący Sal Narducci, sędziwy *consigliere* Forlenzy, ubrany w moherowy sweter z klinami w kształcie

diamentów. Kiedy Geraci dorastał, Narducci był jednym z tych męŹczyzn, którzy przesiadują przed Klubami Włosko-Amerykańskimi, paląc mocne czarne papierosy. Musiał dostać taki przydomek, to było nieuniknione. W miejscowym wesołym miasteczku

przy bramie stał manekin kobiety na motorze zwany Rechoczącą Sal. Jej nagrany na taŹmę śmiech brzmiał jak śmiech kobiety, która właśnie odbyła najlepszy stosunek w Źyciu. KaŹdy Sally, kaŹdy Salvat

— or

De

zi w

ę

k C

uj l

ęe

vel

— a

on

dd

p,

a a

rł n

Ga

ew

r e

a t

c

i. p

oło

— w

O a

d A

da ló

w w

na i

c k

h o

orb

o ie

wt

ałim

a. ien

M i

o e

Ŝ m

na

S

par

o a

wh

i

e—

dzi w

e s

ć,z

y

ŝ s

e tk

oi ch

b

y n

ł a

o zy

r w

zą a

d n

z o

e R

ni e

e ch

m o

ił c

o z

s ą
i c
ery
dm
zi i
a S
. alami.

Narducci objął go, a wypuszczając z objęć, obmacał delikatnie, choć oczywiście ochroniarze Falcone i Molinariego zrobili to już

w Detroit. Narducci odsunął ścianę. Rechoczący Sal zobaczył torbę, podniósł ją i skinął głową.

— Arizona też jej nie pomogła, co? — Położył torbę, nawet jej nie otwierając, jakby umiał ocenić ilość pieniędzy na podstawie wagi. Pół miliona w dziesiątkach waży pięć kilo bez trzydziestu deko. — Ście była daleko od tej zaszranego pogody?

86

— To z pewnością pomogło — odparł Geraci. — Podobało jej się tam. Miała basen i wszystko. Zawsze świetnie pływała.

Narducci zasunął ścianę.

— Jej rodzina pochodziła znad morza, z Milazzo, wiesz? Tak samo jak moja. Ale jeśli o mnie chodzi, to umiem przepłynąć najwyżej na drugą stronę szklanki whisky. Byłeś tam kiedyś?

— Po drugiej stronie szklanki whisky?

— W Milazzo. Na Sycylii.

— Na Sycylii owszem, ale do Milazzo nigdy nie dotarłem. —

Geraci był w Palermo w ubiegłym tygodniu. Załatwiał drobne sprawy personalne w związku z planem Indelicata.

Narducci położył dłoń na ramieniu Nicka.

— Tam, gdzie teraz przebywa, na pewno jest lepiej, jak powiadają.

— Tak powiadają — powtórzył Geraci.

— Jezu Chryste, ale ty wyglądasz. — Narducci ścisnął bicepsy Geraciego, jakby to były owoce, które zamierza kupić. — As Geraci! Wciąż mógłbyś zaliczyć dwadzieścia rund w Garden.

— Nie, moŜe z dziesięć, jedenaście.

Narducci się roześmiał.

— Wiesz, ile forsy straciłem na ciebie przez te lata? Sporą kupkę, przyjacielu, sporą kupkę.

— Trzeba było stawiać na przeciwnika. Ja zwykle tak robiłem.

— TeŜ próbowałem. Ale ty wtedy zawsze wygrywałeś. A co u twojego ojca? Jak się miewa?

— W porządku. — Fausto Geraci senior był kierowcą ciężarówki i działaczem związku zawodowego. Związany z organizacją,

ale nigdy do niej nie naleŜący, jeździł i wyświadczał róŜne przysługi ŝydowi. — Ma tam moją siostrę. — I Meksykankę w drugim końcu Tucson, o której jego zdaniem nikt nie wie. — Da sobie radę.

— A

l

Ee t

mę

e s

r k

ytni

u

r z

a a

np

i r

e a

cą

ws,
z je
y ś
stli
k ich
m c
e
słsz
u
ŝ z
y n
, ac
l
ep
ra
o w
n d
p ę
o .

winien dać sobie
trochę czasu.

Nick Geraci nie oczekiwał, ŝe kiedykolwiek stanie wobec tego problemu. Wchodzisz ŝywy, a wychodzisz martwy, rzekł Vito Corleone w czasie jego inicjacji.

— Jesteśmy gotowi? — spytał Nick.

— Tak. — Narducci klepnął go w tyłek i odprowadził przez kasyno. Geraci rozejrzał się, szukając

wyjścia awaryjnego, jakiejś klatki schodowej. Tak na wszelki wypadek.

87

— Kiedy to kasyno było czynne? — zainteresował się.

— W epoce włoskiej floty — odparł Narducci. Miał na myśli okres prohibicji, kiedy to na Wielkich Jeziorach operowała flotylla motorówek. — Teraz mamy statki. Najlepsza rzecz. Śaden miejscowy wypierdek nie ma środków, żeby zrobić najazd na statek.

Poza tym goście całą noc spędzają na jeziorze. Wystarczy zapewnić im jakiś występ, parę pokoi z dziewczynami, a później odstawić do samochodów. Oddają ci wszystkie swoje pieniądze i są z tego powo

R du

z isz

n c

a zę

Stórli

a w

cci.

ch miała ogromne pokątne kasyna w Palisades w Jersey, lecz według wiedzy Geraciego Śadna z nowojorskich rodzin nie posiadała takich pływających kasyn na statkach. MoŜe naleŜałoby się nad tym zastanowić, kiedy pokój zapanuje na dobre i sytuacja się uspokoi.

— Poza legalnymi lokalami w Vegas i Hawanie na lądzie nie mamy niczego — stwierdził Narducci.

— Nie licząc tego w Wirginii Zachodniej, ale on jest niewaŜny. MoŜna by wykupić cały ten

stan z

W a

p

r m

o n

w i

aej

d ,

z in

ł iŚ

G t

eu

r t

aa

cji w

eg y

o n

o

d s

o i

r

cia

ech

mu

n n

e e

g k

o za

wi o

l g

g r

otze
n w
g a
o n
i
p e
o.

mieszczenia

i otworzył drzwi starej klatkowej windy.

— OdpręŜ się, chłopcze — uspokoił go Narducci. — Kto by tu chciał cię zabić?

— Jeśli odpręŜę się jeszcze bardziej, to będziesz musiał otulić mnie kocem i poczytać bajeczki.

Weszli do środka. Narducci uśmiechnął się i nacisnął guzik. Ale spostrzeŜenie było słuszne. Tak właśnie nauczono Geraciego: windy to śmiertelne pułapki.

— Trochę z innej beczki — zaczął Narducci. — Muszę o to zapytać. Jak wielki *cafone* taki jak ty przemknął się przez wydział

prawa?

— Znam ludzi. — Zawdzięczał to tylko sobie, chodził do szkoły wieczorowej, szorował tyłkiem o ziemię. WciąŜ jeszcze uczęszczał

na kilka zajęć. Ale Nick Geraci wiedział, jak naleŜy odpowiadać na pytania. — Mam przyjaciół.

— Przyjaciół — powtórzył Narducci. — Brawo, chłopcze. —

PołoŜył ręce na ramionach Geraciego i przesunął po nich gestem ulicznego gangstera.

Drzwi się otworzyły. Geraci spiął się w sobie. Weszli do wyłoŜonego dywanem ciemnego korytarza z krzesłami, sofami i małymi

rzeźbionymi stolikami, które warte były pewnie tyle co futro 88

z nerek. Na końcu korytarza znajdowała się jasna sala z marmurową posadzką. Młoda rudowłosa pielęgniarka pchnęła w stronę przybyłych fotel na kółkach z Vincentem „sydem” Forlenzą. Narducci wyszedł po Falcone i Molinarięgo.

— *Padrino* — rzekł Geraci. — Jak się czujesz? — Forlenza mówił, a jego mózg prawdopodobnie działał bez zarzutu, lecz nigdy więcej nie będzie chodził.

— Ech, co ci lekarze wiedzą — Śachnął się Forlenzą.

Geraci pocałował go w oba policzki, a później w pierścień.

Forlenzą był jego ojcem chrzestnym.

— Świetnie się sprawiłeś, Fausto — pochwalił Forlenzą. —

Słyszę dobre rzeczy.

— Dziękuję, ojcze chrzestny — odparł Geraci. — Trafiliśmy na wyboistą drogę, ale robimy postępy.

Forlenzą uśmiechnął się krzywo. Jego dezaprobata była łagodna, lecz wyczuwalna. Sycylijczyk nie posiada amerykańskiej wiary w postęp i nie używa tego słowa w sposób, w jaki użył go Geraci.

Forlenzą wskazał gestem stół przy oknie. Burza rozszalała się na dobre. Pielęgniarka przysunęła fotel do stołu i została odprawiona. Geraci nadal stał.

Narducci wrócił w towarzystwie pozostałych donów i ich ochroniarzy, którzy odświeżyli się po sensacjach doznanych w powietrzu,

ale wciąż wyglądali blado. Frank Falcone wtoczył się z wyrażają-

cym wszystko ciężkim spojrzeniem, pustym jak spojrzenie krowy.

Molinari zgodnie z planem powiedział mu, kim jest Geraci. Falcone wskazał obrazy przedstawiające mężczyzn w *długich odpurach* i blade, krępe

— ko

P b

a i

ń e

s t

c y w

z

n ti

a a

j r

o ac

mih

, ·

don Forlenzą?

— Te malunki przejąłem wraz z domem. Anthony, Frank.

Pozwólcie, Œe przedstawię wam *amico nostro*. — Naszego przyjaciela. Mój przyjaciel był tylko współpracownikiem. Nasz przyjaciel

to juŒ

—

jes

N t

a

zk

yto

wŒ

a.j —

cie Fau

m s

n t

i o

e Do

Ni m

c i

k n

ick

— G

r e

z r

eac

kł i , jr

G .

eraci do Falcone i

Molinarięgo.

— Dobry chłopak z Cleveland — ciągnął Forlenzę. — As, jak go nazywaliśmy, który prowadzi teraz interesy w Nowym Jorku.

Mogę teŜ z dumą powiedzieć, Őe jest moim chrześniakiem.

— My juŜ się poznaliśmy—powiedział Falcone.—Mniej więcej.

— Ej, Frank, jestem pewien, Őe potrafisz zrozumieć dumę męŜczyzny ze swojego chrześniaka.

89

Falcone wzruszył ramionami.

— Pewnie.

— Panowie — rzekł Geraci — Przynoszę wam pozdrowienia od dona Corleone.

Forlenza spojrział na ochroniarzy i wskazał na Geracieęgo.

— Dalej, róbcie swoje.

Geraci rozłóŜył ręce, Őeby ułatwić przeszukanie, choć oczywiście zrobiono je juŜ w Detroit. Jeszcze raz i będzie tak, jakbyśmy ze sobą chodzili, pomyślał. Tym razem jednak rewizja była dokładna, z włoŜeniem ręki za koszulę i pod gumkę od majtek — ochroniarz sprawdzał, czy Geraci nie ma przy sobie urządzenia na-grywającego. Kiedy skończyli, dwóch kelnerów z białymi włosami, w muszkach, przyniosło kryształową tacę z *biscotti all'uovo*, miseczkami truskawek i krojonych pomarańczy oraz parującymi szklanymi kubkami cappuccino. Postawili przed Forlenzą srebrny dzwonek i wyszli.

— Ich teŜ przejąłem wraz z domem. — Forlenza wypił łyk cappuccino. — Zanim zaczniemy, musicie zrozumieć, Őe decyzja o zaproszeniu wysłannika dona Corleone była wyłącznie moja.

Geraci w to wąpił, lecz nie mógł mieć pewnoŝci.

— Bez urazy, Vincent — odezwał się Falcone — i ty jak ci tam Geraci. Bez urazy, ale wciąż nie mogę przywyknąć do nazywania tego małego *pezzonovante* Michaela donem Corleone. — Falcone utrzymywał związki z rodziną Barzinich i związkwcem z Hollywood, niejaki Billym Goffem, którego Corleone podobno wyrolowali. Na domiar wszystkiego obrastał w piórka w Chicago pod egidą Capone.

— Frank — powiedział Molinari — proszę. To do niczego nie prowadzi.

Forlenza poprosił wszystkich, ŝeby usiedli. Narducci zajął

skórzany fotel kilka metrów dalej, a ochroniarze miejsca na sofie pod

przeciwną ścianą. Wszyscy zauważyli, ŝe pielęgniarka bez pole

F c

a e

l n

c i

o a

n o

e d

g wria

z c

da

n s

ą i

ł ę

c i

i

cw

h y

o c

. hodzi z sali.

— To przez ten biały fartuch. Obojętnie jaka babka mogłaby to włoŚyc, a ja przygiąłbym ją nad wózkiem, zadarł kieckę i bzykał

jak szalony. Za kaŚdym razem, gdy idę do szpitala, kutas tak mi staje i nie chce opaść, Śe muszą mi podawać dodatkową krew.

— Frank — mruknął Molinari.

— No co? śartować z tobą to strata czasu.

90

Forlenza zapytał Molinariego i Falcone o ślub córki Zaluchiego i syna Pete'a Clemenzy, który nie był zaangaŚowany w interesy *per se* (budował centra handlowe). Oni zaś spytali, jak to moŚliwe, Śe chłopak z Cleveland skumał się z Corleone. Geraci wyjaśnił, Śe kiedy okazało się, iŚ jego kariera bokserska się nie rozwija, a on tkwi w Nowym Jorku z Śoną i dziećmi, jego ojciec chrzestny wykonał kilka telefonów. Twarz Falcone przybrała bardziej normalny wyraz. Forlenza odchrząknął w sposób, który był

przywołaniem wszystkich do porządku, a następnie pociągnął długi łyk

wody

— i z

S a

a c

n z

g ą

uł :

sciura sangu. Krew woła o krew. To hasło zrujnowało naszą tradycję na Sycylii. Niekończąca się spirala wendety sprawiła, Śe nasi przyjaciele, którzy tam zostali, są obecnie słabsi niŚ

kiedykolwiek w tym stuleciu. Tymczasem tu, w Ameryce, kwit-niemy jak nigdy. Jest dość władzy, dość pieniędzy dla wszystkich.

Prowadzimy legalne interesy na Kubie i, zwłaszcza jeśli chodzi o rodziny dziś reprezentowane tutaj, w Nevadzie. Ilość pieniędzy, które możemy w ten sposób zarobić, jeśli możemy być szczerzy, ograniczona jest tylko naszą wyobraźnią i... — Forlenza podniósł

palec — naszą nieszczęsną tradycją wsiadania do rozpędzonego pociągu wendety, wiozącego nas w otchłań niepamięci.

Forlenza spojrział na biały sufit i mówił dalej po sycylijsku, który to język Geraci rozumiał, choć nie potrafił nim mówić.

— Możemy są w tym pomieszczeniu ludzie, którzy wiedzą, kto odpowiada za zabójstwa w Nowym Jorku. Zmierzył Geraciego, Falcone i Molinarię spojrzeniem dokładnie tej samej długości, a potem upił znacząco długi łyk cappuccino. — Emilio Barzini, wielki człowiek i jeden z moich najstarszych, najdroższych przyjaciół, został zabity. Phillip Tattaglia nie żyje. — Przerwał, by zjeść

małutkie *biscotti*, podkreślając jednocześnie wszystko, co sugerowało brak pochwał dla słabego płacznego dona Tattaglii.

—

Zginął najstarszy, najmądrzejszy *caporegime* Michaela Corleone, Tessio. Szwagier dona Corleone, ojciec jego chrześniaka, również

został zabity. Zginęło także pięciu innych *amici nostri*. Co się stało? Możemy któryś z was wie? Jeśli o mnie chodzi, nie wiem. Moje źródła mówią mi, że Barzini i Tattaglia rozgniewali się, iż sędziowie i politycy należący do Corleone zapewniają taką słabą ochronę ich narkotykowemu interesowi, wyruszyli przeciw Corleone i zginęli w odwecie. Być możemy. Inni twierdzą, że Michael Corleone zabił

Barzinich i Tattagliów, bo chciał przenieść swoją bazę operacyjną 9 1

na zachód, tak by nie wyglądało to na oznakę słabości. To niewykluczone, oczywiście. Czy to możliwe, że jesteśmy świadkami

zemsty za wydarzenia sprzed siedmiu lat, gdy to zginęli najstarsi synowie Vita Corleone i Phillipa Tattaglii? Czemu nie? W takich sprawach siedem lat to czas tak krótki jak machnięcie rybiego ogona. Albo... — Forlenza wziął do ust kolejne ciasteczko i gryzł

je powoli — ...możemy... kto wie... wszystko to jest spisek donów Stracciego i Cunea, których rodziny nigdy nie miały takich wpływów jak Barzini i Corleone. Możemy chcą przejąć kontrolę nad Nowym Jorkiem? Ich błyskawiczne negocjacje pokojowe w oczach wielu ludzi wzmocniły to przypuszczenie. Nawet gazety oddają się tym szalonym spekulacjom i propagują je wśród głupich mas jako

T f

e a

kt.

s

łowa wywołały znaczący śmiech wśród obecnych.

Informacje podawane przez gazety były sterowane. Bazą Straccich był

stan New Jersey, klan Cuneo rządził zaś północną częścią stanu Nowy Jork, gdzie miał największą firmę mleczarską w regionie (właśnie z tego powodu Ottilio Cuneo zyskał przydomek „Leo Mleczarz”). Ani jeden, ani drugi nie był dość silny i ambitny, by porwa

— ć s

A ię n

m a

o

Śtr

e z

y si

— ln

pie

o j

dsjz

ą e

ł ro

F d

a z

l i

c n

o y

n .

e po angielsku — kto wie?

Wszystkich ich zabili Corleone.

Geraci był prawie pewny, że Falcone byłby zaskoczony, gdyby dowiedział się, iż jego gniewny domysł jest w stu procentach tramy.

— Nawet swoich własnych ludzi? — zdziwił się Molinari.

Mimo że był przyjacielem Corleone, prawie na pewno nie wiedział, co naprawdę zdarzyło się w Nowym Jorku. — Daj spokój, Frank.

Falcone wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Jestem jak Vincent, nie mogę rozplatać tej zasranej sprawy. Słyszę tylko, jak ludzie gadają i tyle. Ale choć słyszę, że don Vito, niech spoczywa w pokoju, przysiągł na swoje życie, że nie będzie się mścił za śmierć syna, jak mu tam...

— Santino — podpowiedział Geraci.

— Wiadomość z innego kraju. — Falcone podniósł kubek cappuccino w drwiącym toaście. — Dzięki, O'Malley. Taak, Santino. Don Vito przyrzekł, że nie będzie się mścił ani nawet o tym

myślał. Zrozumieliśmy to tak, że jego rodzina nie będzie tego robić, ale widzicie, że wszystko to było tylko takie gadanie. Miał

na myśli, że nie zrobi tego osobiście. Vito się usunął, żeby Michael mógł uknuć zemstę i przeprowadzić ją, jak tylko stary umrze.

92

— Wybacz — przerwał mu Geraci. — Ale to nie było takie sobie gadanie. To nie tak się stało.

— Vincent, dlaczego spośród nowojorskich rodzin są tutaj reprezentowani tylko Corleone? — zapytał Falcone. — Czemu odbywam tę naradę z waszą dwójką i czyimś nieopierzonym *soldato*, he? Nawet twój *consigliere* nie usiadł przy stole.

— Nikt nie nazwał tego spotkania naradą— odparł Molinari. —

Po prostu zebrali się kilku przyjaciół, żeby obgadać niektóre sprawy. Gdy tylko poprawi się pogoda, może don Forlenza poproszy nas o kije i pogramy w golfa...

— Bardzo wygodny fotel — stwierdził Narducci, pocierając rękami oparcie.

— ...albo wypłyniemy łódką na ryby — dokończył Molinari. —

Może zrobimy sobie koktajl z twoją pielęgniaczką i spędzimy urocze popołudnie na dupczeniu.

Falcone ściągnął brwi.

— Ja tak tego nie robię. *In culo?* Czy ktoś powiedział, że jestem taki?

— Czuły punkt, co? — zadrwił Molinari.

Don Forlenza dopił cappuccino i postawił kubek tak mocno, że pękł. Nikt przy stole nie zareagował. Z początku nikt nawet nie ruszył się, żeby posprzątać szkło.

Otworzyły się drzwi. Ochroniarze zerwali się na równe nogi.

Weszło dwóch ludzi Forlenzy. Rechoczący Sal dał im ręką znak, żeby wyszli. Odwrócili się i zniknęli za drzwiami.

— Nie jesteśmy małymi łebskimi policjantami, którzy rozwiązują zagadki kryminalne — rzekł Forlenza. Słowo

„kryminalne”

wymówił tak, jakby to była świeża kocia kupa, która jakoś trafiła do jego ust. Przeszedł na sycylijski. — Mam własne kłopoty i rozumiem.. — Tu wskazał Falcone i Molinarię — że wy te

Mam kłopoty w Cleveland, nie dotyka to nikogo w Nowym Jorku.

Nikogo stamtąd to nie dotyczy. Kłopot jest mój i tak powinno być.

Ale jeśli Nowy Jork ma kłopoty — co zdarza się za często — które nijak mnie nie obchodzą, to stają się one moimi kłopotami. W

gazetach pełno jest spekulacji. Policja naprzykrzała się naszym przyjaciółom daleko od miejsc zbrodni w Nowym Jorku —

przesłuchiwali nawet naszych wspólników, ludzi zajmujących się pieniędzmi, prowadzących firmy, słupów naszych inwestycji. Są w Waszyngtonie osoby, które naciskają na FBI, żeby odsunąć agentów od wojny z komunizmem i posłać ich tropem naszym

i naszych interesów. Senatorowie straszą, że zaczną się przesłuchania. Urząd skarbowy może wziąć na cel nawet nasze legalne firmy. Moje wnuki chodzą do college'u, kupują pierwsze domy, ile miałem komplikacji tylko z tego powodu, że chciałem przekazać im pieniądze...

Napił się wody. Wszyscy patrzyli z uwagą, jak ostro stawia szklanę.

— Sami wiecie. Miliony dolarów strat w interesach. U was musi być to samo.

Falcone zaczął ustawiać małą konstrukcję z ciastek, truskawek, skórek pomarańczy i kawałków szkła.

— Mamy cztery troski — ciągnął Forlenza, wyciągając rękę, by wyliczyć powody owych trosk. To był jego ulubiony gest.

Forlenza miał cztery powody do wszystkiego. Cztery powody, dla których sdydzi są źle rozumiani. Cztery powody, dla których —

duma na bok — Joe Louis znokautowałby Rocky'ego Marciano.

Cztery powody, dla których cielęcina jest lepsza od polędwicy.

Gdyby don Forlenza urodził się z dwoma dodatkowymi palcami, miałby sześć powodów do wszystkiego.

— Po pierwsze — rzekł po angielsku, zginając palec wskazujący — Nowy Jork. Trzeba pomóc im zrozumieć, że nasze organizacje mogą znieść wszystko oprócz walki wewnętrznej, że wszyscy

utrzymamy niepewny pokój, który osiągnęliśmy, po prostu go przes

Wtr

s z

z e

y g

s a

c j

y ą

c

s .

kinęli głowami, nawet Geraci.

— Po drugie — palec środkowy — Las Vegas. Siedem lat temu siedzieliśmy w pięknym banku w Nowym Jorku i zgodziliśmy się, że Las Vegas będzie otwarte dla nas wszystkich. Miasto przyszłości, w którym każda rodzina będzie mogła prowadzić interesy. A teraz Corleone otwierają tutaj główną kwaterę...

Geraci otworzył usta, lecz Forlenza skinął na niego palcem.

— ...a grupa z Chicago nagle uważa, że przejęła kontrolę nad haraczami.

— Świński Ryj — mruknął Narducci z pustym spojrzeniem.

— Powinieneś wiedzieć — powiedział Falcone, dodając truskawki i szkło do stosiku — Œe on nie lubi, kiedy się go tak nazywa. — Luigi Russo, który rządził w Chicago, wolał być nazywany

Louie. Barwniejszy przydomek (który gazety musiały podawać w skróconej formie „Ryj”) dostał od dziwki, która twierdziła, Œe jedynym rodzajem seksu, jaki Russo chciał z nią uprawiać, było 94

wsadzanie wielkiego nosa w jej cipkę. Jej pozbawione głowy zwłoki znaleziono na brzegu jeziora od strony Michigan. Głowy nie odnaleziono nigdy.

— Trzeci powód — mówił dalej Forlenza, zginając palec z sygnetem — to Chicago.

Geraci zerknął na Falcone, którego interes stanowił kiedyś zaledwie część organizacji w Chicago. Œadnej reakcji. LeŜały juŜ

przed nim wszystkie kawałki szkła, które znajdowały się na stole.

— Kiedy spotkaliśmy się przed siedmioma laty, Chicago nawet nie zostało zaproszone — dokończył Forlenza. — MoŜecie to sobie wyobrazić?

Kiedyś nowojorskie rodziny, pragnące utrzymać wzrost potęgi Capone z dala od nich, zgodziły się, Œe wszystko, co leŜy na zachód od Chicago, naleŜy do Chicago. W Nicku Geracim wciãŜ było dość clevelandczyka, by wiedziać, Œe taki plan mógł mieć sens tylko dla kogoś z Nowego Jorku. Capone upadł i zapanował brutalny chaos.

Los Angeles i San Francisco się rozdzieliły. Nowojorczyk Moe Greene miał sen, który przeobraził się w Las Vegas. Uznano je za otwarte miasto, w którym Chicago nie ma nic do powiedzenia. Po tym, jak Greene został zabity, rodzina Corleone przejęła jego kasyno i zbudowała Zamek na Piasku, lecz największą siłą w mieście była koalicja rodzin z Północnego Zachodu, której przewodziło Detroit i Cleveland. Chicago miało w tej koalicji swoje przyczółki (podobnie jak rodzina Corleone, choć tylko kilka), i Louie Russa dawał głoŒne sygnały, Œe chce mieć większy udział w rządach.

Chicago

znów było zjednoczone i z dnia na dzień rosło w siłę. W obliczu chaosu, w jakim pogrãŜył się Nowy Jork, wielu uwaŜało Russo za najsi

F l

on

r i

l ejs

n z

z ą

a p

z o

n s

i t

eać

d

o am

wi e

erry

z k

a a

ni ń

e sk

m ie

p j

o p

k r

r z

ę e

c s

ilt ę

gp

ł c

o zo

w ś

ą. c

i zorganizowanej.

— Nowojorskie rodziny powiedziały, że rezygnują z prób ucywilizowania Chicago. Wtedy ludzie nazywali tych z Chicago czarną

owcą

— . Wśc

y i

k e

a k

stłry

om

wi

a p

n s

yam

mi i.

kurczakami — dodał Molinari, nawiązując

do dosłownego znaczenia nazwiska Capone.

— Banda zwierzaków — rzucił Rechoczący Sal.

Falcone przyklepał boki konstrukcji, wzmacniając ją. Była wysoka prawie na dwie dłonie. Pochylił się, jakby chciał dojrzeć swoje odbicie w którymś z większych kawałków szkła.

— I czwarty powód — mały palec — narkotyki. — Przy tym słowie Forlenza osunął się na fotel. Wyglądał na zmęczonego.

95

— Narkotyki? — zdziwił się Molinari.

— Och — sapnął Narducci.

— Tylko nie to — jęknął Falcone.

Geraci starał się powstrzymać od jakiegokolwiek reakcji.

— Tak, to stara zagadka, ale wciąż nierozwiązana — ciągnął

Forlenza. — To największe zagrożenie dla naszych organizacji.

Jeśli my nie weźmiemy tego pod kontrolę, zrobią to inni i możemy stracić władzę, ale jeśli...

— Jeśli to zrobimy — wpadł mu w słowo Falcone — co nie znaczy, że jeszcze tego nie robimy — gliny nie będą odwracały głowy jak wtedy, gdy chodzi o hazard, kobiety, związki i tym podobne. Daj spokój, Vincent. Naucz się jakiejś nowej śpiewki, co? Rozejrzyj się. Przemyt gorzały to był mały raj... — W tym momencie uderzył piorun, doskonale synchronizując się ze słowem

„raj”. — Twój mały raj, w którym świetnie ci poszło, i *salu'*. Ale dla ludzi z mojego pokolenia rajem są narkotyki. Co będzie nim dla następnego, tego nikt nie wie.

Narducci mruknął coś pod nosem. Geraciemu zdawało się, że zabrzmiało to jak „marsjańskie dziwki”.

— Wielu z nas — rzekł Forlenza — składając przysięgę, przysięgę na świętych naszych rodzin, mówiło, że nie wplączę się w narkotyki. — Wskazał na stosik ciastek, owoców i szkła wznoszący się przed Falcone. — Co robisz?

— Zajęcie dla rąk, to wszystko — odparł Falcone. — Vincent, kocham cię, jakbyś był moim ojcem chrzestnym, naprawdę, ale musisz być teraźniejszością. Na Zachodzie wszystko mamy ustawione, nie do przebiccia — szeregi ludzi między tymi, co biorą

—

czarnuchami, Meksykanami, artystami, gwiazdami i gwiazdora-mi — tymi, którzy im sprzedają i tymi, którzy sprzedają im. I tak dalej, i tak dalej. Tak jak w każdej innej działalności, i sprawdza się bez pudła. Gliny czy ktokolwiek inny mogą nam trochę zaszkodzić, zwłaszcza w tak trudnych czasach jak teraz, ale ile rzeczy musiałoby pójść źle, żeby któryś z nas wpadł w prawne tarap

G a

e try

a ?

c iZ

ap

wi o

e m

dzn

i i

ajł ,o

t

Ŝy

e m

.

r N

od i

ze

i m

na a s

z zan

Cl s

e .

veland ma jakieś udziały

w narkotykach, ale zadowala się datkami i zostawia większość dochodów Murzynom, Irlandczykom i różnym innym. Po prohibicji Cleveland zajęło się po prostu tym, co zostało, czyli hazardem oraz związkami i rozwinęło te interesy. Nie była to organizacja otwarta na nowe pomysły ani nawet na nowych ludzi. Ojciec 96

Geraciego powiedział kiedyś, Ŝe upłynęło ponad dziesięć lat od czasu, gdy w Cleveland przyjęto do klanu nowego członka.

Forlenza ciągnął swój wywód, powtarzał się: wódka to co innego, bo gliniarze pili i nie chcieli naprawdę niszczyć handlu. A narkotyki to co innego.

Falcone sięgnął pod stół, podniósł z podłogi odłamek szkła i popatrzył na niego pod światło.

dypłomatycznie, że Forlenza może mieć nieco naiwne wyobrażenie o charakterze dzisiejszego młodego gliniarza z ulicy.

— Dość tego — uciął Forlenza, po czym wsunął palce do ust i gwizdnął. Zjawili się kelnerzy. Forlenza wskazał szkło i ciastka.

— Zabierzcie to.

— Czyja powiedziałem, że chcę, aby to sprzątnęli? — Falcone odłoczył kawałek szkła i spojrzał na kelnerów. — Spróbujcie to ruszyć, a rozwalę wam te zasrane łby.

Chicago wypisz, wymaluj, pomyślał Geraci. Chicago w pigułce.

Kelnerzy stanęli nieruchomo. Ten po prawej stronie, z gęstymi siwymi włosami, o słowiańskich rysach, zrobił się blady jak koszula. Ten po lewej, z grzywką białych włosów i wąsami czarnymi jak opona, odwrócił się twarzą do Forlenzy, przechylając lekko głowę.

— Zabierzcie to — powtórzył Forlenza.

— Tylko spróbujcie. — Falcone wziął ostatnie *biscotto* i umieścił na szczycie budowli jak wiśnię na torcie.

— Mam wnuka, który chodzi do jakiejś drogiej szkoły —

powiedział Narducci. — Też robi takie rzeźby. Powinniście się poznać.

— Taak? — Falcone odwrócił się na krześle i spojrzał na niego. — Gdzie?

— Gdzie powinniście się poznać czy gdzie chodzi do szkoły?

— Gdzie ta szkoła?

Narducci wzruszył ramionami.

— Ja tylko płacę. Dla mnie jedno przedszkole jest takie samo jak drugie.

Falcone zerwał się i rzucił w stronę starego *consigliere*. Geraci, nie ruszając się z miejsca, rąbnął Falcone prosto w podbródek.

Głowa Falcone odskoczyła w tył. Zachwiał się i runął na podłogę, ochroniarze skoczyli w stronę stołu. Geraci wstał. Zdawało się, że czas stanął w miejscu. Amatorzy mają tak słabą pracę nóg, że nie spodziewał się długiego starcia.

Molinari parsknął śmiechem. O dziwo, to samo zrobił Falcone, leżąc na podłodze. Ochroniarze stanęli. Geraci się nie poruszył.

— Przedszkole — parsknął Molinari. — To zabawne.

Falcone wstał, pocierając szczękę.

— Niezły cios, O'Malley. I to na siedząco.

— Odruch — rzucił Geraci. Narducci nawet nie podziękował.

— Przepraszam. Nic ci się nie stało?

Falcone wzruszył ramionami.

— Zapomnij o tym.

— Co chciałeś zrobić, pobić starca? — spytał Molinari.

— Nie byłby to pierwszy raz — odparł Falcone i wszyscy się roześmiali. Geraci usiadł, ochroniarze zrobili to samo. — Gównu mnie to obchodzi. Zabierajcie.

Kelnerzy z widoczną ulgą rzucili się do roboty. Ten z farbowanymi wąsami zachował nawet dość opanowania, by po chwili

wróci

— ć

i

C n

z a

y p

me

ł

cn

hić

ci s

a z

ł k

eśl a

r n

o k

z ę

w k

ala

i Ŝ

ć d

i eg

m o

ł

bw

y,o

d

F ą

r .

a nk? — zapytał Forlenza.

— Figura retoryczna — oznajmił Falcone, wywołując kolejną salwę śmiechu.

Geraci czekał na okazję, Ŝeby powiedzieć, z czym przybył.

Okazja pojawiła się teraz. Zerknął na ojca chrzestnego.

Forlenza skinął głową. Znów odchrząknął, by przywołać wszystkich do porządku, nastąpiła chwila ciszy, w czasie której z władcym majestatem niespiesznie napił się wody.

— Panowie — rzekł — nasz gość niestety musi nas opuścić. —

Wszyscy zrozumieli, Ŝe powinien odejść, zanim zacznie się oma-wianie pewnych spraw, a nie, Ŝe

ma odejść, bo musi być gdzie indziej. — Ale przybył z bardzo daleka i zanim odejdzie, chciałby powiedzieć parę słów.

Geraci wstał, by zwrócić się do przełożonego. Podziękował don Forlenzy i obiecał, że nie będzie mówił długo.

— Choć jestem zaszczycony, że mogłem siedzieć przy tym stole — zaczął — don Falcone ma rację. To nie jest moje miejsce.

Jak zauważyłeś... — Wskazał na Falcone, pamiętając o Tessiu, który zawsze podkreślał naturalną przewagę, jaką daje fakt, że jest się niedocenianym — jestem tylko czymś nieopierzonym *soldato*. — Było to kłamstwo, ale pierwszy wypowiedział je Falcone.

Narducci wymamrotał coś, lecz tym razem tak cicho, że Geraci nie mógł odgadnąć co.

— Organizacja Corleone nie jest zagrożeniem dla Sądowego 98

z was, zapewniam — ciągnął. — Michael Corleone pragnie pokoju.

Jest zdeterminowany, by to zawieszenie broni stało się pokojem i w tym celu podjął pewne kroki. Nigdy nie miał zamiaru rządzić Las Vegas. Po trzech lub czterech latach w tej tymczasowej siedzibie rodzina Corleone przeniesie się do Tahoe. A w zasadzie przestanie istnieć. Nasze interesy w Nowym Jorku będą funkcjonować w jakiejś formie, ale w Tahoe wszystko będzie kierowane

przez Michaela Corleone w taki sam sposób jak przedsięwzięcia każdego innego amerykańskiego magnata przemysłowego: Carne

— gie

Pr g

a o,

w F

ni o

k r

da

— , H

m u

r g

u h

k e

n s

ą ła

c

Nz

ay

r k

d t

u ó

c r

c e

i, g

o

p k

r o

a l

ww

d i

oek

p

o in

d n

o e

b g

ni o

e .

na dźwięk

słowa „któregokolwiek”.

— Rodzina Corleone — mówił Geraci — nie będzie w przyszłości przyjmować nowych członków.
— Co należało rozumieć,

że od dzisiaj. — Michael Corleone zrezygnuje z naszego stylu życia i zrobi to w sposób świadczący o szacunku dla innych organizacji, który może też stać się wzorem dla każdego z nas, chcącego z własnej woli wstąpić na podobną drogę. — Przysunął

krzes

O ł

do

c d

z o

e

k s

a tło

ł

c u

h . —

wilę P

. an

Fao

l w

coie

n,
e je
i śl
F i
o n
r lie
e
n m
z a
a c
s ie
p
o p
j y
r zta
e lń
i .
..

n a Molinarięgo,

który bardzo powoli mrugnął powiekami. Jako znany przyjaciel rodziny Corleone był najodpowiedniejszą osobą do zabrania głosu i wyrażenia opinii.

— Wobec tego wyjdę zobaczyć, jaka jest pogoda — powiedział

Geraci. — W razie gdyby...

— Do diabła z pogodą — rzucił Falcone. Postawił sto tysięcy na walkę. — Kiedy przyjdzie czas, mądralo, polecimy z tobą.

Narducci mruknął coś, co zabrzmiało jak „wola Boga”.

— Pieprzyć Boga — palnął Falcone. — Nie zrozum mnie źle, Vincent, ale nie zamierzam tkwić...

— Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze — uspokoił go Geraci i wyszedł.

Tom Hagen wrócił do pokoju, żeby poczekać. Cisnął na łóżko nieużywany rakieta za trzysta dolarów. Nie zdjął koszulki tenisowej, ale zamienił szorty na krótkie spodenki i tenisówki na mokasyny.

Z okna pięknego klimatyzowanego pokoju widział dwa rozległe zielone pola golfowe, na których jaskrawo ubrani mężczyźni śmiali się i popijali koktajle. Dwadzieścia lat temu były tam tylko kaktusy

i piasek. W środku dnia każdy, kto się tam znalazł, umierał z gorąca, głodu i pragnienia, a w górze krążyły ochoczo jastrzębie. A teraz słuchający rozwozili wózkami zimne piwo i świeże ręczniki. Hagen przypomniał sobie opowieści o starożytnym Rzymie, w którym cesarze chłodzili latem pałace cięskim, roztopiającym się śniegiem, znoszonym tonami przez niewolników ze szczytów gór. Inni niewolnicy stali dzień i noc obok stosów śniegu, pocąc się i machając

wielkimi papirusowymi wachlarzami. Dla króla Saden zakątek świata

Hta

a

gn

e ie

n je

z s

a t

d n

z ie

w g

o o

niś

ł c

in

d n

o y.

r

repcji i kazał się zawiadomić, kiedy

przyjedzie po niego samochód. Budzenie zamówił na trzynastą czterdzieści pięć.

O tej godzinie go obudzono. Był głodny. Nie cierpiał późnych lunchów. Minęła druga. Hagen zadzwonił do recepcji. „Nie, sir, nikt o pana nie pytał”.

Odłóżył słuchawkę i patrzył na nią, jakby chciał zmusić ją do zadzwonienia, niczym durny wyrostek czekający na telefon od ukochanej. Podniósł słuchawkę i poprosił operatorkę, żeby połączyła go z biurem Mike'a. Nikt nie odebrał. Zadzwonił na domowy

numer Mike'a. Gdyby spotkanie z ambasadorem było mniej ważne, Hagen już siedziałby w samolocie lecącym do domu. Odpowiedział

ojciec Kay. Michael i Kay pojechali na lunch z okazji rocznicy ślubu. Tom zapomniał. Porozmawia z Mike'em później. Potem zadzwonił do domu i powiedział, że dotarł na miejsce i wszystko jest w porządku. Theresa płakała, bo ich artretyczny jamnik, Garbanzo, uciekł. Dzieci zrobiły ulotki i rozprowały je po dzielnicy, a teraz szukają ulubieńca. A jeśli pies zabłąkał się na pustynię? Grozi mu tam tyle śmiertelnych niebezpieczeństw: kojoty, pumy, węże, pragnienie. I nie zapominaj o tym, że jutro ma być próba atomowa. Hagen próbował uspokoić Sonę. Zapewnił ją, że cierpiący na artretyzm jamnik nie zdołałby wydostać się z dzielnicy, a tym bardziej pokonać stu kilometrów dzielących miasto od miejs

H c

a a

g

ep

nr ób

s n

p e

o g

jro

z w

ał yb

nu

a c

hu

r .

a

kietę, którą można było dostać za

dwadzieścia dolarów w każdym sklepie, o wiele gorszą od tej, którą

miał

w domu. Oczywiście widział swojego brata Sonny'ego, wściekającego się na taki pokaz arogancji. Sonny zamówiłby wszystko, co było w karcie, zjadłby to, na co miał ochotę, a na resztę nasikał. Później rozwaliby rakietę i zdemolował pokój, obciążając kosztami ambasadora — nie przyjmujemy gotówki, 100

musi pan podpisać — i ruszył w drogę powrotną do domu.

Hagenowi zaburczało w brzuchu. Uśmiechnął się. Tęsknił za Sonn

Z y

a m

dz .

wonił telefon. Kierowca czekał.

Hagen zszedł na dół, ale nie było tam samochodu. Zapytał

parkingowego i dowiedział się, że od dłuższego czasu nikt nie przyjeżdżał. Hagenowi waliło w głowie. Zapomniał okularów przeciwsłonecznych. Mruczenie oczu bolało. Kiedy wrócił do holu, zobaczył Murzyna w smokingu. Podjechał z drugiej strony budynku sześciomiejscowym białym wózkiem golfowym z przezroczystym dachem.

— To chyba największy wózek golfowy, jaki widziałem —

zauważył Hagen, osłaniając oczy przed blaskiem odbijającym się od białej skóry pojazdu.

— Dziękuję, sir— odparł kierowca, który najwyraźniej w czasie szkolenia nauczył się, żeby nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z pracodawcami i ich współpracownikami, jeśli nie został zagadnięty.

Jazda przez pole golfowe, przez labirynt kortów tenisowych i przez następne pole zajęła około kwadransa, w czasie którego Tom i kierowca odwracali od siebie wzrok.

Kiedy ambasador po raz pierwszy wszedł w biznes z Vitem Corleone, nazywał się Mickey Shea. Teraz w gazetach znany był

pod nazwiskiem M. Corbett Shea. Nikt nie nazywał go Mickey.

Bliscy przyjaciele i rodzina, nawet Sona, nazywali go Corbett. Dla wszystkich innych był ambasadorem. Jego ojciec wyjechał z County Cork, zamieszkał w Baltimore i otworzył saloon naprzeciwko

lokalu, którego właścicielem był ojciec Babe'a Rutha. Jako najstarszy z szóstki rodzeństwa Mickey Shea dorastał, ciężko pracując:

szorował podłogi, nosił skrzynki, sprzątał łopatą nawóz i śnieg z ulicy. Lecz jego życie, zwłaszcza w porównaniu z losem innych irlandzkich dzieci w okolicy, było komfortowe. Jednak rodzice wkrótce zaczęli próbować za dużo swojego towaru. Stracili wszystko. Jego matka stała się jedną z nielicznych kobiet, która do zabicia

się wybrała broń palną: otworzyła szeroko usta i wsunęła do nich lufę o

Mi b

c r

kz

e yn

a

p ow

s y

zeję

d t

le

g

do

oz

w osjz

sa

kf

ak

i

wp

o

wd

i

ek

ka

us

ą

s.

i

eT

do

e

mM

ni

a c

stk

ue

y

l,

a t tr

i z

y

wm

kraj

ó ą

t c

ce

w

z

o r

sę

t k

ału

s łio

e p

r a

Ŝ t

a ę

n t d

e o

m śn

zaie

o g

p u

at,

r z

z n

e a

ni la

a. z

ł

T je

o j p

wł o

a z

ś b

nia

ew

i

t o

a n

me

, g
a ło
n w
ie y
, jc
aia
k ło
g ł z
o a
si
b
l a
e r
gem
n .
d O
a, jc
n i
a e
c
u
l p
icił
a d

c a

h le

B ja,

l a

ti Ŝ

mw

o r

r e

e,s z

nc

aie

u

c w

z ó

ył d

k

si a

ę

, z

r

Ŝ o

e b

s i

ął a

p s

r w

ze o

p jie

s .

y i jest to,

101

co ludzie robią. Czarny rynek, lukratywny w czasie pokoju, okazał

się maszynką do drukowania pieniędzy, kiedy Stany Zjednoczone przyłączyły się do wojny. Tydzień po zawieszeniu broni sierŜant Shea załatwił sobie honorowe zwolnienie z wojska. Był milionerem, a większość pieniędzy miał w gotówce. Wyruszył do Nowego Jorku i otworzył tawernę w dzielnicy Tenderloin. Jako Irlandczyk i świetny negocjator szybko nawiązał poŜyteczne kontakty z policją, i co waŜniejsze, z irlandzkimi gangami ulicznymi, takimi jak Marginalsi i Goffersi. Kupił kilka hurtowni niedaleko nabrzeŜy.

Była to solidna inwestycja, która pozwoliła mu wykorzystywać umiejętności handlowe. I na tym by się skończyło, gdyby nie prohibicja. Shea został stworzony przez Boga do przemytu. Miał

hurtownie, zatrudniał dokerów. Wiedział, jak handlować towarami poza prawem. Miał przyjaciół w dwóch wschodnich miastach i znajomych w Kanadzie, byłych zaopatrzeniowców RAF-u, z którymi robił interesy i utrzymał kontakty. Nie dość, Ŝe prowadził

tawernę, to jeszcze taką, którą zwano gliniarską knajpą. Niemal z dnia na dzień tawerna zamieniła się w lodziarnię, piwnica zaŝ została przebudowana, połączona z kanałami i otwarta jako nielegalna spelunka. Gliniarze, jego dawni stali klienci, dostawali teraz

pieniądze za to, Ŝeby pić tam za darmo, i były to pieniądze dobrze zainwestowane, gdyŜ lokal za pomocą poczty pantoflowej zyskał

reputację zabezpieczonego przed nalotami. Zanim Shea się zorientował, piwnica stała się klubem Ŝmietanki Manhattanu.

Przychodziły tam diwy operowe i gwiazdy Broadwayu, redaktorzy gazet

i gwiazdorzycy dziennikarstwa, błyskotliwi adwokaci i rajcowie miejscy o zaczerwienionych twarzach, a nawet prezesi banków i tytani Wall Street. Shea kupił sąsiedni budynek i połączył go tunelem ze swoją piwnicą, niemal potrajając wielkość lokalu.

KaŜd

L e

e j

c

z no

M c

i y

c

ke g

y r

a

Sła

h

eat am

był o

c r

z k

łoie

ws

i t

era

ki e w

m, p

ke

tł

ó n

r y

y m

sp o s

r k

o ł

ad

w z

Ŝ ie

y .

c

iuB

y

w ł

i o

d

zi to

a ł

.

naj

W ba

c r

z d

a z

siie

e j b

w e

o z

j c

n z

y e

l

cne

w

a p

n riz

a e

c d

y s

itę

a w

c z

y ię

j c

a i

k e

w

on ca

mle

o j

g la

i m

si e

ę r

yc

w e

z .

bogacić, ale

była cała kasta bogatych i wpływowych ludzi nad nimi, którzy nie musieli brudzić sobie rąk wymianą morfiny i zdjęć dziewcząt na krew i generatory, którzy nigdy nie musieli klepać po plecach tych, których przekupywali. Wykorzystywał swoje stosunki z glinami na

Dolnym

Manhattanie,

ŝeby

zapobiec

zatrzymywaniu

przerobionych cięŝarówek do przewozu oliwy z oliwek, jadących do

jego

hurtowni (i nalotom na te hurtownie) — ale co robili faceci w tych 102

cięŝarówkach, czego on sam nie mógł zrobić? Dlaczego zgarnia tylko forszę z hurtowni i spelunki, skoro równie łatwo — albo jeszcze łatwiej — mógł sam ŝciągnąć towar i go sprzedać? Koledzy z Kanady zorganizowali mu flotyllę motorówek i odpowiednio przystosowanych cięŝarówek do przewozu syropu. Wkrótce doszło do tego, ŝe kierowcy cięŝarówek wysadzali jego łodzie i cięŝarówki, w których często siedzieli ludzie Shei. On zaś zwracał się do gliniarzy, ŝeby kontaktowali się z innymi gliniarzami, mającymi chronić jego ludzi — powstał długi łańcuch szeryfów, sędziów i krawęŝników od Quebecu po Manhattan, który poprawił trochę sytuację, lecz

nie rozwiązał problemu.

Pewnego dnia Genco Abbandando, poprzednik Hagen na stanowisku *consigliere*, człowiek, który — tak uważał Shea — był

właścicielem Genco Pura Olive Oil, skontaktował się z kapitanem policji opłacanym przez Sheę, a ten zorganizował spotkanie Mickeya z Vitem Corleone. Spotkali się przy ladzie we włoskim sklepie spożywczym w Hell's Kitchen. Sklepek znajdował się tylko sześć przecznic od hurtowni Shei, lecz Shei nigdy tam nie był. Nie znosił pikantnych potraw i nie zjadł niczego prócz chleba i makaronu bez sosu. Po posiłku don Corleone oznajmił, że kierowcy

przerobionych ciężarówek biorą je w leasing z Genco Pura i dał

Shei czas na przyswojenie tej informacji. Zwrócił uwagę, że konkurencja wolnorynkowa to strata dla wszystkich i to też szybko dotarło do Mickeya. Powiedział, że ktoś, kto ma tyle znajomości (nie musiał dodawać, że w ratuszu i na Wall Street, a zwłaszcza w zdominowanych przez Irlandczyków szeregach policji), musi być wielkim człowiekiem, którego warto znać. Przyjaciele Mickeya Shei stali się przyjaciółmi rodziny Corleone. Shea odegrał kluczową rolę w budowaniu wpływów dona Corleone w świecie polityki i wymiaru sprawiedliwości, które były w istocie największym źródłem jego władzy. Don Corleone zaś umożliwił Shei zgromadzenie ogromnego bogactwa, pozwalając mu jednocześnie trzymać

się z dala od rozlewu krwi i otwartych demonstracji siły, dzięki czemu jeszcze przed zgonem wielkiej dojrzałej krowy, jaką była prohibicja, Shea zdołał przeciąć wszelkie więzy łączące go ze źródłami fortuny i stworzyć swój publiczny wizerunek arystokraty błękitnej krwi: M. Corbetta Shei, prezesa domu maklerskiego, współwłaściciela drużyny baseballowej, często fotografowanego filantropa (ambasador ufundował liczne Sale Corbetta, Audytoria Corbetta i Biblioteki Publiczne Corbetta). Jego dzieci uczęszczały

ly

03

do Lawrenceville, a później do Princeton. Ich służba wojskowa w czasie wojny została opisana w gazetach i określona jako bohaterstwo. Był ambasadorem w Kanadzie przez sześć ostatnich tygodni urzędowania prezydenta, który przegrał walkę o reelekcję

— za krótko, żeby przeprowadzić się z całą rodziną, lecz wystarczająco długo, żeby móc posługiwać się tytułem. Jego najstarsza córka wyszła za Rockefellera, a najstarszy syn był

obecnie gubernatorem wielkiego stanu New Jersey.

Ambasador nie mógł wiedzieć, że to właśnie Tom Hagen, jeszcze za kadencji Genco jako *consigliere*, zajmował się przychylnymi mu artykułami w gazetach w czasie wojny.

I choć ambasador uważał, że kupił sobie urząd — co było w dużej mierze prawdą — to właśnie Hagen, działający za kulisami, mu go zapewnił.

To Vito Corleone nauczył Hagen, że milczenie w takich sprawach daje ogromną siłę.

Żelazne skrzydła bramy rozsunęły się automatycznie. Szofer zatrzymał wózek przed domem zbudowanym z kamiennych bloków, zaprojektowany jak zmniejszona o połowę replika angielskiego zamku. Grupa Meksykanów układała darń i sadziła kaktusy.

Kilku opalonych blondynów bez koszul stało na rusztowaniu i patynowało kamienie wąskimi szczotkami. Hagenowi zdawało się, że

— je

T g

ę o

d

y g

, ło

si w

r a z

— a

r

z c

e h

k w

ł i

s l

z ę

o e

f k

er s

, pl

wo

c d

i u

ą j

Ń e

.

unikając wzroku Toma.

Hagen, mruŃąc oczy i zastanawiając się, czy za drugie trzysta dolarów dostanie aspirynę i okulary przeciwsłoneczne, ruszył

w stronę domu.

— Nie, sir. Tędy proszę.

Hagen

podniósł

głowę.

Szofer

stał

na

kamieniach

nieukończonego podwórka. Poprowadził go dookoła domu, jak gdyby Tom nie był wystarczająco godny zaufania, by pozwolić mu przejść przez dom. Hagen zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia.

Do domu wróci dopiero następnym samolotem.

Basen na podwórzu miał kształt litery P. Płytką, wybrzuszoną część dochodziła do ścieŃki. MoŃna było się w niej pluskać. Wokół

stało siedem identycznych marmurowych aniołów. Ambasador siedział przy kamiennym stole, wykrzykując coś do białej słuchawki. Na paterze leŃały mięso i sery. Przed ambasadorem stał

talerz ubrudzony musztardą z mnóstwem okrucichów. Ten arogancki bydlak już jadł. Poza tym był całkiem nagi, co mogłoby wstrząsnąć 104

Hagenem, gdyby nie to, Œe kiedy ostatnio spotkał się z ambasadorem, było to w łazni parowej klubu Princeton. Jego skóra miała kolor niedopieczonego Œeberka, a klatka piersiowa i plecy były gładkie jak u nowo narodzonego prosiaka. On teŒ nie miał okularów przeciwsłonecznych.

— Hej tam! — krzyknął do Hagen, choć wciąż trzymał słuchawkę przy uchu.

Hagen skinął głową.

— Panie ambasadorze.

Ambasador skinął na Toma, Œeby spoczął. Hagen usiadł, lecz nie ruszył jedzenia, mimo Œe ambasador dał mu znak ręką.

— Już jadłem — powiedział ruchem ust i skrzywił się, co miało świadczyć o tym, Œe jest mu przykro z powodu nieporozumienia.

Ambasador zniŒył głos, lecz mówił dalej. Wydawało się, Œe to rozmowa osobista, a nie o interesach. W pewnym momencie zakrył

słuchawkę dłonią i zapytał Toma, czy przyniósł kąpielówki. Hagen pokręcił głową.

— Szkoda — powiedział ambasador.

Naturalnie. Tylko *pezzonovante* mógł siedzieć w ten sposób, całkiem goły. Hagen nie rozebrałby się do naga i nie poszedł

kąpać. Chodziło rzecz jasna o to, Œe Shea w brutalny sposób zwrócił na to uwagę.

Wreszcie ambasador skończył rozmowę.

— Hej, hej! ToŒ to irlandzki *consigliere*. — Kohn-sig-liee-ri.

Hagen nie wiedział, czy ambasador naprawdę nie potrafi wypowiedzieć tego słowa, czy umyŒlnie źle je wymawia, Œartując z irlandzkiego pochodzenia Toma.

— Niemiecko-irlandzki — poprawił go Tom.

— Nikt nie jest doskonały — odparował ambasador.

— A ja jestem tylko adwokatem — dodał Hagen.

— Jeszcze gorzej — stwierdził ambasador. — Dziwna uwaga z ust człowieka, który wysłał czworo

dzieci na studia prawnicze.

— Drinka? — Oznajmił, nie zapytał. Publicznie ambasador słynął jako czarujący człowiek. Brak przeprosin musiał być celowy, a cel — bardzo konkretny.

— Woda z lodem — odparł Hagen.

— Nic mocniejszego?

— Wystarczy woda z lodem. — Do popicia garści aspiryny. —

Z dużą ilością lodu.

— Ja też zerwałem z wodą — oświadczył ambasador. — Cza-105

sem tylko łyknę *pernoda*. — Shea podniósł do połowy opróżnioną szklanę. — Sok ze śliwek. Chcesz trochę? — Hagen pokręcił głową, a ambasador krzyknął, żeby przyniesiono wodę. — Mój ojciec poszedł

tą samą drogą, co twój, wiesz? Woda. Nasze narodowe przekleństwo.

Młoda Murzynka w stroju francuskiej pokojówki przyniosła srebrny dzbanek zimnej wody i małą kryształową szklaneczkę.

Hagen wychylił wodę i sam napełnił sobie szklanę.

— Przykro mi, że nie spotkałem się z panem na korcie — rzekł, naśladując uderzenie piłki rakietą. — Słyszałem, że świetnie pan gra.

Ambasador spojrzał na niego, jakby nie wiedział, o czym Hagen mówi.

— Od różnych ludzi — dodał Tom.

Ambasador skinął głową, złożył kolejną kanapkę, wstał i machnął na Hagen, żeby za nim poszedł. Zbliżył się do krawędzi basenu i usiadł na najwyższym stopniu obok płytkiego okrągłego końca. Jego fiut kołysał się w wodzie, zanurzony do połowy.

Ambasador klepnął go mimochodem.

— Tu jest mi dobrze, sir — powiedział Hagen. — W cieniu.

Jeśli pan pozwoli.

— Dużo tracisz — odparł ambasador, wkładając kanapkę do ust i teatralnie spryskując się wodą. Ugryzł kanapkę. śóładek Toma zaburczał, jakby to zobaczył. — Odświeżające — mruknął ambasador.

Dokończył kanapkę. Hagen zapytał o rodzinę. Ambasador długo rozwodził się na temat najbliższych, zwłaszcza Danny'ego (Daniela Brendana Shei, byłego sekretarza Sądu Najwyższego, a obecnie asystenta prokuratora generalnego stanu Nowy Jork) i starszego brata Danny'ego, Jimmy'ego (Jamesa Kavanaugh Shei, gubernatora New Jersey). Danny, którego ślub w zeszłym roku z potomkinią w prostej linii Paula Revere'a, stał się szczytem sezonu towarzyskiego w Newport, posuwał gwiazdę telewizji, gospodynię programu

lalkowego, oglądanego przez córki Hagen. No i Jimmy, gubernator. Choć sprawował urząd dopiero pierwszą kadencję, już

krążyły plotki o tym, że będzie się ubiegał o fotel prezydenta.

Amb

P a

ytsa

ał d

o

z r

a nte

o z

oa

py

w t

s a

pł

ó o

l

nro

y d

c z

h in
z ę
n
aT
j o
o m
m a
y .

c h. Między słowami luźnej

pogawędki unosiły się ostatnie wydarzenia w Nowym Jorku. Lecz ani jeden, ani drugi nie wymienił nazwisk zabitych: Tessia, Tattaglii, Barziniego. Ani Hagen, ani ambasador nie mówili wprost o wydarzeniach, bo nie musieli.

106

Ambasador wyprostował się, stojąc po kolana w wodzie, i przeciągnął. Był wysokim mężczyzną, olbrzymem w porównaniu z innymi mężczyznami ze swojego pokolenia. Utrzymywał, że dołóżł Babe'owi Ruthowi w walce na pięści, kiedy byli dziećmi.

Była to bujda, lecz Babe od lat nie był, ambasador zaś stał w glorii nagości, z samym penise, więc można było uznać, że anegdota oddawała jakiś rodzaj prawdy. Shea wskoczył do wody i zaczął pływać w jedną i drugą stronę. Po dziesięciu nawrotach przestał.

— Fontanna młodości, kolego — rzekł, wcale nie tak zdyszany, jak Hagen się spodziewał. — Słowo daję. Przysięgam przed samym pieprzonym Bogiem.

Gdyby nie palące słońce, ból głowy, irytacja z powodu lekceważenia ze strony ambasadora i pragnienie powrotu do domu Hagen nadal znosiłby tę sytuację.

— A więc, panie ambasadorze, mamy umowę?

— Ho, ho! Od razu do rzeczy, co?

Hagen zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta.

— Taki jestem.

Ambasador wyszedł z basenu. Skąd kobieta w kostiumie pokojówki wiedziała, że powinna pojawić

się z ręcznikiem i grubym

szlafrokiem, tego Hagen nie umiał sobie wyobrazić. PodąŜył za ambasadorem na oszklony ganek, który, dzięki Bogu, miał

przyci

— em

P n

ocio

hln

e e

b isz

a y

ci b

e y i

mk

i.l im

Tat

y yz

i ację

Mi.

ke. Albo raczej pochlebiacie

Danny'emu. — Zrobił pauzę, Őeby znaczenie tych słów dotarło do Hagen. — Nie mogę odwołać dochodzenia. Musicie o tym wiedzieć. A Danny z pewnością nie moŜe tego zrobić. Nawet gdyby

mógł

H,

a t

go

e s

n p

t raw

ma

i

el ok

dal

g n

a a

d .

ł

, M

Ŝ i

e a

st

w o

s

z N

yso

t w

k y

o tJ

oo

r
ok
z,
na n
c i
z e
a
s
c ta
o n
ś .

przeciwne.

Krótką wzmianką o Danym znaczyła, że ambasador tak wszystko załatwił, i że nic nie pochodziło z jego urzędu, niczego nie można było powiązać z nim.

— Nie chcemy, żeby cokolwiek było odwoływane — rzekł

Hagen. — To ważne, by sprawiedliwości stało się zadość. Powrót do interesów bez zakłóceń, które te fałszywe oskarżenia spowodowały,

leży

w

najlepszym

interesie

wszystkich

zainte

— r

es

To
r w
ud a
n n
o y
c
si h

ę . z tym spierać — powiedział ambasador, kiwając głową. A więc mieli umowę, zakładając, że Hagen jasno się wyraził.

— To pan mi pochlebia, sir. Albo raczej naszym koneksjom biznesowym. Zapewne zdaje pan sobie sprawę, że wielu ludzi ma 107

coś do powiedzenia przy wyborze osoby, która wygłosi przemówienie nominacyjne podczas konwencji przedwyborczej w przyszłym roku. Rozmawialiśmy z różnymi ludźmi, to prawda.

Konwencja ma się odbyć w Atlancie. To już pewne.

— Pewne?

Hagen skinął głową.

Stary wyrzucił pięść w powietrze dziwnie chłopięcym gestem.

To była dla niego doskonała wiadomość. Teraz, nawet jeśli delikatniejsze aspekty umowy nie wypalą, gubernator Shea będzie mógł

przynajmniej przypisać sobie zasługę za ściągnięcie konwencji —

a tak

— e je

W j

y u

b c

ó z

r est

m n

i i

e k

jsó

cw

a it p

o ie

dn

oię

b d

r z

y y

z—

na d

k o sw

— o

p j

o e

t g

wo

i

es

r ta

d n

zi u

ł . Hagen. —

Wyznaczenie gubernatorowi goszczącego konwencję stanu roli tego, który wygłosi przemówienie nominacyjne to doskonały pomysł, i wielu ludzi tak właśnie to oceni. A później, kto wie?

Później. Hagen powiedział to tak, jakby przemówienie było zaklepane. Ambasador zrozumiał, że tak właśnie jest.

— Teoretycznie mówiąc... — zaczął ambasador — kiedy Jimmy wygłosi mowę...

Hagen skinął głową. Lista tych „Jeśli” była długa. Jeśli mowa okaże się dobra. Jeśli za granicą nie wydarzy się nic strasznego, co wciągnie Amerykę w wojnę. Jeśli dochodzenie albo zahaczy o rodzinę Corleone, albo, co byłoby równie niedobre, przeciągnie się, gazety będą się o nim długo rozpisywać, przyciągając uwagę opinii publicznej. I tak dalej, i tak dalej.

— Jestem człowiekiem ostrożnym, lecz optymistą, sir. Nazwijmy to długim etapem, który potrwa aż do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego.

Długi etap. Gdyby najważniejsze z tych „jeśli” rozstrzygnęły się pomyślnie, związki zawodowe kontrolowane przez rodzinę Corleone poparłyby kandydaturę Jamesa Kavanaugha do Białego Domu.

— Kręśną pogłoski — rzekł ambasador, odprowadzając Hagen, tym razem przez dom, do wózka golfowego — że ty też masz aspiracje polityczne.

— Wie pan, jak to jest, sir. To jest Ameryka. Kraj wielkich możliwości. Każdy chłopiec może zostać prezydentem.

Ambasador ryknął śmiechem, dał mu cygaro i pośegnał.

— Daleko zajdziesz! — krzyknął, jakby ścienie Toma Hagen do tej pory było niczym i donikąd nie prowadziło.

Rozdział 6

Minęły lata, nim ktokolwiek spoza organizacji w Chicago dowiedział się, że to Louie Russo zlecił likwidację Freda Corleone.

Russo nie miał nic przeciwko samemu Fredowi. To pozbawiony znaczenia zbieg okoliczności, że zamachu na Freda dokonano kilka miesięcy po tym, jak odsunięty od rodziny syn Russa (jego imiennik) wyjechał do Paryża i zaczął tam żyć, nie kryjąc się z tym, że jest homoseksualistą. Jednak Russo junior mieszkał

przez rok w Las Vegas i pośrednio przekazał ojcu informację o ujawniających się od czasu do czasu skłonnościach Freda Corleone. Zabójcy mieli zaskoczyć Freda w łóŜku z innym mężczyzną — najlepiej przed świtem, Ŝeby scena robiła bardziej jedno-znaczne wrażenie — a później upozorować wszystko, tak by wyglądało na to, Ŝe Fredo zastrzelił tamtego, a potem siebie. Ten krwawy obrazek upokorzyłby i osłabił Michaela Corleone — który właśnie mianował brata *sottocapo* ku przeraŜeniu wielu ludzi ze swojej organizacji — a Chicago nie zostałoby o nic oskarŜone i nie musiałoby się obawiać Ŝadnego odwetu. Jednak Russo nie próbował

uniknąć wyłącznie gwałtownego odwetu. Rozpaczliwie pragnął

miejsca w komisji, ciele zarządzającym cosa nostra — a nigdy by go nie dostał, gdyby dowiedziano się, Ŝe zabił członka innej rodziny bez uprzedniej aprobaty komisji. I wszystko by się udało, gdyby po upozorowanym samobójstwie i wsunięciu rzekomego listu poŜegnalnego Freda pod wycieraczkę wypoŜyczonego przezeń samochodu jeden z wykonawców nie dostał ostrego ataku wyrostka i nie

F r m

e u

d s

o ia

Cł

o w

rl e

e jś

o ć

n

e d

o

m ito

ał a

l

p e

r t

zy

e n

Ŝ a

y

ć s

jta

e c

s j

z i

c b

z e

e n

c zy

t n

ero

yw

l e

a j

t.

a , choć nigdy nie

109

dowiedział się, co zaszło. Mógłby się domyślić, gdyby nie uruchomił wycieraczek, prawie niszcząc kartkę. Atrament wyblakł i jedyną rzeczą, którą dało się odczytać, było zdanie „Wybacz mi, Fredo”.

Fredo uznał, Őe list jest od zrozpaczonego akwizytora pedała, którego poznał wczoraj wieczorem —

z doświadczeń Freda wynikało, że ci chorzy ludzie zawsze tak robią.

Jeśli chodzi o gliniarzy, to zabrali go do budynku obok budek celników i urządzili test z pisania, a później zadawali masę pytań.

Fredo odmówił odpowiedzi bez obecności adwokata. Wspomniał, że choć jest spoza miasta, jego dobry przyjaciel, pan Joe Zaluchi, mógłby mu polecić jakiegoś dobrego prawnika. Charakter pisma nie pasował. Zaraz potem zjawił się znikąd kapitan opłacany przez Zaluchiego i powiedział, że od tej chwili przejmuje sprawę.

Wszyscy oprócz kapitana wciąż uważali, że mają do czynienia z asystentem kierownika parkingu dla cięśarów z Nevady nazwiskiem Carl Frederick, należącym do tego rzadkiego gatunku, który pod wpływem kilku głębszych robi się oświecony i bardziej rozmowny.

Fredo oznajmił, że musi wykonać kilka telefonów, a kapitan powiedział mu, że mogą sobie iść. Fredo rozsiadł się za biurkiem, jakby był właścicielem całego przybytku i zadzwonił na lotnisko, żeby skontaktowano się z jego ochroniarzami, którzy spodziewali się go godzinę temu. Kapitan usiadł przy biurku po drugiej stronie i zaczął jeść skonfiskowane pomarańcze. Na szafce obok stało rozklekotane radio. Kapitan włączył je. Rozległa się głośna skoczna pioseneczka Perry'ego Coma. Fredo zmarszczył

brwi i kapitan wyłączył radio, mówiąc bezgłośnie: — Przepraszam.

Fredo czekał, lecz ani Figaro — bo tak nazwał fryzjera — ani pastuch nie podeszli do telefonu. Odłożył słuchawkę i kazał

operatorce połączyć się z Joem Zaluchim. Kapitan siorbał kawę i pośrał pomarańcze jak wściekły, odwracając się, by dać Fredowi komfort prywatności.

— Sir? — odezwał się Fredo — Nie wie pan przypadkiem, jak mogę się skontaktować z Joe Z.?

— Nie mam pojęcia — odparł kapitan, puszczając oko do Freda.

Bardzo mu się spodobało, że zwrócono się do niego „sir”. — Czego pan potrzebuje?

— Pojechałem od niego samochód. Uciekł mi już jeden samolot. Jeśli stracę czas na odstawienie wozu do Grosse Pointe, nigdy nie...

Kapitan machnął ręką.

110

— Zostaw go pan tutaj. Zaraz muszę gdzieś jechać, lotnisko jest po drodze. Podrzucę pana. Samochodem zajmę się później.

To byłoby podejrzane, gdyby nie fakt, że ten facet był wczoraj na ślubie.

— Dzięki — powiedział Fredo i jeszcze raz zadzwonił na lotnisko. Znów nic. Połączył się z obsługą telefoniczną Las Vegas.

— Mówi pan R. — Był to skrót od Rozrywka. — Jakby ktoś pytał, powiedzcie mu, że wsiądę w następny. Na mur, jasne?

Fredo z pewnością by się wszystkiego domyślił, gdyby nie kazał kapitanowi ściszyć radia. Po piosence nastąpiły wiadomości.

A jedną z najważniejszych była taka: policja prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa w hotelu Windsor. Sprzedawca artykułów żywnościowych dla restauracji z Dearborn zeznał, że dwóch uzbrojonych intruzów wdarło się do jego pokoju. Obu zastrzelił z pistoletu colt kaliber 45. Jeden z napastników zmarł, a drugi, Oscar Gionfriddo, lat czterdzieści, dostawca stojących automatów z Joliet w Illinois leży w stanie krytycznym w szpitalu Salvation Army Grace. Tożsamości zabitego nie ujawniono. Mężczyzna z pokoju hotelowego powiedział, że broń należała do przyjaciela. „Nigdy wcześniej nie strzelałem z pistoletu”, wyznał mężczyzna chrapliwym głosem. „Nie mogę uwierzyć, że miałem tyle szczęścia”.

Wypadł raczej jak zwycięzca irlandzkiej loterii niż ktoś, kto zabił

jedne

K g

a o

pi,t a

a

nm

o

ni Ń

e e

d

m w

ia ó

ł,c

h

r

zlu

e d

czz

ij.

asna, Śadnego powodu, by dłuŚej się

nad tym głowić, a radio grało za cicho, Śeby Fredo usłyszał

cokolwiek z drugiego końca pomieszczenia.

Zadzwoił telefon. Odebrał kapitan. To był ochroniarz, fryzjer.

Figaro. Fredo powiedział mu, Śe zaraz tam będzie.

— JuŚ załatwione — rzucił Fredo do kapitana.

— Wszystko pan ma? No, z wyjątkiem tego. — Jego usta były pełne pomarańczy. — Ale ich nie moŚe pan zabrać. Łatwiej wwieźć do kraju gnata niŚ owoc, ciekawe, co?

Gnata.

Neri zapewniał, Śe nie da się namierzyć pochodzenia skrzynki coltów peacemaker. Mimo to zostawienie za sobą pistoletu nie mogło być dobrym posunięciem. Fredo wyszedłby na głupca. Co gorsza, został bez broni. Zastanawiał się, czy nie poprosić kapitana o pistolet, ale wolał nie przeginać.

— Mam wszystko — rzekł, kierując się do drzwi.

Wsiedli do nieoznakowanego samochodu kapitana. Radio grało 111

na cały regulator. „A teraz jeszcze więcej muzyki!”. Kapitan ściszył

odbiornik i znów przeprosił. To była stara piosenka: big-band New Haven Ravens Lesa Halleya i stylowy wokal Johnny'ego „Memory Lane” Fontane. Jedna z ich ostatnich sesji nagraniowych „przed tym, jak Johnny Fontane zostawił świat plattersów na rzecz atrakcji ekranowych”. Takiego określenia uŚył prezenter.

— Moja Śona zawsze uwielbiała tę płytę — powiedział kapitan, wskazując radio.

Fredo skinął głową.

— Wszystkie ją uwielbiają. Właśnie w ten sposób większość z nich zostaje Śonami. Przez takie

ballady.

— Trudno sobie wyobrazić, ile dup taki facet może mieć na skinienie.

— Ja mogę sobie wyobrazić — odparł Fredo. — A to, że Johnny jest świetnym facetem, tego nie przeszkadza.

— Zna pan Johnny'ego Fontane?

— Jesteśmy przyjaciółmi — oznajmił Fredo, wzruszając ramionami.

Nic nie mówili, dopóki piosenka się nie skończyła.

— Jesteście przyjaciółmi, tak? — upewnił się kapitan.

— Tak, przyjaciółmi. Jeśli mam być szczery, mój tata był jego ojcem chrzestnym.

— Bez kitu.

— Bez kitu.

— Więc o coś pana zapytam. Czy to prawda, że on ma fiuta długości męskiego ramienia?

— Skąd, do kurwy nędzy, miałbym coś takiego wiedzieć?

— Nie mam pojęcia. Z sauny czy z czegoś takiego. Tak usłyszałem, więc pomyślałem sobie...

— Kim pan jesteś, pedziem? — spytał Fredo.

Kapitan przewrócił oczami i włączył syrenę. Resztę drogi na lotnisko pokonali z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, nie odzywając się do siebie.

Rozdział 7

Narodowy gabinet Phila Ornsteina na czterdziestym pierwszym piętrze był obwieszony złotymi płytami i zdjęciami mało atrakcyjnej rodziny Phila. Nie wisały tam jednak fotki sławnych ludzi,

co

można było uznać za pozę lub powód, by lubić tego gościa.

Poprowadził Johnny'ego Fontane za swoje biurko z nierdzewnej stali.

— Nie spiesz się — powiedział, choć na pewno tak nie myślał.

Milner już ustawiał zespół do następnej piosenki. Johnny zaczął

wybierać numer do swojego starego domu.

Ale nie dokończył. Ginny i córki nie miały pojęcia, że jest w Los Angeles. Gdyby nie zadzwonił, nie wiedziałyby ani mniej, ani więcej. Chciał zadzwonić, aby przeprosić za to, że nie zobaczy się z nimi, choć jest w mieście. Ale ten telefon nie miał

najmniejszego uzasadnienia.

Wyjął pigułki energetyzujące, popatrzył na nalepkę, i połknął

jedną na sucho.

Psiakrew. Kim on jest, jakimś uczniakiem, *segaiolo*, który wstydzi się zaprosić na randkę królową balu? Znał Ginny, swoją była Soneę, odkąd mieli po dziesięć lat. Dziewczyna z sąsiedztwa, dosłownie. Wykręcił numer.

— To ja.

— Cześć, Sycie ty moje — odparła Ginny. Udało jej się to powiedzieć w sposób słodki i sarkastyczny zarazem. Nie ma to jak dziewczyna z Brooklynu. — Gdzie się podziewasz?

— Bo że, jak dobrze usłyszeć twój głos — westchnął Johnny. —

Co porabiasz?

113

Właśnie wróciły z May Company. Najstarsza córka Johnny'ego kupiła sobie pierwszy stanik.

— Nie mówisz poważnie.

— Kiedy ostatnio ją widziałeś?

Jakiś czas temu Johnny dawał intratne koncerty w Atlancie i prywatnych klubach w Palisades w Jersey oraz klubie Louie'ego Russa pod Chicago. W Nowym Orleanie kręcił plenerowe zdjęcia do filmu. Więc pewnie wtedy.

— W Dniu Pamięci Narodowej?

— To było pytanie retoryczne — uspokoiła go Ginny. — Więc gdzie jesteś?

— Pamiętasz Święto Pracy, nie wiem, w którym to było roku.

Wynajęliśmy domek w Cape May i poszliśmy na piknik nad morzem?

— Nie.

— śartujesz. — Johnny słyszał w tle głosy córek, które o coś się kłóciły.

— Oczywiście, że śartuję. To były najszczęśliwsze dni mojego Śycia. Kiedy nie istniałam.

Les Halley namówił Johnny'ego, Œeby udawał kawalera. Dzięki temu nastolaty wrzeszczały na koncertach jak oszalałe.

— To nie był mój pomysł.

— A ty miałaś tę zdirę na drugim końcu miasta, więc ilekroć wychodziłaś po papierosy...

— Pamiętasz, jak poparzyłem sobie ręce, próbując upiec kukurydzę...

— A później poparzyłaś je jeszcze raz sztucznymi ogniami.

— Taak. — Johnny musiał się roześmiać.

— Jutro jest sąsiedzkie przyjęcie — powiedziała Ginny. —

Mamy upiec ciasto. Chcesz przyjść?

— Na przyjęcie?

— Jesteś w mieście, zgadza się? Dobrze cię słychać.

Johnny oparł słuchawkę na ramieniu i zakrył oczy dłońmi.

— Nie — odparł. — To tylko wyjątkowo dobre połączenie.

— Ach tak. Twoja strata. Zrobię teŜ kurczaka *scarpariello*.

Według przepisu, który dała mi twoja mama. Właściwie to dziewczynki go robią. Jeśli się przedtem nie pozabijają. Są w takim

wiek

J u

o .

h ..

n

ny je uwielbiał, ale jego zdaniem zawsze były w „takim wieku.

114

Ginny zapytała, czy chce z nimi porozmawiać. Powiedział, Œe chce, ale tylko młodsza córka podeszła do telefonu. Phil stanął

w drzwiach i postukał w zegarek.

— Powiedz mamie — rzekł Johnny — Œe postaram si przyj jutro na przyjcie.

— Okay — rzuci dziewczynka. Przekaza Œe matce wiadomo —

bya po prostu takim dzieckiem — lecz ton jej gosu Œwiadczy

o tym, Œe nie wierzy w przyjazd ojca.

Zielone piguki przepisa mu Mes Segal, ten sam lekarz, który zdiagnozowa krosty na strunach gosowych Johnny'ego i skierowa go do specjalisty, by je zeszkroba. Ta operacja pozwolia Johnny'emu odzyska gos i wrci do studia. Wczeniej choroby nie potrafio rozpozna dwch specjalistw. W Hollywood byo tysic konowaw, ktorch zainteresowanie ludzkim organizmem ograniczyo si do bujniejszych czci ciaa jednodniowych gwiazdek. Bogacili si, wydajc piguki i pomagajc dziewcztom w kopotach. Segal mia tak sam opini, lecz okaza si pierwszordnym lekarzem — tak dobry, Œe zosta ordynatorem oddziaa chirurgicznego w nowym szpitalu budowanym przez rodzin Corleone w Las Vegas. Wic dlacego za kadym razem, gdy Johnny poyka tabletk — wci nie przekraczajc dawki zalecanej na butelce — przestawa by sob?

Otrsna si jak pies, ktorgo Œwdzi w uchu. Wszystko bdzie dobrze. Bdzie si kontrolowa, a jednocnie nie bdzie. To byo w poradku, pasowao do zadania, ktore mia wykona. Jecha na czterech tabletkach, dwudziestu kubkach herbaty, czajniku kawy, kanapce z szynk, bez snu. Midzy jego skr a czaszk mikroskopijne mrwki taczyy dziki taniec z wygibasami. B w duych

miniach na kocu ud, jak je tam zwa, stawa si ostrzejszy z minuty na minut. Lecz Johnny utrzyma si na nogach, za bardzo zmczony, Œeby zwali si na podog i odpoca. A jednocnie mia zbyt duo energii. Mimo woli dostrzea

najdrobniejsz wskazwk od tego genialnego niezdary Milnera robi

O w

d s

d z

ay

bst

y k

o

w ,

s b

z y

ys j

t ą

k w

o, y

Ń k

e o

b r

y z

y

p s

r t

z a

e ć

s

t d

a l

ć a

. dobra muzyki.

Oddałby wszystko, Ńeby to uczucie trwało wiecznie.

Przyjechał tu z myślą, Ńeby zarejestrować połowę materiału na płytę długogrająca. Kilka minut po rozpoczęciu sesji uświadomił

sobie, Ńeby będzie dobrze, jeśli nagra jedną piosenkę w taki sposób, by usatysfakcjonować siebie i Cya Milnera. Kilka minut przed 115



tym, jak musiał wyjść, żeby złapać samolot do Las Vegas, nagrywał trzecią piosenkę, i to tak dobrze, że dośpiewał do końca, nie przerywając i nie będąc przez nikogo powstrzymywany.

Kiedy skończył, otworzył oczy i zobaczył Jackiego Ping-Ponga i Gussiego Cicera stojących przy drzwiach studia. Johnny nie miał

pojęcia, jak długo tam byli.

Milner już wyciągnął notes. Jako dyrygent mówił lakonicznie i płynnie, ale pisał w sposób, w jaki pies przybłęda po sera ochłap wieprzowiny. Nie wiedział, co się dzieje w studiu, nie zauważał

nawet stałysty stojącego obok z butelką wody sodowej i garścią ołówków.

Johnny usiadł na stołku i zapalił papierosa.

— Ma-ama! Ta-ata! — zawołał, spoglądając na Milnera i Ornsteina, a później wskazując Ping-Ponga i Gussiego. — Powóz zajechał. Nie przeciągajcie! — Jego nogi momentalnie zrobiły się potwornie ciężkie. Wreszcie podniósł głowę i machnął na Gussiego i Ping-Ponga.

— Przyjacielu! — powiedział Jackie, idąc w jego stronę. Był to niesłychanie gruby mężczyzna, właściwie tylko znajomy Johnny'ego. — Wyglądasz jak czek na milion dolarów. A śpiewasz jeszcze lepiej.

Johnny wiedział, że wygląda jak śmierć na chorągwi.

— Co jest lepsze od miliona dolarów?

— Milion dolarów i obciążenie — odparł Gussie Cicero, kumpel z dawnych lat.

— Błąd — odparł Johnny. — Jeśli dziewczyna wie, że masz milion, obciągnie ci za darmo.

— Te darmowe obciążania kosztują najdrożej.

Johnny nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Poklepał Cicera po plecach.

— Jeśli ja wyglądam jak czek na milion, to wy wyglądacie jak bobki, które rano spuściłem w kiblu.

Johnny wstał i pozwolił się uściskać Ping-Pongowi i Cicerowi.

Długo uważał, że ksywka Jackiego pochodzi od jego wytrzeszczonych oczu, ale niedawno Frank Falcone oświecił go, że

oczy

Jackiego zrobiły się takie długo po tym, jak otrzymał ksywkę, która pochodziła w istocie od jego nazwiska, Ignazio Pignatelli.

Gussie Cicero był właścicielem najbardziej szpanerskiego klubu w Los Angeles. Johnny nie śpiewał tam od dnia, w którym jego głos nawalił na scenie i magazyn „Variety” napisał, że można

otwierać butelki i tańczyć na świętym grobie Johnny'ego. Ale Gussie i Johnny pozostali przyjaciółmi.

— Frank Falcone cię pozdrawia — oznajmił Gussie. Mówiono, że Gussie ma mocną pozycję w organizacji w Los Angeles, która jest w jakiś sposób powiązana z Chicago.

— Nie przyjedzie? — spytał Johnny.

— Pan Falcone zachorował — wyjaśnił Ping-Pong. W mięsistej dłoni trzymał torbę, która wyglądała na nową. Był zastępcą Falcone.

Johnny nie wiedział dokładnie, czym zajmuje się zastępca. Starał

się nie wiedzieć więcej o organizacji, niż musiał. — Oprócz pozdrowień przesyła to.

— Ładna torba — stwierdził Johnny.

— Załatwię ci taką — obiecał Ping-Pong. — Każę zrobić i przysłać jak najprędzej z Sycylii. Mam tam swojego człowieka, zasuwa jak pies i robi dziesięć takich rocznie. Dziewicza skóra, najlepsza, jaka istnieje. Chcesz, żebym przysłał do Zamku na Piasku? A może do domu?

Fontane próbował wymyślić jakiś żart ze słowem „dziewicza”

albo wyrażeniem „dziewicza skóra”, ale był zbyt oszołomiony.

Nic nie zaiskrzyło.

— Ta nie jest moja?

— Załatwię ci taką.

— Kpisz sobie, Jack.

— Nie proponuję ci, tylko mówię. Okay? Ale ta — dodał, podając torbę Johnny'emu — jest dla Mike'a Corleone, *capisc*?

Co miało oznaczać: „Dość tych wygłupów” i jeszcze „Tylko, do kurwy nędzy, nie wiesz się tego otwierać, chłopcze”.

Mocno upakowana torba była ciężka niczym kula do kręgli.

Johnny potrząsnął nią lekko jak chłopiec, który dostał prezent na Gwiazdkę, a potem podniósł do ucha i udał, że nasłuchuje tykania.

— Zabawny gość — rzekł Ping-Pong, mrużąc oczy. Stał, jakby chciał się upewnić, że Johnny zrozumiał komunikat. — Ja też chcę przeprosić. Muszę się zająć kilkoma sprawami rodzinnymi.

— Nie łam się — odparł Johnny. Więc teraz jestem waszym zasranym chłopcem na posyłki? Stał, wchłaniając ponownie jak tani cement kwas.

— Nasza strata, że nie możemy cię oglądać — rzekł Ping-Pong. — Twój głos brzmi super.

Milner pisał dalej. Muzycy wychodzili ze studia. Johnny powiedział „do widzenia” i też wyszedł z Gussiem i Ping-Pongiem.

117

Obok tylnych drzwi stał na jałowym biegu rolls-royce silver shadow.

— Gdzie królowa? — spytał Johnny.

— Słucham? — Ping-Pong zmarszczył czoło, jakby pomyślał, że nazwano go pedałem*.

— On ma na myśli królową, jak w Anglii — wyjaśnił Gussie.

— śartował.

Ping-Pong pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć „Ach, ta dzisiejsza młodzież”. Johnny nie był tym zachwycony.

—

Ta bryka jest moja, Johnny — oznajmił Gussie.

Podjechał czarny lincoln. Ping-Pong i jego ludzie wsiedli i odjechali z piskiem opon.

W tej samej chwili Johnny zauważył kątem oka błysk metalu i odskoczył w bok. Potknął się i oparł o maskę rollsa.

To nie była kula.

Johnny nie wiedział właściwie, dlaczego pomyślał, że to może być kula.

— Niezły chwyt — pochwalił Gussie. — Nic ci nie jest?

Johnny schylił się, żeby podnieść kluczyki Cicera.

— Miałem długi dzień.

— Wystarczyło powiedzieć nie, dzięki.

— Nie, dzięki — ale co?

— Nie, dzięki, nie chcę usiąść za kółkiem twojego zasranego rolls-royce'a.

Johnny rzucił mu kluczyki.

— Nie, dzięki, nie chcę usiąść za kółkiem twojego zasranego rolls-royce'a.

— No widzisz? To nie było takie trudne.

— Nie słyszałem cię, jasne? Jestem skonany, bracie. — Słońce za chwilę miało zająć. Johnny nie pamiętał, kiedy ostatnio przespał

noc jak pan Bóg przykazał.

Gussie uściskał Johnny'ego i powiedział, że to był zaszczyt usłyszeć, jak śpiewa. Wsiadli i ruszyli na lotnisko. Johnny zaczął

kręcić gałką radia w wozie Gussiego, żeby usłyszeć, co proponuje konkurencja. Wszędzie nowomodna muzyka. Rock and roli. Szybko mówiący prezenterzy. Mambo, następne modne szaleństwo.

Płaczliwie śpiewające dziewczęta — kolejne. Johnny nigdzie nie trafił

na swój głos. Może inne firmy fonograficzne miały rację? Może

* *Quenn* (ang.) — królowa, w slangu tak że „pedzio” 118

płyta, którą próbował właśnie nagrać, nie ma żadnych szans? Dalej kręcił gałką. Gussie musiał wyczuć, jak podminowany jest Johnny i miał dość przyzwoitości, by przez większą część drogi milczeć.

Odezwał się dopiero wtedy, gdy wyjechali na szosę prowadzącą na lotnisko.

— Jaka jest różnica między Margot Ashton i rolls-royce'em?

Margot była drugą Soną Fontane, a pierwszą Gussiego. Fontane zostawił Ginny dla Margot. Margot ukradła nie tylko jego serce, ale wszystko, nawet szacunek dla samego siebie. Kiedyś poszedł

na plener, gdzie kręciła film, a reżyser kazał mu przyrządzić spaghetti. Johnny bez słowa założył fartuch i ugotował spaghetti.

Miłość, pieprzona miłość.

— Nie wszyscy byli w środku rolls-royce'a — odparł Johnny.

— Słyszałeś to?

— Wszyscy słyszeli. Można podstawiać różne szpanerskie bryki i rozmaite dziwki.

— Nie wszystkie dziwki są takie jak Margot Ashton —

skonstatował Gussie.

— Mylisz się, koleś. Dziwka to dziwka.

Gussie skręcił w niewłaściwy zjazd, w stronę lotów komercyjnych.

— Źle skręciłeś — zauważył Johnny, wskazując drogę do prywatnych hangarów.

Gussie pokręcił głową.

— Prawdę mówiąc, ja teŝ nie lecę. Frank nie chciał, ŝeby ci było przykro, ale wiesz, cały samolot dla jednego faceta...

Sięgnął do kieszeni na piersi po pistolet. Ale nie, to nie był

pistolet. Johnny się pomylił. Gussie wyciągnął kopertę.

— To lot komercyjny, ale pierwszą klasą.

Johnny wziął bilet. Samolot odlatywał za kwadrans.

— Naprawdę nie lecisz?

— W zasadzie to wcale nie zostałem zaproszony.

— Oczywiście, ŝe zostałeś. Ja cię zapraszam.

— W porządku. Gina i ja mamy plany. — Giną była dziewczyną, z którą oŝenił się po tym, jak został kopnięty przez Margot

Ashton. Ona zaś wyszła za arabskiego szejka, z którym później teŝ

się ro

— z

w

Nio

asd

zła

a . piąta rocznica, choć trudno w to uwierzyć —

westchnął, zatrzymując samochód. Bagażowi rzucili się pędem, widząc

rollsa, wyobrażając sobie walizki i sute napiwki. — Ale w przyszły weekend przylecimy, żeby cię zobaczyć. Mamy bilety.

119

— Kupiłeś bilety?

— To okazja bez względu na cenę, jeśli śpiewasz choć w połowie tak dobrze jak dzisiaj.

— Zapiszę cię na wszystkie listy na moje występy oprócz listy akompaniatorów. Masz to jak w banku, stary.

Na lot czekało około dwudziestu osób w różnym wieku. Powiedział bagażowemu, że nie ma walizek, tylko tę jedną torbę, ale i tak dał im po dwudziestce. Dwóch mężczyzn w błękitnych sportowych marynarkach wybiegło Johnny'emu na spotkanie i pomogło przecisnąć się przez tłum. To zwróciło uwagę wszystkich, nawet w takim mieście jak Los Angeles. Tłum ruszył za Johnnym w stronę bramki. Wbrew rozsądkowi Johnny podał torbę jednemu z pracowników linii lotniczych, żeby szybko złożyć kilka nieczytelnych

autografów, między innymi jednej paniusi, która chciała, żeby podpisał się na jej twarzy. Dwóm pracownikom wcisnął w garść po pi

Kę

i ć

e d

d z

y ies

w isą

zta

e k

dłu

na pokład, rozległy się oklaski. Zamachał do pasażerów i uśmiechnął się, lecz nie zdjął okularów. Zajął swoje miejsce i postawił torbę między stopami. W innych okolicznościach zaczęłyby podrywać rudą piersiastą stewardesę, ale poprosił ją tylko o poduszkę, bourbona z lodem i gorącą herbatę z

miodem. Zerknął

na torbę. Ktoś inny otworzyłby ją teraz, ale Johnny'ego gównem obchodziło, co w niej jest.

Trwało wieki, zanim stewardesa przyniosła drinka.

— Nie mamy miodu — oznajmiła.

— I herbaty też, zdaje się.

— Właśnie gotuję wodę.

Odwróciła się. Johnny spojrzał na torbę i ją otworzył.

Była zapchana forszą, oczywiście. Na wierzchu leżała napisana na maszynie kartka bez podpisu. „Mówiłem, żeby nie otwierać”.

Litera „o” miała kropki w środku, a pod nią znajdował się odwrócony do góry nogami uśmiech.

Johnny zmiął karteczkę. Ruda nadchodziła z herbatą. Wychylił

połowę bourbona. Stewardesa postawiła przed nim herbatę, a on zaczął ssać lód. Złaził lewą dłoń w pistolet, wymierzył w nią i wydał ciche klaśnięcie. Kobieta się zarumieniła.

Zanim ruda stewardesa doszła do końca kabiny, zbierając naczynia i inne rzeczy, Johnny skończył bourbona oraz herbatę i natychmiast zasnął.

Rozdział 8

— Byłaś na wieczorku zapoznawczym, tak? — spytała blondynka stojąca w kolejce przed Francesca Corleone, odbierając zamówioną porcję: brzoskwinie na białym serze i zwiędłym liściu sałaty lodowej. To oraz słodka herbata stanowiło cały obiad tej dziewczyny.

Suzy Kimball stała za Francesca, nie odrywając wzroku od tacy, i nuciła.

— Przykro mi, ale to nie byłam ja — odparła Francesca.

— Aha. — W tym momencie każdy normalny człowiek by się przedstawił, ale ona odwróciła się i ruszyła do szebioczących, rozchichotanych dziewcząt, z którymi przyszła.

W kolejce stało wiele innych dziewcząt, które nie miały greckich liter na ubraniach, które nie szeptały między sobą, które nie zakrywały się płaszczami, gdy szli chłopcy ze starszych klas. Dziewczęta wyszły, lecz Francesca tego nie zauważyła. Widziała Suzy, śniadoskórą dziewczynę, która stała tuż za nią. Wybrała to, co wybrała Francesca i podeszła za nią do stolika przy oknie.

— Wiesz, to była kiedyś szkoła dla dziewcząt — powiedział głęboki głos z tyłu.

Francesca się odwróciła. Przy sąsiednim stoliku stał opalony młody mężczyzna w garniturze z pomarszczonego materiału. Trzymał w rękach drewniany model rakiety. Na jasnych włosach miał ciemne okulary, takie, jakie noszą piloci.

— Słucham? — spytała Francesca.

— Florydzkie Kolegium dla Kobiet. — Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. — To zmieniło się dopiero tuż po wojnie. Przepraszam, 121

— Ja podśluchiwałem. Pomagałem młodszemu bratu się wprowadzić.

To dobrze, ja twoja matka jest opiekuńcza. Ona naprawdę cię kocha. Masz szczęście.

Jego matka nie mogła się doczekać, kiedy pozbędzie się obu synów z domu. Chłopak postawił raketę.

Francesce zakręciło się w głowie od zapachu kwitnących krzewów.

Chłopak oderwał się od grupy starszych studentów, między innymi blondynki z brzoskwiniami, żeby porozmawiać z Francescą.

Był zarazem niezręczny i dobrze wychowany. Nie mógł przestać mówić. Wreszcie przeprosił za to, że się nie przedstawił.

— Jestem Billy Van Arsdale. — Wyciągnął rękę.

To była jej wielka szansa. Fran Collins. Franny Taylor. Frances Wilson. Francie Roberts. Wyciągając dłoń, uzmysłowiła sobie, że ma spocone palce. Nie wilgotne, lecz ociekające potem. Ale była zdecydowana. Teraz nie może się cofnąć. W panice ujęła rękę Billy'ego w palce, które były nieco mniej mokre na czubkach, odwróciła ją i pocałowała.

Koledzy Billy'ego parsknęli śmiechem.

— Francescą Corleone — powiedziała prawie szeptem, wbrew sobie wymawiając wszystkie cztery sylaby nazwiska z doskonałym włoskim akcentem. Próbowała się uśmiechnąć, jak gdyby chciała obrócić pocałunek w śmiech. — Hmm. Więc o co chodzi z tą raketą?

— To naprawdę urocze nazwisko — rzekł Billy.

— Ona jest Włoszką — wykrztusiła z rozjaśnionymi oczami Suzy Kimball, jakby znajdowała się w klasie i po raz pierwszy w semestrze знаła właściwą odpowiedź. Mówiła to do wszystkich studentów, którzy siedzieli z Billem przy stoliku. — Ci Włosi uwielbiają się całować. Myślałam, że twoje nazwisko wymawia się *Corle-own*, a nie *Corl-oney*. Więc jak właściwie?

Francescą nie mogła nic z siebie wydusić. Nie była w stanie oderwać wzroku od Billy'ego.

Ktoś przy drugim stoliku zapiał:

— *Mamma mia*, gdzie ta mozzarella? — Znów gruchnęła salwa śmiechu.

Billy to zignorował.

— Witaj w FSU. Jeśli mogę coś...

— No i masz — mruknął jeden z chłopaków przy stole.

— Skarbie — odezwała się dziewczyna z brzoskwiniami —

jesteś niepoprawny.

122

— ...wystarczy poprosić.

— Corleone, tak? — zapytał ten, który pozwolił sobie na kawałek z mozzarellą. Podniósł wymyślony pistolet maszynowy i udał, że puszcza serię.

— Jesteś jakoś spokrewniona? — spytał ktoś.

— Wy macie narąbane we łbach — rzucił Billy. — To czubki

— powiedział do Franceski. — Muszę uciekać, ale jeśli będziesz czegoś potrzebowała, jestem w księżce pod W.B.

— Tak, ko-ochanie — zaczęła brzoskwinia. — William Brewster Van A-achsdale Trzeci.

Billy przewrócił oczami, ścisnął lekko ramię Franceski, złapał

rakietę, zsunął okulary na nos i wyszedł. Francesca spodziewała się, że ci przy drugim stoliku nie zjedzą z niej, ale oni natychmiast stracili zainteresowanie i zajęli się sobą.

— Przykro mi — wymamrotała Suzy. Trzęsła się jak skarcony psiak.

Co Francesca miała odpowiedzieć?

— Masz rację. Jestem Włoszką. Wszyscy jesteśmy „Lubią się całować”. Można powiedzieć o kimś gorsze rzeczy, prawda? —

Zapomnij o tym. Możesz wymawiać moje nazwisko tak, jak chcesz.

Suzy podniosła głowę i zakryła usta.

— Powinnaś zobaczyć się w lustrze.

— Dlaczego? — dopytywała się Francesca.

Uderzył grom.

Suzy pokręciła głową, lecz Francesca wiedziała. Wciąż czuła na ramieniu dotknięcie Billy'ego.

Po obiedzie zajęły się swoim pokojem. Ubrania Suzy przypominały mundury: prawie identyczne spódnice i bluzki, identyczne

staniki, skarpetki i bielizna. Zgodziły się, że ustawią łóżka jedno na drugim. Francesca powiedziała, że Suzy może wybierać. Suzy wybrała dolne. Kto wybiera dolne łóżko? Deszcz przestał padać.

Opiekunka akademika wypędziła wszystkie dziewczęta, wręczyła im małe białe świece i poprowadziła przez kampus na ceremonię przyrzeczenia pierwszoroczników. Wchodziły na stadion przy dźwiękach marsza granego przez maszerującą orkiestrę. Zaczęła siąpić mława. Stały tam długie szeregi białych składanych krzeseł.

Suzy i Francesca usiadły na końcu. Te śniade. Musi znaleźć sposób, żeby odłączyć się od tej dziewczyny i nie zasłużyć na miano pode

Zjr

p z

o a

dn

ee

s g

t o

u w

na y

lriz

n u

iiit k

pa

i .

ę ćdziesięciu metrów powitał ich jakiś

dziekan. Następnie przedstawił rektora uniwersytetu, tęgiego męŜczyznę w czarnej todze. Dziekan usiadł i dopiero wtedy Francesca

zauwaŜyła na krześle obok niego niebieski garnitur, jasne włosy i białe zęby, które lśniły nawet z tej odległości. Przez chwilę zdawało jej się, Őe to złudzenie. Z powodu upału. Ale Suzy wbiła jej łok

— ieć

T

a w

m b

j o

esk

t i w

Wi s

ll k

i a

a za

m ła

B .

r ewster Van Arsdale Trzeci!

— To był Őart — odparła Francesca.

— Znów masz ten wyraz twarzy — stwierdziła Suzy.

Francesca spróbowała podnieść brew w taki sam sposób, jak Deanna Dunn w filmie sprzed kilku lat, w którym grała zabójczynię.

W czasie przemówienia rektora Billy zaznaczał coś na kartkach indeksu. Francesca zaś powtarzała sobie, Őe ze wszystkich głupich zauroczeń to jest z całą pewnością najgłupsze.

Rektor trzymał się za pas togi. Kazał rozejrzeć się w prawo i w lewo, powiedział, Őe jeden ze studentów nie zdobędzie dyplomu i zachęcił wszystkich, by dołoŜyli wszelkich starań, Őeby nie

spotkało to właśnie ich. Następnie dał znak Przewodnikom Ducha stojącym na końcu kaŹdego przejŹcia, by zapalili Źwiece wszystkich studentów. Zagrzmiało. Rektor oznajmił, Źe teraz będzie miał

przyjemnoŹć

przedstawić

przewodniczącego

zgromadzenia studentów.

— Rzecz jasna kaŹdy, kto kiedykolwiek jadł ŹwieŹe owoce z Florydy, juŹ jest wiernym przyjacielem jego rodziny. — Rektor zawiesił głos, Źeby zwrócić uwagę wszystkich obecnych i zaŹmiać się ze swojego Źartu. — Panie i panowie, pan William Brewster Van Arsdale.

— MówiłaŹ chyba, Źe to Źart? — spytała Suzy.

Francesca wzruszyła ramionami. Van Arsdale „Cytrus”?

Billy podszedł do podestu, machając ręką, i wydobył spod marynarki drewnianą raketę. W tej samej chwili deszcz przybrał

na sile. Billy nie przestał mówić. Rakietą była dla niego rekwizytem, gdyŹ zapowiadał nadchodzącą erę kosmiczną, w której obecni

na stadionie studenci przeŹyją swoje ekscytujące Źycie. Zapłonęły Źwiece. Studenci zaczęli wychodzić. Nagle niebo się otworzyło, jak to się zdarza na Florydzie. Francesca zapięła płaszcz. Orkiestra rzuciła się szukać kryjówki. Po kilku chwilach woda wypełniła bieŹnię wokół boiska. Billy wsunął raketę pod marynarkę i wystawił

— ind

Nae

s k

z s

a n

f a

o

r w

mia

altr

n .

a edukacja powinna trwać w równowadze

124

z waŝnymi rzeczami, których juŝ się nauczyliśmy! — zawołał. —

Miłość. Rodzina. Zdrowy rozsądek. Dalej, okaŝmy wszyscy doŝć rozsądku, by uciec przed deszczem!

Zanim skończył zdanie, większość obecnych juŝ umknęła.

Oprócz Franceski, która nadal siedziała na krześle.

Oszukiwała się. To było śmieszne. Teraz było dla niej jasne, ŝe tam, w stołówce, Billy albo odgrywał dobroczyńcę wyciągającego rękę do dwóch dziwnie wyglądających przedstawicielek mniejszości etnicznych, albo zabawił się jej kosztem.

Patrzyła, jak biegnie, osłaniając duŝym parasolem dziekana i rektora w todze.

Oczywiście, ŝe Billy jest człowiekiem, nad którym zawsze otworzy się ogromny parasol.

Francesca, ostatnia osoba, która jeszcze siedziała, rzuciła mokrą świeczkę i ukryła twarz w dłoniach.

Powinna wrócić do domu. Nie do akademika, tylko do prawdziwego domu.

Jak zawsze w najczarniejszych chwilach, próbowała wyobrazić sobie twarz ojca. Za kaŝdym kolejnym razem stawało się to trudniejsze. Przyjmował pozy i uśmiechał się tak jak na zdjęciach.

Czy naprawdę widziała tatę, czy tylko jego zdjęcie na ślubie cioci Connie, gdy zdołał otoczyć ramionami wszystkich dorosłych w rodzinie, gdy był szczęśliwy, zakochany w mamie i opiekował się wszystkimi? Francesca i Kamy tańczyły z Johnnym Fontane, postacią, która wydawała się teraz równie odległa jak Myszka Miki. Przynajmniej w tamtej chwili wszystko się układało.

Schyliła się i pozwoliła bombardować kroplom deszczu. Wiedziała w głębi serca, ŝe nie pamięta juŝ brzmienia głosu ojca. W tej kwestii teŝ się oszukiwała: przypisywała zbyt duŝe znaczenie staromodnym

fryzurom,

frakom,

sukniom,

wspañiałemu

mundurowi korpusu piechoty morskiej wujka Mike'a w niedopasowanej

czapce. Niczym głupiutki podłotek dała się zwieść wyglądającym naturalnie uśmiechom na twarzach zmarłych ludzi, zręczności fotografa, przypadkowemu trikowi zwodniczego oświetlenia. Nigdy nic naprawdę się nie układało. Chyba wszyscy to wiedzą? Były inne zdjęcia rodzinne, o których Francesca wolała nie myśleć.

Zdjęcie wujka Freda siedzącego na krawędzi i płaczącego.

Zdjęcie dziadka Vita zasłaniającego twarz, które „New York Times”

wykorzystał w jego nekrologu. Zrobione polaroidem zdjęcie matki Franceski siedzącej bez spódnicy w gabinecie Alkoholowego Stanu 125

w Naugahyde, które Kathy i jej siostra znalazły ukryte obok ogromnego gumowego penisa w wydrążonym narożniku łóżka matki. To z zagiętą krawędzią, przedstawiające ojca zabijającego pałką tuńczyka gdzieś na wybrzeżu Sycylii. Uśmiechał się jak chłopiec w bożonarodzeniowy poranek.

Jesteś jakoś spokrewniona? Co powiedziałaaby Francesca, gdyby Billy nie kazał kolegom przestać się wygłupiać? Nie miała pojęcia.

Było wiele powodów, by lubić burze. Francesca Corleone być może płakała, a być może nie. Nie zamierzała odchodzić ze stadionu, dopóki nie spadnie ostatnia ciężka kropla.

Rozdział 9

Kaŕdy, kto obserwował, jak Michael Corleone ląduje na jeziorze Mead — na przykład dwaj kierowcy cadillaców stojący na końcu kładki i trzymający linki — pomyślałby, Œe robił to setki razy, a nie najwyŒej dwadzieŒcia. Kay śpiąca obok niego na fotelu nawet się nie poruszyła, dopóki Tommy Neri i dwóch młodych mężczyzn ściśniętych z tyłu nie zaczęło klaskać.

Kay usiadła prosto i otworzyła szeroko oczy.

— Moje dzieci!

Michael roześmiał się i prawie w tej samej chwili tego poŒałował.

Jej niepotrzebny strach go rozśmieszył, ale i trochę rozczulił.

W obecności kogoś innego nie zareagowałby bez zastanowienia.

Kay była jedyną osobą na świecie, która mogła sprawić, Œe zachowywał się wbrew swej naturze.

— Przepraszam, pani C. — powiedział Tommy. — Powinna pani to zobaczyć. Pani mąż ma

naturalny talent. Teraz przyznaję, że byłem trochę zdenerwowany. Dopiero w zeszłym roku pierwszy raz leciałem normalnym samolotem.

Kay potarła oczy.

— Nie śmiałem się z ciebie — rzekł Michael. — Dobrze się czujesz?

— One naprawdę pływają — zwróciła się Kay do Tommy'ego.

— To znaczy, wodnopłaty. Chociaż czasem się przewracają.

— Tak, proszę pani.

— Co ci się śniło? — spytał Michael.

Kay położyła rękę na piersi, jak gdyby chciała uspokoić szybko bijące serce.

127

— Nic mi nie jest. Wróciliśmy do domu.

— Wróciliśmy na jezioro Mead.

— Właśnie to miałam na myśli. A o czym twoim zdaniem myślałam? O pasażu handlowym na Long Beach?

Michaelowi bardzo nie podobało się to, że pojęcie domu może budzić najdrobniejsze nawet wątpliwości. Nie podobało mu się także to, że do tej drobnej sprzeczki między nimi dochodzi w obecności ludzi, którzy nie są mu bliscy. Odpowiedział dopiero gdy

dopro

— wa

N d

i z

e, i ł

n h

iey

d

s r

ą o

d p

zila

en d

m, o

ŝ p

e o

t m

o o

ms

atu

s .

z

na myśli.

Kay rozpięła pas i przepchnęła się obok mężczyzny. Była zła od chwili, gdy Michael wylądował w ich posiadłości, żeby zabrać mężczyznę. Wsiadła na tylne siedzenie ich szarego samochodu z czarnym dachem.

Michael kazał przekazać pozdrowienia Fredowi i Pete'owi Clemenzy. Powiedział, że będzie w Zamku na Piasku nie później niż w południe do siódmej. Czerwony cadillac był wozem Freda, ktoś miał nim wyjechać po Michaela i na lotnisko po Freda.

Michael usiadł z tyłu obok Kay.

— To miała być randka, taka jak za dawnych czasów — przypomniała mu Kay. — Do późnego wieczora. Tak mówiłeś.

— Musiałem ich jakoś zabrać z powrotem. A ty i tak przespałaś cały lot.

Kay wzruszyła ramionami i nie był to pojedynczy gest. Jeśli prowadzi się takie rzeczy, istnieją dwa rodzaje kobiet. Kiedyś oświadczył

się z kobietą, która należała do drugiego rodzaju. kobieta taka jak Apollonia — czyli taka sama jak matka Michaela — sycylijska dziewczyna, słuchająca każdego słowa mężczyzny, nie byłaby dla niego

odpowiednia, a z pewnością nie dla jego dzieci tu, w Ameryce.

Ale nie mógł tego znosić, nie w obecności innych. Nawet najbardziej lojalni z jego ludzi nie powinni wiedzieć, że głowa rodziny przyznaje się do słabości, choćby nawet drobnej.

— Interesy — mruknął Michael. W ich języku znaczyło to tyle samo, co: Ta sprawa jest poza dyskusją.

— Oczywiście, masz rację.

Jechali do domu przy wtórze kowbojskich piosenek płynących z radia.

Rodzice Kay zaparkowali samochód na podjeździe. Po drugiej stronie jezdni, przed placem, na którym miał stać dom Connie, siostry Michaela, stał szary plymouth. To musiał być samochód 128

gliniarza, po pierwsze, ze względu na markę, a po drugie, dlatego że gdyby było inaczej, ludzie Ala Neriego już by się nim zajęli.

Z wnętrza domu dobiegał dźwięk, a właściwie odgłosy jakiejś hałaśliwej opery. W przeciwieństwie do Pete'a Wąsacza Michael nigdy nie czuł potrzeby udawania, że interesuje się operą. Muzyka w domu była domeną Kay.

Ona zaś skrzywiła się i przewróciła oczami.

— To tata — stwierdziła.

Jej chłodny związek z rodzicami zastanawiał Michaela.

Sekundowali jej we wszystkim, co chciała robić. Agenci federalni weszli

kiedyś do gabinetu, w którym ojciec Kay pisał kazania. Nazywał

w nich Michaela gangsterem i mordercą, lecz gdy postanowiła za niego wyjść, bez wahania dał jej swoje błogosławieństwo. Michael już miał powiedzieć coś uszczypliwego o teściu i rzeczach, które nigdy się nie zmieniają, gdy uprzytomnił sobie, że adapter przywieziony z Nowego Jorku nie może tak głośno grać. Dźwięk docho

— dz

J i

e łs tz

j

we

go

m

o g

j a

ej b

j in

aset

k u

i .

n

i — stwierdził Michael.

— Traci słuch, między innymi — odparła Kay. — Bądź dla niego miły.

— Jest w mojej jaskini — powtórzył Michael.

Kay wygładziła spódnicę i wskazała w stronę podwórka, gdzie jej matka bujała Mary na huśtawce. Michael skinął głową i wszedł

do środka.

Pokonał schody i znalazł się w sypialni. Jaskinia wyglądała jak pomarańczowo-brązowy koszmar z plastikowymi krzesłami i stojącymi lampami, z których sączyło się słabe światło. Dwoje rudych

dzieci, które Michael widział pierwszy raz w Śyciu, bawiło się na dywanie modelami wywrotek marki Tonka. Thornton Adams siedział przy jasnym nowoczesnym biurku Michaela, trzymając na kolanach Anthony'ego. Obaj mieli zamknięte oczy i odchylone w tył głowy niczym sielankowe wizerunki Jezusa na witraŜu.

Michael przeszedł przez pokój i przekreślił gałkę ściennego magn

A e

ntto

h f

o o

n n

y u

s s

pzp

oj u

r l

z o

a w

ł e

n g

a o

n.i ego tak samo jak kilka minut temu Kay.

Michael poczuł ukłucie w sercu. Dzieci na podłodze zerwały się i uciekły.

— Thornton — rzekł Michael.

— Pozwoliłem sobie...

— Nie szkodzi. Wszystko w porządku.

129

— Czy wpadliśmy w straszne tarapaty? — zapytał Anthony.

Górna warga chłopca drżała, a jego oczy były szeroko otwarte.

Michael dał mu klapsa najwyżej trzy razy w Syciu. KaŜdy, kto uwaŜa, Ŝe potrafi wyjaŝnić wszystko, co ludzie robią, nabiera rozumu, kiedy ma jedno lub dwoje dzieci.

— Nie, łobuziaku — odparł Michael, podnosząc chłopca i ściskając go. — Nie wpadłeś w tarapaty. Podoba ci się ta muzyka?

— Mówiłem dziadkowi, Ŝe nie powinniśmy...

— W porządku. Czego słuchaliście?

— Powiedz tacie, Tony — rzekł Thornton, zakładając okulary w ciemnych oprawkach.

— To Puccini.

— On jest Włochem. Albo raczej był — zachichotał Thornton.

— Teraz jest już całkiem martwy, oczywiście.

— Słyszałem — powiedział Michael.

— Co mówiłeś?

Michael podniósł głos:

— Puccini nie żyje. Zjesz coś? Mam coś przygotować?

— Agnes wstawiła *casserole* — odparł Thornton. — Coś z fasolą.

Michael niczego nie czuł. Czy coś może się dusić i nie wydzielać żadnego zapachu?

— Puccini nie żyje? — spytał pobladły Anthony.

Michael zmierzwił delikatnie włosy syna.

— Miał przyjemne życie — odparł, choć nie wiedział absolutnie nic o życiu Pucciniego. Poczł, że ciało malca się rozluźnia. — Co to były za dzieci?

— Sąsiedzi — odrzekł Thornton. — Wasze podwórka się stykają. Te dzieciaki chyba już się zaprzyjaźniły z Tonym i Mary.

Idziemy, Tony. Przepraszam, jeśli...

Michael posłał tylko teściowi wymowne spojrzenie. Postawił

syna na ziemi, zamknął drzwi i został sam.

Usłyszał szum prysznic w pomieszczeniu obok. To Kay.

Michael wyjął smoking, ten sam, w którym brał ślub (wczoraj miał

na

sobie drugi), spodnie przydałoby się trochę podłużyć. Zerknął

ukradkiem na ścianę przez szklane drzwi prysznic i wrócił do swojej

F e

r j
e j
d a
o s
k
c i
h n
c i,
a Ŝ
ł e b
d y
o
b s
r i
z e
e p
i r
z e
w ł b
a r
ś a
n ć
i .

e to zdanie pewnego dnia powinno

znaleźć się na grobie jego brata jako epitafium. Weźmy choćby ten samochód. Było to naprawdę wspaniałe auto ze złotą maskownicą 130

i szprychowymi alufelgami. Michael wciąż uważał, że Fredo zachowuje się jak krety, kupując takie szpanerskie wozy, ale wystarczyło się rozejrzeć: czy tu, na Zachodzie, zwykły czarny samochód wtopiłby się w tło lepiej niż lśniące cacko z wygiętymi płetwami, które stało na podjeździe domu Michaela? Albo sprzęt hi-fi. Fredo twierdził, że takiego samego używa się w studiach nagraniowych. Zajmował całą ścianę. Kto potrzebuje czegoś takiego w domu? Michael wiedział, że to coraz powszechniejsza moda, ale nigdy nie tracił czasu na słuchanie nagranej muzyki.

Usiadł przy biurku, mając świadomość, jak bardzo jest zmęczony. Dwa dni w Nowym Jorku, dzień w Detroit, a później różnica

czasu i koncentracja w czasie lotu nad jezioro Mead i z powrotem.

A przed nim była noc zapowiadająca się na bardzo długą: spotkania w Zamku na Piasku, wieści z Wyspy Grzechotników, koncert Fontane i to, co miało nastąpić potem. Ceremonia. Michael bezwiednie przesunął palcem po obwodzie popielniczki z syreną na

wypukłej wyspie pośrodku. Należała do papy, wciąż widać było rysę w miejscu, w którym została sklejona. Michael zapalił

papierosa dużą stołową zapalniczką w kształcie lwa wysokości piętnastu

centymetrów. Zabębnił palcami po okropnym biurku z jasnego drewna

Z n

a a

s

ni

ą p

ł o

i m

s y

p ś

a lła

ł

t ao

k go

z l

d f

r ie

o .

w G

o, o

l

ŝ f

e by

mł

ó ś

gw

ł i

b e

y t n

t y

a m

k p

z o

os m

ta y

ć s

, le

p m

rz,

y z

g aró

b w

iono

ny

ja

i ko

m

ar s

t p

w o

y r

t

dl i

a ś ro

wiz

arty

a w

, k

p a

rz,

ezj a

r k

e

sz it ę sp

n o

ocsó

y. b

na zrelaksowanie się i

załat

P w

o i

d a

e n

r ie

w

a iłn

stie

ę r e

nsó

a w

gl .

e

. E

kskluzywne kluby. Doskonale.

— Nie śpię.

Kay trzymała rękę na jego ramieniu.

— Widziałam, jak na mnie zerkałeś.

— Przepraszam.

— Nie musisz. Będę się martwiła, kiedy przestaniesz.

— Więc czemu się przebrałaś? Dokąd wychodzisz?

Kay zmarszczyła czoło.

— Zobaczyć Johnny'ego Fontane, oczywiście. No, chodźmy już.

— Zobaczyć Fontane?

— To coś takiego, jakbyś mieszkał w Nowym Jorku i w każdej chwili mógł pójść obejrzeć Statuę Wolności, ale nigdy tego nie zrobił. Johnny Fontane śpiewa w twoim kasynie od...

— Jesteśmy tylko współwłaścicielami kasyna.

131

— ...od tygodni. Możemy iść w każdej chwili, ale nigdy nie chodzimy. Zdajesz sobie sprawę, że minęło dziesięć lat, od chwili gdy słyszałam go śpiewającego na ślubie twojej siostry? To był pierwszy i ostatni raz.

Kay się roześmiała.

— Powinieneś się teraz zobaczyć. Tak, racja, interesy. No dobrze, idź. Zabieram mamę, tatę i dzieci na obiad do tego niedawno otartego lokalu, w którym podają steki.

— Myślałem, że twoja mama coś przygotowuje.

— Próbowaleś kiedyś *casserole* według przepisu mamy?

Michael pocałował Sonę. Podziękował jej za wspaniały dzień i za całe wspaniałe wspólne życie.

— Nie czekaj — rzekł. — Wrócę późno.

— Zawsze tak wracasz. — Kay powiedziała to z uśmiechem, lecz oboje wiedzieli, że nie żartuje.

— Lot minął przyjemnie? — zapytał Hal Mitchell, ubrany w strój do gry w golfa. „Rlot”. Sierżant miał kłopoty z wymawianiem „l”. Bardzo go to wkurzało w czasie wojny, gdy

głoska

ta

pojawiła się we wszystkich hasłach jako pułapka na Japońców.

Ale żołnierze go kochali. Nikt nigdy nie nazwał go otwarcie sierśa

— nte

N m

ie

c N

ie iu

k c

a h

w n

i i

e ą.

— odparł Michael, ściskając starego towarzysza broni. — Takie są najlepsze.

Z tyłu za Mitchellem stał Tom Hagen, który oczywiście przyszedł

wcześniej. Hagen i kowboj z białymi włosami wstali, a łysy mężczyzna na wózku na kółkach wyciągnął rękę. Tylko Michael był w smokingu. Słońce jeszcze nie zaszło, lecz szans na przebranie się nie będzie.

Ściany biura Mitchella pokryte były fotkami znanych osobistości.

Oprócz nich wisiało zdjęcie sierśanta Mitchella sprzed dwunastu lat, szeregowca Corleone pozującego przed spalonym japońskim czołgiem na Guadalcanal razem z kilkoma *marines*, którzy nie wrócili do domu. Z biura widać było doskonale główne wejście do Zamku na Piasku. Na markizie widniał napis WITAMY AMERYKAŃSKICH ROBOTNIKÓW! Jutro znów znajdzie się tam nazwisko Fontane. Na kamiennym dziedzińcu wciąż pojawiali się nowi związkowcy, goście konwencji, która miała się rozpocząć jutro. Przybywali też inni przyjaciele rodziny Corleone.

132

Mitchell zaproponował Michaelowi miejsce za biurkiem, lecz ten nie chciał o tym słyszeć.

Męszczyzna na wózku był prezesem banku Las Vegas. Siwowłosy, w kowbojskim kapeluszu, był adwokatem prowadzącym własną praktykę po kadencji spędzonej na stanowisku prokuratora stanowego i wielu latach piastowania funkcji przewodniczącego Partii Republikańskiej stanu Nevada. Na papierze

największymi udziałowcami kasyna byli ci dwaj, Mitchell oraz agencja obrotu nieruchomości kontrolowana przez Toma Hageną.

Firma budowlana Michaela była na papierze szóstym co do wielko-

ści udziałowcem, mniejszym niż brat Michaela, Fredo, który zaryzykował i wystąpił pod własnym nazwiskiem. Wywołało to poważną debatę w łonie rodziny Corleone oraz w Komisji Nadzoru Gier s

— ta

F n

r u

e

d N

o ev

C a

o d

rla

e.

oF

n re

e d

po

r

zte

e Ŝ

s

yp

ł o

a win

yrie

a n

z

yb

y

u ć

b w

ol

e ty

w m

an ito

a war

— z

py

ostw

wi i

e e

d .

ział

Hagen. — Jego lot się opóźnił i nikt nie miał na to wpływu.

Michael tylko skinął głową. Nic nie można było powiedzieć —

nie w obecności osób spoza rodziny i z całą pewnością nie w tym pomieszczeniu w którym był założony podsłuch.

Spotkanie trwało około godziny. Nie było czysto teatralne, ponieważ ani prezes banku, ani kowboj adwokat nie mieli pojęcia, że słuchają ich stróża prawa, nie różniło się więc od typowego zebrania głównych udziałowców dowolnej prywatnej firmy.

Mówiono o zakupach, sprawach personalnych, ocenie skuteczności działań reklamowych i marketingowych. Omawiano pomysły

Mitchella, który zaproponował zorganizowanie pikniku na dachu, połączonego z oglądaniem eksplozji bomby atomowej. Michael zastanawiał się w duchu, jaki idiota wejdzie na dach o nieboskiej godzinie i wyłoży dziesięć dolarów, żeby usłyszeć coś, co za darmo będzie można usłyszeć na dole, i podziwiać chmurę dymu, którą będzie można dobrze zobaczyć z okna pokoju. Nic jednak nie powiedział. Myślami był już przy dwóch pozostałych spotkaniach. Największe ożywienie w czasie tego zebrania wzbudziła kwestia nazwy nowego kasyna nad jeziorem Tahoe. Wszyscy przystali na pomysł Hala, który zaproponował, by lokal nazywał

się Zamek w Chmurach Hala Mitchella.

Na koniec Mitchell oznajmił, że ma nadzieję zobaczyć wszystkich wraz z żonami na koncercie Fontane dla VIP-ów. W

końcu

Johnny

był

nowym

wspólnikiem,

posiadającym

dziesięcioprocentowy udział w Zamku w Chmurach. Goście stwierdzili,

że

za

nic

nie opuszczą koncertu.

Hagen poczekał, aŜ wyjdą, a później zadzwonił szybko do Louiego Russa.

— Don Russo jest w tej chwili w drodze do Chuckwagon —

poinformował Michaela Tom.

Ruszyli w dół tylnymi schodami.

— O co chodzi z Fredem? — zapytał Michael.

— Dotrze jutro rano — odparł Hagen. — Ma się dobrze. Jest z nim dwóch pewnych ludzi.

— Chcesz powiedzieć, Őe ten golibroda i chłopak, który zsiadł

ze statku, hodowca kóz...

— Tak.

Michael pokręcił głową. Fryzjera czekała dzisiaj inicjacja po koncercie Fontane. To miała być niespodzianka, bo właśnie w ten sposób robiło się takie rzeczy. Był gotów.

— Więc dlaczego Fredo spóźnił się na samolot?

— Nie wiem. To się zdarza wielu ludziom.

— Tobie nie.

— A właśnie, Őe się spóźniłem. I to dzisiaj.

— Ale tutaj dotarłeś na czas.

Hagen nie odpowiedział. Zawsze był pobłaŹliwy wobec Freda.

— Więc jak poszło w Palm Springs?

— Tak, jak mówiliśmy. Wszystko zgodnie z przewidywaniami.

Przeszli przez hol do kawiarni Chuckwagon, otwieranej tylko na śniadanie. Michael miał klucz. Usiedli z Tomem przy stoliku w kącie. Po chwili jeden z asystentów Hala Mitchella wpuścił

Russa i jego dwóch ludzi i zamknął za nimi drzwi na klucz.

Russo był bladym męŹczyzną o drobnych dłoniach, w źle dopasowanej peruce i ogromnych ciemnych okularach. Podeszedł

pros-

to do ściany i wyłączył wszystkie światła. Jego ludzie zaciągnęli zasłó

—n

y.

P rzyproWadziłeś swojego irlandzkiego *consigliere* —

zauwaŜył wysokim dziewczęcym głósiem. — Bosko.

— Witamy w Zamku na Piasku, don Russo. — Hagen wstał.

Jedynym sygnałem świadczącym o nieszczeróci był jego sztuczny szeroki uśmiech.

Michael nic nie powiedział, dopóki ludzie Russa nie odeszli i nie usiedli na stołkach przy barze.

— Zapewniam cię, don Russo, Ŝe zapłaciliśmy rachunek za elektryczność — oznajmił Michael.

— Tak jest lepiej — odparł Russo, stukając się w okulary, 134

których wielkość sprawiała, Ŝe jego nos jeszcze bardziej przypominał penisa. — Jakiś śmieć próbował mnie zastrzelić przez okno

sklepiku z cukierkami. Szkło wpadło mi do oczu. PrzewaŜnie widzę

— do

O b

c r

z z

y e,

w ia

ś l

ce

i

eś wi

—a

t

r ło

ze w

kł c

ią

M Ő

i

c ra

h z

a i

e .

l

. — Chcemy tylko, Őebyś czuł

się swobodnie.

— Jak widzę, przeszkadza ci, Őe zgasilem wszystkie Őwiatła i zaciągnąłem zasłony, nic nie mówiąc — zauwaŐył Russo, siadając. — Tak? Teraz wiesz, jak to jest.

— To znaczy, co? — zapytał Hagen.

— Daj spokój, Irlandczyku. Wiesz, o czym mówię, i twój szef teŐ. Wy, nowojorczycy, wszyscy jesteŐcie tacy sami. ZawarliŐcie układ. Wszystko, co na zachód od Chicago, naleŐy do Chicago.

Ale gdy tylko zauwaŐyliŐcie, Őe na zachód od Chicago coŐ jest, zaraz się wycofaliŐcie. Capone dostał, co miał dostać, a wam się zdaje, Őe ten neapolitański syfilityczny skurwiel to całe Chicago.

A reszta z nas? JesteŐmy niczym. Organizujecie komisję, ale czy my do niej wchodzimy? Nie. Moe Greene dostaje całą forŐę z Nowego Jorku i buduje Las Vegas. Z nami nikt się nie konsultuje. Po prostu ogłaszacie Vegas wolnym miastem. A wiesz, co ja myślę? Őwietnie. W Miami tak jest, i jest bombowo. W Hawanie teŐ i w Bogu nadzieja, Őe tak zostanie. A tutaj być moŐe dzieła najlepiej. Ale dlaczego taki brak szacunku? Nikt nawet się nie pofatygował, Őeby nas zapytać. To mój punkt widzenia. A mimo to nie protestowaliŐmy. Nie mieliŐmy szans protestować. Przez kilka lat nic nie było zorganizowane jak naleŐy. Najlepiej o tym zapomnieć. Wyszło tak, Őe my straciliŐmy — nie chcę powiedzieć, Őe wy skorzystaliŐcie z okazji. No i git. Vegas dzieła doskonale tak, jak dzieła. W Chicago wszystko jest pod kontrolą.

W Nowym Jorku przez jakiś czas krew płynęła ulicami i tak dalej, ale z tego, co słyŐę, znów macie pokój. Oby to była prawda. Ja chcę powiedzieć tak: kiedy wy mieliŐcie kłopoty, czy pomyŐlałem, Őe

pora wykorzystać moich przyjaciół z Nowego Jorku? Nie. Trzymałem się z daleka. Nie chcę, żebyście organizowali dla mnie paradę czy coś takiego, ale Chryste! Co dostaję za to, że kiedy mnie potrzebowaliście, okazałem wam szacunek? Przenosicie tutaj swoją główną kwaterę. Tutaj! Do miasta, które ma być wolne, a które, ściśle rzecz biorąc, słusznie należy się nam. Chyba nie jestem głupi, co? Ale nie jestem prawnikiem jak ten tu Irlandczyk i nie chodziłem do Śadnej 135

zasranej szkółki z Ivy League. Więc wyjaśnijcie mi to.

Powiedzcie, czemu mam to wszystko znosić?

Louie Russo miał ponoć iloraz inteligencji na poziomie dziewięć-

dziesięciu, ale genialnie czytał w myślach innych ludzi. A za sprawą okularów trudno było czytać w jego myślach.

— Doceniam twoją szczerość, don Russo — odezwał się Michael. — Nikogo bardziej nie cenię niż szczerego człowieka.

Russo stęknął.

— Nie wiem, skąd czerpiesz informacje — ciągnął Michael —

ale to, co powiedziałaś, nie jest prawdą. Nie mamy zamiaru rządzić w Las Vegas. Jesteśmy tu tylko tymczasowo. Mam ziemię nad jeziorem Tahoe, a kiedy ukończymy budowę, przeniesiemy się tam na stałe.

— Kiedy ostatnio patrzyłem na mapę, Tahoe też było na zachód od Chicago — zauważył Russo.

Michael wzruszył ramionami.

— Kiedy przyjdzie czas, nie będzie cię to w ogóle obchodzić.

— Ale teraz mnie obchodzi.

— Niepotrzebnie. W przyszłości nie będziemy przyjmowali Śadnych nowych członków. Stopniowo odcinam się od wszystkiego, co mieliśmy w Nowym Jorku. Interesy, które zamierzam tutaj prowadzić, będą legalne. Liczę na twoją współpracę albo przynajmniej nie przeszkadzanie w trakcie dochodzenia do tego stanu. Jak wiesz — skoro wspomniałeś o mojej nauce w Dartmouth

— nigdy nie miałem zamiaru angażować się w interes ojca. On też

tego nie chciał. Jak powiedziałem, to tylko tymczasowe.

Otworzymy nowe kasyno w Tahoe i zamierzamy prowadzić je tak czysto, że armia gliniarzy, kontrolerów skarbowych i nadzorców z Komisji Gier może tam mieszkać dzień i noc.

Russo się roześmiał.

— A niech mnie! śyczę wam powodzenia!

— Muszę uznać te Śyczenia za szczere, bo na nas czas — rzekł

Michael. — Wybacz, proszę. Miło nam was gościć. Mam nadzieję, Śe zobaczymy się później. Tom Hagen otworzył piwniczne biuro Enza Aguella, starego przyjaciela rodziny Corleone, a teraz głównego kucharza specjalisty od makaronu. Wszyscy znajdujący się

w środku męŚczyźni — dwaj *capo* ze staŚem, Rocco Lampono i Pete Clemenza, a takŚe kierownik ochrony, Al Neri — byli wczoraj w Detroit na ślubie syna Pete'a. Wszyscy mieli oczy nabiegłe krwią. Lampono miał dopiero trzydzieści lat, ale wyglądał

136

o dziesięć lat starzej. Chodził o lasce od dnia, w którym przywieziono go na statku z Afryki Północnej z Purpurowym Sercem, lecz bez rzepki w lewym kolanie. Clemenza sapnął z wysiłku, który sprawiło mu wstanie z krzesła. Hagen uwaŚał go zawsze za jednego z tłuściochów w nieokreślonym wieku, ale teraz Pete wyglądał po prostu staro. Musiał mieć około siedemdziesiątki.

Mogli się spotkać w apartamencie na górze, lecz biuro Enza miało tę zaletę, Śe było skromne i znajdowało się blisko źródła jedzenia. A przy tym jako bunkier z bloków szlaki było w stu procentach bezpieczne. Za pomocą najlepszego dostępnego za pieniądze sprzętu Neri sprawdził, czy nie załoŚono w nim podsłuchu. Neri zajął miejsce w korytarzu, zamykając za sobą drzwi.

— Gdzie jest Fredo? — spytał Clemenza.

Mike pokręcił głową.

— Wszystko w porządku — uspokoił go Hagen. — Jego samolot się spóźnił. W Detroit szaleją burze. Fredo będzie jutro.

Clemenza i Lampono spojrzeli po sobie i usiedli na twardych, składanych, metalowych krzesłach stojących przy spiŚowoszarym biurku Enza.

— Nie chciałem nic mówić, ale słyszę jakieś dziwne bzdury na temat Freda — rzekł Clemenza. Nowi ochroniarze Freda przyszli z *regime* Clemenzy.

— Co masz na myśli?

Clemenza machnął lekcewaŚąco ręką.

— To zbyt niepewne i idiotyczne, Śeby o tym mówić, wierz mi, a z tego, co mi wiadomo, informacje pochodzą od ćpunów i czarnuchów, więc moŚna z miejsca zignorować dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ale chodzi o to, Śe wszyscy wiemy, iŚ on jest... — Clemenza skrzywił się, jakby doskwierały mu gazy w Śołądku. — Nie mnie prawić o wstrzemięźliwości, ale on ma problemy z płynami.

— Wstrzemięźliwość? — zdziwił się Mike, unosząc brwi. —

Gdzie się nauczyłeś tego słowa?

— Posłałem mojego zasrańca do tej samej szpanerskiej szkółki, do której ty chodziłeś, Mike, i tam je usłyszałem. — Puścił oko. —

Tylko Œe mój dzieciak skończył tę szkółkę w przeciwieństwie do ciebie.

— On wypowiada to słowo na głos? Wstrzemięźliwość?

— A jak moŒna coś wypowiedzieć inaczej? Wiesz, czego jeszcze się dowiedziałem o tym słowie? To jedno z dwóch w języku 137

angielskim, w którym we właściwej kolejności występuje wszystkich pięć samogłosek*.

— Jakie jest drugie?

— A niby skąd ja mam, kurwa, wiedzieć? Jeszcze przed chwilą myślałeś, Œe jestem za tępy, aby wiedzieć, jak uŒyć jednego z nich.

Wszyscy się roześmiali, a później zabrali do pracy.

Hagen pracował krótko jako prawnik korporacyjny, ale wiedział, Œe w czasie spotkania choć w połowie tak waŒnego i w dziesięciu procentach równie szczegółowego pracowałby zastęp sekretarek notujących jak szalone, a i tak większość tego, co zostało powiedziane, zagubiłaby się lub zostałaby przekręcona. MęŒczyźni obecni na tym spotkaniu niczego rzecz jasna nie zapisywali, a mimo Œe byli bardzo zmęczeni, moŒna było polegać na tym, Œe wszystko zapamiętają. Przez trzy godziny omawiali stare interesy i nowe interesy, jedli pieczone kalmary i *pasta e fagioli*.

Omawiali straty, które wojna z klanami Barzinich i Tattaglia spowodowała w rodzinnych interesach. Mówili o zabezpieczeniu dla Œony i rodziny Tessia — tego, którego zdrada była najbardziej zaskakująca i wywołała największy smutek, przyjaciela i współnika Vita Corleone od czasów młodości, o pogrzebie, potrzebach me-dycznych rodziny i innych ofiar z organizacji. Dyskutowali o trium-fie błędnej, lecz powszechnie panującej opinii — wśród nowojorskiej policji, w gazetach i w innych przestępczych rodzinach oraz prawie wszystkich poza rodziną Corleone — Œe zarówno Tessio, jak brutalny, maltretujący swoją Œonę Carlo, szwagier Mike'a i *de facto* zabójca jego brata Sonny'ego, został zabity przez ludzi Barziniego lub Tattaglii. W dodatku najwyżej postawiony człowiek rodziny Corleone w urzędzie nowojorskiej prokuratury okręgowej (kolega z klasy Mike'a z Dartmouth) zamierzał wysunąć w tym tygodniu szereg oskarŒeń wobec członków rodziny Tattaglia o za-mordowanie Emilia Barziniego, zaś wobec członków rodziny Barzinich — o zabicie Phillipa Tattaglii. Nawet jeśli — co było prawdopodobne — aresztowania nie doprowadzą do wyroków skazujących, FBI uzna sprawę za zamkniętą i nie będzie się wtrącać.

Miejscowi gliniarze — którym utrata dochodów doskwierała nie mniej niŒ pierwszemu lepszemu lichwiarzowi — byli najszczęśliwsi wtedy, gdy interesy toczyły się swoim torem. Uwaga opinii

publicznej. Syje krótko i niebawem bez wątpienia wróci, tak jak zawsze,

* *Abstemious* (ang.) — wstrzemięźliwy.

138

do chleba i igrzysk. Tak więc zawieszenie broni okazało się prawdziwym pokojem.

— To powtarza się co dziesięć lat — zauważył Clemenza, wzruszając ramionami. — A później znów zabieramy się do pracy. — Znalazł w biurku Enza paczkę wykałaczek i co kilka minut zaczynał śuć nową. Pozostali palili cygara lub papierosy. Lekarz Clemenzy kazał mu rzucić palenie. A on się starał. — Jak w zegarku. To już moja czwarta runda.

Wszyscy słyszeli już kiedyś tę teorię Clemenzy, nikt nie skomentował.

— Więc uważasz, że mamy pokój, Mike? — zapytał Clemenza, machając wykałaczką jak cygarem. — Czy jest potrzeba zwołania komisji?

Michael skinął głową, bardziej na znak skupienia niż potwierdzenia. Hagen wiedział, że Michael nie przedstawił komisji listy ludzi, którzy zostaną dziś wciągnięci do organizacji. Zebranie komisji było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył. Ale jego twarz niczego nie zdradziła.

— Rocco? — rzekł, przechylając głowę i wyciągając rękę, jakby chciał powiedzieć: najpierw ty się wypowiedz.

Długa pauza — spostrzegł Hagen, na którym zachowanie Michaela zrobiło duże wrażenie — świadczyła o tym, że Michael poważnie się zastanawia, a później konsultuje z zaufanym doradcą.

Gdyby był Sonny i teraz rządził, wyrzuciłby po prostu z siebie to, co myśli, i był dumny ze swojego zdecydowania. Michael odziedziczył po ojcu umiejętność tworzenia konsensusu i pilnie ją ćwiczył.

Rocco Lampone zaciągnął się cygarem.

— To jest pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów, tak?

Skąd mamy wiedzieć, że wojna się skończyła, jeśli nikt tego otwarcie nie powie, hm?

Michael splótł palce i nic nie odpowiedział; jego twarz nie wyrażała niczego. Komisja była ciałem zarządzającym dwudziestoma czterema rodzinami przestępczymi Ameryki. Głowy siedmiu lub ośmiu najważniejszych rodzin zatwierdzały nazwiska nowych członków, *capo* i nowych szefów (te ostatnie były aprobowane prawie zawsze), zajmowały się arbitrażem tylko w przypadku najostroższych konfliktów. Spotykała się tak rzadko, jak to możliwe.

— Ja bym powiedział, że tak — zaczął w końcu Lampone. —

139

Mamy pokój. Na czyje słowo możemy liczyć? Joe Zaluchi jest pewny. Molinari, Leo Mleczarz, Czarny Tony Stracci. Wszyscy oprócz Molinariego są w komisji, tak? Forlenza przychyliła się do naszej opinii? Były już jakieś wiadomości od Asa?

— Jeszcze nie — odparł Hagen. — Geraci ma zadzwonić po tym, jak dotrą na mecz.

— To pewne — stwierdził Rocco. — Geraci, nie mecz. Jeśli chodzi o walkę, to podoba mi się ten półkrwi leworęki czarnuch, ma wspaniałą sierpowy. Nadludzko szybki i płynny.

Clemenza uderzył cztery razy w blat metalowego biurka i uniósł
brwi.

— Z Forlenza mamy pięć głosów — oznajmił Rocco. — Nadal uważamy, że Paulie Fortunato jest nowym donem klanu Barzinich?

— Tak uważamy — potwierdził Hagen.

— Więc mamy sześć głosów. Fortunato to rozsądny człowiek, a poza tym bliżej mu do Cleveland niż Barziniemu. Inaczej mówiąc, zrobi to samo co syd. Więc pozostają inni. — Zamiast wypowiadać nazwisko Tattaglii, Rocco wykonał brzydki sycylijski gest. Różnice między nim a rodziną Tattaglii miały naturę osobistą, były głębokie, złożone i liczne. To właśnie on zaskoczył Phillipa Tattaglię w bun-galowie przy Sunrise Highway na Long Island. Tattaglia, włochaty siedemdziesięciolatek, stał całkiem nagi, w samych skarpetkach, nad nastoletnią prostytutką rozłożoną na łóżku, która powstrzymywała łzy, podczas gdy on próbował spuścić się w jej otwarte usta.

Lampone wpakował pięć kul w miękki brzuch starego. Organizacja Tattaglii była w rozsypce, a kierownictwo przejął brat Phillipa, Rico, który wrócił z ciepłej emerytury w Miami. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby ktoś taki miał ochotę na dalszą wendetę, ale Tattaglia to zawsze Tattaglia.

Mike milczał, a Lampone zmarszczył czoło niczym uczeń, który bardzo chce zadowolić nauczyciela. Mike był najmłodszym mężczyzną w pomieszczeniu, najmłodszym donem w Ameryce, a mimo to wszyscy bardzo starali się przed nim wykazać.

Wstał i podszedł do miejsca na ścianie, w którym byłoby okno, gdyby było.

— Co sądzisz, Tom?

— Nie zwołujmy spotkania komisji, jeśli tylko da się tego uniknąć — odparł Hagen. Jako *consigliere* Vita Corleone był

jedynym z nich, który wziął udział w takim spotkaniu. Uczestniczył

także w jeszcze rzadszym wydarzeniu, jakim było zgromadzenie 140

wszystkich rodzin, zdarza się bowiem, że zwołanie zebrania w taki właśnie sposób się kończy. —

Powód jest taki, że w tym roku zmarło trzech członków komisji. Jest wielu nowych, więc w takiej sytuacji będą musieli postanowić, czy przyjąć Louiego Russa. Bez względu na to, co myślą o nim osobiście, będą musieli się zgodzić, bo Chicago jest tym, czym jest. Jeśli się nie spotkają, mogą trzymać go na haczyku i mówić, że zajmą się tym przy następnym spotkaniu.

A kiedy już do niego dojdzie, Russo będzie musiał wziąć w nim udział, a wtedy może się zdarzyć wiele różnych rzeczy. Nieprzewidywalnych rzeczy.

— Im bardziej się ten facet starzeje, tym bardziej jego nos przypomina fiuta — zauważył Clemenza.

Mike nie mógł powstrzymać uśmiechu. To samo udawało się Clemency z Vitem, choć trzeba przyznać, że o wiele łatwiej było skłonić do uśmiechu Vita niż Mike'a.

— Kiedy dostał to przezwisko, jego nos był po prostu duży —

ciągnął Clemenza, wkładając do małych, okrągłych ust wykałaczkę numer dziewięć. — A teraz czubek jest czerwony i ma dokładnie taki sam kształt jak główka kutasa. A te brwi? Włosy łonowe.

Mam rację? Gdyby jeszcze na jego nosie pokazała się stercząca żyłka, wpakują Świńskiego Nochala do paki za publiczne obnażenie się. Psiakrew, Capone wsadzili za podatki. — Clemenza złapał się za jądra i z chicagowskim akcentem powiedział: — Majtkowy areszt... Takie są zwyczaje w Chicago.

Wszyscy się roześmiali, nawet Hagen, choć prywatnie uważał, że irlandzcy i żydowscy gangsterzy trafili z list poszukiwanych przestępców na stanowiska ambasadorów właśnie dlatego, że —

podobnie jak on sam — płacili podatki. Do pewnego stopnia, rzecz jasna. Było zrozumiałe, że wielu Sycylijczyków tego nie robiło, bo nieufność wobec centralnego rządu miała we krwi. Prawdą było też, że prowadzili gotówkowe interesy, w których nic co ważne nie było zapisywane. Setka kontrolerów skarbowych pracujących dwadzieścia cztery godziny na dobę przez sto lat nie zdołałaby wpaść

na trop jednego procenta tego, co się dzieje. Mimo to rządy nie różnią się niczym od każdego, kto dzierży władzę. Chcieli tego, co do ni

Och

m

ona

wile

iś

a

s l

zo

e .r T

e r

g ze

p b

r a

a

k b

t y

y ł

c o

z d

n o

y c b

h r z e

s

p s

r m

a a

w, r o w

k t a

ó ć

r

e a

l b

n a o

l

e i c

ŝ h

ał z

o a

b

z i

a ć

ł.

a twić,

Seby rodzina znów mogła skutecznie prowadzić interesy. Dopiero pod koniec Michael przedstawił swoje ambitne dalekosiężne plany, które snuł z ojcem w ciągu tych miesięcy, gdy Vito doradzał mu

jako *consigliere*. Hagen opowiedział wszystkim o swojej rozmowie z ambasadorem i roli rodziny w planie Jamesa Kavanaugh Shei, który zamierzał ubiegać się o prezydenturę w roku tysiąc dziewięć-

set

sześćdziesiątym.

Wiedzieli

juŜ

o

planie

Hagena,

niepobawinym związku z tamtym: Tom miał walczyć o fotel senatora

i przegrać (senator i tak siedział w kieszeni Corleone), a później wykorzystać pozycję, jaką da mu nieznaczną, budzącą szacunek porażką, do zdobycia stanowiska w gabinecie gubernatora. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym sam Hagen wystartuje w wyborach na gubernatora i wygra. To skłoniło Michaela do zabrania głosu w osta

— tn

Z ie

a j

n

i sp

m raw

za i

j e.

miemy się drobniejszymi kwestiami, musimy zacząć od góry. Po pierwsze, kwestia starego *regime* Tessia. Są jakieś

suges

W t

s ie

z ,

y sz

can

y im d

p o

o k

kro

ę n

c a

il m

i wy

g b

ł o

o r

wu

a ?

mi.

Wybór

był

oczywisty:

najpopularniejszym kandydatem był Geraci, zwłaszcza wśród tych, którym

nie w smak było to, co przytrafiło się Tessiowi. Był protegowanym Tessia, lecz ten zdradził rodzinę. Pozostawała kwestia interesu narkotykowego, na który Geraci dostał pozwolenie (choć to wciąż

pozostawało w sferze pogłosek). Była też kwestia jego wieku (mimo że był starszy od Michaela). Pochodził z Cleveland, skończył college i kilka kursów prawniczych. Hagen usłyszał

o nim pierwszy raz, kiedy Paulie Gatto wynajął go do sprania gnojników, którzy napadli na córkę Ameriga Bonasery. Trzy lata później, po śmierci Gatta, Pete wybrał Geraciego na głównego egzekutora, następcę Rocca. Ten zaś maksymalnie wykorzystał

okazję i był teraz *capo*, lecz Michaelowi Geraci bardzo przypadł

do gustu. Poza tym mało kto przysparzał rodzinie tyle dochodów, co on. Były inne opcje, starsi mężczyźni, tacy jak bracia DiMiceli lub Eddie Paradise, solidni, lojalni ludzie, lecz nienależący do tej samej

— li

J g

e i

d c

y o

n aA

s.

mądra rada, jaką mogę dać w tej kwestii — rzekł

Pete — jest taka, że nawet gdyby sam Jezus Chrystus miał zostać mianowany *capo*, słyszałoby się narzekania. Jestem w interesie od dawna i nigdy nie widziałem faceta, który umie zarabiać tak jak ten Geraci. Ten chłopak może połknąć ćwierćdolarówkę i wysrać paczkę clevelandów w banderoli. Nie

znam go na wylot, ale wiem, że jest dobry. Zrobił na mnie wrażenie.

Michael skinął głową.

— Coś jeszcze?

142

— Krótko o Eddiem Paradise — odezwał się Pete.

— Tak? — spytał Michael.

Rocco wzruszył ramionami.

— To porządny facet. Zapłacił, co miał zapłacić. Ludzie go znają.

— Dobrze — odparł Michael. — Ktoś chce jeszcze coś powiedzieć na ten temat?

— Eddie jest kuzynem mojej Sony, to wszystko — rzekł Rocco. — Kiedy zapyta, czy się za nim wstawiłem... No cóż, wszyscy jesteście Sonaci, macie rodziny. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Wstawiłeś się, zostało to odnotowane — stwierdził Michael.

— W porządku. Wybieram Fausta Geraciego.

Jego słowa spotkały się z gorącym poparciem. Hagen nigdy nie słyszał, by ktoś, mówiąc o Geracim, używał imienia Fausto, lecz Michael rzadko nazywał kogoś ulicznym imieniem, przejął ten zwyczaj od ojca. Sonny postępował dokładnie odwrotnie. Znał

kogoś od lat, zaliczał z nim niejedną robotę, jadł obiady w jego domu i przeważnie nie znał imienia człowieka, dopóki nie zobaczył

go wydrukowanego na zaproszeniu na ślub bądź na pogrzeb.

— Teraz chcę pomówić o tobie, Tom — rzekł Michael. — To znaczy o twojej pracy.

Hagen skinął głową.

Michael spojrział na Pete'a i Rocca.

— Tom zaangażuje się bardziej w politykę, więc trzeba będzie odsunąć go od pewnych spraw. Od czasu gdy przestał być *consigliere*...

Nie konsultowano się z Tomem, a on nie starał się tego zmieniać.

— ...Tom pozostał zaufanym doradcą, takim jakim powinien być radca prawny. I tak pozostanie. Ale stanowisko *consigliere* pozostaje nieobsadzone. Tom spisał się doskonale, a mój ojciec... —

Michael odwrócił dłoń wnętrzem do góry. Słowami nie dało się wyrazić, jak wielkim człowiekiem był świętej pamięci don. — Nie przychodzi mi na myśl następca. Przez rok lub dwa będę dzielił obowiązki *consigliere* między wszystkich *capo*. Niektóre przypadną teŜ tobie, Tom, jeśli będzie to potrzebne.

Hagen pomyślał, Œe Michael nie bez powodu pominął Freda.

— Jednak — ciągnął Michael, nie opuszczając palca — są sytuacje, gdy muszę występować razem z moim *consigliere* — na przykład na zebraniach komisji i tym podobnych. Przy takich 143 okazjach chciałbym mieć przy swoim boku najstarszego przyjaciela mojego ojca, czyli właśnie ciebie, Clemenza, i nikogo innego.

Hagen klasnął w dłonie i klepnął Pete'a po ramieniu. Clemenza oznajmił, Œe będzie to dla niego zaszczyt. Rocco obdarzył go niedźwiedzim uściskiem. Clemenza krzyknął na Neriego, Œeby ten kazał Enzie przynieść *strega* do wzniesienia toastu. Hagen się uśmiechnął. Kiedy odejdą tacy ludzie jak Clemenza, waŜnych toastów nie będzie się juŜ wznosić *stregą* czy domowej roboty *grappą*, tylko Jackiem danielsem lub johnniem walkerem. Nie upłynie wiele czasu, a będą się stukać kubkami z lurowatą kawą.

Okazało się, Œe Enzo trzyma butelkę *stregi* w szufladzie biurka.

— Obyśmy przeŜyli nasze Œycie tak, Œe umrzemy z uśmiechem na ustach — Clemenza przyłączył się do toastu — a inni będą szlochać jak zafajdane bachory.

Mieli wychodzić, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

— *Pardon*, chłopcy — rzekł Neri, otwierając drzwi. —

Myślałem, Œe się zbieracie...

Johnny Fontane przepchnął się obok niego z elegancką skórzaną torbą i cicho, prawie szeptem powiedział coś, co zabrzmiało jak:

— Jak tam wasze ptaszki, chłopcy? — Neri zmarszczył czoło.

Nie lubił być popychany, nawet przez takiego gładkiego chłoptasia jak Fontane.

— Właśnie o tobie gadaliśmy — odparł Clemenza. — Wiesz, Œe ta rzeźba, coŒ ją rozwalił w pokoju, kosztowała trzy tysiące?

— To tanio ją kupiłeś — orzekł Fontane. — Myślałem, Œe kosztuje z pięć.

Nigdy nie przyjaźnił się z Michaeliem, ale podszedł do niego i objął wolną ręką. Michael nie zareagował. I nic nie powiedział.

Hagen miał za nic ludzi z show-biznesu.

W drzwiach stanął Hal Mitchell w smokingu, bez tchu i z przeprosinami na ustach.

— Impreza właśnie się zaczęła i...

— Najpierw to — powiedział Fontane, unosząc torbę tak wysoko, jak zdołał. — Proszę bardzo. — Upuścił torbę na biurko.

Wylądowała twardo przed Michaeliem, wydając odgłos, który wskazywał, że w środku znajdują się pieniądze. — Przesyłka lotnicza od Franka Falcone. Frank wyraża te same przeprosiny, podobnie jak pan Pignatelli.

Przypuszczalnie była to „pośyczka” z funduszu emerytalnego 144

hollywoodzkich związków zawodowych kontrolowanych przez Falcone. Pieniądze miały być zainwestowane w Zamek w Chmurach.

Michael nie podniósł się z miejsca. Spojrzał na torbę, lecz poza tym nie wykonał żadnego ruchu. Patrzył z tak pustym wyrazem twarzy, jakby od południa był martwy.

śłyła na ciemieniu piosenkarza zaczęła pulsować.

Michael przesunął palcem po krawędzi pustej szklanki.

Pozostali mężczyźni czekali w milczeniu, pozwalając Fontane i Mike'owi wbijać w siebie wzrok i czekając, co jeszcze ma do powiedzenia Fontane. Wydawało się nie do pomyślenia, że po tym, co dla niego zrobiono, taka drobna przysługa wywołała taki dziecinny wybuch.

Hagen nigdy nie mógł zrozumieć braku wdzięczności Fontane.

Przed dziesięcioma laty, w dzień ślubu Connie, Hagen wyszedł

z dwoma poleceniami do wykonania: miał załatwić amerykańskie obywatelstwo Enzowi Agueli i zdobyć rolę dla Johnny'ego w filmie wojennym. Enzo był odtąd wiernym przyjacielem: stanął

nieuzbrojony u boku Michaela, kiedy mordercy przyjechali dwoma samochodami, żeby zabić Vita. Ten akt brawurowej odwagi prawdopodobnie ocalił donowi Sycie. Czy Johnny Fontane oddał

cokolwiek rodzinie Corleone?

Nikt nie przystawił lufy pistoletu do głowy Johnny'ego, żeby podpisał kontrakt z orkiestrą Lesa Halleya, lecz Vito Corleone musiał posłać człowieka, by ten przystawił pistolet do głowy Halleya, żeby mu to wyperswadować. Rodzina Corleone skłoniła Jacka Woltza, by dał Johnny'emu rolę w filmie wojennym, którą ten i tak by dostał, gdyby nie przeleciał dla sportu gwiazdki, w której Woltz był zakochany. Hagen się wzdrygnął. Tylu ludzi zostało zamordowanych — jak to możliwe, że w snach prześladował go widok Luki obcinającego maczetą głowę koniowi wyścigowemu Woltza?

Hagen nawet tego nie widział. A Johnny wcale się nie dowiedział, ponieważ Woltz, zgodnie z oczekiwaniami,

wyciszył

sprawę.

Kolejny

dar

rodziny

Corleone:

błogosławieństwo niewiedzy. Corleone nawet kupili Fontane Nagrodę

Akademii.

A on

C

i p

s o

z

a t

ym

w p w

o s

mz

i y

e s

s t

zk

c i

zm

e

n tia

uk

z si

g ę

ę

s z

t a

n c

i h

ał o

a.w

uje?

Fontane przeniósł cięŜar ciała z nogi na nogę. Czy naprawdę myślał, Őe moŜe wygrać wojnę nerwów z Michaelem Corleone?

Wreszcie wypuścił głoŝno powietrze.

145

— No dobrze, oto druga rzecz — rzekł, wskazując na swoje gardło. — Przykro mi jak diabli, ale uwaŜam, Őe nie powinienem dzisiaj ŝpiewać.

— Tak uwaŜasz? — mruknął Michael.

Clemenza wydał usta i wypluł pogryzioną wykałaczkę obok ucha Fontane.

— Myślałem, Őe ten lekarz, kumpel Freda, zreperował ci gardło.

Ten Őydowski chirurg, jak mu tam, Jules Stein.

— Segal — poprawił Johnny. — Tak, zreperował. — Fontane rozejrzał się po pokoju. — A propos, widzieliŝcie Freda? Mam coŝ dla niego. Prezent.

— Jego samolot się opóźnił — wyjaśnił Hagen.

Fontane wzruszył ramionami. — Prezent może poczekać.

Słuchajcie, znacie mnie, jestem profesjonalistą. — Sceniczny szept upodobnił Fontane do kobiety, która kusi otaczających ją mężczyzn, by się zbliżyli. — Głos mam dobry, ale gardło? — Pokręcił głową.

— Nie na sto procent. A mimo to dawałem tutaj koncerty, zapełniałem knajpę. Dzisiaj odbyłem fantastyczną sesję nagraniową w Los Angeles. Czasem po prostu się to czuje. Ale w samolocie zasnąłem, a kiedy się obudziłem, gardło bolało jak diabli. Więc pomyślałem sobie...

— To był twój pierwszy błąd — wtrącił Clemenza.

— ...powinienem przepłukać gardło wodą i uderzyć w kimono.

W takim stanie jestem do niczego. Numbnuts może gadać bez końca. — Morrie „Numbnuts” Streater był nudnym jak flaki z olejem konferansjerem Fontane, komikiem ocalonym z Catskills.

— Jest teraz na scenie. Wykańcza widownię. Zapytajcie świętą.

Nikt nie zapytał. W tej sytuacji nie chodziło o to, czy gościom podobają się pieprzne święty.

— Pozwoliłem sobie zadzwonić do Buzza Fratella — ciągnął

Fontane. — On i Dotty nie mają dzisiaj koncertu. Mogą wystąpić za mnie. Właśnie tu jadą.

— Taak? — Clemenza najwyraźniej był pod wrażeniem. — Im częściej widzę Buzza, tym bardziej mi się podoba.

— Nic z tego, Johnny — odezwał się Hal. Nie został zaproszony do środka, więc razem z Nerim stał za drzwiami. — Buzz Fratello i Dotty Ames mają kontrakt z tamtymi naprzeciwko. — Hal miał

na myśli Kasbah, lokal kontrolowany przez Chicago. — I jest to kontrakt z klauzulą wyłączności.

146

— Zaczynają dopiero w następny weekend. A to jest tylko prywatny występ, zgadza się? Przyjęcie. To tak samo, jak śpiewać po koncercie w barze. Wszyscy to robimy.

Michael wciąż siedział nieruchomo, wpatrując się w Fontane.

Wreszcie podniósł rękę i pstryknął lekko palcami w szczękę. Był

to charakterystyczny gest starego dona. Hagenowi znów przebiegły ciarki po plecach.

— Mike — wybąkał Fontane. — Michael... Nic do niego nie docierało. Trzeba było podać mu to na

talerzu. Ktoś inny rozejrzył-

by się i próbował wyczytać coś z mniej nieprzeniknionych twarzy.

Może próbowałby zastrzelić, a Fontane miał strzał w krew. Ale Johnny trwał na swoim stanowisku. — Don Corleone. Mam dla ciebie wielki szacunek. Naprawdę. Ale to tylko jeden koncert.

Michael splótł dłonie na biurku. Nawet nie mrugnął. Wreszcie odchrząknął. Po długim milczeniu zabrzmiało to jak wystrzał

z pistoletu.

— To, co robisz, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia —

rzekł. — Wynoś się.

Rozdział 10

Frank Falcone postawił sto tysięcy na walkę w Cleveland Armory. Zamierzał siedzieć tu obok ringu, nawet jeśli Geraci będzie musiał dopłynąć z nim do brzegu na plecach. Tak mu powiedział. Don Forlenza zaproponował jeden ze swoich stateczków. Rehcujący Sal Narducci zauważył, że większe jednostki

już

tam popłynęły i zostały tylko kutry nie nadające się do segłowania po o

Ttw

o a

n rite

e j

b w

yło

d

d z

ł i

u e

g iw

l c

otz

, a

tsrie

w s

ałz

to

m rm

oŜ u

e . kwadrans. Geraci powiedział,

aby się nie martwili, zapewnił, Őe latał w sto razy gorszych warunkach — co oczywiście nie było prawdą — i poszedł

przygotować samolot. Wywołał wieŜę na lotnisku Burke Lakefront i dostał

kateg

D o

w r

uy

s c

ilzn

ni e

k o

o s

wtr

y z

e

s \hat{S}

a e

mn

oile

o p

t r

zz

ed

T

o l

no

ytem

m.

MU

o d

li a

nł,

a

r \hat{S}

i e

m,n

ie

Fr s

a ł

ny

ksiz

e y.

m Falcone,

Richardem „Małpiszonem” Aspromontem, Mańkutem Mancusem i pilotem figurującym jako Gerald O’Malley wystartował z Wyspy Grzechotników i wzniósł się w ciemne niebo. Lot był trudny od samego początku. Geraci był tak zaabsorbowany stawianiem czoła burzy, że nie miał pewności, czy wszystko jest w porządku z paliwem. Pewnie było. Przed startem sprawdził oba zbiorniki.

Przełączył się na drugi nie ze względu na bezpieczeństwo, lecz dlatego

że musiał się skupić na innych sprawach. Przedzierając się przez gęste jak zupa powietrze i szukając wzrokiem Cleveland, usłyszał

odgłos, który wziął za krztuszenie się silnika. Bez zastanowienia przełączył baki i wymamrotał do mikrofonu coś o sabotażu. W tych warunkach nawet dziesięć razy bardziej doświadczonemu pilotowi niż Nick Geraci trudno byłoby to ocenić.

148

Hydroplan z wysiłkiem zbliżył się do Cleveland. Ostatnie słowa, które pilot wypowiedział do wieży, brzmiały: *Sono fottuto*. Co oznacza: „Rozpieprzyli mnie”.

Półtora kilometra od brzegu samolot wrył się w spienioną brązową toń jeziora Erie.

Geraci obrywał mocno podczas gry w futbol w szkole, a jeszcze mocniej w ringu. Kiedyś, gdy płynął z ojcem motorówką po jeziorze Havasu, rąbnął w aluminiowy dok. Najmocniejszy atak na ciało, najcięższy cios rękawicą i kraksa motorówką— wszystko to razem było dwa razy słabsze od uderzenia samolotem w wodę jeziora Erie.

Wodnoślątki przekoziółkował. Geraci znalazł się pod wodą. Drzwi się zablokowały. Uwolnił nogi i zaczął powiększać nimi dziurę w szybie. Woda była ciemna jak smoła. Kiedy próbował przecisnąć się przez otwór, złapała go czyjaś ręka. Było zbyt ciemno, żeby się zorientować, czyja. Próbował przeciągnąć tamtego przez dziurę.

Ale mężczyzna utknął. Gdyby próbował dalej, zginęliby obaj.

Zaczynało mu brakować tchu. Uścisk tamtego był mocny, palce wbijały się w ciało. Geraci podważył je i usłyszał pęknięcie kości.

Odpląnął od tonącego wraku. Odgłos deszczu dudniącego o wodę pomógł mu się zorientować, gdzie

jest powierzchwnia. Pękały mu płuca, grdyka była napięta do granic wytrzymałości. Poczul

swędzenie w rękach i w czaszce. Nie dopłynie do powierzchni. Za chwilę woda dostanie mu się do płuca. To koniec. Pomyśleć o czymś dobrym, wartościowym. Ale mógł myśleć tylko o brudnej wodzie, tak blisko domu, i o tym, że właśnie tutaj zginie. Płynął dalej.

Matka uwielbiała pływać. Matka! Ach. To była dobra ostatnia myśl. Kochał ją. Była dobrą matką, dobrą kobietą. Zobaczył ją.

Wyglądała młodziej niż wtedy, gdy widział ją ostatnio. Sączyła martini i czytała gazetę o filmie, siedząc obok publicznego basenu w dzielnicy, w której mieszkali. Ona też już nie była.

Johnny Fontane i jego wyjątkowi goście, Buzz Fratello oraz piękna i utalentowana panna Dotty Ames, zakończyli popis w sali Uroczna Oaza w Zamku na Piasku, długim i szalenie zabawnym ciągiem piosenek o urokach pijaństwa. Śpiewali dla publiczności, która nie wiedziała jeszcze o katastrofie. Większość gości, którzy mogli wejść wyłącznie na zaproszenie, stanowili wyższą rangą działacze związku zawodowego kierowców z całej Ameryki z małżonkami (lub młodszymi towarzyszkami). Na znak dobrej woli 149

Michael Corleone zaprosił też kilku innych, starannie wybranych ludzi. Jedzenie, zakwaterowanie i setony wartości tysiąca dolarów dostali za darmo, na koszt lokalu. Było to prywatne przyjęcie, więc nawet ci, którzy zwykle nie mogli nawet postawić nogi w Las Vegas, byli w stanie przybyć. Na przykład po prawej stronie sceny siedział

brat dona Molinariego, Butchie, który odbył wyrok za porwanie i wymuszenie, oraz kilku innych czołowych gangsterów z San Francisco. W pomieszczeniu obok, próbując oddać mocz i klnąc mimochodem po włosku na swojego fiuta, stał Carlo Tramonti (zabójstwo, kradzież na dużej skale, podpalenie, oszustwo ubezpieczeniowe), szef Nowego Orleanu i rosnąca potęga w Hawanie.

Był

co

najmniej jeden przedstawiciel każdej z nowojorskich rodzin w towarzystwie kobiet i z obstawą. Błędym mężczyzną w monstualnych

okularach, siedzącym w łosy z tyłu, był Louie „Buźka” Russo (posiadanie przedmiotów pochodzących z kradzieży, napaść z zagrożeniem życia, przekupienie agenta federalnego), uważany przez

niektórych pracowników FBI za „kandydata na wakujące stanowisko *capo di tutti capi* całej tak zwanej *cosa nostry*. Pojawienie się tych wszystkich ludzi dało przykrywkę współpracownikom rodziny Corleone, którzy mogli przylecieć z Nowego Jorku, nie budząc niczyich

podej

Mr

i z

c e

h n

a .

e R

l zu

C c

o a

rlli

e s

o ię

n

e teŜ

si w

ed o

zi c

a z

ł y r—

oz t

p y

a m

rt

y b

ar

wd

zie

wj

y śŹ

cei u

eł s

a ie

n d

ejl i t

cu

z Ź

a rp

nrz

yy

m

sc

ze

a ni

me

s

zi

e ni

me

pŹ

r a

z ł o

e w

g r a

o l

d i

z s

i o

e b i i e

z z

a n

c i a

ą c

g z

a ą

ł c

y

s i c

ę h

p g

a e

p s i t ó

e r w

o

s i

e u

mw

. ag

Ze —

rk

n z

ą a

ł c

nz

ae

rw

ze ie

g n

ar ie

e -

k

,

n

si,

z s

wz

ac

j z

c ę

a ś

r l

s iw

ki, i m

p ł

o o

n d

a z

d i

m

pi a

ę ł

ć Ń

do

z n

i k

e o

si w

ęcie

i ,

o lS

etus

ni a

. n Z

Naa

11

eu

Ŝ c

ah

ł i i

k i R

e a

d y

y

ś C

l

d e

o m

e

k n

ol z

ea

g.

i

N

z o

,

p id
e a
c le
h j
o ,t n
y iec
m h
o
r z
s ł
ka
i p
e i
j ą
, si
V ę
o z
g a
el r
- ę
S c
o e
n.
gl

a n

, ie

k c

t h

ó r t

yy

l

uko

m

i d

e l

r a j n

ą ic

c, h

pg

ora

w im

e u

d z

ziy

a k

ł, a

.

Ŝe

chce dać zegarek Michaelowi.

Jeśli wszystko ułożyło się pomyślnie, wszyscy pasażerowie samolotu powinni nie żyć.

Michael widział katastrofy lotnicze. Z bliska. Bez trudu mógł

sobie wyobrazić przerażenie na twarzach mężczyzn, kiedy samolot pikował ku ziemi. Potrząsnął głową. Nie chciał o tym myśleć.

Wolał myśleć inaczej: jego plan się powiódł. Były przeszkody, nieprzewidziane trudności i korekty w trakcie, lecz w końcu wszystko się udało.

Teraz komisja mogła się spotkać. Hagen się mylił, śladna umowa nie mogła przetrwać bez zgody Chicago, lecz śladen pokój z udziałem Chicago nie leżał w interesie rodziny Corleone, jeśli Louie

150

Russo nie usiadłby przy stole zmotywowany. A ta katastrofa powinna go zmotywować, i to bardzo.

Michael nigdy nie wypalił papierosa tak szybko i z taką przyjemnością. Zapalił następnego i mocno się zaciągnął.

Zrobił to, co należało zrobić. Kropka. Dlatego będzie spał dobrze.

Kiedy za miesiąc lub dwa wszystkie sprawy zostaną domknięte, weźmie urlop i będzie spał dwanaście godzin na dobę. Czy kiedykolwiek miał urlop jako dorosły człowiek? O latach spędzonych w ukryciu na Sycylii można było powiedzieć wiele, ale czy były one

urlopem? Nie. W czasie wojny pozwalał sobie na wycieczki: Hawaje, Nowa Zelandia. Ale urlop rodzinny? Nigdy. Powinien pojechać z Kay i z dziećmi do Acapulco. Można znów zobaczyć Hawaje w czasie pokoju. Czemu nie? Powygłupiać się z Anthonym i Mary, tak jak robił

to kiedyś papa — zawsze znajdował na to czas — poleżeć na piasku, posmarować olejkami seksowne plecy Kay, można zrobić jej jeszcze jedno

M i d

c z

h i

a e c

l k

o

p .
o B
dnę
i d
ó z
s i
ł e
d n
o o
s
p ił
o
ł k
o o
wsz
y u
ple
eł w
ną k
s w
z i
k a
l t
a y

n i

k

ę t. a

ń c

D z

o y

k ł

o m

na a

li m

ś b

m o

y .

tego

tato, pomyślał. Wygraliśmy.

— Bo Œe wszechmogący — westchnął Clemenza, czerwony na twarzy od śmiechu, wskazując tłustym kciukiem Fratella, który uganiał się po scenie jak wariat. — Ten to się ciska, co?

— Owszem — mruknął Michael.

Fontane nie dawał z siebie wszystkiego, śpiewał ciche kawałki, a w tych, w których musiałby wysilić głos, tylko się wygłupiał.

Ale nawet wówczas — a moŒe właśnie wtedy — jego kunszt musiał budzić podziw. Był gnojkiem, ale był teŒ artystą. Michael nie dałby się przekonać, Œe po południu Fontane zachował się naleŒywie, ale nie mógł teŒ się na niego wściekać.

Fratello? Katastrofa. Przez całe lata obijał się po. scenie jako

„*cafone* saksofonu". A potem odłoŒył instrument i zaczął śpiewać jak Murzyn z włoskim akcentem, oŒenił się z długonogą blondynką o połowę młodszą i bum!: oto Buzz Fratello i Dotty Ames, gwiazdy programu *Starbright Soap Variety Hour*.

Fratello przebiegł przez scenę i prześliznął się trzy metry po podłodze, zatrzymał się dokładnie pod nogami Dotty i przetoczył.

Spojrzał w górę na jej krocze i przetarł oczy z komicznym niedowierzaniem. Fontane nie wytrzymał. Dotty pomogła Buzzowi wstać

i wszyscy troje się uklonili. Publiczność wstała z miejsc, piosenkarze zeszli ze sceny. Owacja trwała. Orkiestra nie przestawała

grać, musiały nastąpić bisy.

151

Michael poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

— Telefon — szepnął Hal Mitchell. — Tom dzwoni.

Michael skinął głową i zgasił papierosa. A więc do dzieła.

Zerknął na stolik Louiego Russa. Ktoś szeptał mu coś do ucha, a kiedy Michael spojrzał na szepczącego, tamten odwrócił głowę.

Michael wyciągnął rękę i poklepał Clemenzę.

Kilka sekund później, gdy orkiestra zaczęła przygrywkę do *Mała femmina*, a Buzz, Dotty i Fontane wbiegli na scenę, trzymając się pod ręce, do Louiego Russa dotarło, jakie mogą być konsekwencje tego, co stało się lub nie stało na jeziorze Erie. Kiedy zerknął nad okularami na czarną loŜę w rogu, nikogo tam nie było. Nawet świeca została zdmuchnięta.

Głowa Nicka Geraciego wystrzeliła nad powierzchnię. Wciągnął

rozpaczliwie powietrze, dreszcz przebiegł mu przez ręce i nogi.

Krzyknął. Dopiero teraz poczuł przeszywający ból w pękniętych Śbrach i złamanych nogach.

Jakieś sto metrów dalej płonąca plama ropy znaczyła miejsce, gdzie samolot runął do jeziora. Na wodzie unosiło się jedno skrzydło, duŜy kawał kadłuba z namalowanym lwem i górna połówka męskiego ciała. Później okazało się, Őe to zwłoki Franka Falcone.

Geraci nie wiedział, co się stało, ani czyja to była wina, a ból i adrenalina nie pozwalały mu jasno myśleć. Świadomość pomagało mu utrzymać tylko przekonanie, Őe jeśli wszyscy pasaŜerowie samolotu nie Őyją, to on teŜ mógł być martwy. Ratunek mógł

oznaczać śmierć.

Przez smugi deszczu widział poświatę nad konturami Cleveland.

Popłynął w drugą stronę, na północ. Z powrotem na Wyspę Grzechotników, do Kanady, w stronę płynącej łodzi. Musiał

znaleźć

sobie miejsce i czas, żeby pomyśleć. Miejsce, w którym będzie miał

szansę kontrolować swoje przeznaczenie. Ból w nodze palił jak ogień, a pęknięte ściana prawie uniemożliwiały oddychanie. Zanim zauważył go z motorówki strażnicy przybrzeżnej, Geraci odpłynął

kilkaset metrów od miejsca katastrofy. Był w szoku i prawie nieprzytomny, jego płuca napełniały się wodą. Zaczynał tonąć.

Za podmurówkami najwyższej z trzech muzułmańskich wież

Zamku na Piasku znajdowała się obrotowa sala balowa bez nazwy, 152

ze ścianami z lustrzanych szyb. Tam właśnie miała się odbyć ceremonia.

— Załóż się, że już czujesz zapach farby drukarskiej — rzekł

Clemenza, szturchając lekko Michaela. — Prawie czujesz nawet jej smak, mam rację? W głębi gardła, co? Smakuje jak oliwa, tylko trochę gorzej.

Z odbicia Michaela w lustrzanych ścianach wiało chłodem jak od lodowatej wody. Wyglądał niczym zwarty, niedotykany, gładko uczesany, pewny siebie człowiek, któremu wiatr wieje w plecy i który trzyma świat za jaja.

— Mówię ci, chyba nigdy nie widziałem twojego ojca tak...

Michael skinął głową.

— Po wodociągach — ciągnął Clemenza. — Przez te wszystkie lata tylko wtedy widziałem go takim.

To Clemenza zajął się Michaeliem kilka tygodni po jego powrocie do Ameryki z wygnania na Sycylii. Zabójstwa Solozzy i McCluskeya, dzięki którym zdobył ostrogi, miały miejsce trzy lata wcześniej. Clemenza załatwił od przyjaciela związanego z drużyną bilety

na mecz Dodgersów. Drugi rząd, tuż obok płyty boiska. Michael był na meczu pierwszy raz od czasu, gdy dopuszczono do gry Murzynów. Nie wiedział, że to się stało, i nie wiedział też kiedy.

Siedem z ostatnich ośmiu lat spędził poza granicami Ameryki, walcząc i zabijając, w ciągłym zagrożeniu śmiercią. Nie widział

wielu rzeczy. Nie był nawet na pogrzebie brata. Dodgersi pokonali Chica

W go

dr c

o z

d t

z er y

p d

o o

w rje

o d

t n

nee

j g

o

w.

stąpili do budynku, który w czasie gdy

Michael opuszczał kraj, był siedzibą gazety. Jeden z pracujących dla Clemency lichwiarzy w typowy sposób został jego właścicielem. Clemenza wyjaśnił, że musi obejrzeć budynek, by stwierdzić,

czy go wynająć, sprzedać czy spalić. Była to od początku do końca praw

K d

i a

e .

dy weszli do ogromnej pustej hali, w której znajdowała się kiedyś prasa drukarska, w bladym świetle późnego lata, za długim stołem z oblaśną niebieską farbą, ujrzeli Tessia i ojca Michaela.

Na stole leżały: długa świeczka, święty obrazek, pistolet i nóż.

Michael wiedział, co go za chwilę czeka: zostanie wprowadzony do rodziny. Po tym, co się stało, była to czysta formalność. Ale to sam Michael wpadł na pomysł, by zabić tych ludzi: tego, który zorganizował zamach na Vita Corleone i skorumpowanego gliniarza, który — gdy przyszedł do szpitala, by dokończyć dzieło

musiał się zadowolić strzaskaniem twarzy Michaela. To jego brat Sonny musiał wyrazić zgodę, jako urzędujący don. Tessio zgłosił

sprzeciw, mówiąc, że byłoby to coś takiego jak wpuszczenie juniora do gry w czasie finału mistrzostw świata. Vito twierdził później, że nie chciał takiego Sycia dla Michaela, lecz zawsze było oczywiste, że nikogo nie uważał za dość dobrego do objęcia schedy. W czasie inicjacji Michaela ojciec wymamrotał kilka niezrozumiałych słów, zanim jego ramiona zaczęły drżeć. Rozszlochał się. Clemenza zrobił

to samo. Tessio dokończył dzieła z posępną elokwencją, mieszając sycylijski z angielskim. Później wykończyli dwie butelki chianti.

Vito nie mógł przestać łkać. Michael zapamiętał woń farby drukarskiej i tłuszczu, lecz nie jej intensywność. Nazajutrz jego ubrania

cuchnęły tak bardzo, że trzeba je było wyrzucić. Tydzień później budynek spłonął do fundamentów. Szeryf orzekł, że od uderzenia pioruna. Po miesiącu człowiek ten odszedł ze służby i przeprowadził

się na Florydę. Teraz był podstawionym szefem firmy do prania pieniędzy — sklepy z alkoholem, automaty do gry i handel nieruchomościami — a także narzeczonym wdowy po Sonnym, Sandry.

Drzwi

— w

Fo irn

l d

e y

n

zas ię

n

i o

gdtw

y o

nriz

e y

ł

s y

p.r z M

ą t i

nc

ą h

ł a

b e

y l c i

hr P

z e

e t

ś e

n i w

ak e

a s

. zli

— do

Cl e śr

mo

e d

n k

z a

a

,

i

kw

t j

ó e

r c

y ha

z li

r n

oza

k g

a ó

z r

u ę

.

Michaela zabił Carla Rizziego, ojca chrześniaka samego Michaela, ściągnął wargami trzy oliwki z wykałaczkami, zatrzymując patyczek w kąciku ust. — I nie wydaje mi się, żeby ktoś z innej grupy postawił nogę na tej zasranej wyspie, tak byś o tym nie wiedział. Powiedziałbym, że to był wypadek.

Z informacji zdobytych przez Hagenę wynikało, że uratował się jeden człowiek. Nie zostało to potwierdzone. Gdyby przesłał jeden z dwóch donów lub ktoś z ich obstawy, sprawa wyglądałaby lepiej.

Jeśli to był Geraci, trudno było zgadnąć, co się teraz stanie. Może uda się przedstawić go jako prywatnego pilota nazwiskiem O'Malley, niezwiązanego z rodziną Corleone? Ale może się też

nie udać. Poza tym będzie prawie niemożliwe dowiedzieć się, co wie lub czego zdołał się domyślić. Była też kwestia burzy. Możliwe, że całą winą zostanie obarczona pogoda, dzięki czemu efekt

katastrofy zostanie ograniczony. Lecz Michael już kombinował, jak może wykorzystać niepewność co do przyczyny wypadku.

— Wypadki nie zdarzają się tym, którzy uważają je za osobistą obrazę — rzekł.

— Więc sabotaż?

154

— Nie wiem. Zgadza się, don Forlenza nie zabiłby swojego chrześniaka, nawet gdyby miał ku temu powody. A o ile wiemy, nie miał ich. Jednak nie jestem pewien, czy dostanie się na tę wyspę jest niemożliwe.

— Jeśli nie Forlenza...

Michael wzruszył ramionami, uniósł brwi i spoglądał chwilę na Pete'a.

— *La testa di cazzo.* — Clemenza jedną ręką wyciągnął guzik bezpieczeństwa windy, a drugą zaczął walić w ścianę. — Russo.

Michael skinął głową jakby w zamyśleniu.

— Jeden samolot, i kto ponosi szkodę? — zapytał. — My. Trafiają nas, Molinariego i swojego człowieka, nieostrośnego Falcone, który być może zaczął działać za bardzo na własną rękę. I wszystko wygląda tak, jakby rozkaz wydał Forlenza. Ich czterech najwięksi konkurenci są nie tu, w Las Vegas, ale w zachodniej części kraju.

— Wszystko, co na zachód od Chicago, należy do Chicago —

rzucił drwiącym tonem Clemenza. — *Quello stronzo.*

— Jeśli masz rację, to nazwanie tego człowieka szmatą powinno być dla niego zaszczytem. — Michael pokręcił głową, udając szczyry smutek.

Clemenza napełnił policzki powietrzem, wypuścił je powoli, a następnie wcisnął guzik. Drzwi otworzyły się na salę balową, w której było już kilkadziesiąt osób. Clemenza klepnął Michaela po plecach.

— Nie pozwól, żeby smród tej szmaty zepsuł nam zabawę —

szeptał. — Baw się, dobrze? Zadałeś sobie tyle trudu, żeby zreperować twarz zmasakrowaną przez tego skurwiela gliniarza.

Pochwal się nią trochę. Uśmiechnij się.

Michael okłamał Clemenzę.

Choć nie całkiem. Doprowadził konia do wody, a koń, czyli Pete Clemenza, schylił się nad nią i napił. Jeśli Pete tak szybko obwinił Russa, inni zrobią to samo.

Prawda była taka, że Michael Corleone chciał zadać cios wszystkim największym konkurentom na Zachodzie. To było łatwe.

Trudność polegała na tym, żeby zrobić to i nie ściągnąć na siebie podejrzeń. Aranżując wypadek tak, by ani jedna żywa dusza nie wiedziała o wszystkim, co Michael zrobił — ani Hagen, ani Pete, ani nikt inny — mógł osiągnąć i to.

155

Frank Falcone był zagrożeniem. Od dnia, w którym Michael rozkazał zabić Moego Greene'a, Falcone był największą przeszkodą w ekspansji rodziny Corleone w Las Vegas. Pignatelli będzie bardziej posłuszny wobec Chicago, lecz z powodu wspólnych interesów z klanem Corleone — zarówno inwestycji w Zamek na Piasku, jak torby z gotówką dostarczonej przez Johnny'ego Fontane, która miała być datkiem za zabicie Falcone — nie będzie zagrożeniem.

Tony Molinari był sojusznikiem od bardzo dawna, to prawda, lecz jego rezerwa wobec faktu, że Michael przenosi bazę operacyjną do Tahoe, kilkaset kilometrów od San Francisco, stanowiła problem, który musiałby narastać. Tony stał się rakiem, i najlepiej było usunąć od razu.

Forlenza był starcem. Zhańbienie go za życia było lepsze niż

zabicie. Od lat przechwalał się przed innymi donami swoją małą fortecą na wyspie. To na niego spadnie cała wina za katastrofę, albo przynajmniej jej część. Nawet jeśli nikt nie spróbuje się na nim zemścić, jego ludzie zaczną na niego naciskać, żeby ustąpił.

Donem zostanie Sal Narducci, który dobił targu z Michaeliem Corleone i nadzorował sabotaż hydroplanu. Czekał na to stanowisko od dwudziestu lat, więc można było zakładać, że teraz, kiedy je dostanie, nie będzie opowiadał o tym, jak je zdobył. Uczynienie Narducciego donem przetnie również więzy Cleveland z Barzinim.

Najlepsze w całym planie były skutki, jakie wyrze on na Chicago. Udowodnienie, że Russo stał za wszystkim, będzie niemożliwe, ale nie będzie też możliwe udowodnienie czegoś przeciwnego. Lecz kiedy Michael ujawni komisji, że O'Malley, pilot,

który zginął w wypadku, był jego nowym *capo*, wszyscy właściwi ludzie

C e

z z

y a

Fst

o a

rln

e o

n w

z i

a ą

z s

a ię

bi ,ł k

b t

y o

s m

w ó

o jg

eł

g z

oy

s

c k

h a

r ć

z

e n

ś a

n j

i w

a i

k ę

a c

? ej

N.

ie.

Czy Michael Corleone zabiłby swojego nowego błyskotliwego *capo*? Kto mógłby sobie coś takiego wyobrazić?

Pozostawało Chicago.

Michael zdołał uderzyć w Chicago, nie zabijając ani jednego z ludzi Russa. Nie będzie zatem musiał martwić się tym, że Russo zacznie szukać zemsty. Jediną odczuwalną stratą, jaką poniesie Russo, będzie to, że przystąpi do negocjacji pokojowych ze słabszej pozycji. Ale Michael niczego więcej nie potrzebował.

Najtrudniejszą decyzją, jaką Michael musiał podjąć, była ta o zabiciu Geraciego.

156

Bez żadnych wątpliwości Geraci doskonale się spisał w biznesie narkotykowym, lecz jego agresywność stała się problemem. Miał

nieograniczoną ambicję, większą nawet, niż sam sobie wyobrażał.

Mimo że był niezachwianie lojalny, jego związek z Forlenzą zawsze stanowiłby problem. Zawsze żywiłby urazę z powodu Tessia. A kiedy Michael mianował Freda *sottocapo*, Geraci publicznie zapytał go, czy postradał rozum. Byli na kolacji w lokalu Patsy. Nikt inny nie siedział przy stole, nikt nie usłyszał. Geraci przeprosił. Lecz niewielu donów przeszłoby do porządku dziennego nad takim afrontem. Ktoś mógłby to uznać za małostkowość, lecz Michael Corleone doszedł do wniosku, że wszystkie drobniejsze zastrzeżenia wobec Geraciego były uzasadnione i z czasem będą coraz poważniejsze.

Ale tylko to ostatnie wydarzenie usprawiedliwiało zabicie Geraciego. A nawet to można było usprawiedliwić. Nie było zdrady.

Zalety Geraciego z nawiązką rekompensowały jego przewinienia.

Mich

Via

te

o l g

C o

o

r l

l u

e b

o i

nł.

e nie poświęciłby Fausta Geraciego juniora.

To był akt komandosa piechoty morskiej, który widział śmierć tysiąca zacnych ludzi, ginących w sposób całkowicie przypadkowy, konieczne zło, będące warunkiem osiągnięcia większego dobra.

To był doskonały plan — pod warunkiem że nie było prawdą, iż

jeden z mężczyzn ocalał z katastrofy.

Clemenza też okłamał Michaela.

Inicjacja Michaela nie była jedynym momentem, gdy widział

dona zachowującego się w taki sposób. Wciąż słaby po postrzałach, Vito wrócił do domu z pogrzebu Santina tak przybity, że wszyscy patrzyli nań z przerażeniem. Michael tego nie widział. Ci, którzy widzieli — matka Michaela, jego siostra i jej mąż, oraz bracia Tom i Fredo, a także Pete Clemenza, który wkrótce po rozpoczęciu pogrzebu uściskał przyjaciela i wrócił do domu, zostawiając rodzinę samą — zapamiętali obraz złamanego człowieka i jego przeraźliwe zawodzenie. Nigdy o tym nie rozmawiali, a tym bardziej nie mówili nikomu, kogo tam nie było. Nawet Michaelowi.

Kilkanaście osób obecnych na występie Fontane pojawiło się w obrotowej sali balowej. Wydawało się, że jest to zwykłe przyjęcie. Nie dało się zauważyć masowego eksodusu związkowców,

157

muzyków czy kobiet. Każdy z trzynastu obecnych mężczyzn powiedziałby, że w jednej chwili

wszyscy ci ludzie tam byli, a w następnej wprowadzeni członkowie rodziny Corleone wnosili dwa długie stoły przykryte białymi obrusami na środek parkietu, a wszyscy obcy zniknęli.

Ktoś zgasił światła.

MęŜczyźni kładli ręce na ramionach nowicjuszy i gratulowali im chrapliwym szeptem (gdyby Figaro za sprawą Freda nie spóźnił

się na samolot, byłoby ich czternastu). Nowi podziwiali starych członków rodziny od lat, bo ci rządili w swoich dzielnicach, chodzili w garniturach od krawca, rozmawiali głośno u fryzjera i przy ladzie w barze, albo siedząc na pustych skrzynkach przed garaŜem, jeździli wystrzałowymi samochodami i posuwali wystrzałowe babki, rozdawali honory, tryskali pewnością siebie i stanowili sąd ostatniej instancji dla tych, którzy go potrzebowali.

Działali w świecie, który wówczas wydawał się tajemniczy, potężny i nieosiągalny. Nieświadomi niczego turyści pływali w basenie na dachu sąsiadującym z ciemną salą balową.

Kiedy światła znów się zapaliły, stół był zastawiony; leŜało na nim trzynaście nakryć, kaŜde ze świecą wotywną, świętym obrazkiem, sztyletem oraz symbolem ekspansji rodziny na Dzikie Zachód,

nie n

T a

r b

z i

y t

ny

am

st c

u ol

n t

oem

wi

ck

j a

u l

sib

z r

y u

z c

a z

ptrer

o d

wz

aie

d ś

z c

o i

n p

o i

ę

ńć

a (po

mi m

ej y

s s

c ł

a .F

re

P d

o a

z)

o .s tali —

zdołało dotrzeć pięćdziesięciu dwóch, niektórzy byli wcześniej na koncercie, a niektórzy przyjechali do miasta i wśliznęli się do Zamku na Piasku tylko na ceremonię — zasiedli na krzesłach wokół kręgu.

Michael Corleone usiadł razem ze swoimi ludźmi. Napawał się ciszą. Sam nie był przesądny, lecz pracował z przesądnymi ludźmi i wiedział, że przeliczają raz po raz mężczyzn siedzących przy stole i nie podoba im się, że jest ich trzynastu. Pozwalanie im na zastanawianie się nad tym nic nieznaczącym zbiegiem okoliczności było ryzykowne, lecz nagroda była tego warta: siedzący przy stole drżeli z daremnie ukrywanej niepewności. Starali się robić wrażenie, że jest to jeszcze jedna zwykła chwila w ich życiu. Wiedzieli, kim jest Michael i że to on trzyma nad wszystkim pieczę, więc wyglądali śmiesznie, próbując na niego nie patrzeć. Michael zaś słyszał głos sierżanta Bradshawa, swojego dawnego instruktora w wojsku: „Głupiec zaprzecza, że się boi. KOMANDOS nie boi się przyznać do strachu. Głupiec kpi z zagrożenia. Ignoruje za-158

groźenie. W obliczu zagrożenia... KOMANDOS... NIE IGNORUJE... NICZEGO".

Michael wstał.

— Pozwólcie, że opowiem wam historię pewnego chłopca —

zaczął, zbliżając się do stołów. — Urodził się tysiąc sto czterdzieści lat temu w sycylijskiej wiosce, w pobliżu miasteczka Corleone.

Dzieciństwo upływało mu w szczęściu i dostatku aż do pewnego dnia, gdy miał dwanaście lat. Wtedy arabskie hordy posuwające się na północ przez góry zabiły jego rodziców. Chłopiec, ukryty w glinianym dzbanie, widział, jak ostrze szabli ścina głowę jego matki. Martwymi ustami odciętej głowy wykrzyczała słowa miłości do jedyne go syna. Te morderstwa były aktem barbarzyństwa.

Arabowie niczego nie chronili, za nic się nie mścili. Nie zerwali z krzaka ani jednego pomidora, ani jednego winogrona z pnącza, ani jednej oliwki z zagajnika. Zabijali dla zabijania i szli dalej na północ w stronę swojego celu, którym było Palermo.

Michael wyjął cygaro z kieszonki na piersi marynarki smokingu.

Nie jeden z siedzących przy stołach otarł spocone dłonie o uda.

— Chłopiec nosił imię Leolucas — podjął Michael i przerwał, by zapalić cygaro i zwrócić słuchaczom uwagę na imię bohatera opowieści. — Mimo że miał tylko dwanaście lat, nie tylko zdołał

zając się rodzinnym gospodarstwem, lecz pracował tak długo i wytrwale, jak ktoś dwa razy starszy. Lecz lata płynęły i pewnego dnia, stojąc samotnie wśród pól, usłyszał wołanie swego prawdziwego przeznaczenia. Sprzedał posiadłość, rozdał pieniądze ubogim i został mnichem. Po wielu latach wrócił do rodzinnej wioski, gdzie dokonał wielu aktów bezinteresownej dobroci i zasłużył na miłość wszystkich, którzy go znali. Zmarł w spokoju w swoim łóŜku w wieku stu lat.

— *Cent'anni!* — wykrzyknął Clemenza. KaŜdy mężczyzna, który miał coś do picia, wypił szybko.

— Pięćset lat później — ciągnął Michael, okrąŜając stół —

modlitwy Leolucasa uchroniły miasto Corleone przed wybuchem czarnej zarazy. A w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym, ponad tysiąc lat po śmierci, Leolucas pomścił śmierć swoich rodziców, stając jako wieŜa białego płomienia przed okupacyjną armią Bur-bonów, odpędzając ich od Corleone, tak Œe wpadli w ręce Garibaldiego, który wypędził ich z Sycylii na dobre. Te cuda, a takŒe

wiele innych, które zdarzyły się w miejscu, gdzie znajduje się jego grób, zostały potwierdzone przez Ojca Świętego w Rzymie. Leo-159

lucas jest teraz i na wieki... — Michael wypuścił ogromny kłęb dymu, podszedł do jednego ze stołów i wziął święty obrazek leŜący przed Tommym Nerim, jednym z trzynastki nowicjuszy. Pocałował

obrazek i odłoŜył na stół — świętym patronem Corleone. Panowie?

Zrobił szeroki ruch ręką. Trzynastu mężczyzn ucałowało wizerunek świętego Leolucasa.

— Zaledwie kilka lat po budzącym trwogę pojawieniu się świętego Leolucasa w ognistej wieŜy — mówił Michael — w domu stojącym obok pól uprawianych niegdyś przez Leolucasa przyszedł

na świat inny chłopiec. Jego dzieciństwo takŒe było szczęśliwe aŒ

do dnia, gdy zjawilo się kilku ludzi i zabiło jego ojca. On teŒ miał

wtedy dwanaście lat, tak samo jak Leolucas. Morderstwa dokonano trzema strzałami z *lupary*. Matka zginęła od sztyletu. Została zaszlachtowana jak zwierzę. Ona równieŒ, śmiertelnie ranna, zdołała wykrzyknąć słowa miłości do syna. Chłopiec uciekł.

Mordercy

ruszyli za nim, wiedząc, Œe pewnego dnia spróbuje ich zabić. Tym mężczyzną... — Michael znów wypuścił chmurę dymu z cygara.

Czuł, jak płynie przez niego przeznaczenie. — ...był Vito Andolini.

Wyemigrował samotnie i dopłynął do zimnych brzegów Ameryki.

Tam, by uniknąć śmierci z rąk prześladowców, przyjął nazwisko od nazwy swojego rodzinnego

miasta. Był to jeden z niewielu sentymentalnych gestów, jakie kiedykolwiek wykonał, wszystkie nawiązywały w jakiś sposób do *la famiglia* — Michael uderzył się pięścią w pierś — ukochanej *figliolanza* — tu dotknął podbródka.

— CięŜko pracował, pomagał przyjaciołom, zbudował imperium i w jego głowie nigdy nie powstała ani jedna nieskromna myśl. Pewnego dnia wrócił na Sycylię i pomścił śmierć rodziców.

Vito Corleone, który w tym roku zmarł w spokoju w swoim ogrodzie, był moim ojcem. Ja, Michael Corleone, jestem jego synem. Lecz ci ludzie honoru — tu wskazał męŜczyzn siedzących w zewnętrznym kręgu — takŜe naleŜą do *la famiglia* Corleone.

Jeśli chcecie być z nami, zapraszamy was, byście odrodzili się jako c

Mi z

c ło

h n

ae k

l o

w

usi e

a

dr ło

. dz

N i

a n

s y

tę C

p o

nar le

c o

z n

ęse

ć . naleŜała do Freda. Wbrew temu,

co myśleli ludzie tacy jak Nick Geraci, mianowanie starszego brata *sottocapo* miało być raczej zachętą niŜ daniem mu pracy.

Fredo otrzymał garść dokładnie określonych, wąskich zadań, niewielką grupę rzetelnych, lecz przeciętnych ludzi, burdel na pustyni i kilka symbolicznych obowiązków, które spełniał z typową dla siebie niekonsekwencją. Michael juŜ się z tym pogodził. Choćbyś 160

nie wiem jak mocno chłostał osła, nigdy nie stanie się wyścigowym wierzchowcem.

Clemenza stuknął laską o podłogę, odchrząknął głośno i wstał.

Bez wątpienia kaŜdy z trzynastu siedzących przy stołach męŜczyzn rozumiał, Ŝe takie rozmieszczenie obecnych to formalność.

NaleŜało jednak przestrzegać konwencji. Clemenza zaczął od objaśnienia struktury rodziny. Michael Corleone jest ojcem chrzestnym, którego władza jest absolutna. Frederico Corleone jest *sottocapo*. Rocco Lampone i on, Pete Clemenza, są *caporegime*.

Clemenza nie wspomniał o roli *consigliere*. Tak było od śmierci Genca

Abbandanda, najpierw dlatego, Ŝe Hagen, który nie był

Sycylijczykiem, nie mógł uczestniczyć i obserwować ceremonii ani nawet

być w

— sp

Zo

a m

ni ni

ma

n

dy

o w

n c

a z

s as

p i

r e

z i

y c

sth

ą t

p riw

ci a

e n

ia,

— ar p

z ó

e ź

kł n

ie

C j l edla

m t

e e

n g

z o

a , Ŝ e

— w

m c

u i

s a

i g

c u

i e

k r

m ó

i t

e k

ć i

e

j g

a o

s

n o

o k

ś r

ć e

c s u

o ,

d g

o d

y

ki IV

ki

uto

r

zo

ed

cg

zr

yy

.wa

—ł

Pro

zleę

sc

zo

en

dłs

i

ng

aliser

ye

c,

ylk

ijsię

ki g

i

i p

mo

ózo

w -

ił

st

d ally

e j, z

am

ku k

śt n

y ię

k t

a e

j .

ą c C

le

w m

oke

ón

ł z

a

s i a

e n

d i

z a s

c ło

y c w

h e

m

pr z n

y i e

st w

o łoś p

a c o

h m

. n i a ł

— o

T

a N

n i c

a k

s u

z a

G e

w s r a

p c

ó i

l m

na. sprawa nie jest biznesem. To organizacja honorowa. Jeśli zgodzicie się do niej przystąpić, musi mieć pierwszeństwo przed ojczyzną. Musi mieć pierwszeństwo przed Bogiem. Musi mieć pierwszeństwo przed Słoną, matką i dziećmi. Jeśli wasza matka leży na łożu śmierci, a wy otrzymacie wezwanie, musicie pocałować ją w rozgorączkowane czoło i opuścić dom, żeby spełnić

polec

Cl eni

m e p

n r

z z

a e

zł o

at

r o

z n

y yc

m a h

ł .

się przed krzesłem, z którego wstał. Oparty

na lasce, pochylił się do przodu tak bardzo, że wydawało się, iż za chwilę runie na ziemię. — Czy rozumiecie? Czy się zgadzacie?

Mężczyźni siedzący przy stole bez wahania wyrazili zgodę.

Clemenza skinął powoli głową i usiadł.

Michael wstał, i jakby dla zrekomensowania chwiejnego kroku Clemenzy podszedł do stołu długimi energicznymi krokami. Czuł, że za dużo zjadł, za dużo wypił, za dużo pracował i za mało spał.

W ustach miał kwaśny smak.

— Są dwa prawa, którym musicie się podporządkować absolutnie — zaczął. — Nigdy nie wolno wam zdradzić tajemnic tego stowarzyszenia zgodnie ze starożytną tradycją *omerty*. Karą za złamanie tego prawa jest śmierć. Nigdy nie wolno wam zgwałcić 161

Źony lub dzieci innego członka stowarzyszenia. Karą za złamanie tego prawa jest śmierć. Czy przyrzekacie na swoje życie przestrzegać tych praw?

Zgodzili się.

Starsi z obecnych zauważyli brak trzeciego prawa, na które przysięgano przy każdej inicjacji prowadzonej przez Vita Corleone: Nigdy nie wolno ci angażować się w handel narkotykami. Nikt nawet się tym nie zająknął.

— Wchodźcie żywi, a wychodźcie martwi — rzekł Michael.

W dniu, w którym poprosiłem cię o rękę, Kay, obiecałem, że nasz biznes za pięć lat będzie legalny.

Michael zbliżył się do Neriego.

— Instrumentami, dzięki którym żyjecie i umieracie, są pistolet

— Michael ścisnął w zębach cygaro i podniósł colta —

i nóż. — W drugą rękę wziął sztylet. Położył jedno i drugie przed Tommym, krzyżując je.

— Czy zgadzacie się użyć broni, by pomóc rodzinie, kiedy zostaniecie do tego wezwani? — spytał.

— Tak, ojczec chrzestny.

Michael zaciągnął się cygarem i zapalił od Sary świecę wotywną Tommy'ego. Następnie wskazał jego prawą dłoń. Tommy wyciągnął rękę. Michael podniósł sztylet, zrobił nacięcie na jego palcu

wskazującym, zgiął go i zacisnął mocno pięść Neriego, uważając, by ni

D e

w z

u w

n i

a ę

s k

t s

u zać

m

ę i

ŝło

c ś

z c

y i

z k

n rw

p i

o .

kolei udzieliło tej samej odpowiedzi

i poddało się temu samemu rytuałowi.

Michael wrócił do końca stołu i klepnął zamkniętą pięść Tommy'ego. Tommy otworzył dłoń, a później złoŝył ręce, zakrwawioną prawą i czystą lewą, odwracając je do góry. Michael wziął

obrazek

ze świętym Leolucasem, podpalił świecę i upuścił na ręce Neriego.

— Z jednej do drugiej — szepnął.

Tommy przerzucił płonącego świętego z jednej dłoni do drugiej.

— Jeśli kiedykolwiek zdradzisz przyjaciół, spłoniesz — mówił

Michael. — Dmuchnął lekko dymem w twarz Tommy'ego, która nawet nie drgnęła. — Tak jak wizerunek naszego ukochanego patrona, świętego, który pali teraz twoją skrwawioną dłoń. Zgadzasz się na to?

— Tak, ojczec chrzestny.

Michael poczekał, aŝ obrazek zmieni się w popiół. Później czule niczym kochanka wtarł popiół w

dłonie Tommy'ego, a następnie pocałował go delikatnie w oba policzki.

162

Pozostałych dwunastu nowicjuszy poddało się tej samej ceremonii i udzieliło tej samej odpowiedzi.

— Teraz jesteście wprowadzeni — rzekł na koniec Michael. —

Gli uomini qualificati. Panowie, przedstawcie się swoim braciom.

Sala eksplodowała kakofonią gratulacji, strzelających korków szampana, włoskich toastów i błogosławieństw. Mężczyźni siedzący w zewnętrznym kręgu pozostali na miejscach, pilnując, by

nowi członkowie rodziny obeszli posłusznie całe pomieszczenie, całując w policzki każdego siedzącego w zewnętrznym kręgu, bez wyjątku. Michael już ich pocałował. Wymknął się tylnymi drzwiami i zszedł po schodach na dół. Wiedział, że w domu mogą na niego czekać wiadomości o eskalacji kłopotów. Ale istniała szansa, że jego dzień się skończył. że odpocznie trochę i jutro z jasną głową przystąpi do walki. Już czuł się lepiej, bo oddalił się od dymu i oparów alkoholu. Pragnął tylko pocałunków Sony, syna i córki

W i

y.

chodzicie martwi.

Doszedł do samochodu. Czekając, aż Al Neri zbierze nie nabite pistolety i do niego dołączy, Michael poczuł nagły skurcz w żołądku. Walczył z nim przez chwilę, a później upadł na kolana i wymiotował. Wyrzucił z siebie wszystko: *strega*, whisky, posiłek przygotowany z miłością przez Enza, jedzenie z pikniku i cały popcorn zjedzony w kinie.

— Wszystko w porządku, szefie? — Pistolety szczękały o siebie w poszewce na poduszkę, w której Neri taszczył broń, jak łańcuch niesiony przez Jacoba Marleya w ekranizacji *Kolę dy wigilijnej*, oglądanej przez Michaela, gdy był dzieckiem. Neri pracował jako szef ochrony, ale żeby schodzić piętnaście pięter, wlec się przez hole i korytarze z trzynastoma pistoletami w poszewce? Jezu Chryste.

— Taak — mruknął Michael. Był zlany potem. Zdołał jakoś ustać, mimo że się chwiało. Rozdarł sobie spodnie. — Czuję się doskonale. Chodźmy.

Nowi członkowie rodziny zatrzymali sztylety, którym Michael skaleczył im dłonie. Były to wspaniałe, wysadzane klejnotami cacka, które nie kosztowały rodziny ani centa. Nick Geraci znał odpowiedniego człowieka.

Rozdział 11

Fredo Corleone wtoczył się wynajętym chevroletem na podjazd i nacisnął na hamulec pod wiatą parkingową. Figaro obudził się na tylnym siedzeniu i zaczął kląć po angielsku, a Capra po sycylijsku.

— Do zobaczenia w środku, chłopcy — rzucił, wyskakując z samochodu. Wyciągnął z portfela dwudziestkę i w tej samej chwili rozpoznał parkingowego. — Tak z ciekawości, jaki największy napiwek pan dostał?

MęŜczyzna spojrzał na niego dziwnie.

— Sto dolców — burknął. — Raz.

Fontane, pomyślał Fredo. Po prostu wiedział. Wyjął dwie setki. — Niech mi pan znajdzie dobre miejsce i wyrzuci tych obiboków z auta, dobrze? Więc czyj rekord pobiłem?

— Własny, sir — odparł parkingowy. — Z zeszłego tygodnia.

Fredo roześmiał się, wszedł do środka i zaczął biec. Była trzecia rano, lecz w Zamku na Piasku jedynym znakiem świadczącym o tym, Őe nie jest to bardziej przyzwoita pora, była obecność półprzytomnych kobiet w podomkach i z wałkami na głowach, z papierosami zwisającymi z ponurych nieumalowanych ust, które wrzucały monety do maszyn, jakby przygotowywały kolację dla niewdzięcznej rodziny. Niewiele osób biega po kasynach, lecz Őadna z tych dam ani nikt siedzący przy stolikach do blackjacka nawet nie podniósł głowy. Kierownicy lokalu oczywiście spojrzeli, podobnie jak oko w niebiosach, jeśli jakieś tam było. Ci, którzy zwrócili na Freda uwagę, widzieli go juŜ wcześniej w takiej sytuacji. Lecz gdyby ktoś niezwiązany z obsługą kamer bezpieczeństwa lub członek Komisji Gier stanu Nevada zapytał, czy widzieli

164

przechodzącego pana Corleone, zmarszczyliby czoło i spytali zdziwieni: „Kogo?”.

Fredo zajmował apartament na trzecim piętrze, pięciopokojowy, z barem i pełnowymiarowym stołem do bilardu. Freda nie było w hotelu przez dwa tygodnie — zajmował się interesami w Nowym Jorku i pomagał matce przygotować się do przeprowadzki na Zachód. Gdy tylko otworzył drzwi, wyczuł, Őe coś jest nie tak.

Pierwszą rzeczą, którą zauwaŜył, były zaciągnięte zasłony i atramentowa ciemność w pokoju. Fredo nigdy nie zaciągał zasłon i nie wyłączał telewizora, nawet jeśli na ekranie ukazywała się plansza testowa, nawet kiedy wyjeŜdŜał z miasta. Őpiąc za dnia, uŜywał maseczki. Wskoczył z powrotem na korytarz, schodząc z linii strzału, i sięgnął do kieszeni po pistolet.

Ale pistoletu nie było. Przepiękny colt peacemaker, broń, od której padło dziesięć tysięcy desperados w tysiącu zakurzonych filmów, zaginał gdzieś na dzikich pustkowiach Detroit.

W drugim końcu korytarza otworzyły się drzwi i wyszła jakaś starsza paniusia w siatce na włosach i podomce z blaszany kubkiem pełnym monet i podkową. Za nią podąŜał jakiś wymoczek w podkoszulku, bermudach i lśniącym białym kapeluszu kowbojskim, który musiał kupić wcześniej tego samego dnia. Fredo zamarł.

Z jego pokoju nie dochodził śladem szmer. Kobieta musiała zauważyć Freda przykucniętego w korytarzu przed drzwiami, lecz szła

dalej

Drzwi

ze

wis

p

ku

lastz

kc

iz

so

cn

hą

og

dł

oow

wejąsp

ięro

zs

ato

mkd

no

ęłs

yc

. hodów. Jej mąż machnął

ręką

F, r a

e

dje

o g

po t

l w

ic a

z r

yz

ł ś

d c

oi ą

dg

z n

i ę

e ł

s a

i

ę s

c ię

u .w

rozpaczliwym grymasie.

— Halo? — zawołał. — Jest tam kto?

Powinien wezwać ochronę. Ale był zmęczony i nie myślał

trzeźwo. Chciał się szybko wykąpać i udać się do sali balowej. Nie chciał wyjść na palanta, który wzywa ochronę tylko dlatego, iż

jakieś nowej pokojówce nie powiedziano, że ma nigdy nie zaciągać zasłon i nie wyłączać telewizora.

Panowała absolutna cisza. To musi być nowa pokojówka, pomyślał Fredo. Kiedy wszedł do środka i wyciągnął rękę w stronę kontaktu, przyszło mu na myśl, że właśnie w takich chwilach faceci dostają kulkę między oczy; kiedy opuszczają gardę i myślą sobie: E, tam. To nic.

W momencie gdy Fredo zapalił światło, ktoś spuścił wodę w łazience. Serce omal nie przebiło mu żeber, lecz zanim zdążył

165

uciec, schylić się lub krzyknąć: „Kto tam?“, drzwi się otworzyły i stanęła w nich naga kobieta, platynowa blondynka. Krzyknęła głośno.

— O Boże — powiedziała — ale mnie wystraszył.

Ale mnie wystraszył. Mówiła z wyraźnym francuskim akcentem. Zabrzmiało to autentycznie. Fredo zamknął za sobą drzwi

i pocz

— uł,

C Ŝ

z e

y je

m g

y o

s is

ę e

r

z c

n e

a z

m w

y a

? l

nia.

Podeszła do niego z uśmiechem. Włosy łonowe miała czarne, choć jej brwi teŜ były blond.

— Wiesz, jak długo na ciebie czekam?

— PowaŜnie, skarbie, kim ty jesteś? Co tu się, u diabła, dzieje?

Kto cię wpuścił?

— Od piątej po południu — ciągnęła, wskazując wiaderko z szampanem koło łóŜka. — Lód roztopił się parę godzin temu. —

Wzruszyła ramionami i jej małe piersi podskoczyły. Miała okrągłe ciemnoczerwone sutki, tak duŜe, Ŝe prawie zakrywały całość. —

Przykro mi, ale butelka teŜ juŜ jest pusta.

Akcent był prawdziwy. Słowa wymawiane przez dziewczynę zlewały się ze sobą.

— Skarbie, chyba nie wiesz, z kim masz do czynienia - powiedział Fredo.

— Chyba wiem. — *Wziem.* Wydeła dolną wargę. — Jesteś Fredo Corleone, tak? — *Friedo.*

— MoŜe zaczęłabyś od powiedzenia mi, kim ty jesteś?

Wyciągnęła rękę i zachichotała.

— Mam na imię Rita. Marguerite. — Ale... — Nagle zawstydzila się i opuściła rękę. — ...Teraz uŜywam imienia Rita.

Fredo nie podał jej dłoni. — Cześć, Rito. A moŜesz podać mi jakiś powód, dla którego nie powinienem wsadzić cię za kratki za włamanie?

— Czy nie wystarczy to, Ŝe naga kobieta czeka na ciebie w pokoju i chce się z tobą kochać, hę?

— Tracę do ciebie cierpliwość, laleczko.

— Ach! — Dziewczyna odrzuciła głowę, zniecierpliwiona. —

Wcale nie jesteś zabawny. Przysłał mnie Johnny Fontane, okay? —

Roześmiała się smutno jakby z Œartu, który tylko ona rozumie. —

Jestem prezentem dla ciebie, nie? Johnny powiedział, Œe mam być naga i czekać w twoim łóŒku. — Zarumieniła się. — Ale jak dziewczyna wypije szampana, to musi psi-psi.

166

Psi-psi?

— To bardzo miło ze strony pana Fontane, ale jest strasznie późno, ty jesteś wstawiona, ja zawiany, a mam dzisiaj jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Rano. NiewaŒne. Powinnaś iść, złotko.

Jeśli potrzebujesz taksówki czy czegoś, to ja mam.

Dziewczyna skinęła głową, odwróciła i poszła po swoje rzeczy, które leŒały tak starannie ułoŒone na nocnej szafce, Œe Fredowi zrobiło się Œal. Miała ładne umięŒnione nogi. Dopiero teraz to zauwaŒyła.

Fredo wszedł do garderoby po swoje rzeczy. Kiedy wrócił, dziewczyna zdąŒyła załoŒyć tylko kwiecisty bawełniany stanik.

Nigdy nie mógł tego zrozumieć. MoŒna by sądzić, Œe zawsze zakryją najpierw futerko, bo majtki spadają zwykle na końcu, ale kiedy zostawi się kobietę samą, Œeby się ubrała, przewaŒnie zacznie od stanika. Trzymała się za głowę i siedziała na brzegu łóŒka, płacząc.

Ach, te nawalone dziwki, pomyślał Fredo, kręcąc głową.

— Przepraszam — wyszlochala.

— Nie, nic się nie stało. Słuchaj, to nie jest... — PołoŒyła

rękę na jej policzku. Dziewczyna podniosła głowę. To były prawdziwe łzy, walczyła z nimi. Wyglądała tak, jakby była na siebie

wściekła. — Jesteś piękną dziewczyną, okay? Ale chodzi o to, Œe jest późno, a ja muszę gdzieś być. Interesy. Jeśli naprawdę chcesz

D z

zi t

e u

w p

c o

z c

y z

n e

a k

a

p ć

o ,

k t

r o

ę .

c .i.ł a głową.

— Nie rozumiem. — Wytarła twarz majtkami. Pasowały do stanika. Fredo zauważył napis na metce: Sears. — Ja tego nie robię. To znaczy... — Przewróciła oczami i spojrzała na sufit. —

Znaczy, robię to, ale nie... — Wypuściła powietrze po głębokim oddechu. — Jestem tancerką, okay? Tańczę w przedstawieniu, i to przyzwoitym. Nawet nie topless. To miał być... odłot. To jest to słowo, tak? Rzuciłam sobie wyzwanie. Nie jestem...

Fredo podał jej chusteczkę. Od przeprowadzki do Las Vegas był

z wieloma dziwkami i nauczył się o ich płaczu jednego: Śe lepiej jest się zamknąć i dać czystą chusteczkę, niŚ mówić, Śe wszystko będzie dobrze.

Usiadł obok niej. Musiał jakoś zacząć. Przesunął ręką po plecach dziewczyny. Skóra na tyłku, jak zauważył, była jędrniejsza i gładza niŚ zadbana skóra na twarzy większości kobiet. Trzeba oddać tancerkom, Śe ich dół to jest coś. Fredo nie miał na to więcej czasu.

167

Johnny próbował być miły, ale prawdopodobnie najpierw ją wyobrażał na wszystkie strony i tak skołował, Śe zgodziła się na coś,

czego nie zrobiłaby za tysiąc lat we francuskiej wiosce, z której pocho

— dzi

Mł

aa.

m pomysł — rzekł Fredo.

Dziewczyna spojrzała na niego. Opanowała już łzy.

— Ile zapłacił ci Johnny, żebyś tu przyszła?

— Tysiąc dolarów.

— Poczekaj tu na mnie.

Fredo wszedł do gabinetu, odciągnął olejną replikę Mony Lisy, otworzył sejf i wyjął dwa banknoty tysiąc dolarowe. Dziewczyna pewnie nigdy nie widziała takiego, nie mówiąc o dwóch. Rząd nie zadał sobie wiele trudu, żeby je zaprojektować. Z tyłu było po prostu napisane TYSIĄC DOLARÓW. Z przodu Cleveland. Co takiego, do kurwy nędzy, osiągnął Cleveland? Fredo złożył banknoty na pół i wcisnął je dziewczynie do ręki.

— Zatrzymaj sobie tysiąc, który masz — powiedział — i te te.

Nie musisz się martwić, że jesteś dziwką, bo nie możesz nią być, skoro nie... no wiesz?

— Równiemy się?

W jej głosie pojawił się ton nadziei, jakby pieprzenie mogło ją pocieszyć. Fredo nawet nie wypowiedział tego słowa, skoro dziewczyna łamała się być może z tego powodu, że została pieprzoną

kurwą

— . Właśnie. Jeśli się nie równiemy. Tylko jeden haczyk.

Dziewczyna skinęła głową, wzięła pieniądze i wsunęła je do kieszeni czerwonej sukienki, która leżała na łóżku.

— Musisz tylko pójść do Johnny'ego, a kiedy zapyta cię, jak było... — Fredo wiedział, że Johnny zapyta, taki był — ...musisz mi obiecać, że powiesz mu... — Fredo zawiesił głos, puścił oko i wyszczerzył zęby — że byłem bez dwóch zdań najlepszym facetem, jakiego miałaś.

— Bez dwóch zdań — powtórzyła, wciągając majtki. Wydawało się, że jest jej smutno z tego

powodu. — Dobrze.

— Dzielna dziewczynka — pochwalił Fredo.

Zadzwoił telefon. To był Figaro, bo tak Fredo nazywał swojego nowego ochroniarza. Było mu wstyd, że nie potrafi usłyszeć jego prawdziwego imienia. Tak, wszystko w porządku, powiedział Fredo.

Patrząc, jak dziewczyna się ubiera, zdjął buty, skarpetki i koszulę.

168

Zaraz będę, zapewnił Fredo. Figaro powiedział, że na górze są jeszcze jacyś ludzie. Fredo odparł, że to dobrze. A Michael jeszcze jest? Nie, już go nie ma. Szkoda. Fredo z ulgą odłożył słuchawkę.

Już dawno przestał nosić podkoszulki. Po tamtym filmie. Teraz, kiedy nowoczesna dziewczyna zobaczy faceta w podkoszulku, uważa go za pajaca niegodnego uwagi. Dopiero kiedy stanął

z obnażoną piersią, w samych slipkach, przyszło mu na myśl, że jeśli jest w połowie takim dżentelmenem, jakiego udaje, to powinien zaczekać, aż dziewczyna odejdzie albo sam wyjść do drugiego pokoju. Miała sukienkę z czerwonej satyny. Widząc ją ubraną i wiedząc, że ma pod spodem tanią bieliznę, poczuł się inaczej.

Coś się w nim poruszyło.

— Ładny obrazek — powiedziała dziewczyna, wskazując Madonnę nad łóżkiem w małej sosnowej ramce. Kiedy wprowadzał

się do tego apartamentu, zastał w nim ogromny malunek przedstawiający Indianina na białym koniu, patrzącego na zachód słoń-

ca. — Ty go namalowałaś?

— że co? Nie.

— Znasz tego malarza?

— To po prostu obrazek, okay?

— Miałam dużo czasu, żeby na niego popatrzeć. Ta modelka nie ma w sobie nic a nic próżności. Dobry obraz.

— Dobry obraz?

— Studiowałam malarstwo. — Spojrzała w dół. Lakier na jej paznokciach był odrapany. — Dawno temu.

— To dobry obrazek — powtórzył Fredo.

— Okay — powiedziała dziewczyna, podnosząc torebkę.

— Okay — odparł Fredo, odprowadzając ją do drzwi.

Dziewczyna wyjęła papierosa. Fredo sięgnął do kieszeni.

— Psiakrew — zaklął. — Zgubiłem zapalniczkę.

— Słodki jesteś — powiedziała i wsunęła papierosa za jego ucho.

— Nie całkiem — odparł, oddając jej papierosa. — Palę inne, kochanie.

Nachyliła się do niego. Zapowiadało się na cmoknięcie w policzek, lecz Fredo nauczył się czegoś o dziewczynach szukających

faceta na Zachodzie: wiele rzeczy zdarzających się o trzeciej nad ranem, które wyglądałyby sensownie o trzeciej po południu, zamieniają się w rzeczy, w które mężczyźni śpiący na łóŜkach na Long Island nigdy by nie uwierzyli. Jej wargi się rozsunęły. Język 169

Freda poszedł za impulsem i wśliznął się w jej mokre usta, a ręce przesunęły się po szorstkich platynowych włosach. Wydała cichutkie stęknienie, które zaskoczyło ich oboje.

Spojrzeli sobie w oczy. Jej oczy rozszerzyły się, jakby właśnie znalazła zgubiony kolczyk. Naprawdę nie była zawodową dziwką.

One nie patrzą w taki sposób.

— Moje Ŝycie jest tak kurewsko poplątane... — westchnęła.

— Wszyscy tak myślą — odparł Fredo. — Ale pewnie masz rację. Co do siebie.

Trzeba powiedzieć, Ŝe Rita miała krzywy uśmiech.

— Ach, tak? A ty?

— Nie mogę narzekać. Mimo to narzekam. Ale chyba się kontroluję.

— Tak myślisz? — Dotknęła palcem wskazującym jego nagiej klatki piersiowej i przekreśliła go jak Ŝrubokręt.

Znów się pocałowali. Jej usta były kwaśne od szampana, ale Fredo nie przestawał jej całować.

— Frei-do Corleone — wymruczała Rita.

Gdyby nie była trzecia rano, od razu przysłoby mu do głowy, jakie to głupie ryzykować, iŜ pewnego dnia ta dziewczyna wypapła, Ŝe stała goła przed Fredem Corleone, a on zapłacił jej dwa kawałki za

to, Œe jej nie bzyknął. Po co on się spieszy na górę? Jeśli było warto się tam znaleźć, to przedtem, a nie teraz.

— Do usług — mruknął.

— Ty prosiaku — rzekła dziwnym tonem.

— Co mówisz?

— Nic. — Westchnęła cięŒko i sięgnęła ręką do klamki. — Do zobaczenia w jakiejś fikuśnej gazecie.

No dobrze. Dziewczyna zachowywała się jak gangster z filmu.

Fredo połoŒył jej dłoń na ręce. — Zostań.

Rita się skrzywiła.

— Nie wiem. Odbierzesz sobie to, za co zapłaciłeś?

— Nie zapłaciłem ci za to — sprostował Fredo. — Zapłaciłem ci za to, Œebyś dała Johnny'emu Fontane powód do koszmarnych snów.

Rita zamyśliła się głęboko.

— Więc wystarczy, Œe jemu oddam pieniądze, tak?

Fredo się uśmiechnął.

— Powiedz mu to, za co ci zapłaciłem. Mam zapisać na kartce czy zapamiętasz?

170

— Bez dwóch zdań. Najlepszy, jakiego miałam. Jasne.

— A później powiedz mu, Œe moŒe sobie wziąć swoje pieniądze — dodał Fredo. — Bo było tak dobrze.

— Sama nie wiem. MoŒe jutro? Moglibyśmy zacząć od nowa.

Randka czy coś?

— Dzisiaj jest jutro, kochanie.

Rita wciąż wyglądała na zamyśloną. Wsunęła palec w usta, ssła go chwilę, a później przesunęła wolno po piersi Freda aż do pasa. Tam jej ręka się zatrzymała.

— Uwielbiam seks. Powiedziała to, jakby przyznawała się do poraŒki. Jej głos był cichy, ale nie

chrapliwy, jakie zawsze przypisuje

się

francuskim

dziewczynom.

Wciąż

mówiła

niewyraźnie.

—

Toż

Słże

o, a

wł

ae

u

„w

Uie

wł

ib

elia

bm

ia g

m o j

g a

o k

jm

a ę

k Ŝcz

m y

ę z

Ŝ n

c a

z .

y zna" wstrząsnęły Fredem

niczym prąd. Choć oczywiście nie to miała na myśli, przestraszył

się, Ŝe właśnie o to jej chodzi. Otrząsnął się z szoku i złapał

obiema rękami jej małe cycki.

Jęknęła, ale zabrzmiało to jak zagranie profesjonalistki. Za bardzo się starała. Nie mogło jej być aŜ tak przyjemnie.

Przesunęli się w stronę łóŜka. Rozpięła mu pasek, szarpnęła spodnie i majtki. Fredo upadł na łóŜko. Rita stanęła nad nim i sięgnęła ręką do suwaka.

— Nie zdejmuj — poprosił Fredo.

Odwróciła się, pozwalając mu to zrobić.

— Niech zostanie. Działa na mnie jak dynamit.

Rita wzruszyła ramionami i usiadła koło niego na łóŜku. Całowali się przez chwilę, a później połoŜyła rękę na jego członku.

Mógł zrzucić winę na pijaństwo, któremu oddawał się przez cały dzień, na lotnisku... choć później niczego nie pił. Mógł teŜ zwalić winę na zmęczenie, róŜnicę czasu. Nie chciał, bardzo nie chciał

myśleć o tym drugim. To się nigdy nie stało. Poza tym w snach bzykał lepsze dziewczyny z rewii niŜ ta tutaj. Ale skoro o tym pomyślał, jego los był przypieczętowany. Nie myślę o moim fiucie, pomyślał. Myślał o niej, o tym, jak ją całował i złapał za cycki, jak byłoby wspaniale zerŜnąć ją w tej lśniącej sukience. Mogło się to stać w ciągu dziesięciu sekund, jeśli przestanie myśleć o tych wszystkich rzeczach, o których myślał. Gdyby tylko mógł w ogóle przestać myśleć. Naprawdę trzeba

przyhamować z piciem.

Upadła na kolana i wzięła go do buzi tak szybko, że nie zdążyła zaproponować. Wstrząsnął nim straszliwy dreszcz.

171

— Nie — jęknął, podnosząc ją pod ramiona.

Wyglądała na dotkniętą.

— Nie robię tego — rzekł Fredo. — Nie gniewaj się, dobrze?

Chodź tu i pocałuj mnie.

Posłuchała. Fredo przytrzymał jej rękę na swoim ciele i ściągnął jej kwieciste majtki. Znow się pocałowali.

— Może byś uklękła?

Rita westchnęła. Wyglądała jak dziewczyna przy pracy, która traci cierpliwość.

— Nie — mruknął Fredo. — Tak jak powiedziałem. — Chciał

to powiedzieć czulej. Nie zrobiła nic złego. Wyglądała na dobre zwierzątko, które chce się z nim rządnąć za friko, być może dlatego że usłyszała, iż jest gangsterem, ale tak dlatego, że był dla niej miły, choć nie musiał. Ustawił ją na kolanach i zadarł kieckę, złapał się za członek, a drugą ręką poszukał jej cipki. Rita sięgnęła ręką w tył, żeby mu pomóc. Bezbronność tego gestu sprawiła, że stwardniał w jej rękę i wszedł. Zabrał się za nią od pierwszego pchnięcia. Musiał działać, a nie myśleć. Złapał ją za biodra, oplatając palcami kości. Kazał jej prosić się, żeby to zrobił. Rita zaczęła jęczeć, jak bardzo tego pragnie, i żeby nie przestawał, a potem powtarzała raz po raz: „Ale duży, ale duży, ale duży”.

Zamknął oczy i przyspieszył, na ile starczało mu sił.

Jego ciało zdrętwiało, krzyknął.

— Wyciągnij — stęknęła piskliwie. — Jesteś duży. Wyciągnij.

— Ale jesteś duży.

Fredo nie wyciągnął. Ocierał się kolistym ruchem o muskularny tyłek tancerki, wpuszczając w nią resztkę tego, co mu zostało.

Później jego kutas zrobił się tak wrażliwy, że musiał go wyjąć. To byłoby takie seksowne, spuszczać

małe mokre kropelki na jej tyłek i czerwoną sukienkę. Czy może być coś lepszego? Nie wiedział, czemu tego nie zrobił.

To nie była prawda. Wiedział. Lubił je posuwać. Nie wiedział dlaczego.

Ale to też nie była cała prawda.

Upadł na plecy. Zamknął oczy i kilka razy szybko stuknął się w głowę nasadą dłoni, w rytmie *staccato*. Nienawidził się każdym włóknom swojego ciała.

Rita przetoczyła się na bok i zwinęła w kłębek. Naturalnie, znów zaczęła płakać.

Fredo wstał, podszedł do okna i rozsunął zasłony.

172

Tak lepiej. Uwielbiał neonowe światła. Niedługo zrobi się widno.

Znów zadzwonił telefon. Zabrał go do gabinetu. Kazał Figarowi trzymać majtki na tyłku i powiedział, że zaraz będzie. Figaro odparł, że dobrze zrobili, nie zostając w Los Angeles, bo są pewne nowe informacje, które Fredo chciałby pewnie usłyszeć osobiście. Fredo zapytał Figara, czy jest głuchy? Przecież zaraz tam przyjdzie, jasne?

Wyjął następną chusteczkę, najlepszą, jaką można było kupić, i położył się na łóżku obok Rity.

— Hej, lalczko — rzucił jak kowboj. — Hej, ślicznotko.

Rita wydmuchała nos i leżała niepokojąco cicho.

— Zaraz wrócę — rzekł i spojrzał na zegarek. Nabral tego zwyczaju jako dziecko. Zdał się wziąć prysznic i ogolić się w mniej niż pięć minut. Włożył szlafrok tak gruby, że sprawiał wrażenie kostiumu futbolisty z ochroniaczami na ramionach. Rita wciąż

tam była.

— Przepraszam — wymamrotała.

Obyłoby się bez tego. Chciał, żeby wyszła, tak, i to zaraz, ale nie chciał czuć się z tego powodu jak szmata. Ale nie płakała, a to już było coś.

— Szybko się uwinąłeś. Z prysznicem.

— Zdałem się już polapać, gdzie co jest. — Zawsze tak mówił, kiedy ludzie wypowiadali podobne uwagi.

— Powinam już iść. Przepraszam. Wiem, że powinienam.

— Zostań tak długo, jak chcesz. Jest mi przykro jak diabli, ale...

— Masz interesy. Wiem. Przepraszam. — Dotknęła ręką oczu i wskazała łazienkę. — Pospieszę się.

Przynajmniej nie powiedziała psi-psi. Kiedy weszła do łazienki, Fredo narzucił coś na siebie i zadzwonił na dół, żeby zapłacić za taksówkę Rity.

Wyszła po dwunastu ciągnących się w nieskończoność minutach z uczesаныmi włosami, twarzą różową od mycia i pomalowanymi ustami. Pachniała perfumami, którymi pewnie była skropiona, kiedy przysła do apartamentu Freda. Używała ich dużo. Niewiele rzeczy budziło większą odrazę Freda niż obfitość perfum. Włączył telewizor i wypędził Ritę na korytarz.

— Mamy umowę, tak? — spytał, naciskając guzik windy.

— Tak. — Podniosła rękę. — Jestem dziewczyną, która do-trzymuje słowa — rzekła posępnie, po czym zmusiła się do uśmiechu. —

Zakładasz, że sama z siebie bym tego nie powiedziała. Bez dwóch zdań.

173

Co można było o tym powiedzieć, do kurwy nędzy? Fredo pomyślał, że powinien wziąć od niej numer telefonu, ale to zwykle tylko pogarszało sprawę.

Przyjechała winda i uratowała go od śalonego milczenia.

Poklepał ją po plecach.

— Powodzenia w interesach — powiedziała, posyłając mu całusa. — Cor-le-on-e.

Fredo patrzył, jak zasuwały się drzwi. Spojrzał na swoje zniekształcone odbicie w ich mosiężnych okuciach. Nie było na co patrzeć. Nacisnął guzik szóstego piętra, przyłożył dłonie do chłodnego metalu i zwiesił zmęczoną głowę. Kto powiedział, że życie

jest proste? Ale on trwał na swoim miejscu. Popelniał błędy jak każdy i był, by móc o nich mówić, w przeciwieństwie do wielu ludzi

D, r k

z tó

wi r y

sicęh

oztna

w ł

o .r zyły, Fredo wszedł.

Ludzie uważali go za miłego faceta, lecz jednocześnie za słabeusza i fajtlapę. Wiedział o tym. Ale ilu przeżyłoby dzień taki jak

ten, i trzymało się lepiej od Frederica Corleone? Obudził się w miejscu, w którym znalazł się wskutek bardzo złej decyzji i nie powinien pozwalać sobie więcej o tym myśleć. Nie wiedział nawet, w jakim jest kraju. Mimo to przed świtem zdołał wyciągnąć stamtąd swój tyłek i wiedziony jakimś cudownym instynktem ruszył we właściwym kierunku. Fakt, zostawił tam broń, ale, to zdarzyło się w innym kraju, więc można było uznać sprawę za zamkniętą.

Może spieszył trochę sprawę w urzędzie celnym, ale, na miłość boską, pomarańcze nawet nie należały do niego, a wypił trochę tylko po to, żeby lepiej otworzyć oczy. Ryzykował, wymieniając nazwisko Joego Zaluchiego, lecz było to skalkulowane ryzyko.

Mogło się zdarzyć, że dzięki temu przepuściliby go, machając ręką. Nie zdarzyło się, trudno. Ilu facetów zachowałoby spokój w tej sytuacji? Przeszedł po białej linii jak czempion. A te ćwoki mogły go tylko podziwiać. Potem wykonał jeszcze dwa perfekcyjne bisy. Nie powiedział niczego, czego nie musiał mówić, nawet nie zadzwonił po adwokata. Głównie wypuścili go z przekonaniem, że jest Carlem Frederickiem, asystentem kierownika parkingu dla przyczep Zamku na Piasku (którym był na papierze; przejechał

częst

K o k

ni o

e ł

co

p

koar

ń k

c i

ó ng

w, u

j,
e a
dle
y
m
yig
md
y
p
ona
w n
o i
d m
e
mn
, ie
d
l b
a ył
k)
t.

ó rego ludzie uwaŚali

Mike'a za wielkiego cwaniaka, a Freda za niedojdę, było to, Śe Mike chciał zbudować wielkie imperium, a Fredo marzył jedynie 174

o tym, Śeby się dobrze bawić i mieć kawałek interesu tylko dla siebie. Coś większego niŚ parking

dla przyczep, ale mniejszego niż General Motors. Co w tym złego, do jasnej cholery? A Mike nie chciał mu dać nawet tyle. Zamiast tego dał mu jakiś pieprzony tytuł. Zastępca szefa. *Sottocapo*. Równie dobrze mógł go mianować cyrkowym błaznem. Oślim cyckiem. Wiceprezydentem.

Wysiadł na szóstym piętrze i otworzył szyfrem drzwi do tej zakichanej sali. Kto to wymyślił? Fredo. Ludziom się spodobało, choć ktoś inny przypisywał sobie ten pomysł. Słyszał, że inne kasyna tak go wykorzystywały. Wielkie halo! Kto by się przejmował, że nie oddają ci zasług za takie byle co? A jednak...

— Drinka, sir? — spytał kelner na tajnej antresoli.

— Nie. Zimne piwo wystarczy.

Pewnie powinien pójść schodami. Krew popłynęłaby szybciej.

Ale był wykończony, a piwo przyjemnie chłodziło mu dłoń, więc poczekał na windę.

Kiedy przyjechała, wytoczyli się z niej Figaro, Capra i dwóch nowych gości z Nowego Jorku. Nie wyglądali na takich, którzy zaliczyli radosną ceremonię, która właśnie się odbyła. Powodem nie mogło być to, iż Figaro właśnie się dowiedział, że stracił

wielkie wydarzenie. Pierwszy raz odbyło się poza Nowym Jorkiem, więc pewnie się nie domyślił, a nikt nie zdążył mu jeszcze powiedzieć.

— Psiakrew — zaklął Figaro. — Już mieliśmy wysłać grupę poszukiwawczą. Właściwie to my jesteśmy tą grupą. Gdzieś ty się podziewał?

— Dzwonisz do mnie do pokoju dwadzieścia razy i pytasz, do kurwy nędzy, gdzie byłem?

— Nie. To znaczy, czemu tak długo? Kiedy przyjechaliśmy, było paru ludzi, a teraz nie ma nikogo. Oprócz Rocca. Czeka na ciebie.

Wiadomość, którą Fredo miał usłyszeć osobiście.

— O mojej rodzinie? — spytał Fredo.

Figaro pokręcił głową.

— Nic takiego. Powinieneś tam pójść i zobaczyć się z Roccem.

— Naprawdę nikogo tam nie ma? Może ktoś jednak jest? To znaczy, oprócz Rocca.

Capra, który naprawdę nazywał się Gaetano Paternostro — zbyt szumne nazwisko dla tego wieśniaka o twarzy dziecka — powstrzymał Figara, zanim ten odpowiedział i zapytał go, co Fredo

przed chwilą powiedział i po co ma iść na górę. Fredo mówił

płynnie, a ten zasrany golibroda mógł być burakiem z Ohio ze słomą w butach. Ten gość może i był niezły jako bukmacher i przysparzał niezłych dochodów, ale co poza tym Mike w nim widział, tego Fredo nie rozumiał.

— Zapytałem naszego przyjaciela golibrodę o epickiej posturze, ilu naszych przyjaciół zostało w sali bankietowej na górze — odparł

Fredo w sycylijskim dialekcie.

Capra parsknął śmiechem.

— *Non lo so. Cinque o forse sei.*

Fredo skinął głową. I tak wjedzie na górę. Po co jechał samochodem w nocy, skoro mógł przylecieć jutro samolotem, gdyby teraz nawet nie pokazał się na górze?

— Jak myślisz, dlaczego tak długo nie schodziłem? — spytał.

— Myślisz, kurwa, że pytałbym, gdybym wiedział? Daj spokój, Fredo. Dostaję robotę, to ją wykonuję. Z całym szacunkiem, ale *non rompermi icoglioni*, he?

Cała trójka weszła do baru. Kawa dla wszystkich.

— Nie robię sobie z was jaj — rzekł Fredo, unosząc brwi. —

Nie słyszeliście jej w tle? Naprawdę?

— Chyba sobie kpisz. — Taką samą wymówkę wstawiał rano.

— Francuzka, tancerka. Zapomniałem spytać, gdzie tańczy.

Wpadłem na nią w drodze na górę, słowo do słowa, wiecie, jak to jest. *Chefica*.

Figaro był łysy, o dziesięć lat starszy od Freda i pewnie nie wiedział. Jeśli nie liczyć dziwek. Pokręcił głową.

— Ty jebako, chcesz pobić jakiś rekord?

Ktoś wyłączył silnik, który wprawiał salę balową w ruch obrotowy. Powietrze było gęste od dymu z papierosów i woni rozlanego

alkoholu. Przy stole przykrytym zabrudzonym białym obrusem siedziało czterech mężczyzn z byłego *regime* Tessia i grało w domino. Dwóch z nich było braćmi DiMiceli; jeden miał syna (Fredo ich nie odróżnił), który tej nocy został zaprzysiężony. Dwóch pozostałych nie znał. Fredo nie znał się za dobrze na chłopakach z Bro

R o

ock

cly

o nu

L .

ampone leŜał rozwalony w szmaragdowym fotelu i mamrotał coŝ do siebie, wyglądajac przez okno. Abstrahujac od wystroju, Fredo poczuł się, jakby wszedł do jednej ze spelunek w Gowanus, których stali bywalcy zjawiają się z samego rana, biorą kawę obficie chrzczoną brandy w wyszczerbionym kubku 176

i albo siedzą w Ŝałosnym milczeniu, albo kłóćą się zajadle o piosenki lecące z szafy grającej, albo o to, czy ŝwiat schodzi na psy.

— Hej! — krzyknął jeden z ludzi DiMiceli. — ToŜ to nasz człowiek, zastępcza szefa.

Fredo czekał, aŜ ktoś bardziej sobie z niego zakpi. Nie prosił się o ten tytuł. Wiedział, Ŝe wszyscy uwaŜają go za mięczaka. Nie rozumieli, za co odpowiada i nie wiedzieli, dlaczego Michael wymyślił takie stanowisko. To, Ŝe nie zdąŜył dzisiaj na ceremonię, nie poprawiło jego notowań. Ale męŜczyźni siedzący przy stole tylko pokiwali głowami i mruknęli coŝ na powitanie.

Rocco skinął na Freda. Obok niego przy oknie stało puste metalowe krzeselko. Jakiŝ hałaŝliwie brzmiący zespól jazzowy na zaimprovizowanej scenie na dachu grał melodię ze słynnego musicalu o Murzynach. Na dachu roiło się od ludzi, choć nikogo nie było w basenie. Ustawiono tam kilkanaŝcie maszyn do gry, cztery stoliki do blackjacka i dwa do koŝci. Było teŜ kilka pełnych barków i bufet ŝniadaniowy.

— Co to, kurwa, jest? — zapytał Fredo, wskazujac palcem.

— Gdzie byleŝ?

— W Detroit, Los Angeles. Długa historia.

— JuŜ ją slyszalem. Gdzie się podziewales po powrocie do hotelu? A ja czekam tu jak jakiŝ... — Rocco potarł się po zmasakrowanym kolanie. — Czekam na ciebie. Tutaj.

Jeden z męŜczyzn grających w domino zachichotał. Fredo zerknął przez ramię. Ten, który chichotał, przesunął dlonią po łysinie drugiego, siedzącego nieruchomo i nie wygladał na rozbawionego.

— Ale powaŝnie — rzekł Fredo — co tam się dzieje?

— Siadaj. Proszę. — Rocco nigdy nie było dobry w gadaniu.

Z jego miny widać było, Ŝe jeszcze nie wymyślił, co ma powiedzieć i jak to zrobic.

Fredo usiadł.

— Czy chodzi o mamę? — wyjąkał.

— Nie. — Rocco pokręcił głową. — Był wypadek. Nasi przyjaciele. Powiedziałbym, że nie wygląda to dobrze.

Na byle jak skleconej scenie pani mer Las Vegas — była tancerka od Ziegfielda, fantastyczna stara dziwka, która zdaniem Freda wciąż zachowała swoje walory — poprawiła błyszczącą pomarańczową szarfę na ogromnych, niepraktycznych cyckach roześmianej

brunetki, której Hal Mitchell przyznał tytuł Miss Bomby Atomowej.

177

Najwyraźniej nie miała konkurencji. Z koroną było jeszcze trudniej.

Miss Bomby Atomowej uformowała włosy w ogromną masę przypominającą mgliście chmurę po eksplozji nuklearnej. Pani mer próbowała z przodu, ale to okazało się niemożliwe, ponieważ

wymagało wciśnięcia się w ogromne piersi, więc podeszła od tyłu, ale korona ciągle spadała. Pani mer zrezygnowała więc i wręczyła koronę laureatce. Miss Bomby Atomowej sama ją sobie nałożyła.

Nic jej nie zraszało, wyglądała na bardzo szczęśliwą młodą kobietę.

Jej kostium kąpielowy miał tak głęboki dekolt, że prawie odsłaniał

pępek. Puzonista dał sygnał kolegom muzykom. Miss Bomby Atomowej podeszła do mikrofonu i zaczęła śpiewać *Chwalcie Pana i podajcie amunicję*.

Stoliki do gier były zajęte, tak samo jak wszystkie automaty.

Wszędzie siedzieli ludzie na leśankach i przy stolikach piknikowych, pałaszując jajecznicę z papierowych talerzyków.

Fredo dotarł tutaj z całą świtą, nie opuszczając go nawet w jego własnym hotelu: z Figarem i Caprą oraz dwoma facetami z Nowego Jorku. Mieli mu towarzyszyć z powodu tego, co stało się w Cleveland. A Fredo wciąż o niczym nie wiedział.

Miss Bomby Atomowej podskakiwała i uśmiechała się z tak widoczną szczerością, że każdy rozsądny człowiek miałby ochotę jej przyłożyć albo złamać serce. Zaczęła śpiewać na melodię *Wsiądź do pociągu A. Zmienione słowa zaczynały się Zrzuć cie bombę A*.

Fredo był zwolennikiem wywabiania gołąbków z gołębnika jak najwcześniej i tak często, jak to możliwe, ale zobaczył dość.

Przechylił głowę w stronę wyjścia, a jego obstawa spojrzała nań, jakby był Jezusem Chrystusem

niosącym czekoladki.

Właśnie wtedy bez żadnego widocznego powodu wszystko ucichło. Zespół jazzowy zamilkł, szum rozmów skończył się jak nożem uciął, a słaby szmer samochodów na ulicy daleko w dole nagle znikł. Fredo podniósł głowę i zobaczył purchawkę białego dymu na północno-wschodnim nieboskłonie.

Nagle dźwięki wróciły.

I to miało być całe widowisko?

Na dachu ludzie usiedli i wrócili do swoich zajęć.

Przypominający zombi gracze utkwili spojrzenia w wirujących owocach.

Wyd

I aw

na a

g ł

l o

e

si

u ę

d ,

e ś

r e

z

e k

n r

i ó

e lo

g w

ora
ą p
c i
a ę
k
jan
ko
ś
zc
i
o je
grst
o je
md
ny
ej n
ą
r
zk
ę l
sa
is
ś z
cic

ez

ą

oc

śą

wo

i s

e o

tl b

o ą

n .

ej

suszarki odrzuciło głowę Freda w tył. Zasłonił oczy rękami.

178

Kilka sekund wcześniej, na płaskiej solnej nieszczęście sto kilometrów dalej, było sobie miasto nazwane Doomtwn — grupa zwyczajnych, lecz w różny sposób zbudowanych amerykańskich domów

(każdy inny), wypełnionych zapachem zwykłych amerykańskich posiłków (każdy inny) stygnących na stołach w jadalni, wokół

których stały ludzkie postaci ubrane rozmaicie w nowiutkie rzeczy od J.C. Penney. W środku i wokół Doomtwn, w różnych odległościach od piętnastometrowej wieży stanowiącej epicentrum miasteczka, znajdowało się kilkadziesiąt dziwnie spokojnych świń trzymany w osobnych kojcach. Dwustu amerykańskich żołnierzy, przyczajonych półtora kilometra od granic miasta w okopach, które własnoręcznie wykopali, obserwowało, jak z rozkazu rządu zdetonowano bombę mocy dwudziestu dziewięciu kiloton. W

pierwszej

sekundzie po wybuchu domy, manekiny, jedzenie i świnie znajdujące się najbliżej wieży zamieniły się w płomień, wiatr i pył.

Nieco dalej obracające się kamery filmowały płonące szczątki manekinów mężczyzn stojących przy kosiarkach na trawnikach i uśmiechniętych główek dzieci. Ogarnięte płomieniem świnie biegały we wszystkie strony i eksplodowały. Po upływie pół

sekundy to wszystko takŜe zamieniło się w pył. W następnym ułamku sekundy gorący podmuch gorszy niŜ dwadzieścia huraganów zrównał z ziemią większą część miasteczka. Őwir, który mógł

być wszystkim — piaskiem, szkłem, drobinami stali, drewna lub uranu, mączką kostną Őwiń zabitych tylko dlatego, Őe ich skóra powierzchownie przypomina skórę ludzi, tak bardzo pragnących zbadać, co z niej zostało — z naddźwiękową prędkością przeleciał

przez dania serwowane w Dniu Dziękczynienia, błyszczące samochod

O y

k ,

o p

p l

y a

s

s t

i i

ę k

o

z w

a ł y

a ch

ma ł o

y.j c ó

ś w

o ł n z

i

er p

z r

ea

w

z d

o z

st iaw

li y

m

Ŝy t

w y

c t

eon

m ie

p m

o

gr w

z

e f

b a

a j

nk

i,a

c

a h

l,

e

ka

w m

sz e

y rsy

c o

y b

p s

r e

z r

ew

Ŝ a

y c

li y

. jn

N e

a , rś

ac

zia

e n

. y z cegły, wszystko.

Większość świń znajdujących się dalej niż kilometr od wieŝy przeŝyła, lecz była tak poparzona, Ŝe ludzie zastrzelili je, zanim ktokolwiek wyciągnął licznik Geigera.

Hagenowie juŝ nigdy nie znajdą swojego artretycznego jamnika Garbanzo.

Główna scena wydarzeń, miasteczko Doomtwn, było oficjalnie tajne, a mimo to — poniewaŝ domy

zbudowane przez pewnego inwestora z Las Vegas oraz jedzenie przywiezione samolotem prosto z San Francisco przez hurtownika musiały skądś pocho-179

dzie — istniało jako coś więcej niż plotka, a mniej niż tajemnica poliszynela.

Dach Zamku na Piasku Hala Mitchella był tylko rozrywką dla znudzonych. Zanim Fredo Corleone zdołał zakryć oczy dłońmi, gorączka zelżała. Później opadł jakiś pył, zbyt drobny, by go zobaczyć i ledwie wyczuwalny. Został jednomyślnie zignorowany.

Ludzie prawie się nie poruszyli i grali dalej.

— To nie może być nic dobrego — stwierdził Fredo.

— Ten szajs tutaj? — zapytał fryzjer, wskazując pył unoszący się w powietrzu.

Młody pasterz kóz wysunął język, jakby łapał płatki śniegu.

— Komuchy chcą, abyśmy myśleli, że ten szajs ma jakieś znaczenie — powiedział fryzjer — ale to spisek. Chodzi im o to, żeby Stany zaprzestały testów i żeby Ruscy mogli nas dogonić.

Ale to nic, wierz mi. Pył. Mniej niż nic. I tyle.

— Nic — mruknął Fredo, strząsając z rękawów niewidzialny pył.

Dwa z ogromnych lustrzanych okien w sali balowej, ukryte za podmurówką kasyna, pękły. Starzy gracze w domino z klubu Patricka Henry'ego stali z otwartymi ustami. Fredo nawet nie podniósł głowy. Po co? Okna wpadły do środka. Każdy odłamek został wessany.

KSIĘGA III

Wrzesień-grudzień 1955

Rozdział 12

Śmierć Tony'ego Molinariego i Franka Falcone, którzy zginęli w chwili, gdy zanosilo się na trwały pokój, wywołała wstrząs w amerykańskim podziemiu. W innym kontekście wszyscy uznali-by katastrofę za wypadek: burza, bąble powietrzne nad jeziorem...

Sprawa zamknięta. Niewyjaśnione zniknięcie jedyne, który przeżył, Geralda O'Malleya, wywołało podejrzenia, podobnie jak jego zniekształcone słowa o sabotażu, skierowane do więźni w Cleveland.

Mimo to jego głos pozostał spokojny aż do chwili tuż

przed katastrofą, gdy krzyknął: *Sonofottuto*, co w raporcie Federalnego Zarządu Awiacji zostało przetłumaczone jako „Już po mnie”.

Dochodzenie nie wykazało wyraźnych śladów sabotażu. Przypuszczenie pilota zrzucono na karb jego braku doświadczenia. Katastrofę uznano za wypadek spowodowany błędem pilota.

Było czystym zbiegiem okoliczności, że ostatnim pogrzebem, na którym czterej zabici mężczyźni się spotkali, był pogrzeb Vita Corleone. Lecz mafia to twór, w którym od niejasnych, budzących spory początków na Sycylii w dziewiętnastym wieku po dziś dzień, każdy ludzki czyn, dobry lub zły, zamierzony bądź niefortunny, zrodzony z agresji lub walki o przetrwanie, z namiętności czy zimnej jak lód *ragione*, staje się elementem olbrzymiej sieci cienkich pajęczych nitek, w której każde drgnięcie czy ruch nie jest zbyt słabe, by mogło być odczute wszędzie. Dla Sycylijczyka, którego język ojczysty jako jedyny z zachodnich języków nie ma czasu przyszłego, przeszłość i teraźniejszość są jednym. Dla Sycylijczyka, którego krew znosiła sześć tysięcy lat inwazji i okupacji, przypadek czy zbieg okoliczności mają takie samo znaczenie jak 183

akt woli. Jednego nie sposób odróżnić od drugiego. Dla Sycylijczyka nic nie dzieje się poza kontekstem.

Ratownicy ze straży przybrzeżnej wrzucili „O'Malleya” na nosze i czym prędzej odwieźli do pobliskiego szpitala, a dyżurna pielęgniarka, zajrzawszy do wydanego w stanie Nevada prawa jazdy, tkwiącego w portfelu wśród grubego pliku banknotów, zapisała go o godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia pięć jako

„Geralda O'Malleya, mężczyznę rasy białej, wiek 38 lat”.

Nastawiono jego złamaną nogę i umieszczono w szynie, obandażowano złamane ściana, inne rany zaszyto. Wygląd poszkodowanego

nie

sugerował

poważnych

obrażeń

wewnętrznych, lecz trzeba było przeprowadzić badania. Pacjent nie odzyskał przytomności, ale prognoza długoterminowa była bardzo pomyślna. Jego stan, określony początkowo jako krytyczny, został

zmieniony w karcie na poważny. Jeśli wierzyć karcie, lekarze skończyli się nim zajmować o czwartej osiemnastej rano.

Ostatniego zapisu dokonano o czwartej trzydziestej, choć wydaje się,

że

został

on

sfalszowany.

Zapisano

tylko

czas i jakieś nieczytelne inicjały, których nikt w szpitalu nie umiał

ziden

D t

o y

ftik

e o

g w

o ać

c .

z

asu niejasności otaczające katastrofę hydroplanu i śmierć czterech ludzi — a w każdym razie ich część — albo same wypłynęły na światło dzienne, albo zostały tam wyniesione ludzkimi rękami.

Zwłok jeszcze nie zidentyfikowano, bo gdyby to się stało, na miejsce zwałyby się tłum oszalałych dziennikarzy i funkcjonariuszy aparatu sprawiedliwości. Plan lotu został ponoć dostarczony w Detroit, lecz nikt nie mógł go znaleźć. Samolot wystartował z Detroit rano, więc w ciągu dwunastu godzin musiał gdzieś wylądować, lecz kiedy pilot nawiązał kontakt z wieżą lotniska Burke Lakefront, podawał, że leci prosto z Detroit. W trakcie rozmowy

wieża

próbowała uzyskać wyjaśnienie, ale prawdopodobnie z powodu burzy słychać było tylko bardzo głośne trzaski. Kiedy stało się oczywiste, że pilot ma kłopoty, kontrolerzy całą uwagę skupili na spro

Sw

iead

dzz

i e

b n

a i

u

f s

iram

m o

y, l

o t

k u

t

ó b

r e

e z

j p i

l e

o c

g z

o n

i e

w n

i a

d

n z

i i

a e

ł m

o ię

n .

a boku hydroplanu,

mieściła się koło Buffalo w stanie Nowy Jork. Półprzytomny z rozespania prezes firmy w pierwszej chwili oznajmił śledczemu, że

pomylił numery i że jego firma nie posiada takiego samolotu, lecz kiedy śledczy zapytał, czy jest tego pewny, mężczyzna zawiesił

głos, po czym rzekł: „Taak, to nasz samolot” i odłożył słuchawkę.

184

Kiedy policja stanowa dotarła do jego domu nad jeziorem, aby zabrać go na przesłuchanie, czekał na funkcjonariuszy w salonie, ogolony, wykąpany i ubrany w garnitur. Towarzyszył mu adwokat, który kiedyś był prokuratorem generalnym stanu. W imieniu klienta adwokat poinformował funkcjonariuszy, że klient usłyszał

wzmiankowany samolot na tydzień swojemu przyjacielowi Joemu Zaluchiemu, dwukrotnemu laureatowi prestiżowej nagrody Filantropa

Roku Stanu Michigan i od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku członkowi rady organizacji „Detroit, Hooray!”.

Aeroplan miał być wykorzystany do przewozu gości na wspaniały ślub córki przyjaciela w Detroit, na którym klient adwokata nie mógł być obecny z powodu wcześniejszych zobowiązań. Adwokat dodał, że klient nie wie nic o pasażerach bądź pasażerkach samolotu ani nie zna szczegółów lotu oprócz tych, które są już znane publicznie. Zapytał, czy policjanci mają nakaz rewizji lub aresztowania, a następnie podziękował za fatywę i zostawienie klien

A ta

d

wokat Josepha Zaluchiego stwierdził, że pan Zaluchi nie wie w

n

i s

c p

ok

o oj

c u

z,

ł b

o y

w

i m

e ó

kug

, ł z

ka

t c

ó z

r ą

y ć o

r p

ozła

b k

ił i w

s ać

moflia

otr y t

p e

o jz s

a t

ra

t s

y zn

m, e

j t

ŝ r

e a

ge

b d

yłi i. to

licencjonowany

pilot,

pracujący

dla

szanowanej

firmy

przewozowej

z

Nowego

Jorku.

Został

wynajęty

telefonicznie

przez

współpracownika pana Zaluchiego. Pan Zaluchi wyraził głębokie wsp

„ ół

G c

e z

r u

alc

di e

O'Malley" zniknął ze szpitala między zapisem w karcie d

zl a

g o

o f

dia

zir

n i

y i

ch

z r

wo

a d

rtz

eijn

osiemnaście i mniej więcej piątą, kiedy do sali wszedł salowy i zastał puste łóżko oraz rurki zwisające z urządzeń podłączonych do rąk pacjenta. Zniknął też wózek przyczepiony do złamanej nogi, a także osobiste rzeczy mężczyzny.

Nick Geraci był kilka razy aresztowany (lecz nigdy nie został skazany), więc jego odciski palców znajdowały się w archiwum.

Ale kiedy przywieziono go do szpitala, nie było żadnego powodu, by pobierać jego odciski. Wszystko w sali zostało dokładnie wytarte.

Każda z pielęgniarek przydzielonych do doglądania mężczyzny przyjętego do szpitala jako Gerald O'Malley twierdziła, że jest pewna, iż zadanie zlecono drugiej. Przełożona pielęgniarek przyjęła na siebie całą odpowiedzialność za błąd i w niesławie zrezygnowała ze stanowiska. Po jakimś czasie przeprowadziła się na Florydę i przyjęła gorzej płatną pracę w firmie oferującej domową opiekę pielęgniarską. Wiele lat później zmarła spokojnie w czasie snu.

185

Kiedy odczytano jej testament, nagle wzbogacone dzieci zdumiały się zapobiegliwością Amerykanów wychowanych w czasach wielkiego kryzysu.

Kilka rządowych agencji oraz niezliczona rzesza reporterów miesiącami próbowali rozwiązać tajemnicę zaginionego pilota.

Nikommu się to nie udało. Członkowie Senatu, korzystając z publicznego

zainteresowania

sprawą,

zaczęli

debatować

o

zorganizowaniu przesłuchań w związku z tym i innymi wydarzeniami.

Zgroźenie działalnością przestępczych syndykatów w Ameryce uznano za rosnące, pojawiły się przypuszczenia, że może się ono wiązać z działalnością komunistyczną. Mówiąc o dochodzeniu, używano określeń w rodzaju „od dawna spóźnione”, „być może nieuniknione”, „coś, co jesteśmy winni naszym kobietom i dzie

Perio

a m

wo, aj n

a a

z w

dy e

t n

ni a

e s

ze

b m

ył u

o sty

fałło

s w

z i

o Ŝ

w y

a c

n i

ea

, "

.

lecz metryka urodzenia

pochodząca ze stanu Nevada należała do niemowlęcia pochowanego na cmentarzu w New Hampshire.

Informacje, które agenci federalni mogli przeczytać na licencji pilota nazwiskiem O'Malley, doprowadziły ich do tego samego cmentarza.

(Tylko Bóg i Tom Hagen znali resztę tej historii. Cmentarz znajdował się obok szosy, która wiele kilometrów dalej na północ stawała się główną arterią miasta, w którym wychowała się Kay Adams Corleone. Kay zostawiła Michaela wkrótce po tym, jak zabił męża siostry i okłamał Sonę, kiedy jej o tym opowiadał.

Zabrała dzieci i wyprowadziła się do rodziców. Michael zadzwonił

tylko raz. Minął tydzień. Pewnego ranka Hagen podjechał

limuzyną. Poszli na długi spacer po lesie. Mike przekazał jej, że może

mieć wszystko, czego zapagnie i robić, co chce, jeśli tylko będzie dobrze opiekowała się dziećmi. Powiedział też, że ją kocha i że Kay jest jego donem — to ostatnie należało uznać za charakterystyczny znaczący szczegół. Hagen powiedział to wszystko po ujawnieniu Kay niektórych rzeczy, które zrobił Mike. Było to śmiałe posunięcie, które mogło stać się wyrokiem śmierci dla Hagen.

Ale

poskutkowało: Kay wróciła do domu. W drodze powrotnej do Nowego Jorku zatrzymał się w pierwszej publicznej bibliotece, przekartkował stare numery miejscowej gazety i dowiedział się o smutnej historii Geralda O'Malleya, który zapadł na dur brzuszny i w wieku jedenastu miesięcy został zabrany przez Pana.

H

la

8g

6e n

zostawił limuzynę na uboczu i udał się do sądu. Był niepozornie wyglądającym mężczyzną, który umiał zachować się w bibliotece czy w sądzie, tak że ludzie zapominali o nim natychmiast, gdy wyszedł. W czasie podróży zebrał kopie metryk urodzenia z całego kraju i nigdy nie był dwa razy w tym samym sądzie. Miał ich plik tak gruby jak katalog Searsa. Kiedy Geraci poprosił o metrykę z irlandzkim nazwiskiem, dokument z nazwiskiem biednego O'Malleya znalazł się na samej górze).

Gdy potwierdzono tożsamość ofiar, a następnie podano do publicznej wiadomości, każdy, kto wiedział lub tylko podejrzewał, kim jest Vincent Forlenza i jaka sytuacja panowała na Wyspie Grzechotników, natychmiast założył, że samolot był tam przez całe popołudnie — nikt natomiast nie miał pojęcia o tym, iż pilot był chrześniakiem Forlenzy. Władze, rzecz jasna, nie mogły niczego

udowodnić. Forlenza, przesłuchiwany dwa dni po wypadku,

w obecności wybitnego adwokata, zastanawiał się, czy zacytować prawa nie oglądają za duŜo telewizji. „Gangsterzy?”. Na jego ukochanej spokojnej wyspie? Nie chciałby o tym więcej słyszeć.

Tak czy inaczej, cały weekend spędził w domu, z wyjątkiem niedzielnego popołudnia, kiedy ci tak zwani gangsterzy rzekomo wylądowali na Wyspie Grzechotników. Po co? Őeby odbyć spotkanie na szczycie? Konferencję? NiewaŜne. Forlenza stwierdził, Őe tego dnia był gościem na pikniku z okazji Őwięta Pracy, sponsorowanym przez jednego z miejscowych działaczy związku.

Siedział w wielkim namiocie, popijał chłodne piwo warzone przez naleŜący do związków browar i robił wszystko, Őeby ulewa nie zepsuła mu obchodów waŜnego narodowego Őwięta. Wersję tę moŜe potwierdzić dowolna liczba działaczy związku kierowców z Clev

R e

y la

s n

o d

pi .s sporządzony na podstawie rozmów z zespołem ratowników i personelem medycznym nie wydawał się obiecujący.

Wszyscy widzieli obraŜenia męŜczyzny, lecz nie jego samego.

Bardziej koncentrowali się na oznakach Őycia pacjenta niŜ na wielkości jego uszu, kształcie oczu (które były zresztą zamknięte) czy grzbiecie jego połamane go nosa. A ten, ponownie złamany, był zbyt czerwony i opuchnięty, by moŜna było wnioskować o jego normalnym wyglądzie.

Nikt spoza organizacji Corleone i Forlenzy nie odgadłby, Őe Gerald O'Malley i Nick Geraci to jedna i ta sama osoba. Nikt spoza tych rodzin nie wiedział, kim jest Geraci i czym się zajmuje.

Siedem lat na ringu, mimo Őe walki były ustawione, zmieniło mu twarz, tak iŜ nawet koledzy z dzieciństwa raczej by go nie rozpo-187

znali. Walczył pod tyloma fałszywymi nazwiskami, Őe sam ich nie pamiętał. Bokserzy kaŜdego dnia stają się mięśniakami, a kaŜdy mięśniak, który ma odrobinę oleju w głowie, moŜe zamienić się w cyngla. Nieczęsto jednak zamieniają się w szefów dochodowej działalności, zwłaszcza takich, którym brakuje zaliczenia kilku kursów do tytułu magistra prawa. W Nowym Jorku Geraci był

znany jako człowiek pracujący pod skrzydłami Sally'ego Tessia, lecz zajmował się tyloma rzeczami, Őe chyba nikt nie zdołałby złoŜyć tych wszystkich informacji w całość. Im bardziej wyjątkowy ktoś się staje, tym bardziej skrajne musi być jego miejsce w Őwiecie.

Jest prawdopodobne, Őe będzie znany albo przez wszystkich, albo przez nikogo. Będzie się

wyrósniął, mimo że większość ludzi nigdy go nie zobaczy, albo zniknie, nawet jeśli siedzi koło ciebie przy stoliku w barze w Tucson, nuci refren nowej piosenki Johnny'ego Fontane albo stuka miedziakiem w pulpit, czekając w kolejce do budki telefonicznej.

żyjemy w szalonym zwariowanym świecie. Nick Geraci, albo to, co z niego zostało, był gdzieś tam. Prawie nikt nie wiedział

gdzie. Prawie nikt go nie szukał.

Richard „Małpiszon” Aspromonte, który tylko raz został

zapytany przez niewidomą kobietę, skąd wziął się jego przydomek, został pochowany w Los Angeles. Po pogrzebie urządzono przyjęcie w barze Gussiego Cicera. Kiedy nadszedł czas wznoszenia

toastów, wszyscy czterej bracia Aspromonte spojrzeli na Jackiego Ping-Ponga, który prawie nie znał Małpiszona. Ten zaś przemówił

elocwentnie i wzruszająco, a jego słowa pocieszyły pogrążoną w żałobie matkę. Rodzice Lefty'ego Mancusa w San Francisco starali się, żeby pogrzeb był skromny. Jediną znaną osobą, która przyszła, był mało znany brat Joego DiMaggio, szkolny kolega Lefty'ego. Jedinym członkiem rodziny Molinarich był młodszy brat Tony'ego, Nicodemo. Z szacunku nawet jego obstawa trzymała się n

Z a

w u

y b

k o

l c

e z

du,

o t

n u

z S

j p

a r

w z

i e

a d

s in

ę i e

nw

a ie

p lk

o ą

gr g

z r

e u

b p

iek

ą

t

a g

kl

i i

cn

hi a

l r

uz

dy

z ii c

t i

y e

l k

k a

o w

j s

e k

śl ic

h

b .

y li

bliskimi przyjaciółmi. Ale to nie były zwykłe czasy. Dlatego nawet poza niewielki krąg wtajemniczonych i po całym podziemnym świecie rozeszła się wieść, że zgodnie z przewidywaniami Jackie Ping-Pong i Nicodemo „Butchie” Molinari w pokojowy ponoć sposób przejęli kontrolę nad jego organizacją.

188

Szefowie Aspromontego i Mancusa, Frank Falcone i Tony Molinari, zostali pochowani nazajutrz. Mieli wielu wspólnych przyjaciół, lecz nikt nie mógł wziąć udziału w obu pogrzebach.

Trzeba było dokonać wyboru, a te wybory miały być uważnie obserwowane.

Paląc papierosy, Michael Corleone spacerował z Tomem Hagenem w tę i z powrotem drogą wzdłuż nieukończonych domów przy

ślepej uliczce, gdzie mieszkał Tom. Al Neri siedział z dwoma innymi mężczyzmi w samochodzie zaparkowanym tak, że blokował całą ulicę. Tom palił cygaro. Michael powiedział mu, że ma

zacząć gromadzić „czystą” gotówkę, na wypadek gdyby trzeba było zapłacić okup. Michael nie chciał wiedzieć dokładnie, skąd będą pochodzić te pieniądze. Poza tym chciał ochronić Hagen przed tą sprawą. Tom zatrzymał się przy końcu uliczki. Na jej początku jego trzynastoletni syn, Andrew, wybiegł z domu z piłką pod pachą. Zobaczył samochód Neriego, opuścił głowę w geście dziecięcej rezygnacji i wszedł z powrotem do domu. Hagen spojrzał

w jakiś punkt na horyzoncie przypominającym zęby piły i bardzo długo milczał. Michael zapalił

kolejnego papierosa i powiedział, „Se tak właśnie musi być. „Ale ty nie chciałbyś zapłacić okupu, prawda?“, spytał Hagen. Michael spojrział na niego z widocznym rozczarowaniem i tylko wzruszył ramionami. Hagen milczał jeszcze przez chwilę, a później cisnął do połowy wypalone cygaro na biały cement i rzekł: „Ochronisz mnie” tonem, który nie wyrażał ani prośb

My

ic,

ha

an

elin

wie

ed

zo

ww

ałi

e

drz

oan

sia

w.

ojB

egy

ołt

dos

mt

uw

ie

R r

o d

c z

c e

a,n

ie

C.l e M

m i

e c

nh

z a

ę e

li s

Fk

r i

en

dąał.

gło

W w

sz ą

y .s N

cyi ct rw

z i

e ę

j ce

w j

b n

ieie

g

l p

i o

p w

o ie

s d

c z

h i

o e

d li

a .

c h na górę i usiedli przed jasnym

biurkiem na plastikowych pomarańczowych krzesłach. Michael zapytał prosto z mostu, czy któryś z nich wie, co się stało z Geracim.

KaŜdy z taką samą gwałtownością odpowiedział, Œe nie. „To nie ty?“, spytał Rocco. Michael pokręcił głową i wszyscy wydawali się zaskoczeni. Wypadek był wystarczającym złem, lecz w końcu zainteresowani dowiedzą się, Œe pilotem był Geraci. „I wtedy gównie spadnie na wentylator“, rzekł Clemenza.

Michael skinął głową. Jest tylko jeden sposób, Œeby naprawić szkody, powiedział. Trzeba zwołać zebranie wszystkich rodzin, pierwsze od czasu tego, któremu przewodniczył jego ojciec po śmierci Sonny'ego. Przyznać, Œe to było głupie, iść na mecz bokserski, nawet jeśli Falcone postawił na niego duŜo forsy i nacis-189

kał na Michaela, Œeby pójść. MoŜna naprawić szkody, wszyscy donowie mogą dać słowo, Œe sprawa jest zakończona. Byłoby to prawdziwe błogosławieństwo, bo od tego tylko krok do

formalnego ogłoszenia pokoju. Wszyscy by na tym skorzystali. Takie spotkanie oznaczałoby, że dojdzie do głosowania kandydatury Russa do komisji, ale w tej chwili nawet to nie byłoby zbyt wysoką ceną.

Prędzej czy później i tak jest to nieuniknione.

— Ale w tej chwili stoimy przed innym problemem — rzekł

Michael. — Cokolwiek się stało, zatuszowanie sprawy, porwanie, może nawet z udziałem władz, uniemożliwia zorganizowanie takiego szczytu.

Clemenza parsknął i powiedział, że coś mu śmierdzi w Cleveland. Michael przechylił głowę.

— Widziałem Hamleta czy jak mu tam. To sławne przedstawienie. Nie takie złe, jak się przebrnie początek. —

Spojrzał

na

Freda

— ,

a

C t

oe

?n

spytał:

Clemenza wzruszył ramionami i zapytał Mike'a, czy uważa, że ludzie Clemenzy dokonali sabotażu w samolocie, czy może próbowali zachować w tajemnicy tożsamość Geraciego, żeby ludzie nie pomyśleli, iż dokonali sabotażu. Bo najlepszym wyjściem z tego bajzlu byłoby wskazanie, że sydz z pewnością nie próbowałby doprowadzić

do

katastrofy

samolotu

sterowanego

przez

chrześniaka, bo to otworzyłoby kolejną beczkę brudów. MoŜe to była
nieudana, podjęta przez Forlenzê próba ochrony chrześniaka? MoŜe nawe

N t

a pr

d z

o e

l d

e n

pa

óm

ł i

gł?

uchy teść Michaela włączył telewizor na cały regulator.

Mały

Anthony

Corleone

piskliwym

falsetem

podśpiewywał motyw przewodni kowbojskiego filmu.

— Jezu, co za *giambott* —jęknął Fredo. — Jest tyle moŜliwości, Őe od myślenia rozboleł mnie łeb.

Michael skinął powoli głowã; był to teatralny gest, przerwa na zastanowienie, a nie sygnał, Őe zgadza się z bratem. Konieczna przerwa. Niedawno wyniósł Freda na stanowisko *sottocapo*, więc nie mógł się z nim teraz otwarcie nie zgodzić, nawet w obecności ludzi tak zaufanych, jak Clemenza i Lampone.

— To jednak nie przybliŜa nas do odpowiedzi na pytanie, co się stało z Geracim — zauwaŜył Michael.

Pochylił się nad nowoczesnym biurkiem. Nadszedł czas, by przerwać spekulacje i zabrać się do rzeczy.

190

Nazajutrz Clemenza miał wrócić do Nowego Jorku z rozkazem podjęcia działalności, tak jakby pokój był pewny i nigdy nie doszło do katastrofy samolotu. Jego ludzie mieli postępować dokładnie tak samo. Następnego dnia Rocco, który znał ludzi Geraciego, teŜ miał pojechać do Nowego Jorku, zostać tam i nadzorować działalność aŜ do chwili, gdy otrzyma dalsze rozkazy.

Fredo, jako zastępca szefa, tymczasowo będzie dowodził ludźmi Rocca w Nevadzie.

Rodzina Corleone od dawna trzymała z Tonym Molinarim, który zapewnił ochronę Fredowi po zamachu na ojca. Jego współpraca umoŜliwiła teŜ klanowi Corleone otwarcie działalności w Las Vegas, a później równieŜ w Tahoe i Reno. Ani Vito, ani Michael nigdy nie uwaŜali Franka Falcone za powaŜnego człowieka. Œaden z nich nie sądził, by jego krzykliwa drugorzędna działalność miała potencjał pozwalający Falcone wyjść spod fartuszka Chicago.

Michael mógł postanowić, Œe nie wyśle przedstawicieli na Œaden z dwóch pogrzebów. Wielu spodziewało się, Œe taką właśnie podejmie decyzję i z pozoru wydawało się, Œe będzie ona ostroŒniejsza i bardziej przezorna. Ale to sã tylko słowa, które łatwo

moŜna zastąpić innymi: buta, strach, słabość. MęŒczyzna to jego czyny, prywatne i publiczne, zarówno wtedy, kiedy jest obse

F r

r w

e o

d w

, an

kt y

ó ,r j

y a

k

z

i

c w

ał te

ej d

y

o ,r g

g d

a y

ni j

z e

a s

c t

j is

a

bm

yl. najbliŹej Tony'ego, został

oddelegowany do San Francisco. Michael z Tommym Nerim i tymi samymi dwoma, którzy kryli się w lesie nad jeziorem Tahoe —

gdy Michael wylądował z Kay na jeziorze — pojechał do Chicago, miasta, w którym urodził się Frank Falcone, gdzie zdobywał ostrogi i gdzie miały być złoŹone jego kości, a dokładnie to, co z nich zostało. Ci, którzy znali Vita Corleone, rozpoznali logikę w decyzji Michaela: Trzymaj się blisko przyjaciół, mawiał wielki don, a wrogów jeszcze bliŹej.

Ceremonię odprawiono w małym białym drewnianym kościółku w zachodniej części miasta, we włoskiej dzielnicy zwanej Patch, gdzie Falcone się wychował i gdzie jego rodzice prowadzili kiedyś sklepik na rogu ulicy. Było gorąco, jak na Chicago we wrzeŹniu.

Miejscowa policja wyłączyła ruch na dwóch przecznicach po obu stronach. Niektóre osobistości — wicegubernator Kalifornii, mistrz Źwiata w boksie wagi cięŹkiej i kilka gwiazd filmowych, międy 191

innymi Johnny Fontane — zostały dowiezione aŹ do schodów pod eskortą motocyklową. Inni, międy

innymi Michael Corleone, przybyli wcześniej i zajęli miejsca bez takiej ostentacji. Ulica przed kościołem była zatłoczona. Początki Franka Falcone przeszły do legendy, i podczas gdy Szałobnicy w środku milczeli z szacunkiem, w szemrzącym tłumie na ulicy wielu opowiadało historię

zmarłego. Kiedy Frank miał piętnaście lat, jego ojciec i starsza siostra zostali zabici w napadzie na sklep. Policja nie przyłożyła się

do

śledztwa.

„Makaroniarze

zabili

makaroniarzy

w

makaroniarskiej dzielnicy", skwitował ze śmiechem detektyw.

Usłyszał

to

Frank, a co gorsza, tak i jego matka. Chłopiec poprzysiągł zemstę.

Nie musiał czekać długo. Jego namiętne pragnienie zemsty sprawiło, że został przyjęty przez Al Capone. Zwłoki złodzieja znaleziono na schodach posterunku policji. Według legendy mężczyzna

został pchnięty nożem sześćdziesiąt cztery razy (ojciec Franka miał czterdzieści pięć lat, a siostra dziewiętnaście). Detektyw i jego partner pojechali na ryby do Wisconsin Dells i nigdy więcej ich nie widziano. Przez jakiś czas Frank prowadził sklep z matką, lecz wspomnienia okazały się zbyt bolesne. Niespodziewanie pojawił

się kupiec znikąd (a właściwie z Trapani) i zapłacił uczciwą cenę.

Za pieniądze ze sprzedaży sklepiku i domu matka Franka zamieszkała obok brata, a Frank znalazł pracę u pana Capone.

Kiedy

pan

Capone wpadł w tarapaty, Frank poszukał innych możliwości w Los Angeles. Z początku udawało mu się pozostawać w dobrych stosunkach ze wszystkimi, bo nieźle sobie radził i spłacał tych, dzięki którym osiągnął to, co osiągnął. Ci ludzie mieli dość własnych problemów i nie chcieli martwić się o

Zachód, który miał należeć do Chicago, a Falcone był ich człowiekiem i na zawsze miał nim pozostać. Trudno powiedzieć, kiedy to się stało, lecz

D w up

de

zw

ien

s y

t m

u

k m

ono

n m

y e

c n

h c

pie

ol i w

cj y

a d

n a

t w

ó a

w ł(o

w s

s i

zę,

y

s Ŝ

t e

ki eF

a

k l

oco

ni n

e e

mz

i a

a w

ły s

z

o e

k utlam

ry

b

zy

eł , ja

w k

z b

gl y

ę

do

ur ga

n n

a iz

na

i c

e ja

us tn

a a

j l

ą e

c Ŝ

e a

ła

b

ł d

y o

s

k n

i ie

flg

eo

s .

z N
y) i
g
t d
o y
r
o ni
w e
a
ł z
o a
b
d ra
oł
g z
ę e
s
p o
r b
zeą
z
m
tł a
u tk

m i., Pm

r i

o m

ce o

s

jaŃ

e

p o z

gb

r u

z d

e o

b w

o a

w ł

a j

pe

oj

s n

u a

w w

a ł e

a t

s d

i o

ę m

w w

str oH

n o

ę ll

cyw

meo

no

t d

a

rz H

a illS

Mt

z

Cb

aa

r se

m n

ele

. m

i

W iw

el s

ez

y

s s

a tk

m im

oc .

h odów miało znaczki polityków i sędziów.

Tysiące ludzi podążało za nimi pieszo. Procesja przeszła obok miejsca spoczynku gnijących, zżartych syfilisem szczątków Ala Capone, który zmarł szesnaście lat po tym, jak zabił go urząd 192

skarbowy, a na którego pogrzebie zjawił się ułamek tłumu towarzyszącego ostatniej podróży Falcone. Vito Corleone przysłał

wtedy

tylko

M k

a w

uz ia

ol tey

u.

m Falcone zbudowano z czarnego granitu i zwieńczono posągami anioła z sokołem przywiązany do prawego ramienia.

Sokół zrywał się do lotu, a jego szeroko rozpostarte skrzydła zapewniały cień kilku spoconym uczestnikom pogrzebu. Ojciec i siostra Falcone nie zostali tam pochowani, lecz ich nazwiska znalazły się na dwóch mosiężnych tabliczkach na drzwiach.

Matka Falcone, jego Sona i dzieci siedziały koło trumny. W

pierwszym rzędzie był jeszcze tylko jeden człowiek: Louie Russo w ogromnych okularach. Reszta najbliższej rodziny Falcone siedziała w drugim rzędzie razem z Jackiem Ping-Pongiem i Johnnym

Fontane, który został wymieniony jako honorowy Szałobnik niosący trum

P n
o ę
z .
o J
s o
t h
a ł n
y ny
m p
c ła
z tk
e a
r ł
d j
z a
i k
e
s k
t o
u bie
o ła.
m

iu honorowym Śałownikom —

wśród których byli politycy, kapitanowie policji, sędziowie, biznesmeni, sportowcy i artyści estradowi, nie było natomiast nikogo

z Chicago ani z żadnej innej organizacji — tak się wskazało miejsca blisk

Z o

p p

e ie

w r

nw

o s

ś z

c e

i g

ą o

b r

y z

li ę

d

tau

c.

y, którzy obserwowali Michaela Corleone,

lecz w tych cyrkowych okolicznościach nie było ich wielu. Nie był

sławny, a na pewno nie tak sławny jak Fontane, mistrz świata wagi ciężkiej, wicegubernator Kalifornii czy nawet filantrop i były ambasador w Kanadzie M. Corbett Shea (szósty rząd, obok Mae West). Michael Corleone nie był celem obiektywów aparatów fotograficznych i tylko

garstka funkcjonariuszy

wymiaru

sprawiedliwości wiedziała o nim więcej od zwykłych ludzi, czyli niewiele.

Był kiedyś bohaterem wojennym, lecz to można powiedzieć o wielu żołnierzach. Jego nazwisko pojawiło się w gazetach w czasie wiosennych wydarzeń w Nowym Jorku, ale zdjęcia były niewyraźne i zrobione ze znacznej odległości, a publiczna pamięć jest

krótsza od pamięci starego psa. W świecie Michaela Corleone znali go wszyscy, lecz wielu znało tylko jego sławę i nie powiązało-by nazwiska z twarzą. On sam znał dobrze kilku obecnych, lecz do nich nie podszedł. Wystarczyły posępne skinienia głową. Fontane sprawiał nawet wrażenie, że w ogóle go nie zauważył. Obserwował

ceremonię w milczeniu. Później stał cierpliwie w kolejce, by złożyć kondolencje wdowie po Falcone i jego matce. Były to jedyne słowa, jakie wypowiedział publicznie tego dnia. Następnie zniknął

93

na tylnym siedzeniu skromnego czarnego dodge'a, którym przyjechał.

W duszy Michael Corleone po raz pierwszy zapłakał z żalu po zmarłym ojcu.

Procesja na pogrzebie dona Molinariego snuła się przez mgłę —

szereg ponad stu samochodów, wijący się na południe San Francisco i dalej. Frederico Corleone jechał w czwartym samochodzie za karawanem, czarno-białym cadillakiem, który Tony Molinari lubił

osobiście

prowadzić.

Fredo

przyjechał

sam.

Powiedział

Michaelowi, że gdyby zabrał ze sobą Caprę i Figara, wyglądałoby to

na

brak

szacunku dla klanu Molinarich, który przez tyle lat zapewniał mu ochronę, a co gorsza, sprawiłoby wrażenie, że Corleone mają się czego bać w San Francisco. Był zszokowany, gdy brat się zgodził.

Kierowcą był *soldato* Molinariego. Fredo próbował sobie przypomnieć jego imię. Jechał z żoną

Dina, młodszego brata Ton

Ty

o'e

g

b o

y ła najdłuŜsza jazda na cmentarz, jaką Fredo pamiętał, i

a j

e

pił d

a w

cz i em

dzia

e c

c ó

i rik

a

j m

eg i

o. niezręczne próby ich uspokajania czyniły ją jeszcze dłuŜszą. Okazał się na tyle przewidujący, by zabrać dwie chusteczki do nosa, jedwabne, z wyhaftowanymi monogramami.

KrąŜyły od jednej dziewczynki do drugiej, aŜ któraś smarknęła tak mocno, Ŝe zaczęła jej lecieć krew i Fredo musiał uŜyc obu do tamowania krwotoku.

— Gdzie to właściwie jest? — spytał Fredo, wyciągając karteczkę modlitewną z nazwą „Cmentarz włoski”.

— W Colmie — odparł szofer. — Wszystkie są w Colmie.

— Jakie wszystkie? Gdzie, do cięŜkiej... — Fredo zreflektował

się i po chwili dokończył: — Gdzie jest Colma?

— Cmentarze. W San Francisco są nielegalne. Trzeba jechać do Colmy, już prawie jesteśmy. W czasach gorączki złota chowało się swoich tam, gdzie padli. W ogrodzie, na podwórzu, w zaułku, wszędzie. Były cmentarze, głównie dla bogatych. Ale ciała przeniesiono do Colmy. Musieli tak zrobić. Moja *nonna* wciąż gada o tym, że w czasie trzęsień ziemi trupy wyskakiwały z ziemi w całym mieście...

— Dość — rzekła po włosku Sona Dina. — Będziesz gadał, kiedy kurczaki pójną spać. — Oznaczało to: zamknij się. Córki chyba nie rozumiały po włosku.

194

Kierowca już się nie odezwał.

Fredo uznał, że takich rzeczy nie opowiada się dzieciom, lecz obie dziewczynki przestały płakać i wyglądały na zaciekawione.

Zabudowania za oknami samochodu skończyły się, ustępując miejsca pofałdowanemu terenowi pokrytemu nagrobkami, pomnikami, krzyżami wśród palm — twarde, nieubłagane miasto umarłych. Z jakiegoś powodu Fredo przypomniał sobie słowa Sonny'ego, gdy ten skazywał go na rodzinną banicję: Las Vegas to miasto przyszłości. Nie, Sonny. To jest miasto przeszłości: Colma.

Miasto przyszłości, miasto umarłych. Umarłych jak Sonny. Fredo poczuł, że narasta w nim nerwowy szaleńczy śmiech, który musiał

stłumić.

Włoski cmentarz ciągnął się na półtora kilometra po obu stronach drogi. Procesja wjechała na drogę od południa obok pomnika z tuzinem wystających zielonych metalowych dłoni trzymających długi czarny łańcuch.

Fredo potrząsnął ze zdumienia głową. To największy przekręt, jaki widziałem. Oczywiście, że jest tu cmentarz tylko dla Włochów.

Fredo gotów był się założyć, że w czasach, gdy można było sadzić nieboszczyków pod różami, to miejsce zostało po cichu przez Włochów wykupione. Ten kawałek ziemi wyglądał jak Sycylia; biedni rolnicy sadzili winogrona i oliwki, ledwie wiążąc koniec z końcem, aż pojawił się ktoś, kto miał pomysł na lepszą uprawę.

Wystarczyło namówić pismaków, żeby opublikowali kilka artykułów z łzawymi wynurzeniami lekarzy o zagrożeniu dla zdrowia,

uzyskać rozporządzenie władz i gotowe! Płacą ci dwa razy za pochowanie nieboszczyków, którzy byli chowani w ciągu stu lat.

Raz płacą za wykopanie i przeniesienie, a drugi raz za miejsce pochówku w Colmie. Dajesz

zatrudnienie stu włoskim kamieniarzom, którzy od tej pory są ci winni przysługę. I każdemu, kto naprawdę potrzebuje roboty i umie trzymać szpadel w ręku.

Potem dla równego rachunku kupujesz ziemię w San Francisco, gdzie znajdowały się cmentarze — pierwszorzędny teren, który dostajesz za pół darmo, bo kiedyś leżało tam mnóstwo trupów. Ale to jest Ameryka. Zero historii, zero pamięci. Zagospodarowujesz ziemię, ludzie ustawiają się do ciebie w kolejce. A jednocześnie bierzesz się do wszystkiego, co jest potrzebne do przesadzania sztywniaków tutaj: działki, kamienie, trumny, kwiaty, limuzyny.

Poza tym jesteś cichym partnerem w cmentarnym biznesie (gdyby cmentarz na Brooklynie, prowadzony przez Ameriga Bonasere, został kiedyś

195

rozkopany, byłaby to prawdziwa petarda z konfetti — niespodzianka pod każdą trumną).

Colma. Nawet nazwa brzmi z włoska.

Fredo poczuł zimny dreszcz, ścisnęło go w piersiach. Zamknął

oczy. Widział bagna w New Jersey rozciągające się na długość dziesięciu Colm. Rodzina Corleone naciska na polityków, żeby wydano rozporządzenie. Walka o teren w Jersey z klanem Straccich, da się to rozwiązać. Fredo jakby słyszał głos ojca: Każdy człowiek ma tylko jedno przeznaczenie.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Sona Dina.

Fredo otworzył oczy. Na przekór uniesieniu, które go porwało, skinął głową. Miał nadzieję, że zostało to odebrane jako gest smutku. Sona Dina wysiadła z dziećmi z samochodu. Fredo osuszył

do końca butelkę whisky i pospieszył, żeby zająć miejsce obok Szałobników wyznaczonych do niesienia trumny.

Po mszy wszyscy przejechali przez całe San Francisco do Fishermans's Wharf, gdzie znajdowała się najlepsza restauracja w mieście, zamknięta dla gości od chwili, gdy pracownicy dowiedzieli się o śmierci szefa. Jednak gdy Fredo wysiadł z samochodu, stało się dlań jasne, że personel nie spędził całego tygodnia na szlochach. Powiew morskiego wiatru niósł woń topionego masła z przyprawami, krabów, ryb, duszonych homarów, bulgoczącego sosu *marinara*. Na niedawno zbudowanych grillach opalanych dębowym drewnem piekło się mnóstwo fileatów *mignon* od najlepszych rzeźników z Zachodniego Wybrzeża, którzy walczyli o prawo

dostarczenia mięsa do restauracji. Z samochodów wyskoczyło mnóstwo dzieci i rzuciło się pędem na zaplecze restauracji, gdzie czekał kucharz — nie z resztkami, jakie zwykle dawano przy takich okazjach dzieciom, lecz ze lśniącymi stalowymi wiadrami pełnymi świeżych sardynek. Dzieci porwały je i pędziły na koniec molo, by rzucać kaski mewom i pelikanom kłębiącym się w powietrzu i łopoczącym skrzydłami. Fredo stał i patrzył, jak ptaki wiszą

nad pozbawionymi opieki dziećmi niczym rozwrzeszczana biblijna plaga. Gdyby był dzieckiem, przestraszyłby się takiego widoku. A jego siostra Connie? Nie ma mowy. Do tej pory by wrzeszczała. Mike usiadłby na słupku i w pełnym potępieniu milczeniu obserwował marnowanie dobrych sardynek, zatkawszy sobie uszy dłońmi. Sonny zaś nie rzucałby sardynek, tylko kamienie, dopóki nie znalazłby pistoletu. Hagen teŜ postrzelałby z wielką ch

l ę

9 c

6 i ą do ptaków, ale nie zaryzykowałby dezaprobaty ojca i patrzyłby na wszystko przez okno samochodu. Dzieciaki podskakiwały tymczasem na kładce z rozjaśnionymi twarzami, jakby właśnie wręczono im kluczyki do Coney Island. Bawiło je szalenie nawet to, Ŝe niektóre mewy zaczęły pikować do wiader. Za chwilę przyjdzie pewnie jakiś dorosły, kaŜe im się uspokoić i okazać trochę szacunku biednemu wujkowi Tony'emu. I rzeczywiście, pojawiła się czyjaś krepa *zia* i ze zmarszczonym czołem ruszyła w stronę rozbawionych dzieci. Fredo, nie mogąc na to patrzeć, odwrócił się i spojrzał na czarne wstąŜki na drzwiach restauracji.

Nadeszła pora zrobić to, po co przyjechał. Wolałby wrócić do hotelu i pomyśleć, jak przedstawić Mike'owi plan wykorzystania Colmy. Gdyby był ze sobą całkiem szczery — a na to nie był

jeszcze dość pijany — pozwoliłby pomyśleć sobie o innych miejscach, do których mógłby dotrzeć w ciągu tego dnia i nocy, ale tego nie zrobił. Wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

Restauracja

Molinariego

była

ciemna

w

kaŜdych

okolicznościach: ściany pokryte boazerią z czarnego cyprysu, przegrody

z czarnej skóry i czerwone zasłony w ogromnych oknach, zaciągnięte na wszystkich ścianach oprócz tej, dającej widok na zatokę.

Światło, które z niej padało, było często blade, przefiltrowane przez mgłę. Dziś zaciągnięto nawet te zasłony. Zwykle przytłumione światło było jeszcze słabsze, świece mniejsze, a salę od ściany do ściany wypełniali ciemnowłosi ludzie o oliwkowej cerze, ubrani na czarno. Najjaśniejszymi punktami były białe obrusy, wykrochmalone tak, Ŝe Fredo musiał mruŜyć oczy. W słynnej marmurowej fontannie pośrodku restauracji stała naturalnej wiel

Tk

ł o

u śc

mi l

b o

y d

ł ow

wia

ę r

k z

s e

z ź

y b

a

n iT

Ŝ on

n y

a 'e

cgo

m

e M

nt o

a l

r i

zn

ua

rii eg

k o

a

Ŝ z

d r

y ę

, ką

kt w

o y

s c

p irą

óg

bn

oię

wtą

ał

w

c

zs

etr

g on

ś ę b

wa

ru

t.

e

j G

o

reśsc

t i

ae

u d

r o

a t

cjy

i k

, ali

md

ó ł

go

ł ñm

to i jle

ag

t o

w c

o z

oł

wa

y.

tłumaczyć. Fredo

wykonał rundę, obejmując ludzi, kręcąc głową i wyrażając sal z powodu

tragedii. Kilku poczyniło niejasne aluzje do jego awansu na zastępcę szefa. Fredo podziękował i powiedział, że mężczyzna musi

coś jeść. Po czym zabrał się do jedzenia. Pił piwo, żeby się nie upić. Brakowało mu charyzmy ojca i braci, ale w miarę starzenia się zauważył, że właśnie z tego powodu jest lepszy od nich w takich sytuacjach. W nikim nie budził lęku. Był tak otwarcie niezdarny, że kobiety pragnęły mu matkować. Mężczyźni widzieli, że kręci się gdzieś na obrzeżach, podawali mu drinki, przywoływali do swojego kręgu i kontynuowali opowieści. A on odpłacał się tym 197

samym — wystarczyło napić się z nim jeden raz i miało się pewność, że Fredo Corleone zapamięta twoją truciznę po wsze czasy. Rozkwitał w czasie wygnania w hotelowym kasynie, bo naprawdę lubił patrzeć, jak ludzie się bawią, a nie tylko dlatego, że od tej pory będą mu winni przysługę.

W obecności innych mężczyzn z rodziny Corleone zachowywali się jak roboty, powtarzali w głowie każde słowo, zanim je wypowiedzieli. Przy Fredzie mogli być sobą. Lubili go. Wiedział, że

uważają go za fajtlapę, ale się mylili. Nie ma w świecie większej naturalnej przewagi niż to, że twój wróg przecenia twoje niedostatki, powiedział tata. Prawda, że nie do niego. Do Sonny'ego.

Tata

W u

d

s z

a i

l e

i lał

h

u S

c o

z n

ał n

o y

'e

o m

d u

s l

p e k c

u j l i ,

a c p

j i o

d c

n z

a a s

t

e g

m d

a y

t F

z r

a e

g d

i o

ni osi

ne

ed

gz

oi ał

pi t

lu

o Ŝ

t

a

ob

O o

' k

M,

a c

l a

l ł

e k

y o

a.w

ici

Me

ę

Ŝig

c n

z o

yźro

niw

a

z ny

wi .

e S

r o

zan

l n

i y

s s

i ł

ę u

ch

otał

w,

a a

r l

c e

i

eF

re

F d

r o

e

d s

oły

w s

i, z ał

c.

zego

w obecności Mike'a nigdy by nie zrobili. Usłyszał wszelkie możliwe teorie — najczęściej powtarzała się ta, że O'Malley był

policyjnym tajniakiem albo człowiekiem związanym z rodziną z Cleveland. Albo jednym i drugim. Lecz wyżej postawieni członkowie rodzin mieli inne zdanie. Butchie Molinari na przykład,

wypuszczając Freda z objęć, szepnął: „To Świński Ryj, no nie?”.

Fredo zaś powiedział to, co mówił przez cały dzień, mianowicie, że ni

D e

l

a m

cza

e p

g o

o j tę

oc

i

s a

o.

b N

ie a

r t

oo

b t

i e

? Ŝ

T M

e i

nk

i e

e

kn

oig

ń d

c y

zą b

c y

e ssię

ę n

p i

o e

r

ózd

w o

n b

a y

ni ł.

a

z braćmi.

Stał przed pozłaczanym lustrem w męskiej toalecie. Wyprostował

się i wciągnął brzuch. Jego oczy wyglądały jak w tej piosence...

Jak ona szła? Dwie wisienki w maślance. Fredo był pewny, że jego bracia nie marnowali czasu na porównywanie się z innymi ludźmi, a z całą pewnością nie z nim. Przesunął ręką po rzednących włosach. Wypił już wystarczająco dużo, to pewne. Spojrzał na swoją okrągłą twarz, starając się nie widzieć cech odziedziczonych po rodzicach: szczęki podobnej do szczęki Sonny'ego, tylko mocniejszej, oczu takich samych jak oczy Mike'a, tylko położonych

bliżej siebie. Podniósł szklany słoik pełny grzebieni i toniku i roztrzaskał go o swoje odbicie. Zielony płyn przysnął na wszystkie strony. Na lustrze pojawiła się jedynie rysa. Fredo wręczył karteczki z kondolencjami mężczyźnie stojącemu przy sąsiedniej umywalce i Murzynowi pilnującemu łazienki, który powiedział, że rozumie, że wszyscy kochali pana Tony'ego. Fredo ruszył przez prawie opustoszałą restaurację obok posągu Molinariego z posępnie sto-198

piowym czołem, które wyglądało tak, jakby zostało trafione ślepym nabojem, a nie dotykane pieszczotliwie przez setki dłoni. Wszedł

w chłodny mrok, zdeterminowany, by nie być nikim, nawet sobą.

Zignorował mężczyzn stojących na postoju taksówek i szedł

dalej nabrzeżem. Wiedział, że niebawem dotrze do podejrzanej okolicy z barami pełnymi dokerów i marynarzy, do knajp w zaułkach, o których wiedzieli tylko najbardziej zdeprawowani z nich

Z.

atrzymał się. Nie, tylko nie to. Dość.

Przed nim znajdowała się Powell Street. Prosta droga do hotelu.

Długi spacer, ale dobrze mu robi. Rozjaśni w głowie. Fredo spojrział w stronę mdłych świateł

dalekich barów, a później na Powell Street. Był pewny, że ulica prowadzi wzdłuż starej włoskiej dzielnicy North Beach. Mógłby tam wstąpić, zrobić sobie przerwę, wypić kawę i przemyśleć kwestię Colmy. O, właśnie, to będzie najlepsze rozwiązanie.

Skręcił w Powell Street i pogratulował sobie z ulgą.

Lecz kiedy spocony wspinał się na pierwsze bardziej strome wzgórze, naszły go inne myśli. Był zbyt zdyszany, żeby myśleć o swoim planie lub o czymkolwiek innym i nie chciał już kawy, tylko coś zimnego, choćby piwo. Komu to może zaszkodzić?

Teren się wyrównał. Nazwy sklepików i warsztatów brzmiały z włoska, lecz coś było nie tak. Na ulicy kręciło się mnóstwo brudnych chłopaków w swetrach i ogrodnikach. Niektórzy mieli czarną skórę i prawie Saden nie wyglądał na Włocha. Fredo próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tu był — w czterdziestym siódmym, może ósmym? Spojrzał w ulicę Vallejo i zobaczył kafejkę, o której myślał, wyczuł zapach z odległości przecznicy. Wciąż nosiła tę samą nazwę, Caffè Trieste. Uznał to za znak — napić się kawy, a nie piwa — lecz kiedy otworzył drzwi, zobaczył rudego chłopaka grającego na bongosach. Obok stał

młody Murzyn w czarnym swetrze i krzyczał, diabli widzą co, trudno było rozróżnić słowa, bo ludzie przy stolikach wrzeszczeli i strzelali z palców. Być może powiedział Purpurowookie dziewczyny. Albo Miętowy kisiel. Aniołki w sweterkach.

Zasrani Cyganie. Gdzieś w tym mieście musi być wielka szklanka z nazwiskiem Fredo Corleone, pełna whisky z wodą sodową

W są

z. e. dł do następnego włoskiego lokalu, który pamiętał, Enrico's. Wyglądał tak samo, jak kiedyś poza tym, że na zewnątrz wisiała tablica z napisem DZIŚ WIECZOREM JAZZ NA ŚYWO!

Tu też pełno było Cyganów, ale muzyka brzmiała lepiej, więc do 199

diabła z nimi. Fredo zapłacił trzy dolary i usiadł przy barze. Pianino, saksofon sopranowy i perkusista ze szczotkami. Obłąkańcza muzyka, ale Fredo wziął drinka i zaczął potrząsać głową w synkopowanym rytmie. Był jedynym gościem w garniturze, co z jakiegoś powodu prowokowało innych, by podchodzić do niego, opowiadać o „scenie muzycznej” i cudownych właściwościach trawki. Oparł się pokusie, aby powiedzieć im, że właśnie wraca z pogrzebu faceta, który największe zyski czerpał właśnie z owej drogocennej trawki. Po następnym drinku Fredo doszedł do wniosku, że to najlepszy jazz band, jaki w Syciu słyszał. A po chwili

siedział przy stole z dużą grupą ludzi, kobiet i mężczyzn, i nawet zaciągał się skrętem, kiedy do niego przywędrował. Zespół zrobił

sobie przerwę i na scenę wyszedł tęgi Norweg w fezie i oznajmił, że za chwilę przeczyta swoje haiku, a muzycy będą w tym czasie improwizowali. Fredo poczuł rękę na swoim ramieniu. Był to mężczyzna o pociągłej twarzy, z bokobrodami, około trzydziestki, w swe

— trz

Sł e

y i

s

zo

a k

ł u

e la

m, r

a

Ŝ c

e h

j s

e k

st l

ee

ś j o

z n

fy

i c

r h

mt

y a

fš

om

n ą

o .

graficznej? — spytał, prawie

się czerwieniąc.

— Tak słyszałeś? — Fredo przypomniał sobie jak przez mgłę, że puścił taką bajeczkę, przysiadając się do stołu.

— Mój zespół występuje tutaj jutro — rzekł tamten i zaczął

opisywać muzykę, którą gra jego band. Mówił po angielsku, choć raczej należałoby to nazwać bełkotem. Aniołek w sweterku, pomyślał Fredo. Spojrzał na faceta. Pedzio, bez dwóch zdań.

— Jestem Dean — przedstawił się mężczyzna. — Podoba mi się twój garnitur.

— Miło mi, Dean — odrzekł Fredo. — Siadaj. Mam na imię Troy.

Poszukiwanie zaginionego pilota zakończyło się kilka tygodni później, gdy na dnie jaru w pobliżu rzeki Cuyahoga, nieopodal szpitala, znaleziono ciało zaklinowane w otworze ściekowym.

Ścieki i szybko płynąca woda przyspieszyły rozkład, a na tym, co zostało, urządziły sobie ucztę rzeczne szczury. Z twarzy i oczu nie zostało nic, a kiedy zwłoki zostały znalezione, szczury wysliznęły się z ust i odbytu. Opaskę ze szpitala z napisem „Gerald O’Malley, mężczyzna rasy białej, wiek 38 lat” oraz to, co zostało z piśmami, uznano za autentyczne. Koroner orzekł, że obrażenia 200

ciała przypominają te, którym uległ pilot samolotu. Rozpoznał

nawet

charakterystyczne

szwy

szpitalnego

chirurga.

W

identyfikacji pomocna byłaby karta od dentysty, lecz władze nie miały

pojęcia, kim naprawdę był Gerald O’Malley. Bez względu na to, kim był i jak trafił z oddziału intensywnej opieki na dno wąwozu — nieszczęśnik ponad wszelką wątpliwość nie żył.

Rozdział 13

Plan był taki, żeby Billy Van Arsdale i Francesca Corleone polecili z Florydy do Nowego Jorku razem z braćmi Franceski, matką oraz jej wiecznym narzeczonym, Stanem Alkoholowym, lecz rodzice Billy'ego dali mu wcześniej prezent gwiazdkowy: dwukolorowego forda thunderbirda. Wóz czekał na niego, kiedy wrócił ze szkoły. Tym jeepem typu pick-up, gruchotem, który lubił po trosze dlatego, że przerażał rodziców. Ale dobrze się stało, powiedział Francesce przez telefon. Szansy wybrania się w długą podróż taką bryką jak thunderbird nie wolno przepuścić. Miał na myśli coś jeszcze i Francesca chyba się domyślała co, lecz nic nie powiedziała. Billy też tego nie zrobił. Bilety lotnicze zostały już

kupione, ale rodzice Billy'ego, którzy wybierali się na narty do Austrii, zadzwonili do biura podróży i kazali agentowi zająć się zwrotem pieniędzy.

W noc poprzedzającą podróż Billy pojechał do Hollywood. Był

już tam kiedyś, w Święto Dziękczynienia, miesiąc po tym, jak zaczął się spotykać z Francesca. Zrobił dobre wrażenie na wszystkich oprócz Kathy, która przez cały czas traktowała go chłodno,

a tydzień później napisała do Franceski, i jest rozczarowana, bo nie wiedziała, że siostra tak głęboko nienawidzi samej siebie.

Francesca wytłumaczyła to sobie tak: Kathy jest gotowa umrzeć z za

edro

n ś

a c

k i.

kiedy Kathy nie było, wszyscy w rodzinie przyjęli za punkt honoru, żeby Billy czuł się komfortowo. Jeszcze zanim zdążył uściskać Francescę, dziadzio Francaviglia zawłókł go do sąsiedniego domku, żeby Billy pomógł mu zakładać nową muszlę 202

klozetową. Gdy byli w samym środku tej pracy, zjawiła się babcia z talerzem pokrojonych pomarańczy. Powiedziała, że po jednej stronie leżą te, które sama wyhodowała, a po drugiej te, które pochodzą z jego rodzinnej firmy. Kazała mu spróbować i zgadnąć, które są które. Wszyscy poszli na obiad do nędznej knajpki tylko dlatego, że jej właścicielem był kuzyn trenera futbolowego Frankiego. Frankie zapytał Billy'ego, dlaczego był pływakiem, a nie futbolistą — czy by nie załapał się do drużyny? Francesca już

miała kopnąć brata pod stołem, lecz Billy odparł, że właśnie tak się stało i opowiedział o tym zabawną anegdotę. Chip oblał

Billy'ego colą. Dwa razy. Czy to możliwe, żeby dziesięcioletni chłopiec przypadkowo polał napojem tę samą osobę? Wydawało się, że wszyscy tak uważają oprócz Franceski.

Sandra nadzorowała Billy'ego, gdy ten ładował gwiazdkowe prezenty do bagażnika i na tylne siedzenie wozu (przewiezienie ich posłużyło jako argument, dzięki któremu Sandra zgodziła się na tę podróż), a następnie odprowadziła jego i Francescę do domu rodziców. Billy został tam zesłany po to, by nie mógł zbliżyć się do Franceski. Było dopiero wpół do dziesiątej, lecz nazajutrz czekał

ich długi dzień. Jedynym powodem, dla którego Billy został tam na noc — mieszkał tylko o godzinę jazdy stamtąd — było zobowiązanie, że wyjadą o świcie i nie zatrzymają się po drodze w żadnym hotelu. Oznaczało to dwadzieścia cztery godziny jazdy.

— A jeśli już boska ręka sprawi, że będziecie musieli się zatrzymać, Boże broń — powtórzyła po raz kolejny Sandra — to co zrobicie?

— Weźmiemy osobne pokoje, mamó — zaintonowała Francesca. — I zadzwonię, aby powiedzieć ci, że wszystko jest w porządku.

— Kiedy zadzwonisz?

— Natychmiast, mamó. Dajże spokój, przestań już.

— A rachunki za wynajęcie osobnych pokoi?

— Pokażemy ci je na dowód. — Jak gdyby to był jakikolwiek dowód. — Mamó, to jakiś obłąd.

Sandra kazała Billy'emu powtórzyć tę samą litanię. Powtórzył.

Sandra skinęła głową i powiedziała, że im ufa i wolałaby nie myśleć, co by się stało, gdyby ją zdradzili.

— Wiem, że chcecie sobie teraz dać buzi — rzekła — więc zostawię was samych, dobrze?

Hipokrytka, pomyślała Francesca. Kiedy matka była w jej wieku, zaszła w ciążę.

203

— Kocham cię — szepnął Billy, nachylając się do niej powoli.

Francesca powtórzyła szeptem te same słowa. Jej usta wciąż się poruszały, kiedy je całował. Jakby na ten znak zapaliło się światło na ganku.

— I kocham twoją rodzinę — dodał Billy.

— Jesteś stuknięty.

— Chciałabyś, żeby się od ciebie odczepili, ale wszyscy, którzy nie mają tego, co ty masz, chcieliby to mieć.

Nie po raz pierwszy Francescę ogarnął lęk, że Billy jest z nią tylko dlatego, że jest Włoszką, czyli kimś innym, egzotycznym.

Był to szok dla jego rodziców, lecz mniejszy niż ten, który groziłby im, gdyby była Murzynką. Albo Indianką, jak jej koleżanka z pokoju, Suzy. Lecz dopiero teraz po raz pierwszy zdobyła się na to,

żeby o

— ty

N m

a

p w

e s

w p

n om

n n

i i

e e

ć

k .

o chasz mnie tylko z powodu mojej rodziny?

Billy pokręcił głową i spojrzał w bok. Francesca natychmiast pośałowala swoich słów. Na pewno mówił to samo lub myślał

o kaśdej dziewczynie, z którą chodził. Zaczęła się usprawiedliwiać, a Billy nachylił się i znów ją pocałował, dotykając jej tylko ciepłymi ustami i trwał tak chwilę. Otworzyła oczy. Jego oczy już były otwarte.

Nazajutrz przed południem zameldowali się jako mąż i Sona w małym nadbrześnym hoteliku na północ od Jacksonville.

Francesca obawiała się, że recepcjonista się nie zgodzi, bo śadne z nich

nie mi

— ał

Zo

d o

zibr

w ą

ilc

az

bki

y,

ś le

sic

ęz

, B

il i

el ly

d d

ysa

kł

r m

ec u

ji na

mp

o iw

Śn e

a k

.

kupić za dwadzieścia

dolców — rzekł, kiedy wchodzili do pokoju.

Teraz Francesca stała w łazience z jasnozielonym peniuarem w ręku, który — wiedząc, że matka przetrząśnie jej bagaż —

zwinęła i ukryła w torebce.

Więc do dzieła, pomyślała przyglądając się sobie w lustrze, jakby to był ktoś inny. Dziewczyna — kobieta — w ostatnich chwilach przed utratą dziewictwa. Rozpina guziki, zdejmując ubranie, ściąga. Zwija każdą część garderoby i kładzie ostrośnie na marmurowym blacie, jakby bała się, że eksploduje. Klepie się po brzuchu. Drapie po drobnych zagłębieniach na skórze w miejscu, gdzie był pasek od stanika, próbuje je wygładzić. Odwraca się, wykręca szyję, żeby zobaczyć, jak wygląda z tyłu. Dotyka włosów, sztywne. Wyczesuje lakier długimi równymi pociągnięciami, potem spogląda i potrząsa głową, patrzy, na którą stronę spadną włosy 204

i jak wyglądają. Zwilża perfumami opuszki palców i wciera we wszystkie miejsca zgodnie z radami, których udziela każda ekspedientka w perfumerii. Następnie schyla głowę i powoli sięga ręką do kępkę włosów między nogami. Piersi tej kobiety są duże, lecz... kłopotliwe, zauważa Francesca. Asymetryczne jak piersi młodej chłopki z obrazu przedstawiającego Śniwiarzy (albo jak mamy, ostatniej osoby, o której Francesca chciałaby teraz myśleć).

Kobieta bierze głęboki, głęboki oddech, jej piersi podnoszą się i zaczynają przypominać biusty kobiet z kolorowych magazynów.

Czerwieni się prawie niedostrzegalnie. Ściąga drogi jedwabny peniuar z wierzchu popękanej brązowej torebki i trzyma go przed sobą za delikatne koronkowe paski. Wysuwa jedno biodro, potem drugie. Marszczy brwi. Peniuar jest niezaprzeczalnie piękny, ale w jakiś sposób nie pasuje w tym momencie do tej kobiety. Wyciąga ręce na całą długość i upuszcza go. Peniuar spada na schludny stosik ubrań i rozlewa się jak woda. Stoi naga, oddycha już nie głęboko, tylko ciężko. Naga. Obnażona. Ale wcale nie jak kobieta na obrazie. Prawdziwa kobieta, młoda i przestraszona, z ogolonymi nogami i pachami, upudrowana, z gęsią skórą, drżąca, mimo że na czole i pod piersiami wystąpiły kropelki potu, a klatka piersiowa pokryła się bladym nierównym rumieńcem. Potrząsa głową i śmieje się, mając nadzieję, że jest to łobuzerski śmiech, a przynajmniej znamionujący śmiałość. Otwiera drzwi i staje twarzą do korytarzyka. „Okay”, mówi (Czy to ja, Francesca? Ten swiergoczący dziewczęcy głosik?), „Zamknij oczy”. Krzyżuje ręce na piersiach, obejmując się, zamyka oczy i wstępuje w niepewność,

nieuniknioną

rzec

Zz

y

gw

ó i

r s

yt óś

z ć

a

ph

l o

a t

n e

o l o

w w

a l e

i g o

p

r p

z o

y k

s t o

a j u

n .

k

i, wybierając stacje benzynowe,

na których nie trzeba czekać na obsługę. By skrócić postoje, pili jak najmniej płynów. Nie jedli nic prócz kanapek, owoców i garści ciasteczek *strufoli* przysłanych przez babcię w piknikowym koszyku, a Francesca i tak ostrzegła Billy'ego, *Œe będzie Œałował, iŒ*

zjadł nawet to. Mieli spać, kiedy drugie prowadziło i Francesca rzeczywiście próbowała, lecz odtwarzanie w myślach czterech godzin spędzonych w motelu Sand Dollar Inn i prędkość, z jaką Billy prowadził thunderbirda, próbując nadrobić te cztery godziny, śmigając obok wielkich cięŒarów i porządnych rodzin sunących niespiesznie w nudnych chryslerach — wszystko to sprawiało, *Œe* ledwie udawało jej się zamknąć oczy. Nie wspominając o tym, *Œe* Billy nastawiał radio na cały regulator, ilekroć usłyszał rhythm-205

andbluesową melodię lub piosenkę z niesamowitego nowego longplaya Johnny'ego Fontane.

Zatrzymał ich policjant drogowy. Billy pokazał mu prawo jazdy, dowód rejestracyjny i jeszcze jedną kartkę, mamrocząc coś o „wielkoduszości”. Po chwili znów byli na drodze, nie-zanotowani, jadąc z taką samą prędkością. Po raz kolejny dały o sobie znać ogromne datki ojca na Braterski Zakon Policji.

„Moja przepustka z więzienia”, wyjaśnił Billy i zaczerwienił się.

Co za pokręcony świat, pomyślała Francesca, spoglądając na sosny przesuwające się za oknem niczym płynna plama. Billy —

starszy chłopak, którego kiedyś pragnęła i nienawidziła się za marzenia, Œe moŒe go mieć — ten duŒy chłopiec z kampusu zmienił się na jej oczach w jej chłopaka, jej fantastycznego chłopaka, który starał się sprawiać jej przyjemność na kaŒdym kroku, nie wahał się dla niej prosić o przysługę, szalał za nią.

Wszystko zaczęło się w dniu wyjazdu siostry. Francesca poznała Billy'ego, lecz to, Œe się w niej zakochał i znaczył tyle, ile znaczył, było szczęśliwym przypadkiem, zdarzyło się niejako przy okazji.

Kiedy dojrzewały, Kathy zawsze była ta mądrzejsza. Francesca była ładną bliźniaczką, w kaŒdym razie zabiegała o to, chciała być dziewczęcą. Kathy wykazywała skłonność do abnegacji, uwielbiała zwariowaną muzykę jazzową i popalała papierosy. Francesca była dobrą katolicką dziewczyną, cheerliderką i członkinią komitetu powitalnego byłych absolwentów. Odrabiała prace domowe — albo udawała, Œe odrabia — w cukierni. Miała nie jedną, ale dwie spódnice z pudłami. Lecz kiedy Kathy nie było w pobliŒu, Francesca nieświadomie wypełniała pustą część swojej osoby, w jakiś

sposób zamieniając się w siostrę. Wtedy wmawiała sobie, Œe zakupy robione w ciągu pierwszych kilku tygodni semestru są po to, aby Suzy, jej koleŒanka z pokoju, przestała nosić okropne dziecięce sweterki i sukienki, z którymi przyjechała. Dopiero później zauwaŒyła, Œe upodobniła swoją garderobę do czarnych i czerwonych

golfów i spodni Kathy. Tak samo nie mogła sobie przypomnieć, kiedy podjęła decyzję, Œe zacznie palić. To była działka jej siostry.

A teraz wystarczyło otworzyć torebkę i znajdowało się paczkę papierosów.

Palenie

było

prawdopodobnie

konsekwencją

studiowania. Nigdy nie zdecydowała świadomie, Œe zacznie się więcej

uc

2 z

0 y

6 ć, lecz z powodu, którego nie rozumiała, nagle stała się jedną z bystrzejszych studentek w grupie, a bezradni wykładowcy szukali wzrokiem jej podniesionej ręki, gdy na wykładzie nastąpił zastój.

Co było pierwsze: kurczak przyjemnego poczucia, że jest jedną z tych studentek, czy jajko długich nocy ślęczenia nad biurkiem wśród pasemek dymu snujących się w blasku lampki?

Kilka razy widziała Billy'ego Van Arsdale'a uczącego się w bibliotece z jakąś dziewczyną lub wychodzącego z kina czy baru przy Tennessee z inną. Czasem — nieczęsto — Francesca też

chodziła na randki (z pierwszorocznikami, nie szczególnego) lub uczyła się w grupie. Billy zawsze kiwał jej głową, często nawiązywał kontakt wzrokowy, a od czasu do czasu nawet zatrzymywał się, by wymienić uprzejmości. Gardziła nim za to, że przedrzeźnia ją w ten sposób. Zachowywała się wobec niego chłodno, lecz uprzejmie. Bała się, że jeśli spróbuje go ignorować lub,

co

gorsza,

odpawić, Billy wprawi ją w jeszcze większe zakłopotanie. Ani przez chwilę nie powstało jej w głowie, że stosuje ulubioną, a właściwie jedyłą, taktykę Kathy zdobywania sympatii chłopców.

Może

nigdy nie zrozumiałaby dokładnie, co robi, gdyby nie Suzy, która należała do chóru razem z grubawym młodszym bratem Billy'ego, George'em. Pewnego dnia, kiedy uczyły się do egzaminu semestralnego, Suzy powiedziała jej, że jeśli nie będzie uważała, to odgr

Oy

dw

g a

r n

y ie

w

a t

n r

i u

e dtn

r e

u j

d d

neo

j z

d d

o o

b

z y

d c

o ia

b

y o

ci d

a n

? ies

Ś ie

m

i eta

s k

z i

n

e.s

ku

Frte

a k

n,

c e i

s \hat{S}

c a B

i

b ll

y y

ł

a

n

zig

b d

yty

n

m ie

ł

a z

, bi

z e

a r

z

b e

a rsi

d ę

z n

o a

c o

h d

ci w

ał ag

ę

si,

ę a

b

p y

o z

d a

o p

b r

a o

ć s

, ić

m j

i a

a

ł n

a a

z ra

a nd

m k

ałę.

o

odwagi,

by próbować cokolwiek zdobyć, odrzucając to. Powiedziała Suzy, że jej odbiło, lecz ta powołała się na George'a, który przytoczył

swoją rozmowę z bratem. Billy zapytał go, czy ma zajęcia z Francescą Corleone. Czemu pytasz?, zdziwił się George. Tak sobie,

odparł Billy. Co, podoba ci się? Zamknij się, głupku, jesteś z nią w grupie, czy nie? Myślałem, że mam się zamknąć, odparł George.

Dupek z ciebie, rzekł Billy, szturchnął go w bok i kazał o wszystkim zapomnieć. George odparł, że nie ma żadnych zajęć z Francesca, ale przyjaźni się z jej koleżanką z pokoju. Skąd wiesz, że to wszystko mówili?, spytała Francesca. Suzy powiedziała, że nie może tego wiedzieć, lecz dlaczego George miałby ją bujać?

Francesca przypomniała sobie, jak rozmawiają ze sobą jej bracia i uznała, że Suzy, jedynaczka, nie mogłabym czegoś takiego zmyślić. Kiedy następnym razem Francesca wpadła na Billy'ego, tylko utrzymała z nim kontakt wzrokowy o kilka sekund dłużej, ale to wystarczyło. Po chwili zapraszał ją na randkę. Znał świetny 207

lokal za miastem z szafą grającą, puszczała tam wielki przebój H-Bomb Ferguson, *Shes Been Gone*. Słyszałaś to? Chyba nie miałam przyjemności, odparła Francesca, bezskutecznie próbując powstrzymać uśmiech i rumieniec. Nazajutrz opiekunka akademika zapukała do drzwi i wręczyła Francesce czerwoną różę i kopertę z płytą H-Bomb Ferguson 45. Dwa dni później poszli na pierwszą randkę. A dwa miesiące później pędzili samochodem na północ.

Obserwowała go teraz, udając, że nie patrzy. Po tym, jak zobaczyła go w całości, gdy poszli do łóżka. I mimo że pewnie był

z setką dziewczyn, to on okazał się purytański, a ona ciekawa. To ona wskazywała drogę, pytała, próbowała (Tak, chwilami bolało.

Cztery razy w ciągu czterech godzin, teraz czuła się trochę zbolała.

Pewnie była to zbytnia zachłanność). Teraz, kiedy była już

przekonana, że pod każdym względem kochają się jak dorośli, Billy

Van

Arsdale nie okazał się taki, za jakiego uważała go pierwszego dnia w szkole. Był trochę za niski, miał oczy smutnego ogara i krzywy uśmiech, który jej się podobał, ale w filmie by nie przeszedł. Jego blond

włosy

były

zawsze

potargane.

Miał

garderobę

małomiasteczkowego adwokata z Południa: wysokie półbuty z dziurkami na przyszwie, garnitury z wełny i lnu, zegarek kieszonkowy na łańcuszku (należał do jego stryjecznego dziadka, który był przewodniczącym Sądu Najwyższego Florydy), egipskie bawełniane koszule, wyglądające bezpretensjonalnie, tylko dlatego że

miały

wystrzępione mankiety. Poza tym jakoś tak się działo, że gdy tylko się ubrał, bez względu na to, co akurat miał na sobie, jego ubranie natychmiast znikało pod zagnieceniami. Był beznadziejnym tancerzem i wydawało się, że nie jest tego świadomy. Wtórował na głos piosenkom, których prawie nie znał. Śmiał się przez zęby jak postać z kreskówki. Jego rodzice się nie cierpieli i zaniebdywali Billy'ego i jego brata. Ukochana Murzynka, która go wychowała, popełniła samobójstwo po tym, jak jej dorosły syn został

zamordowany w Missisipi przez Ku-Klux-Klan. To Billy znalazł

jej

zwinięte ciało na podłodze łazienki z szalikiem pełnym tabletek.

Raz w tygodniu chodził do psychiatry i opowiadał o tym, jakby to nie było nic wstydliwego. A wszystko razem oznaczało, że to nie jego niezaprzeczalna uroda, liczne talenty i książkowy Syciorys pozwoliły mu zdobyć tyle dziewczyn i godność przewodniczącego rady studenckiej. Był urodzonym politykiem: nosił nazwisko Van A

2 rs

0 d

8 ale, a na Florydzie znaczyło ono niemało. Miał doskonałe maniery i społeczną naturę. I coś jeszcze, co było trudne do zdefiniowania. To więcej niż charyzma, pomyślała Francesca.

Prawie magnetyzm.

Billy przejechał całą drogę oprócz kawałka Wirginii. Francesca w końcu zasnęła. Obudziła się zdezorientowana, czując na ramieniu dłoń Billy'ego. Od śniegu odbijał się zimny blask słońca.

— Pomyślałem, że będziesz chciała to zobaczyć — rzekł Billy, wskazując kontury Nowego Jorku na tle zimowego nieba. — Twoje rodzinne miasto.

Francesca usiadła i potarła oczy. Billy był wyraźnie dumny ze swojego osiągnięcia, cieszył się, że może jej pokazać ten cudowny widok. Chyba nigdy nie widziała miasta od strony Jersey. Panorama była oszałamiająca, ale w Saden sposób nie przypominała jej domu.

— Ładne.

— Nie cieszysz się? — zapytał. — Wszystko w porządku?

Chce ci się spać? Jechałaś kiedyś po śniegu? Która godzina?

Tak. Nie. Często, w czasie wycieczek na narty. Dojechali w samą porę. Nadrobili cztery godziny.

— Kocham cię — powiedziała, nachylając się, by pocałować go w kłujący zarostem policzek.

— Nazywam się Junior Johnson, psze pani — odparł, naśladowując południowe zaciąganie. — Do usług.

— Kto to jest Junior Johnson?

Kierowca wyścigowy, który nauczył się szybkiej jazdy, uciekając przed agentami federalnymi w czasach prohibicji. Czyśby nigdy nie słyszała o Juniorze Johnsonie? Okazało się, że to daleki kuzyn matki Billy'ego.

— Aha — westchnęła Francesca — więc to stąd wzięła się fortuna Arsdale'ów.

Billy chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

— W porządku — odrzekła Francesca. — Wyrzuć to z siebie.

— Nie ma potrzeby.

— Jesteś pewien? — Rozmawiali już o tym. Francesca powiedziała mu, że jej ojciec zbuntował się przeciw rodzinie, że był

legalnym biznesmenem. Jego firma importowo-eksportowa nazywała się Brothers Corleone, ale nazwał ją tak tylko ze względu

na

szacunek dla Syczeń ojca. Pozostali bracia nie uczestniczyli w interesie. — Bo o tym się nie dyskutuje, wiesz? Jeśli chcesz o coś zapytać, pytaj teraz, tylko nie stawiaj mnie w kłopotliwej sytuacji wobec

Bi c

ll m

y o

o j

dej

w rro

ó d

ci z

ł in

si y

ę .

w jej stronę z otwartymi ustami.

209

— Chyba nie sądzisz, że...

— Nie — przerwała mu. — Nie zrobiłbyś tego. Po prostu jesteśmy zmęczeni. Przepraszam. Jedźmy dalej.

Była wigilia Bożego Narodzenia, lecz na drogach wciąż panował

okropny ruch. Zanim dotarli na Long Beach, stracili jedną z nad-robionych godzin.

Dwóch krępych mężczyźn wyszło z murowanego domku przy wjeździe do półkolistego szeregu zabudowań należących do rodziny Franceski. Billy opuścił szybę. Francesca wyczuła zapach przygotowywanego posiłku dolatujący z wnętrza domu babki, który

stał

dobrze pięćdziesiąt metrów dalej. Nachyliła się nad kolanami Billy

e 'e

d g

e o

n, ŝ

z eb

my

ę o

ŝcc

z hr

y o

z n

n ia

z rz

w e

r

ó m

ci o

ł g

s lii

ę j

ą

d z

o o

b

nia

ec

j z

y

i ć

m. i eniem siostry, prze-

prosił, że nie rozpoznał samochodu, a z początku tak że jej bez okularów.

Bez okularów?

— Jestem Francesca.

Męczyzna skinął głową.

— Kazano nam wyglądać silver hawka, a nie thunderbirda.

Twoja mama nie zna się za dobrze na samochodach.

Dom dziadków Franceski, najmniejszy i najbardziej niepozorny z

całego

kompleksu,

był

całkowicie

pozbawiony

bożonarodzeniowych dekoracji. Babcia wciąż była w ślabie. Bez światełek

i wieńców domek wydawał się jeszcze mniej okazały.

Pomniejszony. Po drugiej stronie ulicy stał bungalow, w którym Francesca
mieszkała kiedyś z rodziną, ciemny i opuszczony. Ktoś postawił

bałw

Z a

a n

n a

i

mn

a

Bi p

llo

yd

w

z ó

dąrk

Ŝ u

ył i

w p

j o

ecw

h i

a e

ć s

il

nan

a

p

odr

jz

aw

zi

da

,c

zh

dw

oie

mn

uie

bc

abw

cie

zlk

ao

cś

zc

ęi

a

op
w o
y n
s y
y
p c
yię
wŜ
aa
ć r
ó
s w
ię k
r i.

o dzina Franceski. Pochód otwierała — a jakŜe! —

Kathy, jej szczupła siostrzyczka ze skłonnością do akademickich póz, w wielkich czarnych okularach. Biegła w podskokach po zaśnieŜonym trawniku niczym wytrawna cheerliderka.

— Jesteś głodny? — spytała Francesca.

— Umieram z głodu — odparł Billy.

— Kontroluj się przy jedzeniu — poradziła Francesca — ale nie za bardzo, bo pomyślą, Ŝe ich nie lubisz.

Otworzyła drzwi i najpierw poczuła uderzenie chłodu — jak mogła kiedykolwiek mieszkać w tej lodówce? — a później Kathy, która złapała ją w objęcia i upadła razem z nią na bok samochodu.

210

Podskakiwały i piszczały, co od lat nie leŜało w stylu Kathy. Ich spotkanie w czasie Święta Dziękczynienia było podobne. Dopiero kiedy odsunęły się od siebie, Ŝeby się sobie przyjrzeć, Francesca poczuła zimny wiatr na twarzy i zauwaŜyła, Ŝe płacze.

— Masz okulary — powiedziała do siostry.

— Jesteś w ciąży — stwierdziła Kathy i cofnęła się. W tym momencie Francescę opadła reszta rodziny.

Oszołomiona, zniknęła w objęciach, zasypywana pocałunkami.

Kathy kołysała się na obcasach, uśmiechnięta, i machnęła niewinnie ręką, lecz z powodu okularów wyraz jej twarzy był trudny od odczytania. Francesca wiedziała, że dziewczyna może zajść w ciążę za pierwszym razem i wiedziała, iż to, co robił Billy, nie było bezpieczne: wychodził z niej, brał jej rękę i zaciskał na sobie. Ale to nie była niebezpieczna faza miesiąca. A poza tym, skąd Kathy mogła wiedzieć, bez względu na to, czy jest bliźniaczką?

Billy zarzucił sobie na jedno ramię ogromną siatkę z pomarańczami Arsdale'ów, a na drugą z grejpfrutami.

— Gdzie jest drzewko? — spytał.

— Jakie drzewko? — zdziwiła się Kathy. Przy biodrze trzymała Mary, uroczą córeczkę cioci Kay, jakby była jej mamą. — Jakie dziewczko? — powtórzyła Mary.

— Choinka — odparł Billy. — żeby można było położyć prezenty.

— My jesteśmy Włochami, chłopczyku — powiedziała Kathy. —

Nie ma choinki.

— My jesteśmy Łochami, chopciku! — zawołała Mary.

Kathy taka jak dawniej.

— Na miłość boską, my mamy w domu choinkę — rzekła Francesca. — Tylko babcia nie stawia, i to wszystko. Połóż prezenty koło *presepe*.

Babka cmoknęła z dezaprobatą, słysząc wyrażenie „na miłość boską”. Billy przechylił głowę.

— No, jak to się nazywa — ciągnęła Francesca. — Chyba Śłobek. — Spojrzała na Kathy, która zrozumiała niewypowiedziane pytanie i skinęła głową na znak, że *presepe* nie zakłóca ślubów babci Carmeli. — W pokoju stołowym. Zauważysz.

Matka Franceski uniosła brwi i spojrzała na zegarek.

— Śnieg utrudniał jazdę — wyjaśniła Francesca.

— Padało przez całą drogę? — spytała matka.

— Od Waszyngtonu — odparła Francesca, zgadując. Właśnie wtedy spała.

— Przyjechaliście w naprawdę dobrym czasie — pochwalił ich mężczyzna, który przedstawił się jako „Ed Federici, dobry przyjaciel cioci”. Kathy wspomniała w liście o tym, że ciocia Connie się

z nim zaręczyła, mimo że jej małżeństwo nie zostało jeszcze unie

Sw

taa

n n

J i

a o

b n

l e

o .

n —

sky T

za

gk

oie

d

zjie

ł s

t

s

i m

ę o

z je

ni zd

m. a

nie. Przy takim śniegu...

— Nie zwracajcie na nią uwagi — rzekł, puszczając oko do Sandry. Francesca zawsze uważała to za dziwaczne. — Wasza mama bardzo wcześnie wstała, ciągle wyglądała was przez okno.

Obaj narzeczeni wzięli resztę bagaży i w drodze do domu zaczęli wypytywać Billy'ego o trasę, mosty, skróty i zużycie paliwa na kilometr.

Jak to możliwe: rodzinne święta, a ci dwaj outsiderzy są jedynymi mężczyznami oprócz Billy'ego?, zastanawiała się Francesca.

Stan, który był zaręczony z jej matką od trzech lat bez wyznaczonej daty ślubu, i księgowy zajmujący się rodzinnymi podatkami, zaręczony z kobietą, która wciąż była mężatką. Najbardziej męski ze wszystkich, ojciec Franceski, Santino, nie był. Jej dziadek, zawsze roześmiany, uwielbiający rodzinę, stanowiący jej centrum, nie był równieś. Wujek Mike nie przyjedzie na święta (Poleciał

w interesach na Kubę lub na Sycylię — albo i tam, i tam. Tak usłyszała Francesca. Ale w czasie świąt Bożego Narodzenia?

Dziadek Vi to musi przewracać się w grobie). Hagenowie przeprowadzili się do Las Vegas i też nie przyjadą. Wujek Fredo miał

dotrzeć wczoraj, ale zadzwonił i powiedział, że nie może przyjechać. Wujek Carlo najwyraźniej zniknął z powierzchni ziemi

T i.

y

lko dwaj, pośal się Boże, narzeczeni. I Billy. Jej Billy.

Francesca obserwowała go, chcąc uchronić swojego chłopaka od popołudnia z grą w karty, oglądaniem futbolu w telewizji i niekończącymi się przekąskami. Nagle tak go zapragnęła, że zrobiło jej się miękko w kolanach — czy to w ogóle się stało, tam w Jacksonville? Ale odciągnięto ją od niego, bezsilną wobec fali kobiet, które niczym we śnie porwały ją i uniosły do gorącej, przepełnionej aromatami kuchni babci, forticy niewzruszonej miłości, której czas jakimś cudem nie zdołał naruszyć.

Obłoki pary, mgielka mąki, kadzie wrzącej oliwy, blaty pokryte ciastem, woskowany papier z płatkami świeżych, natartych przyprawami ryb. I olbrzymi biały piec, muzealny okaz, który prawdopodobnie przetrwa ich wszystkich. Z gramofonu w sąsiednim

Caruso, Lanza, Fontane i kto tam jeszcze. Dzieci wbiegały i wybiegały, bez przerwy kręcąc się między nogami, skubiąc smaczne kąski. Ciocia Kay stała przy zlewozmywaku i myła naczynia, do chwili gdy nadeszła pora na robienie tego, co robić umiała. Matka Franceski, Sandra, uparta i przyziemna, i ciocia Connie, ostra i zgorzkniała. Nigdy się nie lubiły, lecz w kuchni przewidywały swoje ruchy, jak gdyby były Fredem Astaire'em i Ginger Rogers.

Angelina, pochodząca z Palermo ciotka babki, która musiała mieć już ze sto lat i wciąż nie znała ani słowa po angielsku, siedziała w kącie przy stoliku do kart, gromadząc składniki, które do niej dotarły. A babcia Carmela oczywiście trzymała nad wszystkim pieczę, wydając krótkie polecenia i wkraczając do akcji, gdy trzeba było wykonać najtrudniejsze rzeczy, zawsze pełna miłości i nigdy nie mówiąca o niej na głos.

Kathy wskazała stos białych jak mleko ohercynek, a potem wręczyła Francesce tasak i otwartą przed chwilą butelkę napoju z czarnej porzeczki Brookdale, schłodzonego w śnieżnej zaspie.

Wystarczyło jedno spojrzenie na butelkę—na Florydzie nie można było tego dostać — i Francesca znów załapała się łzami. Co się stało z silną dziewczyną? Gdzie się podziała ta część, która była podobna do Kathy?

— Och, słodkie łzy radości — powiedziała babcia po włosku.

Podniosła do ust wyszczerbiony kubek z kawą, ten sam, którego używała od tak dawna, jak Francesca sięgała pamięcią. Do wyblakłego wizerunku Wysp Hawajskich przylepiły się zeschnięte kawałeczki ciast. — To najbardziej niezbędny składnik *cena de Natale!*

Czy można było pozostać niewzruszoną wobec takiego stwierdzenia z ust kobiety, która niespełna rok temu została wdową?

Wszystkie kobiety sięgnęły po swoje filiżanki, kubki i kubeczki i pod

Fr n

a io

ncsł

e y

s

c je

a w

po y

c s

z o

u k

ł o

a .

na szyi twarz Kathy i jej czarne okulary.

— Zwykła beksa z ciebie i tyle — szepnęła Kathy i bliźniaczki roześmiały się identycznymi głosami.

Na sumie Francesca musiała podpowiadać szeptem Billy'emu, który nigdy przedtem nie postawił nogi w katolickim kościele.

W klękaniu i Śegnaniu się był równie uroczo niezgrabny jak na tanecznym parkiecie. Czują na nim wzrok Kathy, nawet jeśli sam 213

Billy go nie czuł. Słyszała w głowie słowa Kathy, iŚ teraz wydaje się to urocze, a później będzie doprowadzać do pasji, mimo Śe jej siostra — siedząca na drugim krańcu ławki i podtrzymująca biedną ciocię Angelinę — nie wypowiedziała ani słowa, tylko śpiewała hymny i odmawiała litanie.

Kiedy dzwonek wezwał do pokuty, Francesca złoŚyła dłoń w pięść i uderzyła się nią w pierś cztery razy, jeden raz za kaŚdą godzinę spędzoną w Sand Dollar Inn. Przed barierką koło ołtarza zrobiła to jeszcze raz, tym razem przepraszając za cztery razy, kiedy się kochali. Wracając do ławki, spoglądała pokutnie w dół, unikając wzroku Billy'ego, lecz gdy tylko uklękła i skończyła modlitwę, usiadła i wzięła go za rękę. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, Śe ciocia Kay, klęcząca obok i poruszająca ustami w cichej modlitwie, teŚ przyjęła komunię.

— Nawróciła się — wyjaśniła Kathy w drodze do domu.

— Tak właśnie pomyślałam, ale po tylu latach? — zdziwiła się Francesca. — Pewnie z powodu dzieci?

Siedziały w thunderbirdzie Billy'ego.

Kathy uniosła brwi. Nawet w okularach zdradzała niepokojące podobieństwo do matki.

— *Per l'anima mortale di suo marito*. Dla śmiertelnej duszy męŚa.

Dla śmiertelnej duszy męŚa? Francesca zmarszczyła czoło.

— Chodzi codziennie — dodała Kathy. — Tak samo jak babcia.

I z tego samego powodu.

— Wszyscy chodzą z tego samego powodu. — Francesca wciąż

nie zdołała odciągnąć siostry na stronę i zapytać, co miała na myśli, mówiąc: „Jesteś w ciąży”. —
Mniej więcej.

Kathy otworzyła szeroko oczy, zdesperowana.

Pomimo, albo raczej ze względu na silnie wyczuwalną nieobecność ważnych osób przy stole,
tradycyjna ucza wigilijna rodziny

Corleone, złożona z siedmiu potraw, była równie głośna i hałaśliwa jak zawsze. Wino płynęło
swobodnie, kobiety nadrabiały to, co w minionych latach było wypijane przez mężczyzn. W czasie
pierwszych dań dzieci po kolei, od najmłodszego do najstarszego, czytały listy, w których prostymi
słowami wyrażały miłość do rodziców. Im starsza osoba czytała, tym mniej było niepokojących nut,
lecz wszystkie listy nagradzano radosnymi okrzykami i bra-

wami. Kulminacja nastąpiła przy liście cioci Connie. Po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat
Carmela Corleone usłyszała tylko jedną deklarację miłości od dziecka — był to delikatny moment,
który Connie, ku zaskoczeniu wielu obecnych, zneutralizowała listem tak zabawnym, że jeszcze kilka
dań później podawano go sobie przy stole.

Serca wszystkich rozgrzała ta opowieść o jedynej ingerencji Vita Corleone w życie uczuciowe
dzieci. Chodziło o randkę w ciemno, którą zaaranżował przed wielu laty Connie wkrótce po tym, jak
zaczęła spotykać się z Carlem Rizzim. Umówił ją z miłym chłopcem, który właśnie skończył college i
otrzymał dyplom z zarządzania. Historię opowiedział Ed Federici. Przedstawił randkę jako
katastrofę, a siebie jako niezdarę. Rozbawiona mama Corleone wzniosła między daniami toast z
okazji szczęśliwego *fidanzati*.

Cóż to były za dania! Udka krabów i koktajl z krewetek.

Smażone *baccala* i faszerowane kalmary. Parowane małże w sosie *marinara* i świeży makaron
anielskie włosy. A na koniec — w ka-

dym razie przed deserem — flądra faszerowana szpinakiem, suszonymi ziemniakami, mozzarellą i
kilkoma innymi sekretnymi składnikami wciśniętymi przez *zia* Angelinę, kiedy nikt nie patrzył.

— Niebezpieczeństwo ataku serca wzrasta trzykrotnie w ciągu pierwszej godziny po obfitym posiłku
— oznajmił Ed Federici, spoglądając tępym wzrokiem, jak człowiek patrzący na puste miejsce na
parkingu, z którego ukradziono jego samochód.

Stan dał za wygraną w połowie ostatniego dania i spał w sąsiednim pokoju, skąpany w migającym
blasku ekranu telewizora.

Pokazywano właśnie mecz piłkarski, którego nikt nie oglądał.

Tylko dwóch ludzi jeszcze jadło: Frankie, który wywijał widelcem niczym mistrz, oraz Billy,
dźgający rybę jak człowiek, który znalazł

złoto i próbuje sobie przypomnieć, dlaczego jest cenne.

Connie uciszyła Eda i klepnęła go po zaróŜowionej, przed-wcześnie wyłysiałej głowie.

— Jeśli mama usłyszy, to właśnie ona dostanie ataku serca. —

Connie piła wino przez cały dzień w takim samym tempie i właśnie otworzyła nową butelkę marsali. Jej klepnięcie, w załoŜeniu Ŝartobliwe, było tak głoŝne, Ŝe współbiesiadnicy aŜ drgnęli. Kilka osób wetknęło głowy przez drzwi, Ŝeby zobaczyć, co się dzieje.

Na głowie Eda momentalnie powstał ślad w kształcie dłoni.

Francesca odprowadziła Billy'ego od stołu i ruszyła w stronę dawnego gabinetu dziadka. Ciocia Kay skończyła właśnie składać dziecięcy stół.

215

— Najadłeś się, Billy? — spytała.

— Tak, proszę pani — odparł chłopak, siadając cięŜko na skórzanej kanapie pod ścianą.

— Zostaw miejsce na deser — przestrzegła Kay, uśmiechając się lekko. — Widzieliście gdzieś Anthony'ego?

— Chyba jest na dworze — odparł Billy — z Chipem i gromadą dzieciaków z rodziny Clemenzy. — Było to potomstwo dzieci, z którymi Francesca bawiła się, kiedy była w wieku Chipa. Teraz towarzysze jej zabaw mieli własne rodziny i mieszkali nieco dalej przy tej samej ulicy.

Francesca została sama z Billym.

— Dobrze się spisałeś, kochanie. Widziałam, Ŝe cię polubili.

— Czemu się tak uśmiechasz? — spytał, kładąc się na kanapie i trzymając za brzuch.

Francesca uklękła obok niego na podłodze.

— Nie ma darmowych obiadów — wyszeptwała. — Przyszedł

czas zapłaty, łobuzie. Pocałuj mnie.

Billy spełnił polecenie. Ale nie był to taki pocałunek, jakiego spodziewała się w tym domu. Trwał i trwał. Kiedy otworzyła oczy, światło zapalało się i gasło.

— Ŝeby nie musiała oblewać was zimną wodą — ostrzegła Kathy. — No, wstawaj i marsz do roboty. Ja będę zmywała, a ty wycierała.

Billy połoŜył się na plecach z tym samym zamglonym wzrokiem, który miał w hotelu. Pomachał

Francesce palcem.

Kobiety, rzecz jasna, zmywały przez cały dzień. Talerzy, noŜy, salaterek, kieliszków i dziecięcych butelek zostało na dziesięć minut zmywania. Kathy znalazła gdzieś małe radio i nastawiła stację nadającą jazz. *Zia* Angelina chrapała na trzeszczącym drewnianym krzeselku w kącie. Nie licząc jej, bliźniaczki były same.

— Gdzie babcia? — zapytała Francesca.

— Na mszy. Właśnie wyszły z ciocią Kay.

— Drugi raz w ciągu dnia? Chyba Ŝartujesz.

— Spójrz. Samochodu nie ma. — Kathy wskazała głową Angelinę. — Bogu dzięki, Ŝe chrapie, bo inaczej co chwilę musiałybyśmy sprawdzać, czy Ŝyje. Nie patrz tak na mnie. Ona jest głucha,

poza

— t y m

O , cni

o e

czn

hca

e a

s n

z g sie

ę l sk

z i

a e

ł g

o o

Ŝ .

y ć, Ŝe rozumie więcej, niŜ daje po

sobie poznać?

216

— Masz na myśli ciebie i Billy'ego?

— O czym mówisz?

— Myślisz, że wszyscy są ślepi...

— Wcale tak nie myślę.

— ...ale to ty jesteś ślepa. Ten smarkacz, który drzemie sobie w gabinecie dziadka — to trochę bezczelne, nie sądzisz? Nie widzisz, że on cię wykorzystuje?

— On mnie? — zdziwiła się Francesca. — Co ty, wróciłaś do liceum? To ja go tu sprowadziłam.

— A kim ty jesteś, księżniczką Szmatą z Tallahassee? — Kathy nie zdjęła okularów, mimo że zasłzy mgłą od gorącej wody z kranu.

— Odbiło cię i jest to w zasadzie smutne. śal mi cię. —

Francesca podniosła porcelanową paterę w kształcie ryby i uniosła brwi.

— Coś podobnego — mruknęła Kathy. — Wsadź to tam, pod telefonem. Nie rozumiesz, że Billy przyjechał tu tylko po to, żeby zobaczyć na własne oczy, jak wyglądają prawdziwe mafijne święta?

Dla niego jesteśmy bandą brudnych makaroniarzy. Będzie się z tego śmiał przy drinkach na jachcie ze Skipem i Miffiem, wspominając rok, w którym zobaczył prawdziwych włoskich gangsterów z karabinami maszynowymi w futerałach od skrzypiec.

Anthony Corleone przywiózł skrzypce aś z Nevady, żeby zagrać *Cichą noc*. Nie grał dobrze, ale było to urocze.

— Nawet nie zaszczycę tego odpowiedzią.

Kathy uderzyła kieliszkiem o kran. Kieliszek pękł, a ona nawet nie zakląła. Zacięła się w palec; polało się dużo krwi, ale rana było niewielka. Posprzątały razem, nie mówiąc słowa. Francesca przyniosła bandaś.

Kathy westchnęła, spojrzała siostrze w oczy i powiedziała coś tak cicho, że Francesca musiała poprosić o powtórzenie.

— Powiedziałam, że to wszystko prawda.

— Co jest prawdą?

Kathy splukała zlewozmywak i kazała Francesce przynieść płaszc. Poszły w najdalszy kąt podwórka i ukryły się za dużym reflektorem; Kathy zapaliła dwa papierosy naraz na modłę hollywoodzkiego gwiazdora grającego twardziela. To był ich stary Sart,

często

— g

To

y p

i ow

Biltla

yr.z

a

T ły

o .

b P

yło

d

p a

r ł

a a

w s

d io

o s

p t

o rz

d e

o

b p

n a

i p

e ie

pi ro

er sa

w .

s

zy pocałunek w tym

pokoju, który nie prowadził bezpośrednio do... — Spojrzała w górę na spadające płatki śniegu, jakby liczyła na to, że tam zobaczy właściwe słowo.

217

— Do czego?

Kathy stanęła z ręką na biodrze i wydmuchnęła obłok dymu z dala od strumienia światła.

— Wiesz, ile czasu potrzeba na uzyskanie decyzji, że według prawa ktoś jest martwy? Wiesz, jak długo trzeba czekać na unieważnienie ślubu przez Kościół?

— Pewnie kilka miesięcy.

— Pomyliłaś się, młodsza siostrzyczko. — Kathy była o cztery minuty starsza. — Dłużej. Właśnie tak to się zaczęło. — Kiedy ciocia Connie ogłosiła zaręczyny i wyznaczyła datę na grudzień, Kathy była tak samo zaszokowana jak wszyscy. Zakładała, że Connie jest w ciąży, lecz przypadkowe odkrycie w łazience Connie wykluczyło taką możliwość. Kathy, jak to ona, poszła do biblioteki i wykonała kilka telefonów. Potrzeba całego roku, by państwo oficjalnie uznało człowieka za zmarłego, i jest to skomplikowany proces. Większość unieważnień, nawet gdy kobieta zostaje porzucona, trwa równie długo.

— Och, daj spokój — śachnęła się Francesca. — I to wszystko?

Wpłata na fundusz czyjejs kampanii wyborczej, druga na rzecz Rycerzy Kolumba i wszystko ulega przyspieszeniu. Tak już jest na tym świecie.

Kathy pokręciła głową i spojrzała w drugą stronę.

— Nie kapujesz. Ona nie stara się o unieważnienie. To kłamstwo. Nie potrzebuje unieważnienia. Oni nas okłamali, zatuszowali

spraw

— ę.

KW

to u

j

z e

a k

t

u C

szar

o lo

w

a n

ł i

? e

z

Kt n

o i k

t n

o ą

s ł

ą. Z

„ O

O S

nita

" ł

?

zamordowany.

— Wujek Mike i ludzie, których kontroluje.

— Jesteś niedorozwinięta — parsknęła Francesca. — Nawet nie było pogrzebu wujka Carla.

— Akt zgonu jest w archiwum — odparła Kathy. — Poszłam do sądu i znalazłam.

— ZałoŜę się, Ŝe w nowojorskiej ksiąŜce telefonicznej jest ze dwudziestu ludzi nazwiskiem Carlo Rizzi.

Kathy stała w ciemności, paląc papierosa i kręcąc głową.

— Ludzkie oko jest całkowicie bierne — stwierdziła, bez wątpienia cytując jakiegoś profesora lub ksiąŜkę. — Tylko mózg widzi.

— Co to ma znaczyć?

Kathy nie odpowiedziała. Dopaliła papierosa, zapaliła następne dwa i znów zaczęła mówić. Pewnej niedzieli spotkała się z ciotką 218

Connie na lunchu w hotelu Waldorff. Connie przyszła pijana z męŜczyzną, który nie był Edem Federicim. Pocałowała go na poŜegnanie i usiadła, a gdy Kathy spytała ją wprost, jak przebiega sprawa uniewaŜnienia ślubu, wypaliła: Carlo nie zniknął, Mike go zabił. Podniosła rękę, Ŝeby Kathy nic nie mówiła. Była podpita, lecz głos miała pewny. Mike go zabił albo kazał zabić, bo Carlo zabił twojego ojca.

To Carlo zabił Sonny'ego.

Francesca parsknęła śmiechem.

Oczy Kathy były pozbawione Ŝycia.

— Connie powiedziała, Ŝe Carlo ją pobił, wiedząc, iŜ tata pospieszy jej na ratunek. Kiedy do niego zadzwoniła, tata właśnie tak zrobił, a raczej próbował. MęŜczyźni uzbrojeni w, karabiny maszynowe zastrzelili go, kiedy zatrzymano go przy budce na Jones Beach Causeway.

— Ciocia Connie postradała zmysły — stwierdziła Francesca. — I ty teŜ, jeśli w to wierzysz.

— Po prostu mnie wysłuchaj, dobrze? — poprosiła Kathy.

Francesca milczała.

— Ochroniarze taty zjawili się na miejscu tuŜ po jego śmierci i zabrali ciało do przedsiębiorcy pogrzebowego, który był winien przysługę dziadkowi. Œadna informacja o tym zdarzeniu nigdy nie przedostała się do gazet. Kilku gliniarzy dostało łapówki, Œeby opisać wszystko jako wypadek.

— Tata nie miał ochroniarzy. Nikt... — Chciała powiedzieć

„Nikt nie zabił taty”, lecz nie mogła.

Kathy wyrzuciła niedopałek.

— Daj spokój. Nie pamiętasz tych ochroniarzy?

— Wiem, o kim mówisz, ale to byli ludzie z jego firmy.

Importerzy.

Kathy zagryzła dolną wargę.

— Naprawdę myślisz, Œe Œartowałabym na ten temat?

— Ja nie myślę, Œe Œartujesz. UwaŜam po prostu, Œe się mylisz.

— To jest trudne — przyznała Kathy. — Po prostu mnie wysłuchaj.

Francesca Œciągnęła brwi i machnęła ręką.

— Dobrze — podjęła Kathy. — Ciocia Connie wyjaśniła, Œe ci... Ci męŜczyźni czekający na tatę przy budce pracowali dla tych samych ludzi, którzy zapłacili wujkowi Carlowi, Œeby ją pobił.

Mówiąc to, szlochała, i wierz mi, gdybyś ją wtedy zobaczyła, 219

uwierzyłabyś jej. Jej mąŜ wziął pieniądze za to, Œe ją pobije i zrobił

to. A zrobił po to, Œeby tamci ludzie mogli zabić jej brata. Po to, by mogli zabić tatę...

— Przestań.

— ...a ona została z nim jeszcze przez siedem lat. Pieprzyła się z nim jeszcze...

— Dość.

— ...przez siedem lat i miała z tym potworem dzieci. Ale to jeszcze wcale nie wszystko, o nie.

Connie mówi, Œe to byli ci sami ludzie, którzy zabili dziadka Vita, i którzy zabili Œonę wujka Mike'a.

— Po pierwsze — odezwała się Francesca — ciocia Kay...

Kathy znów powstrzymała ją ruchem ręki. Nie Kay, odparła.

Jego pierwszą Œonę, tę z Sycylii, Apollonię, o której Kay nie wie.

Wyleciała w powietrze od bomby podłożonej w samochodzie.

Apollonia?, pomyślała Francesca. Jakaś bomba w samochodzie?

Kathy miała dość wyobraźni, by zmyślić takie niestworzone historie, ale ciocia Connie na pewno nie. Jeśli Connie naprawdę tak

powiedziała, to albo dała się nabrać na czyjeś kłamstwo, albo mów

K i

ałta

h p

y r

a

ow

p d

o ę.

w

iała dalej. Historie, które usłyszała od Connie, zdołała później sama zweryfikować. Z każdą chwilą jej głos robił

się zimniejszy. Mówiła pięć minut albo pięć godzin, Francesca tego nie wiedziała. Nie mogła tego dłużej znieść i nie mogła się poruszyć. Skoncentrowała się na trzaskach zimnych ogni na podwórzu i śmiechu dzieci. Później zauważyła, Œe odgłosy znikły, lecz nie słyszała, jak cichną. Przez chwilę skupiła się na śniegu topniejącym w jej włosach. Próbowwała patrzeć na siostrę i obok niej, na zimowe resztki ukochanego ogrodu dziadka, w którym zmarł szczęśliwy, w spokoju.

— ...właśnie dlatego ciocia Kay została katoliczką i chodzi na mszę codziennie, a czasem dwa razy na dzień. Padają na kolana i modlą się, Œeby dusze ich mężów morderców zostały uwolnione z piekła, i tak samo powinna robić mama, bo dusza naszego ojca...

Nagle, ni stąd, ni zowąd, Francesca zobaczyła Kathy zwiniętą na śniegu. Znów krwawiła, tym razem z nosa. Papieros wciąż

tkwił w jej ustach. Okulary spadły z nosa i wylądowały metr dalej.

Dłoń Franceski była wciąż zwinięta w pięść i bolała. Kathy się poruszyła.

220

— Wariatka — mruknęła.

W uszach Franceski dudniła fala wściekłości. Kopnęła Kathy w Śebra. Nie trafiła dokładnie, lecz Kathy stęknęła z bólu. Francesca odwróciła się i zaczęła biec.

Leżała na boku na skraju podwójnego łóżka w zaciemnionym pokoju, należącego kiedyś do wujka Freda, który mieszkał tam z rodzicami do trzydziestki. Od dziesięciu lat był w Las Vegas, lecz wystrój — ciemne zasłony i drewniana boazeria, wyblakła mapa Sycylii i obrazek przedstawiający wędkarza, wyglądający jak od Searsa — pozostał niezmienny, jak gdyby babcia Carmela spodziewała się, że syn lada dzień znów się wprowadzi.

Po jakimś czasie — to mogły być godziny albo minuty —

Francesca usłyszała, że ktoś porusza się w łazience i odkręca wodę w rytmie charakterystycznym dla Kathy. Usłyszała jej kroki, a potem usłyszała, jak siostra kładzie się na drugiej stronie łóżka.

Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że Kathy leży na boku odwrócona do ściany — z wyjątkiem piśmami była lustrzanym odbiciem Franceski, która miała na sobie nocną koszulę.

Długo tak leżały. Gdyby Francesca nie spędziła tysięcy godzin z siostrą w tym samym łóżku, mogłaby sądzić, że Kathy usnęła.

— Dlaczego powiedziałaś, że jestem w ciąży? — zapytała Francesca.

— O czym ty mówisz?

— Kiedy przyjechaliśmy. Podbiegłaś do samochodu, jakbyś naprawdę ucieszyła się na mój widok.

Ktoś znów mógłby pomyśleć, że Kathy usnęła.

— Aach, to — mruknęła wreszcie Kathy. — Nie pamiętasz?

Kiedy odstawiliśmy cię do szkoły, ostatnią rzeczą, jaką mi powiedziałaś było, że bym nie zepsuła sobie oczu czytaniem. A ja odparłam: „Nie zajdź w ciążę”. Przyjechałaś i od razu z typową dla siebie spostrzegawczością mówisz mi, że noszę okulary. Więc ja...

— To było odwrotnie. Ty powiedziałaś „Nie zajdź w ciążę, a ja”, „Nie psuj sobie wzroku czytaniem”.

— Przyznaję się do pomyłki. A ty?

— Nie — odparła po chwili Francesca. — Oczywiście, Œe nie.

— Nie? Wcale?

— Dlaczego? A ty?

221

— Nie — odparła Kathy tak szybko, Œe Francesca domyŒliła się, Œe odpowiedź brzmi „tak”.

Nie rozmawiały o tym, co stało się za reflektorem, o historiach opowiedzianych przez Kathy ani nawet o jej okularach. Nadal leŒały tyłem do siebie po przeciwnych stronach łóŒka. Nie spały jeszcze, gdy babcia zeszła na dół i zaczęła smaŒyć parówki, co oznaczało, Œe prawdopodobnie było około wpół do piątej. W końcu jednak zasnęły. Poruszyły się, tak jak robią Œpiący ludzie. I zaczęły przesuwać się do Œrodka łóŒka, splotły ręce i nogi. Wydawało się, Œe ich długie włosy takŒe się splatają. Oddychały jak jedna, łaskocząc się oddechami w szyje.

— Och, siostrzyczko — szepnęła w ciemności Francesca, myŒ-

ląc, Œe Kathy Œpi. — Nie mogę uwierzyć, Œe ci to zrobiłam.

— MoŒe ja jestem tobą — mruknęła Kathy i w tej samej chwili znów zasnęły.

Francescę obudziły przenikliwe krzyki dzieci i szmer głoŒów dorosłych, którzy je uspokajali. Usiadła. Za oknem padał Œnieg.

Harmider na dole robił się coraz głoŒniejszy. Ponad nim unosił się głoŒboki głoŒ babci Carmeli wołający *Buon Natale!* KtoŒ przyjechał.

Francesca zbiegła po wąskich schodkach. W kuchni stało mnóstwo jedzenia, lecz nikogo nie było. Usłyszała kroki dwóch osób i zatrzymała się, Œeby nie dostać w twarz drzwiami. KtoŒ je otworzył.

Kathy i Billy byli wykąpani i ubrani, i uŒmiechali się, jakby złapali Œwiętego Mikołaja na gorącym uczynku i przejechali się jego saniami. Billy wystroił się w czerwony blezer, zielony krawat i koszulę tak białą, Œe zawstydzała Œnieg. Jej rękawy nie były postrzępione. To była biel ptasiego mleczka.

— Nigdy nie zgadniesz, kto właŒnie przyjechał z twoim wujkiem — rzekł Billy.

— Z którym wujkiem? — spytała Francesca, przyglądając potargane włosy. Nawet nie zdąŒyła umyć zębów.

— A jak myŒlisz? — odpowiedziała pytaniem Kathy.

— Z Mikiem. Przyszli tu oboje, bo Œcigali się, które pierwsze przekaŒe mi tę nowinę.

— Och, przestań. — Kathy przewróciła oczami. — Z wujkiem Fredem. — Nie miała okularów. Jej oko zsiniało, ale nie za bardzo.

Trzeba było dobrze się przyjrzeć, żeby coś zauważyć.

— No, zgadnij — zachęcił Billy.

222

— Poddaję się — odparła Francesca. — Święty Mikołaj.

— Ktoś jeszcze dziwniejszy — powiedziała Kathy.

— Kto może być dziwniejszy od Świętego Mikołaja?

— Deanna Dunn — odrzekł Billy.

Teraz Francesca przewróciła oczami. W czasie swojej ostatniej randki poszli do kina na film z Deanną Dunn, w którym bohaterka ma głuche dziecko, a jej mąż ginie w walce z wielkim pośarem w Chicago.

— Tak, tak.

— Jestem poważny jak sędzia. — Billy podniósł rękę, gotów złożyć przysięgę. Mimo że był pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, a Billy miał dwadzieścia dwa lata i czerwony blezer, łatwo było wyobrazić go sobie jako sędziego.

— On nie śartuje — zapewniła Kathy. — To naprawdę jest Deanna Dunn, słowo. — Przyłożyła rękę do serca. — Słyszałam plotkę, że wujek Fredo się z nią spotyka, ale...

Właśnie w tej chwili drzwi kuchni się otworzyły i za babcią Carmelą do kuchni weszli wujek Fredo i Deanna Dunn. W rzeczywistości głowa aktorki wydawała się ogromna. Kobieta była bardzo wysoka i raczej piękna niż ładna. Na palcu jej lewej ręki lśnił

pierścionek z diamentem, tak samo absurdalnie ogromny jak jej głowa.

— Pani Dunn! — wykrzyknęła Francesca.

— A nie mówiłam? — spytała Kathy, choć w rzeczywistości Billy to powiedział. Kathy lubiła zagraniczne filmy. Z Deanny Dunn sobie śartowała. Lecz teraz patrzyła na aktorkę, tak że można ją było wziąć za sekretarkę jej fan klubu.

— Och, kochanie, mów mi Deanna. — Jej akcent nie był ani amerykański, ani brytyjski. Mówiła głosem, który w dziwny sposób różnił się od ludzkiej mowy.

Ujęła rękę Franceski.

Deanna Dunn, aktorka magnes. Francesce zakręciło się w głowie. To, co stało się wczoraj w Jacksonville, w pośredni sposób sprowokowało wieczorną rozmowę z Kathy. Nie miało nic wspólnego z surrealistycznym widokiem Deanny Dunn w tej starej,

dobrze znanej kuchni. Syciem Franceski zaczęła rządzić logika snu i

C k

hł os

pz

am

k a

zr u

b .

ogatej rodziny, jej ukochany, grzecznie podał czarną kawę dwukrotnej laureatce Oscara. Babcia Franceski zaintonowała kolędę — nie religijną, lecz o Świętym Mikołaju. Wujek Fredo 223

stał oparty o futrynę drzwi, gapiąc się na swoje buty. Wyglądał, jakby najadł się nieświeżych maśły. Z tyłu za nim, jak gdyby na sygnał, buchnęła feeria fleszy. Francesca miała wrażenie, że za chwilę do kuchni wtargnie tłum walczących o najlepsze miejsce reporterów z aparatami. Fredo nawet nie podniósł głowy.

Z sąsiedniego pokoju ponad okrzyki podziękowania wzniósł się głos matki — głos, którym Francesca była przez całe życie okłamywana.

— Hej, wy tam! Jeśli się nie pośpieszycie, ominie was Gwiazdka!

— Gwiazdka! — krzyknęła Deanna Dunn, przemykając obok wujka Freda. Aktorka nie była wysoka, choć taka się wydawała, stojąc obok Freda, który był niski. Poza tym poruszała się jak wysoka kobieta i miała ogromną głowę. Oko jest bierne. Tylko mózg umie widzieć. — Jakie to cudowne!

KSIĘGA IV

1956-1957

Rozdział 14

Tej wiosny, po miesiącach negocjacji, komisja wreszcie wyraziła zgodę na spotkanie. Pierwszym punktem programu miało być dokooptowanie Louiego Russa z Chicago na ósmego członka.

Następnie miano formalnie zaaprobować porozumienie pokojowe.

Zaproszono głowy wszystkich dwudziestu czterech rodzin i postanowiono, że zostanie zrobione wszystko, by zapewnić pokój na dłużej.

Michael Corleone poleciał do Nowego Jorku wczesnym samolotem, tylko w towarzystwie trzech ochroniarzy. Hagen, oficjalny kandydat do Senatu, nie mógł w tym uczestniczyć, jako że wszystkie ważne punkty porozumienia zostały już ustalone, Michael

nie

potrzebował u swego boku błyskotliwego stratega, lecz człowieka, którego sama obecność świadczy o stabilizacji i szacunku dla tradycji

Michael

Corleone

nie

potrzebował

u swego boku

błyskotliwego

stratega,

lecz człowieka,

którego

sama obecność

świadczy

o stabilizacji

i szacunku

dla tradycji

Michael

Corleone

nie

potrzebował

ł lny

i m

gd c

y on

w s

y ig

bi li

e e

r r

a e

ć

b

s y

t ł

a łC

e l

g e

o m

c en

o z

n a

si .

gliere. To

stanowisko wymagało człowieka posiadającego unikatowy szereg sprzecznych umiejętności. Człowieka, który potrafi knuć, a zarazem jest lojalny. Negocjatora o makiawelicznych zdolnościach,

który nie jest podstępny. Człowieka energicznego, lecz bez osobistych ambicji. Vito miał być ostatnim człowiekiem na tym stanowisku.

Dyrektor generalny firmy ma zarząd i pułk prawników. Prezydent ma sekretariat, rząd, sędziów zawdzięczających mu stanowiska oraz kontrolę nad najpotężniejszą armią świata. Organizacja Corleone miała rozwijać się w otwartym środowisku według tych samych reguł.

Clemenza osobiście wyjechał na lotnisko. Sam widok grubasa, 227

który przestał Źuć wykałaczki i wrócił do cygar, był krzepiący. Od czasów dzieciństwa Michaela zmieniło się w nim tylko to, Źe teraz chodził o lasce.

Wjechali na Manhattan i zatrzymali się przy cukierni na Mulberry, Źeby kupić pudełko ciastek, następnie dotarli do mieszkania

przy Dziewięćdziesiątej Trzeciej Zachodniej, gdzie Corleone trzymali zakładnika z rodziny Boccicchio — dalekiego kuzyna o dziecięcej twarzy, który wczoraj przybył z Sycylii. Chłopak grał

w domino z Frankiem Pantsem, Małym Joem Bonem i Richiem

„Dwa Gnaty” Nobiliem — ludźmi Clemenzy. Zakładnik nie mógł

mieć więcej niż piętnaście lat. Wszyscy wstali. Michael i Pete obejmowali i całowali każdego po kolei. Łamaną angielszczyzną chłopak, który nazywał się Carmine Marino, zwrócił się do Michaela „don Corleone” i podziękował mu za to, Źe dostał szansę zobaczenia Ameryki. Jedyne okno w mieszkaniu było zamalowane czym

— ś

, c

P o

r

e w

g y

o głą

— d

r a

z ł

e o

k ł j a k

M

i s

c m

h o

aeħła

..

— *Fa niente.*

— Nie przywieźliście kawy? — spytał Richie Dwa Gnaty, otwierając pudełko.

— Zrób kawy, ty leniwy skurwielu — rzucił Clemenza. — Albo skocz do delikatesów. Dobrą cukiernię trudno znaleźć, a kawę można dostać wszędzie. Co, mam rozlewać kawę w moim czystym samochodzie, żeby dostarczyć ci tutaj nędzne zimne resztki?

Clemenza puścił oko, klepnął Frankiego po plecach, wyjął

ciastka i niczym przewodnik turystyczny wymienił ich zalety.

Rozmowy pokojowe zaczęły się o drugiej. Wszystkie rodziny przychodzące do stołu trzymały teraz zakładników z rodziny Boccicchich. Zakładnicy przybywali chętnie. Właśnie w ten sposób rodzina Boccicchich zarabiała pieniądze. Gdyby na przykład coś stało się Michaelowi lub Clemenzy, jeden z ich ludzi zabiłby tego chłopca, a Saden mężczyzna z rodu Boccicchich nie spocząłby dopóty, dopóki śmierć zakładnika nie zostałaby po-mszczona — nie na jego zabójcy, lecz na tych, którzy uczynili coś złego współpracownikom zabójcy. Bocchicchio byli najbardziej zaślepionym i mściwym klanem w historii Sycylii, całkowicie obojętnym na więzienie lub śmierć. Nie było przed nimi ochrony.

Rękojmia Boccicchich była lepsza niż stu ochroniarzy. Ci, którzy siadali do stołu rokowań, przychodzili tylko ze swoimi *consigliere*.

W samochodzie Michael zapytał Clemenzę, ile jego zdaniem lat ma Bocchicchio o twarzy dziecka.

228

— Carmine? — Grubas długo się zastanawiał. — Nie jestem już w tym dobry. Nagle wszyscy wydają mi się dziećmi.

— Wygląda na nie więcej niż piętnaście lat.

— Słyszałem, że nie zostało wielu Bocchicchiów — odparł

Clemenza. — Ale z drugiej strony, dla kogoś w moim wieku nawet ty wyglądasz na piętnaście lat. Z całym szacunkiem.

— Jasne. — Piętnaście lat. Kiedy Michael tyle miał, wstał od stołu przy obiedzie, spojrzał ojcu w oczy i oznajmił, że prędzej umrze, niż zostanie takim człowiekiem jak on. Na myśl o tym, co stało się później, Michael wciąż dostawał dreszczy, nawet po tylu latach. Gdyby nie ta chwila durnej chłopięcej dumy, czy kiedykolwiek znalazłby się w tym biznesie?

— Nawet bym nie pomyślał, że takiemu dziecku pozwolono samemu tu przylecieć — rzekł Michael.

— On nie przyleciał — sprostował Clemenza. Przyplynał

statkiem razem z większością innych zakładników. Trzecią klasą.

Wciąż mają coś takiego na statkach? Ta najtańsza część. Wątpię, czy Bocchicchiowie w ogóle mu coś zapłacą. Przeważnie przysyłają krewnych siódma woda po kisielu, którzy chcą zamieszkać w Ameryce. My płacimy za to królewski okup, ale jak oni rozdzielają to

boga

C c

l t

e w

mo

e ?

n Z

zaa

pom

kr n

ę i

cji.

ł smutno swoją dużą głową. Przejechali przez

most Tappan Zee i ruszyli na północ.

— Więc powiedz, co to za plotki słyszałeś o Fredzie? —

zagadnął po długim milczeniu Michael.

— Jakie plotki? — odpowiedział pytaniem Pete.

Michael patrzył prosto przed siebie.

— Już ci mówiłem. Za dużo pije, a reszta pochodzi ze złych źródeł.

Michael wziął głęboki oddech.

— Słyszałeś, że jest homoseksualistą?

— Co z tobą? Myślałeś, że ja coś takiego słyszałem?

— Męszczyzna,

którego pobił

w San Francisco, był

homoseksualistą.

— Ale to nie znaczy, że nie był złodziejem. Można być złodziejem i pedziem. Gdyby każdy, kto zabił pedzia, stawał się pedziem, byłoby ich od cholery.

Fredo opowiadał, że po pogrzebie Molinariego wyszedł się przewietrzyć i wstąpił na drinka. Jakiś chłopak z baru poszedł za nim do hotelu, a potem włamał się do jego pokoju i chciał go

okraść. Fredo go pobił i chłopak zmarł. Historyjka była idiotyczna

— na przykład, dlaczego chłopak nie okradł Freda na ulicy?

Po co miałby czekać, skoro później musiał otwierać zamek pokoju Freda? Poza tym niedawno zmarli rodzice chłopaka zostawili mu prawie trzydzieści tysięcy dolarów — ładna fortuna, ale dlaczego w takim razie miałby kogokolwiek okradać? Hagen, działając wyłącznie jako adwokat, zdołał utrzymać sprawę z dala od prasy. Dopilnował, żeby przeciwko Fredowi nie skierowano oskarżenia, lecz wrócił z San Francisco z niepokojącymi informacjami.

— Więc jesteś pewien, że nigdy o tym nie słyszałeś? — dociekał

Michael.

— Nie mówiłem, że nigdy o tym nie słyszałem. Powiedziałem, że te informacje pochodziły z niepewnych źródeł. Gdybym wierzył

we wszystko, co słyszę ze złych źródeł, nigdy bym... Jezu Chryste, Mike. To twój brat. Może narobił

jakichś głupstw, złał jakiegoś pedzia i tak dalej, ale nie wierzę, że możesz go uważać za pedzia.

Mówimy o Fredzie, tak? Kręcone włosy, wysoki? Ten, co puszcza wszystką forszę na skrobanki i biżuterię, jest Sonaty z zakichaną gwiazdą filmową, o tym Fredzie mówimy? Powiem ci, co słyszałem z dobrego źródła. Od tego waszego lekarza. Segal się nazywa, tak?

Powiedział mi, że Fredo przeleciał jakąś laskę z rewii już po tym, jak zaczął się spotykać z Deanną Dunn. Marguerite coś-tam.

Francuzeczka. Czy tak zachowuje się pedał?

Twarz Michaela pozostała bez wyrazu.

Dał Fredowi szansę wykazania się, i co? Zaczął tylko jeszcze więcej pić. I zaliczać więcej pańienek. Michael nie był pewien, co Fredo próbował udowodnić, śniąc się z tą hollywoodzką *puttaną*. Choć jeśli coś może sprawić, że mężczyzna staje się bardziej mężczyzną, to właśnie małżeństwo. Poza tym posiadanie przez mężczyznę z rodziny Corleone gwiazdy filmowej za żonę miało pewną wartość dla wizerunku rodziny, nawet jeśli ta gwiazda ma już najlepsze lata za sobą. Michael musiał to przyznać Fredowi.

— Wiesz co? — rzekł Pete. — Powiem ci coś, czy ci się spodoba, czy nie. To o ciebie martwił się twój ojciec. Przez jakiś czas.

Michael przechylił się i włączył radio. Clemenza nie powiedział

mu nic, czego Michael nie słyszał bezpośrednio od ojca. Milczeli przez wiele minut.

— Bocchicchio — odezwał się wreszcie Clemenza.

230

— Co? — spytał Michael. Milczenie trwało tak długo, że zdążył

pomyśleć o kilku innych sprawach. — Co z nimi?

— że załatwili sobie taki biznes, tylko tyle. Jak ktoś, zwłaszcza tak głupi jak typowy Bocchicchio, mógł wymyślić taką usługę?

— Jeśli coś jest twoim przeznaczeniem, nie musisz o tym myśleć. Wystarczy, że posłuchasz.

— Co to znaczy, posłuchasz?

— Jeśli znam kogoś, kto odnalazł swoje przeznaczenie, to jesteś nim właśnie ty, Pete.

Clemenza zmarszczył czoło i zastanowił się. Po chwili na jego ustach pojawił się uśmiech.

— Słuchaj! Chyba słyszę wołanie przeznaczenia. — Uniósł

brwi, udając zaskoczenie i przyłożył dłoń do lewego ucha, jakby próbował usłyszeć odgłos dochodzący z lasu. — Pete — powiedział

teatralnym szeptem — zjedź na pobocze i idź się odlać.

Nick Geraci pamiętał katastrofę i wszystko do momentu, gdy stracił przytomność w wodzie. Prawdopodobnie można by było sprawdzić, czyje palce oderwał od siebie i złamał, lecz Nick miał nadzieję, że nigdy się tego nie dowie.

Był nieprzytomny przez cały czas pobytu w szpitalu i jeszcze kilka dni. Kiedy się wreszcie ocknął, zobaczył, iż jest w cytrynowożółtym pomieszczeniu, tak małym, że podwójne łóżko, na

którym leżał, prawie je wypełniało. Jego noga w gipsie była przytwierdzona do wyciągu przyczepionego do belki w suficie.

Światło wlewało się z drzwi balkonowych. To nie był szpital, lecz Geraciego podłączono do rozmaitych szpitalnych urządzeń.

Spojrzał na sufit, próbując zrekonstruować wydarzenia, które dopro

Wiw

elad

u, z

ily

wi g

el o

u do

le t

ke

ag

r o

z

ym

ijejsstc

a.

ś G

ydd

azi

me

i k

, ol

r w

zeie

c k

z o

j n

a o

s

n b

a,y

ło

l .

e cz kiedy

pierwszą osobą, którą Nick zobaczył po odzyskaniu przytomności, okazał

się wyglądający na śyda starzec ze stetoskopem, przyjął — głupio, o czym wiedział od samego początku, lecz, jak się później okazało, równieś słusznie — Śe znalazł się w tym miejscu dzięki łasce swoje

— go

O o

b j

u c

da

z ic

ł h

r

s z

i e

ę, s tn

g eg

n o

i ,

u sV

z i

e n

! cent

— a

z „

a ś

wy

od

ł a

ał" F

leo

kr1

a e

r n

z zy

p .

r zez ramię. Z

sąsiedniej sali dobiegł szmer krzesel odsuwanych od stołu, ktoś podniósł słuchawkę telefonu i zaczął wykręcać numer.

— Kim pan jest? — wymamrotał Geraci. — Gdzie jestem?

231

— Jestem nikim — odparł lekarz. — I nawet mnie tu nie ma, a gdybym miał zgadywać, to i ciebie tu nie ma.

— Od jak dawna tu leŜe?

Lekarz westchnął. Osluchał Geraciego i opowiedział mu pokrótce o obraŜeniach, jakie odniósł. Czytając między wierszami, Nick domyślił się (znów trafnie), Ŝe znajduje się w tym pomieszczeniu krócej niŜ tydzień. Najbardziej bolały go Ŝebra, lecz

miał

je

złamane wiele razy i wiedział, Ŝe to nic. To samo dotyczyło nosa.

Lekar

— z

zd

W ją

dł

un

Ŝ o

s g

z ę

ej G

p era

s c

p ie

e g

kt o

y z

w iw

e yc

m i

aą

r g

t u

w .i ę się tylko o wstrząśnienie

mózgu — zakomunikował. — To nie było pierwsze?

— Boksowałem — odparł Nick.

— Taak. I wybacz, Œe to powiem, ale nie boksowałeś najlepiej.

— Widział mnie pan na ringu?

— Nigdy wcześniej cię nie widziałem. Kimkolwiek jesteś, to było ostatnie wstrząśnienie, jakie moŒesz znieść. Po następnym zamienisz się w uślinionego kretyna.

— Więc mówi pan, Œe jeszcze nie jestem uślinionym kretynem?

To świetna wiadomość, doktorze.

— Niczego nie mówię. Ale powiem, Œe twoja zdolność odzyskiwania zdrowia jest wprost

nadzwyczajna.

— To u nas rodzinne — poinformował Geraci. — Mojemu ojcu udzielono ostatniego namaszczenia po kraksie motorówką, a miesiąc później grał w kręgle, i to jak.

— Nie wspominając o tym, Œe dostał kulkę w brzuch w piątek, a w poniedziałek znów wsiadł do cięŜarówki.

— Wie pan o tym?

— Ja nic nie wiem. — Lekarz wzruszył ramionami. — Ale nie martw się. — Postukał stalówką pióra w gips na nodze Nicka. —

Znam się na medycynie.

Kazał Geraciemu nie ruszać się i wyszedł.

Nick wyczuł pączki. Od Prestiego. Kolejne idiotyczne przypuszczenie — kto potrafi odróŜnić zapach jednej cukierni od drugiej?

Nawet gdyby znajdował się w Cleveland, nigdy by nie oczekiwał, Œe trafi do Małej Italii. To zbyt oczywiste. Lecz po kilku minutach usłyszał, Œe ktoś wspina się po schodach. Drzwi się otworzyły i utykając, stanął w nich Rechoczący Sal Narducci z wyciągniętą ręką, w

— k

C t

h ó

c r

ee

s j

z t

r

pz

oy

cm

z a

u l

ć d

siu

ę Ŝ

ą

j

a t

ko

rb

w ę

d p

o ą

m cz

u k

? ów

No ,o

d

w

eP

ź r

e

s s

o ti

b e

i g
e o
d .
wa.
Nick Geraci tak właśnie zrobił.
232
MęŜczyźni, którzy przyszli z sąsiedniego pomieszczenia, podsunęli Rechoczącemu Salowi krzesło.
Sal usiadł i zaczął opowiadać.
Geraci został przyniesiony do mieszkania na trzecim piętrze budynku w Małej Italii w Cleveland
tylko kilka przecznic od wąskiego
domu, w którym się wychował. Nikt nie wiedział, Ŝe tam jest oprócz najbardziej zaufanych ludzi
dona Forlenzy. Był to wyłącznie jego pomysł, zrealizował go błyskawicznie. Obawiał się, Ŝe nawet
jeśli nikt nie jest winny katastrofy, winę i tak przypisano by albo jego o
— rga
Ni n
e i
za
m c
u j
s i,
z
ęa
lcb
i o
t c
e h

g r

o z

e

mśn

ó ia

wi k

ć o

wi

— .

ciągnął Narducci. — W naszej

tradycji tak jest, Œe jeśli ktoś z przyjaciół dostaje ataku serca, ludzie zaczynają knuć, jak by się tu zemścić na panu Bogu.

— Byłeś tam, Sal. Wiesz, jak Frank... Jak to było z tą walką i donem Falcone.

— O tak! Niezły cios z pozycji siedzącej.

Cała przyjemność po mojej stronie, pomyślał Geraci.

— Mam na myśli mecz bokserski. On nalegał...

— Jego faworyt wygrał, wiesz? Zarobił pięć do jednego. Gdyby Frank nie wykitował, to byłby jego szczęśliwy dzień.

— Moja rodzina —jęknął Nick — Œona i...

— Charlotte i córki mają się świetnie — zapewnił Sal. — Twój stary jest wciążŒ... no wiesz. Twój ojciec. Szczyry i ocet, zgadza się? Nie mówi duŒo, ale o ile nam wiadomo, czuje się dobrze.

— A oni wiedzą, Œe ze mną teŒ wszystko w porządku?

— Wszystko w porządku — powtórzył Narducci. — Nie wiem.

A tak się czujesz?

— Niedługo będę. Facet, który jest prawdopodobnie lekarzem, powiedział, Œe według niego nie jestem jeszcze uślinionym kretynem.

— Kretynem. Co ci lekarze wiedzą? Więc powiedz mi, co się tam stało? Dlaczego uślyeś słowa „sabotaŝ”?

— Nigdy tak nie powiedziałem.

Narducci ŝciągnął brwi.

— Zdawało mi się, ŝe tak właśnie powiedziałeś.

— Hm. Niczego takiego sobie nie przypominam. Absolutnie.

— Absolutnie. Nie powiedziałeś tak przez radio? Do wieŝy kontrolnej? Niczego sobie nie przypominasz?

— Nie — skłamał Geraci.

— Nie? Pomyśl.

Geraci wiedział, dlaczego Narducci tak się o to dopytuje. Gdyby 233

to był sabotaŝ, oznaczałoby to, ŝe ktoś dostał się na wyspę i go dokonał. Nawet gdyby później się wydało, kto za tym stał, wina spadłaby na dona Forlenzę.

Czy to był sabotaŝ? Tyle rzeczy poszło źle w tych ostatnich chwilach. Geraciemu zdawało się, ŝe wszystko pamięta, a mimo to tak naprawdę nie wiedział, co się stało. Nie moŝna było wykluczyć, ŝe wina leŝała całkowicie po jego stronie. Gdy zorientował się, ŝe samolot runie, zaczął gadać i popełniać głupstwa. Palnął coŝ o sabotaŝu. Wieŝa powiedziała: „Powtórz”, a on zmilczał. To źle, ŝe pomyślał wtedy o Charlotte i córkach, o ich słodkich twarzach ŝciągniętych bólem na wiadomość o jego śmierci. Nie trwało to pewnie dłuŝej niŝ kilka sekund, ale kto wie? To mogły być te sekundy, których mu zabrakło. Nie mógł zobaczyć pasa, ale wiedział, ŝe nie jest daleko od brzegu. Był jakiś problem ze sztucznym horyzontem, lecz mogło go spowodować wiele rzeczy. Przyrządy przekazywały sprzeczne informacje, a on postąpił zgodnie z tym, co czuł. Jeśli będziesz słucał swoich odczuć, zabiją cię, ostrzegał

jego instruktor, który był kiedyś pilotem oblatywaczem.

Rzeczywistość to absolut, prawil niczym kaznodzieja. Dobry pilot nigdy

nie

traci tego z pola widzenia. Geraci obawiał się, ŝe właśnie to mogło mu si

—ę

p

Rrz

ó y

Ŝ t

n r

ea

f

r i

zć

e.

czy nawaliły — rzekł Geraci. — Wszystko działa się szybko. Narducci czekał bez ruchu. — Jeśli powiedziałem coś o sabotaŜu, czego sobie nie przypominam, ale jeśli tak powiedziałem, to głośno myśląc. Chciałem powiedzieć, Ŝe to wykluczam.

—

Nickowi zdawało się, Ŝe skończył oba pączki, lecz ze zdziwieniem spostrzegł, Ŝe został jeden duŜy kawałek. Zjadł go. — To, co się stało,

— by

Nlio

c s

z t

y r

j as

zne

wi ,

n al.e

to n

— ie b

N y

ar ła

d

u n

c ic

ci z

yj

pa

o w

w i

t n

ó a

r .

z ył to kilka razy

bezbarwnym głosem. — Dobrze — rzekł wreszcie. — Mam jeszcze jedno pytanie.

— Zamieniam się w słuch.

— Powiedz mi o O'Malleyu. Kto wie, Œe to ty? Albo kto mógł

się domyŒlić? Na Œwiecie jest mnóstwo takich, którym udaje się róŒne rzeczy ŒczęŒliwie odgadnąć, pamiętaj. Wielu jest cwańszych, niŒ się wydaje. Nie spiesz się. Mnie się nie spieszy. Na samą myśl o tym, Œe muszę zejŒć po tych schodach... — Narducci aŒ się wzdrygnął.

To była krótka lista. ZnaleŒli się na niej tylko Narducci, Forlenza oraz czołowi przedstawiciele rodziny Corleone. Nie było powodów, 234

by jej nie wyrecytować. Gdyby donowi Forlenzy chodziło tylko o to, Œeby zatrzeć swoje Œlady, Geraci juŒ by nie Œył. JeŒli Forlenza i jego ludzie chcą pomóc mu wytłumaczyć się z tego, będą potrzebowali informacji.

Wąską drogą w północnej części stanu Nowy Jork, uczęszczaną zwykle głównie przez traktory i półcięŒarówki, poruszał się nie-regularny, lecz długi ciąg cadillaców i lincolnów. Mundurowi policjanci skierowali wóz Clemenzy na pastwisko za białym farmerskim domem ze Œcianami obłoŒonymi sidingiem. Sądząc po długim szeregu duŒych, równo zaparkowanych samochodów, byli

jednymi z ostatnich gości. Gdyby Hagen wciąż był *consigliere*, Michael usłyszałby, że Vito Corleone byłby jednym z pierwszych.

Można to było zrobić w taki sposób, a można było inaczej, czyli tak jak Michael. Nawet Vito w ostatnich miesiącach wciąż podkreślał, że Michael musi działać po swojemu. Clemenza gwizdał ludową piosenkę i niczego nie kwestionował, nawet tego, że musi tak da

W l

y e

s k

i o

e

d i

l ś

i.ć

n

Z a

a p

d i

o ec

m h

e o

mt ę

s .t ał namiot gościnny. Obok skwierczała na

obrotowym rośnie świnia tak wielka, że mogła uchodzić za młodego hipopotama.

Ani Michael, ani Clemenza nigdy nie uczestniczyli w takim spotkaniu, lecz szli do domu jak ludzie, którzy wiedzą, czego się spodziewać. Michael był tego nawet całkiem pewien. Ale to samo czuł, siedząc przykucnięty w amfibii u brzegu wyspy Peleliu tuż

przed desantem.

To nie to samo, powiedział sobie. Wojnę miał już za sobą. Przed nim był pokój.

— Co dziesięć lat, he? — Clemenza stuknął palcem w zegarek.

Wykorzystał ten gest jako dobry pretekst, by zatrzymać się na chwilę i uspokoić świszczący oddech.

— Jak w zegarku.

— Jeśli chodzi o ścisłość, minęło dopiero osiem — sprostował

Michael. Mimo rękojmi Bocchicchio zlustrował wzrokiem las, szukając snajperów lub kogoś, kto nie powinien tam być. Nawyk.

— Więc następnym razem minie dwanaście. Trzeba wziąć średnią. Hej, skubnijmy sobie kawał tej wielkiej pieprzonej świni.

Michael parsknął śmiechem.

— Jesteś pewien, że nie chcesz tego zajęcia na stałe?

Clemenza pokręcił głową i ruszył dalej.

235

— *A chi consiglia non vuole U capo.* Ten, który doradza, nie chce być szefem. To stare porzekadło. Nie mam nic przeciwko Hagenowi lub Gencowi, gdzie tam, ale ja jestem facetem, który pomaga.

Tylne drzwi się otworzyły. Przybyłych powitał chór pozdrowień, jakby wchodzili na przyjęcie do przyjaciół. Zerknąwszy szybko na piekącą się świnię, Clemenza klepnął Michaela w ramię i wkroczył

za nim do środka.

Nick Geraci przez kilka tygodni budził się w cytrynowośółym pomieszczeniu, otoczony zapachem pączków, słysząc krzątanie kobiet w pantoflach i ich rozmowy po włosku. Wiedział, że Charlotte i dziewczynki radzą sobie dobrze, a on wraca do zdrowia.

Powiedziano mu, że Vincent Forlenza i Michael Corleone robią wszystko, żeby wynegocjować układ, dzięki któremu będzie mógł

bezpiecznie wrócić do domu. Nie było prawie dnia, w którym nie słyszał, jakim jest szczęściarzem, że ma dwóch kochających ojców chrzestnych.

Nigdy nie poznał nazwiska starego lekarza ani w jaki sposób ów człowiek został dłużnikiem dona Forlenzy. To musiało być coś ważnego. żeby przygotować zwłoki, które znaleziono w wąwozie, doktor musiał stać przy ludziach Forlenzy z kilkunastoma ekspertami w rękę i wydawać polecenia,

jakie rany zadać.

MęŜczyzna

musiał być podobny wzrostem do Geraciego, a rany prawie identyczne z tymi, które odniósł. Doktor sam je zaszył, naśladowując dzieło partaczy z pogotowia. Nick nie dowiedział się teŜ, skąd wzięto zwłoki. W dniu, w którym wypuszczono go z Őóltego pomieszczenia i wysłano do rodziny w Arizonie, zadał tylko jedno pytanie: czy było wiadomo, ile ciała wyjedzą szczury, a jeśli tak, to skąd? Usłyszał, Őe twarz na szczęście została zmasakrowana, a szczury zagnieździły się w gnijących zwłokach. Czy dzieje się tak w sposób naturalny, kiedy ciało leŜy nieopodal rzeki? Czy trzeba

— by

A ło

c

o c

toś

zz

ar o

r b

ó i

Ŝ ć

n,i Ő

c e

a b

? y s

— ię

s

pu

yp

t e

ałw

n

R i

e ć

c ?

h oczący Sal, kiedy siedzieli

w karawanie, którym odwoŜono Nicka na dworzec.

Geraci wzruszył ramionami.

— Po prostu chcę wiedzieć.

— No i masz! — westchnął Sal, kiwając głową. — Znowu gadasz jak studencik z college'u.

236

— Mniej więcej.

— Na pewno są ludzie, którzy za tym nie przepadają.

— Na pewno są — zgodził się Geraci.

Od dawna obserwował Narducciego, znał sposób, w jaki Sal posługiwał się ciszą i powtarzaniem niczym echo. Ludzie nigdy nie znają samych siebie. Nawet na ringu moŜna ich dzięki temu znokautować.

— Natura pewnie i tak zrobiłaby swoje — odparł wreszcie Narducci. — Ale jak zwykle w takich wypadkach, kiedy sytuacja działa na twoją korzyść, i tak trzeba jej pomóc, Ŝeby mieć pewność.

Choć do Arizony było daleko, Geraci nie chciał wsiąść do luksusowego samolotu medycznego, mimo Ŝe był w nim sprzęt grający i ładna pielęgniarka. Nigdy więcej samolotów. Wysłali go więc w wagonie kolejowym w trumnie do tego samego domu pogrzebowego, do którego trafił tamtego lata po Ŝmierci matki.

W trumnie musiał leŜeć tylko w czasie ładowania i rozładowywania składu. Kiedy był w wagonie, gdzie znajdowały się

jeszcze

cztery trumny i zdezelowane pianino, mógł wyjść, poczytać, od-pręŜyć się i pograć w karty z dwoma męŜczyznami, którzy go pilnowali. Ograł ich do suchej nitki i zrobiło mu się ich Ŝal. On miał miejsce

do spania, a oni nie. Zasugerował, Œeby wyjęli zwłoki z dwóch trumien, ale nie chcieli. W geście dobrej woli zaproponował, Œe zwróci im pieniądze, lecz odmówili. Na wskroś porzą

Ki d

e n

d i

y pociąg wjechał do Tucson, poŒegnał się z opiekunami g

i o

ś

z c

a ie

m

kz

n C

ął l

ev

wi ela

k n

o d

t.

r

umny. Spał tam dwie noce i pluszowa poduszka

zaczęła cuchnąć. Następną twarzą, którą zobaczy, będzie twarz Charlotte — tak mu powiedziano — albo gęba skurwiela, który ma go wykończyć.

LeŒał w ciemności, bez ruchu. Niebawem usłyszał głosy męŒczyzn mówiących po hiszpańsku i poczuł, Œe ręce łapią za uchwyty i podnoszą trumnę, która kołysała się i odbijała od ścian.

Później ktoś rzucił po angielsku: „UwaŒajcie!” i trumna uderzyła mocno o ziemię. Odebrało mu dech.

Meksykanie parsknęli śmiechem.

Geraci zatkał usta dłońmi, próbując powstrzymać świszczący dźwięk, który wydawały jego płuca, spazmatycznie walczące o powietrze. Więc może następną twarzą, którą ujrzy, nie będzie twarz Charlotte lub gęba zabójcy.

237

Meŝczyźni nadal chichotali i psioczyli na siebie, mieszając angielski z hiszpańskim. Podnieśli trumnę. Oddech Geraciego wrócił mniej więcej do normy. Dopiero po chwili zauwaŝył, ŝe ma stłuczoną

głowę.

Zaraz

potem

wsunęli

gdzieś

trumnę,

prawdopodobnie znów do karawanu.

Michael Corleone rozesłał wieści, ŝe za katastrofę samolotu nie wini Nicka, który cięŝką pracą w ciągu ostatnich miesięcy z nawiązką zasłuŝył na dłuŝszy wypoczynek z rodziną na pustyni w Nevadzie. Nick otrzymał zapewnienie, ŝe wszystko idzie dobrze, nikt

go nie ściga ani nie szuka. Wywiezienie go w taki sposób z Cleveland słuŝyło tylko temu, ŝeby zabezpieczyć się przed policją i kimś

P,

r zypuszczalnie wszystko to było prawdą. Lecz takie k

zto

a

p m

e ó

w g

n ł

i

esi

nę

i

a c

z

sł e

y g

s o

z ś

y p

t r

e z

ŝ yp

kt a

o d

ś,k

o

ktw

o o

z d

a o

c m

h y

w ś

illi

ę ć

ma zostać sprzątnięty.

Mimo to Geraci, choć prawdopodobnie nigdy nie miał polubić Michaela Corleone, musiał go podziwiać. Wierzył w niego. Michael go ocali, choćby dlatego, że go potrzebuje. Potrzebuje jego lojalności, umiejętności zarabiania pieniędzy, sprytu. Michael chciał

przekształcić organizację złożoną ze skłonnych do przemocy wieśniaków kryminalistów w korporację zdolną zająć miejsce w największym legalnym przekręcie hazardowym, jaki kiedykolwiek wymyślono: Nowojorskiej Giełdzie. Jeśli plan miał się powieść, Michael nie mógł sobie pozwolić na stratę człowieka takiego jak Geraci. Nick wiedział, że ogólnie rzecz biorąc, jest tylko zwykłym ćwokiem z Cleveland, drobnym wyrobnikiem, który dostaje w skórę, ciężko pracuje, chodzi do szkoły wieczorowej i ma niewielkie sukcesy jako adwokat i biznesmen. Lecz w porównaniu z in

Jen

dy

nm

a i

k t yp

p a

o m

pe i

ł

ni w

ł

bł ty

ę m

dy. b

P iz
o n
w e
i s
n i
i e
e
n N
s i
p c
r k
z
e c G
i e
w i r a
ć c i
s
i ę b
y
F ł
a l c A
o l
n b
e e

rit

em

nie

E

l i

e n

c s

i t

e e

ć i ne

w m

t .

a ką pogodę. Nie powinien był mówić, że w samolocie dokonano sabotażu, jeśli nie był tego pewien. Po wypadku też nie postąpił właściwie. Nie powinien był odpływać od wraku, jak gdyby ponosił za coś winę. Jego błędy zawężyły pole działania.

Teraz nie miał innego wyboru, musiał grać kartami, które zostały mu w ręku.

Gdyby zamierzano go zabić, to byłby to bardzo wyszukany sposób. Co oczywiście nie wykluczało takiej możliwości. Słyszał

o bardziej wymyślnych zabójstwach. Nawet brał w nich udział.

238

Kiedy został zmuszony do zabicia Tessia, był wściekły na Michaela Corleone. Straszliwie wściekły. Lecz od chwili gdy odszedł od otwartego grobu swojego mentora aż do podróży w trumnie pociągiem — gdziekolwiek miała się zakończyć — nie myślał o tym ani przez chwilę.

Karawan znieruchomiał. Trumnę zdjęli mężczyźni, którzy nie wypowiedzieli ani słowa, co wydawało się dobrym znakiem.

W głowie Geraciego pulsowało. Ledwie mógł oddychać. Trumny nie mają otworów wentylacyjnych. W ciągu całej podróży spędził

pod zamkniętym wiekiem może jedną dziesiątą czasu, który spędził

podczas ostatniego etapu. Udusi się oparami własnego oddechu.

Zamierzają go zabić, a on wcześniej zdąży się udusić. Mimo to zrobi tak, jak mu kazano. Zostanie w zamkniętej trumnie, dopóki nie przyjdzie po niego Charlotte.

MęŜczyźni przenieśli go po betonowej posadzce i na czymś postawili. Z całą pewnością był to beton. Być może na zapleczu Salonu Pogrzebowego Braci Di Nardo. Tej nocy, gdy Geraci zastrzelił Tessia, zabrali głowy do krematorium, które miało betonową posadzkę.

Równie dobrze mogła to być jakaś hurtownia lub magazyn mięsa. Albo garaŜ na dwa samochody. Cokolwiek.

Usłyszał odgłos otwierania drzwi. Czyjeś buty na gumowych podszewkach zapiszczały, zbliŜając się do trumny. Posadzka z gładzonego betonu. Geraci zatrzymał w płucach resztkę powietrza.

Wieko się podniosło.

To była Charlotte.

Nick usiadł i poczuł, Ŝe tlen pędzi przez jego naczynia krwionośne, wywołując swędzenie w dłoniach i stopach. Powietrze rozplynęło się po plecach i skórze głowy. Charlotte była opalona i wyglądała na szczęśliwą.

— Jak ty świetnie wyglądasz! — wykrzyknęła i zabrzmiało to szczerze. Nie zwróciła uwagi na jego Ŝwiszczący oddech, który powoli zaczął zwalniać. Dopiero wtedy Nick zauwaŜył Barbarę i Beverly, stojące obok siebie, oparte plecami o wykładaną boazerią ścianę, trzymające poziomo dwie kule na wysokości bioder.

Charlotte szybko pocałowała męŜa w usta. Wydawało się, Ŝe jest czymś nabuzowana. Geraci nie wyczuł alkoholu.

— Witaj w domu.

— Dzięki. — Nie był jeszcze w domu, ale wiedział, co Charlotte 239

miała na myśli. Na górze odbywał się pogrzeb. Słysząc był

stłumione głosy. Jakiś psalm albo modlitwa.

— Dobrze jest... wracać. Jak się macie?

Nick wyciągnął ręce do córek. Skinęły głowami, ale nie ruszyły się z miejsca.

— Jesteśmy bardzo zajęte, ale czujemy się dobrze. — Charlotte dotknęła delikatnie guza na głowie w miejscu, w które się uderzył.

Barbara miała jedenaście lat, a Beverly właśnie skończyła dziewięć. Barbara była małą jasnowłosą

kopią Charlotte, łącznie z opalenizną. Beverly była bladą tęgawą dziewczynką o ciemnych włosach, najwyśszą w klasie (wyśszą takŜe od wszystkich chłopców), przerastała o pięć centymetrów siostrę, która teŜ nie była

niska.

— Zobaczyły, jak kręcą film na pustyni i od tej pory tylko o tym gadają — wyjaśniła Charlotte, machając na dziewczynki. —

No, opowiedzcie tacie.

Beverly puściła jedną ręką kulę i wskazała na ojca.

— Widzisz? Mówiłam ci, Ő tatuś nie zginął — rzekła do siostry.

— MoŜe jeszcze nie — odparła Barbara. — Ale zginie.

Geraci dał głową znak Charlotte, Őby pomogła mu wydostać się z trumny, lecz ona nie zauwaŜyła tego gestu.

— Tatuś nigdy nie umrze — zaprotestowała Beverly.

— Głupia jesteś — prychnęła Barbara. — KaŜdy kiedyś umiera.

— Bądźcie grzeczne, dziewczynki — upomniała je Charlotte.

Zachowywała się tak, jakby nie widziała niczego dziwnego w tym, Ő była wieziona ponad tysiące kilometrów do domu pogrzebowego po to, by przywitać zaginionego męŜa leŜącego w trumnie. Na górze, Bóg jeden wie dlaczego, organy zaczęły grać melodię *Tak, to moje dziecko*.

— On teŜ umrze — zapewniła Barbara. — KaŜdy umiera.

— Ale nie tatuś — upierała się Beverly. — Obiecał mi. Prawda, tatusiu?

Nick faktycznie to zrobił. Jego ojciec stwierdził kiedyś, Ő obietnica jest jak dług. *Ogni promesa e un debito*. Dopiero gdy został ojcem, zrozumiał tę lekcję. Niebezpieczna profesja nie wystarczyła.

— Teraz widzisz, jak mijają moje dni — rzekła Charlotte. Ale powiedziała to wesołym tonem. Nie sprawiała wraŜenia, Ő bardzo się stara. Uśmiechnęła się, wzięła w dłonie posiniaczoną twarz Nicka i pocałowała go. Nie był to pocałunek pełen poŜądania czy 240

namiętności — po prostu zwykły, nieco przedłuŜony małŜeński całus, który sprawiłby przyjemność męŜczyźnie rano przy śniadaniu. Geraci nigdy by się nie spodziewał, Ő zostanie w ten sposób

pocałowany, siedząc w trumnie z zabandaŜowanymi Őbrami, złamaną nogą i być moŜe świeŜym wstrząsem mózgu, przy wtórze stłumionych głosów śpiewających na górze starą piosenkę z Tin Pan Alley na pogrzebie jakiegoś biednego umarlaka. Choć —

oddając sprawiedliwość Charlotte — być moŜe na taką okazję w ogó

— le

Mn

oie

Ŝ

e m

sza

podp

m o

ó w

c ie

m d

i n

siie

ę go

w

y p

d oc

s a

t ł

a u

ć n

? k

u.

— zapytał.

— Twój ojciec czeka w samochodzie. Mam go przyprowadzić?

— Nie. — Naturalnie ojciec nie mógł się pofatygować, żeby przyjść i przywitać syna. — Potrzebuję tylko pomocy. Damy radę.

Tak się teŝ stało. Dziewczynki podeszły idealnie równym krokiem. Ćwiczyły to. Podały ojcu kule, jakby były wieśniaczkami wręczającymi skromny dar królowi.

Później się rozplakały i Nick musiał je długo tulić. W pewnej chwili Beverly szepnęła:

— Obiecałeś. I na razie dotrzymałeś słowa.

— Jak to dobrze, że wróciłeś — westchnęła Charlotte.

Wykładany

kostką

parking

domu

pogrzebowego

był

wystarczająco duŝy dla centrum handlowego. Stało tam z pięćdziesiąt

samochodów, lecz ojciec Nicka, Fausto, miał, rzecz jasna najlepsze miejsce, tuŝ obok drzwi. Pewnie przyjechał wczoraj, ocenił sytuację na parkingu i zjawił się kilka godzin temu, by zająć właśnie to miejsce. Siedział za kierownicą pracującego na jałowym biegu oldsmobile'a, patrząc przed siebie i słuchając przez radio meksykańskiej muzyki. Włączył klimatyzację na maksymalną moc,

pewnie tylko po to, by mieć pretekst do noszenia starej pikowanej marynarki ze znaczkiem związku zawodowego na plecach. Poczekał

— ,

P aŝ

tr zN

ciic

e, k

p u

a p

tr o

z r

ca

i

e, s ię

k

o z

g

o k

tul am

m i

a i

m y z

ajm

— rie

z

e m

kł. i ejsc

— e

T n

o a

Ŝ t f

o o

t

se

alu

m

pa

E s

d a

d Ŝ

i e

e ra

R . i D

ck o

e p

n i

be

aro

c

k w

ert.e

dy odwrócił się do niego.

Wynajęto zespół miejscowych stolarzy do wykonania długich stołów z klonowego drewna, przy których miały się odbyć rozmowy pokojowe. Ustawiono je w duŜy prostokąt w sali balowej, będącej niegdyś stajnią. Plamy Ŝywicy na stołach były suche, lecz tak 241

ŝwieŜe, Ŝe wciãŜ pachniały. Woń nie przeszkadzała, dopóki sala nie wypełniła się dymem z cygar i papierosów. Otwarto wszystkie okna, lecz *consigliere* z Filadelfii, cierpiący na astmę, oraz don

Forlenza z Cleveland, który miał bodaj wszystkie dolegliwości pod słońcem, musieli słuchać z sąsiedniego pomieszczenia.

Temperatura na zewnątrz wynosiła czterdzieści stopni. Oprócz Louiego

Russa, który chciał chyba coś udowodnić, wszyscy mężczyźni siedz

Wi eili

n

t w

er s

e z

si a

e l a

pch

o

k i

o p

j ł

u a

s

wz

sc

zz

ya

sch

y. siedzący przy stole zgodzili się, że

katastrofa samolotu na jeziorze Erie nie była niczyją winą. Frank Falcone postawił sto tysięcy na

walkę w Cleveland i nalegał, że musi ją zobaczyć bez względu na burzę. Kiedy samolot pikował, ktoś w wieży usłyszał, że Geraci wypowiada słowo „sabotaż”, lecz on tylko głośno myślał, był w wielkim napięciu i chciał powiedzieć, że wyklucza sabotaż. Z powodu grzmotów i błyskawic przekaz radiowy był prawie nieczytelny. Samolot roztrzaskał się o wodę i zginęli wszyscy oprócz Geraciego, który ledwie się uratował.

Don Forlenza dowiedział się o strasznej śmierci swoich niedawnych gości i usłyszał od policji, że katastrofa mogła być wynikiem sabotażu. Natychmiast upewnił się, że nikt z jego organizacji nie sabotował wodnopłata. Następnie uratował chrześniaka ze szpitala.

Co jeszcze można było zrobić? Gdyby don Falcone i don Molinari zginęli w wyniku sabotażu, winę można byłoby przypisać organizacji z Cleveland. Można też było obciążyć nią jego chrześniaka, który leżał nieprzytomny, nie mogąc się bronić ani wytłumaczyć. Kto z siedzących w tej sali nie zrobiłby tego samego dla swojego chrześniaka? A ponieważ Geraci był członkiem rodziny Corleone, don Forlenza obawiał się, że jego chrześniak mógł

paść ofiarą zamachu ze strony jednej z pozostałych nowojorskich rodzin.

Geraci

odzyskał

przytomność.

Władze

federalne

wykluczyły sabotaż. Katastrofa była zrzędzeniem Boga. Don Corleone

zawiadomił pozostałych członków komisji, że zaginionym pilotem był Geraci. Zapewnił, że fałszywe nazwisko na licencji Geraciego miało wprowadzić w błąd wyłącznie przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, podobnie jak prawo jazdy, których używało wielu obecnych na sali. W tym wypadku odegrało swoją rolę. Wszyscy obec

T n

r i

u d w

n i

o e

d

o z

l ą

e

p o

szd

y m

po ie

msi

n ę

i c

k y

k ,

u Ń

c e

z ciG

ce

zrta

e lrd

e c O

h ’

oM

fi a

arl le

k y

at a b

s y

tr ł

of F

y a

u

ni s

St em

Geracim juniorem, natomiast władze trwają w przekonaniu, że O

2 '

4M

2 alley to zarty przez szczury trup znaleziony w wąwozie.

rozmowy rozpoczęte po to, by zrozumieć jej przyczyny, rozmowy, które wkrótce rozszerzyły się na wiele innych kwestii. Niebawem osiągnięto porozumienie prowadzące do trwałego pokoju, a to zgromadzenie miało je ratyfikować.

Znaczna część oficjalnej wersji była prawdziwa, lecz nikt z obecnych nie uwierzył w ani jedno słowo.

Choć nie wyszły na jaw żadne dowody, nie było wątpliwości, że ludzie Louiego Russa przeniknęli na małą wyspiarską fortecę Vincenta Forlenzy i dokonali sabotażu w samolocie. W końcu czterej pasażerowie wodnopłata byli przedstawicielami czterech największych rywali Chicago w Las Vegas i na Zachodzie.

Katastrofa spowodowała, że don Forlenza wyszedł na starego durnia.

Przepychanki w Nowym Jorku dały Russie okazję, a on się na nią skwapliwie rzucił. Zmontował sojusz z kilkoma innymi donami: Carlem Tramontim z Nowego Orleanu, Bunnym Conigliem z Milwaukee, Sammym Drągiem z Tamy, oraz nowym szefem Los Angeles, Jackiem Ping-Pongiem. Kiedy Russo wybrał się na Kubę, mieszkał w pałacu prezydenckim. Nikt oprócz sprzymierzeńców Russa nie cieszył się, że Chicago odzyskuje potęgę, lecz wszyscy zgadzali się, że Russo stanowi mniejsze zagrożenie, kiedy zasiada w komisji, niż jako outsider walczący o nowe tereny. Dla większości obecnych udowodnienie, że Russo stał za katastrofą, było nieistotne.

Liczyło się to, żeby znów skierować całą uwagę na interesy. Nawet Butchie Molinari został

przekonany (przez samego Michaela Corleone) do publicznego oświadczenia, iŜ przyjmuje oficjalną wers

Lj

o ę

u ie Russo i jego *consigliere* nie zamierzali zaprzeczać w

o y

s j

k a

a ś

r n

Ŝ i

e e

n n

i i

u a

, pr

kz

t y

ó c

r z

e y

g n

o wy

ni p

k a

t dku

of ii

c n

j i

a e

l

n b

i ę

e dzi

n e

i szuk

w a

y ł

p z

o e

w m

ie s

dty

zi .

ał, choć

wiedzieli,

Ŝe

jest fałszywe. Russo nie wydał rozkazu zlikwidowania pasażerów samolotu. Jeśli miał jakąś hipotezę, kto to zrobił — jeśli w ogóle ktoś

N—

atu tro

a lje

nij

e n

ie

R z

usd

s ra

o dz

w a

i ł

e .

dział róŜne rzeczy. Podobnie jak Jackie

Ping-Pong. Sal Narducci — siedzący samotnie przy pierwszym stole, jak gdyby juŜ rządził Cleveland — wiedział inne rzeczy.

Człowiek, któremu Narducci zlecił dokonanie sabotaŜu w samolocie, kilka dni później pojechał odpocząć w Las Vegas i od tej

pory

(g

A o n

wł ie

a

ś w

ci id

wiz

ei ano

i .

e moŜna go było zobaczyć, gdyŜ Al Neri, człowiek, który nie dbał o to, kogo zabija i dlaczego, zastrzelił go i pogrzebał na pustyni).

243

Clemenza wiedział duŜo, lecz nie wszystko.

Michael Corleone był pewny, Ŝe zatarł ślady wystarczająco dobrze. Tak dobrze, Ŝe nikt, ani przyjaciel, ani wróg nigdy nie złoŜy wszystkiego w całość.

Któż mógłby przypuszczać, Ŝe Michael nie tylko rozkazał za-bić Barziniego, Tattaglię i swojego *caporegime* Tessia, a takŜe szwagra — nie wspominając o śmierci innych ludzi, które te zabójstwa za sobą pociągnęły — lecz Ŝe później wynegocjował

zawieszenie broni i wykorzystał ten chwiejny układ, by zorganizować zamach na pasażerów samolotu oraz Nicka Geraciego, niedawno mianowanego *capo*, i Tony'ego Molinariego, niezłomnego

sojusznika? Nie było Ŝadnych pogłosek, Ŝe któryś z tych ludzi go zdrad

Kt z

oi ł

b—

y s o

i c

ę z

d y

o w

miś

y c

ślie

ł ,d

l

na

at

e

cg

oo

,

priŝ

z

eŝ

za

nd

ae

cn

z

ote

ng

eo

bn

ylie

yu

pc

iz

ey

ni n

ą ił

d .

z e w torbie

przywiezionej przez Fontane? Nawet Hagen bez żadnych wątpliwości założył, że była to inwestycja w nowe kasyno w Lake Tahoe.

Patrząc na Michaela stukającego palcem w stary szwajcarski zegarek подарowany mu przez kaprala Hankę Vogelsongę, ktoś by przypuścił — nawet gdyby tylko czytał o japońskich samolotach zamieniających się w ogniste kule i wbijających się w okręty pełne żołnierzy — że człowiek, który widział to, co widział Michael na Pacyfiku, zabiłby kogokolwiek, zlecając spowodowanie katastrofy samolotu?

Każdego ranka Fausto Geraci — powinno się wymawiać Dżeir-a-chii, ale co tam, ludzie mówią, jak chcą — pierwszy wstawał

z łóżka. Parzył kawę i wychodził na patio na tyłach murowanego domku, ubrany w boksyerskie spodenki i koszulkę, siadał na aluminiowym krzeselku, czytał poranną gazetę i palił jednego za drugim

papierosa marki Chesterfield King. Skończywszy czytać, gapił się pustym wzrokiem na basen. Nawet to, że wnuczki przebywały z nim przez większą część roku szkolnego, nie miało większego wpływu

S w

er u

c

e n

a

F j

ae

ug

s o

t

a n

as

G t

eró

aj.

czego zanurzone było w goryczy bardziej zjadliwej niż kwas z akumulatora. Szywał głębokie przekonanie, że świat go oszukał. Przez długie lata zwlekał się z łóską, wsiadał do zimnej kabiny ciężarówka i woził wszystko, co można sobie wyobrazić i wiele rzeczy, których nikt nie chciałby sobie wyob-244

raścić. Ładowanie i rozładowywanie samochodu — ciężka harówka, uważana przez każdego, kto miał odebrać towar, jakkolwiek był, za obowiązek kierowcy. Można jeździł samochodami, którymi gangsterzy uciekali z miejsca przestępstwa, nie wiedział tego. Ale to robił. Przez całe życie zdecydowanie działał na przekór wszystkim, którzy byli przeciwko Włochom, i pozostał lojalny wobec

tego kutasa Vinniego Forlenzy i jego organizacji. Poszedł dla tych ludzi za kratki. Czy się skarżył, czy powiedział choć słowo? Nie.

Dla nich był po prostu Faustem Geracim, spokojnym wołem, ciężko pracującym i wypełniającym rozkazy. Robił to wszystko dla nich, wykonywał zadania, za które jego dusza dawno temu została skazana na potępienie, a Sona powiedziała, że przestała się za niego modlić — a czy oni traktowali go jak równego sobie? Nie.

Dostawał jakieś pieniądze, pewnie, lecz sydom i czarnuchom dawali większą działkę niż Faustowi Geraciemu. Miał być wdzięczny za to, że ustawili go dobrze w związku. Ha. Wciąż był ich marionetką. Forsa była dobra, lecz niewystarczająca, bo przez cały dzień musiał siedzieć przy biurku i wysłuchiwać utyskiwań jakichś wałkon. Mimo to słuchał, prawie nic nie mówił i wykonywał

swoją robotę. Przez całe życie rozwiązywał czyjeś problemy, lecz czy problemy Fausta Geraciego kiedykolwiek obchodziły kogokolwiek? I po tylu latach wiernej służby, pewnego dnia: buch!

Won. Pracę dali komuś innemu (Fausto wiedział, że nie powinien pytać, dlaczego), a Fausta Kierowcę wysłali na „wcześniejszą emeryturę”. Forsa za trzymanie gęby na kłódkę. Forsa na do widzenia. Co zrobił? Odszedł. Lojalny do samego końca. A nawet dłużej

I e

nj.

a St

B a

o r
gy
a, p
no
i c
e z
c c
h i
w
ni y
k tF
a
niu
e s
to
w .

s pomina o dzieciach. Jego córka była

zasuszoną starą panną, nauczycielką, która przeprowadziła się z Youngstown do Tucson tylko po to, by uczynić jego życie jeszcze bardziej śalonym. Codziennie wieczorem wraca ze szkoły i słycać tylko: zjedz to, nie jedz tego, ile papierosów dzisiaj wypaliłeś, tato? I tak w kółko. A chłopak, imiennik Fausto? UwaŜa się za lepszego od wszystkich. Matka go podpuszczała. Temu dzieciakowi wszystko przychodziło za łatwo. OŜenił się z blondynką z cyckami jak piłki. Nie dość, Ŝe skończył college, to jeszcze później zasrane prawo. A to całe halo z lataniem samolotem? Jeszcze jeden sposób, aby pokazać światu, Ŝe nie jest taki sam jak jego stary: pilot prywatnych samolotów, wielka szycha, a nie złamany przez życie kierowca cięŜarówki. KaŜdy oddech tego niewdzięcznego wy-245 pierdka był afrontem. Nawet swoje nazwisko wymawia źle. As Geraci. Psiakrew. Jemu się zdaje, Ŝe kto mu to wszystko dał? Pewnie myśli, Ŝe to Vinnie Forlenza. Albo ci skurwiele z Nowego Jorku. Zanim pozostali się zbudzili, zanim zaczęli go wkurzać, Fausto wstał z krzesła i poszedł do garaŜu.

Trzymał tam szlafrok i pantofle.

ZałoŜył je i trochę się spocił, pracując na podwórku. W drodze do szkoły Barbara i Beverly, niech je pan Bóg błogosławi, podejda i dadzą dziadkowi buziaka. Fausto chciał ocalić te słodkie istoty przed światem, który je rozczaruje, a potem zniszczy, lecz będzie tylko stał z węŜem lub grabiami, uśmiechając się jak tępy kmiotek i machając ręką.

Później wejdzie do domu, umyje się i pojedzie na drugi koniec miasta do przyczepy, w której mieszka Conchita Cruz. Ona prawie nie mówiła po angielsku, on prawie się nie odzywał, ale jakoś poznali się w barze niedługo po tym, jak Fausto się tutaj sprowadził.

Nie pamiętał, jak doszli do takiego porozumienia, tak swobodny był ten układ, który z nią miał. Jego nazwisko wymawiała Her-a-

-sii, czyli o niebo lepiej niż syn. Czasami się rŚnęli, ale częściej spędzali ze sobą godzinę, o nic nie pytając. Po prostu razem istnieli.

Dobra jest do tego telewizja. Kiedy indziej znów grali w karty, w domino albo robili sobie masaŜ stóp. Jedli lunch u niej albo w barze na rogu, a potem Fausto całował ją w czoło. Nie wyznawali sobie miłości i nie czynili obietnic, ona szła na drugą zmianę do pracy w fabryce konserw, a on jechał na małą przejaŜdŜkę po pustyni. KaŜdego dnia oprócz niedzieli na tym samym kawałku prostej drogi dawał do wiwatu silnikowi samochodu i swojemu sercu teŜ — takie w kaŜdym razie miał wrażenie, kiedy strzałka prędkościomierza przesuwała się w czarną strefę za liczbą sto dwadzieścia. Wtedy zdejmował nogę z gazu, samochód zwalniał, strzałka opadała, a wraz z nią puls Fausta i jego nastrój. Później wracał do domu, gdzie jego zakichany syn imiennik i przekłeta szwedzka Őona znów darli ze sobą koty. Kiedy tutaj przyjechali, Charlotte była wzorową Őoną, a Nick był pokorny, bo dał straszną plamę. Lecz kilka tygodni później, mniej więcej wtedy, gdy zdjęto mu gips, zaczęły się kłótnie. Nawet włączenie telewizora prowadziło do głupiej sprzeczki. Zwłaszcza to. Dzień po dniu upodabniali

się do Fausta i jego Őony. Poza tym wydawało się, Őe chłopak posta

Niw

e ił s

m o

ieb

l i

i e z

ni a

c pu

d n
o kt
r
oh
bon
t o
y r
. u,
NŜ
i e
c.b
y
I lp
o r
sz
će
d
crz
z e
aszn
u, i
ać
kt o
órjc

y a.

marnowali,

przyprawiała Fausta o mdłości. Charlotte wychodziła i przepusz-246

czała forszę Nicka na rzeczy, których nie potrzebowała. Czasem Nick jeździł wynajętym autem, dzwoniąc z przypadkowych automatów i zatrzymując się przy knajpie z grillem, do którego się siłą władował, ale przeważnie siedział, czytał książki i rozmawiał z facetami, którzy przyjeżdżali, żeby przekazywać mu wiadomości.

Pewnego dnia Fausto wrócił, a Nick napełniał wodą ten zakichany basen. Fausto tylko ściągnął brwi, a Nick długo tłumaczył,

że choć jego matka wyzionęła ducha w tym basenie, kiedy jej osłabione rakiem serce nie wytrzymało, odeszła, robiąc to, co kochała. Nigdy nie chciała, żeby basen został osuszony. Co ten chłopak mógł o tym wszystkim wiedzieć? To nie on wyłowił

z wody jej ciało. Egoistyczny szczeniak. Jej śyczenie, takiego wała. Nick chciał napełnić basen, żeby z niego korzystać. I rzeczywiście, kiedy Fausto wrócił nazajutrz, chłopak pływał na materacu, czytając książkę o Eddiem Rickenbackerze. Kolejna kpina!

Tygodniami nie przestawał głądzić o latającym asie, wyścigach, morskich przygodach i dokonaniach magnata lotniczego. Fausto Geraci nie mógł zaprzeczyć: niezwykle był z niego gość, amerykański boha

N t

i e

c r

k i t

t a

r k

a

k d

t a

o le

w j

a .ł A

ole

b

i w

e ie

c c

ó ire

k ic

oj?

a D

k o

c d

h i

ł a

o b

p ł

ca

ó z

w,E

d

zdi

w e

ł m

as

zR

c i

z c

a k

en

bi b

e a

d c

n-

ą

ke

B r

e e

v m

er. l y, która ubóstwiała ojca i pewnie wyrośnie na starą pannę, nauczycielkę gimnastyki jak jej stara zasuszona ciotka wiedźma.

On i Charlotte zabierali dziewczynki wszędzie: do zoo, do cyrku, na koncerty, zabawy, do kina, jak gdyby chcieli im coś wynagrodzić.

Jednak córki przystosowały się do przeprowadzki po mistrzowsku. Znalazły sobie koleśanki w okolicy, dobrze się uczyły i w ogóle. Były po prostu szczęśliwymi dziećmi, ale ich rodzice tego

nie

dostr

K z

i e

e g

d a

y lij.

ak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że mają wracać na Long Island, to Charlotte powiedziała o tym Faustowi.

Najwyraźniej jego syn gwiazdor nie mógł się pofatygować, żeby w jakikolwiek sposób narazić się na kontakt z uczuciami starego.

Fausto Geraci wybuchnął. Nie był z tego dumny, ale raz powiedział

to, co myśli. Dziewczynki zmieniły szkołę w połowie roku szkolnego, przeprowadziły się tutaj, świetnie sobie radziły, i teraz co?

Mają się przeprowadzać z powrotem, dwa miesiące przed końcem roku? Co za parszywy egoizm! Czy oni nie wiedzą, jak trudno jest

dzieciom wejść w nowe środowisko? On tego nie poprze. Niech sobie Nick wraca. Charlotte też. Bóg wie, że w Nowym Jorku jest więcej miejsc, w których można puszczać forszę niż tutaj. Ale dziewczynki zostają. Czy jej się zdaje, że Fausto Geraci, który spędził życie, zajmując się problemami innych ludzi, nie potrafi zająć się przez dwa miesiące dwoma małymi aniołkami? Czy Charlotte naprawdę jest taką głupią cipą i myśli, że poradzi sobie lepiej od niego?

Obsztorcowując synową, faktycznie potłukł to i owo, ale były to jego rzeczy. Łzy, które rozlał, były łzami gniewu. A teraz jego przeklęte dzieci chcą, żeby poszedł do lekarza.

To właśnie dostaje w nagrodę mężczyzna, kiedy powie prawdę.

Nic. Fausto Geraci nie miał w życiu niczego oprócz dwóch wnuczek i Meksykanki, która mieszkała w przyczepie i nie wiedziała o nim prawie nic. A teraz dziewczynki wyjechały. Sam odwiózł je na dworzec i wesoło pomachał ręką na pożegnanie. Jego syn i ta kobieta nawet się nie obejrżeli, podobnie jak starsza z wnuczek.

Ale Beverly wyprostowała ramiona i posłała mu całusa. Co za uśmiech! Ta mała powinna częściej się uśmiechać.

Z powodu wycieczki na dworzec Fausto stracił lunch z Conchitą. Na przejażdżkę po pustyni też nie miał ochoty. Wrócił

do

pustego domu. Mógł siedzieć samotnie wszędzie, ale przywykł

do patio. To tylko kwestia czasu, kiedy Conchita tak się zniknie, pomyślał. Fausto Geraci spojrzął na basen. Jeszcze jeden chesterfield king, może dwa, najwyżej trzy, i zaleje to przeklęte paskudztwo na dobre.

Historycy i biografowie często zauważali, że wszystkie śmiałe decyzje Michaela Corleone w latach,

gdy kształtował się jego charakter, były podejmowane w opozycji do ojca. Zaciągnięcie się do piechoty morskiej. Ślub z kobietą taką jak Kay Adams.

Włączenie się do rodzinnych interesów w czasie, gdy Vito Corleone

leżał

w śpiączce i nie mógł temu zapobiec. Wejście w biznes narkotykowy. Niektóre źródła sugerują nawet, że Michael Corleone

wykorzystał śmierć ojca jako pretekst do wyruszenia na wojnę z Ba

Pierz

er in

w ism

z

y i

m Ta

o t

d ta

ej g

ś l

cia

e w

m cz

o e

d ś

n

t i

ee

jj

, p n

r i

a Ŝ

wi V

dłit

o o

w C

oś o

c r

i leo

b n

ył e

a u

bw

y a

ć Ŝał

m oz

Ŝa

e

ro

d z

e t

c ro

yzp

j n

a e.

o

zachowaniu Nicka Geraciego przy Syciu. Czego by nie 248

powiedzieć o konsekwencjach tej decyzji, właśnie tak uczyniłby ojciec Michaela, i to z czterech powodów.

Po pierwsze, mianowanie Geraciego *capo* dawnego *regime* Tessia uśmierzyło, zgodnie z założeniem Michaela, wszelkie resentymenty wywołane konieczną, niestety, egzekucją Tessia.

Był lubiany przez zwykłych ludzi, którzy nie mieli pojęcia, że to właśnie on był O'Malleyem i którzy uważali, że przebywał w Tucson, zajmując się otwieraniem nowych przedsięwzięć

— i Geraci faktycznie to robił. Rodzina Corleone miała na swoich usługach kilku lichwiarzy, posiadała bar z grillem i trzymała w kieszeni kapitana policji. Poza tym podłączyła się do źródła marihuany ochranianego przez byłego prezydenta Meksyku.

Po drugie, wszelkie powody, by obawiać się Geraciego, zostały osłabione lub wyeliminowane. Nawet jeśli Chicago, Los Angeles lub San Francisco nie wysłały nikogo, kto miał go zabić, będzie się tym martwił, a to okiełzna jego agresywne zapędy. Wydawał

się szczerze i głęboko wdzięczny Michaelowi za to, że ten zapewnił mu ochronę po idiotycznej szopce Forlenzy z porwaniem, oraz za to, że zainstalował go w Tucson i zorganizował

powrót do Nowego Jorku. A teraz, gdy Narducci był gotów do przejęcia władzy w Cleveland, więzi Geraciego z Forlenzą przestały

P

om

i

t e

r ć

z

e z

c n

i a

e, c

ze

G n

e i

r e

a .

c i wspaniale zarabiał pieniądze. Każda jego transakcja wprost ociekała złotem.

Po czwarte wreszcie, Michael Corleone potrzebował pokoju.

Jego organizacja nie była Amerykańskim Korpusem Piechoty Morskiej. Nie miał wystarczająco wielu dobrych ludzi do prowadzenia wojny w nieskończoność. Zatrzymanie Geraciego przy Śyciu

ugruntowało

przekonanie,

Śe

to

Louie

Russo

ponosi

odpowiedzialność za katastrofę, a był to kluczowy element układu pokoj

W o

ięw

c eg

p o

o co drugie spotkanie? Po co organizować je co rok?

p

l r z

d y

l j

a ę

c t

zego fo

w r

m

ty al

m n

sie

a w

m

y cz

m as

m ie jsp

c o

u t

?k

ania w stanie Nowy Jork.

MęŜczyźni, którzy zebrali się po raz pierwszy w białym drewnianym domku, z pewnością nie mieli niekwestionowanego powodu, by umawiać się na ponowne spotkanie za rok (i rzeczywiście

wszystko na to wskazuje, Œe konferencja w 1957 roku była spotkaniem rutynowym, prawie na pewno niekoniecznym, przypisem

kaniem wiosną 1958). Kwestie, które mieli omówić i rozwiązać, zostały już omówione i rozwiązane. Pokój osiągnięty tego dnia był

trwały i historyczny. Aś po dziś dzień nie było między rodzinami wybuchu przemocy porównywalnego z wojną w latach 1955—56

(lub z dwiema wcześniejszymi: wojną pięciu rodzin w latach czterdziestych oraz wojną Castellammarese w 1933). Nie istniał

precedens dla zwoływania takiej konferencji — wszystkie poprzednie spotkania na szczycie były bezpośrednią reakcją na aktualne problemy.

Decyzja o organizowaniu spotkań rokrocznie nie została podjęta w czasie konferencji w 1956 roku, lecz wkrótce potem. Nie zdarzyłoby się to, gdyby nie nagła zmiana pogody, zwłaszcza gdyby nie monstrualnych rozmiarów świnia.

Michael zamierzał opuścić miejsca spotkania natychmiast po załatwieniu wszystkich spraw. Lecz okna były otwarte przez wiele godzin. I przez wiele godzin niósł się do środka zapach piekającej się świni, dokonując swojej wonnej magii. Clemenza — podobnie jak niemal wszyscy obecni — nie był człowiekiem, który wyjechał-

by w długą podróż samochodem, nie ukroiwszy sobie plasterka lub sześciu plasterków. Czosnkowy chleb był tak smaczny, że dorosłych mężczyzn mógł doprowadzić do łez, nawet jeśli nie tych mężczyzn.

Wyśmienity. Było też ciasto. Skromna, lecz kusząca uczta w —jak się okazało — pierwszy ciepły wiosenny dzień. Więc uczestnicy spotkania nie kwapili się do wyjazdu. Wyłamanie się byłoby uznane za *infamita*.

Michael Corleone poczuł na szyi lodowatą dłoń.

— Nie mogę jeść świni — oznajmił Russo. Mówił niewiele głośniejszą niż trzyletnia córka Michaela. — To łamie mi serce. Ale jeśli zjem — tu poklepał się w pierś — to będzie złamane jeszcze bardziej. Zamienimy słowo, nim wyjadę?

Ruszyli na spacer trawnikiem, podczas gdy reszta mężczyzn zabrała się do pałaszowania świni. *Consigliere* Russo wsiadł do samochodu.

— Nie chciałem tego mówić tam w środku. Jestem nowy.

A nowicjusz powinien milczeć i słuchać.

Michael skinął głową. W czasie spotkania Russo mówił, i to sporo.

— Nie jestem tak wykształcony jak ty — ciągnął dziwnym wysokim głosem — ale czegoś nie kapuję. Kiedy na koniec mówiłeś o zmianie, pogubiłem się.

250

— Nie mam żadnego interesu w tym, żeby mówić innym, jak mają prowadzić swoje interesy. Ale nadejdzie czas, gdy inni przejmą kontrolę nad uliczną przestępczością, tak jak Włosi przejęli ją od Irlandczyków i żydów. Spójrz tylko na Murzynów, którzy w niektórych miastach rosną w siłę z dnia na dzień.

— Ale nie w Chicago.

— Tak czy owak, nie widzę sensu w tym, żebyśmy gromadzili wpływy

i

bogactwo,

jeśli

nie

wykorzystamy

ich

do

tego, by wyjść z cienia na światło. I właśnie tak zamierzam zrobić.

Z półmroku dobiegł śmiech. Pete Clemenza i Joe Zaluchi, spokrewnieni przez ślub dzieci, siedzieli w namiocie i wodzili rej, opowiadając ciekawe historie.

— Znów nie mogę się połączyć w tych światłach i cieniach.

Michael otworzył usta, żeby wytłumaczyć.

— Nie, nie, nie — przerwał mu Russo. — Nie gadaj do mnie jak do głupiego.

Michael nie przeprosił ani nie zareagował na ten drobny wybuch, co było szokujące dla dona, nawet pochodzącego z Chicago.

— Powiem ci tak — ciągnął Russo. — Opowiadasz o tym, że pewnego dnia nasze dzieci będą kongresmanami, senatorami, może nawet któreś zostanie prezydentem, a przecie my mamy takich na listach płac.

— Prezydentem nigdy — odparł Michael, myśląc o ambasadorze. Jeszcze nie.

— Jeszcze nie — zgodził się Russo. — Nie patrz tak na mnie.

Wiem, Œe gadałaś z Mickeyem Sheą. Myślisz, Œe tylko z tobą wchodzi w układy?

Kilku donów spoglądało w ich stronę. Michael za nic nie chciałby, Œeby ktoś pomyślał, Œe coś knuje.

— Powinniśmy wracać.

— Ja nie wracam, zapomniałaś? WyjeŒdŒam. Chcę tylko powiedzieć, Œe przynajmniej w Chicago wybieramy kogo chcemy, i dostajemy od niego to, co chcemy dostać. Nawet ci, których nie kontrolujemy, są przez kogoś kontrolowani.

Nie gadaj do mnie jak do głupiego, pomyślał Michael, lecz tego nie powiedział.

— Więc dlaczego mielibyśmy chcieć tego dla naszych dzieci?

— spytał retorycznie Russo. — Czemu mamy im Œyczyć, Œeby były marionetkami? Nie jesteśmy naiwni, Œaden z nas, a jednak 251

niektórzy mają takie naiwne marzenia. Ja tego nie kapują. Ani w ząb nie kapuję.

Ci, którzy zostali w namiocie, wołali Russa i Michaela.

Michael się uśmiechnął.

— Œaden człowiek nie moŒe powiedzieć, Œe nie jest przez nikogo kontrolowany, don Russo. Nawet my.

— Chciałem tylko powiedzieć, co miałem na języku — odparł

Russo. — Aha, i jeszcze jedno.

— Hej, Mike! — zawołał Clemenza. — Potrzebujemy cię, kiedy znajdziesz wolną chwilę.

— Tak? — powiedział Michael do Russa.

— Raz-dwa — rzekł Russo. — Chcę oczyścić powietrze i mieć to z głowy. Wiesz na pewno, Œe Capone wysłał mojego brata Williego i jeszcze jednego człowieka, Œeby pomóc Maranzanie, kiedy ten starł się z twoim ojcem.

Więc po to był ten spacer.

— Tak mi powiedziano — potwierdził Michael. Tą pomocą był

kontrakt na Œycie Vita Corleone. Do Chicago wróciła tylko jedna część Williego „Kilofa” Russa: jego odcięta głowa.

— Obwiniam za to Capone. Chcę, Œebyś wiedział. Nie powinien się mieszać w problemy w Nowym

Jorku. — Russo wyciągnął

drobną miękką dłoń. — Twój ojciec zrobił to, co musiał zrobić.

Michael przyjął wyciągniętą rękę. Gest zamienił się w uścisk przypieczętowany pocałunkiem. Don Russo wsiadł do czekającego na jałowym biegu samochodu.

— Dokąd pojechał don Russo? — zainteresował się Clemenza, gdy Michael wrócił do namiotu. Pete pewnie umierał z ochoty, żeby nazwać Russa „Świńskim Ryjem” w obecności innych donów.

— Nie może jeść wieprzowiny — odparł Michael.

— Myślałem, że to Vinnie Forlenza jest naszym modelowym sydem — zauważył Zaluchi.

— Dość! — odezwał się Forlenza z fotela na kółkach. — Gdyby nie sydzi, których wysłałem do Las Vegas, większość z was, obiboki, nie miałyby nocnika, w który mogłyby nasikać.

— Mielibyśmy jeszcze więcej pieniędzy, niż dla nas zarobili —

sprostował Sammy Drago, don z Tamy — gdybyśmy dostawali dziesięć centów za każdym razem, kiedy nam o nich gadasz.

Forlenza machnął lekceważąco ręką.

— Hej, Joe, chciałeś, żebyśmy głosowali, więc głosujmy.

Rozochocony pieczenia i dobrym towarzystwem Pete rzucił, że 252

powinni urządzać takie spotkanie co rok, a Joe Zaluchi podniósł

szklankę na zgodę i naciskał, żeby przeprowadzić głosowanie.

Z dziewięciu członków komisji obecni byli wszyscy oprócz jednego. Wniosek przyjęto przez aklamację.

Wkrótce przed powrotem do Nowego Jorku Nick Geraci spotkał

się z Fredem Corleone w saloonie na planie filmu *Zasadzka w Durango*. Lokal wyglądał jak prawdziwy, jeśli nie patrzyło się na kable i kładki. Fredo miał rolę w filmie („Cwaniak karciany numer 23”), ale nie był jeszcze w kostiumie. Siedzieli przy stole koło wahadłowych drzwi. Nikogo więcej nie było. Na zewnątrz reżyser, Niemiec w monoklu, wrzeszczał na kogoś, bo nie podobał mu się kolor i faktura błota.

— Widzisz ten szajs? — spytał Fredo, ciskając na stół poranną gazetę. KRÓLOWA EKRANU PODCZAS MIODOWEGO MIESIĄCA Z MĘŚCIEM GANGSTEREM, krzyczał tytuł. Pierwsze dwa akapity zawierały niepozorne cytaty z Deanny Dunn. W trzecim znalazła się wzmianka o tym, że

Fredo teŹ gra w tym filmie,

„debiutujac w roli łotra”. Dalej autor umieŹcił informacje, które przez lata pojawiały się w nowojorskich gazetach, gęsto przetykane słowem „rzekomo”. Ale były teŹ zdjęcia. Fredo wŹciekał się, Źe wyciągnęli skądś zdjęcie pokazującego go, jak siedzi zapłakany na krawęŹniku obok postrzelonego Vita Corleone, zamiast próbować ratować Źycie ojca.

— Nie gram łotra — wyjaŹnił Fredo — tylko przyłapuję łotra na kantowaniu.

— No i co z tego? — spytał Geraci. — JeŹli zadzwonisz do gazety lub pójdiesz do redakcji, wtedy naprawdę będa mieli temat na artykuł. Tylko pogorszysz sprawę. Ładny masz garnitur, nawiasem mówiąc. Od krawca?

— PowiedziałeŹ „pogorszy”, tak? Więć się zgadzasz. Jest źle.

Nic nie moŹe być gorsze, jeŹli coŹ innego jest dobre albo Źwietne.

Tylko kiedy juŹ jest źle.

— A co cię to obchodzi? — zdziwił się Geraci. — To zasrany szmatławiec z Tucson.

— Oni pomieszali wiele rzeczy.

Napisali na przykład, Źe Deanna Dunn wciaŹ jest „królowa ekranu”. Była pijaczka, jej uroda i kariera na tym cierpiały.

Geraci domyŹlał się, Źe wyszła za Freda tylko po to, by Źyc 253

na dawnym poziomie nawet wówczas, gdy przestanie dostawać jakiegokolwiek role.

ReŹyser na zewntrz zawołał: „Akcja!”. Konny wóz potoczył

się zakurzona ulica, Deanna Dunn zaczęła wrzeszczeć.

— Tak jest w scenariuszu — wyjaŹnił Fredo. — Fontane ginie, a D.D. wrzeszczy. — Grała wdowę po szeryfie. Johnny Fontane grał księdza rewolwerowca.

— JeŹli chcesz faktów — rzekł Geraci — to trzeba szukać w lepszych miejscach niŹ gazeta.

— Wzięliśmy ślub miesiąc temu. Nie w tajemnicy, jak tu napisali, i juŹ mieliśmy miesiąc miodowy. Tydzień w Acapulco w tej miejscowoci, gdzie róŹowe jeepy zjeŹdŹaja aŹ na plaŹę.

— Krótki ten miesiąc.

— Jesteśmy zapracowani.

— Trafiłem w czuły punkt, co?

— Kto by nie chciał mieć dłuższego miesiąca miodowego?

Geraci raczej by nie chciał, gdyby miał tkwić w hotelowym pokoju z babą tak wojowniczo zaabsorbowaną samą sobą jak Deanna Dunn. Chyba Œe mógłby ją doprowadzić do wrzasku, zakładając worek na głowę. ReŜyser zarządził drugie ujęcie.

Wrzaski Deanny zabrzmiały jeszcze lepiej.

— Nigdy nie byłem w Acapulco — powiedział Geraci. —

Ładnie tam?

— Nie wiem. Tak. Jest tak jak w wielu innych miejscach. —

Fredo trzasnął pięścią w zdjęcie przedstawiające go podczas wsiadania do limuzyny na lotnisku. —
MoŜesz mi to wytłumaczyć?

Ona jest tutaj od trzech tygodni non stop, ja w kratkę, i nagle taki szajs

— t raf

O i

Ŝ a

e d

ni o

ł

e g

ś a

sz

i e

ę t

?

z

gwiazdą, Fredo. Czego się spodziewasz?

— OŜeniłem się z gwiazdą miesiąc temu.

— Sam jesteś teraz gwiazdorem, na miłość boską.

— To tylko tak dla śmiechu, całe to granie. Mam chyba ze dwie linijki.

— A jednak.

— Więc dlaczego nie piszą o mnie jako o facecie z branŜy rozrywkowej, który próbuje rozszerzyć działalność?

Geraci rozpoznał słowa Michaela Corleone. Michael poparł

upublicznienie wizerunku Freda jako krok na drodze do przejścia rodziny Corleone na legalną działalność. W kaŜdym razie takie miało być wrażenie.

254

— Słuchaj, czytam tę gazetę od miesięcy i wierz mi, nikt inny jej nie czyta — zapewnił Geraci.

Fredo parsknął śmiechem. Lecz po chwili uśmiech zniknął z jego twarzy.

— To miał być Śart, tak?

Geraci wzruszył ramionami, ale po chwili się uśmiechnął.

— *Coglioneatore* — rzucił Fredo z uśmiechem, wymierzając Nickowi czułego kuksańca.

Kręcenie zdjęć zaczęło się trzy tygodnie temu. Do tego czasu Geraci prawie w ogóle nie rozmawiał z Fredem. On zaś okazał się z gruntu sympatycznym facetem.

— Myślisz, Œe ta whisky jest prawdziwa? — zainteresował się Fredo, wskazując czyste, pozbawione nalepek butelki za barem z grubo ciosanego drewna.

— Skąd mam wiedzieć? Idź i zobacz.

Fredo skwitował propozycję ściągnięciem brwi i machnięciem ręką.

— Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba.

Geraci skinął głową.

— Aspiryna?

— JuŜ wziąłem.

— To była niesamowita noc.

— Coś ci powiem — rzekł Fredo, kręcąc głową, a w jego spojrzeniu nagle pojawiło się zdziwienie i smutek. — Od jakiegoś czasu kaŜda noc jest niesamowita.

Wczoraj wieczorem zabrali Sony i wybrali się do miasta, choć było takie, jakie było. Pod wpływem kaprysu ruszyli do Meksyku.

Kiedy już się tam znaleźli, Deanna Dunn uparła się, żeby wybrać się na ośli show. Jeszcze rano Charlotte nie chciała odzywać się do męża. Choć może była zła dlatego, że przez całą noc, bez względu na to, co ktoś powiedział, Deanna Dunn kierowała rozmowę z powrotem na Deannę Dunn. Geraci zaczął dowolnie zmieniać temat, lecz Deanna, nie zważając na śartobliwość jego uwag, brała je za zachętę, żeby opowiedzieć jeszcze jedną historię o Deannie Dunn. Po powrocie do domu Charlotte oskarżyła Nicka o flirtowanie, ale spłynęło to po nim bez śladu. Charlotte była rozczarowana: Królowa Ekranu, której towarzystwo wydawało się takie ekscytujące, okazała się gadatliwą babą o dużej głowie, śartującą z tego, że jej mąż nie lubi obciążania, która uważała, że przyglądanie się, jak osioł rżnie nastoletnią Indiankę to świetna

zabawa. Fredo tymczasem siedział jak facet, który próbuje się uśmiechać mimo skurczu kiszek. Ale po jakimś czasie Charlotte będzie opowiadała wszystkim kurom domowym w East Slip o szalonej nocy i robiła wrażenie, że należy do śmietanki towarzyskiej.

Z ulicy dobiegł straszny trzask, jakby coś pękało. To był wóz.

— Nie martw się — uspokoił Fredo. — To też jest w scenariuszu.

— Hm — mruknął Geraci. — Wybacz, ale trochę nerwowo reaguję na kraksy.

— Nie mam takiej władzy — odparł Fredo. — Jeśli chcesz przebaczenia, to zwróć się do Mike'a.

Geraci ukrył zaskoczenie. Nigdy nie słyszał w głosie Freda niechęci do brata.

— Fontane też tu jest?

Fredo pokręcił głową.

— Specjalnie sprowadzili jakiegoś pisarza, żeby usunąć go z filmu, dasz wiarę? To właśnie jego zastępstwo w tej chwili kona.

Lekceważenie przez Fontane swojej firmy produkcyjnej stawało się coraz większym problemem, lecz pierwszy raz doszło do tego, że zniknął z planu w środku zdjęć.

— I to wszystko? — zdziwił się Geraci. — Ujdzie mu to na sucho?

— Nie chce mi się w to zagłębiać. Mam D.D. w jednym uchu, brata w drugim, i zasranego Hageny w trzecim.

— Masz troje uszu?

— Takie mam wrażenie. I nie jest to wrażenie, którego bym komuś śyczył.

Przeszli do ważniejszych spraw. Geraci spodziewał się, że Fredo — tak jak wiele razy, gdy się

spotykali — przekaŝe mu wieŝci

o interesach w Nowym Jorku. Fredo tymczasem zrelacjonował mu przebieg rozmów pokojowych, które odbyły się wczoraj. Wszystko zosta

T ł

o o

t u

e s

ŝ ta

mlo

ó n

głe

:

u G

sł e

y r

s a

z c

e i

ć m

ktia

o ł

ś ,w

k rtó

o c

ić

mi d

ało

z d

o o

s m

ta u

ć .

sprzątnięty. Lecz jeśli

miało się tak stać, dlaczego Mike przysłał Freda?

— Nic ci nie dolega? — spytał Fredo. — Masz coś ze słuchem czy jak? Myślałem, że jak facet coś takiego usłyszy, to jest wniebowzięty.

Do saloonu weszli oświetleniowcy i zaczęli przygotowywać wnętrza do ujęcia. Rekwizytorzy rozsypali na podłodze trociny, rozłożyli karty do gry i setony, rozstawili brudne szklanki i puścili muzykę z pianoli, która była skazana na roztrzaskanie.

256

— Po prostu to będzie trudne — odparł Geraci. — To znaczy powrót do domu.

Fredo zniżył głos.

— Hej, jak żyjesz ze Straccim? To znaczy, jak żyłeś? Zanim do tego wszystkiego doszło. Nie pytam bez powodu.

— Są tam ludzie, z którymi współpracuję. — Gdyby Geraci nie odpalał puli Czarnemu Tony'emu Stracciemu, proszek nigdy nie mógłby wylądować w Jersey i dotrzeć płynnie do Nowego Jorku. — Jaki to powód?

— Mam pewien pomysł. Może znalazłoby się coś dla siebie.

Nowe źródło dochodu. To mógłby być jeden z najlepszych interesów, jakie kiedykolwiek mieliśmy. Rozmawiałem z Mikiem i on

powiedział, że nic z tego, ale im lepiej cię znam, tym bardziej mi się zd

— a

je

N, i Š

e e

wria

e ze

m, m

F m

re o

d g

o. l iby

— śm

Gey

r

ag

c o

i p

mriz

a e

ł ka

n b

da

zc

i i

eć

j.

ę, Œe tego nie okazał,

lecz był wstrząśnięty. Fredo prawie go nie znał, a mimo to wciągał

go na listę sojuszników, wraz z którymi chciał się przeciwstawić Michaelowi Corleone. — Jeśli don odrzucił tę propozycję...

— Spokojna głowa. Zajmę się tym. Znam go jak nikt inny.

— Nie wątpię — mruknął Geraci. Taki otwarty brak lojalności byłby szokujący u ulicznego oprycha. Ale u *sottocapo*? U brata dona? — Muszę powiedzieć ci to otwarcie, Fredo, nie zamierzam...

— Doceniam to, co mówisz, ale wysłuchaj mnie, okay? Okay.

A więc. Jesteś prawnikiem, tak? Wiedziałeś, Œe to bezprawne chować ludzi w San Francisco?

Błąd. Geraci nie był prawnikiem, lecz nie chciało mu się poprawiać Freda. Właśnie wtedy Deanna Dunn wpadła przez wahadłowe drzwi.

— Barman — warknęła — nalej mi najlepszej whisky, jaką masz.

— Nieźle — pochwalił Geraci. Deanna wypowiedziała tę kwestię jak czarny charakter w filmie, posiwiały tępak, który zaczynał

jako b

— oks

W etr.

y ch butelkach nie ma prawdziwej whisky — stwierdził

Fredo.

— To twoje przywiązanie do rzeczywistości jest urocze. Mógł-

byś przestać, co?

— A, jeszcze jedno — rzekł Fredo, ignorując Œonę i zwracając się do Geraciego. O mało nie zapomniałem. — Złapał się za klapy marynarki. — Faktycznie mam krawca. Mieszka tu, w Beverly Hills, ale na przymiarki sprowadzam go samolotem do Vegas. Jest teŒ krawcem Fontane i właśnie od niego się o nim dowiedziałem.

Hills, ale na przymiarki sprowadzam go samolotem do Vegas. Jest teŒ krawcem Fontane i właśnie od niego się o nim dowiedziałem.

— W przeciwieństwie do ciebie — wtrąciła Deanna — Johnny musi mieć spodnie szyte na miarę, bo inaczej by nie pasowały. Ma taką lachę, Œe...

— To prawda — przyznał ze smutnym uśmiechem Fredo.

— DuŜą, tak? — Geraci nie mógł uwierzyć, Ŝe Fredo puści Ŝonie tę uwagę płazem.

— Tak mówią — mruknął Fredo.

— Oni? Kim są oni?

— Raczej one. — Deanna Dunn odwróciła krzesło i usiadła na nim okrakiem. — Spytaj raczej, kim one nie są. — Mówiąc to, poruszyła brwiami.

Geraci nie widział gniewu w oczach Freda, lecz na twarzy *sottocapo* wciąż błąkał się niewyraźny uśmiech.

— Robiłam film z Margot Ashton, kiedy była jeszcze Ŝoną Johnny'ego — powiedziała Deanna Dunn. — ReŜyser, Mick Flynn, taki grubas, fajtłapa, kpił z niej, Ŝe wyszła za chudego słabeusza takiego jak Johnny Fontane, który waŜy czterdzieści dziewięć kilo.

To było jakiś czas temu. I wtedy w obecności wszystkich Margot mówi głośno: „MoŜe jest chudy, ale ma idealne proporcje. Sam waŜy dziewięć kilo, a jego kutas czterdzieści”.

Fredo parsknął piskliwym śmiechem.

— Urocza kobieta, ta pani Ashton — zauwaŜył Geraci. A ty, pani Dunn, waŜysz osiem kilo, a twoja monstrualna głowa czterdzieści.

— Naturalnie, kiedy to usłyszałam, postanowiłam sprawdzić, czy Margot nie przesadziła — dodała Deanna.

Na twarzy Freda Corleone radość w mgnieniu oka zmieniła się w rozpacz. Geraci pamiętał, Ŝe tak szybko zmieniały wyraz twarzy jego córek, kiedy były malutkie.

— Dlatego z ogromną przyjemnością, przed tą zacną publicznością, po długim, naprawdę długim czasie mogę ujawnić...

— Chyba czas na mnie — oznajmił Geraci i wyszedł. O

sztywniakach w San Francisco posłucha przy innej okazji.

Jedna rzecz wciąż nie dawała spokoju Pete'owi Clemenzy.

Tego wieczoru w Zamku na Piasku, kiedy oglądali Fontane, Buzza Fratella i Dotty Ames — Mike klepnął Pete'a w ramię, 258

jeszcze zanim odebrał telefon od Hageny z wiadomością o katastrofie samolotu. Dlaczego? Skąd wiedział, Ŝe zaraz wstaną i wyjdą?

Rzecz jasna Clemenza nigdy by o tym nie powiedział.

Lecz takie rzeczy skłaniają do myślenia. Coś takiego potrafi sprawić, że mężczyzna wstaje z łóżka o drugiej w nocy w jedwabnej piżamie, zapala dobre cygaro, włącza reflektory i jak oszalały woskuje swojego cadillaca.

Rozdział 15

Kongresman — były stanowy prokurator generalny, gorliwy przeciwnik wkraczającej do jego ukochanego Srebrnego Stanu cosa nostry, a także ranczer, którego posiadłość leżała nieopodal Doomtwn — pierwszy raz usłyszał swoją ponurą diagnozę w niedawno

ukończonym skrzydle Vita Corleone. Po powrocie do Waszyngtonu otrzymał drugą opinię od specjalisty z kliniki Bethesda Memoriał.

Diagnoza była taka sama: rak limfatyczny, nie do zoperowania, pół

roku życia. Kongresman postanowił trzymać chorobę w sekrecie i walczyć z nią. Jeśli ktokolwiek był wystarczająco twardy, żeby dokopać rakowi, to właśnie ten wielki wół. Rok później zmarł, cięższy o czterdzieści kilo. Jak się często zdarza, człowiekiem, którego konstytucja zobowiązywała do wyznaczenia następcy, był

polityczny rywal zmarłego. Gubernator poprosił Thomasa F.

Hagena, prominentnego adwokata z Las Vegas i finansistę, by zrezygnował z niepewnej nominacji partii do Senatu i zasiadł w Kongresie. Pan Hagen wspaniałomyślnie odsunął swoje plany na bok

N w

o

mi z

nam

cja

a n

ni z

e a

zy sz

kan

l s

a ę

sz s

eł u

r Ń

o e

ki n

e ia

g

o z

pa

ocn

pay

r m

ci

a. o

b

O y

p w

o a

r t

u e

l

no

i m
e
b s
u t
da
zn
i u
ł
o
N
ś e
r v
o a
d d
o a

w.i sko, w którym obracał się Hagen — w tych czasach było więcej polityków takich jak on — lecz jego krótki stał jako mieszkańca Nevady. Poza tym był politycznym nowicjuszem bez doświadczenia w słuŕbie publicznej. Wszystkie bez wyjątku gazety w stanie skrytkowały wybór i szeroko opisały kontrowersje.

W czasie prawyborów sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej.

Zmarły kongresman nie miał oponentów. Posypały się pozwy, a listopadowe wybory do Kongresu zapowiadały się jako rywalizacja Toma Hageny ze świętej pamięci poprzednikiem.

260

Aby zdobyć potęgę, czasem trzeba zdobyć władzę nad tymi, którzy wydają się najsłabsi. To był sekret rodziny Corleone, umieli kontrolować sędziów. Choć korupcja kwitnie we wszystkich kręgach społecznych, przeciętny sędzia — co opinia publiczna może przyjąć z ulgą — jest uczciwszy niż przeciętny człowiek. W

praktyce sędziów trudno kontrolować i jest to kosztowne. Jednak sprawy

przydzielane są „przypadkowo” przez urzędnika sądowego, który zarabia nie więcej niż, powiedzmy, przeciętny nauczyciel hiszpańskiego. Ktoś, kto ma pod kontrolą dziesięć procent takich pracowników i większość sędziów, posiada znacznie mniej władzy niż

ktoś, kto zawładnął większością urzędników i garstką zajmujących stracie

G g

a i

z c

e z

t n

y e p

f o

u z

n y

k c

c j j e

o

n s

u ę

j d

ą z i ó w

na

tra

o p

d i o

w n

r y

otc

nh

e j c

yn

z iazsm

a e

d m

zi ,

e

. złym

Ni i

e kn

t a

ó w

ryy

c -

h

ka

dzm

iei

nlu

nib

k c

arie

z m

y ny

m m

oŝ i

n s

a ek

prre

z t

e a

k m

a i

b .

a cić darmowym lunchem, zakazanym

za-

kładem hazardowym, nawet szklanką zimnego piwa. Lecz większość ma zapędy do krucjat i kręćka na punkcie newsów, który jest

silniejszy niż lojalność wobec czegokolwiek. Na szczęście łatwo się teŝ ekscytują, jeśli usłyszą jeszcze nowszy news, za którym podążą jak lemingi. Őeby kontrolować wiadomości, trzeba mieć wpływy na samym szczycie. Opinia publiczna ma krótką pamięć.

Jeśli jakiś temat znika po kilku dniach i zostaje zastąpiony czymś nowym, to publika nie chce dowiedzieć się więcej o starym temacie, lecz poŝąda nowszych szczegółów nowej sensacji. Albo jeszcze czegoś nowszego. Jeśli masz pod kontrolą tych, którzy decydują o ty

Pm

o , ja

kk

il d

k ł

u u

go

d s

ni ię

a

c o

h cz

cy

hm

arś

y p

z is

m z

a e

t

y i

c zk

nie

y d

, y t

d ra

zi fi

wa

nito

e do

w g

y a

glzaet

d y

a ,

j

ą to

c

y

ko

m n

ę t

Ŝ ro

czlu

y j

z e

n s

a z

w

w ia

c d

z o

a m

rn o

ejś ci

s .

k órzanej kurtce i z jeszcze czarniejszymi bakami,

muzyczna sensacja z Missisipi, biały wyśpiewujący murzyńskie pieśni, przyjechał pierwszy raz do Las Vegas. Hagen zniknął

z czołówek gazet i publicznej wyobraźni, zastąpiony podaną w po-godnym tonie informacją o słabym występie piosenkarza i spekulacjami, czy jest to sygnał końca kariery nie tylko młodego szarpidruta, lecz całej wulgarnej mody, ponoć komunistycznego pochodzenia, zwanej rock and roilem. W dniu, w którym Hagen został zaprzysięŝony i odleciał do Waszyngtonu, by zabrać się do swoich nowych obowiązków, w prasie stanu Nevada pojawiła się tylko jedna wzmianka o nim: pewien uparty reporter z Carson City, na pustkowiu jednej ze środkowych stron, próbował rozwikłać 261

prawną bitwę o miejsce w Kongresie. Partia zmarłego kongresmana była rozdarta wewnętrznymi walkami i nękana orzeczeniami sądów, więc wydawało się coraz mniej prawdopodobne, by zdołała wybrać kandydata i zgłosić go na czas do wyborów. Hagenowi wiodło się lepiej. Mimo ŝe został wyznaczony na stanowisko znacznie po terminie zgłaszania kandydatów do listopadowego głosowania, w ciągu tygodnia po ogłoszeniu nominacji zdołał dostarczyć wszystkie wymagane dokumenty. Przytoczono słowa urzędnika sądowego, który miał stwierdzić, ŝe w tych okolicznościach uwzględnienie wniosku prawników Hagen o przedłuŝenie mu terminu wydaje się „kwestią rutynową”.

Działania donów i ich najwyŝszych rangą podwładnych coraz bardziej przypominały działania rad nadzorczych wielkich koncernów i rządów. Hagen wiedział, ŝe właśnie tego pragnie Michael:

zalegalizować się. Podąŝał tą drogą bez rad Hagen. Jeśli go nie pytan

W o

oH

d a

r g

ó e

S n

ni z

e a

nich

u ow

od y

wa

H ł

a s

g w

en o

a j

e w

Mią

ctp

h l

a i

ew

l oś

n c

i i

g d

d l

y a

s

n i e b

i e

p .

r a c o w a ł w

korporacji. Czy w ich biznesie ktoś zostaje poszkodowany, jeśli sam

nie ściągnie na siebie nieszczęścia? To rzadkość. Ale w legalnym biznesie? Zanim Hagen przeszedł do pracy u Vita Corleone, przez ostatnie miesiące w firmie prawniczej zajmował się „akceptowalną śmiertelnością”, to znaczy ustalaniem, ilu niewinnych ludzi musi zginąć w wypadkach samochodów wyprodukowanych przez klienta kancelarii, zanim liczba pozwów — których się spodziewano — uzasadni koszt montowania bezpieczniejszych droższych części.

Niemowlęta, licealiści, kobiety w ciąży, inteligentni młodzi, biali mężczyźni z wysokimi pensjami — wszyscy zostali policzeni i uwzględnieni w raporcie, który Hagen oddał szefowi w dniu swego

R o

z

ą o

dd

e

j j

e ś c

t i

a j .

e C

s o

z c c

z i

e lu
gd
oz
r ise
z u
y cz
i yn
Hil
a i,
g b
e y
n śc
wiią
e g
d n
zią
ać
ł na
o s
t ie
y b
mi e
nśm
a ie

dł rć

u ?

g

o,

zanim sam zasiadł na fotelu kongresmana. Pamiętajcie zawołanie:

„Nie zapomnimy USS Maine” *? Wielkie kłamstwo spreparowane

* 15 lutego 1898 pancernik USS „Maine” stojący w porcie w Hawanie zatonął w następstwie eksplozji w prochowni dziobowej. Przyczyna wybuchu była

nieznana,

jednak

amerykańska

opinia

publiczna

obarczyła

odpowiedzialnością Hiszpanię i kilka miesięcy później Stany Zjednoczone wypowiedziały

Hiszpanii wojnę.

262

po to, by Stany Zjednoczone mogły przystąpić do wojny pod fałszywym pretekstem, a bogaci znajomi ludzi u steru władzy mogli wzbogacić się jeszcze bardziej (łącznie z magnatami prasowymi, którzy słuŜalczo umieścili bujdę na czołowym miejscu).

W tej rozdmuchanej wojnie zginęło więcej ludzi niŜ we wszystkich starciach mafijnych razem wziętych. Tylko negatywny stereotyp Włocha sprawia, Őe sã oni postrzegani jako zagroŜenie dla przeciętnego Johna. Rząd zaŝ prowadzi nieustającã wojnę z przeciętnym

Johnem, a ci frajerzy jedzã ich chleb, chodzã do ich cyrków i udajã, Őe Őyją w demokracji — kłamstwo to jest tak hołubione, Őe nikt nie dostrzega rzeczy oczywistej, mianowicie tego, Őe Amerykã rządzã układy zawierane za kulisami przez polityków i bogaczy. Prawie w kaŜdych wyborach bogatszy kandydat pokonuje biedniejszego.

Jeŝli wygrywa biedniejszy, to zwykle dlatego, Őe zgodził siã być marionetkã bogatszych ludzi niŜ ci,

którzy poparli jego kandydata.

No, spróbujcie przegłosować tych drani. Zobaczycie, co się stanie.

Albo

H

a r

ga

ecz

n ej,

mic

ao

ł

się

w

ą n

t i

p e

li s

w t

oaśn

c ie

, . H

czas

y łość w

wi y

a b

t orc

ki z

e e

d yH

k a

o g

l e

w n

i a

e

k pow

wi i

dn

zn

i o

ał

br

w z

i m

ęk ie

szć:

y

c,,H

h a

r g

e e

k n

e t i d

e o

r

ó K

w o

n

n i g

Ŝ r e s

a u

m.

e Z

r o

y b

k a

a c

ń z

s c

k i i e r,

z c

ą o

d .s

ię

T rn

u ie

d

nst

o ajn

eie

st "

.

pozwać

rząd

do sądu, a nawet jeśli wygrasz, to co z tego? Stawką jest milion dolarów. Oni podnoszą podatki do dwóch milionów. Z firmami jest tak, że ktoś gdzieś musi kupić ich tandetne produkty. A co ludzie mogą zrobić z rządem? Jest twój, ten rząd to ty, więc jesteś na niego

P o

r

zs

ek

za

z

l a

a n

tay

, k

H o

a n

geie

n c

zp

a ie

w ś

i n

e i

r .

a ł układy z politykami, patrzył w ich

martwe oczy i widział, jakimi bezdusznymi oportunistami się stali. Robił to na długo, zanim pierwszy raz postawił stopę w ich gabinetach, by wyjaśnić, że mogą zawrzeć obustronnie korzystną umowę. Poza tym i tak nie mają wielkiego wyboru. Ci mężczyźni

— bardzo rzadko były to kobiety — godzili się bez obiekcji, dziękowali Hagenowi, podawali mu rękę i szczerzyli zęby w urzędowym uśmiechu. I mówili, żeby przychodził, kiedy zechce. Hagen pomyślał, że jeśli kiedykolwiek spojrzy w lustro i zobaczy to spojrzenie w swoich oczach, będzie mógł wpakować sobie kulę w łeb.

Nigdy nie oczekiwał, że będzie sprawował publiczny urząd poza stanem Nevada (miał przed tym poważne opory), i nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie zaskakująca okazja, której dostarczyła śmierć poprzednika. Społeczeństwo Nevady było równie prze-

straszone faktem, że Tom Hagen znalazł się w Kongresie, jak on sam — chociaż mniej niż jego żona, Theresa. Krytyka tej nominacji, nawet kiedy wygasła, była dla niej zbyt trudna do zniesienia.

Theresa martwiła się skutkami, jakie ta sprawa wyrze na dzieciach. A myśl, że będzie żoną polityka w Waszyngtonie, napawała

ją prze

— ra

T że

y en

zaie

wm

s .

z

e zdobywasz to, co chcesz — powiedziała mu. —

A ja znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy tego nie chciałeś. — Hagen próbował zaprzeczać, lecz Sona go przejrzała.

Potrzebowała czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Zabrała dzieci i wyjechała na lato do rodziców na wybrzeże Jersey.

Być może właśnie dlatego że Tom Hagen tak niechętnie jechał

do Waszyngtonu, przyjazd okazał się dlań takim szokiem. Kiedy taksówka przejechała nad Potomakiem, naprawdę spadła na niego świadomość, gdzie jest i kim jest. Mimo że Hagen bardzo realistycznie podchodził do tego, co dzieje się w tym mieście, widok

mau

P z

i o

e l

r eu

ws m

ze L

j in

n c

o o

c l

y n

a

w sp

h r

oa

t w

el i

uł,, Ŝ

ne

i

ep

oc

m z

o u

g ł

ą k

c u

z lę

a

s w

n

ą g

ć a

, rd

o l

b e.

w iniał róŜnicę

czasu i kawę, lecz latał ciągle i pił kawę litrami, a mimo to mógł

zasnąć w kaŜdej chwili, kiedy tylko sobie na to pozwolił. Odsunął

zasłoneę, zobaczył światła alei Mail i poczuł gęsią skórkę.

Był milionerem. Był amerykańskim kongresmanem. Wybuchnął

śmiechem.

Ubrał się.

Impuls przyszedł z serca. Hagen znalazł się w windzie, zanim pomyślał, jak beznadziejnie sentymentalną rzecz zamierza zrobić.

Od samego początku wiedział, Ŝe nikomu nie moŜe o tym opowiedzieć.

Przeszedł przez Aleję Konstytucji i stanął przy zachodniej krawędzi Lustrzanej Sadzawki, która cuchnęła jak zgniłe jaja. Na wodę padały światła. Naprzeciwko siedziała jakaś para, trzymając się za ręce i całując. Cóż za olśniewająco piękny widok.

Hagen był sierotą. Kiedy miał dziesięć lat, jego matka oślepła, a później zmarła. Ojciec zapił się na śmierć, a Hagen trafił do sierocińca. Uciekł z niego i przez ponad rok Ŝył na ulicy, nim zaprzyjaźnił się z Sonnym Corleone, który przyprowadził go do domu jak zabłąkanego szczeniaka. Wówczas nie było Ŝadnego powodu, Ŝeby ojciec Sonny'ego się na to godził, lecz Hagen był

264

zbyt wdzięczny, by cokolwiek kwestionować. Później wcale juŜ

o tym nie myślał. Jego matka zmarła na chorobę weneryczną, a ojciec był gwałtownym oszalałym pijakiem, proszącym się o śmierć. Tom był mistrzem niemówienia i niemyślenia o pewnych sprawach, na długo zanim Vito Corleone udoskonalił i wykorzystał

te umiejętności.

Lecz tej nocy nagle to do niego dotarło. Vito teŜ był sierotą, przyjętym przez rodzinę Abbandando, kiedy miał tyle samo lat, co Tom Hagen, gdy przybył do domu rodziny Corleone. Vito dorastał

w tym samym domu, co człowiek, który miał zostać jego *consigliere*. Odtworzył tę samą sytuację, gdy najpierw Sonny, a później

Mich

Ha

a e

gl

e w

ny

o k

d o

wrz

óy

cs

i t

ł y

sw

ięa

li

p H

o a

w g

ol e

i,n

a

z w

w t

y e

c j

i

ąsa

g m

ni e

ę t j

y ro

m l

i i

.r ękami, obejmując

wzrokiem mauzoleum Lincolna, pomnik Jeffersona i obelisk Waszyngtona. Kapitol i pozornie przypadkowo rozrzucone gwiazdy

w górze, które ułożyły się tak, że to miejsce miało się teraz stać nową siedzibą jego, Toma Hageny. Stał przy zachodnim brzegu sadzawki, jego sylwetka odbijała się w lustrze wody, a on obracał

się i rozmyślał. Nie wierzył w Boga, w Śycie po śmierci ani w Śadne mistyczne sprawy, lecz w tamtej chwili bez wątpienia odczuwał obecność zmarłych, cięską jak bryła lodu. Waszyngton, Jefferson, Lincoln. Zmarły kongresman. Sonny i Vito Corleone.

Bridget i Marty Hagenowie. Tysiące nieznanych ludzi, którzy przyjęli kule w głowy i serca za coś większego niż ich własne rodziny i interesy. Wszyscy ci ludzie, którzy oddali Śycie, aby on mógł Śyc, po to, by mógł znaleźć się tutaj, nie wiadomo na jak długo, przeobrażony we wspaniałego szpakowatego jegomościa, kong

Prre

z s

e m

z a

c n

ał a

y n

ca

zz

aw

s, i sk

kt ie

órm

y T

T h

o om

m sas

p

ę F

d .

z H

ił ag

w en

K .

ongresie, często wracał

myślą do tej chwili i euforii, jaką wtedy poczuł — zwykle w momentach, gdy rozmaici ludzie z zaskakującą częstotliwością, altruistycznie starali się poprawić życie nieznajomych obywateli.

W przeciwieństwie do tych, którzy w początkowym okresie spędzonym w Waszyngtonie patrzyli, jak ich naiwny idealizm rozpada

się w proch, zmiażdżony rzeczywistością polityki i pieniądza, Hagen nie miał ideałów, które mogłyby runąć. Na widok kongresmanów, widzianych wcześniej przy okazji wręczania im łapówek,

przedstawiających mu się na Kapitolu, udających, że go nie znają, Tom reagował lekkim

rozbawieniem. Przez całe życie patrzył na ludzi, którzy wchodzili jeden po drugim do gabinetu, prosząc 265

o przysługi, więc ich świńska natura nie robiła na nim wrażenia.

Z drugiej strony, choć cnoty i altruizmu jest na Kapitolu bardzo mało, w oczach człowieka niezdolnego do rozczarowania są wszędzie.

Jednak tej pierwszej nocy w Waszyngtonie euforia Hagena została nagle przerwana, gdy spoglądając na rozświetlone niebo, poczuł na plecach lufę pistoletu. Był to Murzyn w białym kowbojskim kapeluszu, z opaską na twarzy. Obcasy jego butów owinięte

były m

— ię

Mk

a ki

m m

m

n a

a t

d e

z rii a

ej łe

ę, m

. H

Se a

ge

t n

e

m

ie u

zesł

g y

a s

r z

e a

k ł jeg

ni o

e

nad

me

aj ścia

w.

artości

sentymentalnej — rzekł męŜczyzna.

— Nie ma — odparł Hagen, mimo Őe był to prezent rocznicowy od Theresy. Nie była to bardzo waŜna rocznica, lecz Hagen lubił

ten zegarek. — To tylko zegarek.

— Diabelnie ładny zegarek.

— Dzięki. Niech pan nie zapomni zwrócić na to uwagę swojemu paserowi. A propos, podoba mi się pański kapelusz.

— Dzięki. Jest pan bogaty, co? — zapytał męŜczyzna, oddając Hagenowi opróŜniony portfel.

— Teraz juŜ mniej. — Miał w portfelu tylko kilkaset dolarów.

— Przykro mi — powiedział tamten, odwracając się. — To tylko biznes, wie pan?

— Całkowicie rozumiem! — krzyknął za nim Hagen. Czy to miasto widziało kiedyś weselszą ofiarę napadu? — Powodzenia, przyjacielu!

Hagen swoim zwyczajem zostawił sobie mnóstwo czasu na to, by dojechać z domu rodziców Theresy w Asbury Park na konwencję swojej partii w Atlancie, i dopiero gdy dotarł i okazało się, że pozamykano niektóre ulice, miał powód, by zakląć i spojrzeć na zegarek. Kupił sobie taki sam, żeby nie musieć niczego tłumaczyć Theresie, ale zostawił go na nocnym stoliku. Mógł go sobie wyobrazić. Leżał tuż obok akredytacji na konwencję. Hagen trzasnął otwartą dłońią w kierownicę.

To było głupie nie mieszkać w hotelu, lecz Hagen próbował przywieźć tam Sonę, a poza tym wspaniale było zobaczyć dzieci.

Nawet chłopcy ucieszyli się na jego widok, grając w kosza na podjeździe, rozmawiając o dziewczynach i samochodach i słuchając barbarzyńskiej, pozbawionej melodii muzyki. Wszystko poszło

doskonale. Theresa miała wrócić do domu pod koniec lata — Hagen nie miał pewności, że to zrobi — i powiedziała nawet, że być może pokaże się na imprezach wyborczych, jeśli Tom zdobędzie dla niej nominację do rady nowego muzeum sztuki współczesnej.

Ale Hagen nie przewidział, że jazda w tę i z powrotem tak go wyczerpie — naturalnie ruch był największy akurat tego dnia, kiedy Tom musiał tam przyjechać. Nic dziwnego, że zapomniał

zabrać ważnych rzeczy. Gdyby nie próbował zrobić tak wiele w tak krótkim czasie, podróżowałby ze swoim szefem sztabu —

niemiłym, lecz zatruwająco sprawnym, młodym absolwentem Harvardu, poleconym mu przez gubernatora — Ralphem, który dopilnowałby, żeby szef miał wszystko, bez względu na to, jak bardzo jest roztargniony, i mimo że w ostatniej chwili przyszło mu do głowy pobiec na plażę, by popływać z córką.

Hagen nie miał pojęcia, jak długo walił rękami w kierownicę.

Spojrzał w lusterko i zobaczył swoją spoconą zaczerwienioną twarz człowieka, który za chwilę dostanie ataku serca. Wziął głęboki oddech. Wyjął grzebień i doprowadził się do porządku.

Nie mając karty parkingowej, postawił samochód na pasażu daleko od sali, w której miała się odbyć konwencja. Kiedy tam dotarł, był tak spocony i rozczochrany, że mimo zastosowania kilku sprytnych sztuczek nie udało mu się przekonać stróżów z portierów, żeby wpuścili go do środka. Z tego powodu nie usłyszał

mowy inauguracyjnej gubernatora Jamesa Kavanaugh Shei. Ale sądząc po ryku publiczności, wszystko szło dobrze.

Hagen pierwszy raz zauważył słowa wyryte na zbudowanej z piaskowca fasadzie budynku: CONSILIO ET PRUDENTIA. Po łacinie. „Roztropność i przeczność”. *Consiglio. Prudenza.*

Sprawy toczyły się tak, że Hagen nie byłby zaskoczony, gdyby pewnego dnia mafia wynajęła taką arenę na swoje spotkanie.

Byłoby to szokujące, tak, lecz nie zaskakujące. Gdyby wciąż był

consigliere, jego pierwsza uwaga byłaby taka, że zebrania ludzi z różnych rodzin — śluby, pogrzeby, walki bokserskie, spotkania w nocnych klubach, których prawdziwymi właścicielami byli gangsterzy — stały się zbyt częste, zbyt publiczne, zbyt efektowne.

Dotyczyło to nawet pogrzebów. Tom usłyszał, że konferencja w stanie Nowy Jork doprowadziła do podjęcia decyzji o organizowaniu spotkań co rok. Co będzie następane? Oficjalne zaświadczenia

na p

Zi śm

wnie

ę t o

rz u

a c

bze

u s

d t

ynic

k t

uw

zie

n ?

ó T

w ra

d n

o s

bim

e i

g s

ł j

ye

t

b e

r l

a ew

wa i

. z

yjne na Śywo?

267

Hagen westchnął, przeszedł na drugą stronę pasaŜu i usiadł na ławce.

Kilkaset metrów dalej robotnicy kończyli montaŜ prowizorycznej sceny na wieczorny koncert Johnny'ego Fontane. Była teŜ ekipa zdjęciowa ze studia Fontane, mimo Śe nie planowano publikowania nagrań ani pokazywania ich nigdzie poza domem Johnny'ego w Beverly Hills. MęŜczyźni w kombinezonach zdejmowali z cię-

Śarówek krzesła i stopnie schodów. Ten biznes kontrolowała rodzina Straccich.

Czy miało to jakieś znaczenie, Śe Hagen nie usłyszał

przemówienia? Kto się o tym dowie? Czy miało jakieś znaczenie, Śe

gdyby nie umiejętności negocjacyjne Toma Hagen, ta konwencja odbyłaby się w Chicago? Inni ludzie przypisali sobie zasługę i w gruncie rzeczy Tomowi to odpowiadało. Przypisywanie sobie zasług nie leŜało w jego naturze — tak czynią ci, którzy chcą, by fraje

Hrz

a y

g

e u

n w

a

ot Ŝ

a a

rl i,

p Ŝ

o e

t Ŝ

z y

j

c e

z m

oł y

a ,w

ś d

ci e

s m

nao

ł k

cra

h c

uj

s it i

e cg

zł o

k s

ę oiw

a

p l

o i n

wt a

ó rnic

e h

.

wytarł

czoło. To on prowadził negocjacje, lecz plan obmyślił Michael Corleone, a zorganizowanie konwencji w Atlancie było jego mistrzowskim pociągnięciem. Dzięki temu wszystko układało się w całość. Rodzina Straccich kontrolowała machinę partyjną w tym stanie, lecz Czarny Tony (który czernił włosy, od kiedy był

dzieckiem) nie miał powiązań poza New Jersey i był niesłychanie wdzięczny politykom pilnowanym przez klan Corleone za współ-

pracę. Stracci zyskali jeszcze dlatego, że kontrolowali usługi włókiennicze i usuwanie odpadów w Atlancie, a także nielegalne kasyna w Jersey Palisades. To scementowało przyjaźń dona Stracciego i rodziny Corleone, pozwoliło też *regime* Asa Geraciego

korzystać z doków Straccich w czasie operacji przemytniczych, które

G p

ubrz

e y

r n

naitosrł y p

Ji óż

m n

mie

y j ta

S k

h o

eag

ro

zm

e n

bre

a łd

oc

l h

a o

ur d

y y

. za zorganizowanie

konwencji w New Jersey i wszystkie korzyści ekonomiczne, które się

z tym wiązały. Mógł wygłosić ważne przemówienie, transmitowane przez wszystkie trzy sieci telewizyjne w czasie największej oglądalności, nie musząc za to płacić. W zamian za te przysługi jego

brat

Danny (który nie wiedział, w czym imieniu ojciec interweniuje) sprawił, że dochodzenia w sprawie udziału członków rodzin mafijnych w ostatnich zabójstwach zostały skrócone. Tak że dzięki wstawiennictwu ambasadora Jimmy Shea zgodził się nie oponować pr

2 z

6 e

iwko ustawie legalizującej hazard w Atlancie. A teraz dobra mowa stwarzała Jimmy'emu Shei szansę — czy o tym wiedział, czy nie — zostania pierwszym amerykańskim prezydentem, zawdzięczającym wybór cosa nostrze.

W końcu się o tym dowie, to było pewne.

Z wnętrza sali dobiegł huragan braw i stłumione dźwięki granej przez instrumenty dęte melodii *W błękitną dziką dal*.

Ten wieczór był poświęceniem pokoju. Sprawcą tego wszystkiego był Hagen, i gdzie się znalazł? Na ławce przed budynkiem, w którym działy się najważniejsze rzeczy. Nawet nie postawił nogi w gmachu konwencji. Powiedziano mu, że w środku znajdują się największe organy na świecie. Co rok odbywała się tam gala Miss America, którą Hagen oglądał w telewizji. Bez wątpienia jedyna różnica między opinią Miss Alabamy na temat kraju wielkich możliwości (same nas szukają!), dzieci (są naszą przyszłością!), edukacji (wszyscy do ksiąsek!), kluczy do dobrego życia (praca!

Kościół! rodzina!), pokoju na świecie (jest możliwy jeszcze w naszych czasach!) i gubernatora Shea była taka, że Shea nie musiał

jej wygłaszać ubrany w kostium kąpielowy i szpilki.

Do diabła z tym. Co to wszystko mogło obchodzić Hagen?

Ruszył piechotą do hotelu, w którym główną salę balową wynajął

ambasador. Pomyślał, że przyjdzie wcześniej, ale przy odrobinie szczęścia uda mu się wypić drinka. Delegatów witał błękitny transparent, lecz ambasador za wszystko zapłacił. Lokal był już

zatłoczony, co stanowiło pewną niespodziankę. Jimmy Shea skończył już przemowę i do środka wlewała się rzeka ludzi rozprawiających o tym, jaka to wielka szkoda, że gubernator wygłosił

mwę

nominacyjną, a nie akceptacyjną, i że Shea — młody atrakcyjny bohater wojenny — miałby większe szanse niż ponurak z Ohio, które

H g

a o

g epa

n rti

w a

i

e w

dzy

i s

a tła

, w

Ŗ i

e a

ła

ni j

e a

kk

t o

ór j

z a

y g

n

z ię

t

y o

c f

hi alrn

u e

d .

i to klakierzy, którym

zapłacono za to, by wychwalać przemówienie Shei bez względu na to, jakie było. Wiedział teŜ, Ŝe wojenne bohaterstwo Shei, choć autentyczne, zostało wyolbrzymione w mediach — Hagen osobiŝcie tego dopilnował. Wiedział równieŜ, mimo iŜ spędził w Waszyngtonie bardzo mało czasu, Ŝe „ponurak z Ohio” to godny szacunku

człowiek o imponujących zasługach. Nie wiedział natomiast, co bycie młodym i atrakcyjnym ma wspólnego ze sprawowaniem urzędu prezydenta. Zamówił podwójną whisky z wodą i rozejrzał się po sali, szukając wzrokiem ludzi, których rękę dobrze byłoby uścisnąć. Właŝnie wtedy przy drzwiach zrobiło się zamieszanie, 269

któremu towarzyszyły radosne okrzyki. Hagen się odwrócił i w tym momencie na jego ramię spadła czyjaś ręka.

— Mój kongresman! — zawołał Fredo Corleone ubrany w biały frak. — Czeŝć, koleŜko! Dostanę autograf, jeŝli obiecami, Ŝe na ciebie zagłosuję?

Hagen przysunął usta do ucha Freda.

— Co ty tutaj robisz? Jak się czuje mama?

Fredo był pijany. Ruchem kciuka wskazał drzwi.

Hagen przypuszczał, Ŝe stanie w nich Shea, lecz był to Johnny Fontane w otoczeniu doŝć liczne go orszaku.

— Przyjechałem z Johnnym — wyjaŝnił Fredo.

— A mama? — Przed dwoma tygodniami Carmela Corleone została odwieziona do szpitala. Jak się okazało, miała zator w mózgu. Z początku wydawało się, Ŝe nie przeŝyje, lecz się pozbierała.

Kiedy Hagen był tam ostatnio, Fredo zapewniał go, Ŝe zostanie w Nowym Jorku i wszystkiego dopilnuje. A tymczasem był tutaj.

— Dobrze — rzekł Fredo. — Jest w domu.

— Wiem, Ŝe jest w domu. Ale dlaczego ty z nią nie jesteŝ?

— Właŝnie się tam wybieram, naprawdę.

Hagen w to wątpił. Connie Corleone zostawiła Eda Federiciego i poleciała do Europy z jakimś pijanym playboyem. Przysłała tylko telegram i kwiaty. Ciotka Carmeli, Angelina, zmarła nieco wcześniej tego roku. Mike i Kay spędzili tam jakiś czas, lecz musieli wrócić do Nevady. Wynajęli

pielęgniarkę. Jediną osobą z rodziny, mogącą odwiedzić Carmelę, była córka Sonny'ego, Kathy, mieszkająca w akademiku w Barnard.

Hagen skinął w stronę ludzi towarzyszących Fontane: Gussiego Cicera, właściciela klubu w Los Angeles, współnika Jackiego Ping-Ponga, oraz dwóch mężczyzn z organizacji w Chicago.

— A co oni tu robią?

— Też przyjechali z Johnnym.

— Co takiego?

— Gussie był mężem Margot Ashton przed Johnnym, nie pamiętasz? A teraz są moimi kumplami. Odpręż się, Tommy. To zabawa, wiesz. Boże wszechmogący, widziałeś to przemówienie?

Czyby Fredo miał zaproszenie na konwencję?

— A ty widziałeś?

— W telewizji. Byliśmy w wynajętej garsonierze, w której zatrzymali się Gussie i Johnny. Jimmy i Danny też tam byli wczoraj wieczorem. Ale odjazd, chłopie. Szkoda, że do nas nie wpadłeś.

270

Hagen nie został zaproszony, o niczym nie wiedział.

— Jimmy i Danny Shea?

— A o kim gadamy? Jasne, że Jimmy i Danny Shea.

Hagen wiedział, że powinien odłożyć tę rozmowę na później.

Miał złą prasę po nominacji i to, że mówi Fredowi więcej niż dzień dobry, nie mogło być dobrze widziane.

— Gdzie się zatrzymałeś?

— Widziałeś kiedyś większe? — spytał Fredo, kiwając głową w stronę słynnych ogromnych piersi Annie McGowan, blondynki idącej tuż za Fontane, obok komika zwanego Kręcioł, którego zastąpiła w roli konferansjera, lecz który z jakiegoś powodu został

w orszaku Johnny'ego. Annie McGowan natomiast zastąpiła starzejącą się Mae West w roli tej, której nazwiska używa się w dow-cipac

—h

o

P p

o ie

wi rs

nia

e s

n t

eej

m k

j o

u b

Ŝ ie

ś c

ć i,e

.

F redo.

— Poznałeś ją juŜ?

— Raz się spotkaliśmy — odparł Hagen. — Ale raczej mnie nie pamięta.

Wreszcie zjawił się Jimmy Shea w towarzystwie ojca i brata.

Sala eksplodowała burzą oklasków, której towarzyszyło odtworzone z magnetofonu nagranie *W błękitną dziką dal*.

— Shea i Hagen w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym! —

ryknął Fredo.

Hagen uznał, Ŝe Fredo jest zatopiony.

Wymknął się z zapchanej po brzegi sali. Próbował witać się z odpowiednimi ludźmi, ale było to trudne. Robił, co mógł, lecz więcej niŜ kilka razy wyciągnął dłoń w stronę człowieka, w którym, jak mu się zdawało, rozpoznał senatora, kongresmana czy głównego asystenta, i zobaczył puste

spojrzenie. Usiłował znaleźć członków delegacji z Nevady, przypuszczalnie jedynych ludzi, którzy zauważyli jego nieobecność. Udało mu się zobaczyć tylko nauczycielkę z Bearty, gdziekolwiek to jest.

— Brama do Doliny Śmierci! — zawołała kobieta, przekrzykując zgiełk.

— A tak, faktycznie. — Więc tym się chwalą w Bearty?

— Kopalnie, tylko to tam mamy — powiedziała. — Choć kilka zostało zamkniętych.

— Dlatego musimy rozprawić się z tymi draniami w wyborach

— rzucił Hagen.

Kobieta ściągnęła brwi. MoŜe dotknęło ją słowo „dranie”, a moŜe 271

to on był jednym z drani, z którymi chciała się rozprawić. Nie zdążył jednak przeprosić, bo twarz nauczycielki pojaśniała.

— Jest pan wspaniały! — krzyknęła z zachwytem.

Po sekundzie Hagen zorientował się, Ŝe z tyłu nadchodzi gubernator Shea, wykorzystując swój szeroki uśmiech jak śnieŜny płóg.

Skiero

— wa

D ł

z ig

ę o

k n

uj a

ę ,n

au

mic

ł z

o y

ci

me

ilk

pe

a,

np

io

ą dn

w ió

ds

złi k

ec

ć.i uk d

— o

K g

l ó

er

py

n

ął pjo

ąw

ie

w drz

aiął

m :

i

ę.

Później uściskał dłoń Hagen — nigdy się nie spotkali — i zanim rozluźnił uścisk, już skierował uwagę na następną osobę w tłumie.

I odszedł. Lecz rozanielona jak po orgazmie twarz nauczycielki pozwoliła Hagenowi zrozumieć bardzo wiele z polityki: bycie młodym i atrakcyjnym nie ma nic wspólnego ze sprawowaniem urzędu prezydenta, lecz bardzo pomaga w wyborach.

Tom nachylił się do ucha kobiety.

— Rozumiem, że widziała pani przemówienie gubernatora?

— Przemówienie się słyszy — poprawiła znów, ściągając brwi.

— Słusznie — przytaknął Hagen.

Teraz ona zbliżyła usta do ucha Toma.

— Pomogę panu oszczędzić trochę czasu. Nigdy w Syciu nie głosowałam wbrew mojej partii, ale zrobię to w listopadzie, żeby zagłosować przeciwko panu.

Odsunęła się, mrugając, żeby podkreślić sarkazm tej wypowiedzi.

Co Hagen miał odpowiedzieć? Droga pani, mój przeciwnik nie żyje?

— No cóż — rzekł, klepiąc ją po ramieniu. Mimowolnie naśladował w ten sposób gubernatora. — Miło było panią spotkać.

Zaczął przesuwając się przez tłum. Mimo że w sali kłębiła się masa ludzi, przy barze nie było prawie nikogo. Wszyscy gapili się na sławne osobistości, których nie brakowało.

Fontane, Shea i Annie McGowan wdrapali się na stół. Fontane i Shea trzymali się pod ramię, Annie zaś stała nieco z boku, trzymając ręce przed sobą niczym listek figowy. Ambasador, który został na podłodze, włożył palce do ust i gwizdnął. Hagenowi trudno było patrzeć na niego, nie przypominając go sobie stojącego nago w basenie, z opaloną na brązowo skórą. Fontane poprosił

wszystkich, by przyłączyli się do pieśni *O, pięć kna Ameryko*.

Kilka lat temu, kiedy Andrew był jeszcze mały, Hagen zabrał go na spektakl lalkowy Annie McGowan *Jojo, Pani Serek i Annie*, który dopiero startował. W zeszłym roku, mniej więcej wtedy, gdy 272

Annie zostawiła Danny'ego Shee (który nawiasem mówiąc był

Sonaty) i zaczęła spotykać się z Johnnym Fontane, odeszła z telewizji i została piosenkarką.

Shea zszedł ze stołu, machając rękami. Fontane i Annie zostali, wyśpiewując piosenkę, która pierwotnie sławiła inny stan. Teraz zmieniony tekst opiewał uroki New Jersey.

Hagen wyciągnął z kieszeni małą kartkę. Szef jego sztabu drobniutkim, idealnie równym pismem wymienił na niej przyjęcia, na których Tom powinien się dzisiaj zjawić. Były tam drobiazgowe wskazówki, jak dotrzeć na miejsce, nazwiska osób, a nawet

podpowiedzi, o czym z nimi rozmawiać. Do diabła z tym. Hagen zobaczył już dosyć. Chciał wrócić do Asbury Park i pobyć z rodzi

Wn

a.

d rodze do drzwi zobaczył Freda siedzącego w holu i rozmawiającego z dwoma facetami z Chicago oraz męszczyzną w pi-kowanym płaszczu, Johnnym jakimś-tam, który pracował głównie w Mi

— a

mi

W .

ychodzisz, Tom? — krzyknął za nim Fredo.

Tom skinął ręką, żeby nie wstawał.

— Złapię cię wieczorem.

— Nie, poczekaj — rzekł Fredo, przepraszając rozmówców. —

Przejdę się z tobą. Zaraz wracam, chłopaki.

Fredo został za Tomem na zatłoczonym pasażu. Hagen szedł

szybciej, niż było to konieczne.

— Chcę cię o coś spytać.

— Wszystko załatwione i zapomniane — odparł Tom, zakładając, że Fredo ma na myśli zamieszanie, którego narobił

zeszłego roku w San Francisco. — Więc i ty możesz zapomnieć, okay?

— Słuchaj, czy Mike wspominał ci coś o moim pomysle? —

zapytał Fredo. — A właściwie wizji. Chodziło o to, Œebyśmy wprowadzili przepis zabraniający grzebania umarłaków w całym Nowym Jorku i na Long Island...?

— Ciszej. — Hagen rozejrzał się instynktownie.

— Nie miałem na myśli grzebania ciał zabitych. Mówię o normalnych pochówkach. Miasto byłoby podzielone na strefy...

— Nie — przerwał mu Hagen. — Wiesz, Œe nie mieszam się juŜ do tych spraw. Słuchaj, ja naprawdę muszę iść. — Skręcił

przed Fredem i ruszył z powrotem, mając nadzieję, Œe zakończy tę rozmowę. — Pozdrów Deannę.

273

Fredo zatrzymał się z wyrazem dezorientowania na twarzy.

A moŜe była to tylko wina okularów. Hagen nie mógł widzieć jego oczu.

— Deanna — rzekł Hagen. — Twoja Œona. Nie pamiętasz?

Fredo skinął głową.

— Powiedz Theresie i dzieciom, Œe je kocham. Tylko nie zapomnij, dobrze?

W tonie jego głosu było coś, co Hagenowi się nie podobało.

Odciągnął go na bok.

— Wszystko w porządku, Fredo?

Fredo opuścił głowę i wrzucił ramionami, jak któryś z chmurnych nastoletnich synów Hageny.

— Chcesz powiedzieć mi więcej o tym, co zdarzyło się w San Francisco?

Fredo podniósł wzrok i zdjął ciemne okulary.

— Odpieprz się, dobra? Nie muszę się przed tobą spowiadać, Tommy.

— W jakie hollywoodzkie bagno się wpakowałeś, Fredo?

— Nie słyszałeś, co powiedziałem? Nie muszę ci się tłumaczyć, jasne?

— Czemu, do jasnej cholery, wszyscy kumple Fontane śpią z kobietami, z którymi on sypiał, albo spali z tymi, z którymi on teraz sypia?

— Œe co?

Hagen powtórzył pytanie.

— To takie niskie, Tommy.

Miał racjê.

— Zapomnij o tym — mruknął Hagen.

— Nie, ja ciê znam — powiedział Fredo, zbliŒajac siê do Hagena i przyciskajac go do Œciany. — Ty o Œadnym gównie nie zapominasz. Bêdziesz obracał je we łbie, aŒ dojdiesz do wniosku, iŒ znasz rozwiązanie, nawet jeŒli nie ma Œadnego rozwiązania, albo jest, ale takie proste, Œe ci siê nie spodoba, bo nie bête moŒna myŒleć o tym... — Fredo szturchnął Hagena w pierŒ —

...w kółko... — Szturchnął jeszcze raz... — i w kółko. — I jeszcze jedno szturchnięcie.

Hagen stał oparty plecami o brudnà od sadzy Œcianê z cegły.

Jako dziecko Fredo przez jakiŒ czas miał gwałtowne usposobienie, lecz póŒniej ta cecha zanikła. AŒ do dnia, w którym sprac tego pedzia w San Francisco.

274

— Powiniennem juŒ iŒć — rzekł Hagen. — Dobrze? Pójdê juŒ.

— MyŒlisz, Œe taki z ciebie zasrany mądrała. — Fredo pchnął

lekko Hagena. — No nie?

— Daj spokój, Fredo.

— Odpowiedz.

— Masz pistolet?

— Co z tobà, boisz siê mnie?

— Zawsze siê ciebie bałem.

Fredo zaŒmiał siê niskim głosem, bez radoŒci. Podniósł rękê i otwartà dlonià klepnął Hagena w policzek. Gest był mocniejszy niŒ przyjacielskie klepienie, lecz słabszy niŒ uderzenie.

— To nie jest skomplikowane, Tommy.

Ale co? Hagen Œciągnął usta i skinął głowà.

— Tak?

— Tak. — Oddech Freda zalatywał cebulą i czerwonym winem.

Na jego szyi widać było miejsce, w którym niedokładnie się ogolił. —

Johnny to pies na dupy. Wszyscy jego kumple teŜ są tacy, rozumiesz?

To nieuchronne, wierz mi. Na świecie jest określona liczba pierwszorzędných dup i w końcu faceci wpadają na te same. Rozumiesz?

— Teoretycznie, tak. Jasne.

Fredo cofnął się i założył okulary przeciwsłoneczne.

— Jak będziesz gadał z Mikiem, powiedz mu, Ŝe dopracowałem szczegóły mojego pomysłu, dobra?

— Fredo, mówiłem ci juŜ, Ŝe...

— Idź w cholere — warknął Fredo, machając niewyraźnie ręką w stronę oceanu. — Masz iść, to idź.

Wieczorem, kiedy Tom Hagen przyjechał do domu rodziców Theresy w Asbury Park, jego synowie tarzali się zaciekle na maleńkim podwórku, spleceni w uścisku.

Tom wysiadł z samochodu. Chłopcy bili się o dziewczynę, która najpierw spodobała się Andrew, lecz to Frank pierwszy ją pocałował. Hagen nie wtrącał się przez jakiś czas, lecz gdy Theresa wyszła na ganek, wsunął palce do ust, gwizdnął, a później wkroczył

między zapaśników. Kazał im wsiąść do samochodu, a sam wszedł

do domu po zegarek. Gianna oglądała z dziadkami western. Kazał

jej iść do auta. Powiedział, Ŝe pojedą po lody.

— Mama i tata mają lody w domu — zauwaŜyła Theresa, ale Tom uciszył ją spojrzeniem.

275

Dotarli do baru Dairy Duchess koło autostrady, akurat kiedy zamykano lokal. Tom obszedł bar, przy tylnych drzwiach wsunął

właścicielowi pięćdziesiąt dolarów i po chwili wszyscy siedzieli przy lepkim zielonym stoliku piknikowym pod Ŝóltą lampą, jak rodzina. Gianna, nieodrodna córka swojego ojca, jadła loda uważnie niczym dyrektorka szkoły wdzięku, nie pozwalając skapnąć ani jednej kropli. Lód Theresy roztopiał się tymczasem, gdy zwilŜoną śliną papierową chustką ocierała pucołowatą buzię Andrew.

Andrew miał loda z ciastkiem czekoladowym w środku, a Frank pochłaniał koktajl bananowy w czerwonym plastikowym naczyniu w kształcie łódki. Tom pił kawę.

Kiedy wszyscy skończyli, wstał i oznajmił, że resztę lata spędzą razem w Waszyngtonie jak rodzina. A przed początkiem roku szkolnego wrócą do Nevady. A kiedy przegra wybory z nieboszczykiem, czego był pewien, stawia temu czoło. Jak?

Gianna błyskawicznie podniosła rękę.

— Jak rodzina!

— Brawo — pochwalił Tom, całując ją w czubek rudej czupryny. — Wiem, że nie było wam łatwo. Wiem, że w gazetach wypisywano straszne rzeczy, a ludzie mówili wam w twarz jeszcze gorsze. Ale jesteśmy razem. Teraz jestem kongresmanem. To zaszczyt i przywilej, prawdziwy cud. Chciałbym, żebyście wszyscy zapamiętali to doświadczenie na całe życie. Całe nasze życie.

Dzieci odwróciły się, żeby spojrzeć na Theresę, która wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

— Masz rację — powiedziała. — Przykro mi, że...

— Nie trzeba — przerwał jej Tom, machając ręką. — Doskonale rozumiem.

Nie przekazał Theresie i dzieciom pozdrowień od Freda, nie dlatego że zapomniał, lecz dlatego że nie znalazł odpowiedniej chwili, by to zrobić.

Nazajutrz wsiedli do samochodu i pojechali do stolicy. Zanim tam dotarli, Ralph przeniósł rzeczy Hagena do większego pokoju w hotelu i znalazł stażystę, który zgodził się wystąpić w roli przewodnika. Obejrzelili wszystkie pomniki, weszli na zaplecze Sądu Najwyższego i Biblioteki Kongresu. Odwiedzili wszystkie muzea, a Theresa, która skończyła historię sztuki w Syracuse, wyglądała na uszczęśliwioną, co nie zdarzyło się od lat. Tom grał

z synami w kosza w sali gimnastycznej Kongresu, a później poszli ostrzyć się do kongresowego fryzjera.

276

Ralph zorganizował nawet dla całej rodziny spotkanie z prezydentem w Gabinetcie Ovalnym. Nie dość na tym: Księżniczka,

szkocki owczarek prezydenta, spokrewniona z psem, który grał

Lassie w filmie telewizyjnym, urodziła szczenięta i Hagenowie mieli jedno dostać. Kiedy wyszli z hotelu, zaskoczyła ich ulewa, a oni nie mieli parasoli. Na zdjęciu zrobionym przez oficjalnego fotografa Białego Domu Hagenowie, ociekający wodą niczym przemoczone koty, otaczają prezydenta, który wygląda jak człowiek usiłujący się uśmiechać mimo ostrego bólu brzucha. Mała Gianna trzyma w górze szczeniaka — nazwanego Elvis — i z grymasem na ustach spogląda na lecący w powietrzu psi bobek wielkości fasolki, który równie dobrze mógł wylądować w prezydenckiej filiżance

T n

o c

me

zz

a ka

m w

ó ą

wi .ł największą odbitkę fotografii, jaką dało się zrobić.

Wszyscy uważali, że zdjęcie jest bardzo zabawne. Po powrocie do Las Vegas Tom zawiesił je nad kominkiem zamiast - litografii Picassa, za którą Theresa zapłaciła tyle, co za futro z norek, a która i tak wyglądała lepiej w jadalni.

Porażka Hagen była jedną z najdotkliwszych w historii stanu Nevada, a zwycięstwo zmarłego senatora najwyraźniejsze, jakie nieboszczyk kiedykolwiek odniósł nad Szwym, przynajmniej nad urną wyborczą.

Raz po raz — czy to na spotkaniu klubu Kiwani, rotariańskiego, związkowców, nauczycieli czy Stowarzyszenia Hodowców Bydła Stanu Nevada — Hagen okazywał się sztywnym, pozbawionym humoru, nieumiejącym zdobyć sympatii słuchaczy mówcą. Był

prawowiernym, irlandzko-katolickim prawnikiem w stanie, w którym prym wiedli baptyści i agnostyczni kowboje. Swój nowy rodzinny stan zobaczył po raz pierwszy, gdy rozpoczął kampanię.

W zapchlonych przytułkach misyjnych mieszkali pensjonariusze, którzy spędzili w Nevadzie więcej czasu niż Tom Hagen. Jego debata z wdową po kongresmanie, drobną, lecz bojowo nastawioną kobieciną, okazała się koszmarnym błędem, który Hagen popełnił

z desperacji — był to ostatni rozpaczliwy rzut na taśmę, gdy

wszystkie sondy pokazywały, że jego sytuacja jest beznadziejna.

Przekonująca pokerowa twarz, którą Hagen tak skutecznie wykorzystywał, przekazując setki propozycji nie do odrzucenia, w telewizji wyglądała jak gadzi pysk. W Nevadzie jest więcej gatunków 277

jaszczurek aniżeli w jakimkolwiek innym amerykańskim stanie.

Ludzie świetnie tam wiedzą, jak wygląda pysk gada.

Na kilka dni przed wyborami jedna z gazet z Las Vegas doniosła, że kongresman Hagen był nie tylko radcą prawnym osławionego gangstera Vita Corleone, ojca chrzestnego, który to fakt jest szeroko

znany — Vito Corleone był równieŝ jego nieoficjalnym opiekunem prawnym, o czym wie niewielu ludzi. Autorka artykułu podała, iŝ

ŝyjące dzieci Vita czasem nazywały Hagenem swoim „bratem”.

Hagen niczego się nie wyparł. Powiedział, ŝe jest jednym z tysięcy przykładów działalności dobroczynnej członków rodziny Corleone.

Wśród innych wymienił najbardziej okazałe skrzydło największego szpitala w Nevadzie oraz powstające muzeum sztuki, które niebawem stanie się najlepszym w kraju na zachód od Gór Skalistych

i na wschód od Kalifornii. Pokazał dziennikarce artykuł w

„Saturday Evening Post”, w którym Fundacja Vita Corleone nazwana

została jedną z najlepszych organizacji charytatywnych lat pięć-

dziesiątych i rozkładówkę w magazynie „Life”, opisującą bohaterstwo Michaela Corleone w czasie drugiej wojny światowej.

Zauwaŝył, ŝe nikt z rodziny Corleone, uwaŝanych przez reporterkę za kryminalistów, nigdy nie został skazany za ŝadne przestępstwo, nawet za przechodzenie przez ulicę w niedozwolonym miejscu.

Dziennikarka zapytała o kilkakrotnie wysuwane zarzuty przeciw członkom rodziny Corleone, zwłaszcza wobec zmarłego Santina.

Hagen wręczył jej konstytucję Stanów Zjednoczonych i polecił

przeczytać część mówiącą o tym, ŝe kaŝdy jest uwaŝany za niew

N in

e n

e

b g

y o

ł,

o

j d

a o

s p

n ó

e, k

i

c z n

y ie

d z id

e o

n w

nie

k d

arzi

k e

a

l m

ubu

r s

e i

d ę

a ktw

o i

r n

y

n .

a c W

zel n a

y r

ty

g k

a u

zelte

y

dzi

o e

s n

tan

l i

i ka

c r

y k

na

k na temat biografii Hageny. Jeśli tak, to mógł on na

p p

o i

c s

h a

o ła

d,

ziŝ

ć e

ta

o k

d i z

ww

ierlo

u t n

r i

ó e

ŝ p

n o

y j

c a

hw

ia

o

s s

ó ię

b. w

Odo

k

zu

nm

aje

onc

m ie

y

c a

h n

i ra

s z

ą u

s .i adów

Hagena z dzieciństwa. Od Fontane, który nigdy Toma nie lubił.

A może nawet od Freda, który ostatnio zachowywał się jak obłąkany. Nie można też było wykluczyć, że dziennikarka sama się

czegoś domyśliła. Jakkolwiek do tego doszło, ani Hagen, ani Michael nie zamierzali tracić czasu na rozwiązywanie tej zagadki, przynajmniej na razie. Jaki to miało sens? Nawet gdyby artykuł

nigd

J y

e

dsi

n ę

a

kn

ie

w u

krk

óatz

c a

e ł,

pH

o a

t g

e e

m n

, by

w ł s

Wk

aa

s za

yny

g tn

oa

n p

ieo

, ra

r Ŝ

o k

z ę,

w

i i

ą t

z o

a łd

a o

t

s k

i l

ę i

w

iną.

n

a,

mniejsza zagadka, bardziej przyziemna niesprawiedliwość została naprawiona. Przez kilkanaście tygodni właściwi ludzie zadawali 278

właściwe pytania i kulminacja tego procesu nadeszła, gdy czerwono-czarny cadillac z nowojorską rejestracją zatrzymał się przed

kamienicą nieopodal Anacostia River. Spadł śnieg. Z samochodu wysiadło dwóch białych mężczyzn: niski w połyskliwym garniturze i wysoki w szarym kitlu. Ruszyli prosto do frontowych drzwi.

Mężczyzna w kitlu otworzył je kopnięciem, prawie nie zwalniając kroku. Chwilę później rozległ się strzał. W tej okolicy strzelaniny były równie pospolite jak jaszczurki w Nevadzie. Mężczyzna w połyskliwym garniturze wyszedł z budynku pierwszy, niosąc pod pachą niczym piłkę ogromny kapelusz. Za nim kroczył jego towarzysz w kitlu, ściskając w dłoni stary zegarek Hageny. Na górze

rabuś, któremu zegarek tak przypadł do gustu, zdecydował się go nie sprzedawać, leżał jak długi na zimnym linoleum. Został brutalnie znokautowany przez wysokiego wędrownego boksera wagi ciężkiej nazwiskiem Elwood Cusik. Jego dziewczyna, matka, dokonała aborcji — w sterylnej nowojorskiej klinice, a jak — którą załatwił

człowiek mający rozmaite powody, żeby być lojalnym wobec Asy Geraciego. Niski mężczyzna — Cosimo „Momo Karaluch” Barone, bratanek Sally’ego Tessia — strzelił Murzynowi w rękę z

trzydziestkiósemki, Œeby dać mu nauczke. Złodziej się nie obudził.

Cusik, który nigdy wcześniej nie wykonywał takiej roboty, podniósł

zdrową rękę rabusia i sprawdził puls. Wydawał się normalny, podobnie jak oddech. Złodziej doznał obraŒeń, których łatwo mógł

uniknąć kaŒdy, kto nigdy nikogo nie okradł. Nic mu nie będzie, zakład

— ają

W c

i ,

ę

cŒ

e

c s

z i

y ę

j o

jecsk

t nte

e ,

n za

en

gim

ar

e w

k y

? krw

— a

s w

pyit s

a i

ł ę n

C a

us iśm

k, ie

p r

r ć

z,

y i

m j ieś

r l

zi

a n

j i

ą e

c

za

g m

o ie

w r

s z

a a
mu
oczy
h ć
o
d s
z ię
e .m

aszynopisania lub gry na pianinie.

Momo Karaluch nie odpowiedział. Opuścił lusterko i spojrzał

na swoją twardą jak skorupa fryzurę. Bokser odezwał się ponownie dopiero wtedy, gdy wyjechali z miasta.

— Kapelusz naleŜy do tego samego gościa, co zegarek, czy do kogoś innego?

— MoŜe kapelusz teŜ przymierzysz? — odpowiedział pytaniem Karaluch.

Cusik wzruszył ramionami i włoŜył kapelusz. Pasował idealnie.

— Jak myślisz?

Karaluch pokręcił głową.

— To twój łeb, nie mój. Słuchaj, Tex, byłbym ci wdzięczny, gdybyś zamknął jadaczkę tak skutecznie, jak walisz pięścią.

279

Cusik znów wzruszył ramionami i usłuchał.

Złodziej — zwinięty na podłodze w maleńkim pokoiku w zakątku świata, w którym ludzie nie kwapili się z wzywaniem policji,

a ta nie kwapiła się, by przyjeŜdŜać na wezwania — faktycznie wykrwawił się na śmierć. MoŜna to nazwać wypadkiem przy pracy.

MoŜna to nazwać przeznaczeniem. MoŜna teŜ nazwać to niezamierzonym skutkiem. NiewaŜne. Co to mogło obchodzić Toma

Hagena? Człowiek coś robi i uruchamia pewne mechanizmy.

Martwy człowiek niekoniecznie musi coś znaczyć. Niewielu coś znaczy.

Rozdział 16

Kay Corleone raptownie wciągnęła powietrze, w chwili gdy pierwszy raz ujrzała Sycylię.

Michael podniósł głowę znad książki, którą właśnie czytał, zatytułowanej *Peyton Place*. Kay kupiła ją po tym, jak zarekomendowała ją jej matka, Deanna Dunn oraz kilka innych znajomych

kobiet z Las Vegas. Skończyła czytać przed kilkoma godzinami i uzna

— ła,

C Ő

o e

ś sje

ęś

t

s tm

ała

orn

? a.

— Nic się nie stało — odparła Kay. — O mój BoŐ. Nigdy mi nie mówiłeś, Őe tu jest tak pięknie.

Michael odłoŐył książkę i nachylił się do Kay w stronę okna.

— Tak, jest pięknie.

Łańcuch ośnieŐonych gór otaczał pierścieniem Palermo, które z lotu ptaka wyglądało jak gąszcz wieŐyc, rzeźbionych kamieni i długich wstęg balkonów. Był luty, lecz słońce złociło niemoŐliwie błękitne, niemal idealnie gładkie Morze Śródziemne. Wodę marszczyła tylko minimalna wibracja niczym powierzchnię wina w kieliszku, który stoi na cicho grającym pianinie. Pas startowy znajdował się na skrawku ziemi na północny zachód od miasta.

Wśród niezliczonych rzeczy, które Michael powiedział Kay, próbując ją odwieść od spędzenia tutaj urlopu, było to, Őe statystycznie rzecz biorąc, lotnisko w Palermo jest jednym z najniebezpieczniejszych na świecie. Jeśli miał tu coś do załatwienia, przewaŐnie przylatywał

samolotem do Rzymu, a później przesiadał

się na pociąg i na Prom. Kiedy samolot obniżył lot tuż nad wodę, tak się widać było nieogolone twarze mężczyźni na małym kutrze rybackim, Kay —

281

która bywała już w Europie, lecz zawsze przychodziła statkiem —

niechęć się ucieszyła, i nalegała, by przylecieli samolotem.

Dopiero gdy cień samolotu przemknął po nadmorskich głazach, poczuła gorące uderzenie strachu —
Moje dzieci! — ale trwało to chwilę. Kilka sekund później koła samolotu dotknęły pasa, odrobinę za mocno, lecz w zasadzie było to zwyczajne nudne lądowanie.

— Po tylu latach pierwszy raz jestem na Sycylii — zachwyciła się Kay.

— Miejsce narodzin Wenus, bogini miłości — mruknął Michael, przesuając ręką po jej udzie.

Przez całe dorosłe życie Kay słuchała o tym, że coś jest sycylijskie, a co innego nie jest, i nie mogła tego wszystkiego zrozumieć,

ponieważ nie była Sycylijką. Michael był tam wielokrotnie w interesach, a nawet mieszkał przez trzy lata. Jedyne, co mógł zrobić, to

pokazać jej kraj: tydzień zwiedzania i drugi, spędzony w roma

K n

i t

e y

d c

y z

ny

s m

a

mol k

o u

t ro

zrc

a i

c e

z

ął na

k oł s

o k

wali

ć s

tym

w st w

ro y

n b

ę r

ze

t Ŝ

eru

mi n

naileo

u, pod

K a

a l

y

T

z ao

u rm

wain

Ŗ y

ył.

a

rząd

małych

włoskich

samochodów,

ró B

w y

n ł

o

je

zj

a t

po

a rw

k i

oni

we

a n.

y C

c o

h najmniej tyle.

na trawie. Obok samochodów, wzdłuŜ liny wiszącej na wysokości pasa, czekało mniej więcej trzydziestu ludzi z chlebem i kwiatami, śmiejących się i machających. Przed szeregiem stało czterech umundurowanych karabinierów; dwóch z lśniącymi szpadami na ramionach, a dwóch ze schowanymi. Ci drudzy mieli za to na piersia

— ch

T p

w i

o s

i to

z l

n e

a t j y

o m

mi a

? s

z y n

— s o

p w

y t e

a.ł a Kay.

śartowała, lecz Michael skinął głową.

— Przyjaciele, a właściwie przyjaciele przyjaciół. Ma się odbyć przyjęcie niespodzianka w nadmorskiej restauracji w Mondello.

Kay posłała mu znaczące spojrzenie.

— Wiem — westchnął Michael.

— Myślałam, że coś ustaliliśmy.

— Ale tak. Mam nie robić ci niespodzianek, taka jest umowa.

Jeśli chodzi o tę część świata, której nie kontroluję, będziesz musiała uzgadniać sprawy z Bogiem.

— Co to ma znaczyć? — Czyżby Michael sartaował sobie z tego, że przeszła na katolicyzm?

— Nic. Kay, ja nie miałem pewności, że do tego dojdzie.

Ostrzegłem cię, jak tylko zobaczyłem, co się święci. Do przyjęcia mogłoby

w końcu w ogóle nie dojść, i to też byłaby niespodzianka, prawda?

282

Kay pokręciła głową i klepnęła Michaela w kolano.

Rzeczywiście potrzebował urlopu. Ona zresztą też. Położyła rękę na

jego

udzie

— . Nie zdążyliśmy nawet zameldować się przedtem w hotelu i wziąć prysznic?

— Jeśli naprawdę tego chcesz — odparł Michael. Oznaczało to odmowę. — W każdym razie staraj się udawać zaskoczenie.

Dla nich.

Kiedy samolot znieruchomiał, karabinierzy bez pistoletów schowali szpady i ruszyli szybko po asfalcie. Stewardesa kazała pasażerom zostać na miejscach.

— Co się dzieje? — spytała szeptem Kay.

— Nie mam pojęcia. — Michael odwrócił głowę prawie niepostrzeżenie, lecz wystarczająco szybko, by nawiązać kontakt wzrokowy z Alem Nerim, który siedział dwa rzędy dalej. To, że Michael

zgodził się wybrać na urlop tylko z jednym ochroniarzem (choć

najlepszym i najbardziej zaufanym), świadczyło jednoznacznie, że sytuacja się poprawiła. Zgodnie z obietnicą Michaela spędzili w samolotach oraz na lotniskach prawie dwa dni i było tak, jakby Neri

L w

ukc

aslie

ę im

ot n

wie

o

r t

zo

yw

ł, a

rz

w y

y sz

u y

n ł.

ę

ły się schody. Główna stewardesa

zamieniła kilka zdań z karabinierami. Kay, choć pochlebiała sobie, że rozumie po włosku, nie rozumiała, o czym mówiono.

Stewardesa odwróciła się do pasażerów.

— Proszę o uwagę — powiedziała nienaganną angielszczyzną.

— Czy mogłabym prosić o zgłoszenie się państwa Corleone?

Mówiła z lepszym akcentem niż większość pracowników Michaela. Nawet nazwisko Corleone wymówiła jak Amerykanka.

Neri wstał i podszedł do niej. Stewardesa zapytała, czy to on jest panem Corleone. Neri nic nie odpowiedział.

Dopiero gdy minął Michaela i Kay, Michael podniósł rękę.

Kay zrobiła to samo.

— Niespodzianka — szepnęła, prawie nie otwierając ust.

— Jestem pewien, że to nic ważnego — odrzekł Michael.

Neri zaczął rozmawiać po włosku ze stewardesą. Mówił coś o ochronie i o tym, że Michael Corleone jest ważną osobistością w Ameryce. Wspomniał też o niegrzeczności i gościnności.

Mówił przyciszonym głosem, tak że Kay wciąż nie rozumiała, o czym mowa. Następnie odwrócił się do Michaela i Kay i wykonał uspokajający gest ręką. Michael skinął głową.

Stewardesa poprosiła

283

państwa Corleone, żeby pozostali na miejscach, dopóki reszta pasażerów nie wysiądzie. Neri zajął wolne miejsce w przedniej części samolotu.

— Co się dzieje? — spytała szeptem Kay.

— Wszystko będzie dobrze.

— Nie o to pytałam.

Kiedy wszyscy wysiedli, na pokład weszło dwóch karabinierów.

Neri przeciął im drogę. Porozmawiali chwilę szeptem, a później ruszyli w stronę Michaela i Kay.

Michael przywitał ich po włosku. Wydawało się, że jeden z mężczyzn zna Michaela. Ten zaprosił ich gestem, by usiedli.

Policjanci nie skorzystali. Jeden z nich wyjaśnił, że z wiarygodnych źródeł wiadomo, iż przyjęcie powitalne w Mondello może być pułapką, i że byłoby rozsądnie, gdyby Michael i jego Sona tym razem nie wysiadali na Sycylii.

— Z wiarygodnych źródeł? — powtórzył po włosku Michael.

Twarze karabinierów pozostały nieubłagane.

— Tak — odrzekł po angielsku ten, który zdawał się znać Michaela.

Michael zerknął na Neriego, a ten powiedział bezgłośnie: Chicago.

Co to mogło znaczyć? Może powiedział jednak coś innego, czyjeś nazwisko.

Michael wstał i skinął głową w stronę kabiny pilotów.

Karabinierzy podążyli za nim. Po chwili stanęli poza zasięgiem słuchu

Kay i podjęli szeptem przerwana rozmowę. Kay nie wiedziała, czy się bać, czy rozgniewać. Tymczasem ludzie na zewnątrz chodzili, wyrazistymi gestami wskazując samolot. Kilku wsiadło do samochodów i odjechało. Kay odsunęła zasłonkę w okienku. Wreszcie Micha

— el

B k

e l

n e

e p

nał

— k

r a

z r

e a

k b

ł in

g iłe

oró

śnw

o

. w

pl

— ec

A y

. c he ora e il prossimo volo per Roma!

Karabinier, który wyglądał, jakby znał Michaela, rozpromienił się.

— Z przyjemnością poinformujemy — powiedział, znów po angielsku — *È* jest pan na pokładzie.
— Policjanci wysiedli z samolotu.

Michael, Kay i Neri mieli bilety na następny samolot lecący do Rzymu. Okazało się, *È* jest to lot prywatny. Stewardesa twierdziła, *È* i tak miało się tak stać, choć nie potrafiła wyjaśnić dlaczego.

284

— Darmowe bilety — podpowiedział Michael. — Właśnie tego słowa pani brakuje.

— Słucham? — spytała stewardesa po angielsku.

— *Neli' inglese la parole e* „darmowy bilet”.

— Darmowy bilet — powtórzyła. — Dziękuję. — Wydawała się urażona, *È* Michael przeszedł w rozmowie z nią na włoski.

Posprzątały z drugą stewardesą kabinę i wysiadły.

— Jakie to do ciebie podobne — rzekła Kay do Michaela. —

Nie chciałeś lecieć na Sycylię i postawiłeś na swoim.

— Kay, chyba nie mówisz tego poważnie.

— Pomyśl o matce. Kay przypomniała sobie kufer pełen prezentów, leżący gdzieś w samolocie. Przygotowanie ich od miesięcy

było dla niej powodem do *È* Sycia. Wszyscy się zgadzali, nawet lekarze, *È* właśnie dlatego wyszła cało z bliskiego spotkania ze śmiercią

— c

ią

K.

a *È* go rozładować — rzekł Michael. — Znam ludzi, którzy mogą dostarczyć te rzeczy adresatom.

— Oczywiście, *È* znasz.

— Kay.

— Czuję się strasznie, że przelecieliśmy taki szmat drogi, zostawiając dzieci. I po co? Po nic.

Michael milczał. Nie musiał niczego mówić. Chciał się dokądś wybrać i zabrać dzieci. To byłby dla niego odpowiedni urlop.

Najgorszą rzeczą, jaka mogłaby go spotkać, było siedzenie nieruchomo na plaży, podczas gdy dzieci zakopywałyby go w piasku.

Kay spędzała czas, opiekując się Anthonyem i Mary. Uwielbiała te zajęcia, ale nie był to urlop. Przez dwa lata wielkodusznie robiła to, czego chciał Michael. Musiała wychowywać dzieci niemal jak wdowa (Michael przez rok był tak zajęty na Kubie, że nawet nie przyleciał na święta, a ona musiała kołysać dzieci, które rozpaczliwie płakały). Wciąż nie udało jej się wrócić do nauczania i zaczynała się obawiać, że już się nie uda. Sama zorganizowała przeprowadzkę do Las Vegas. Później wzięła na siebie jeszcze większe zadanie zaprojektowania i nadzoru całego kompleksu w Lake Tahoe. W jego skład wchodził dom rodzinny Corleone, amfiteatr, a także domy dla Hagenów, Connie i Eda Federiciego, Freda i Deanny Dunn, Ala Neriego oraz mały bungalow dla gości.

Kay przygotowała wstępne plany wszystkich obiektów. Zdziwiła się, że budowanie domu sprawiło jej aż tyle przyjemności: nie-zliczone szczegóły i decyzje, szansa zrobienia ogromnych zakupów, 285

a wszystko dla dobra rodziny jako całości. Mimo wszystko była to jednak praca. Nie dostała od Michaela prawie nic, jedynie zgodę na wyjazd na urlop tam, gdzie chciała, we dwoje.

— I co teraz zrobimy? — spytała. — Zawróćmy i polecimy do domu?

— Nie musimy wracać. Jeśli sobie przypominasz, właśnie z obawy przed czymś takim nie chciałem lecieć z tobą na Sycylię.

— Na miłość boską, Michael, uciekamy przed śmiertelnym zagrożeniem.

— Nie uciekamy.

— Tak. Odlatujemy.

— Nie to miałem na myśli. I raczej nie nazwałbym tego zagrożeniem. Jesteśmy po prostu ostrożni. Kay, jeśli była jedna rzecz, co do której pozostałem... szukam odpowiedniego słowa... nieugięty. Tak. Jeśli była jedna rzecz, co do której byłem nieugięty, to dbałość o bezpieczeństwo rodziny.

Kay odwróciła głowę i nic nie powiedziała. Michael był nieugięty we wszystkim. W tym, co dobre, i w tym, co złe. Jego najlepsza i najgorsza cecha.

— Jeden z tych karabinierów to Calogero Tommasino, stary przyjaciel mojego ojca. Prowadziłem interesy z jego ojcem i z nim też. Ufam mu. Nie grozi nam teraz żadne niebezpieczeństwo i prawdopodobnie w ogóle nie groziło. Po prostu ostrożność.

Zrozum, proszę cię. A tobie nigdy nie groziłoby niebezpieczeństwo.

Według kodeksu... — Michael przerwał w pół zdania.

— Nie wolno krzywdzić Son i dzieci — dokończyła, przewracając oczami. — Nie wątpię, że na Sycylii ta zasada obowiązuje z podwójną siłą, a ja i tak nie mogę tego zrozumieć, bo nie jestem Sycylijką, prawda?

Michael nie odpowiedział. Wyglądał okropnie. Może z powodu lotu. Kay nie mogła teraz tego przyznać, ale gdyby wiedziała, jaka to mordęga lecieć z Las Vegas do Palermo, pewnie przystałaby na Hawaje lub Acapulco.

Piloci wrócili na pokład. Neri wszedł do kabiny, żeby z nimi pogadać. Po chwili zajął miejsce z dala od Kay i Michaela.

Ludzie i samochody zniknęli z płyty lotniska. Samolot wystartował.

— Naprawdę byś nie rozumiała — rzekł wreszcie Michael. —

No bo jak?

— Jezu Chryste — westchnęła Kay i przesiadła się daleko od 286

męsa. Michael w ciągu kilku minut dwukrotnie sprowokował ją do użycia imienia Pana nadaremno.

Michael jej nie zatrzymywał.

Ale Kay wiedziała, że jej milczenie w końcu odniesie skutek.

To, że Michael z takim mistrzostwem wykorzystywał milczenie jako broń, nie świadczyło, że sam jest na nie odporny, zwłaszcza z jej strony. Usiadła po prawej stronie samolotu i cierpliwie obserwowała przesuające się w dole włoskie wybrzeże.

Michael przyszedł do niej godzinę później.

— Czy to miejsce jest zajęte?

— Skończyłaś książkę?

— Tak. Uważam, że jest dobra. Przyjemna odmiana.

— Jeśli takie jest twoje zdanie. — Książką, którą przeczytał, była powieść *The Last Hurrah* Erwina O'Connora. Kay dała mu ją na gwiazdkę. Ciągle przy niej zasypiał. Wziął książkę Kay, kiedy skończyła czytać, a ona wzięła książkę od niego.

Kay uważała, że *The Last Hurrah* to najlepsza pozycja traktująca o miejskiej polityce, jaką kiedykolwiek czytała. Była zdumiona, że Michaelowi się nie podobała. — A miejsce jest zajęte.

— Kay, nie rozumiałabyś dlatego, że ja nie... — Zamknął

oczy. MoŜe to długi lot sprawił, Ŝe nie mógł znaleźć słów, ale wyglądał raczej na wstrząśniętego niŜ wyczerpanego. — Bo to prawda, Ŝe nie byłem całkowicie, no wiesz... — Westchnienie bezradności zamieniło się w bolesny jęk.

— Michael...

— Chcę ci powiedzieć o kilku rzeczach. Muszę ci o nich powiedzieć.

Kay często patrzyła na niego i prawie nie poznawała męŜczyzny, w którym się zakochała. Jego twarz została zmasakrowana,

później ją naprawiono. Jego włosy były poprzetykane siwizną.

MoŜe jej się zdawało, lecz Michael stał się kalką ojca. Ale w jego oczach było to samo spojrzenie, co przed laty, gdy na polu golfowym w New Hampshire, w ciepłą gwiazdzistą noc opowiadał

jej o swoich wojennych losach. Nigdy przedtem nikomu o tym nie mówił. Później płakał w jej ramionach. Gniew Kay nagle się rozplył

— ną

C ł.

h

ętnie posłucham — powiedziała drŜącym głosem. —

Dziękuję. — Klepnęła dłonią fotel obok.

Michael usiadł.

287

— Przepraszam.

— Nie musisz — zapewniła Kay, biorąc go za rękę. — Ŝadnych przeprosin. Po prostu ze mną porozmawiaj.

Zostali w Rzymie tylko tak długo, by przespać skutki róŜnicy czasu i zjeść przepyszny obiad w restauracji, w której Kay była przed laty z rodzicami. Nazajutrz, kiedy Michael wciąŜ spał na górze, poleciła recepcjoniście zrobić rezerwację w kurorcie w Alpach Szwajcarskich. Recepcjonista pomógł jej teŜ wynająć samolot, którym mieli tam polecieć. Kay wiedziała, Ŝe Michael będzie zachwycony, mogąc usiąść za sterami. Nigdy nie była w Alpach, lecz kiedy przelatywali nad nimi w drodze na Sycylię, obiecała sobie, Ŝe kiedyś się tam wybierze. Okazało się, Ŝe kiedyś będzie juŜ jutro.

Skończywszy rozmowę z recepcjonistą, odwróciła się i zobaczyła Ala Neriego, który siedział w

skórzanym fotelu po drugiej

stronie holu, pochłaniał słodką bułkę i palił papierosa. Pokręciła głową, a Al odpowiedział skinieniem. Wyjaśniła recepcjoniście, że się pomyliła i będzie potrzebowała dwóch pokoi. Nie sąsiadujących ze sobą. Męszczyzna westchnął i podniósł ręce w geście bezradności, ale w

K y

a b

y ra

z ł

a p

mo

ówtió

ł r

a n

ie

w nu

b m

ar e

z r

e

i

ez

s d

p o

r ł

e a

s ł

s z

o.m

ie

H n

o i

t ć

el rez

m e

i r

a w

ł a

o c

s j

z ę.

k

lone patio.

Kiedy szła do stolika, jakiś mężczyzna w jej wieku gwizdnął na nią. Jego młodszy towarzysz stwierdził, że jest piękna. Kay zmusiła się, żeby nie zareagować, ale czuła się szczęśliwa, a ci dwaj jeszcze poprawili jej nastrój. Miała dopiero trzydzieści dwa lata.

Wprawdzie byli Włochami, lecz miło było pomyśleć, że obcy mężczyźni

obsy

Up

s u

i j

a a

d

ł j

a a

ko

s m

a p

m l

a e

, mesn

ka

a m

pa i.

n a w Sóltoróŝowym ŝwietle, tak

charakterystycznym dla Rzymu.

W dniu, w którym Michael jej się oŝwiadczył, ostrzegł, ŝe nie mogą być równorzędnymi partnerami. Kay zaproponowała: wszak ojciec Michaela zwierzał się ŝonie, prawda? To prawda, potwierdził

Michael, ale jego matka zawsze była lojalna przede wszystkim wobec męża. Przez czterdzieŝci lat. Jeśli im uda się równie dobrze, to moŝe pewnego dnia powie Kay o kilku sprawach, o których w gruncie rzeczy wolałaby nie wiedzieć. Ten dzień nadszedł

wczoraj.

Kay powinna być wŝciekła, przestraszona albo przynajmniej 288

wzburzona. Ale nie była. Mimo, a moŝe z powodu rzeczy, o których Michael jej powiedział, nie pamiętała, kiedy czuła się taka ŝczęśliwa. To było diabelnie irracjonalne, lecz przecieŝ wszelkie ŝczęŝcie jest irracjonalne.

Jej mąż był mordercą. Zbiegł na Sycylię nie dlatego, ŝe został

falszywie oskarŝony o morderstwo dwóch ludzi — kapitana policji i narkotykowego króla — lecz

dlatego, że ich zastrzelili: jednego trafił w głowę, a drugiego w serce i w gardło. Trzy lata później wrócił do Ameryki. Kiedy spotkał się z Kay, wyznał, że w czasie wygnania był z kobietą, ponieważ myślał, iż nigdy więcej nie zobaczy Kay, a w każdym razie nie wcześniej niż za pół roku. Nie powiedział tylko — aż do wczoraj — że owa kobieta, nastoletnia wieśniaczka imieniem Apollonia, została jego żoną. Pół roku wzięło się stąd, że dokładnie tyle wcześniej Apollonia wyleciała w powietrze w samochodzie marki Alfa Romeo, w którym podłożono bombę.

Jego brat Sonny nie zginął w wypadku samochodowym. Został poszatkowany kulami przy budce strażniczej na rogatkach.

Wszystko, co Tom Hagen powiedział Kay przed dwoma laty —

że Michael zlecił zabójstwa Carla, Tessia, Barziniego, Tattaglii i wielu innych ludzi — było prawdą. Dzień, w którym jej to zdradził — a przy okazji stwierdził, że gdyby Michael kiedykolwiek się o tym dowiedział, zabiłby go — był najgorszym dniem w życiu Kay.

Wczoraj Michael zaufał Kay i sam to wszystko powtórzył.

Trudno powiedzieć, że był to dobry dzień. Ale nie był najgorszym w jej życiu. Nikt nie mógł być uszczęśliwiony, słysząc, że to wszystko się stało, lecz Kay poczuła uniesienie, że Michael jej powiedział. Była zaszokowana, ale nie zaskoczona. Żona wie różne rzeczy. Kay wiedziała, kim jest Michael. Od chwili gdy się poznali, był jednocześnie dobrym i złym chłopcem. Na ślubie Connie Kay zakręciło się w głowie, ale zrzuciła to na karb mocnego czerwonego wina. Jednak prawda była taka, że sprawiły to słowa Michaela, który beznamiętnie opowiedział jej o rodzinnym interesie. Później, gdy nakłonił ją, żeby razem z innymi pozwali do rodzinnego zdjęcia — a było to sześć lat przed ślubem — Kay poczuła się tak, jakby włączono ją do obsady szekspirowskiej sztuki. Grała swoją rolę opornie, ale grała. I uwielbiała to.

Gdyby Kay była szczerą, musiałaby przyznać, że ona też miała swoje sekrety, których wciąż nie wyznała Michaelowi. W ciągu 289

tych lat, gdy Michael się ukrywał, miała długi romans ze swoim profesorem historii w Mount Holyoke (myślała wtedy, że nigdy więcej nie zobaczy Michaela), o którym Michael wciąż nie wiedział. Deanna Dunn opowiedziała jej o Fredzie rzeczy, o których nawet nie ośmieliłaby się wspomnieć mężowi. I ani nie zająknęła się na temat tego, że Hagen już wcześniej o wszystkim jej powiedział.

Kay zakochała się w Michaelu tej nocy, gdy opowiedział jej o koszmarze na wyspach Pacyfiku: o kolegach, którym urywało głowy, o spalonych ciałach gnijących w gorącym błocie. Opowiedział jej o ludziach, których zabił. Emanująca z tych opowieści surowa męska siła — i siła, jaką okazał ten mężczyzna, nie tylko uchodząc z życiem z kosmaru, lecz opowiadając o tym wszystkim, tuląc się do niej — autentycznie ją podnieciła. On sam zabijał

innych ludzi, i to też ją podnieciło. Jeśli Kay zakochała się w mężczyźnie, który zabijał dla ojczyzny — zakochała się nie wbrew temu, lecz właśnie dlatego — to czy mogła się dziwić, że zabijał

i kazał zabijać w obronie rodziny?

Kay była teraz starsza, rzecz jasna. I była matką. To wszystko zmieniało. Wszystko oprócz tego, co teraz czuła. Dopięła kawę. Jej serce biło jak oszalałe.

Weszła na górę (słyszała za sobą kroki Neriego, ale się nie odwróciła), zamknęła drzwi na łańcuch i rozsunęła zasłony. Pokój zalało słoneczne światło. Michael poruszył się, ale się nie obudził.

Kay rozebrała się i wsunęła pod kołdrę obok niego.

— Lecimy w Alpy — szepnęła. Serce biło jej jeszcze szybciej.

— Nie jeżdżę na nartach — mruknął Michael.

— Nie wybieramy się tam po to, by jeździć na nartach. Nie wiem nawet, czy wyjdziemy z pokoju.

— Tylko na mszę.

Nie była to drwina.

— Na mszę teŚ nie. Nie muszę chodzić do kościoła codziennie.

— Powiedziawszy to, poczuła nagle, że naprawdę nie czuje potrzeby chodzenia codziennie na mszę.

Opowiedziała Michaelowi o szczegółach. Wynajmą samolot, który Michael sam będzie pilotował. Spędzą w Alpach tydzień, a później wrócą do domu, zabiorą dzieci i pojedą do Disneylandu.

Wysłała wiadomość do znajomego agenta biura podróŜy w Nowym Jorku, ta wycieczka teŚ jest juŚ załatwiona. Michael zdziwił się, że Kay tak błyskawicznie zdołała uratować ich urlop.

290

— Nie doceniasz mnie — zauwaŜyła. — Czy ty wiesz chociaŜ, jak bardzo wyprzedzamy harmonogram w Lake Tahoe?

— Naprawdę będę leciał nad Alpami?

— Pomyślałam, że ci się to spodoba. Jeśli to za trudne...

— Podoba mi się. Bardzo. — Michael pogładził jej biodro. Kay poruszyła się zmysłowo.

W łóŜku zawsze układało im się najlepiej. Nie było wykluczone, że Kay zajdzie w ciążę. Po raz pierwszy od dawna poczuła, że nie przyjęłaby tego z niechęcią. Ostatnimi czasy rzadko się kochali.

Albo Michael był na górze, albo Kay, i nie zmieniali pozycji, jakby wykonywali ponury domowy obowiązek. Tym razem, tak samo jak po przybyciu do hotelu, było tak, jak Kay lubiła najbardziej: często zmieniali pozycje, raz on był na górze, a raz ona. Potem odwróciła się od niego, zacisnąwszy

mocno oczy, napierając na niego. Myślała, że zaraz nastąpi koniec i wcale jej to nie przeszkadzało. Ale Michael ją zadziwił. Wstał i posadził ją na marmurowej umywalce. Chłód kamienia sprawił, że wstrząsnęły nią dreszcze. Oplotła rękami jego szyję i odrzuciła do tyłu głowę.

Dłonie Michaela przesunęły się po krągłości jej piersi i żebrach.

Znow zadrżała, tym razem mocniej. Idealna wysokość. Czując, że Michael jest już bardzo blisko, delikatnie dotknęła palcami jego śliskiej od potu piersi. Nie musiała niczego mówić. Michael wiedział, że ma przestać. Wysunął się z niej, a Kay skoczyła na łóżko i uklękła, opierając się na łokciach. Wydała się z siebie głęboki jęk, kiedy Michael w nią wszedł. Słońce paliło jej skórę.

Prześcieradło zsunęło się na rogiach, odsłaniając materac w paski.

Ręce Kay nie wytrzymały, jej twarz dotknęła pościeli. W następnej chwili znow była na górze. Zmiana nastąpiła tak szybko, że jej świadomość ledwie ją zarejestrowała. Michael przyciągał ją do siebie. Wyraz jego twarzy, jego otwartość i bezbronność, kierowanie całej uwagi na nią, na to, co jej się podobało — właśnie to doprowadziło ją do orgazmu. Był bolesny prawie jak porażenie prądem. Kay poczuła się tak, jakby jej ciało wysyłało promienie słoneczne pulsujące falami. Później poczuła, że ciało Michaela drży pod nią. W pewnej chwili — to mogło być dziesięć sekund albo dziesięć lat później — osunęła się na mokry od potu materac.

Rzecz jasna, nic, co robili, nie było bolesne.

Michael dmuchnął delikatnie na jej mokre plecy. Dotknął jej lekko jednym palcem i nakreślił słowa: „Kocham cię”. Robił to raz po raz. Oddech Kay i bicie jej serca wreszcie zwolniły. Nagle z jej ust popłynął potok słów, wyrażających wdzięczność i miłość.

Dopiero kiedy przestała, zauważyła, że powiedziała wszystko po włosku.

— Gdzieś ty się tego wszystkiego nauczyła? — zapytał

zdumiony Michael, śmiejąc się głośno.

— Nie mam pojęcia — odparła Kay po angielsku, odwracając się i całując go. — To było...

Położył palec na jej ustach. Uśmiechnęli się. Miał rację. Słowa nie były potrzebne.

Mary wszędzie chodziła z uszami Myszki Miki, w sukience Kopciuszka i mokasynach Davy'ego Crocketta. Miała trzy latka i myślała, że niedźwiedź, z którym tańczyła, był prawdziwy.

Anthony perfekcyjnie nucił piosenki, które usłyszał w różnych miejscach

lunaparku.

Miał

niesamowitą

umiejętność

zapamiętywania melodii i ich odtwarzania. W przedszkolu spotykało

go

z tego powodu nie mało kłopotów, lecz Kay nie wątpiła, że jest to dla niego dobry prognostyk na przyszłość. Jej ojciec, fanatyk opery, planował na jego następne urodziny wynajęcie kogoś, kto mógłby mu dawać lekcje śpiewu. Dzieci były szczęśliwe, a Kay czuła się szczę

Czł

y i wa

M, i S

c e

h

a m

el a

d

wz

i i

ee

, ci. I e traci, że tak często go nie ma? Ale on też kochał dzieci. Zabranie ich do Disneylandu sprawiło mu wręcz fizyczną przyjemność. Ilekroć był w domu, dosłownie szalał na punkcie Mary. Z Anthonym było mu trudniej, lecz to właśnie jego okazywana bez wstydu miłość do syna była tak wzruszająca. Kilka dni po urlopie musiał polecieć do Nowego Jorku w interesach i po to, by zobaczyć, jak się czuje jego matka, która po komplikacjach zdrowotnych wróciła do domu.

Pakując się w sypialni, stanął przy oknie i zawołał Kay. Anthony stał z pochyloną głową nad dziurą wykopaną za huśtawką i modlił

się.

— To pogrzeb jego czapki z futra szopa — wyjaśniła Kay.

— śartujesz.

— Nie złość się.

— Nie złoścę się, tylko... — Michael nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa na określenie tego, co czuje.

— Wydaje mi się, że to urocze.

— Ta czapka kosztowała cztery dolary.

292

— Jeśli nie istnieje coś, o czym mi nie mówisz, to stać nas na stratę czterech dolarów.

Michael milczał. Oczywiście, że istniały rzeczy, o których nie mógł jej powiedzieć. Oboje o tym wiedzieli.

— Tak? Więc o co chodzi?

Anthony zakopywał czapkę nie tyle ze współczucia dla zabitego szopa, lecz dlatego że przed kilkoma miesiącami zobaczył w telewizji senatora w takiej właśnie czapce, który w czasie kampanii

prezydenckiej wypowiadał się źle między innymi o Michaelu Corleone. Kupienie tej czapki było pomysłem Michaela, nie Anthony'ego. Rzadko się zdarzało, by Anthony zdołał powiedzieć ojcu,

czego

Mich

hac

ee

l

a

wlb

e o

st

c c

hz

ne

ąg

ł o

z n

r i

e e

z ych

g c

n e

a ,

c

j a

ą. Michael chciał dobrze, ale źle

trafił.

— Ka

M y śn

l i

i e

s

z z

, aŚm

e iter

o zfa

uŃta

r w

o

pte

r j

a c

w h

d w

zi il

wi

e z

ga

og

ł

s ę

z b

o ia

p ć

a

? s

ię w

— s t

p ę

y ts

ap

ł.r awę

— .
Czy

raczej królika?

Kay pocałowała go w czubek głowy. Michael zmusił się do uśmiechu i wyszedł do Anthony'ego. Kay obserwowała ich, gdy stali po przeciwnych stronach dziury. Anthony patrzył w dół i nic nie mówił. W pewnej chwili zaczął nucić *Ave Maria*. Michael słuchał. Nie wyglądałby na tak zakłopotanego, nawet gdyby się dowiedział, że jego syn jest małym zielonym ludzikiem z Marsa.

Właśnie w czasie tej podróży Michaela do Nowego Jorku spłonął

w połowie ukończony dom w Lake Tahoe. Tom Hagen, który znów pracował jako adwokat rodziny, przyszedł, by zawiadomić o tym Kay. Stało się to w czasie burzy. Zapewnił Kay, że ubezpieczenie pokryje wszystkie straty. Fundamenty nie poniosły uszczerbku. Decyzje Kay podjęte w czasie budowy okazały się tak trafne, że wystarczyło wynająć kilka dodatkowych ekip budowlanych i błyskawicznie naprawić szkody. Poza tym w Reno jest

pałacyk, właściwie zamek, który należał kiedyś do magnata kolejowego. Właśnie go rozbierano, ponieważ w tym miejscu miał

stać nowoczesny hotel i Kay mogła wziąć stamtąd wszystkie elementy wykończenia, jakie zechce. Kiedy go zobaczy, uzna to za błogosławieństwo losu. Hagen wiedział, że chciała się wprowadzić latem, ale porozmawiał z głównym wykonawcą, który stwierdził

— dz

T ił

y , Ń

z e

njies

m t t

r o

o

zmo

ał

wiw

ałe j

ś e

? s

zc

W z

c e

z p

eśrz

nied

j Ś

n w

iŚ i

ę

ote

n m

p P

or ra

o c

z y

m.

awiał ze

raną? I zanim porozmawiałeś ze mną?

— On jest teŚ wykonawcą naszego domu.

— Czy Michael wie?

— Tak.

Stojąc w drzwiach, Kay ściągnęła brwi, oparła ręce na biodrach i nie zaprosiła Toma do środka. Tego dnia wiedziała już, że nie jest w ciąży. I w tamtej chwili była to dobra wiadomość.

— Właściwie to z nim nie rozmawiałem. Zostawiłem mu wiadomość.

— Zostawiłeś wiadomość Carmeli?

— Oczywiście, że nie. — Hagen zrobił pauzę. — Wiem, co myślisz.

— Nie byłabym tego taka pewna.

— Zajmujemy się różnymi rzeczami, ale zorganizowanie burzy z piorunami to domena Boga, sama chyba przyznasz.

— A wiemy, że to był piorun?

— Tak, wiemy.

— A skąd? Czy ktoś go widział?

— Wiem, że jesteś wzburzona, Kay. Ja też, podobnie jak wszyscy inni.

— Czy ktoś go widział?

Mary, która stała za matką, wybuchnęła płaczem. Anthony upadł

na kolana i zaśpiewał piosenkę, którą jako pierwszy zaprezentował

światu melancholijny zdezelowany samochodzik z kreskówki no-szący imię Dudley.

KSIĘGA V

1957-1959

Rozdział 17

— Więc Kay się zdenerwowała, kiedy dowiedziała się o pluskwach? — spytał szeptem Fredo, zbliżając usta do ucha brata.

Michael zapalił papierosa. Kay i Deanna były po drugiej stronie sali bankietowej, szły do łazienki. Córnka Sonny'ego, Francesca, i jej świeżo poślubiony, bogaty, amerykański palant byli na parkiecie (chłopak złamał nogę na nartach albo uprawiając jakąś inną

rozrywkę bogaczy i w dniu ślubu kuśtykał z nogą w gipsie).

Większość gości również tańczyła. Była wśród nich Carmela, którą kilka miesięcy temu niewiele dzieliło od śmierci. Płasała z Frankiem, synem Sonny'ego, gwiazdorem futbolu. Michael siedział

przy s

— to

Ole

n

a t

y

n l

i k

e o

w z

i

e Fre

— d

o e

z m

n,

a j kt

mió

ł ry

w r n

e i

s e

z cp

i a

e mi

M ę

i t

c a

h ł,

a

e k

l. i edy ostatnio był

sam n

— a s

K am

y jz

e sb

t r

a

b t

ye

s m

tr ,

z n

ej a

s w

z e

a, t
w
ni
Ń o
cb
i e
sc
i n
ę o
z śc
d i
a
j i
en
. ny
D c
o h
ml
yu
ś d
li z
i
s .i ę.

Michael wypuścił dym. Palił z wystudiowaną chłodną pozą kogoś, kto udoskonalił ten nawyk, oglądając aktorów palących w filmach. Palił w ten sposób od samego początku. To Sonny go

wciągnął. Z początku Michael wyglądał śmiesznie, jak mały chłopiec pozujący na dorosłego. W końcu się nauczył.

— Fredo, kto jak kto, ale ty nie powinieneś mi podpowiadać, jak mam załatwić sprawy z moją Soną — powiedział Michael.

To był przytyk do Deanny, ale Fredo nie podjął wątku.

— Ta sytuacja z pluskwami — mówił, nawiązując do tego, że ktoś zdołał umieścić podsłuch w belkach nowego domu Michaela w Tahoe. Neri wykrył je za pomocą jakichś urządzeń, wyglądało na to, że podsłuch założono tylko w domu Michaela. — Jak to się

nazywa...? że został zarobaczony. Czy wiemy... — Fredo się zawahał. Chciał się dowiedzieć, kto założył pluskwy. — Czy wiemy, jakiego gatunku były te pluskwy?

Michael zmrużył oczy.

— Więc wezwano odpluskwiacza, tak? — Innymi słowy: czy Neri wszystkim się zajął?

— Słowo „bystry” niespecjalnie do ciebie pasuje, Fredo.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ile wypieś?

— A co to za pytanie?

— Czemu nie pójdziesz potańczyć? Deannie pewnie by się to spodobało.

Więc Michael nie chciał rozmawiać o tym publicznie. Choć w gruncie rzeczy na przyjęciu były przeważnie osoby z rodziny.

Poza tym, nawet gdyby ktoś słuchał, i tak nie domyśliłby się, o czym mowa. Pluskwy. To się zdarza. Mieszkania bywają zarobaczone, ktoś przychodzi i usuwa pluskwy. Zwłaszcza na Florydzie. Widzi się tam tyle robactwa, nawet w ładnych hotelach.

Więc kto zwróciłby uwagę na rozmowę o pluskwach w Miami Beach?

— Przepraszam — mruknął Fredo.

Michael pokręcił głową.

— Och, Fredo.

— Nie mów do mnie „och, Fredo”, dobrze? Rób co chcesz, ale tak nie mów.

— Sytuacja jest pod kontrolą — zapewnił Michael.

Fredo wyciągnął przed siebie ręce w geście frustracji. Co to znaczy? Wytlumacz, co masz na myśli.

— Kiedy wyjeżdżasz? — spytał Michael. — Ja odlatuję wcześniej do Hawany, ale może uda nam się zjeść razem śniadanie.

Tylko ty i ja. Albo chociaż przespacerować się po plaży.

— Byłoby wspaniale, Mike. Naprawdę wspaniale. Nasz lot jest po południu, nie pamiętam, o której.
— Fredo od miesiący starał

się o spotkanie z bratem. Z powodu Deanny spędzał połowę czasu w Los Angeles. Mike'a przeważnie nie było. Nawet gdy byli w tym samym mieście, nie znajdowali czasu, żeby pobyć ze sobą jak bracia — pójść na mecz, na piwo albo na ryby. Ostatnio udało im się to zrobić przed wojną. O interesach też nie rozmawiali, a Fredo chciał powiedzieć Michaelowi o swoim pomysle założenia cmentarza w Nowym Jorku, takiego samego jak w Colmie. Ob-298

myślał dalsze szczegóły. Nick Geraci okazał się bardzo pomocny.

Fredo był przekonany, że nakłoni Michaela do ponownego przemyślenia sprawy.

— Kay nie leci z tobą do Hawany?

— Lecę tam w interesach, Fredo. Wiesz o tym.

— Tak. — Fredo puknął się w głowę nasadą dłoni. —

Przepraszam. Jak ci idzie w Hawanie z Hymanem Rothem i w ogóle

M?

i

Michael zmarszczył czoło.

— Pomówimy o tym jutro przy śniadaniu.

Fredo wyrażał się niejasno z powodu ignorancji, a nie dyskrecji.

Roth był wspólnikiem Vita Corleone w czasach prohibicji. Teraz został najpotężniejszym żydowskim gangsterem w Nowym Jorku, a więc także w Las Vegas i Hawanie. Fredo nie wiedział

dokładnie, co Michael kombinował z Rothem na Kubie —

domyślał się tylko, że zajmuje się tym od dawna i że jest to coś dużego

— o.

Przy śniadaniu, świetnie — ucieszył się Fredo. Tak długo czekał, żeby usłyszeć, co się dzieje, więc

może poczekać do rana.

— Śniadanie to najważniejszy posiłek.

— Kiedy startuje twój program telewizyjny? — spytał Michael.

— We wrześniu. Załatwiłem Fontane do pierwszego odcinka.

— Corleone wyświadczili tyle przysług Johnny'emu, że zgodził się od razu.

— To był dobry pomysł.

— Co? Fontane czy program?

— Jedno i drugie. Miałem na myśli program.

— Naprawdę?

— Musimy zmienić nastawienie ludzi. żeby nasze firmy rosły tak, jak chcemy, trzeba pokazać opinii publicznej, że Corleone —

tu wskazał gestem na drugą część sali, zajmowaną przez rodzinę pana młodego — w rzeczywistości niczym się nie różnią od Van Arsdale'ów.

— Dzięki — powiedział Fredo.

Umówili się na spotkanie w holu nazajutrz o szóstej rano.

— Wiesz, nigdy nie umiałem ich odróżnić — przyznał Michael, wskazując Francescę i Kathy.

— Francesca to ta w sukni ślubnej.

— Co ty powiesz? — roześmiał się Michael.

Fredo objął brata i trwali w tej pozycji dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. Później uścisnęli się jeszcze mocniej. Obaj myśleli 299

o Sonnym i wiedzieli o tym, chociaż nic nie mówili. Jego duch był

obecny przez cały dzień, bardziej wyczuwalny niż obecność żywych gości. Fredo i Mike byli o krok od płaczu, kiedy stali z kopertami w kolejce do Franceski. Teraz, kiedy wypuścili się z objęć, po ich policzkach spływały łzy, których się nie wstydzili.

Pokleпали się po plecach i nic więcej nie powiedzieli.

Jednak trudno było to okiełznać. Czy można kogoś winić za to, że chce utopić swoje smutki? Fredo wiedział, że za dużo pije, lecz w tych okolicznościach nie wydawało mu się to poważnym występkiem. Poza tym był jeszcze ksiądz, sobowtór ojca Stefana, który sprawił, że Fredo zapragnął

kiedyś zostać kapłanem: ten sam uśmiech, czupryna czarnych włosów uczesanych dokładnie tak samo, wąskie biodra jak u długodystansowca. Fredo starał się nie myśleć o ojcu Stefanie i przeważnie mu się udawało — mijały całe miesiące bez jednego wspomnienia — lecz kiedy już zdarzało mu się o nim pomyśleć, pił za duŜo alkoholu.

Gdyby ludzie nie pili po to, by zapomnieć, znikłaby połowa piosenek w radiu i trzy czwarte gorzelni. Fredo został na weselu, nie zrobił sceny i nigdzie później nie wyszedł. Tańczyli z Deanną przy kaŜdym utworze i Deanną wydawała się szczęśliwa, choć byli tak pijani, Őe wszystkie emocje musiały budzić podejrzenia.

Kiedy znaleźli się w pokoju, wsadził jej w tyłek, czego nigdy nie robił na trzeźwo, a ona się nie skarŜyła, co teŜ było zasługą wódki.

Obudziwszy się nazajutrz rano, nie pamiętał, jak trafił do pokoju.

Podniósł bezwładną rękę Deanny, Őeby spojrzeć na jej zegarek od Cartiera. W głowie mu waliło. Nie mógł skupić wzroku. Była prawie jedenasta. Spanikowany zadzwonił do pokoju Michaela.

„Przykro mi, sir”, odpowiedziała operatorka. „Pan Corleone wymeldował się z całą rodziną kilka godzin temu”.

{Fred Corleone Show emitowany był nieregularnie, zwykle w poniedziałek wieczorem przez stację UHF w Las Vegas, od 1957 roku do zniknięcia gospodarza programu w roku 1959.

Program nadawano z holu Zamku na Piasku. Wystrój był

minimalistyczny: niski okrągły stół z dwoma fotelami obitymi tapicerką podobną do lamparciej skóry, na których siedział

gospodarz

i jego gość. Z tyłu białe światła tworzyły na tablicy napis „FRED!”.

Za tablicą wisiała ciemna kotara. PoniŜszy fragment pochodzi z pierwszego programu cyklu, nadanego 30 września 1957 [zapis 300

uzyskano dzięki uprzejmości Muzeum Radia i Telewizji w Nevadzie).

FRED CORLEONE: Spodziewam się, Őe ten pierwszy program będzie hitem. Jeśli nie pamiętacie, co to znaczy, nazwijcie go sensacją. W innych programach jest cała masa wszystkiego: dziewczyny, Őarty, skecze i diabli wiedzą co jeszcze.

Muzyka. I tak dalej, i tak dalej. Gospodarze zapraszają tylu gości, Őe policjant z drogówki musi kontrolować ruch w studiu. Nie mam nic przeciwko prowadzącym te programy, to porządni goście, ale wydaje mi się, Őe nie są pewni, czy umiejã zdobyć sympatię widowni, więc decydują się, by zarzucić ją, czym się tylko da. Więcej gości

niŜ widzów przed ekranami. Dziś wieczorem pójdziemy inną drogą i mam nadzieję, Œe przyłączycie się do nas.

Jeden gość, ale z pierwszej ligi: gwiazdor sceny i ekranu, piosenkarz jedyny w swoim rodzaju. JuŜ nie wspomnę (C o

o

r t l y

e m

o ,

n Œ

e e

w p

stae

j s

e a

i n

o

kl .

a P

s a

z n

cz ie

e . i p

F a

o n

nt o

a w

n i

e e

,

k i Jo

w h

a n

g t F

o on

w t

ą an

w e

s . t ronę

widowni. Obaj siadają i zapalają papierosy).

FRED CORLEONE: Słyszałem, że *Groovesville* może się okazać najlepszym longplayem wszech czasów. Moda na rock and rolli mija, a ty jesteś na topie, jesteś numerem jeden w kraju.

JOHNNY FONTANE: Dzięki. Moja kariera piosenkarska przez jakiś czas cierpiała na przypadłość, którą nazwałbym chorobliwym pośpiechem, ale pozbierałem się i zrobiłem sobie parę przerw. Nie chcę być nieskromny, ale miałem szczęście nagrać kilka płyt z geniuszem, jakim jest Cy Milner — nie tylko *Groovesville*, ale także *Last Lonely Midnight*, *Johnny Sings Hoagy*, *Fontane Blue* — które być może są najlepszymi płytami, jakie kiedykolwiek nagrałem.

FRED CORLEONE: Być może najlepszymi nagraniami, jakie w ogóle się ukazały.

JOHNNY FONTANE: Powinieneś zaprosić Cya do programu.

Następną płytę też będę nagrywał z nim. To mój projekt marzenia, duety z panią Ellą Fitzgerald.

301

FRED CORLEONE: Oczywiście, że go zaproszę (*Gospodarz spogląda do w stronę kulis*). Niech ktoś to zapisze. Cy Milner, geniusz, wiadomo. Zaprosić go do programu to chyba dobra nowina.

JOHNNY FONTANE: Elle teŚ powinieneś zaprosić. Tak jak w tekście piosenki, ona teŚ jest na topie.

FRED CORLEONE: Jasne.

JOHNNY FONTANE: A ja nie uŚywam słowa „geniusz” ot, tak sobie.

FRED CORLEONE: Tak jak pozerzy z Hollywood. Wiem.

JOHNNY FONTANE: KaŚdy piosenkarz, który pracował z Milnerem, powie ci, iŚ to geniusz z prostego powodu, Śe w ciągu tych lat, w czasie których grał na dęciaku w zespole Lesa Halleya...

FRED CORLEONE: To znaczy, na puzonie.

JOHNNY FONTANE: ...doskonale naśladował ludzki głos i wie, jak sprawić, Śeby piosenkarz w studiu poczuł się niczym przysłowiowy milion dolców.

FRED CORLEONE: Czy jest coś lepszego niŚ milion dolców?

JOHNNY FONTANE: Milion dolców i... *{Zacią ga się*

papierosem i wzrusza ramionami).

FRED CORLEONE: Twoje płyty zarabiają miliony. I to nie przysłowiowe.

JOHNNY FONTANE: Przez lata spędzone na karuzeli zwanej show-biznesem nauczyłem się, Śe jeśli odniosłem jakiś sukces...

FRED CORLEONE: Odniosłeś ich mnóstwo.

JOHNNY FONTANE: ...To zawdzięczam go słuchaczom

{Kiwa głową w stronę klaszczącej widowni). Dziękuję.

To prawda.

FRED CORLEONE: Czy mam rację, mówiąc, Śe tak zwany rock and roli nie ma przyszłości? Dla mnie... to nie jest muzyka. Poza tym, jeśli wolno mi tak powiedzieć, brakuje mu klasy.

JOHNNY FONTANE: Rock and roli jest emanacją prymitywnej strony ludzkiej natury. Z artystycznego punktu widzenia był martwy od samego początku, więc powinien zniknąć.

FRED CORLEONE: Miło mi to słyszeć. To znaczy, twoją opinię. Więc pomówmy o tym, dobrze? Bo ludzie chcą wiedzieć.

JOHNNY FONTANE: Więc do dzieła.

FRED CORLEONE: Pomówmy o twoich doświadczeniach z pracy w show-biznesie, nie zapominając o kobietach.

O wszystkim. Gdybyśmy mieli przyznać punkty od jednego do dziesięciu, z dziesiątką jako najwyższą...

JOHNNY FONTANE (*wskazując c filiŹ ankę kawy gospodarza*): To nie jedyna rzecz, która jest najwyższa.

FRED CORLEONE: ...oceną w dwóch kategoriach, wyglądu i talentu. Więc od dziesięciu do dwudziestu. Albo od jednego do dziesięciu, potem dodajemy obie noty i dzieli-my, Źeby uzyskać średnią. Skala nie jest najwyższa.

JOHNNY FONTANE: Nie wspominałeś, Źe trzeba być doktorem matematyki, Źeby wziąć udział w tym programie.

FRED CORLEONE: Dla obiektywizmu wyłączmy z konkursu twoją narzeczoną, pannę Annie McGowan, która, nawiasem mówiąc, potrafi wszystko: śpiewać, tańczyć, opowiadać dowcipy, a nawet grać. No i jeszcze poruszać kukiełkami, czego nie widziałem, lecz słyszałem dobre rzeczy. Ale poczekaj. Muszę w tej chwili przerwać.

JOHNNY FONTANE: Nie wiedziałem, Źe juŹ zacząłeś.

FRED CORLEONE: Więc o Annie. Wiesz, co mówią... o nich.

PomóŹ mi, John. Musimy brać pod uwagę widownię rodzinną. Ludzie wiedzą, o czym mówię, wierz mi. Jak mam to powiedzieć? Jak je nazwać?

JOHNNY FONTANE (*z uŹ miechem*): Jej klatka piersiowa?

FRED CORLEONE: Klatka piersiowa! Tak jest. To bardzo sławna klatka piersiowa, z całym szacunkiem dla ciebie i dla Annie.

JOHNNY FONTANE: Nie czuję się uraŹony. Jakie było pytanie?

FRED CORLEONE: Kto w Hollywood stanowi najlepsze połączenie urody i talentu?

JOHNNY FONTANE (*udają c, Ź e głę boko się zastanawia*): Z powodu twojego stylu przeprowadzania wywiadu dostanę niezłe lanie.

FRED CORLEONE: Hej! Ruch w interesie, rozrywka, tak jak w czasie twoich występów. Musimy sprowadzić cię jeszcze raz tu, do sławnego na cały świat Zamku na Piasku.

JOHNNY FONTANE: Dzięki. Dziękuję ci. Przez jakiś czas nie mogłem występować w Las Vegas. Ale daję koncerty w Los Angeles i Chicago, więc jeśli ktoś chce mnie zobaczyć, to moŹe się tam wybrać.

FRED CORLEONE: Nasz program jest nadawany tylko w Vegas, i to nawet nie w całym. Ten kanał nie dochodzi nawet

J d

O o

H m

N o

N je

Y g

F o

O do

N m

T u

A ,

N u

E w

: ie

M r

az

s y

z ł

b

wy

i ś

e ?

S

ę czy tylko królicze uszy?

FRED CORLEONE: śartujesz? WieŚę. Ale wracając do spraw waŚnych, jeśli pozwolisz. śarty na bok. Chcesz mi powiedzieć, Śe nie zaśpiewasz tu dzisiaj? Dla nas?

Słyszałem, Śe ma ci akompaniować jakiś zespół.

JOHNNY FONTANE: Bardzo bym chciał, ale muszę dać odpocząć moim strunom głosowym. ZbliŚają się bardzo waŚne występy. Przykro mi.

FRED CORLEONE: To wielkie rozczarowanie. Naprawdę wielkie. Stawiasz mnie w złym świetle.

JOHNNY FONTANE: Ten statek odpłynął, zanim wszedłem na pokład.

FRED CORLEONE (*wybuchają c ś miechem*): Zabawny z ciebie gość!

JOHNNY FONTANE: Robię, CO mogę.

FRED CORLEONE (*do kogoś poza kamerą*): Czy ktoś wezwał

ten zespół... Dobrze. Ty? Ty. Czemu dowiaduję się o tych sprawach ostatni? (*Odwraca się do Fontane*). No dobrze, więc

zaczynamy.

MoŚesz

coś

powiedzieć

o

przeprowadzce Dodgersów i Olbrzymów do Kalifornii?

JOHNNY FONTANE: Nic, co porwałoby rodzinną widownię.

To złamało serca wielu ludziom.

FRED CORLEONE: Nie wiem. Firmy stale się przenoszą. Firma mojego brata, w której jestem współnikiem — hotele, rozrywka, budownictwo, cement — teŚ przeniosła się na Zachód. Dzięki temu jesteśmy tu dzisiaj i występujemy razem w programie telewizyjnym. Dlaczego baseball ma być inny? Mam sentyment do Nowego Jorku tak jak ty, ale dlaczego narodowa rozrywka ma działać w sposób, który nie jest amerykański?

JOHNNY FONTANE: Baseball to sport związany z lokalnym środowiskiem i wiarą zwykłych ludzi.

Tyle razy byłem w Ebbets Field... nie mogę sobie wyobrazić, że ten stadion mógłby zostać zburzony. Jeśli to zrobią, to kawałek mnie tak że legnie w gruzach.

FRED CORLEONE: Ty też przeniosłeś się z Nowego Jorku na Zachód.

304

JOHNNY FONTANE: To co innego. Moich płyt można słuchać wszędzie, filmy też można oglądać gdziekolwiek. Prędzej czy później wszędzie wystąpię.

FRED CORLEONE: Nie wątpię w to. Mecze Dodgersów w Los Angeles. Ale ciebie też ostatnio więcej łączy z Los Angeles niż z Nowym Jorkiem.

JOHNNY FONTANE *{robi pauzę, żeby zapalić papierosa}*: Oczywiście, że będę chodził na mecze. Ale to nigdy nie będą prawdziwi Dodgersi. Odcięli się od tego, co uczyniło ich prawdziwymi Dodgersami.

FRED CORLEONE: Dobrze, nie mówmy więcej o tej drażliwej kwestii. Możemy porozmawiać o polityce. Słyszałem, że masz już kandydata, którego zamierzasz poprzeć w następnej kampanii prezydenckiej. Powiedział mi to pewien

J p

O t

Has

N ze

N k

Y . FONTANE: Jak się miewa Deanna?

FRED CORLEONE: Doskonale. Ale nie o tym ptaszku mówię.

JOHNNY FONTANE *{mrugają c do kamery}*: Odpowiem na twoje poprzednie pytanie. Jeśli mamy oceniać w kategoriach urody i talentu, to nie przychodzi mi do głowy

nikt,

kto przewyśszałby Deannę Dunn. Z całym szacunkiem dla F c

R ie

E b

D i

e

C i d

O l

R a

L n

E i e

O j,

N t o

E: w ł

D a

z ś

i n

ę i

k e

i,

D

J e

o a

h n

n n

n a

y. j e

T s

o t p

b r

a a

r w

dzd

oz

iw

mi ą

ł

e b

o

z m

t b

w ą

oj.

ej

strony i nie muszę dodawać, Œe podzielam tę opinię. Do wiadomości tych, którzy właśnie dołączyli do widowni, ten frajer, który siedzi przed wami, czyli ja, do usług, jest szczęśliwym mężem pięknej i utalentowanej Deanny Dunn.

JOHNNY FONTANE: Laureatki Oscara.

FRED CORLEONE: Dwukrotnej. Ale ty teŒ go zdobyłeś.

Zdziwiłeś się, Œe jest taki cięŒki?

JOHNNY FONTANE: CięŒkie do uniesienia okazało się dla mnie coś innego: fakt otrzymania takiego wyróżnienia od kolegów.

FRED CORLEONE: Skoro mowa o nagrodach, popierasz kandydaturę na prezydenta gubernatora Sheę z New Jersey? Gubernator zdobył nagrodę za swoją ksiąŒkę, wiesz, o której ksiąŒce mówię.

JOHNNY FONTANE: Jeśli stanie do wyborów, to owszem, skłaniam się ku jego kandydaturze. To zacny człowiek i jego wybór byłby dobry dla kraju. Czytałeś jego ksiąŒkę?

FRED CORLEONE: Książka leży w tej chwili na mojej szafce nocnej. Przeczytam ją, zanim zaproszę autora do programu.

JOHNNY FONTANE: Gubernator wystąpi w twoim programie?

FRED CORLEONE: Pracujemy nad tym. John, chcę cię o coś zapytać. Widziałeś kiedyś film pod tytułem *Zasadzka w Durango*?

JOHNNY FONTANE: Czy go widziałem? (*śmieje się*). Pytasz poważnie?

FRED CORLEONE: Johnny grał w tym filmie. Przypominam, na wypadek, gdyby ktoś wszedł do kina po napisach.

JOHNNY FONTANE: Ty też w nim grałeś. I twoja siostra.

FRED CORLEONE: Gdyby ktoś zamrugał w nieodpowiednim momencie, to mógłby mnie nie zauważyć. A gdyby zamrugał dwa razy, to mógł też nie zauważyć ciebie.

JOHNNY FONTANE: Taki widz byłby w dobrym towarzystwie.

Większość ludzi w ogóle nie zauważyła filmu. Nie każdy film musi być arcydziełem, sami rozumiecie. Albo przebojem kasowym.

FRED CORLEONE: Słyszałem, że byłeś w ogóle wycofasz się z kręcenia filmów?

JOHNNY FONTANE: Nie, skądże znowu.

FRED CORLEONE: Ale nie siedzisz już w tym całym sercem, prawda? Masz swoje studio filmowe, a mimo to...

JOHNNY FONTANE: Właśnie robimy filmy, które powinny stać się przebojami. Na przykład obraz o gladiatorach.

FRED CORLEONE: Musical?

JOHNNY FONTANE: Zgadza się. Najlepsze piosenki. Skąd o tym wiesz?

FRED CORLEONE: Znam połowę zespołu twórców tych piosenek. Ale, ale, trzeba zapłacić rachunki.

JOHNNY FONTANE: A ty swoich nie płacisz?

FRED CORLEONE: Miałem na myśli reklamę, rozumiesz.

JOHNNY FONTANE: Za chwilę znów będziemy na ekranie.

FRED CORLEONE: Czyj to właściwie program, Johnny?

JOHNNY FONTANE: No właśnie. A w ogóle, jak to się stało, że taki lewus jak ty dostaje program telewizyjny, że nie wspomnę o seksbombie, którą jest Deanna Dunn?

FRED CORLEONE: Czy wszyscy widzą, kogo zaprosiłem?

Jesteś skarbem narodowym! Za chwilę wracamy na wizję.

306

Fredo Corleone stał samotnie w ciemności w oknie apartamentu w Chateau Marmont i spoglądał w dół na Sunset Strip, czekając na powrót Sony. Ten apartament tygodniowo kosztował Freda więcej, niż jego ojciec płacił za cały kompleks domów na Long Island, ale chyba był tego wart. Fani Deanny nie nękali jej, a Fredo mógł tam mieszkać, nie czując na szyi oddechów goryli. Spojrzał na zegarek.

Prawie druga. Stolik w restauracji był zarezerwowany na jedenastą.

Zdjęcia przeważnie kończyły się około dziewiętej, lecz Fredo zagrał

niewielkie role w trzech filmach i wiedział, że w tym biznesie nigdy nic nie wiadomo. Deanna nie zagrała w przebojowym filmie od pięciu lat, a w Hollywood to mniej więcej tyle samo, co pięć wieków. Dostała tę rolę po tym, jak kilka młodszych aktorek odpadło i codziennie po zdjęciach opowiadała, jakim knotem będzie ten film, i że amant, z którym gra, jest beznadziejnym aktorem.

Fredo odwrócił się od okna w stronę telefonu, mówiąc sobie, że nie zadzwoni. Chciał sprawdzić samego siebie. Zadzwonił.

Operatorka połączyła go z domkiem numer trzy. Odpowiedział mu głęboki rozespany głos Wally'ego Morgana, stanowiącego połówkę jednego z najbardziej rozchwytywanych tandemów twórców piosenek w show-biznesie. Wally słuchał kiedyś w marynarce, ścigał

się na motocyklach i lubił polować: nikt by się nie domyślił, że jest ciotą. Fredo zaczynał rozumieć, że nie można się tym kierować w ocenach. Jeśli facet pomaluje pokój w swoim domu, to jeszcze nie znaczy, że jest malarzem. Poza tym, to Hollywood. Tam wszystko

wyglądało

inaczej.

Fontane

otwarcie

nazywał

homoseksualistów dupojebcami, ale na przyjęciach w jego domu zawsze

było ich mnóstwo; podtrzymywali konwersację z paniami, podczas gdy Johnny rozmawiał z kumplami o futbolu albo rzucał petardy do rozpadliny za domem. A gdzie był wtedy Fredo? Obgadywał

z ch

F ł

r o

e p

d a

o k

a

o m

dc i

hrza

ąw

k o

n d

ąłn

ii k

z ó

a w

p

ytalłb

, o

c z w

y ku

mr

o z

Ŝ a

e ł s

w ą

p s

a i

ś a

ć d

ó

n w

a .

d r W

i n i

k ę

a c

. z całą

pewno

— ści

W ą

p n

a i

ś e

ć

?b

ył c

— iot

z ą

a .

c hichotał Morgan. — Niezły eufemizm,

tygrysie. Jasne, jasne. Przygotuję martini. Bądź kolegą i przywieź

paru naszych zielonych braci, co?

Eufemizm. Nasi zieloni bracia. Tygrysie. Fredowi trudno było uwierzyć, że ma coś wspólnego z kimś, kto wyraża się w taki sposób. Złapał kostium kąpielowy, butelkę tabletek i wyszedł.

Kąpielówki przydadzą się później, kiedy będzie chciał popływać, żeby odświeżyć głowę.

307

Gdy wreszcie zanurzył się w wodzie, była czwarta rano i jakaś para rżnęła się w głębszej części basenu. Światła były zgaszone.

Fredo przebrał się w łazience, mając nadzieję, że tamci tymczasem skończą, ale kiedy otworzył drzwi, wciąż tam byli. Nie wziął

prysznicu w domku numer trzy. Musiał coś zrobić przed powrotem do domu, oczyścić się na wszelki wypadek. Para wciąż była mniej więcej w tym samym miejscu przy ścianie koło drabinki.

Sprawiali wrażenie, że nigdzie im się nie spieszy. Ale czy Freda to obchodziło? Wskoczył do płytkiej wody i przepłynął kilka razy w tę i z powrotem. Niczego nie jadł, lecz pigułki dawały mnóstwo energii. Zbierając swoje rzeczy, zerknął na parę, która wciąż robiła swoje. Właśnie wtedy dotarło do niego, że kobietą jest jego Sona.

— Dee Dee?

Deanna parsknęła śmiechem. Męszczyzna też się roześmiał. Był

nim jej filmowy partner, Matt Marshall.

— Zaraz przyjdę! — zawołała Deanna. — Chwilowo jestem troszeczkę zajęta.

Fredo opuścił głowę i ruszył w stronę windy. W domu założył

na biodra pas z kaburą, który ukradł z planu *Indiańskiego strumienia* (to był jego drugi film, zagrał

Indianina). Były w nim dwa pistolety colt peacemaker. Mimo że wziął pigułki, czuł przepelniający go spokój. Zemsta była uzasadniona i za chwilę jej dopełni.

Ale wróciwszy nad basen, nie zastał Deanny i jej kochanka.

Chwilę później stał w garażu Chateau Marmont, mierząc z pistoletu do corvetty regal turquoise 1958, którą kupił Deannie na pierwszą rocznicę ślubu. Słyszał bicie swojego serca. Wziął kilka głębokich oddechów, trzymając nieruchomo dłoń i naciskając spust, ale nie do końca. Razem wybierali ten wóz u Flinta. Agent reklamowy zadbał o to, by zdjęcie uśmiechniętej pary trafiło do gazet i magazynów na całym świecie — dobra prasa dla wszystkich.

W końcu Fredo otworzył ogień: w tylną szybę, w tylną lewą oponę, w drzwi od strony kierowcy, w jedną i drugą boczną szybę, w przednią tekturę. Dobrze się czuł, zabijając samochód. Trzaskało szkło, pękały opony, eksplodowała tapicerka. Metal uderzał w metal, strzały odbijały się echem.

Fredo schował pierwszy rewolwer do kabury, podniósł klapę corvetty i wyjął drugiego colta. Zjawił się dyrektor hotelu z kilkoma ludźmi, jednak wszyscy znali Freda i wiedzieli, że strzela do samochodu Deanny. Widzieli wielu sławnych ludzi, którzy za-308

chowowali się jeszcze dziwniej i jeszcze bardziej nagannie.

Dyrektor hotelu spokojnym głosem zapytał, czy może jakoś pomóc

— .

Nie

trzeba

—

warknął

Fredo,

pakując

kulę

w

czteroczęściowy karburator. — Sam wszystko załatwię, dzięki.

Kolejny wystrzał sprawił, że nastąpiła niewielka eksplozja i pokazał się obłoczek białego dymu. Zjawili się pierwsi gapie.

— Jest dość późno, panie Corleone. Jak pan widzi, niektórzy goście...

Fredo wpackował kolejną kulę w silnik.

— ...są zaniepokojeni.

I jeszcze dwie po stronie pasa. Ostatnia kula nie trafiła w samochód.

Jakaś kobieta za Fredem zaczęła wrzeszczeć, chyba po francusku. Fredo odwrócił się i zobaczył bosego Matta Marshalla, ubranego

tylko w szorty, który szarżował na niego z twarzą ściągniętą wśc

Fie

r k

dło

o śc

w ią

y .

c

iągnął drugi rewolwer i wymierzył oba w Marshalla —

lecz ten albo wiedział, że Fredo wystrzelał wszystkie naboje, albo był szalony, ponieważ biegł dalej. Fredo nigdy nie myślał z taką jasnością. Stał nieruchomo. Zrobił unik i przepuścił Marshalla zręcznie niczym matador. Marshall runął na beton. Wstał i znów ruszył jak idiota na Freda, z opuszczoną głową. Fredo miał ochotę się śmiać, ale zamiast tego zamachnął się i zadał soczysty cios na wysokości biodra. Rozległ się dźwięk, jakby kawał mięsa spadł

z wysoka na beton. Marshall rąbnął na ziemię jak długi.

Wszyscy obecni z wyjątkiem wrzeszczącej po francusku paniusi jak na sygnał westchnęli: „Ooch”.

Fredo wcisnął pistolety do kabur.

— Samoobrona — zakomunikował. — To jasne jak słońce.

Hagen przyszedł wpłacić za niego kaucję.

— Szybko się zjawieś — zauważył Fredo, gdy wyszli z komendy policji. — Przyleciałeś samolotem?

— Nie dosłownie — odparł Tom. — Jezu Chryste, Fredo, nie jestem pewien, czy w tym hotelu ktokolwiek zdołał kiedyś doprowadzić do tego, że go aresztowano.

— Zabłąkane kule. KaŜdemu mogło się to przytrafić. Ale szkoda mi tego psa.

Francuzka była wydziedziczoną baronową, która wyszła na 309

spacer z miniaturowym pudelkiem. Jedna z kul trafiła pieska w głowę, tak Ŝe zostały z niej tylko strzepy. Drugi pocisk przebił

się w jakiś sposób przez corvette i wbił w maskownicę samochodu stojącego za nią, białego adventurera DeSoto, który wziął udział

jako wóz prowadzący w wyścigu Indy 500 w roku 1957. Zwycięzca wyścigu zarobił krocie, sprzedając wóz Marshallowi, znanemu kinomanom z filmu *Znak szachownicy*, w którym zagrał

zawadiackiego kierowcę wyścigowego o złotym sercu. Dupek nie bił

się

w obronie Deanny ani w jej interesie. Rozwścieczyło go to, Ŝe z jego

— ce

T n

o n

ce

og

ś o

g a

ou

r t

s k

z a

e z

g a

o c

nz

i ą

ŝ ł

zsi

a ę

b łw

ą y

k d

a o

neb

y

k w

ul a

e,ć g

Frry

e z

d ą

o.c

y

T d

e y

p m

ist.

olety...

— Są czyste. Neri powiedział, że czystsze być nie mogą.

— Oby tak było, bo policja zleciła ich sprawdzenie FBI.

— Są czyste.

Wsiadli do buicka, którym jeździł Hagen. Nagle tak się porobiło, że wszyscy w rodzinie jeździli nudnymi samochodami. W

milczeniu dojechali do hotelu Chateau Marmont. Nie dość, że kierownictwo nie wyrzuciło Freda, to Hagen też tam zamieszkał.

Wiele

można by powiedzieć o dyskrecji hotelowej obsługi. Wiele można też powiedzieć o wysokich napiwkach, zarezerwowaniu jednego pokoju z góry i o tym, że jeden z gości jest mężem gwiazdy. Hagen i Fredo wybrali się na spacer po zacisznym ogrodzie z tropikalną roślin

— n

oś

W c

i i

ę ą

c . co z tymi tabletkami, które znaleziono w twojej kieszeni? — spytał Hagen.

— Na receptę. Segal mi je przepisał. — Była to prawda, choć nie cała. Fredo wysłał Figara, swojego człowieka w Vegas, żeby zdobył pigułki. Jules Segal, stary przyjaciel rodziny, był

ordynatorem chirurgii w szpitalu wybudowanym przez rodzinę Corle

— o

n

Pe

o.

dobno były w buteleczce od aspiryny.

— Wrzuciłem je tam, a potem wybrałem całą aspirynę. Nie ma przepisu mówiącego o tym, że tabletki trzeba nosić w określony sposób.

— Nie wiem. Segal został kiedyś za to zawieszony, dawno temu, zanim zaczął pracować w naszym szpitalu. Ale teraz...

istnienie szpitala dobrze o nas świadczy i jeśli...

— Więc kaŹ innemu lekarzowi powiedzieć, Źe mi je przepisał.

I niech mu się to opłaci. Załatwiałeś juŹ sto razy gorsze problemy niŹ ten. Jezu, Tommy, tata zawsze mówił, Źe to ty masz najbardziej sycylijski charakter z nas wszystkich. Co się, kurwa, stało? Usunęli

310
ci to specjalną ustawą Kongresu? Powiedziałem ci, co zrobił ten gość! To była moja Źona!

— Powiedziałeś mi przez telefon. To nie było zbyt mądre, Fredo.

Fredo wzruszył ramionami, przyznając Tomowi rację.

— Marshall nie zginął i nic mu się nie stało, tak czy nie?

— Nie, dzięki Bogu. Nic mu nie będzie. Ale jego twarz to całkiem inna sprawa.

— Źle wygląda, co?

— Dosyć kiepsko. Mart Marshall Źyje ze swoich kości policzkowych, z których jedna jest teraz raczej w stanie płynnym niŹ

stałym. To juŹ jest źle, ale jak wiesz, on właśnie kręci film. Ci ludzie uwaŹają, Źe nie mogą zakończyć zdjęć bez niego. MoŹliwe, Źe uda nam się wszystko załagodzić, ale Los Angeles to teraz dla nas tr

— u

dn

Me

a m

mi

ya

s

z to

ni , b

mi o

p C

o h

k i

óc

j a

. g

Zo

n.

a .j ą mnie, lubią. Mogę się nimi zająć.

— Postarałeś się, Œebym miał duŜo do załatwienia.

— Daj spokój, Tom. Co byś zrobił, gdyby to była Theresa?

— O rany, nie wiem. Zabiłbym samochód, pudła i duŜy film?

— Przynajmniej nie powiedziałaś, Œe to nie mogłaby być Theresa.

— To nie mogłaby być Theresa.

— Odpieprz się, ty świętoszkowaty zasrańcu.

— Ile tabletek dzisiaj połknąłeś, Fredo?

— Ani jednej. — Z tabletkami było jednak trochę inaczej. —

Biorę je od czasu do czasu. — Fredo nie chciał przechodzić obok domku numer trzy i nie chciał przechodzić koło basenu. — Stąd jest lepszy widok — wyjaśnił. — Na Bulwar Zachodzącego Słońca i w ogóle.

— Wiem — rzekł Hagen. — Mieszkałem tutaj. To ja powiedziałem ci o tym hotelu.

— Więc wiesz. Stąd jest lepszy widok.

Skęcili.

— JuŜ wcześniej chciałem cię o to zapytać. Czy Kay się wściekła, kiedy powiedziałaś jej o pluskwach?

— Ona nic nie wie — odparł Hagen.

Fredo trafnie się domyślił: Mike nic jej sam nie mówił. Miał od tego Toma. Pewien pielgrzym stracił kobietę.

— Kay jest bystra. Domyśla się różnych rzeczy. Nawet jeśli nie wie, prędzej czy później jej powiesz.

— O czym ty mówisz?

311

— Nie mówię, że czujesz do niej miętę czy coś, ale wszyscy wiedzą, i że ona wie, jak wyciągnąć od ciebie to, co chce.

— To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem.

— Kiedyś powiedziałeś, że mój pomysł ze zbudowaniem w Nowym Jorku cmentarza takiego jak Colma jest najgłupszą rzeczą, jaką słyszałeś.

— Wciąż o tym myślisz? Mike powiedział ci, że nie możemy teraz angażować się w taki projekt. Trzymamy się z daleka od wszelkich haraczy. Nie chcemy, żeby w jakikolwiek sposób łączono nas ze Straccim. Potrzebujemy wielu przysług od rozmaitych polityków w Nowym Jorku i ostatnią rzeczą, jaką chcielibyśmy teraz zrobić, jest wykorzystanie tych przysług w celu realizacji takiego projektu. Projektu, który ma wiele luk.

Na rogu ulicy wpadli na Alfreda Hitchcocka, który wybrał się na spacer z Annie McGowan i jej agentem. Przedstawiając Hageną, Fredo usłyszał określenia „kongresman”. Annie spytała Freda, czy wszystko w porządku. Fredo odparł, że to długa historia i że później do niej zadzwoni. Powiedziała, że Johnny'ego nie ma w mieście.

Jest w Chicago. Hitchcock oznajmił, że musi już iść, więc poszli.

— Jakie luki? — spytał Fredo, kiedy zostali sami.

— Wszystkie nasze operacje w Nowym Jorku mają pozostać w takim stanie, w jakim są. Nowe przedsięwzięcia muszą być całkowicie legalne.

— I właśnie to jest uroda mojego planu, Tom. To nie byłby żaden rekiet. Wszystko byłoby całkowicie legalne.

— Fredo, nie można mieć jednego i drugiego. Nie możesz być z jednej strony na świeczniku, być mężem gwiazdy filmowej, zarządzać w naszym imieniu rozrywką w hotelach w Las Vegas, prowadzić programu telewizyjnego... który nieźle wypadł, jak słyszałem.

— Dzięki. Staramy się.

— Ale nie możesz robić tego wszystkiego i jednocześnie stać za cmentarnym biznesem, o którym mówisz. A jeśli nie będziesz czysty, to nie możesz robić żadnej z tych rzeczy. Obudź się, dobrze?

Fredo z przyjemnością by się obudził, gdyby gliny nie zwinęły mu tych zasranych tabletek.

— Więc niech ktoś inny zajmie się brudną robotą —

zasugerował. — Rocco mógłby to wziąć. Albo Nick Geraci, on byłby

idealny. A kiedy wszystko stałoby się legalne, ja przejąłbym sprawy w swoje ręce. To był mój pomysł, Tom.

312

— Pomysły są głównie warte — stwierdził Hagen. — Liczy się to, czy wiesz, co z pomysłem zrobić.

— Ja wiem, co zrobić z moim pomysłem, jasne? Wiem, jak wszystko poustawiać. I wiem, jak kierować całym kramem, kiedy już zacznie działać. Mój kłopot polega na tym, że nie chcecie mi pozwolić.

Hagen chciał coś powiedzieć, lecz Fredo mu nie pozwolił.

— Przyznaj, że to nie ty mnie powstrzymujesz, tylko Mike.

Niech to szlag, Tom, on wykorzystuje cię bardziej niż mnie. A obaj jesteśmy od niego starsi. Pominęto nas. Dlaczego?

Tom ściągnął brwi.

— Ty nie jesteś Włochem — ciągnął Fredo — i nie jesteś z naszej krwi, więc to komplikuje sprawy, ale nie tak, żebyś musiał

być jego chłopcem na posyłki.

— Powiniennem być cię tam zostawić, ty niewdzięczny kutafonie.

Może spodobałoby ci się w pudle.

— Co to ma, kurwa, znaczyć?

Hagen zamknął oczy.

— Nic.

— Co jest, boisz się?

Hagen milczał.

— Zadałem ci pytanie, do cholery.

— Chcesz mi przywalić, Fredo? No to już.

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Więc powiedz. Chodzi o tego chłopaka, tego złodziejaska z San Francisco. — Fredo nie musiał

nikogo zabić, żeby zostać dopuszczonym do interesów. Beatnik Dean był pierwszym człowiekiem, którego Fredo zabił. Gdyby ten szczeniak nie pamiętał zdjęcia zapłakanego Freda siedzącego na krawężniku. Fredo udawał, że nic o tym nie wie. Powiedział, że jego twarz łatwo pomylić. Ale chłopak nie dawał za wygraną.

Fredo udusił go poduszką, ubrał i zbił trupa, żeby wszystko lepiej wyglądało. Miły chłopak, ale zboczeniec bez dwóch zdań. Nie taki, który pozwala sobie na skoki w bok, ale gość, uważający się za pedzia. To było chore. Fredo tak bardzo się bał rozpoznania, że wszystko, co robił, wydawało mu się łatwe. Wydostanie się z tarapatów okazało się trudniejsze, ale i to się udało. — Nie patrz tak na mnie. Powiedz to.

— Niczego nie próbuję powiedzieć — odparł Hagen. — Jeśli o mnie chodzi, San Francisco to prehistoria.

— Naprawdę zaczynasz mnie wkurzać, Tom.

313

— Dopiero zaczynam?

Fredo się zamachnął. Tom sparował cios pięścią lewej dłoni, wykręcił mu rękę i uderzył Freda w brzuch z taką siłą, że oderwało go od ziemi. Zatoczył się i upadł na kolana, z trudem łapiąc oddech.

— O kurwa, Tom, nienawidzę cię — wykrztusił.

— że co?

— Jak tylko wszedłeś do naszego domu, zostałeś ulubieńcem taty.

— Daj spokój, Fredo. Ile ty masz lat?

— Mike był faworytem mamy — ciągnął powoli Fredo. —

Sonny nikogo nie potrzebował, a Connie była dziewczyną. Zanim ty się napatoczyłeś, ja byłem ulubieńcem taty. Wiesz o tym?

Przyszło ci to kiedyś do głowy? Obchodziło cię? Zabrałeś to, co było moje.

— To bardzo mądre, powiedzieć coś takiego komuś, kto ma po tobie posprzątać.

— A jakie to ma znaczenie? I tak to zrobisz. Zrobisz wszystko, co Mike ci każe.

— Jestem lojalny wobec rodziny.

— Gówno prawda. Jesteś lojalny wobec niego.

— Posłuchaj samego siebie, Fredo.

Fredo wstał i skoczył na Hagen. Cios Toma trafił go prosto w szczękę; Fredo padł na wznak na łóŜko w kolorze azjatyckiego jaśminu.

— Masz dość?

Fredo usiadł i potarł dłońmi szarą twarz pokrytą dwudniowym zarostem. Wziął kilka głębokich wdechów.

— Nie spałem... nie wiem jak długo. Od paru dni.

Hagen wyjął cygaro i zapalił. Po chwili wyciągnął rękę. Fredo, wciąż klęcząc, patrzył na nią długo i w końcu podał mu dłoń.

— Cygaro? — spytał Hagen, sięgając do kieszeni.

— Nie, dzięki.

Hagen skinął głową.

— Idź na górę i porozmawiaj z Soną, Fredo.

— Nie mów mi, co mam robić. A jej tam nie ma.

— A gdzie ma być? Dzisiaj nie kręca.

— Ona tam jest?

Hagen poklepał Freda po ramieniu.

— Kocham cię, Fredo. Wiesz o tym, prawda?

Fredo wzruszył ramionami.

314

— Ja teŜ cię kocham, Tommy, ale jednocześnie...

— JuŜ to przerabialiśmy — przerwał mu Tom. — Daj spokój.

— Chyba między braćmi nie może być inaczej, co?

Hagen przechylił głowę, jakby chciał powiedzieć, moŜe tak, moŜe nie.

— Nawiasem mówiąc, pokazałeś niezły refleks, blokując mój cios.

— Piję duŜo kawy — odparł Hagen.

— Powinieneś się ograniczać. Kawa cię zabije.

— Idź odpocząć. Wszystko będzie dobrze.

Akurat w tym momencie Hagen miał rację.

Deanna przywitała Freda w progu. Całowała go raz po raz, a później napełniła wannę gorącą wodą. Fredo się zanurzył, a Deanna zaczęła go golić.

Była jedną z najwyŜej cenionych aktorek swojego pokolenia, lecz Fredo był przekonany, Ŝe nie mogła tego udać. Bijąc się o nią, rozpałił w niej Ŝar. Jeszcze nigdy nie było im tak dobrze w łóŜku.

— Jak to się stało, Ŝe wzięłaś sobie takiego patałacha jak ja? —

spytał później Fredo.

Deanna westchnęła z zadowoleniem.

— Nie zagłąda się do pyska darowanemu koniowi — odparła.

— A tutaj?

— Tam zdecydowanie tak. Trzeba dobrze się przyjrzeć i po-lizać.

— Nie, tak się nie robi.

— Masz rację — mruknęła, trzymając mocno rękami jego głowę.

Rozdział 18

W marcu tego roku ojciec Nicka Geraciego przybył do Nowego Jorku — pierwszy raz od czasu, gdy Nick przeprowadził

się do Cleveland. Naturalnie, przyjechał samochodem. Pokonał

tysiące kilometrów dzielących Nowy Jork od Arizony, i zrobił

to sam w ciągu trzech dni. Był Faustem Kierowcą do samego końca.

Z początku wydawał się zadowolony, Ŝe moŜe gapić się na basen syna, zamknięty w kokonie swojego Ŝalu. Skończyły mu się chesterfieldy. Charlotte zaproponowała mu karton swoich papierosów, powiedział, Ŝe to świetnie. Była to damska marka, ale Fausto

zapewnił, że jest do nich przyzwyczajony, bo jego znajomy takie palił. Nick mrugnął okiem i spytał, czy nie miał na myśli przyja

— ció

Załk

mi,

k p

nia

j n

sn

i y

ę, C

j o

eś n

lic

h

n i

i t

ey

C

wi r

eu

s z

z., o czym gadasz. Chcesz forszę za

te papierosy? — spytał, sięgając do portfela.

— Nie trzeba, tato.

— Jesteś wielką szycią, ale ja płacę za siebie, rozumiano?

— Chcemy tylko, żebyś przyjemnie spędził czas.

— Wywieracie na mnie straszną presję — poskarżył się Fausto.

— Dlaczego nie zajmiecie się swoimi sprawami? I weźcie ode mnie pieniądze, chyba że są do niczego.

— W tym domu są do niczego, tato — potwierdził Nick. —

Jesteś naszym gościem.

— Gościem? — Sachnął się Fausto. — Wielki jesteś jak brzoza, a głupi jak koza. Ja to rodzina.

— Miło cię widzieć — rzekł Nick, odmawiając przyjęcia pie-316

niędzy i obejmując ojca, który odwzajemnił uścisk. Ucałowali się w policzki.

Rano Charlotte znalazła pod torebką pięć dolarów.

Nazajutrz, w niezwykle ciepły jak na Nowy Jork w lutym dzień, poszli całą rodziną na lunch do Patsy, ulubionej włoskiej restauracji Geraciego, w której miał swój stolik na piętrze, a później wybrali się na wycieczkę linią Circle Line. To był pomysł Charlotte. Można tam było zobaczyć widoki, których nawet rodowita mieszkanka Nowego Jorku, taka jak ona, nie miała szansy zobaczyć w Saden inny sposób. Poza tym wydawało się, że to dobry sposób spędzenia czasu dla mężczyzny, który całe dnie dumał i gapił się na wodę.

Nick i Charlotte byli na takiej wycieczce dawno temu, kiedy zaczęli się spotykać, ale ich córki jeszcze nie miały okazji. Barbara chodziła do pierwszej klasy gimnazjum i prawie nigdzie nie ruszała się bez orszaku przyjaciółek, które czekały na nią na moło. Beverly, mająca dopiero jedenaście lat, ale wyglądająca na tyle samo, co Barbara, została przy dziadku i wypytywała go o Ellis Island. Fausto ostatnio był w Nowym Jorku jako młody chłopak. Zanim dotarli do Wyspy Roosevelta, zdołała go namówić, żeby udzielał jej lekcji dialektu sycylijskiego.

Minęli Polo Grounds i zbliżali się do pustego, północnego koniuszka wyspy Manhattan. Zrobiło się śmiertelnie nudno. Fausto, którego nastrój wzniósł się na jemu tylko znane wyżyny, wziął

syna na bok i oznajmił mu, że właściwie to przybył do Nowego Jorku w interesach.

Nick ściągnął brwi i przechylił głowę.

— Wiadomość od sýdka — wyjaśnił Fausto, mając na myśli Vince'a Forlenzę. — Długa historia. To nie to miejsce. Jak daleko jesteśmy od Troi?

— Jakiej Troi? Troi w Nowym Jorku? — Nick Geraci był prawie pewny, że ojciec nigdy nie opowiedział mu Saden długiej historii.

— Nie, waśniaku. Troi od Heleny i wielkiej zasranej szkapy.

Tak, od Troi w Nowym Jorku.

— Musimy udać się do Troi, żebyś powiedział mi to, co masz powiedzieć?

— Wcale nie musimy udawać się do Troi. Moglibyśmy to zrobić w twoim domu albo w twoim drogim Henry Hudson Political Club, albo gdziekolwiek, jeśli...

— Patrick Henry — poprawił Nick. Tak nazywała się jego Kwatera główna na Brooklynie, jego biuro.

317

— Mniejsza z tym. Powiem ci coś. Chcę jechać do Troi, jasne?

Pośałujesz takiego drobiazgu umierającemu starcowi?

— Od kiedy to umierasz?

— Od dnia, w którym się urodziłem.

— Myślałem, że powiesz, że od dnia, w którym ja się urodziłem.

— Za wysoko się cenisz, waśniaku.

Okazało się, że Fausto dowiedział się skądś o walkach kogutów w Troi, podobno najlepszych w kraju. Miejscowość położona była w północnej części stanu, zatem znajdowała się pod pośrednią lub bezpośrednią kontrolą rodziny Cuneo. Fausto zawsze był

wielbicielem walk kogutów — zostawił tyle forsy w speluncie w Youngs-town, że jego nazwisko powinno znaleźć się na szyldzie. W

Tucson

też odbywały się walki kogutów, lecz organizowali je Meksykanie i Faus

— to

C u

h w

y a

b Ń

a ał

S,

a S

rte

u s

j ą

e

s u

z staw

— io

p n

o e

w.i edział Nick. — W Youngstown

ptaki mają kokę na piórach, są napompowane rozrzedzoną krwią, tak Sę krwawią i przegrywają, a później nagle narkotyk przestaje działać i zaczynają wygrywać. Mają na pazurach wszystkie trucizny, jakie zna świat. Ci ludzie na tysiąc sposobów umieją sprawić,

Sęby kogut wyglądał na zdechlaka, kiedy jest gotów do zabicia przeciwnika, albo Sęby wyglądał jak okaz zdrowia, gdy ma za chwil

— ę

p

N aś

i ć.

w

ny jesteś. Meksykanie są jeszcze gorsi. Ale trzeba przyznać, Sę to geniusze.

Mieli wyjechać dopiero po południu, lecz Fausto Geraci zerwał

się o czwartej rano, zaczął studiować mapy i dopieszczać silnik swojego oldsmobile'a 88. Rzecz jasna upierał się, Sęby prowadzić.

Szofer Geraciego, Donnie Bags, jego daleki kuzyn, był zwykłym kierowcą, lecz ojciec Nicka Geraciego zasługiwał na miano prawdziwego samochodziarza. Ktoś patrząc na niego siedzącego za kółkiem, mógłby pomyśleć, że prowadzi jak zwyczajny starszy mężczyzna: ogromne okulary, głowa schylona nad kierownicą, ręce w rękawiczkach na godzinie dziesiątej i drugiej, radio wyłączone, żeby nie przeszkadzało się skupić. Ale Fausto zawsze tak

jeździł. Śmigał swoją rakieta wśród innych samochodów jak kierowca Formuły jeden, którym powinien być, przeskakiwał z pasa

na pas, wykorzystywał luki, które wydawały się za małe, ale takie ni

3 e

1 b

8 yły. Jeśli nie liczyć samochodów i ciężarówek rozwalonych przez niego specjalnie — oraz zabójstwa na drodze w Marion (chodziło o zatuszowanie sprawy, kiedy czternastoletnia siostrzenica syda zabawiała się w kierowcę i przypadkowo rozsmarowała na drodze staruszkę) — Fausto Geraci nigdy nie miał

wypad-

ku. Szóstym zmysłem wyczuwał, gdzie czają się gliny i momentalnie potrafił ocenić policjanta. Od razu wiedział, czy pokazać

mu

odznakę emerytowanego oficera lotnego patrolu w Ohio (prawdziwą, kupioną na garażowej wyprzedaży), czy też wsunąć w dłoń zwiniętego pięćdziesiątaka. Zawsze trzymał jeden banknot w schowku, między odznaką i dowodem rejestracyjnym. Kiedyś Nick, który

miał wtedy dwanaście lat, zabrał te pieniądze. Ojciec sprawił mu gigan

Ni teyc

k zn

w e

y

c l

za

en

kie

ał. W

ojcła

a.ś n

P ie

o t

w o

i

e sk

m ło

u n

t i

o ł,o

c g

o o

d

mao

d te

o g

po, Ŝ

wieb

dy

z z

e a

nic

az

, ać

ki s

e i

d ę

y

na

b z

ę y

d w

zi a

e ć

g N

ot i

ó ck

w i (d

g o

d tą

y d

n b

a y

d ł

e

j J

d u

zin

ei o

c re

z m

as. al

T b

o o

mF

u a

s u

i s

ałti

o n

e

b m

yć) i

c

o z

ś a

p

wis

a a

S ć
n
e s
gię
o.
na
M l
i e
a k
ł cje
m ib
n o
ę k
su
c .

z łowieka, który wreszcie dostał zadanie godne męŜczyzny z jego talentem.

Przejechali most George'a Waszyngtona i Fausto karkołomnym manewrem wyprzedził dwie półcięŜarówki. Wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać synowi wszystko, czego dowiedział się osobiście od Vinniego Forlenzy.

— Słuchasz mnie?

— Cały zamieniam się w słuch — zapewnił Nick, ciągnąc się za uszy.

Sal Narducci znudził się ponoć czekaniem, aŜ syd wyzienie ducha. Ale chociaŜ Rechoczący Sal w swoim czasie prawdopodobnie zgładził tylu ludzi, ilu mieści się na stadionie, nie miał

ikry,

Ŝeby wykończyć szefa. Podjął próbę upokorzenia Forlenzy, tak by stary sam ustąpił — najpierw dokonał sabotaŜu samolotu, tak, tego samolotu — a później wpadł na pomysł, Ŝeby wykraść Nicka ze szpitala i go ukryć. W ten sposób chciał pokazać, Ŝe Forlenza jest słaby i nieostroŜny. Przynajmniej

do pewnego stopnia zdołał dopiąć swego

— .

Ale nie biegnij z tym do swojego szefa, As — przestrzegł

Fausto, uśywając ksywki syna. Zawsze, gdy to robił, jego głos robił się ostry. — Ten *pezzonovante* za wszystkim stoi.

Nickowi trudno było w to uwierzyć.

Jak myślisz, czemu jeszcze Œyjesz, naiwny dryblasie? —

ciągnął Fausto. — Myślisz, Œe pozwoliliby ci Œyc, gdyby uwaŒali, Œe spieprzyłeś? Ilu znasz gości, którzy wykonali taki numer jak ty 319

w jeziorze i nie dostali kulki w łeb albo nie skończyli z hakiem w tyłku?

Powodów było mnóstwo. Michael go potrzebował.

— Katastrofę oficjalnie zakwalifikowano jako wypadek —

przypomniał Nick.

Fausto westchnął.

— Wszyscy mi mówią, jakim geniuszem jest mój syn. Dałbyś wiarę?

Dopiero wtedy przyszło Nickowi do głowy, Œe w FAA pracują zwykli ludzie. Zaczął się zastanawiać, czy łatwo jest ich przekupić.

Zawsze znajdą się tacy, którzy za mało zarabiają: jakiś nurek, laborant, ktoś, kto skłamię w kwestii dotyczącej Œycia i śmierci za trochę grosza czy noc z pierwszorzędną dziwką.

Nick długo się nie odzywał. Słuchał. Jego ojciec wciąż mówił.

Wszystko do siebie pasowało. Coś naprawdę było w bakach. Don Forlenza domyślił się tego, kiedy usłyszał o męŒczyźnie, który pojechał na urlop do Las Vegas i zniknął. Facet był mechanikiem, ale był teŒ ziomkiem i z całego serca pragnął wejść do organizacji.

Fausto się roześmiał.

— Powiem ci, Œe oni nie przyjmują nikogo nowego od diabli wiedzą jak dawna.

Fausto jechał ze stałą prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, jakby zobowiązywała go do tego nazwa samochodu.

— Więc facet nie wraca z Vegas, a jego kumpel, inny ziomek, wyrusza do klubu i próbuje wywęszyć,

co się stało. W głowie syda zapala się lampka. Mechanik, który zniknął... — Fausto przystawił złoŝony kształt pistoletu palce do głowy syna. — Forlenza zgarnia tego goŝcia. Jedno pytanie, drugie, tralala! Facet o wszystkim wiedziaŝ. Reszty moŝesz się domyŝlić.

— Co chcesz przez to powiedzieć, ŝe reszty mogę się domyŝlić?

Czy to znaczy, ŝe trup tego mechanika leŝy w fundamencie w Chagrin Falls?

— Bystrzak z ciebie. Zapomnij o tym delikwencie. Krótko mówiąc, twój szef i Rechoczący Saŝ kazali temu mechanikowi wsypać coŝ do baku samolotu, którym leciaŝeŝ. Zajrzyj do schowka, cwaniaku.

Nick poŝłaŝ mu ostre spojrzenie.

— No, zajrzyj — zachęciŝ Fausto. — Nie spiorę cię.

Od tamtego dnia upłynęŝo trzydzieŝci lat i od tej pory ŝaden z nich nie wspomniaŝ o tym wydarzeniu. Tak moŝe być międz y ojcem i synem. W istocie częŝto tak bywa.

320

W schowku panowaŝ taki sam idealny porządek jak w caŝym samochodzie: leŝaŝa tam odznaka, pod nią starannie złoŝony banknot pięćdziesięciodolarowy (którego Nick nie dotknął), dowód rejestracyjny, dwie białe koperty i ksiąŝeczka uŝytkownika samochodu. W jednej kopercie znajdowaŝ się rejestr napraw wozu.

— Zajrzyj do drugiej — poleciŝ Fausto.

Byŝo tam szeŝć biletów kolejowych do Cleveland, dla Nicka i pięciu jego ludzi. ŝwiadczyŝo to o tym, ŝe raczej nie byŝa to zasadzka.

Fausto wyjaŝniŝ szczegóŝowo, dokąd Nick ma się udać i jakie ŝrodki ostroŝnoŝci przedŝiewziąć, zanim spotka się z donem Forlenzą. Spotkanie miaŝo się odbyć w Muzeum Sztuki w Cleveland,

w czę

— ŝ

ci

N iz

e a

m

p k

a n
m i
i ę
ę t
t e
a j
s d
z la
p
epu
w b
nili
e c
z
t n
e o
g ś
o ci
P.

olaczka, Mike'a Zielińskiego,
który prowadził kiedyś mój stary lokal?

— Pytasz poważnie, tato? Oczywiście, Źe pamiętam. — Ten Zieliński był przyjacielem rodziny przez długie lata, ojcem chrzestnym siostry Nicka i jednym z niewielu prawdziwych przyjaciół

Faust

—a

Więc wchodzisz do muzeum punktualnie kwadrans po dziewiątej i widzisz starego pierdziela, który stoi obok *Myś liciela* czy jak mu tam...

— Obok tej rzeźby?

— Tak. Przed nią.

— Wiem, która to rzeźba.

— Jeśli go tam zastaniesz — znaczy się, Polaka, nie posąg —

będziesz wiedział, że wszystko jest cacy i idziesz dalej. Jeśli Polaka nie będzie, wracasz do hotelu. Będzie czekał na ciebie w holu.

Z początku wszystko to wydawało się Nickowi niewiarygodne, a teraz stało się trudne do zaakceptowania. Jakie mogły być motywy Michaela? Czemu miałby chcieć go zabić?

— Wiem, co myślisz — rzekł Fausto, kręcąc głową. — Ty naprawdę jesteś naiwny.

— Niby dlaczego?

— Od jak dawna jesteś w tym biznesie?

— Do czego zmierzasz?

— Zmierzam do tego, że... do niczego nie zmierzam. Robi się różne świństwa bez powodu i nie mają one sensu dla nikogo oprócz tego, który je robi i tych, którym je zleca. A oni te

przeważnie gównie wiedzą. Po prostu to robią. To cud, że do tej pory cię nie załatwili, waśniaku.

321

Nick był rad, że do Troi jest tak daleko i że ojciec nie jest gadatliwym typem. Długie minuty milczenia pozwalały mu zastanawiać się, co robić. Mimo to było mu ciężko. Postara się zbadać różne możliwości, zweryfikować rewelacje ojca, nie zdradzając, do czego zmierza. Będzie bardzo ostrożny. Rozważy każdy

ruch

J,

e p

d r

n z

o e

a

Nn

i a

c l

ki zu

wije

e

dg

z o

i

a p

ł o

n d

a k

p a

e Ŝd

w y

n m

o: jk

e ą

ś t

l e

i m

oj .

ciec mówi prawdę, będzie

musiał wymyślić coś, co zrani Michaela Corleone bardziej niż

śmierć.

Dotarli do Troi. Walki kogutów odbywały się w starej wytwórni lodu. Front został przerobiony na bar. Na tyłach budynku znajdował się niewidoczny z drogi, ogromny Świrowy parking.

— Jak dowiedziałeś się o tym lokalu, tato?

Fausto Geraci przewrócił oczami.

— Ty wiesz to i tamto, i co z czym, a twój stary nie umie odróżnić tyłka od głowy.

Nick zostawił to bez komentarza. Wysiedli. Ojciec skarżył się na zimno. W Cleveland był największym twardzielem, wytrzyma-

łym na najniższe temperatury.

— Jest luty, tato, a my znajdujemy się w stanie Nowy Jork.

— Krew ci się rozrzedziła. — Mimo zimna zatrzymał się, żeby zapalić papierosa od Charlotte, parsknął pogardliwie, coś mruknął

i ruszył w stronę drzwi.

— Co mówiłeś?

— Powiedziałem: *Rozumiem, że wojna powietrzna jest w istocie naukowym morderstwem.* — Jak na starca poruszał się całkiem swawo.

— Słucham?

— To z księżki twojego ulubieńca, Eddiego Rickenbackera, geniuszu — odparł Fausto. — On to powiedział. Zostawiłeś księżkę.

Bądź tak dobry i nie patrz na mnie jak na analfabetę.

Nick przypomniał sobie jak przez mgłę, że to zdanie widniało na wyklejce księżki.

Weszli do budynku. Męśczyźni, których Nick nie znał, rozpoznali go i przepuścili. Często przytrafiało mu się to w Nowym

Jorku

R,

u

sa

zle

yl im

dił

oo

t b

o y

alło

et,

y Ŝ

. e zdarzyło się i tutaj, w obecności ojca.

— Ostatnie zdanie na ten temat — mruknął Fausto, stojąc ze wzrokiem utkwionym w ścianę nad pisuarem. — Jeśli będziesz chciał, Ŝebym zajął się, wiesz kim... — Wypuścił członek z ręki, 322

odwrócił się do syna i strzelił palcami obu rąk. — Zrobię to choćby jutro.

Nick się uśmiechnął.

— Dzięki. Dam ci znać.

— Nie lekcewaŜ go — przestrzegł Fausto, zapinając rozporek. — W swoim czasie posłał do diabła więcej ludzi niŜ...

— Nie zlekcewaŜę. — Nick umył ręce i otworzył przed ojcem drzwi. — Ja stawiam pierwszy zakład.

Postawił tego samego piąta, którego ojciec wsunął pod torebkę Charlotte. Poszedł na duŜego brzydkiego koguta rasy Blueface.

Obstawiano przeciw niemu dziesięć do jednego. Fausto i Nick poszli go obejrzeć w klatce; srał na wszystkie strony. Fausto obejrzał uważnie gówna, a nawet wsadził w nie palec i obwąchał.

Po trzydziestu sekundach walki posraniec skoczył w powietrze i przebił dziobem tętnicę

przeciwnika. Zgodnie z domysłami Fausta biegunka została wywołana solą leczniczą.

Fausto i Nick Geraci zgarnęli pięćdziesiąt dolarów. Obstawiali na zimno, starając się odgadnąć, co zadecyduje o wyniku następnej walki, bez względu na to, ile wściekłości wrze w sercach kurczaków na ringu.

Rozdział 19

Pete Clemenza siedział jak król w barze tuż koło Garment District, lokalu z jadalnią na zapleczu, do której wstęp mieli tylko członkowie orszaku Clemenzy. Właściciel baru był tak stary, że mógł być ojcem Pete'a, a Pete miał siedemdziesiątkę. Przyjaźnili się od tak dawna, że Saden nie pamiętał, kiedy to się zaczęło. Tego ranka szef leżał w domu, złoŹony chorobą, a Pete urzędował

w kuchni z fartuchem zawiązanym na jedwabnym garniturze.

Gotował paprykę i jaja, przegotowywał jeszcze raz siekaną cebulę, bo była „sto razy za twarda”. Uczył rzemiosła niedojdy pracujące dla przyjaciela, stawiał ich do pionu. Dwóch ludzi Clemenzy siedziało przy metalowym stoliku wciśniętym w kąt i słuchało tego, czym Pete zajmował się przez większą część Źycia, czyli opowiadania historii. Właśnie to sprawiło, że tak mocno zaprzyjaźnił się z Vitem Corleone. Pete był urodzonym gawędziarzem,

a Vi

T to

a u

hiro

st d

o z

rio

an

ym

wy s

d ł

a u

r c

z h

ył ac

z

s e

i m

ę .

przed pięcioma laty, tuŜ po wyjściu

Pete'a z więzienia po krótkiej odsiadce. Trafił za kratki za ściąganie haraczy, a sprawa została umorzona w sądzie drugiej instancji.

Pete wybrał się do Tessia, Őeby zobaczyć jego nowy telewizor.

„W porównaniu z telewizorami w pace obraz w tym odbiorniku był tak ładny, Őe na jego widok kutas człowiekowi stawał. Piątek wieczorem, siedzimy w kilku u Tessia, oglądamy walki, robimy koleŐeńskie zakłady. Tessio miał cynk o wyniku kaŐdej walki, ale jest goŐcinny, wiêc przegrywanie pieniêdzy na jego rzecz to coŐ takiego jak płacenie za dobre miejsce. Znam wszystkich oprócz jednego chłopaka, jakiegoŐ nowego. Rudy jak wiewiôra. Zadawał

324

duŐo pytañ jak na kogoŐ, kto jeszcze nie dał się poznać, wiêc w pewnej chwili mówię o tym głoŐno. Chłopak robi się biały, ale Sally mówi: «A niech pyta, bo inaczej jak się czegoŐ nauczy?».

Parę minut później wychodzę z klopa w holu, a Richie Dwa Gnaty pyta, o co chodziło z tą wiewiôrka. Ja na to, Őe gówno wiem, i moŐe tak powinno brzmieć epitafium na moim grobie. Zaczyna się pierwsza walka i Sally kaŐe Richiemu wyłączyć dźwięk, bo nie podoba mu się głoŐ spikera. Mówi wiewiôrze, Őeby zapowiedział

walkę. Chłopak się Őmieje, ale Sally wyciąga gnata i macha mu przed nosem. Chłopak wygląda, jakby miał się posikać. «Witamy w Madison Square Garden», mówi, a jego głoŐ dochodzi z telewizora. «Kto jest w ciemnych spodenkach?»), pyta Sally. «W

ciemnych

spodenkach walczy Beau Jack», i znów jego głoŐ słychać w telewizorze. Sally się uŐmiecha i mówi, Őe głoŐ tego spikera teŐ mu się

nie podoba. Richie rozrywa koszulę wiewiôry, a pod spodem plątanina kabli. Po raz pierwszy zobaczyłem wtedy nadajnik.

Prymitywny szajs słychać było w nowym telewizorze Sally'ego.

Sally podchodzi, nachyla się do mikrofonu i mówi: «*Fatta la legge, trovato l'inganno*». Od kaŜdej reguły istnieje wyjątek, moŜna by powiedzieć. Ten glina, czy kim on tam był, musiał znać włoski i domyślił się, Ŝe mimo zasady niezabijania gliniarzy Sally zamierza go rozwalić. Więc naprawdę leje w spodnie, a w nadajniku dochodzi do sp

W i

s ę

z c

y a

s .

c W

y i

w e

z w

a i

t ó

ł r

o a

c

z z

o a

nc

ez

j y

n

k a

u

c s

h k

n a

i ka

w ć

y

bi

u w

c r

h z

a e

j s

ą z

ś cz

m e

i ć

e .

c P

he rz

m y

. sięgam na

Boga

Cl ,

e ja

m ja

e

n zac

z

z ę

atły

o

c m

z u

ył się

ę p

n al ić

pi !

e"c.

yk.

Zgromadzeni w kuchni mężczyźni myśleli, że to ze śmiechu.

Śmiał się, dopóki jego wielkie serce nie pękło jak przetarta opona ciężarówka. Nagle skóra na nalanej twarzy zaczerwieniła się od ognia, garnitur stanął w płomieniach. Jego ludzie skoczyli, odciągnęli go od pieca i błyskawicznie ugasili ogień.

Wszyscy pracownicy firmy Genco Pura Olive Oil z czasów, gdy firma rozpoczynała działalność — jej prezes Vito Corleone, menedżer Genco Abbandando oraz dwóch akwizytorów, Sal Tessio i Pete Clemenza — nie śyli.

Dworzec kolejowy w Cleveland znajdował się blisko jeziora, więc podmuchy lodowatego wiatru zwały z nóg wysiadających z pociągu pasażerów. Nick Geraci się przewrócił, podobnie jak 325 dwóch jego ludzi. Eddie Paradise złamał sobie rękę, jednak zauważył to dopiero po kilku dniach.

Polak stał przed *Myś liciem*.

Działo się to dzień przed pogrzebem Clemenzy, na godzinę przed zamknięciem Muzeum Sztuki w Cleveland. Geraciego wprowadzono do białej sali, całkowicie pustej, jeśli nie liczyć siedzącego w fotelu na kółkach Vincenta Forlenzy, największego anonimowego sponsora w historii tego wielkiego muzeum.

Krzyknął na swoich ludzi, żeby przynieśli panu Geraciemu krzesło lub ławkę, lecz Nick powiedział, że postoi. Pielęgniarka Forlenzy i jego ochroniarze czekali na końcu długiego holu.

Geraci przyznał, że w pierwszym odruchu zapragnął zlecić sabotaż w samochodzie Rehcącego Sala. Ząb za ząb, z grubsza rzecz biorąc. Forlenza miał inny pomysł: podłożyć pod samochód bombę i wysadzić Sala w powietrze. To był styl rodzin ze Środkowego Zachodu. Oszczędzało się w ten sposób robotę — nie trzeba było pozbywać się ciała.

Rozważali zalety poddania Narducciego torturom. Tak właśnie postąpił Forlenza z kumplem zabitego mechanika. Ale Narducci nie mógł im powiedzieć niczego, co nie byłoby już potwierdzone.

Jeśli zamierzali go zabić, to równie dobrze mogli kazać wpakować mu kulkę w łeb albo podłożyć bombę w samochodzie.

Jednak Geraci namówił Forlenzę, żeby pozostawić Narducciego przy Syciu. Na razie.

Po pierwsze, gdyby Narducci zniknął lub zaginął, mieliby na karku Michaela Corleone. A Narducci raczej nie stanowił zagrożenia. Nie stanął otwarcie przeciwko Forlenzy. Poza tym.

doradził Geraci, że *consigliere* nigdy nie zdradził swojego szefa.

To byłaby straszliwa hańba dla organizacji Cleveland. Narducciego trzeba byłoby się pozbyć w sposób, który nawet nie sugerowałby.

Że don Forlenza wydał rozkaz czy nawet go poparł.

Zabicie Michaela Corleone byłoby inną opcją, równie satysfakcjonującą jak zabicie Narducciego. Ale do czego by doprowadziło? Do chaosu, wojny, milionów dolarów strat. Nawet gdyby Geraci i Forlenza wygrali, i tak ponieśliby porażkę.

Tymczasem więc będą mieli na oku tych, którzy ich zdradzili, i skierują wysiłek na zbudowanie nowych sojuszy. Geraci współ-

pracował już z Czarnym Tonym Straccim i jego organizacją.

Forlenza miał kontakty z Paulem Fortunatem. Po śmierci Clemenzy Geraci będzie kontrolował codzienne operacje rodziny Corleone

w Nowym Jorku. Teraz praktycznie sam był szefem. Mieli już

więc trzy z pięciu nowojorskich rodzin.

Poza nimi najważniejsze będzie Chicago. Louie Russo już miał

koalicję z Milwaukee, Tampa, Los Angeles, Nowego Orleanu i Dallas. Jeśli doda się je do tego, co Geraci i Forlenza mogli zbudować, Michael Corleone będzie szalował, że syje.

Najlepszą zemstą na Michaelu Corleone będzie postąpienie zgodnie z zasadą zęb za zęb.

Wykorzystają jako pionka Freda, tak jak Michael próbował

wykorzystać Nicka.

Geraci i Forlenza będą stali z boku i pozwolą wrogom wybić się nawzajem.

Będą działali ostrożnie, powoli.

Kiedy wojna się skończy, Cleveland, Chicago i pozostałe rodziny ze Środkowego Zachodu znów będą kontrolowały Zachód. Nick Geraci stanie na czele resztek rodziny Corleone, będzie kierował

interesami w Nowym Jorku i okolicach. Wystarczy tylko postawić Freda między Michaeliem i Hymanem Rothem.

Don Forlenza pokręcił głową. W kostnicach pełno jest sztywniaków wyglądających zdrowiej od starego dona.

— Wytłumacz mi, Fausto — rzekł po namyśle Forlenza —

dlaczego ten cały Fredo miałby to zrobić?

Fausto. Tylko Forlenza i Michael Corleone nazywali go tym imieniem i zawsze go to poruszało, podobnie jak to, że prawdziwy Fausto, zwracając się do syna, nie używał żadnego imienia. Mówił

„Mądralo”, „Ważniaku” albo „As”.

— Kiedyś rozpląkał się na ulicy w Nowym Jorku po tym, jak jego ojciec został postrzelony. Czy to nie było wtedy, gdy jego brat Sonny stanął przeciwko rodzinie z powodu narkotyków? — spytał

don Forlenza.

Nie miał pojęcia, że jego chrześniak jest największym importerem heroiny w Stanach Zjednoczonych.

— Nie wiem — odparł Nick, choć oczywiście wiedział. — Coś takiego było.

— W gruncie rzeczy Sonny doprowadził do tego, że Vito został

postrzelony, tak w każdym razie słyszałem. Nie wydaje mi się, żeby ten Fredo zrobił coś jeszcze

gorszego po takim doświadczeniu.

Po pierwsze, Fredo to pijak, a jego małżeństwo jest niewiarygodnie podłe. Facet jest poza wszelką kontrolą. A my powiesimy

go dzięki temu, że...

327

— Powiesimy go?

— Takie wyrażenie.

Forlenza wzruszył ramionami.

— Jeśli się powiesi, to się powiesi.

— No właśnie. Jasne. Fredo ma pomysł, żeby stworzyć miasto umarłych w New Jersey. Jest jak człowiek ogarnięty wizją religijną albo czymś takim.

— Miasto umarłych?

— Chodzi o wielki przekręt z cementarzem. Michael nie chce na to pójść i prawdopodobnie ma rację. W jaki sposób Fredo, który mieszka na Zachodzie i jest mężem gwiazdy filmowej, miałby prowadzić operację na terenie należącem do innej rodziny? Rzecz w tym, iż Fredo uważa, że wymyślił interes wart miliard dolarów, a Mike za bardzo uwikłał się w działalność na Kubie, aby dać mu szansę. Albo jest za bardzo wkurzony, że Fredo okazał się niedojdą, by dać mu coś więcej niż symboliczny tytuł i legalny burdel do prowadzenia.

Wypowiadając te słowa na głos, Geraci zrozumiał, że nie ma odwrotu. On też zwracał się przeciwko rodzinie. Do diabła z tym.

Lojalność to ulica dwukierunkowa. Nick Geraci nigdy nawet nie odetchnął nielojalnie. Aż do chwili gdy Michael Corleone spróbował go zabić.

Według Nicka Geraciego zemsta nie była tym samym, co zdrada.

Don Forlenza zamknął oczy i długo siedział w milczeniu.

W końcu Nick spojrzał na jego klatkę piersiową, by upewnić się.

Że stary oddycha.

— Hyman Roth współpracuje z Corleone dłużej niż ty —

ciągnął Geraci — ale układ, który chcą zbudować na Kubie, jest tak wielki, że utknęli w martwym punkcie. — Podszedł bliżej i podniósł głos, żeby Forlenza nie usnął. — Możemy wykorzystać

Freda, żeby zniszczył tę współpracę. Roth wciąż ma ogromne wpływy polityczne w Nowym Jorku. Jeśli Fredo uzna, że Roth poprze jego plan z cmentarzem, natychmiast zwróci na to uwagę.

Forlenza wciąż oddychał. Zaciśnął lekko palce na krawędzi koca, który przykrywał jego kolana.

— Wszystko będziemy uzgadniać z Louiem Russem. Ci z Los Angeles to marionetki w jego rękach. Fredo koleguje się z wieloma z nich. Robimy tak: mówisz Russo, żeby dał znać Gussiemu Cicerowi z Los Angeles lub komuś innemu, że któryś z ludzi Rotha — Mortie Whiteshoes, Johnny Ola lub ktoś taki — ma

wpaść na Freda w Beverly Hills. Fredo przekaże ludziom Rotha informację o Mike'u, pod warunkiem że jeśli ty umrzesz w Nowym Jorku, Fredo coś z tego będzie miał.

Forlenza nagle podniósł głowę.

— Czemu, do kurwy nędzy, miałbym umrzeć w Nowym Jorku?

— Ojcie chrzestny, jestem całkowicie przekonany, że nie umrzesz nigdy i nigdzie.

Forlenza machnął ręką i się roześmiał.

— *La testa di cazzo, eh?* Skąd masz pewność, że Świński Ryj na to pójdzie?

— Bo skorzysta. Właśnie w tym rzecz. A drugi powód jest taki, że będzie miał do czynienia z tobą, jedynym donem, który nie jest jego marionetką lub wrogiem.

— Tak myślisz, co? — spytał mile połechtany Forlenza.

— Nie zaszedłbym tak daleko, gdybym nie odrabiał pracy domowej.

Forlenza uśmiechnął się. Wiedział o tym. Zatwierdził plan i przypieczętował zgodę pocałunkiem.

Gdyby coś poszło źle, wina spadnie na Russa. Gdyby to zabezpieczenie zawiodło, obwiniony zostanie Forlenza, który w swoich

rozmowach z Russem na pewno nie wspomni o Geracim, po pierwsze, by chronić chrześniaka, a po drugie dlatego, że będzie chciał przypisać sobie plan. Geraci nie chciał, żeby wina spadła na Forle

Dłn

uzę

g,

o a

o le

m n
a ie
wi c
al h
i c
s ia
z ł
c
zte
e Ń
g,
ó Ń
ł e
y b
p y
l
a s
np
ua
. d

ła na niego.

— Wierz mi — przekonywał Geraci — Fredo jest tak tępy, Ńe zdradzi brata, myśląc, Ńe mu pomaga.

— Nigdy nie mów „wierz mi”. Bo nikt ci nie uwierzy.

— Tak?

— Wierz mi.

Geraci wyszczerzył zęby.

— Ale ty mi wierzysz, ojciec chrzestny, prawda?

— Ależ oczywiście!

— Na tyle, żeby wyświadczyć mi przysługę? Chodzi o jeszcze jeden szczegół, którego nie omówiliśmy.

Forlenza ściągnął wargi, podniósł rękę i rozłożył rękę.

— Kiedy nadejdzie czas — rzekł Geraci — sam chcę zabić tego szczura Narducciego.

Tego szczura. Oczami wyobraźni Geraci widział szczura wyslizgującego się z odbytu sztywniaka, którego Rechoczący Sal 329

kazał umieścić w pobliżu rzeki. Tego, którego wzięto za zwłoki Geralda O'Malleya.

— Powiem szczerze, że i tak zamierzałem ci to zlecić — odparł

Forlenza.

Clemenza był najstarszym przyjacielem Vita Corleone, lecz jedynym członkiem najbliższej rodziny zmarłego dona, który pojechał do Nowego Jorku na pogrzeb, był Fredo. Carmela znów zachorowała — tym razem skrzepy pojawiły się w nogach — i nie mogła podróżować. Michael musiał zajmować się interesami. Wielu ludzi uważało, że Kay jest o krok od opuszczenia go. Connie rzuciła drugiego męża, księgowego ochlapusa Eda Federiciego i paradowała nago na plażach z bogatymi Europejczykami mieszkającymi na stałe w Stanach, którzy lubili brylować na Starym

Kontynencie. Dla Nicka nie było jasne, dlaczego Hagen nie mógł

przyjechać, ale się nie pojawił. Tak samo jak wszyscy inni członkowie organizacji z Nevady, którzy z poobijanych weteranów wojennych bez śladnych perspektyw stali się *caporegime* wyłącznie dzięki poparciu Clemency. Przybył tylko Fredo, którego wartość była czysto symboliczna. Jednak kiedy Geraci odbierał go na lotnisku, Fredo powiedział, że za nic nie zrezygnowałby z szansy oddan

Wia

d

r s

oza

d c

z u
e nk
a u
p P
o e
g tre
z 'o
e w
b i
F C
rele
d m
o e
Cn
oz
r y
l .

e one i Nick Geraci zatrzymali

się, żeby pójść na spacer po Brooklińskim Ogrodzie Botanicznym.

To było ulubione miejsce Tessia do omawiania interesów i Geraci przejął od niego ten zwyczaj. W tygodniu nigdy nie było tu tak tłoczno, żeby nie dało się swobodnie porozmawiać. Poza tym nie można tu było założyć podsłuchu.

Śnieg padał mokrymi płatkami, miało go spaść ponad dziesięć centymetrów. Ogród skalny przypominał gruzłową powierzchnię Księżyca. Kilkanaście kroków za Nickiem i Fredem podążało czterech ludzi tego pierwszego: Momo Karaluch, Eddie Paradise i dwóch cyngli (niedawno przybyłych do Stanów Sycylijszczyków, nawet przez najgorszych zabijaków uważanych za bezwzględnych).

Dwóch pozostałych (Tommy Neri, który przyjechał z Fredem i kierowca Geraciego, Donnie Bags, chodzący z kolostomią od czasu, gdy postrzeliła go Sona) czekało przy samochodzie.

— Słyszałem, że być może Pete wcale nie umarł na atak serca — zaczął Fredo.

330

— W czasie autopsji stwierdzono, że śmierć nastąpiła z powodu ataku serca — odparł Geraci. — Ktoś mógłby spowodować atak serca? Chryste. Wiesz, co myślę? Ludzie oglądają za duży telewizji.

Mózgi im od tego gniją. Bez obrazu.

— Nie ma mowy o obrazie. Może zresztą masz rację. — Krążyła pogłoska, i ci, którzy podobno odciągnęli Clemenę od piecyka, wepchnęli go na niego, że chcieli go spalić razem z potrawami, które się właśnie gotowały, ale im się poszczęściło i Clemenza zmarł na atak serca. O zabójstwo podejrzewano zarówno jego ludzi, jak i obcych, jeśli rzeczywiście doszło do zabójstwa, co było bardzo wątpliwe.

Plotek jednak nie brakowało. Wielu ludzi uważało, że Clemenę zabił Hyman Roth, żydowski gangster, gdy właśnie prowadził

z Michaeliem Corleone negocjacje dotyczące kontroli nad Kubą.

Nie można też było wykluczyć chicagowskiej organizacji Louiego Russa. Jeśli Clemenę faktycznie został zamordowany, Geraci postawiłby na braci Rosato, niesubordynowanych członków *regime* Clemenzy, mających powiązania z donem Rickiem Tattaglią. Jednak zarówno zasada brzytwy Ockhama, jak dieta Clemenzy wskazywały na zwyczajny atak serca. Stwierdzono, że serce Pete'a było dwa razy większe od serca przeciętnego mężczyzny.

— Hagen też powiedział, że wszystkie te plotki są idiotyczne

— rzekł Fredo.

— A co powiedział don? — chciał wiedzieć Geraci.

— Mike zgodził się z Hagenem. Rozmawiałem z nim o tym osobiście — oznajmił Fredo, kołysząc się na piętach.

Nawet ktoś, kto umiał czytać w ludzkich umysłach na poziomie półalfabety, odgadłby bez trudu, że to kłamstwo. Geraci nie musiał zgadywać. Pierwszy ochroniarz Freda był kiedyś fryzjerem Nicka. Wszyscy nazywali go Figaro. Kuzyn Figara był spawaczem i majsterkowiczem. To właśnie on wyczarowywał w samochodach i ciężarówkach schowki na towar z doków w Jersey. Od Figara i jego kuzyna Geraci wiedział, że od wesela Franceski Fredo prawie w ogóle nie rozmawiał z Michaeliem.

Fredo trząsał się, jakby był chory. Powiedział, że od dwunastu lat mieszka na Zachodzie i nie znosi zimna. śałosne. Gdyby chciał

zobaczyć, czym jest zimno, powinien wsiąść kiedyś w pociąg do Cleveland. Geraci z litości wprowadził go do szklarni pełnej storczyków, po której spacerował akurat zastęp harcerek.

331

— Jak się czuje twoja mama? — zainteresował się Nick. —

W porządku?

— Jest twarda. Ale przeprowadzka dała jej się we znaki. To mieszkanie w Tahoe jest tysiąc razy ładniejsze niż dom w Nowym Jorku, ale budowała go razem z tatą, więc wiadomo, wspomnienia.

— Jeśli jest choć trochę podobna do mojej matki — rzekł

Geraci i się prześledził, wpatrzony w padający śnieg — to zmiana miejsca mogłaby jej bardzo dobrze zrobić.

— Nie wspominając o pogodzie. Nigdy nie widziałem pomarańczowego storczyka — zdziwił się Fredo, wskazując kwiat.

Harcerki wyszły i mężczyźni zostali sami.

— Mike naprawdę chciał przyjechać, ale ma akurat coś bardzo ważnego na głowie. Kochał Pete'a jak wujka. Chryste, wszyscyśmy go kochali.

Geraci skinął głową, nadając twarzy beznamiętny wyraz.

— Jestem pewien, że don najlepiej wie, co robi. — Nick zakładał, że prawdziwym powodem, dla którego Michael nie zjawiał

się na pogrzebie, było to, że nie chciał, by zobaczyli go tam dziennikarze lub agenci FBI. Obsesja uzyskania statusu legalnego biznesmena okazała się silniejsza niż lojalność wobec najstarszego przyjaciela ojca, człowieka, którego on sam zdawał się kochać —

jeśli Michael w ogóle był zdolny do miłości albo do jakiegokolwiek innego uczucia. — Coś bardzo ważnego, tak?

— Jeśli mam być z tobą szczerzy, to niewiele mi wiadomo o tej sprawie.

To było chyba prawdą. Za to Geraci wiedział o sprawie bardzo dużo. Michael i Roth najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że ich negocjacje dotyczące kontroli nad Kubą są bezcelowe, gdyż

rząd Batisty skazany jest na upadek. Michael Corleone i Hyman Roth mieli stać się trybikami wielkiej maszyny — koalicji rodzin ze Środkowego Zachodu, na czele których stały Chicago i Cleveland. Louie Russo zawarł układ z rebeliantami. Nawet gdyby Batista

jakimś cudem utrzymał się przy władzy, słabość Freda można było wykorzystać, żeby pchnąć Rotha i

Michaela przeciwko sobie. Z ich układu miał zostać tylko sam układ, bez ludzi, a Russo i jego sojus

G z

e n

r i

a cy

i b

s y

k l

i i

n g

ą ło

to

g ło

o i

w g

ą o

p

wr ze

st j r ą

o ć.

n

ę drzwi. Musieli pozostawać w

ruchu.

Opowiedział Fredowi o nowych szczegółach planu, który nazywali Colma Wschód. Z braćmi Stracci omówił już sprawę terenu

w Jersey. Miał figuranta, którego nic nie łączyło z rodziną Corleone, posiadającego umowę na dużą bagnistą działkę. Poza tym Geraci importował większość heroiny z Sycylii między marmurowymi płytami, zbyt ciężkimi, by celnicy mogli je podnosić w czasie kontroli, więc te dwa interesy udałoby się łatwo połączyć.

— A ty co zdziałałeś?

— Wszystko idzie jak trzeba. Musimy tylko usiąść z Mikiem i przyklepać kilka szczegółów.

— Jeszcze tego nie zrobiliście? — zapytał Geraci, udając zdziwienie. — Boja nie mogę tej sprawy dalej pociągnąć.

Rozporządzenia, podział na strefy i tym podobne — w tych dziedzinach

prawa się nie orientuję. Wiem, do kogo się zwrócić, jak rozkręcić interes, ale najpierw musisz uzyskać błogosławieństwo dona. No i są jeszcze politycy — to też jego działka. Pozostaje jeszcze kwestia reakcji opinii publicznej, trzeba to jakoś sprzedać. Jak załatwić, żeby nie było w tej sprawie referendum... Fredo, rozumiem, iś robisz, co możesz, ale nie sądzisz, że gdyby don uważał,

że te

— p

ro

Nib

el.e

m

K y

ł

o d

p a

o ts

ię

p

ołaetw

gao

r

n o

a zw

zgią

r z

a a

nić

u, sp

w r

s a

z w

ysa

t j

kiu

eŝ

g p

o os

wu

w

c a

z ł

a a

s b

i y

e.

si

Nęa

n

r ap

z r

i z

e ód

u ?

w aga Mike'a skupia się na innych sprawach. Ale skoro ty się zaangażowałeś, to nie będzie problemu. Znam sposób myślenia Mike'a. Z jego punktu widzenia ja i ty doskonale nadajemy się do czegoś takiego. Jego brat i człowiek, którego najwyższej ceni.

Geraci położył swoją dużą dłoń na ramieniu Freda.

— Mike nigdy tego nie powiedział.

Była to demonstracja nielojalności, starannie obliczone ryzyko, lecz Geraci wiedział, co robi, i się nie pomylił.

— Czy ja mówiłem, że Mike tak powiedział? — odparł Fredo.

— Powiedziałem, że tak myśli.

— Jestem zwykłym ćwokiem z Cleveland. — Geraci mocniej zacisnął dłoń, a Fredo się wzdrygnął.

— Robię, co mi każe, prowadzę interesy, pomnażam bogactwo i wszyscy są zadowoleni.

Jak widzę okazję tu czy tam, to ją wykorzystuję. Ale nie przeceniaj mnie. Nie jestem teŚ
wspólnikiem. Poprosiłeś, Őbym się rozejrzał, to się rozejrzałem. Koniec kropka. Wszystko między
nami jasne?

Fredo skinął głową. Geraci puścił jego ramię. Ruszyli dalej.

Wyrzało słońce, ale śnieg padał dalej.

— Nienawidzę tego — westchnął Fredo. — Słońce i śnieg. To nienaturalne. Jakby ktoś spuścił
bombę i świat zwariował.

333

— Muszę wyjaśnić jeszcze jedną rzecz, Fredo — powiedział

Geraci. — Nie chcę wchodzić w sprawy między tobą i twoim bratem.

— Sprawy między mną i moim bratem układają się świetnie.

— Tak to właśnie widzę. Nie trzymam niczyjej strony. W Őadnych okolicznościach.

— Nie ma Őadnych stron. Daj spokój. We wszystkim jesteśmy po tej samej stronie. Jeśli ktoś mówi
inaczej, to mnie nie zna. Ani Mike'a.

— Ta dama chyba za wiele przyrzeka*.

— Őe co, kurwa?

Geraci wskazał kciukiem w stronę, z której przyszli.

— Szekspir. Ten ogród nasunął mi skojarzenie. Jesteś aktorem, Fredo, moŚe powinieneś nauczyć się
tego tekstu.

— Nie wymądrzaj się, panie niby-ćwoku z Cleveland. Myślisz, Őe jesteś lepszy ode mnie?

— Spokojnie, nic takiego nie myślę. Po prostu Szekspir przyszedł mi do głowy.

— Oglądałem Szekspira. I to po włosku.

— Które sztuki?

— Nie wiem, nie pamiętam. Co jest, kurwa, chcesz być moim nauczycielem od angielskiego? Nie
mów mi, czego mam się nauczyć. MoŚe tego nie wiesz, ale mam duŚo rzeczy na głowie. Nie siedzę
na tyłku i pijam sherry, nie spisuję listy sztuk, które w Őyciu widziałem. Widziałem róŚne sztuki,
mądralo. Jasne? RóŚne.

— W porządku.

Geraci dał Fredowi czas, Œeby ten ochłonał.

— Słuchaj — podjął po dłuŒszym milczeniu, czuję się trochę nieswojo, rozumiesz? Nie lubię zachodzić Michaela od tyłu, nawet kiedy idę się odlać.

— Nie martw się o to. Nasza działalność jest zbyt rozległa, Œeby jeden człowiek wiedział o wszystkim albo chciał wiedzieć.

Jeśli Fredo w to wierzył, to z całą pewnością nie znał brata.

— Z Mikiem jest taki problem, Œe bystry z niego gość, ale źle traktuje ludzi — perorował Fredo. — Nie rozumie, iŒ ludzie chcą sami coś robić, tworzyć. To naturalne. Ja tylko chcę mieć coś własnego. Moje dziedzictwo, Œe się tak wyrażę. Jeśli wydawało ci się, Œe chodzi o coś innego...

* *Hamlet*, Akt III, Scena II, przekład Stanisława Barańczaka.

334

— To do niczego nie prowadzi, Fredo. Powiedziałem ci to, co musiałem powiedzieć. — Geraci miał rację. Fredo był miłym facetem, ale tak głupim, Œe mógł przyjąć trzydzieści srebrników j zdradzić brata, nawet o tym nie wiedząc. To przykre. Mimo wszystko Geraci naprawdę lubił Freda. — Następny ruch musi być wasz, od początku do końca. I tyle.

Fredo wzruszył ramionami i spojrzał na swoje buty.

— To nie jest odpowiednie obuwie na tę pluchę.

— Powinieneś załoŒyć kowbojki.

— Jakie znowu kowbojki?

— Myślałem, Œe wszyscy chodzicie tam w kowbojskich butach z cholewami, nosicie szeŒciostrzałowe colty, strzelacie do samochodów i małych piesków.

Fredo parsknął śmiechem. Zwykle dobrze reagował, kiedy ktoś się z nim draŒnił. To tak Œe świadczyło o tym, Œe równy z niego gość. Wykorzystanie go jako pionka w tej rozgrywce zasmucało Geraciego.

— Jeśli jakieś samochody sobie na to zasłuŒyły, to właśnie te dwa — podchwycił Œart Fredo. — Ale pieska szkoda.

— To prawda, Œe prawie odstrzeliłeś mu łeb?

Fredo spojrzał w górę i zrobił Œalosną minę.

— Dokładnie. Gdybym chciał to zrobić, nigdy by mi się nie udało.

— Musimy już iść. Geraci wskazał parking. — Nie chcę się spóźnić na pogrzeb.

— Jesteśmy do siebie podobni, wiesz?

— Uznaję to za komplement. — Geraci otoczył Freda ramieniem i dał mu lekkiego kuksańca, jak brat lub stary przyjaciel.

Przeszli po małym drewnianym mostku nad ledwie zamarzniętym stawem.

— Powinieneś tu przyjść wiosną — powiedział Geraci. —

Wiśnie kwitną wprost niewiarygodnie, nie uwierzyłbyś, że coś może być tak różowe.

— Tak, powinienem.

— Wiesz, zawsze chciałem cię o coś zapytać.

Pytaj o co chcesz, przyjacielu.

— Jeśli nie powinienem o to pytać, od razu zastopuj mnie.

Jakie są twoje obowiązki jako *sottocapo*? Co Mike ci na ten temat powiedział?

— Mówisz poważnie? Dlaczego mnie o to pytasz?

335

— Bo wydaje mi się, że nikt nie ma jasności w tej sprawie. Dla wielu ludzi, a właściwie dla mnie, choć nie tylko, jest to czysto symboliczne stanowisko. Bez obrazu.

— Symboliczne? O czym ty chrzaniysz? Mam masę obowiązków na głowie. Nie rozumiesz, że o wielu z nich nie wolno mi mówić?

— To rozumiem, ale...

— Wyobrażam sobie, że teraz, po śmierci Pete'a, to ja będę jeździł z Mikiem na zebrania głów wszystkich rodzin.

Wyobrażam sobie. Oznaczało to, rzecz jasna, że nic nie wie.

Samo mówienie o tym było szokujące i śałosne zarazem, po pierwsze dlatego, że Pete jeszcze nie leżał w grobie, a na takie spekulacje Fredo sobie pozwalał tylko w obecności brata.

— Sęka w tym, że wiele rzeczy, które robisz, dzieje się publicznie — stwierdził Geraci.

— Daj spokój, to drobiazgi. Program w lokalnej telewizji. Nic ważnego. Nikomu to nie szkodzi, a

może nawet nam pomaga.

— Nie przeczę. Rozumiem, że taka działalność może być wartościowa dla organizacji, jeśli celem jest odejście od interesów uważanych za przestępcze. Ale trzeba też brać pod uwagę inne sprawy.

Wsiadli do samochodu.

— O nic się nie martw — uspokoił go Fredo. — Razem z Mikiem dopracujemy szczegóły.

Pytanie, które zadawał sobie Nick Geraci, brzmiało: Jeśli Michael chce, żeby organizacja działała jak koncern większy od General Motors, żeby miała pod kontrolą prezydentów i magnatów przemysłu, to dlaczego rządzi nią jak sklepikiem na rogu?

Corleone i Synowie. Bracia Corleone. Kiedy Vito Corleone został

postrzelony i nie mógł rządzić, kto przejął ster? Nie Tessio, najsprytniejszy i najbardziej doświadczony człowiek Vito, tylko Sonny, krewki wariat. Dlaczego? Bo był Corleone. Fredo jest za słaby, żeby zajmować się czymkolwiek ważnym, a mimo to Michael przydzielił temu pustemu garniturowi symboliczną, bo symboliczną, ale jednak funkcję zastępcy. Hagen był *consigliere*, choć podobno nie był —jedeny *consigliere* w kraju, nie będący Włochem.

Dlaczego? Bo Michael wychował się z nim w jednym domu. Sam Michael miał wszelkie predyspozycje, ale w gruncie rzeczy był

najśmieszniejszy ze wszystkich. Vito mianował go szefem bez porozumienia ze

336

swoimi *caporegime* — człowieka, który nigdy w Sycylii nie zarobił

nielegalnego centa, który nigdy nie rządził żadną grupą, który nigdy nie udowodnił swojej wartości, jeśli nie liczyć rozwalenia dwóch facetów w restauracji (wszystkie szczegóły tej akcji opracował wielki Pete Clemenza, którego nie ma już wśród żywych).

Tylko trzech ludzie zostali wprowadzeni do rodziny Corleone, mimo że nigdy nie dowiedli, iż potrafią zarabiać pieniądze. Byli nimi, rzecz

Tza j

ka

sn

wia

ę,

c b

r

c ac

ł i

a a

oC

r o

g r

a l

ne

i o

z n

a e

cj.

a była teraz pod kontrolą faceta, który

nigdy niczego nie zrobił, tylko snuł wielkie plany i zlecał innym ludziom zabójstwa. Tak, jest bystry, ale czy nikt oprócz Sally'ego Tessia, Nicka Geraciego i być może Toma Hageny nie zdaje sobie sprawy, że jeśli Michael uważa się za najbystrzejszego, organizacja jest na łasce ego jednego człowieka?

To prawda, że Geraci raczej nie pozwalał sobie na takie myśli, dopóki nie dowiedział się, że Michael Corleone usiłował go zabić.

Nie znaczyło to jednak, że się myli.

Wówczas nikt jeszcze tego nie wiedział, lecz pogrzeb Petera Clemenzy był ostatnim wielkim mafijnym pochówkiem. Powietrze w katedrze św. Patryka było tak gęste od woni dziesiątków tysięcy kwiatów na ołtarzu i w nawach, że prawie nie dało się oddychać.

Napisy na wieńcach były łatwe do rozszyfrowania, w przyszłości już nigdy takie nie będą. W ławkach po raz ostatni siedziały spokojnie zastępy sędziów, biznesmenów i polityków. Jeszcze dziś na takich pogrzebach zjawiają się piosenkarze i inni ludzie show-

-biznesu, lecz nie w takiej liczbie, jak na pogrzebie Clemency.

Kaŝdy, kto był obeznany w tym świecie — a istniała jeszcze garstka takich ludzi — mógł się rozejrzeć i skompletować druŝynę gwiazd cwaniaków z Nowego Jorku i spoza miasta. Niektórzy przybyli nawet z Sycylii. Nigdy wiêcej Ŝaden don nie pójdzie na pogrzeb członka innej rodziny. Nigdy wiêcej obecnoŝć przedstawicieli

wymiaru

sprawiedliwoŝci

nie

bêdzie

tak

umiarkowana.

Jeszcze tylko raz tak wielu wysokiej rangi członków cosa nostry zbierze siê w jednym miejscu. Wszyscy ci ludzie przybyli, by oddaæ hołd importerowi oliwek, unikajàcemu rozgłosu i prawie nieznanemu wielu sàwnych ludzi, którzy przyszli go poŝegnaæ.

Najsàwniejszego z tych, których znał, to znaczy Johnny'ego Fontane, tam nie było.

337

Nick i Charlotte Geraci zajêli miejsca w ławce tuŝ za Rechoczącym Salem Narduccim, jego Ŝonà i synem Buddym, który

razem z Rayem Clemenzà zajmował siê centrami handlowymi —

był to całkowicie legalny interes, prywatne przedsiêwziêcie, w którym przedstawiciele rodzin Corleone i Forlenza mieli swoje udziały, tak samo jak w Zamku na Piasku (Oczywiŝcie jeŝli nie braæ pod uwagê, skąd pieniądze pierwotnie pochodziły. Ale co w tym wypadku znaczy „pierwotnie“?). Sal odwrócił siê, wyciàgnàł

rêce i bardzo mocno i dłuŝo ŝciskaç Geraciego. W czasie kazania i mowy poŝegnalnej Rechoczący Sal powtarzał ostatnie sàwa mówcy, i to wcale nie szeptem. Charlotte ledwo znała Clemenzê, ale b

P y

o ła

m p

s o

z r

y us

R z

e o

c n

h a

o .

c zący Sal odwrócił się twarzą do Geracich. Z jego oczu płynęły łzy.

— Taki młody — westchnął. — Co za tragedia.

Nick Geraci skinął ponuro głową, tak jak wypada na pogrzebie.

Narducci był mniej więcej w tym samym wieku, co Clemenzą.

Gdy sopranistka z Metropolitan Opera zaczęła śpiewać *Ave Maria*, Charlotte skrzyśowała ręce na piersi i odwróciła się w stronę wejścia. Ogromne dębowe wrota kościoła były otwarte.

Palisandrowa trumna Clemenzy powoli znikwała w bieli padającego śniegu.

Rozdział 20

Znawcy przytaczają wiele czynników, które złoŹyły się na to, Źe *cosa nostra*, przeŹywająca rozkwit w latach pięćdziesiątych i sześć-

dziesiątych przeszła ewolucję i zmieniła się w manieryczną i zdradziecką organizację, jaką jest obecnie. Przesłuchania w Senacie

i Kongresie. Przeniesienie zainteresowań FBI z komunistów na mafię. Tendencja wszystkich firm załoŹonych przez imigrantów, które w drugim pokoleniu ulegały destabilizacji, a w trzecim popadały w ruinę. Rozpowszechnione wśród przeciętnych Amerykanów przekonanie (którego pierwszym eksponentem była mafia,

afera Watergate zaś potwierdziła jego słuszoŹ), Źe prawo jest dla innych, to znaczy dla frajerów. Ogromne zyski osiągnane przez

„legalnie działające” koncerny za kontrakty zdobywane bez przetargów, wyłącznie dzięki wstawiennictwu wpływowych przyjaciół

w rządzie. Jednak największe szkody wyrządziła mafii ustawa o statucie świadka koronnego w

sprawach o korupcję i wymuszenia, dająca prokuratorom potężną broń. którą wykorzystali do uzyskania długoletnich wyroków dla gangsterów. W wielu ciemnych zakamarkach amerykańskiego świata podziemnego wywołało to przeW szystkie te czynniki były oczywiście bardzo waŜne, lecz ko

w n

zia

ę n

ł i

ye

, Ŝ

si e

ę om

z er j ta

e

d j

n e

e s

g t

o pra

ww

s e

p m

ól ,

n e k

g tó

o reg

ż o

ró dp

ł r

a z

, est

krtz

óerg

e a

s

s i

t ę

a

łot ylk

s o

ię

w

n a

a r

j u

si n

l k

nio

e w

js o

Z .

ym ciosem zadany zorganizowanej przestępczości w Ameryce:

zamówieniem na klonowe stoły, złożonym mniej niż miesiąc przed spotkaniem wszystkich rodzin w drewnianym domu na farmie w północnej części stanu Nowy Jork.

339

Gdyby te stoły zostały kupione, ukradzione lub nawet wypożyczone, woń lakieru nie byłaby tak świeża i nie zmusiłaby obecnych

do otworzenia okien. Smakowity aromat piekającej się świni nie wpadałby przez całe popołudnie do wnętrza, czarując obecnych.

Donowie i ich *consigliere* nie zostaliby dłużej po spotkaniu.

Mog

N li

a b

wy

e tn

i

ge

d w

y y

b z

y n

s a

t c

o z

ł y

y ć

z t

o e

s r

t m

a ł i

yn

ó

z w

ro k

bi ole

n j

e n

y

n c

a h

z s

a po

mótk

wa

i ń

e

ng

i ł

e ó

w

w r

oo

s d

t z

atin

ni.

ej

chwili przez innego wykonawcę aniżeli pan Floyd Kirby, moglibyśmy być w zupełnie innej Ameryce. Nie tylko dlatego, że inny

stolarz mógłby wybrać inny, mniej drażniący dla nosa lakier, lecz także dlatego, iż pan Kirby był mężem kuzynki pewnego funkcjonariusza policji stanu Nowy Jork. W tamto Boże Narodzenie

policjant dowiedział się o zamówieniu na stoły i o tym, że ich odbiorcami być mogą są ludzie szczególnego rodzaju. Policjant wiedział, że właściciela gorzelni, mieszkającego w tym domu, podejrzewa się o to, że ma w kieszeni miejscową policję. Policjant i jego partner rozmawiali z kilkoma mieszkańcami na tym terenie, ale

P a

o d

li e

c n

j

a n

nti e

z z

a a

k ob

n s

oe

tr

owo

waw

ł a

s ł

o n

b i

i c

e z

, eŜg

eo

b s

y z

cz

mi eg

ć ó

l

on

keg

o o

n.

a T

t a

ok

, w

c

o k

a

si Ŝ

ę d

y

t m

a

m

ra

d z

ziie

ej p

e, o

w

l i

e e

c d

z zie

ktli

o . wie, czy spełniłby ten zamysł, gdyby nieco wcześniej się nie rozwiódł i gdyby kobieta mieszkająca w przyczepie

obok drogi prowadzącej do drewnianego domu nie okazała się tak przyjaźnie nastawiona. Zaczęli się

spotykać. Zanim rodziny zebrały się po raz drugi, policjant ośenił się z ową kobietą. Ona zaś wyprowadziła się z przyczepy, lecz małżeństwo zachowało ją razem z działką, na której stała. Postanowili, że kiedyś zbudują na niej jakiś ładny domek. Akurat tam byli i kochali się w przyczepie, jak dawniej, gdy gruntową drogą tuż obok przetoczyła się parada cadil

P l

oac

w ó

t w

ór

z i l

m in

y cro

a ln

z ó

j w

es .

zचे: by sięgnąć po władzę, czasem trzeba kontrolować tych, którzy tej władzy mają najmniej. Policjant wsunął w ręce recepcjonistów okolicznych hoteli kilka dziesięciodolarowych banknotów i poprosił, żeby dali mu znać w razie

nawału rezerwacji ludzi spoza stanu, o włoskich nazwiskach (ów policjant instynktownie zwracał uwagę na rasę i narodowość). Rok później dostał informację z takim wyprzedzeniem, że mógł

zorg

Tan

iz

z o

aś w

a

o ć

ma

a k

l c

nję

e. spaliła na panewce. Jego dowódca nie uznał

śledztwa za obiecujące i nie przydzielił do niej nikogo poza owym 340

policjantem i jego partnerem. Nikt w FBI nie oddzwaniał po jego telefonach. W geście rozpaczy funkcjonariusz skontaktował się z ATF, Biurem do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej.

MęŜczyzna, który z nim rozmawiał, był młody i rwał się do roboty.

Policjant zadzwonił teŜ do kilku dziennikarzy. Nazajutrz usadowił

się z partnerem w starej przyczepie Ŝony, obaj uzbrojeni byli w lornetki. Dwudziestu agentów ATF siedziało w szarych chevroletach stojących na parkingu dla cięŜarówek przy autostradzie,

czekając na telefon. W wynajętych wozach za chevroletami czaili się d

T z

o i

, e

n

c n

o isk

i a

ę rz

p e

ó :

ż p

ni lu

ej t

o

z n

d

a f

r o

z to

ył r

oe

, p

t o

r r

a t

f e

ił ró

o w

n

a i

pp

i i

e s

r m

w a

s k

z ó

ą w

st,

r a

o

n n

ę aw

wse

z t

y j

se

t d

k e

icn

h

ra

n d

ajio

w w

a i

Ŝ e

n c

i

e z

js A

zylb

c a

h n

d y

z ienników w Ameryce oraz na okładkę magazynu

„Life”. Nawet po tylu latach większość czytelników będzie to pamiętała:

najazd

na

biały

domek

i

ucieczkę

ponad

siedemdziesięciu mężczyzn, którzy na widok nadjeżdżających samochodów

rozp

Z ie

dj rz

ę c

ci h

a l

i s

s i

t ę

a

ł n

y a

w

si s

ę z

ys

sł tk

a ie

w

n s

e t:r

on

o y

t.

y li męŒczyźni w jedwabnych

garniturach i kapeluszach, niezdarnie umykający wśród drzew.

Gruby

Rico Tattaglia i jeszcze grubszy Paulie Fortunato skuci kajdankami, na tle na wpół objedzonej Œwini obracającej się na roŒnie. Agenci ATF przykucnięci za kozłami na blokadzie drogi, z pistoletami w dłoniach, i donowie Detroit, Tamy i Kansas City, wysiadający z samochodów (uzbrojeni, o czym ze zdumieniem dowiedziała się opinia publiczna). Ów policjant, sprawca całego zamieszania, szczerzący zęby, jakby właśnie złapał największą rybę w jeziorze, a obok niego Ignazio Pignatelli, znany takŒe jako Jackie Ping-Pong (ach, te przydomki, które tak Œwietnie trafiły w gust opinii publi

M c

ę z

S n

c e

z j!

y)

z ,

n z

i a k

z r

o y

s t w

a l a

i j a

z c

a y

b r d

a ł o

n i ń

m

n a i d

n u

a j Ŝ a

b l i o

Ŝ k

s r

z a

y g

ł

p a

o t

s w

tea

r r

uz.

n

ek policji sta-

nowej i oskarżeni o... No właśnie, o co? Tu powstał pewien problem. Zebranie takiej liczby mężczyzn w jednym domu na odludziu wyglądało podejrzanie, ale nie było przestępstwem. „Z

dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że ci wszyscy Włosi w drogich garniturach nie zjechali się tutaj z całego kraju wyłącznie po to, by upiec świnie”, oznajmił funkcjonariusz ATF.

Możliwe. W takim razie, po co tam przyjechali? Nikt oprócz nich tego nie wiedział, a oni nie byli skorzy do mówienia.

Natychmiast pospieszyli tam wybitni adwokaci (między innymi były asystent prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych, 341

starszy wspólnik największej w owym czasie kancelarii prawnej w Filadelfii, niegdysiejszy kongresman z Nevady Thomas F. Hagen). Byli wystarczająco biegli, by wykazać, że konstytucja Stanów Zjednoczonych gwarantuje obywatelom nieograniczone prawo do zgromadzeń.

Ci, którzy zostali zatrzymani, powołali się na zagwarantowane konstytucyjnie prawo odmowy świadczenia przeciwko sobie.

W wyniku tego kilku z nich oskarżono o utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości, który to zarzut został później dosłownie wyśmiany

w

sądzie. Pomimo

wysiłków

licznej rzeszy

prokuratorów stanowych i federalnych jedynym bezpośrednim rezultatem najazdu była deportacja trzech aresztantów na Sycylię.

Jeden z nich, Salvatore Narducci z Cleveland, mieszkał w Ameryce od wczesnego dzieciństwa, czyli ponad sześćdziesiąt lat.

Twierdził, że nie był świadom tego, iż nigdy nie uzyskał obywatelstwa.

Jednak skutków pośrednich było bez liku. Kiedy gazety z artykułami o akcji dotarły na salony władzy w USA, wielu ludzi po

raz pierwszy zobaczyło słowa „mafia” i „cosa nostra”. Autorzy snuli spekulacje na temat istnienia międzynarodowego syndykatu zbrodni, o jakim nikomu się dotąd nie śniło. Słowo „syndykat”

trafiło na czołówki wielu gazet, a nie brzmi ono dobrze w uchu Amerykanina. Budzi mgliste skojarzenia z matematyką, Ameryka zaś n

P i

o e

d j

n e

i s

ó t

s łk

r

s a

i j

ę e

m

gł

o m

śna

yt em

kr a

z t

y y

k k

ó

o w

pi .

n ii publicznej: kim są ci ludzie?

Przed nalotem szeregowi policjanci, dowódcy posterunków, skorumpowani politycy oraz autorzy piszący do magazynów takich jak „Pościg” czy „Detektyw” wiedzieli więcej o uczestnikach spotkania w białym wiejskim domku — a także o *uomini rispettati* i o rzeszy pomniejszych ulicznych twardzieli, pracujących dla tych ludzi — aniżeli FBI.

To miało się wkrótce zmienić.

Obecnie te dwadzieścia trzy piękne, prawie niezniszczalne klonowe stoły składowane są w magazynie w Dystrykcie Kolumbii lub w okolicy, którego lokalizacji nie ujawniono. Dwudziesty czwarty stół ponad wszelką wątpliwość powinien trafić do Muzeum Smithsoniańskiego, napis na tabliczce zaś powinien brzmieć: „Ten stół ułatwił zadanie najpotężniejszego ciosu przestępczości zorganizowanej w Ameryce”. Na blacie mogłaby stać świńska czaszka, a obok model zardzewiałej przyczepy mieszkalnej.

342

Stół trafił jednak z jednego białego domku do drugiego. Od roku 1961 jest stale używany w Gabinetach Owalnym lub w jego pobliżu.

Rzecz jasna Tom Hagen nie rzucił się na ratunek, kiedy aresztowano uczestników spotkania w białym drewnianym domku.

Tak

to tylko wyglądało. Kiedy detektywi zapytali, jak to możliwe, iż

dotarł tam tak szybko, Hagen odparł, że już wcześniej przebywał

w stanie Nowy Jork, co zdarza mu się dość często. I powiedział

praw

B d

yl ę

był jednym z młodszych. Dotarł do stóp wzgórza i posuwając się wzdłuż kamienistego strumienia, dostał się do miasteczka.

Wszedł do baru. Nikt nie poszukiwał mężczyzny wyglądającego jak Tom Hagen, samochód zaś, którym przyjechał, zaparkowany za białym drewnianym domkiem, zarejestrowany był na martwą duszę. Usiadł przy stoliku za przegrodą i spokojnie zjadł lunch.

Następnie udał się do sklepu Woolwortha, kupił neseser i zapytał

o drogę do budynku sądu hrabstwa. Sąd mieścił się w sąsiednim miasteczku. Tom wrócił do baru i zadzwonił po taksówkę. Z

neseserem

w

ręku,

wyglądając

jak

przeciętny,

niczym

niewyróżniający

się podróżny, Hagen zameldował się w hotelu. Poszedł do fryzjera koło budynku sądu. Nim zdążył zapłacić, znał już w zarysie przebieg wydarzeń. Zadzwonił do centrali telefonicznej w Las Vegas, wrócił do hotelu i uciął sobie drzemkę. Kilka godzin później obudził go dzwonek telefonu. To był Rocco Lampone, dzwonił

z Tahoe. Hagen wziął taksówkę i pojechał na najbliższy posterunek policji. Michaela nie było wśród aresztowanych, lecz Tom w gości dobre

W j

r w

o o

k l

u i z

l a

9 p

5 e

9 w n

M i ĩ

c

h p

a o

e m

l o

C c

o r p

l r

e a

o w

n n

e a

p k

o i

d l

k

p u

r

z p

y r

s z

i y

ę j

g a

ą c

, io

prło

zem

d r

podz

kin

o y

m.i sją

amerykańskiego Senatu zeznał, że feralnego dnia nie przebywał

w białym wiejskim domku. Zaprzeczył, jakoby był wśród tych, którzy uciekli przed policją. Stwierdził jednocześnie, że akcja policji była nielegalna.

Ściśle rzecz biorąc, Michael Corleone mówił prawdę.

On i Hagen dojechali na miejsce osobno, z rozmaitych powodów, między innymi ze względów bezpieczeństwa (mimo że mieli staroświeckie i, jak się okazało, bezwartościowe ubezpieczenie w osobie zakładnika Bocchicchia, trzymanego w burdelu na pustyni). Gdyby Michael był równie punktualny jak jego ojciec, 343

z pewnością znalazłby się wśród tych, którzy, odkładając na bok godność, umykali po zboczu wzgórza. Umykał już z gorszych matni, wśród świszczących kul i spadających bomb, gdy w górze śmigły japońskie myśliwce. Ale to było przed kilkunastu laty, sto tysięcy papierosów temu. Kto wie, czy zdołałby biec na tyle szybko, by ujść pogoni?

Nie musiał tego sprawdzać tylko dlatego, że jak zwykle się spóźnił — spóźnił się tak bardzo, iż uczestnicy spotkania zaczęli omawiać sprawy bez niego. Ułamek sekundy przed włączeniem kierunkowskazu i skręceniem w gruntową drogę, zauważył w zaroś-

lach, nieopodal zardzewiałej przyczepy coś złego. Cofnął rękę i pojechał dalej. Gdy dojechał do łuku drogi, w lusterku wstecznym zobaczył dwóch mężczyzn, jakichś gliniarzy, wyciągających z krzaków złote kozły i belki policyjnej blokady drogi.

Jechał kilkuletnim niebieskim dodgem, w którym zamontowano policyjny skaner (Al Neri pracował kiedyś w policji; zarówno pospolity samochód, jak skaner były jego pomysłami). Michael znalazł częstotliwość, z której korzystali agenci ATF.

Z całej siły walnął dłonią w kierownicę i głośno krzyknął.

Tego dnia po raz ostatni miał uczestniczyć w spotkaniu komitetu rodzin. Zamierzał omówić plan swojego odejścia. Od dziś, po dobieciu targu na Kubie, miał być biznesmenem prowadzącym wyłącznie legalne interesy. Jeszcze raz trzasnął dłonią w kierownicę.

Uspokój się, pomyślał. Rusz głową.

Zapalił papierosa. Usiadł prosto w fotelu, zmuszając się do spokojnego oddychania. W oddali słyszał odgłosy policyjnej łapanki, której ledwie uniknął. To było jak łoskot końca świata.

O Pearl Harbor też usłyszał w radiu.

Michael Corleone nie wiedział, dokąd prowadzi ta wąska kręta droga. Słońce wisiało na niebie dokładnie nad jego głową, nie wiedział nawet, w którą stronę zmierza. Mimo to jechał dalej, przestrzegając przepisów i rozglądając się za znakami. Jaki miał

wybór? Choćby niebo waliło się na ziemię, nie mógł skręcić i wrócić tam, skąd przybył.

Fredo Corleone nie obudził się, myśląc dziś, właśnie dziś zdradzę mojego brata. Nie zamierzał tego robić i zgodnie z przewidywaniami Nicka Geraciego nawet po fakcie nie wiedział, że to uczynił.

344

Jego dzień zaczął się w apartamencie hotelu Chateau Marmont, gdy Deanna Dunn wyszła spod prysznicza i wciąż rozsiewając woń wypitego w nocy wina, wsunęła się pod kołdrę obok męża.

— No, rusz się, mój słodziutki — mruknęła, przywiązując nadgarstek jego dłoni do słupka łóżka.

Fredo szarpnął ręką.

— Co ty wyprawiasz?

— Nie bądź nudziarzem.

— Która godzina? Ledwie zmrużyłem oczy.

Deanna ściągnęła brwi i odrzuciła ręcznik.

— Chyba nie chcesz, żebym była głodna miłości pierwszego dnia pracy z moim nowym filmowym partnerem?

Fredo wiedział z pewnego źródła, że nowy partner Deanny, Wally Morgan, nie jest mężczyzną, który chciałby dotknąć jej choćby palcem.

Mimo to Fredo dał jej to, czego chciała.

— Postaraj się trochę więcej góra—dół, góra—dół — powiedziała Deanna.

Fredo był na górze.

— To nie jest muzyka dla uszu mężczyzny. — Fredo usiłował

poruszać się na boki, choć o to jej właśnie chodziło. — Nie w takiej chwili.

— Chcesz, żebym się odwróciła? — Zrobiła to, zanim Fredo zdążył odpowiedzieć. Ze wszystkim tak było. — Ale nie w tyłek, nie z samego rana. — Deanna klęczała na kolanach, opierając się na łokciach.

— Nie zamierzałem — stęknął Fredo. — O Jezu. — Czemu ciągle to przypominała? Nawet będąc z Wallym Morganem, Fredo zwykle kazał sobie tylko ssać. Na przykład wczoraj w nocy nic innego nie robili. Fredo stracił wzwód i zde gustowany padł na łóżko.

— Nie rób takiej miny — powiedziała Deanna, sięgając do jego fiuta. — To nic.

Fredo odsunął jej dłoń klepieniem.

— Ale nie dla mnie.

— Po prostu za dużo pijesz.

— A ty coś o tym wiesz.

Leżąc, patrząc w lustro, które Deanna kazała zamontować na suficie sypialni. Sama za nie zapłaciła. Po jakimś czasie wzięła sprawy w swoje ręce. Traktowała się ostro. Fredo zapalił cygaro

i się przyglądał. To, co robiła Deanna, było nieprzyzwoite i podniecało go. Starał się nie patrzeć na lśniącego faceta w lustrze z wydatnym brzuszkiem i fiutem leżącym bezwładnie na udzie.

Deanna oparła stopy na łóŜku, uniosła tyłek i poruszając biodrami, hałaśliwie udawała orgazm. To było jak oglądanie programu przyrodniczego w telewizorze. Później pocałowała Freda, który odtoczył

się w

— b

o

F k

r .

e D

do ł,u

g

s o

k

a lre

bŜ

i e

e l

i w

— m

rz il

e c

k z

ł e

a niu

wr .

eszcze Deanna — chcę, Œebyś

wiedział, Œe ja wiem. Zawsze wiedziałam.

— Co wiedziałaś? — Fredo wstał z łóŒka i poszedł do łazienki się wysikać. Ale wiedział, co Deanna miała na myśli. Ogarnęła go wściekłość.

— To jest Hollywood, show-biznes, wiesz? Mnóstwo osób trwa w związkach, które są przykrywką dla... właśnie tego. W porządku.

A ja chcę tylko mieć ciepłe miejsce, do którego mogę wrócić w nocy i przeŒyc coś przyjemnego raz na...

— O czym ty, kurwa, gadasz?

— NiewaŒne — westchnęła. — Zapomnij.

Fredo umył ręce i stanął w drzwiach łazienki.

— Chcę wiedzieć. — Podniósł pięść i uderzył lekko we framugę. — Powiedz.

— Co chcesz zrobić? Uderzysz mnie? Zastrzelisz następnego pieska? Mówię ci, Œe rozumiem, jak z tobą jest. Nie wiem, czy

„wybaczyć” jest odpowiednim słowem, ale...

— Co mi wybaczasz?

Mógł ją wyrzucić przez okno. Była tylko pijaną zdzirą, której kariera miała się ku końcowi. Tacy ludzie kaŒdego dnia wyskakują przez okna.

— Naprawdę — powiedziała. — Zapomnij. Przepraszam, Œe o tym wspomniałam.

KaŒdy z jego braci by ją sprzał. Fredo o tym wiedział. UwaŒali, Œe jest słaby. Wszyscy tak myśleli, ale to nie była prawda. Był

silny. To wymagało siły, Œeby nie wyrzucić Deanny przez okno ani jej nie zbić. Oddychając równomiernie, zamówił śniadanie do apartamentu. A kiedy je przyniesiono, nie zrobił miazgi z grejpfruta na jej twarzy. Zjadł spokojnie i poczekał, aŒ Deanna wyjdzie.

Kiedy oddaliła się, tak Œe nie mogła usłyszeć, trzasnął szklanką o drzwi.

Złapał lampkę z nocnego stolika i metalową podstawą rąbnął

w ekran telewizora. Zieloną szklaną popielniczką cisnął w rząd 346

butelek z alkoholem stojących w barku. Wyjął nóŒ i bez pośpiechu pociął kanapę, fotele, łóŒko,

poduszki, a nawet zasłony.

Później z rozpędu kopał w ściany, robiąc w nich dziury.

Z jakiegoś powodu jedynymi rzeczami, które zostawił w spokoju, były ubrania i biŜuteria Deanny. I swoje ubrania. Poza tym zniszczył

wszystko, co mógł. Ktoś musiał usłyszeć, lecz nikt nie przyszedł, by go powstrzymać.

W końcu wyjął pistolet. Byle jaki, niemarkowy, nie taki jak tamte colty. Wszedł do łazienki i wpakował jedną kulkę w bidet, którego nigdy nie nauczył się uŜywać i nie miał pewności, czy urządzenie jest przeznaczone tylko dla kobiet. Komu, do kurwy nędzy, chce się płacić za takie fanaberie tylko po to, Őeby czuć się głupim? Odłamek porcelany przeciął Fredowi policzek, ale on prawie tego nie poczuł.

Spojrzał na siebie w lustrze i władował kulkę w odbicie swojej łysiejącej głowy. Później strzelił do lustra na suficie nad łóŜkiem.

Szkoło posypało się efektownie. Czterdzieŝci trzy lata Őycia Freda były jak dotąd jednym pasmem niepowodzeŝ; jeŝli wlaŝnie Őciągnął

na siebie kolejnych siedem albo czternaŝcie, to co Ő tego?

Spojrzał na zegarek. Dzieŝ mu umykał. Za godzinę miał się spotkać z Jules'em Segalem i kilkoma potencjalnymi inwestora-mi w klubie Gussiego Cicera. Zadzwoŝnił do recepcji i wyjaŝnił, Őe w nocy jego Őona urzadzila szalone przyjécie.

— Moŝe przyŝlecie kogoŝ, Őeby oszacował straty. Doliczcie je do mojego rachunku.

Recepcjonistka zapytała, czy Fredo słyŝzał strzały.

— Oglądałem western, dŝwięk był nastawiony na cały regulator.

Odłoŝył słuchawkę i kopnął w rozwalony telewizor. Następnie wszedł do zalanej wodą łazienki i odkręcił kurek doprowadzający wodę do toalety. Rozejrzał się po apartamencie. Jeden wielki chaos, ale na spowodowanie go Fredo stracił tylko jeden dzieŝ. Przez czterdzieŝci trzy lata robił to samo ze swoim Őyciem. Złapał

smoking i skórzane buty marki Mary Janes. Ubierze się u Cicera.

Po dwóch bisach J.J. White jr zszedł ze sceny przy owacji na stojąco, zlany potem. Fredo i Mes Segal siedzieli przy stoliku na przedzie, razem z dwoma adwokatami z Beverly Hills, Jacobem Lawrence'em i Allenem Barclayem, przyjaciółmi Segala, a takŝe 347

zarejestrowanymi wlaŝcicielami kasyna w Vegas, faktycznie naleŝącego do Vincenta Forlenzy. Fredo załatwił obu Őonatym prawnikom dwie młode ŝliczne gwiazdki. Dziewczyną dla Segala była

Lucy Mancini, dawna *goumada* Sonny'ego Corleone. Wszystkie pani

Fe

i w

ga y

r s

o z

i ł

y

C p

a r

p z

r y

a p

s u

iedro

zi w

el a

i ć

p n

rzo

ys y

s .

ą siednim stoliku ze swoimi dziewczynami, pilnowali pleców Freda.

— Okay, doktorku — zagał Fredo, siadając. — Mam pewną teorię.

— Wiem, co chcesz powiedzieć — odparł Segal. — J.J. jest lepszy, kiedy występuje solo i nie wchodzi w tyłek Johnny'emu Fontane.

— Moja teoria jest taka — wtrącił Lawrence — Œe najlepsi artyści estradowi to Œydzi. Mamy to we krwi.

Barclay i Segal ryknęli śmiechem. White, który był Murzynem, oŒenił się z Œydówką i zmienił wiarę. Lawrence, Barclay i Segal byli z pochodzenia Œydami, choć dwaj pierwsi, którzy byli prawnikami, zmienili nazwiska.

Fredo zmarszczył czoło.

— J.J. jest super, ale ja chcę mówić o czymś innym. O naszym interesie w New Jersey. Moja teoria jest taka, iŒ aby skłonić kogoś do zrobienia czegoś, trzeba go przekonać, Œe sam wpadł na ten pomysł.

— Dopiero teraz to odkryłeś? — zdziwił się Segal. — Ile ty masz lat? — Kilka lat temu doktor miał siwe włosy. Teraz były brązowe jak mleczna czekolada. Jego opalona twarz była tylko odrobinę jaśniejsza.

Fredo zmusił się do uśmiechu.

— Mógłbym wszystko przekreślić i wmówić wam, Œe to wy wpadliście na pomysł interesu z cementarzem, ale ja nie załatwiam spraw w taki sposób. Nie próbuję wcisnąć wam chłamu. Nie chcecie być pierwsi? Wierzcie mi, znam stu facetów, którzy zechcą. Ale ty, Jules, kupę razy wybawiłeś mnie z kłopotów z dziewczynami, więc chcę ci się odwdziżyć chociaż w ten sposób. Wy jesteście przyjaciółmi Jules'a, a jego przyjaciele są moimi przyjaciółmi.

Przyjaźnię się teŒ z waszymi kumplami z Cleveland. Pod tym względem jestem podobny do Nicka Geraciego, którego pewnie znacie. Trzymamy sztamę. Kiedy przyjdzie czas, on teŒ w to wejdzie, moŒecie mi wierzyć. A Œyd? — zapytał, mając na myśli Forlenzę. — To mój osobisty przyjaciel. —
W rzeczywistości 348

Fredo nigdy go nawet nie widział. — Œeby się za bardzo nie rozgadywać, powiem tylko, Œe to był mój pomysł. Ale nie unście się dumą, tylko pomyŒcie. JeŒli w to wejdziecie, wszyscy się obłowimy.

Capra wsunął rękę we włosy swojej dziewczyny. Za słabo znał

angielski, Œeby zrozumieć, o czym mówi się przy sąsiednim stoliku.

Figaro natomiast zdumiał się, Œe Fredo prosi się o pieniądze cywilów, mimo Œe Geraci uprzedzał go, iŒ prawdopodobnie do tego właśnie dojdzie. Figaro strzygł kiedyś Geraciego, a z rodziną związał się za pośrednictwem Tessia, teŒ byłego klienta. Im dłuŒej przebywał w Nevadzie i Kalifornii, tym większego nabierał przekonania, Œe synowie Vi ta wszystko marnują. Podstawą siły rodziny był

Nowy Jork, gdzie Figaro się urodził i gdzie pozostała jego lojalność. Był człowiekiem Geraciego, od początku do końca.

Gussie Cicero spojrział na Figara przez szerokość sali. Figaro skinął głową. Gussie powiedział Mortiemu Białe Buty i Johnny'emu Oli, że mają szansę, by wykorzystać Freda do skontaktowania Michaela z ich szefem, a ci mogliby dobić obustronnie korzystnego targu. Gussie uważał, że

przysługę,

a Figaro potwierdza tylko, że Fredo rozmawia o tym, o czym miał

rozmawiać. Gussie Cicero wiedział, że pomysł skontaktowania Oli i Mortiego z Fredem Corleone wyszedł od Jackiego Ping-Ponga.

Jackie zaś wiedział, że pomysłodawcą był Louie Russo. Russo natom

— ia

Tst

o uw

mo a

ŝ ŝ

e a

ł

b ,

y ŝ

ć e

da

ou

bto

r r

y e

pm

o i

mn

yic

sł j,a

t

Fy

r w

edy

o był

— V

pr in

z c

yzen

natł ś

S y

e d

g .

al. — Ale

dobrze pomysły są dla frajerów.

Fredo przechylił głowę.

— Pomysł jest dobry wtedy, kiedy się wie, co z nim dalej zrobić.

Był to powaŜny afront ze strony zarozumiałego dupowatego ŝyda, który nigdy nie odzyskałby prawa wykonywania zawodu, gdyby Corleone nie złoŜyli przewodniczącemu rady lekarskiej propozycji nie do odrzucenia.

— Ja wiem, co zrobić z tym pomysłem — odparł prawie szeptem Fredo, ŝwiadomie małpując ojca i brata, którzy cichym głosem, w naturalny sposób potrafili wyrazić groźbę.

Meŝczyźni siedzący przy stole nie wyglądali na przestraszonych.

— MoŜe i tak — rzekł Lawrence — ale my przyjrzelismy się sprawie. Kwestia uzyskania odpowiednich rozporządzeń będzie prawie nie do przeskoczenia. A nawet gdyby się udało, to istniejące cmentarze i związane z nimi firmy będą się odwoływać, dając do 349

unieważnienia nowych przepisów. Nie wiem, jak z tym było w San Francisco, ale to nie ma znaczenia. Inny stan, inny wiek. Dzisiaj musisz martwić się o takich jak Allen czy ja. O prawników. Jeśli chcesz to popchnąć, to wierz mi... Jak wy to mówicie? Trzeba będzie posmarować wiele rąk.

— A wy? — zapytał Fredo.

Lawrence wzruszył ramionami. Kobiety zbliŝały się juŜ do stolika.

— Jest jeszcze jeden problem — rzekł Segal. — Powiedz mu, Allen.

— Cmentarze muszą być utrzymywane po wsze czasy, i to wyłącznie z procentów od funduszu powierniczego. Innymi słowy, na dzień dobry pakujesz w to fortunę, a z tego, co wiem o waszych 7interesach, nie chcielibyście tego zrobić. I jeszcze jedno, panie Corleone. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale te pieniądze musiały-by być tak czyste, Ŝe moŜna byłoby z nich jeść.

— O to niech się pan nie martwi — zapewnił Fredo. Nie sądził, Ŝe będą kontynuowali rozmowę przy dziewczynach. — Te sprawy są załatwione. — Oczywiście nie były.

Kobiety usiadły i pocałowały swoich partnerów.

— Nawet nie będę mówił o szczegółach problemów, na które byście się natknęli. O transporcie tysięcy zwłok przez granicę stanu. Albo o ustanowieniu jakiegokolwiek monopolu na taką działalność poza terytorium stanu New Jersey.

— Tysięcy zwłok! — wykrzyknęła Lucy Mancini.

Fredo posłał znaczące spojrzenie rozmówcom, którzy mieli przynajmniej dość rozsądku, Ŝeby nie wyjaśniać, o czym mowa.

Pozostałe dziewczyny odwróciły wzrok. Lucy zrobiła się czerwiejsza od swojej sukienki. Obracała się w tym towarzystwie na tyle długo, by wiedzieć, Ŝe o pewnych sprawach nie wolno mówić.

Segal poklepał Freda po ramieniu.

— To najgorszy pomysł na szybkie zarobienie forsy, jaki w Ŝyciu usłyszałem.

Skinął głową w stronę swoich przyjaciół, a ci potwierdzili, Ŝe ma rację.

Fredo wstał, zawołał kelnerkę i zamówił jeszcze po jednym drinku dla wszystkich.

— Panie wybaczą — powiedział, udając, Ŝe idzie do toalety.

Nie miał zamiaru wracać do stolika. W ten sposób zgubił

ochroniarzy i zabawił się w mieście.

350

Johnny Ola — zdaniem Hymana Rotha typowy Sycylińczyk —

wstał i zachowując odpowiednią odległość, podążył za Fredem do łazienki.

A może po prostu pójdę do domu, myślał Fredo. Ale gdzie jest dom? Większość czasu w ciągu ostatnich trzynastu lat spędził

w hotelowych apartamentach. Ojciec nie był, a matka była w Tahoe, gdzie Fredo miał dom. Ale to nie był dom. Wiejska chata nad jeziorem. Rybacka chałupa. Fredo Corleone był chłopakiem z miasta, który męczył się nawet w Vegas, a co dopiero w Tahoe.

Może

się u

Zd

o u

b s

aić

c .

zł Gussiego Cicera i wsunął mu clevelanda. Na taksówkę.

Gussie powiedział Fredowi, że jego pieniądze są tu na nic.

— Kup Sonie kwiaty albo coś — rzucił Fredo. — Albo daj jutro na tacę w kościele.

— Na tacę! — zawołał Gussie, wsuwając tysiąc dolarówkę do kieszeni. — Zabijasz mnie.

Przy pisuarze zaczął się zastanawiać, co zrobiłaby Deanna, gdyby wróciła przed nim do zdemolowanego apartamentu.

Wstrząsnął nim dreszcz. A może to tylko naturalny odruch przy sika

Fn

r i

eu

d?

o zapiął rozporek, odwrócił się i wpadł na Johnny'ego Olę z takim impetem, że temu spadł kapelusz z głowy, a Fredo runął na tyłek. Facet obsługujący toaletę rzucił się na pomoc, lecz Ola już

podnosił Freda, wypowiadając słowa przeprosin.

— Ja to zrobiłem? — spytał Ola, wskazując rozciętą skórę na policzku Freda.

Fredo pokręcił głową.

— Zaciąłem się przy goleniu.

— Ty jesteś Frederico Corleone, tak? Johnny Ola — przedstawił

się, wyciągając rękę. — Mamy paru wspólnych znajomych. Liczy-

łem na to, że na ciebie wpadnę. Choć nie tak dosłownie. —

Uśmiechnął się. — Powinniśmy pogadać. Im prędzej, tym lepiej.

Deanna na pewno już była w hotelu i zobaczyła dzieło Freda.

Gdyby Fredo nie trząsnął się na myśl o jej reakcji, być może ocaliłby życie.

— Najlepiej od razu — powiedział Fredo.

Po chwili siedział już w samochodzie, jadąc za Olą i Mortiem do Hollywood. Zatrzymali się w barze Musso & Frank Grill. Lokal był pełny, ale okazało się, że cudownym zbiegiem okoliczności jedna z wysokich mahoniowych łóż z obiciem z czerwonej skóry właśnie się zwolniła.

351

— Lubię tę knajpę — oznajmił Fredo. — Najlepsze martini w Los Angeles, a może i na całym świecie. Mieszane, nie wstrząśnięte, właśnie tak powinno się je podawać, wierzcie Włochowi.

W lokalu z gorszym martini i przegrodami niezapewniającymi takiej prywatności, w dniu lepszym dla Freda niż ten, który właśnie się kończył — kto wie, co mogłoby się stać? Fredo nie uważał się za słabego mężczyznę, lecz patrząc wstecz, z pewnością wiedział, że w tamtej chwili okazał słabość. Ola i Mortie Whiteshoes wyjaśnili, że ich szef i brat Freda próbują wejść razem w jakiś duży układ. Twierdzili, że nie wiedzą, w czym rzecz. Nazwa

„Kuba” nie padła ani razu. Ola stwierdził, że Michael zachowuje się nierozsądnie w czasie tych negocjacji. W lepszym dniu Fredo być może zrozumiałby, że w ten zawołany sposób Ola mówi, iż Roth pragnie śmierci Michaela. Fredowi nasunęła się wówczas tylko jedna myśl: że jeśli chodzi o

jego wielkiego brata Michaela, to jest nierozsądny we wszystkim. Usiłował tego nie okazać, lecz nie wychodziło mu to nawet w najkorzystniejszych okolicznościach.

Ola obiecał, że jeśli Fredo pomoże, to coś będzie z tego miał.

Nic ważnego — chodzi o zwykłą informację o sytuacji rodziny, jej aktywach. Byli gotowi rozmawiać o korzyściach dla Freda. Może będzie to wynagrodzenie w gotówce, powiedzieli.

Wtedy odezwał się Mortie. Jakiś ptaszek szepnął mi, że Fredo planuje w New Jersey coś w rodzaju miasta umarłych.

— Wiem tylko tyle, ile powiedział mi mój przyjaciel, Jules Segal. Ale spodobało mi się to, co usłyszałem.

(Zapis programu *The Fred Corleone Show*, 23 marca 1959

[ostatni odcinek])

FRED CORLEONE: Panie i panowie, na dzisiejszy wieczór zaprosiliśmy do studia niezwykłego gościa, ale, jak wadzicie, nie przyszedł. Co jednak nie znaczy, że nie będziemy mieli żadnego gościa, a ja źle powiedziałem, sugerując, że ten gość... Chyba mówię szybciej, niż myślę. że ten gość nie jest wyjątkowy. Bo jest. Wspaniały facet (*opuszcza wzrok, przesuwa dłoń mi po policzkach*). Ale nie komplikujmy sprawy. Po co to komu? Panna Deanna Dunn,

352 która, jak może wiecie... Chcę powiedzieć, że wbrew temu, co podała dzisiaj gazeta, naszym gościem nie będzie Deanna Dunn (*spogląda za scenę*). Chyba nie muszę mówić więcej, prawda?

GŁOS REŻYSERA: (*nieślyszalny*)

FRED CORLEONE: Niezupełnie (*odwraca się z powrotem do kamery*). Nie martwcie się, moi drodzy. Bez dalszych ceregieli, bo po pierwsze żadnych jeszcze nie było, powitajmy naszego pierwszego gościa. Oto on, wspaniały aktor,

który właśnie kręci film z panem Johnnym Fontane i ekipą.

Film ma być o rabowaniu kasyn i nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę o nim coś więcej. Przywitajmy brawami pana Roberta Chadwicka.

(Oklaski z magnetofonu. Wykorzystano je tylko w tym odcinku, choć twórcy programu zrezygnowali z Œ ywej publicznoŒ ci kilka odcinków wczesniej)

ROBERT

CHADWICK

(machajac

do

nieistniejacej

publicznoŒ ci): Dziękuję wszystkim. Dzięki, Freddie.

FRED CORLEONE: To ja ci dziękuję, Bobbie. Uratowałeś mi Œ ycie, godzac się na przyjscie w ostatniej chwili.

ROBERT CHADWICK: Nie ma o czym mówić. Dostaję role odrzucone przez gwiazdy filmu, którym daleko do legendarnej Deanny Dunn.

FRED CORLEONE: Doceniam twojã ironię. Ale powaŒnie.

JesteŒ przystojny, masz stylowy brytyjski akcent, bylbys doskonały w glównych rolach. PrzewaŒnie dostajesz pro-pozycje rol jako pierwszy, prawda?

ROBERT CHADWICK: Scenariusze, które dostaję, były czytane przez tak wielu aktorów, Œ e na stronach jest więcej plam od kawy niŒ słów. Ale to i tak lepsze, niŒ pracować na Œ ycie.

FRED CORLEONE: Co takiego?

ROBERT CHADWICK: Powiedziałem, Œ e to sposób zarabiania na Œ ycie.

FRED CORLEONE: Przepraszam, jestem trochę...

ROBERT CHADWICK: Nie szkodzi. A przy okazji chcę powiedzieć, Œ e przykro mi z powodu twojej matki. Ja teŒ

straciłem matkę w zeszłym roku, więc wiem, co teraz czujesz. To nigdy naprawdę nie mija.

353

FRED CORLEONE *(marszczac czoło):* Wiesz, ja... *(zamyka oczy, kiwa głowã , jego czoło się wygładza)* Tak, oczywiście. Dziękuję.

ROBERT CHADWICK: Podzielę się z tobą czymś, w co naprawdę wierzę. śyciową filozofią, by tak rzec. Po stracie matki... Wiem, Œe wolałbyś nie mówić o tym przed kamerami, ale chcę teŒ wyrazić ci współczucie, bo wiem, Œe

F s

R p

E ra

D w

C y

O z

R Œ

L o

E ną

O n

N i

E e

: u

D ł

z o

ięŒ

ky

ułjy

ę. się po twojej myśli.

ROBERT CHADWICK: Po takich dwóch nieszczęściach twoja karta niebawem musi się odwrócić.

FRED CORLEONE: Niebawem?

ROBERT CHADWICK (*spoglą dają c w kamerą*): A więc, drogie panie, moŒecie ustawiać się w kolejce! Ten oto obszarpaniec znów jest na wolnym rynku!

FRED CORLEONE: To jeszcze trochę potrwa, zanim...

ROBERT CHADWICK: Jasne. Ale w morzu jest dużo ryb.

FRED CORLEONE: Tak mówią. Słyszałem natomiast, że tobie w małżeństwie powodzi się doskonale.

ROBERT CHADWICK: To prawda. W tym miesiącu upłynie siedem lat.

FRED CORLEONE: Twoją żoną jest wspaniała dziewczyna.

Siostra gubernatora Jimmy'ego Shei, jeśli się nie mylę.

ROBERT CHADWICK: Wszystko się zgadza.

FRED CORLEONE: Myślisz, że zostanie naszym nowym prezydentem?

ROBERT CHADWICK: Margaret?

FRED CORLEONE: Nie, gubernator Shea. Dobry wybór.

ROBERT CHADWICK: Tak właśnie myślę. Znam go od podstawówki. To wspaniały przywódca, wspaniały przyjaciel

I bohater wojenny, o czym pewnie wiecie. Zrobił bardzo dużo dla New Jersey, i jestem szczerze przekonany, że Ameryka

potrzebuje

kogoś

takiego,

młodego

i

inteligentnego, kto wprowadzi nas w erę podboju kosmosu.

Nie

F m

REów

D ię

C

OR te

L g

E o,

O

NE Ŝ

: eb

C y

o

? A s

, ię

ta k. p

No

i d

e, l iz

z y

g w

ad a

z ć

a ,

m s p

i ęo

z top

bro

ą. s

tu

T

o

o

nd

i p

e o j w

e i

s e

t d z

p i

r a

o ł e

g r m

a n

m a

p t w

o l i o

t j

y e

c p

z y

n t

y a

, ni

a e

l .

e jestem Amerykaninem

i mam swoje zdanie. Opinie wyrażone przez gości tego programu, a nawet jego gospodarza, nie są reprezentatywne-354

ne dla... i tak dalej, i tak dalej. Nieważne. Może powinniśmy przejść do następnego tematu.

ROBERT CHADWICK: Ja też jestem Amerykaninem, staruszk.

FRED CORLEONE: Tak? Myślałem, że...

ROBERT CHADWICK: Od chwili gdy skończyłem dwanaście lat.

FRED CORLEONE: To wspaniale. Chciałbym się dowiedzieć, jak to się stało, że ty, Fontane i wasi kumple — Gene Jordan, J.J. White junior...

ROBERT CHADWICK: Morrie Streater, Buzz Fratello.

FRED CORLEONE: Tak. Przez całą noc występujecie w kasynie, którego nazwy nie wymienię...

ROBERT CHADWICK: Kasbah.

FRED CORLEONE: A później jeszcze cały dzień kręcicie film?

ROBERT CHADWICK: Może się wydawać, że to mnóstwo pracy, ale tak naprawdę nie jest jej wiele.

FRED CORLEONE: Jaki jest twój udział w występie w nocnym klubie?

ROBERT CHADWICK (*śmiejąc się*): Minimalny.

FRED CORLEONE: Mówisz serio?

ROBERT CHADWICK: Nie śpiewam i z pewnością nie umiem tańczyć. Wychodzę na scenę, wypijam kilka drinków i opowiadam parę marnych dowcipów. Zapewniam cię, że są to naprawdę marne dowcipy. Ale ludzie się śmieją.

Kiedy człowiek tak dobrze się bawi, to jest zaraźliwe.

FRED CORLEONE: Zaraz do tego wrócę, ale zanim zrobimy przerwę na reklamę, chcę cię zapytać o film, który kręcicie, bo słyszałem, że ty i Fontane, Gino, Buzz oraz wasi przyjaciele myślicie, że uda wam się obrabować wszystkie kasyna w Vegas.

ROBERT CHADWICK: To tylko film, staruszk.

FRED CORLEONE: Nie, ja to rozumiem...

ROBERT CHADWICK: Nawiasem mówiąc, byłeś świetny w *Zasadzce w Durango*. AŜ ciarki przeszły mi po grzbiecie.

FRED CORLEONE: Dzięki. Zastanawiam się, w jaki sposób rozegracie ten wielki skok. Bo zdaje mi się, Ŝe albo zrobicie to w sposób, w jaki nigdy nie mogłoby się to odbyć w rzeczywistości i ludziom wyda się to śmieszne, albo — i tu moje pytanie — wymyśliliście jakiś realis-355

tyczny sposób zrobienia tego, ale wtedy ryzykujecie, iŜ

ktoś pójdzie w wasze ślady.

ROBERT CHADWICK: Nabierasz mnie, prawda? To jest pytanie?

FRED CORLEONE (*wzruszają c ramionami*): Wydaje mi się, Ŝe jest uprawnione.

ROBERT CHADWICK: KaŜesz mi powiedzieć, jak to robimy?

Jak oni to robią w filmie?

FRED CORLEONE: Tak, to byłoby ciekawe.

ROBERT CHADWICK: Na pewno. Ale w takim razie, po co ktoś miałby iść do kina?

FRED CORLEONE: Wielu ludzi chciałoby obejrzeć taki film.

Co wy na to, moi drodzy, chcecie usłyszeć, jak oni to robią? To chyba nazywa się wielki skok na kasę. A więc?

{*Oklaski z magnetofonu*}

ROBERT CHADWICK: Świetnie. Sę w tym, Freddie — was teŜ to dotyczy, moi drodzy przyjaciele — Ŝe mógłbym wam powiedzieć, ale później musiałbym was rozwalić.

FRED CORLEONE {*wpatruje się w rozmówcę , ś cią gają c brwi; nastę puje długa, nieznoś na cisza*} ROBERT CHADWICK: Bombowo. Garderoba! Przynieście mi włoski bucik numer dwanaście D w ładnym szarym betonie, wagi cięŜkiej. Rachunek doręczcie temu facetowi.

FRED CORLEONE: Zaraz wrócimy na antenę.

ROBERT CHADWICK: Przynajmniej jeden z nas wróci.

Dwa dni później Fredo Corleone pojechał do Tahoe, Ŝeby dopilnować pewnych spraw w związku ze śmiercią matki. Obiecał

teŜ, Œe zabierze na ryby swojego bratanka Anthony'ego.

Chłopak mieszkał nad jeziorem, ale ojciec nigdy nie chodził

z nim na ryby. Wujek Fredo robił to, ilekroć przyjeŒdŒał. Anthony miał osiem lat i szalał na punkcie wujka Freda.

Anthony uwielbiał wędkować i nigdy nie pragnął tego bardziej niŜ owego dnia. Jego rodzice zamierzali siê rozwieŒć, a on miał

nieprzyjemne podejrzenie, Œe to jego wina. Choć nie wiedział

właŒciwie dlaczego. Gdyby był grzeczniejszym chłopcem, moŜe nigdy by do tego nie doszło. A teraz jemu i jego małej siostrzyczce nawet nie wolno było przebywać z matką, która zamierzała siê

wyprowadzić. On miał zostaç z ojcem, którego nigdy nie było, w tym strasznym domu, kilka miesięcy wcześniej ostrzelanym z pistoletów maszynowych. JeŒli wiedziało siê, gdzie szukaç, wciãŜ

moŜna było znaleŒć mnóstwo dziur od kul. Anthony był chłopcem, który wiedział, gdzie szukaç.

Godzinê po tym, jak matka siê z nim poŒegnała, Anthony wsiadł

do łódki z wujkiem Fredem i Alem Nerim, który pracował dla ojca Anthony'ego. Pan Neri kazał mu siê nazywaç wujkiem, ale wcale nim nie był. Anthony pomyŒlał, Œe to moŜe byç grzech i nigdy go tak nie nazywał. W szkółce niedzielnej dowiedział siê, Œe właŒnie w taki sposób moŜna wpaŒć w sidła szatana, który zastawia na ludzi drobne pułapki podobne do tej.

Pan Neri uruchomił silnik. Wujek Fredo znał sekretny sposób łapania ryb, który mieli wypróbowaç. Anthony'emu nie podobało siê, iŜ zdradzą ten sekret panu Neriemu, ale tak bardzo chciał

znaleŒć siê na wodzie, Œe nie protestował. Anthony był ŒczęŒliwy na tyle, na ile moŜe byç ŒczęŒliwy mały chłopiec, który jest bardzo przygnêbiony.

WłaŒnie w chwili, gdy mieli odbijaç, na kładkê wbiegła ciocia Connie, krzycząc, Œe ojciec musi zabraç Anthony'ego do Reno.

Anthony chciał zaprotestowaç, lecz wujek Fredo spojrzeł na niego twardo i powiedział, Œe Anthony musi iŒç. Obiecał, Œe zabierze go na ryby jutro. Zdruzgotany chłopiec skinął głowã, starając siê nie okazaç, jak bardzo jest zawiedziony.

Ciocia Connie zabrała Anthony'ego do domu. Jeszcze kilka miesięcy temu wszyscy mówili o niej złe rzeczy. Teraz miała na stałe opiekowaç siê Anthonym i jego siostrzyczkã, Anthony zaŒ widział, Œe ciocia nie daje sobie dobrze rady nawet z własnymi dziećmi.

Kiedy znaleźli siê w Œrodku, ciocia kazała Anthony'emu iŒç do swojego pokoju. Chłopiec zapytał o Reno. Ciocia Connie odparła, iŜ nic o tym nie wie i powtórzyła, Œe ma iŒç do pokoju. Anthony uŒluchał.

Z okna swojego pokoju obserwował, jak pan Neri i wujek Fredo odpływają łódką. Siedział tam nawet wtedy, gdy zniknęli z pola widzenia, mimo że nie było na co patrzeć. Był sam. Nie płakał.

Obiecał sobie, że nigdy nie będzie płakał, bez względu na to, co mu się stanie. Zawsze będzie grzecznym chłopcem, a wtedy może jego rodzice znów zaczną się kochać.

Kilka minut później usłyszał strzał.

357

Nieco później pan Neri wrócił łódką. Był sam.

Anthony się rozpłakał. Płakał przez kilka dni.

Jeszcze przed sprawą rozwodową zebrał się na odwagę i zapytał

ojca o to, co zobaczył tamtego dnia. Michael Corleone zrezygnował

z ubiegania się o prawną opiekę nad dziećmi. Otrzymała ją Kay Adams Corleone.

Zimne wody jeziora Tahoe często zapobiegają powstawaniu wewnętrznych gazów sprawiających, że zwłoki wypływają na powierzchnię. Ciało Frederica Corleone nigdy nie znaleziono. Jego bratanek nigdy więcej nie łowił ryb.

KSIEGA VI

1920-1945

Rozdział 21

Mówi się, że dzieci same przynoszą sobie szczęście, i tak właśnie było w przypadku Michaela Corleone. Corleone taplali się w biedzie jak w bagnie, mieszkali w suterenie w dzielnicy Hell's Kitchen.

Samym środkiem ulicy biegły tory kolejowe. Dzień i noc przetaczały się po nich pociągi towarowe załadowane zwierzętami wiezionymi na rzeź. Dzieci biły się o szansę zagrania kowboja, wskoczenia na konia i ostrzegania przechodniów, żeby schodzili z dro

O g

d i.

u K

roa

d d

zeeg

ni o

a

ty

S g

a o

ntd

i n

n i

oa

j

pe

r d

z e

e n

d

al

d b

zio

e d

si w

ę ó

ci c

o h

m n

a i

e l u

a t s

y ł y s

C z

a a

r ł o

m .

e la miała

cztery poronienia. Syn, który przeżył, Frederico, był chorowity przez pierwszych pięć lat życia. Vito pracował sześć dni w tygodniu w sklepiku spożywczym na rogu, naleśającym do jego przybranych rodziców. Aby pomóc im związać koniec z końcem, razem z przyjaciółmi, Clemenzą i Tessiem, okradli cię Sarówkę.

Wkrótce jednak przekonał się, że pewien dandys nazwiskiem Fanucci, terroryzujący dzielnicę, odbiera ogromną część zysków.

Kilka tygodni przed narodzinami Michaela Vito zabił Fanucciego

— co wielu ludzi podejrzewało, lecz mało kto o tym mówił —

zyskując sobie szacunek wdzięcznego sąsiada. Nie używając wielu słów, Vito zaczął rozsądzać spory i chronić właścicieli sklepów przed opryszkami i policją.

Michael urodził się tak bezboleśnie, jak to tylko możliwe. Miał

skórę białą niczym kość słoniowa, długie czarne rzęsy i lśniące włosy. Kiedy akuszerka dała mu klapsa, wziął głęboki oddech, lecz nie zapłakał. Kobieta westchnęła jak podłotek na filmie z Rudolfem Valentino. Od chwili gdy matka położyła go sobie na

361
piersi, został jej ulubionym dzieckiem. Vito zauważył szlachetne rysy twarzyczki Michaela, gdy tylko przekroczył próg sypialni.

Dziecko wyglądało jak obraz ojca Vita, który walczył u boku Garibaldiiego. Vito upadł na kolana i załkał z radości.

Nazajutrz myśl o ukochanym sędzie oliwnym ojca natchnęła Vita do zajęcia się handlem oliwą. Tessio i Clemenza mieli zostać akwizytorami. Prohibicja, pozwalająca wykorzystać cięŜarówkę w jeszcze bardziej zyskowny sposób, była następnym szczęśliwym zrzędzeniem losu, które pojawiło się mniej więcej w tym samym czasie, gdy na świat przyszedł Michael Corleone. Wkrótce wszyscy byli bogaci.

Przez cały okres dzieciństwa Michael nigdy nie miał wyższej temperatury niż trzydzieści sześć i sześć kresiek. Często bywała niższa. Miał w sobie jakąś pewność, jakby wiedział, Ŝe ludzie będą go kochali i sprzyjali, więc nie widział potrzeby robienia wokół

siebie szumu. Przyjęcie z okazji jego chrzcina odbyło się na ulicy, którą policja zamknęła. Była to przysługa dla młodego hojnego importera oliwy. Wydawało się, Ŝe przyszli wszyscy Włosi z Nowego Jorku. Ojciec chrzestny Michaela, posępny Tessio, przez całe popołudnie robił głupie miny, by zabawić dziecko, które już

potrafiło się uśmiechać. Był to uśmiech Vita, pozbawiony ukrytej groźby.

Po roku lub dwóch starsi synowie zauwaŜyli, Ŝe Michael pozbawił ich największego przywileju i stał się ulubieńcem rodziców.

Fredo zareagował w ten sposób, Ŝe wkładał myszy do łóŜeczka braciszka i przez jakiś czas się moczył. Pewnego razu w szkole powiedział wszystkim, Ŝe jego młodszy braciszek został przecięty na pół zgarniaczem lokomotywy pociągu na Jedenastej Alei.

Sonny podjął śmielsze działania, utrudniając Michaelowi ubieganie się o względy Vita: sprowadził do domu nowego rywala, chorego brudnego chłopaka, którego rodzice umarli z przepicia.

Dwunastoletni obdartus Ŝył na ulicy, utrzymując się dzięki swojej bystrości, jak się później okazało, niebagatelnej. Nazywał się Tom Hagen. Sonny oddał sierocie swoje wąskie łóŜko i spał na podłodze.

Nikt nie dyskutował o tym, Ŝe taki układ ma zostać na stałe. Lecz tak jak w przypadku wielu spraw, którymi zajmował się don, powstała potrzeba i została zaspokojona przy uŜyciu minimalnej liczby słów.

Najwcześniejszym wspomnieniem Michaela był dzień, w którym jego rodzina przeprowadziła się do Bronksu. Miał wtedy trzy lata.

362

Matka stała na ganku, ściskając sąsiadki i płacząc równie głoŝno jak małeńka Connie. Tom i Sonny musieli być na gorze, w nowym mieszkaniu. Michael siedział w samochodzie z ojcem i kierowcą.

Fredo stał przy krawęŜniku, spoglądając w stronę pociągu. „Co się stało!”, zawołał Vito. Fredo chciał bawić się w kowboja.

Sonny'emu udało się to co najmniej sto razy. Fredowi ani razu, a teraz jego rodzina wyprowadzała

się z dzielnicy. Vito widział

smutek na twarzy Freda. Wziął Michaela i Freda za ręce i poszedł

wąską uliczką. Woźnica zobaczył Vita i po chwili Fredo siedział

na siodle, czekając na pociąg. Kiedy pociąg nadjechał, Vito wziął

Michaela na barana. Szczęśliwy Fredo bez lęku jeździł na koniu od krawężnika do krawężnika, donośnym wrzaskiem ostrzegając przechodniów.

Nowe mieszkanie rodziny Corleone znajdowało się w części Bronksu

zwanej

Belmont,

na

pierwszym

piętrze

ośmiokondygnacyjnej kamienicy z czerwonej cegły. Kwatera była skromna,

ale

miała nową lodówkę, dobre ogrzewanie i dość miejsca dla wszystkich. Vito był właścicielem całego domu, lecz wszedł w jego

posiadanie tak dyskretnie, że nawet dozorca o tym nie wiedział.

Młodemu Michaelowi Belmont wydawał się rajem. Ulice zapełniali rozwrzeszczani chłopcy grający w baseball i mężczyźni popychający przed sobą obładowane wózki. W powietrzu unosiła się

woń

duszonej cebuli i słodkawe opary rosnącego chleba. Po kolacji kobiety wносиły krzesła na chodnik i plotkowały aż do wieczora.

Męśc

D z

o yż

mn

i i

e s p

z r

kz

a e

nk

i o

a ma

C r

o z

rl a

e li

o n s

ei ę

prp

orz

w y

a ja

d ź

zi n

ł i

y e

.

st W

al
o B
w e
e lm
sc o
h n
o t
d m
y i
pe
r s
zz
ek
c a
i ło
w-
w
p ię
o c
Ŝ e
arj
o W
w ł
e o

. ch

W ó

w

go rn

ąiŜ

c

e w

n m

oc i

ea

s

s te

p c

al z

i k

nac h

n ,i z

c

h k

, tó

ni r

ey

ch

mi p

el o
i c
n h
a o
td
oz
il
o i
c .
hC
otza
y s
t e
e m
go
p
t rz
yl e
k z
o ca
w łte l
d a
y t,a
gn

die

y

zap

miu

esz

ni c

a z

ł aslii

ę s

ię

w ip

a o

tr z

a

i d

p z

r i

z e

y ln

n i

o c

się

ł . na Arthur Avenue

zapach z ogrodu zoologicznego w Bronksie. „Dość”, mówił wtedy Vito. „Zoo wam przeszkadza? Zostało zbudowane przez Włochów.

To, co czujecie, to owoc ich pracy. Jak moje dziecko może odrzucać owoc, który jest darem od Boga?". Reszta rodzeństwa wciąż

narzekala, ale nie Michael. W zoo były lwy, a on je uwielbiał.

Corleone. Ci, którzy mają lwie serca.

Rodzina Corleone aktywnie uczestniczyła w Śyciu swojego nowego kościoła. Z początku nawet Vito do niego uczęszczał.

Fredo chodził z matką na sumę prawie codziennie. W wieku dziesięciu lat wstał przy kolacji i oznajmił, że rozmawiał z ojcem

Stefanem, ulubionym kapłanem matki, a zarazem nauczycielem boksu Freda, i postanowił zostać księdzem. Posypały się gratulacje. Wieczorem Michael, siedząc na schodach, patrzył, jak matka

paraduje z Fredem po dzielnicy. Kiedy Fredo wrócił, cała jego twarz

W b

s y

z ł

k a

o lu

e s

, m

k a

i r

e o

d w

y a

k n

o a

l

e s

d zm

y in

Mk

i ą

c .

h aela, uprawiając odwieczny rytuał,

przechwalali się swoimi ojcami, Michael odchodził. Wpojono mu, że nie wolno się chełpić. Nie miał też takiej potrzeby. Nawet najgorsze łobuzy ze szkolnego dziedzińca wiedziały, że ojciec Michaela, choć cichy i małomówny, jest mężczyzną godnym szacunku. Kiedy Vito Corleone szedł ulicą, ludzie wycofywali się, prawie się kłaniając, jakby był królem.

Pewnego wieczoru, kiedy Michael miał sześć lat, rozległo się pukanie do drzwi. To był Peter Clemenza. Przeprosił, że przeszkadza w posiłku i poprosił Vito na słowo. Po chwili za zamkniętymi drzwiami salonu Vito zaczął wrzeszczeć w sycylijskim

dialekcie, który Michael rozumiał, choć nie do końca. Nie było wątpliwości, że ojciec jest wściekły. Matka Michaela karmiła Connie oliwkami i kalmarami, udając, że niczego nie zauważa.

Tom u

— śm

Toi e

s c

p h

r n

a ą

wł

k s

a i ę

S k

o r
n z
nyw
'e o
g i
o
po
— kr
mę
r c
u ił
k g
n ł
ą o
ł w
T ą
o .

m. Sonny nie przyszedł

na kolację — co zdarzało się coraz częściej — lecz uśmiezek Toma wskazywał, że nie stało się nic naprawdę strasznego.

Mimo to Michael był przerażony. Tylko Sonny i wiele lat później on, Michael, potrafił sprowokować Vita Corleone do tego, by odrzucił swoją słynną cierpliwość i rezerwę. To była największa miara jego ogromnej miłości do nich. Gdyby umarli potrafili mówić, zaświadczyliby, że najbardziej należało się bać cierpliwości i rezerwy dona Vita.

— Co on zrobił? — spytał Michael.

— *Cafone* — odparł Tom. — Wykręcił coś głupiego. Cały Sonny.

Tom i Sonny chodzili razem do podstawówki Fordham. Od czasu przeprowadzki mieli inne grono kolegów. Tom należał do drużyny tenisa i był wyróżniającym się uczniem. Mimo że nie był naprawdę członkiem rodziny, a mimo to z wdzięczności, po cichu stał się idealnym synem, najmądrzejszym, najbardziej lojalnym, najgrzeczniejszym, najambitniejszym, a czasem też najpokorniejszym. Jako najpilniejszy uczeń kodeksu zachowania Vita

mówił

po włosku jak Włoch i był Sycylijczykiem w każdym calu, choć nie płynęła w nim sycylijska krew.

364

Sonny został wyrzucony ze szkolnej drużyny futbolowej po tym, jak nakrzyczał na trenera (kiedy Sonny poprosił ojca o interwencję, ten spoliczkował go i nie powiedział ani słowa).

Wywęszył

nielegalnie produkowany dźwięk i wymykał się do Harlemu, żeby słuchać jazzu. Już w wieku szesnastu lat miał opinię ulubieńca kobie

— t

, i

Z rto

o

bn

ili e t

c y

o lśk

o

c d

a z

f i

o e

n w

e c

? zą w

— s

d w

o o

p i

y m

ty w

waile

ku

si .

ę Michael. — Co

dokładnie?

— *A rubar poco si va in galera, a rubar tanto Si fa carriera.* —

Ukradniesz trochę, pójdiesz do więzienia. Ukradniesz dużo, zrobisz karierę. — Sonny i jeszcze dwóch idiotów, których uważa za

przyj

—a

ció

Acł,

h ,o

b

d ro

ośb

ć i li

t.

e..

g o! — zawołała Carmela, zakrywając dłońmi uszy Connie.

Drzwi salonu otworzyły się. Vito miał czerwoną twarz, trząsł

się i był rozgniewany. Wyszli z Clemenzą bez słowa. Connie się rozplakała. Michael tylko siłą woli powstrzymał łzy.

Wiele lat później Michael dowiedział się, że Sonny obrabował

stację benzynową chronioną przez rodzinę Maranzano. Sonny o tym nie wiedział. KradzieŜ była niewinnym wybrykiem. Wieczorem Vito poszedł do Maranzana, żeby załagodzić sprawę, a Clemenzę wysłał na poszukiwanie Sonny'ego. Kilka godzin później Pete znalazł chłopaka na samotnej, nie kryjącej się ze swoimi pragnieniami kobiecie i zawlókł go do biura Genco Pura Olive Oil, gdzie czekał zagniewany ojciec.

Kiedy Vito uświadomił Sonny'emu, jak głupiej rzeczy się dopuścił, ten na swoją obronę odparł, że widział, jak ojciec zabił

Fanucciego. Vito opadł ciężko na krzesło, pokonany. Nie był

w stanie dłuŜej temperować zachowania syna. Gdy Sonny poprosił, żeby zwolnić go z obowiązku chodzenia do szkoły i pozwolić włączyć się do rodzinnego interesu, Vito uległ, nazywając to przeznaczeniem.

Vito wierzył, że uczynił wszystko, co mógł w świecie, który dawał bardzo niewiele człowiekowi wyglądającemu tak jak on i pochodzącemu z kraju, z którego pochodził. Robił to z mocnym przekonaniem, że jego dzieci będą prowadziły inne Ŝycie. Obiecał

sobie kiedyś, że Ŝadne z nich, nawet Hagen, nie pójdzie w jego ślady. Była to jedyna obietnica, którą Vito Corleone kiedykolwiek złamał.

Michael wiedział wówczas tylko tyle, że pierwszy raz w Ŝyciu 365

widział, jak jego zawsze opanowany ojciec traci nerwy, i że doprowadził do tego Sonny. TuŜ po wyjściu Vita i Clemenzy Tom, wyraźnie zdegustowany, przeprosił i ruszył w stronę drzwi.

— Potrzebujesz czegoś, mamó? Idę na spacer.

Carmela niczego nie potrzebowała. Jej twarz była szara i ściągnięta smutkiem.

Michael dobiegł do drzwi, które Tom zamykał, i podąŜył za nim schodami. Kiedy wyszli na ulicę, łało. Tom oparł się o szklane drzwi. Wahał się.

— Powiedz mi, co się dzieje, Tom — zaśadał Michael. — Mam prawo wiedzieć. Jesteśmy rodziną.

— Gdzie nauczyłeś się tak mówić, mały?

Michael usiłował zrobić surową minę.

Tom zerknął przez ramię. Na klatce schodowej kręcił się dozorca i kilku lokatorów.

— Nie tutaj.

Wskazał wnękę drzwi kilka domów dalej. Pobiegli.

Hagen miał szesnaście lat i nie wiedział wszystkiego. Ale umiał

odczytywać zachowanie Sonny'ego i wielbił Vita, więc wiedział

więcej, niż ktokolwiek przypuszczał. To, co tego wieczoru powiedział Michaelowi przy drzwiach sklepu mięsnego Racalmuto Meat, było całkowicie szczere i zgodne z prawdą.

Od tego dnia Sonny był jednym z tych, którzy wszędzie towarzyszyli Vito. Wracał do domu późno, a czasem wcale. Kiedy tam był, faworyzował Freda, podziwiającego go tak, jak Michael podziwiał Toma. Na siódme urodziny podarował Michaelowi sweter tenisowy; Michael nosił go zapięty pod szyją, tak samo jak Tom.

Sonny wyprowadził się do swojego domu na Manhattanie przy Mulberry Street, a kilka tygodni później Tom przeniósł się do akademika Uniwersytetu Nowojorskiego. Czy to z powodu ich odejścia, czy też dlatego że dorósł, w wieku trzynastu lat Fredo całkiem niespodziewanie stał się silnym, zdecydowanym młodym mężczyzną. Choć był nieco za niski, grał na obronie w drużynie futbolowej. Przez lata obijany na ringu, wygrał wreszcie niewielki turniej bokserki. Dostawał lepsze stopnie i wyróżniał się na lekcjach religii prowadzonych przez ojca Stefana. Wciąż był

nieśmiały wobec dziewcząt, lecz dla nich ta nieśmiałość okazała się pociągająca — tym bardziej że wiedzieli o jego zamiarze zostania księdzem.

366

Michael nie potrafił dokładnie wskazać momentu, w którym wszystko to uległo zmianie, gdy niezgrabność Freda przybrała ciemniejszy odcień, gdy samowystarczalność zmieniła się w pochłonięcie samym sobą. Musiało to przebiegać stopniowo, lecz Michaelowi zdawało się, że jednego dnia Fredo był słabeuszem, następnego dnia stał się silnym poważnym chłopakiem, a dzień później godzinami siedział zamknięty w swoim pokoju. W wieku szesnastu lat Fredo ogłosił to, co wszyscy oprócz matki podejrzewali: że nie chce już być księdzem. Zaczął chodzić na wagary.

Chodził na randki, ale tylko dlatego, że dziewczęta uważały go za niegroźnego. Wkrótce i on zaczął pracować w firmie Vita, ale ten dawał mu tylko zadania pomocnicze: przekazywanie wiadomości, poda

V w

it a

o nie

C

o k

rla

e w

o y

n,

e ro

st z

a ła

e d

o

p w

o y

d w

kr a

e n

śl ie

ał ,s

k

j r

a z

k y
n
we
ak
Ŝ z
n
a o
l
j i
ew
st ą
.

nauka. Czasem

siadywał z Michaelem na metalowych schodach i snuli wielkie marzenia o przyszłości chłopca. Vito prowadził takie rozmowy również z pozostałymi synami, ale tylko Tom, który miał właśnie rozpocząć studia prawnicze na Uniwersytecie Columbia, skończył

liceum. Michael kochał i szanował ojca, lecz gnębiła go obawa, że gdy skończy szesnaście lat, coś, co ma we krwi, pchnie go w świat opisany przez Toma.

Rozumiał ten świat tak, jak może go rozumieć jedenastolatek.

Latem, po powrocie Michaela ze szkoły, ojciec — z pewnością tylko w takie dni, kiedy nie spodziewał się Ŝadnych wydarzeń —

zabierał go czasem na obchód. Vito chodził od klubu do klubu, od restauracji do restauracji, od kawiarni do kawiarni, witał się z ludźmi, mówił, że już jadł, a potem i tak jadł. Wychodził, na pozór nie załatwiwszy Ŝadnego interesu, wymieniał tylko szeptem kilka krótkich zdań z właścicielami lokali.

Pewnego dnia Vita wezwano nagle, żeby spotkał się z kilkoma ludźmi w hurtowni Genca Puro. Kazał Michaelowi zaczekać na zewnątrz. Michael znalazł w bagażniku piłkę do baseballu i poszedł

odbijać ją o ścianę. Nagle zobaczył chłopaka, który właśnie w ten sposób się bawił. Nieznajomy

niał agresywnie irlandzkie rysy.

— To moja uliczka — oznajmił Michael, sam nie wiedząc dlaczego.

— Przestań — odparł chłopak. — Nikt nie jest właścicielem ulicy. — Uśmiechnął się szeroko, a potem roześmiał. Śmiech zabrzmiał jak ryk osła, lecz sprawił, że Michael poczuł się swobodnie.

367

Mimo to długo nic nie mówili. Stali obok siebie, odbijając wytarte piłki od ściany i starając się być lepszym od drugiego, mimo iż Saden nie był urodzonym graczem.

— Wiesz — rzekł wreszcie zdyszany Irlandczyk — mój tata jest właścicielem tych cięśarówek. A co w nich jest?

— Niektóre z tych cięśarówek należą do mojego taty. Wszystkie z napisem „Genco Pura Olive Oil”.

— Gorzała! — Akcent chłopaka przypominał akcent Katherine Hepburn, nie był ani amerykański, ani brytyjski, a zarazem i taki, i taki. Dopiero po chwili Michael zrozumiał, co powiedział młody Irlandczyk. — Tyle gorzały, że mogłby się urzącać cały Nowy Jork i połowa New Jersey.

Michael wzruszył ramionami.

— Tam jest napisane „oliwa z oliwek”. — Wiedział jednak, że większość cięśarówek przewozi alkohol. Był kiedyś w przyczepie.

— Gdzie nauczyłeś się tak gadać?

— Mogłbym zapytać cię o to samo. Jesteś Włochem, tak?

— Ja mówię normalnie.

— Pewnie. Chcesz wiedzieć, dlaczego gliny nie przyjdą tu aresztować wszystkich za sprzedaż nielegalnej gorzały? No, chcesz?

— Odbiło ci. W tych cięśarówkach jest oliwa.

— Bo mój tata daje łapówki wszystkim glinom w Nowym Jorku!

Michael spojrział w jedną, a potem w drugą stronę. Nikogo nie było, a mimo to nie podobało mu się, że chłopak mówi głośno o takich sprawach.

— Łiesz — powiedział.

Chłopak opisał szczegółowo, jak ojciec przekupuje policjantów.

Mówił bardzo dokładnie o morderstwach i pobiciach, które są konieczne, żeby zarabiać na

sprzedaŝy alkoholu. Albo miał bardzo bujnà wyobraŝniê, albo mówił prawdê.

— Wszystko zmyŝliłeś — stwierdził Michael.

— Słyszałem, ŝe wasi ludzie sà jeszcze gorsi.

— Po prostu za duŝo gadasz. Nic nie wiesz.

— Myśl sobie, co chcesz. Ciekawe, czy weźmiesz butelkê z ciêŝarówki i wypijesz tu ze mnà.

Michaelowi nigdy nie przyszłoby to do głowy, ale skinàł głowà i poszedł. Fredo pomagał jakiemuś męŝczyźnie rozładowywaç ciêŝarówkê. Michael powiedział im, ŝe ojciec chce ich widzieç.

Kiedy odeszli, wziàł z przyczepy butelkê kanadyjskiej whisky.

368

— Myślałem, ŝe stchórzysz — rzucił Irlandczyk.

— Źle myślałeś. Moŝe w ogóle słabo myŝlisz. — Michael otworzył butelkê i pociàgnàł łyk. Wódka paliła go w gardło, lecz nie okrył siê haŝbà. — Hej, jak siê nazywasz?

— Jimmy Shea — odparł chłopak, bioràc butelkê od Michaela.

Upił duŝy łyk i natychmiast zaniósł siê kaszlem. Padł na kolana i zaczął wymiotowaç.

Prawie natychmiast zjawili siê ojcowie, przyłapujàc dwóch jedenastoletków, którzy w biały dzieŝ, w samym ŝrodku czasów prohibicji, popijali whisky na ulicy. Musieli za to odpokutowaç.

Chłopcy nigdy wiêcej ze sobà nie rozmawiali, choç ŝcieŝki ich ŝycia biegly równolegle.

Kiedy zniesiono prohibicjê, Vito Corleone znów znalazł siê na rozstaju dróg. Zdołał zgromadziç niewielkà fortunê i nigdy go nawet nie aresztowano. Pieniędzy było tyle, ŝe on i jego rodzina mogli ŝyç komfortowo do końca swoich dni. On jednak wybrał

współpracê z Salvatore Maranzanem, królem nowojorskiego podziemia. Czy to było przeznaczenie Vita Corleone? Akt przebiegłości i oportunisty? A moŝe zrobił to po prostu dlatego, ŝe

był

w tym doskonały? A moŝe nie miał wyboru? Sonny i Fredo byli młodymi ludźmi bez wykształcenia i umiejêtności. Gdyby zostawiç ich samym sobie, obaj byliby prawdopodobnie martwi w ciàgu roku. Ale czy nie było legalnych interesów, które zamoŝny inteligentny męŝczyzna, taki jak Vito, mógłby prowadziç? Jeśli kiedykolwiek nadszedł odpowiedni moment, ŝeby Corleone prze

J n

e i

deś

n l

a i

k to, co stało się naprawdę, s

i

nę

a leŜy juŜ do historii.

do

Las V

Mae

r g

a a

n s

z i

a z

n a

o lega

wli

z z

g o

a w

rda

zlił swo

p j
r ą
o d
p z
o i
z a
y ła
c j l n
ą o ś ć
b,
y t o
c i w
a ła ś
r n
ó i e
w
n w
o t
r e
z d
ę y
d .
n y m

wspólnikiem Vita Corleone. Doprowadziło to do wojny Castellammarese.

Sojusznik Maranzana, Al Capone, wysłał do Nowego Jorku swoich dwóch najlepszych ludzi, żeby zabili Vita. Jednym był Willie

„Szpikulec” Russo, starszy brat przyszłego don. Umiejętność czerpania potęgi od tych, którzy jej nie mają, unikatowa cecha Vita Corleone, znów przyniosła owoce. Tragarz na dworcu w Chicago przekazał informację, którym pociągiem jadą zabójcy, a drugi, w Nowym Jorku, zaprowadził ich do taksówki, którą jeździł

człowiek pracujący dla Luki Brasiego. Brasi związał ich i straszakim toporem odrąbał im ręce i nogi, a później spokojnie patrzył,

369

jak umierają. Następnie obciął im głowy. W sylwestra Brasi wszedł

do restauracji i zastrzelił Maranzana. Vito przejął jego organizację, zreorganizował pozostałe interesy w Nowym Jorku i New Jersey, tworząc wspólnotę pięciu rodzin, którą znamy dzisiaj. Sam został

capo di tutti capi. Szefem szefów. Dokonał tego przy minimalnym rozlewie krwi, a jego nazwisko ledwie pojawiło się w prasie.

Młody Michael Corleone zauważył, że więcej mężczyzn trzyma straż przy jego ojcu, a ten częściej nie wraca na noc. Trzęsienie ziemi w Saden inny sposób nie dotknęło kamienicy w Bronksie.

Kiedy wiele lat później usłyszał, co się wówczas działo - był

zdumiony. Sonny się ośmielił, Tom skończył prawo. Connie dostała swojego

pierwszego

konia.

Michaela

wybrano

na

przewodniczącego klasy. Fredo wyszedł ze swojej skorupy i często zabierał

Michaela do miasta na bilard. Michael miał naturalny talent, widział

bile na stole jak w wizji. Fredo był dobrym graczem, ale miał

naturalną skłonność do pośpiechu, przewidywał uderzenia wcześniej od wszystkich oprócz najlepszych wyjadaczy. Każdy, kto

nie

doceniał spokojnego małomównego chłopca i jego miłego rozgadane go starszego brata, odchodził od stołu oskubany. Kiedy Fredo i Michael zostali pewnego razu wykołowani, Sonny znalazł

dwóch przegranych, którzy oszukali jego braci, skopał ich na śmierć w biały dzień i zostawił na środku Sto Czternastej Ulicy. Śledztwo w sprawie morderstwa prowadził detektyw, który był na liście płac rodziny Corleone. Skazano za nie nieuczciwego lichwiarza, pracującego dla rodziny. Michael dowiedział się o wszystkim wiele

lat

późn

P i

oej

k

ó o

j d

p s

a a

n m

o e

wg

a o

ł S

p o

r n

zen

zy

'e

p g
o o
n ,
a k
d tó
dry
zi e o
s p
ięo
ć w
i
l e
a d
t. z
ia
Kł
r m
aj ul etę
d h
wi i
es
to
z r
i i

pę
a,
ł
po
p n
o i
d e
c w
zaa
sŜ
uw
Wia
eŜ
l a
k li,
e Ŝ
g e
o jes
Kt
r b
y a
z r
y d
s z

u o

, za

a ba

pw

ó n

ż a

n .

i

e C

j ze

s m

ta u

n

ą F

ł red

d o

o i M

wa ilc

k h

i ael

w

m

s y

p ś

r l

a el

w i

i ,

e Ŝ

d e

li ty

w l

e k

j o

w ra

oj z

n iic

e,h

tw

y y

mro

czlo

a w

se an

m o?

Vi to Corleone w tych cięŜkich

czasach gromadził władzę i bogactwo. Sprowadził z Sycylii kamieniarzy, którzy wzniesli grobowce dla nieistniejących ludzi.

Okazały się one zaskakująco dogodnymi miejscami na przechowywanie milionów dolarów w

gotówce. Rodzina Corleone nada

P 1

e Ŝ

wy

nła

e

gsk

o ro

d m

ni n

a, i e.

długo po zapanowaniu pokoju, Michael stał

w szkole przy tablicy na lekcji geometrii, gdy rozległo się pukanie do drzwi. To był Fredo. Powiedział nauczycielowi, Ŝe chodzi o waŜną sprawę rodzinną. Michaelowi nie wyjaśnił niczego, dopóki nie znaleźli się w samochodzie.

370

— Postrzelili tatę. Dostał w klatkę piersiową. Lekarze mówią, Ŝe nic mu nie będzie, ale...

Michael ledwie go słyszał. Samochód wciąż Ŝ stał zaparkowany przed szkołą, lecz jemu zdawało się, Ŝe przejechał przez ogromną dziurę w asfalcie.

— Kto go postrzelił?

— Nikt — odparł Fredo. — Jakiś gang irlandzkich zasrańców, którzy nie umieją odróŜnić taty od patałacha, z którym prowadzi się wojenkę o terytorium. Ten głupi Mick podszedł do taty na ulicy i po prostu do niego strzelił. Po chwili wszyscy do niego waliliśmy.

— Do taty? — Wojna o teren? Gang? Nikt do tej pory nie uŜywał takich słów w obecności Michaela.

— Co? Nie. Jezu, Mikey, nie bądź głupi. — Fredo wrzucił bieg i ruszył z piskiem opon.

— Dokąd jedziemy?

— Do domu. W szpitalu jest za duŜy tłok.

Określenie „za duŜy tłok” było eufemizmem. Michael nie wiedział, co oznaczało, i nie drąŜył zagadnienia.

Carmela przed dziećmi udawała dzielną, lecz Michael przejrzał

jej grę. Kiedy wszyscy zasnęli, słyszał ją przez ścianę pokoju.

Modliła się, gdy zasypiał, i modliła się nadal, gdy się budził.

Popędził do kuchni, Őeby naszykować dla wszystkich śniadanie.

Chciał zdjąć z niej chociaŜ ten drobny cięŜar. Wygoniła syna z kuchni, ale gdy wychodził, uściskała go i zaczęła śpiewać po łacinie coś, czego nie rozumiał.

Późnym rankiem Fredo oznajmił, Őe czas jechać do szpitala, ale Michael odmówił.

— Wszystko będzie z nim w porządku, tak? — zapytał.

— Tak — potwierdził Fredo.

— Więc zobaczę go, kiedy wróci do domu.

Twarz matki się wydłuŜyła.

— Mam waŜny sprawdzian — wyjaśnił Michael. — Jeśli tacie nic nie jest, powinienem iść do szkoły.

Matka poklepała go po policzku i powiedziała, Őe jest dobrym chłopcem, i Őe ojciec byłby z niego dumny.

Nazajutrz Michael znów odmówił odwiedzenia ojca w szpitalu.

Fredo powiedział matce, Őeby zabrała Connie i poczekała w samochodzie. Potem wziął Michaela na stronę i zapytał, co, do jasnej cholery, próbuje udowodnić.

— Nie wiem — odparł Michael. — Nic.

371

— Nic? Przestań się wygłupiać.

— Pewnie się doigrał — burknął Michael.

— Co zrobił? Odbiło ci?

— Nie odbiło mi. Jest przestępcą. Przestępcy do siebie strzelają. Miał szczęście, Őe nie dostał

wcześniej. Wszyscy macie szczęście.

Cios Freda trafił go w policzek. Michael upadł na ulubiony fotel ojca i usłyszał głuchy chrzęst. Była to duża porcelanowa popielniczka z syrenką siedzącą na wyspie. Pękła w samym środku na

dwie

Mr

i ó

c w

ha n

e e

l c

n z

a ę

dś

ac

l i

.

nie chciał jechać do szpitala. Fredo dał za wygraną. Kiedy klej wysechł, rysa na popielniczce była prawie niewidoczna.

W dniu, w którym Vita miało wypisać ze szpitala, Carmela wstała o świcie i zaczęła szykować powitalny obiad. Przyszła cała rodzina: Sonny ze swoją młodą Sioną, Sandrą, Tom z narzeczoną Theresą, wszyscy. Vito wyglądał raczej na zmęczonego niż

osłabionego. Wydawało się, że szczególne względy okazuje Michaelowi. Nikt nie wspomniał o tym, że Michael nie odwiedził

ojca

w sz

Np

a i ta

s l

t u

o .

l

e pojawiały się kolejne dania, raz po raz wznoszono toasty, a w piersi młodego Michaela Corleone narastał gniew. Od szesnastych urodzin dzielił go mniej niż rok. Wciąż bał się, że zostanie wciągnięty w machinę interesów ojca. W świecie, którym władał Vito, nawet w czasach pokoju i dobrobytu nigdy nie mógł

czuć się bezpieczny, bo niezliczona rzesza ludzi uważała, że odniesie korzyść z jego śmierci. Michael kochał rodzinę całą duszą i sercem, a jednocześnie chciał wydostać się z tego mieszkania, z tej dzielnicy, miasta, uciec od tego sposobu życia. Dokąd, tego nie wiedział. Powód, dla którego chciał to zrobić, przekraczał

możliwości jego pojmowania. Dopiero jako bardzo stary człowiek będzie na tyle mądry, by uświadomić sobie, jakim szaleństwem jest próba poznania motywów rządzących ludzkim postępowaniem.

W chwili gdy Carmela skinęła na Connie, żeby córka sprzątnęła ze stołu przed podaniem deseru, Michael stuknął łyżką w kieliszek do wina. Wstał. Przez cały wieczór nie wznosił ani jednego toastu.

Patrzył tylko na ojca, który zastygł bez ruchu, trzymając widelec w powietrzu. Kiedy ich wzrok się spotkał, Vito uśmiechnął się nieznacznie. Widok uśmiechu na twarzy ojca w tak strasznej chwili sprawił, że Michael zagotował się w środku.

372

— Wolałbym umrzeć — rzekł Michael, podnosząc kieliszek —

nie wyrosnąć na człowieka takiego jak ty.

Pełne osłupienia milczenie zawisło nad stołem niczym ciężki wełniany całun. Wszyscy w polu widzenia Michaela zniknęli. Na świecie pozostało tylko dwóch ludzi.

Vito przełknął ostami kęs eskalopka i odłożył widelec. Delikatnie wytarł twarz, odłożył chusteczkę, a później spojrzał na najmłodszego syna zimnym spojrzeniem, jakiego nigdy nie skierował

na

ślad

Ge

a g

r o

dł c

o z

ło

Min

ck

ha r

e o

lad

z

siin

ę y

z .

acisnęło. Wciąż trzymał w dłoni kieliszek.

Spiął się w sobie. Był pewien, że za chwilę usłyszy śmiech ojca albo drwiące zdanie, że upłynie jeszcze dużo wody, zanim w ogóle stanie się mężczyzną.

Ojciec tymczasem wciąż na niego patrzył.

Michael poczuł dreszcze, a później nogi zaczęły się pod nim uginać. Kostki prawej dłoni zbieleły na tle szkła kieliszka. Kieliszek pękł. Wino, krew i kawałki szkła spadły na stół, a mimo to nikt wciąż nie powiedział ani słowa. Michael starał się stać nieruchomo, choć drżał.

Po długim milczeniu Vito Corleone sięgnął po swój kieliszek.

— Przyłączam się do twojego życzenia — rzekł cichym głosem, niewiele głośniejszym od szeptu. Opróżnił kieliszek i odstawił go bezszelestnie. — śyczę ci powodzenia — dodał, nie odrywając wzroku od syna.

Kolana Michaela nie wytrzymały. Usiadł.

— Wyświadczyć matce przysługę — powiedział Vito, wskazując pęknięty kieliszek. — Posprzątaj to,

proszę.

Michael spełnił polecenie. Connie i matka wstały, żeby posprzątać ze stołu i podać deser, lecz wciąż nikt się nie odzywał. Na stole pojawiły się *sfogiatelle* i kawa, a jedynymi słyszalnymi dźwiękami były brzęk łyżeczek i odgłosy jedzenia. Michael owinał

chusteczką zakrwawioną rękę i jadł ze spuszczoną głową. Nawet Fredo nie próbował obrócić wszystkiego w śmiech i załagodzić sytuację.

Nikt z rodzeństwa Michaela nigdy nie próbował zbuntować się przeciwko ojcu. Santino był jak zaciekle pies, ślepo wierny swoim panom. Fredo nieudolnie zabiegał o uznanie ojca. Tom, choć nie płynęła w nim krew Corleone, starał się o nie równie gorąco 373

i powiodło mu się o wiele lepiej. Connie, jedynej dziewczynce w rodzinie, przypadła rola potulnej, uwielbiającej rodziców córki, która jej odpowiadała. Trwała w niej jeszcze długo po śmierci Vito. Tylko Michael czuł potrzebę buntu — przewrotna prawidłowość jest taka, że w większości rodzin ulubione dzieci wybierają

właś

B n

y iłe

tta

o ką

b

u d

n r

t o

g

d ę

o .

bręgo syna włoskiej rodziny i w najmniejszym stopniu nie obracał się przeciwko matce. Michael uwielbiał ją tak bardzo, że przez jakiś czas Vito martwił się, czy jego najmłodszy syn wyrośnie na prawdziwego mężczyznę. Nie zrobił niczego, co postawiłoby rodzinę w kłopotliwej sytuacji. Nie sprzeciwiał się rodzicom, lecz każdy wybór, którego dokonywał, wydawał się afromtem świadomie wymierzonym w ojca.

Kiedy Fredo powiedział mu, że ojciec zadaje pytania dotyczące jego męskości, Michael przestał pokazywać się w pobliżu domu z dziewczynami tylko po to, by podtrzymywać te wątpliwości.

Kiedy Sonny na siedemnaste urodziny zaproponował mu prostytutkę, Michael powiedział, że jego dziewczynie by się to nie spodobało. „Jakiej dziewczynie?“, spytał Sonny, a Michael pojawił się

w niedzielę na obiedzie z piersiastą blondynką, z którą spotykał się od miesiący, choć z przerwami. Co kilka tygodni przyprowadzał

nową dziewczynę. Śadna z nich nie była Włoszką. Gdy za którymś razem ojciec zwrócił na to uwagę, Michael odrzekł, że kocha matkę, ale na całym świecie nie ma podobnej kobiety i nigdy nie będzie. „Nic mi do tego“, szepnął jakiś czas później Vito. W jego głosie była aprobata. Przez następnych siedem lat Michael nie przyprowadził do domu Śadnej dziewczyny. Dopiero na weselu Conn

Złie

o

Śz

yjła

w

p i

ał

p s

i i

eę

r z

yK

d a

o y.

P rinceton oraz Columbi i został przyjęty na obie uczelnie. Wybrał Columbię, ponieważ Tom studiował

tam prawo. W połowie pierwszego semestru dowiedział się, że ojciec przekazał znaczną kwotę na

rzecz uniwersytetu. Spotkał

się z Tomem na lunchu w hotelu Plaza i powiedział mu, że odchodzi z uczelni. Zapytał, czy może zostać później z Tomem i Theresą. Tom pracował na Wall Street, mieli mieszkanie w centrum miasta.

— Weź korepetycje — doradził Tom. — Wielu studentów ma kłopoty na pierwszym roku.

— Dostaję same piątki — odparł Michael. Wyjaśnił Tomowi, dlaczego odchodzi.

374

— Gdyby wszyscy studenci, których ojców stać na wspieranie szkoły...

— Nie obchodzą mnie wszyscy. Chcę tam być tylko dzięki moim zdolnościom.

— Jesteś tak naiwny, że nie mogę na ciebie patrzeć.

— Więc zgadzasz się? — spytał Michael. — Na pewno będziesz musiał zapytać Theresę.

Tom pokręcił głową i oznajmił, że może przemawiać w imieniu Theresy. Jeśli Michael chce popełnić największy błąd w swoim życiu, to on go nie powstrzyma.

Po zakończeniu semestru Michael, uzyskawszy same najwyższe oceny, rzucił uniwersytet należący do prestiżowej Ivy League i próbował znaleźć pracę. W końcu sfrustrowany zapytał Toma, czy może mu pożyczyć trochę pieniędzy na kurs w City College.

Tom odparł, że jeśli Michael chce pożyczać pieniądze, to powinien pożyczać na naukę w Columbi. Michael tego nie skomentował.

— Właśnie tak zachowałby się stary — zauważył Tom. Zrobił

pauzę, lecz Michael nie zapytał, co miał na myśli. Tom sam odpowiedział: — Milczenie.

Michael zachowywał je nadal. Theresa zdążyła sprzątnąć ze stołu, zanim ktokolwiek się odezwał.

— Nie uciekniesz przed tym, kim jesteś — stwierdził Tom.

Michael się roześmiał.

— To jest Ameryka, mój osierocony przyjacielu. Tu wszyscy uciekają przed tym, kim są.

W oczach Toma błysnął gniew. Ale tylko przez chwilę.

— Jeśli chcesz pieniędzy, to wiesz, gdzie możesz dostać ich tyle, ile ci potrzeba, na wszystko. Nie będę się w to więcej mieszał.

Michael poczuł, że znalazł się w pułapce. Mógł przeciwstawić się ojcu, prosząc, by ten przyjął go do rodzinnego interesu, lecz to nie wchodziło w rachubę. Ojciec chciał, żeby Michael się kształcił,

osiągał dobre wyniki, został lekarzem, prawnikiem, profesorem.

To było jego pragnienie. Chciał, żeby Michael poszedł zupełnie inną drogą niż on. Ale jak miał znaleźć drogę, która nie została przetarta dla niego niewidzialną ręką ojca? A nawet więcej niż

przetarta. Pokryta asfaltem, oświetlona reflektorami, w których stronę miał się zwrócić i zaopatrzona w mocne poręcze.

W którą stronę miał się zwrócić?

Ojciec budował dom na Long Island, na wiosnę rodzina miała się przeprowadzić — oczywiście Connie, która skończyła szesnaś-

375

cie lat, ale także Fredo, wciąż mieszkający z rodzicami.

Sonny'emu i Sandrze właśnie urodziły się bliźniaczki, wszyscy mieli zamieszkać w domu obok. Na planie domu ojca było pomieszczenie

oznaczone napisem „Pokój Michaela”. Kiedy Michael to zobaczył, doznał tego samego duszącego uczucia, które dopadło go w wieku szesnastu lat, gdy zdawało mu się, że rodzinny interes wyciągnie po niego łapy.

Padł ofiarą przekleństwa młodych ludzi: wiedział tylko, czego nie chce. Śycie, którym kieruje unikanie czegoś, jest jak drużyna próbująca nie przegrać. Jak skoczek spadochronowy, który stara się wylądować gdziekolwiek, byle nie na pobliskim drzewie. Jak komiwojażer, który może spać w stodole, byleby tylko nie musiał

w niej spać. Jak dwoje kochanków w rajach, mogących robić wszystko *oprócz*.

I tak Michael Corleone zrobił to, co zrobiło tysiące młodych mężczyzn w latach trzydziestych: wstąpił do Cywilnego Korpusu Konserwacyjnego.

Większość członków korpusu, rzecz jasna, stanowili mężczyźni pozbawieni

wszelkich

możliwości,

snujący

opowieści

o

rozpaczliwej biedzie, której Michael nigdy przedtem nie rozumiał

(mimo

ŝe rodzice opowiadali o ŝyciu w podobnych warunkach). Trafił do Winooski River Valley w stanie Vermont. Zasadził niezliczoną liczbę drzew i przerzucił setki ton ziemi. W odróŝnieniu od innych Włochów bez słowa skargi jadł pozbawione smaku posiłki. Wciąż

przekręcano jego nazwisko, a on nigdy nikogo nie poprawiał.

Zgłosił się na ochotnika do pomocy nauczycielom prowadzącym wieczorowe lekcje w obozie i wkrótce zaczął kierować całym programem edukacyjnym. Nauczył czytać setki męŝczyzn. Wielu z nich było Włochami, którzy ledwie umieli czytać po włosku, kiedy Michael zaczął z nimi pracować. Tak jak wszyscy inni dostawał za pracę trzydzieści dolarów na miesiąc, z których dwadzieścia dwa od razu potrącano i wysyłano rodzinie. W nocy leŝał

w łóŝku i próbował sobie wyobrazić twarz ojca, gdy raz w miesiącu odbierał taki czek. Michael Corleone był szczęśliwszy tylko dwa razy w ŝyciu. Wtedy, kiedy ubiegał się o względy przyszłych ŝon: Kay (

W dr

o u

b g

o i

ze

i j

e ŝo

b n

ył y

o, o

o

kk

otłó

or etj

y r

s ę

i k

ą ę

c

a ub

mie

ę g

Ń a

c ł

z ysi

z ę

n

. naj

W p

i i

ę e

k r

sw

z)

o śi

ć A

s p

t o

a l

n l

oon

wiili

i

(tp

a ie

c r

y w

, s

k z

t e

órj

yŝ

co

hn

y

r ,

o o

d

zk

i t

n ó

y rą

o s

d t

d a

z r

i a

e ł is

ł i

yę

sp

i ó

ę źn

o i

d e

j

e)

u.

ropejskich korzeni jedno

lud dwa pokolenia wcześniej. Jeśli coś ich jednoczyło, to дума 376

z tego, że są Amerykanami, potęgowana wspólną, codziennie wypełnianą misją. Więc kiedy Niemcy zajęli Czechosłowację, ci, którzy pochodzili z Niemiec, nie odczuwali wrogości ze strony czeskich lub słowackich towarzyszy. Nacjonalistyczna gorączka w Winooski Valley dała o sobie znać tylko po włoskiej inwazji na Albanię i wojnie rosyjsko-fińskiej, lecz jej źródłem była obawa o to, co stanie się później i w jaki sposób dotknie to Stany Zjednoczone.

— Będzie nam inaczej — rzekł pewnego wieczoru Joe Lucadello. On też był nauczycielem. Byli ostatnimi w budynku, w którym

odbywały się zajęcia. Właśnie zamykał go na klucz. — Nam, to znac

R z

o y

d W

zin ło

a ch

J o

o m

eg .

o Zo

p b

o a

c c

h z

o y

d s

z z

ił.

a z Genui, a obecnie mieszkała w

Camden w stanie New Jersey. Joe chciał kiedyś zostać architektem,

ale

jego rodzina straciła wszystko w czasie krachu na giełdzie. Teraz projektował mury oporowe i daszki altanek. Bystry i chudy jak szcza

—p

a,

T b

o ył

s

ana

mj

ol ep

p s

r z

z y

y m

sz

ł p

o r

zy

m jia

c

die

o lem

gł

o M

w i

y c

hae

— la

z

gw

o k

dzo

i r

ł pu

si s

ę i e.

Michael.

Gdyby Ameryka została wciągnięta w wojnę w Europie, wszyscy obywatele włoskiego pochodzenia staliby się podejrzani.

— Niemcy wyglądają jak...

— Wiem — wpadł mu w słowo Michael. — Masz rację.

— Nie śmieję się, ale obmyślam plan zabicia Mussoliniego.

— Przestań — roześmiał się Michael. — Jak zamierzasz to zrobić?

— Nie powiedziałem, że wiem, jak. Powiedziałem tylko, że opracuję plan.

Joe łączył w sobie dwie rzadkie cechy: był zaradnym kombinatorem, gotowym do działania, i myślał praktycznie, lecz miał

teś sz

— c

zy

Nip

e t ę

z i

b d

li e

ś a

y liz

b m

yś u

s.i ę do Mussoliniego na pięć kilometrów. Nikt tego nie dokona.

— Pomyśl. Czytasz duŝo ksiąŜek historycznych. Nigdy nie było człowieka — bohatera, łotra, króla czy innego przywódcy —

którego nie dałoby się zabić.

To była otrzeźwiająca myśl. Michael dotąd się nad tym nie zastanawiał, ale musiał przyznać, ŝe być moŝe Joe ma rację.

— Pewnie jak skończysz z Mussolinim, to zabierzesz się za Hitlera.

— Wiem, ŝe to tylko mrzonki — westchnął Joe. — Nie jestem 377

głupcem. Wiem, ŝe się do tego nie nadaję. Po prostu trudno patrzeć, jak świat toczy się swoim torem i nic z tym nie robi.

Co do tego się zgadzali. Prastary rozdzźwięk między Włochami z Północy i z Południa w ŝaden sposób nie wpływał na ich przyjaźń czy wspólną pogardę dla Mussoliniego. Bali się wojny, a zarazem jej pragnęli. Pragnęli jej, bo wojna doprowadziłaby do upadku duce, a ludziom takim jak oni dałaby szansę udowodnienia swojej wartości w oczach Amerykanów.

Poza rym była kwestia Ustiki. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Mussolini podpisał pakt o sojuszu z Hitlerem w ramach osi, wysłał swoją armię na Sycylię z rozkazem pojmania wszystkich męŝczyzn naleŝących do mafii lub o to podejrzewanych i uwięzienia ich na maleńkiej wysepce Ustica (Vito wciąż uwaŝał

Mussoliniego za jeszcze jednego próŝnego oprawcę, którego czas przyszedł i minie). Rozmawiając o ludziach uwięzionych na Ustice, Michael i Joe ubolewali, ŝe odmówiono im obowiązującego w Ameryce prawa do uczciwego procesu. Michael w ŝaden sposób nie zdradził, ŝe jego ojciec ma związki z tymi ludźmi. Joe znał

rodzinę Corleone jako importerów oliwy. W obozowej kuchni stały jej całe skrzynie.

W czerwcu 1940 roku, gdy Włochy wypowiedziały wojnę aliantom, Joe Lucadello wpadł na pewien pomysł.

— Jedziemy do Kanady.

— Co jest w Kanadzie?

Joe sięgnął po wycinek z gazety. W artykule napisano, ŝe Królewskie Kanadyjskie Siły Lotnicze poszukują doświadczonych amerykańskich pilotów. As powietrzny z pierwszej wojny światowej,

Billy Bishop — „kanadyjski Eddie Rickenbacker”, jak nazwał

go aut

— or

W—

sp m

an i

i a

a ł

l

eo

sob

— i

pśc

o ie

wi n

e a

d d

zi z

a o

ł row

Mi a

c ć

h

a s

ez

l k

. ole

— ni

Ae

l .

e my nie jesteśmy

doświadczonymi pilotami.

Joe wszystko obmyślił. Miał przyjaciela, polskiego śyda z Rhode Island, który pracował jako pilot w Cywilnym Korpusie Konserwacyjnym: gasił poŜary, zrzucając wodę z samolotu i rozpylał

DDT na polach dotkniętych plagą szkodników. Joe poprosił kolegę, Ŝeby udzielał im lekcji, a później wszyscy trzej pojechali do Ottawy, Ŝeby się zaciągnąć. Joe udatnie podrobił licencje dla siebie i Michaela. Wszyscy trzej zostali przyjęci. Dwa dni później Billy Bishop

osobiście wszedł do koszar i zawołał Michaela Corleone (poprawnie w

3 y

7 m

8 awiając nazwisko, co źle wróŜyło Michaelowi). Chciał zobaczyć jego licencję. W sali było wielu męŜczyzn bez licencji, pilotów samolotów rolniczych czy skoczków spadochronowych, którzy kilka miesięcy później walczyli w powietrzu z Luftwaffe. Nie chodziło o licencję. Michael był pewien, Ŝe w jakiś sposób ojciec dowiedział się o miejscu jego pobytu. Nie było sensu powoływać się na sfałszowaną licencję, bo w ten sposób mógłby zdradzić równieŜ Joego.

— Przykro mi, sir — rzekł Michael do Billy'ego Bishopa —

ale nie mam.

Potem wsiadł do autobusu, wrócił do obozu i znów zajął się pracą. Pół roku później siedział w innym autobusie, jadącym do Nowego Jorku. Wybierał się na mające być niespodzianką przyjęcie urodzinowe ojca. Nagle kierowca usłyszał wiadomość o Pearl Harbor. Zjechał na pobocze i drŜącą ręką przekręcił gałkę potencjometru. Po pewnym czasie ruszyli w dalszą drogę. Michael prosto

z dworca poszedł na Times Square. Plac roił się od facetów przechwalających się, jak będą zabijali wrogów. Michael stanął

w kolejce do korpusu powietrznego, lecz nagle zjawił się oficer i poinformował, że wszyscy, którzy mają mniej niż metr siedemdziesiąt siedem, muszą szukać zemsty na Japończykach w innym

rodzaju służby. Michaelowi do spełnienia normy wzrostu brakowało dwóch centymetrów. Piechota morska też pasowała do jego ideałów.

Elitarna jednostka strzelecka, twardsza od innych, z rygorystyczną procedurą inicjacyjną i uświęconym kodeksem honorowym.

Obowiązywał tam ten sam wymóg wzrostu, lecz emocje były bardzo

napię

Ulte

u .

b i M

on i

y c

h

s a

y e

n l s

V p

it o

a jr z

C a

o ł r len

oa

ne p

o

b r

yu

ł cz

o n

stik

at a

n i p

ą ro

o w

so a

b d

ą z

ą

n c

a e

g

p o

r

zyn

j a

ę b

ció

ur,

i

ktn

óarw

a ią

z z

a a

w ła

o ła s

ł i

a ę

: „ m

N ię

e d

s z

p y

o

d n

ziim

an i

kan

! i"ć

.

porozumienia. Michael złapał

taksó

Vi w

tok

ę

z i

e po

st je

oich

ka

i ł d

m os d

p o

o m

kou

j

eo j

mc

a.

przjął nowinę Michaela. Zadał

pytania, które zadałby każdy kochający i zatroskany ojciec. Było jasne, że nie pochwała decyzji syna, lecz ani razu nie powiedział

tego głośno.

W ciągu następných dni amerykańskie władze zebrały włoskich obywateli i zatrzymały ich jako jeńców wojenných (piekarz Enzo spędził dwa lata w więzieniu w New Jersey). Aresztowano też

cztery tysiące amerykańskich obywateli z włoskimi nazwiskami.

Znaleźli się wśród nich rodzice Theresy Hagen, ale nie postawiono im zarzutów i szybko zwolniono. Setki ludzi pozbawionych tak 379

pierwszorzędnej opieki prawnej pozostały w więzieniu o wiele dłużej — miesiące, a nawet lata — mimo że ich także nie oskarżono o popełnienie śadnego przestępstwa.

Przed Bożym Narodzeniem rząd wydał rozporządzenie ograniczające pracę amerykańskich Włochów w gałęziach przemysłu związanych z obronnością. W całym kraju zwalniano pracujących, przestrzegających prawa dokerów, robotników fabrycznych i sekretarki maszynistki.

Michael był już wtedy na wyspie Parris, czołgając się jak płaz po parkingu pokrytym pokruszonymi muszlami ostryg.

Cztery procent ludności Ameryki pochodziło z Włoch. Mieli stanowić dziesięć procent ofiar wojennych.

Wszystko, co Michael Corleone wyfasował od rządu Stanów Zjednoczonych, było za duże: hełm, mundur, nawet buty. Prawie tego nie zauważał. Był dumny, że jest członkiem marines i widział

to, co chciał zobaczyć. Kiedy jego matka pierwszy raz zobaczyła zdjęcie najmłodszego syna ubranego w coś, co bardziej przypominało przebranie karnawałowe niż mundur, zalała się łzami

i

nie

przestała płakać przez trzy dni. Później postawiła fotografię na kominku. Ilekroć ją widziała, przechodząc, znów zaczynała płakać.

Ale

Pn

l i

uk

t t

o n

n ie

Msim

c i

h a

a ł

e lje

a j r

C u
o s
r z
l y
e ć
o .

ne na wyspie Parris liczył czterdziestu siedmiu

Ŝołnierzy,

wszyscy

pochodzili

ze

Wschodu.

Południowców było tyle samo, co urodzonych na Północy.

Michael

nigdy

przedtem nie był na Południu. Wiedział o rywalizacji między Północą i Południem we Włoszech i zdziwił się, Ŝe tu jest bardzo podobnie. Jako Ŝe pochodził z południowych Włoch i północnej części Stanów, widział obie strony. Wybuchwały kłótnie o nic. Na przykład o muzykę. Południowcy lubili muzykę, którą Ŝołnierze pochodzący z Północy nazywali gównobiciem. Oni zaś słuchali Cole'a Portera i Johnny'ego Mercera, kawałków z klasą, przy których można tańczyć. Michael znał od dzieciństwa Johnny'ego Fontane, lecz nie zdradzał się z tym w czasie licznych sporów o gusty muzyczne. Ilekroć drobna zwada pozwalała im zapomnieć o prawdziwym wrogu, instruktor umiał się postarać, Ŝeby tego Ŝłowali, sam stając się ich prawdziwym wrogiem.

Wszyscy przybyli do obozu z lękiem przed strachem, przed tym, Ŝe nie spełnią obowiązku, kiedy

380

nadejdzie czas. Godzinę później bali się sierŜanta Bradshawa bardziej niż kogokolwiek innego. Michael był spokojnym sprawnym Ŝołnierzem, a mimo to dzień w dzień był przekonany, Ŝe instruktor w kaŜdej chwili może go zabić. W nocy leŜał, pocąc się i myśląc o tym, Ŝe system

obozów szkoleniowych jest geni

P a

o ln

d y

ej .r zenie Michaela, Œe wymóg wzrostu w korpusie wprowadzono przynajmniej po części po to, by trzymać Włochów z

dala

od elitarnych jednostek, potwierdziło się, gdy odkrył, Œe w jego plutonie jest jeszcze tylko jeden Œołnierz obcego pochodzenia.

Tony Ferraro, teŒ chłopak z Nowego Jorku, był łapaczem w druŒynie futbolowej w jednej z niŒszych lig. I na łapacza wyglądał: niski, krępy, z łysiną na Œrodku głowy. Podobnie jak Michael, zgłosił się po usłyszeniu komunikatu o Pearl Harbor, lecz wkrótce jego prawdziwym marzeniem stało się dotarcie do Włoch i posłanie Mus

Tso

o l

n in

y ie

go

M

i d

c o

h

ap

e ile

k

b ła

yl.i najniŒszymi Œołnierzami w plutonie. Nie umieli szybko biegać i słabo strzelali, lecz przybyli do

obozu szkoleniowego w lepszej formie fizycznej niż większość pozostałych. I bardzo im to pomogło, gdy wszystko, co słyszeli wcześniej o szkołkach marines, okazało się prawdą. Rekruci przewracali się, wymiotowali, rzygali krwią. Michael nauczył

się lubić ćwiczenia. Śal mu było plutonów, których sierżanci odprawiali

Śołnierzy

do koszar po czterech godzinach

maszerowania po kolana w piasku, zamiast po ośmiu, jak to miał

w zwyczaju sierżant Bradshaw. Kiedy obóz się skończył, sierżant po raz pierwszy, zwracając się do rekrutów, uśył słowa

„Śołnierze”.

Kaśdy z nich go kochał. Wielu płakało, nie wstydząc się tego.

Michael, który nie lał łez. znów pomyślał, Śe to co mu zaaplikowano w obozie, było genialne.

Kilka miesięcy później Tony Ferraro brał udział w zajmowaniu wyspy tak małej, Śe nie miała nazwy ani nawet znaczenia wojskowego. Japoński snajper trafił go prosto w serce.

Przed świtem Śołnierze wzięli karabiny, załŚyli plecaki i stanęli na baczność wzdłuŚ rzędu czekających na jałowym biegu cięŚarówek. Kapral z topornym południowym akcentem wyczytywał

nazwiska i ogłaszał przydziały. Zgodnie z oczekiwaniami Michaela 381

zmasakrował jego nazwisko. Jednak wstrząs nastąpił później, kiedy kapral wypowiedział swoją kwestię do końca.

Obóz Elliot, karabiny M1, piechota. Michael Corleone miał

walczyć na Pacyfiku.

Jego marzenie o wyzwoleniu Włoch legło w gruzach. Ale co miał zrobić, napisać do swojego deputowanego w Kongresie?

Prawdopodobnie to właśnie ten człowiek (po nieznacznym skinieniu głową ojca Michaela) załatwił mu taki przydział.

Michael niczego po sobie nie pokazał. Marine idzie tam, dokąd go posyłają.

Południowiec z obozu Elliot podał mu rękę. „Witamy na po-kładzie, Dziago!”, rzekł, wciągając Michaela do przyczepy.

Tak marines nazywali San Diego: Dziago. Michael wiedział, że tamtemu chodziło o coś innego, ale nie chwycił przynęty. Byli żołnierzami piechoty morskiej, a dopiero później Amerykanami.

Wszystko inne miało znaczenie drugorzędne.

Michael nigdy też nie widział Zachodu. Większą część podróży wojskowym pociągiem spędził przy oknie, patrząc jak zaszarowany. To była dobra okazja, by przyjrzeć się dobrze temu, o

co

walczył. Nie był jednak przygotowany na ogrom, majestat i piękno tego kraju. Im dalej na zachód jechał, tym mocniej zakochiwał się w os

Z tarty

r m

zy p

mo

a s

l z

i ar

s p

i a

ę ny

n m

a k

p ra

usjto

yb

nra

n z

e ie.

ć wiczenia około pięćdziesięciu

kilometrów od Las Vegas, gdzie przed kilkoma miesiącami otwarto pierwsze duże kasyno. Tej nocy Michael zabił gołymi rękami królika, a później jadł jego mięso w zimnym *arroyo*. Patrzył na niezemską poświatę miasta, które wizjonerzy tacy jak on mieli zmienić w centrum przemysłowe — centrum, które będzie kwitło jeszcze długo po upadku państw osi, imperium brytyjskiego, Związku Radzieckiego, po tym, jak większość amerykańskich fabryk i stalowni upadnie lub przeniesie się do południowo-wschodniej Azji.

W San Diego znów czekało Michaela kilka tygodni wykładów, ćwiczeń walki wręcz i sprawdzianów z pływania, to były ostatnie szlify. Lecz kiedy zaczęły się przydziały do jednostek bojowych, Michaela znów czekało rozczarowanie. Miał trafić do straży. Na czas nieokreślony.

382

Gdy tylko znalazł chwilę czasu, poszedł do automatu i zadzwonił

do Toma. Hagenowie właśnie jedli obiad. W tle słychać było płacz dziecka.

— Chcę cię o coś zapytać, Tom. Jeśli mnie okłamiesz, będę wiedział. Między nami nigdy nie będzie tak samo.

— Jeśli pytanie zaczyna się w ten sposób, to mężczyzna nie powinien go zadawać — odparł Tom.

Michael był młody i trudno było odwieść go od powziętego zamiaru. Nadejdzie czas, gdy zrozumie, że Tom właśnie odpowiedział na jego pytanie.

— Czy tata miał coś wspólnego z moim przydziałem?

— Z przydziałem do czego?

Michael zniżył głos.

— Nie wstąpiłem do korpusu marines po to, żeby być gliną.

— Jesteś gliną? — zdziwił się Hagen.

Michael odwiesił słuchawkę. Kilka dni później, w czasie patrolu stał na nabrzeżu z karabinem na ramieniu, patrząc, jak koledzy, do których zdążył nabrać zaufania, wypływają na statku, przechwalając się, ilu Japońców kropną. Nigdy żadnego z nich nie zobaczył.

Najgorszym zadaniem dla straży było nakłanianie cywilów, by przestrzegali przepisów o zaciemnieniu. Ludzie uważają, że ich sytuacja jest wyjątkowa i nie sposób przemówić im do rozsądku.

W ciągu pierwszych kilku nocy Michael miał ochotę rozwalić ich gładkie zadufane gęby kolbą karabinu, lecz szybko wpadł na lepszy pomysł. Jego dowódca, który miał o cywilach jeszcze gorszą

opinię, uznał pomysł za doskonały.

— Nigdy nie przyszło mi do głowy, że powiem to do Włocha, ale może być z ciebie niezły materiał na oficera — pochwalił.

Michael wziął dwóch ludzi i poszedł do magazynu ropy na północ od miasta, tuż nad brzegiem. Stały tam dwa duże zbiorniki na ropę, oba puste. Przyjemnie było oddalić się od zrzędzących cywilów, a przy okazji wykorzystać umiejętności posługiwania się materiałami wybuchowymi.

Nazajutrz gazety i radio (anonimowym źródłem informacji był

Michael, podający się za swojego dowódcę) doniosły, że zbiorniki zostały ostrzelane przez japońską łódź podwodną, która dzięki 383

temu, że mimo zakazu w mieście paliły się światła, z łatwością trafiła w cel.

Od tego dnia znacznie łatwiej było egzekwować zaciemnienie.

Michael zwracał się do przełożonych wszystkich szczebli w bazie Elliot, starając się o zmianę przydziału. Chciał nawet zapisać się na kurs pilotażu. Na początku wojny piloci musieli być absolwentami wyższych uczelni, lecz zmieniono przepis, tak że każdy, kto uzyskał sto siedemnaście punktów na egzaminie wstępnym, mógł się o to ubiegać. Michael przystąpił do egzaminu, zdobył sto trzydzieści punktów, ale nic się nie stało. Po jednej z wielu

czterogodzinnych wart przed gabinetem admirała Kinga zdołał

z nim porozmawiać. Admirał obiecał osobiście zajrzeć w papiery.

Mówił nawet z optymizmem o możliwości przeniesienia do Europy.

Nic z tego nie wyszło. Michael spędził tam rok, który ciągnął się jak dz

W ie

k s

o ię

ń ć

c

u l a

z t.

orientował się, że sekretarz admirała odwała za szefa całą papierkową robotę i podpisuje

większość dokumentów.

ZauwaŜył teŜ, Œe sekretarz lubi pewien rodzaj muzyki, wic załatwił jemu i jego Œonie miejsca w pierwszym rzdzie w Hollywood Bowl na wystp jedyne go i niepowtarzalnego John

Kn

ily

k'e

a g

o

d

n F

i o

p n

ó t

a

m

i e

e .

j

został przydzielony do batalionu bojowego.

Oddział wypłynł statkiem bdcym kiedys luksusowym liniowcem, pomalowanym na szaro jak pancernik i uzbrojonym w dziaa.

Ciasno upakowani Œonierze spdzili na statku kilka tygodni. Byli juŜ prawie w porcie, nim pado pierwsze oficjalne sowo o tym, Œe wysi

W d

a 

l

k w

i G

trua

w d

ała

yl can

o a

d l . miesięcy, nocą japońskie krąŜowniki

ostrzeliwały plaŜę, wciąż utrzymywały się gniazda oporu. Setki japońskich

Ŝołnierzy nadal broniło się w podziemnych tunelach, lecz bitwa była

P lsk

aŜo

a ņ

cz

n o

a na

G .

uadalcanal wyglądała jak złomowisko spalonych pojazdów wszelkiego rodzaju — czołgów, jeepów, amfibii — lecz kiedy Michael po raz pierwszy zobaczył wyspę z zielonymi palmami kokosowymi i białym piaskiem, i tak wydała mu się tropikalnym rajem. Brakowało tylko pięknych dziewcząt.

Michael zszedł po siatce do łodzi desantowej. W oddali słyhać było eksplozje, ale nikt do niego nie strzelał, kiedy lądowali. Na 384

plaŜy potknął się o coś miękkiego i przewrócił. Wstał i dobiegł do linii drzew. Padł na ziemię obok kłębow splotanego drutu i stosu poczerńiałych trupów. Smród spalonego rozkładającego się mięsa był tak silny, Ŝe raczej naleŜałoby go nazwać smakiem: sięgał

głęboko do nosa i gardła. Michael obejrzał się i zobaczył, Ŝe to, o co się potknął, teŜ było ciałem.

Japońcy zostawiali swoich poległych, pozwalając im gnić lub spłynąć z falami do morza. Te trupy

były pierwszymi, widzianymi przez Michaela poza domem pogrzebowym.

Marines, którzy powitali nowe oddziały, wyglądali identycznie: byli brudni, zarośnięci i zmęczeni. Mało mówili. Rozgadani hałaśliwi przybysze w czystych mundurach nagle wydali się chłopcami

bawiącymi się w Indian i kowbojów. Tamci byli wojownikami.

Gdy zabrali Michaela na pierwszy patrol, strzelał do każdego szeleszczącego liścia. Oni tylko się uśmiechali i przygarbieni przemykali przez dżunglę. Kiedy padali na ziemię, Michael robił

to samo. Mógł być pewny, że za chwilę polecą w jego stronę kule, poci

Dsrk

ui

gs

i m

egu

og

o

d w

ni e

a , b

p o

o m

b b

yt y

u ,

g

n r

a a

n

Ga

uty

a .

d alcanal stał na warcie na skraju

lotniska. Usłyszał nadlatujący samolot. Był to hellcat. Sunął, zawadzając o wierzchołki drzew i ciągnąc za sobą pióropusz dymu.

Samolot wylądował twardo sto metrów od Michaela i stanął

w płomieniach. Michael rzucił się pędem na ratunek pilotowi.

Wtedy podjechały dwa jeepy pełne ludzi, a dowódca plutonu Michaela, sierŜant Hal Mitchell, ryknął na niego, Őeby wracał na stanowisko. Płomienie były za gorące. Samochód straŜy poŜarnej został wcześniej ostrzelany, a sprzęt, który mieli Őołnierze, ledwie nadawał się do ugaszenia poŜaru namiotu. Michael widział kabinę.

Uwięziony pilot krzyczał z bólu. Spojrzał prosto na Michaela, błagając wzrokiem, aby ten go zastrzelił. Michael złapał karabin, lecz sierŜant nie wydał rozkazu. Po chwili krzyk ustał. Michael był

poparzony, mimo Őe nie zbliŜył się za bardzo do samolotu.

Mniej wiêcej tydzień pŏźniej ogłoszono zwycieŝstwo na Guadalcanal. Marines, którzy zdobyli wyspę, zostali zluzowani: część

odesłano do domu, a część dostała urlop w Nowej Zelandii. Ci, którzy ich zastąpili, mieli zabezpieczyć wyspę. Na mapie Guadalcanal wygląda jak kropka, lecz ma sto szeŝćdziesiąt kilometrów

długości i trzydzieŝci dwa szerokości, jest silnie pofałdowana i zaroŝnięta lasem, zryta lejami po trwających kilka miesięcy walkach. Na dodatek jest tam mnŏstwo jaskiń.

385

Jaskinie okazały się prawdziwym koszmarem. W głębokich rozpadlinach pełnych brudu leŜało mnŏstwo trupów, gryzących mrŏwek długości trzech centymetrów i szczurów wielkich jak szopy. Marines wchodzili do jaskiń czwŏrkami, w towarzystwie dobermana. Michael pokochał pierwszego psa, ale gdy kilka z nich wyleciało w powietrze na zaminowanych zwłokach, przestał się przywiązywać.

Michael złapał raptem jednego Japończyka, wygłodzonego, bliskiego ŝmierci. Oparł go o ŝcianę.

Japonec wskazał bagnet Michaela. „NóŜ”, powiedział, pokazując, Ŝe wbija go sobie w brzuch. Michael nie dał mu broni. Na twarzy męŜczyzny pojawiła siê ulga.

Z poczãtku Michael, tak jak wszyscy Ŝołnierze wyznaczeni do przeszukiwania jaskiñ, uwaŜa, Ŝe chodzi o odzyskiwanie mienia.

Nauczył siê zabieraã przedmioty od martwych Japoñców tak szybko, jak zwykły człowiek spoglãda na zegarek. W obozie rynek by³ zalany tymi rzeczami, a najlepsze zdobycze zabrali marines, którzy juŜ odpłyneli z wyspy. Ale człowiek przedsiêbiórca zawsze znajdzie sposòb. Michael Corleone znalazł tubylców. Chêtnie kupowali kaŜdy przedmiot, który mógł okazaã siê przydatny w domowym obejściu. Michael wymieniał znalezione rzeczy na ŜwieŜe ryby, a marines kochajã towarzyszy broni, którzy potrafiã urozmaiciã podłê Ŝarcie, zwłãszcza w strefie wojennej.

Jednak pewnego ranka Michael obudzi³ siê i zobaczył, Ŝe wielki szczur poŜera papuŜkê kakadu, którã dostał od tubylca za karton papierosów. Wypędzi³ go z namiotu, a gdy spojrzeł w gòrê, ujrzeł

najwiêszã pajêczyne, jakã kiedykolwiek widzia³, rozpiêtã miêdzy dwiema palmami. Pajãk z³apał w niã mewê i jã zjadał. Zginãł

kolejny pies. W ten sposòb upłyneli kilka dni. Oddzia³ mia³

wysadziã ostatniã jaskiniã i wróciã do bazy, kiedy Michael zauwaŜy³ na ziemi rysunek zrobiony Ŝwiecowã kredkã. Zdziwi³o go,

Ŝe

jakiŝ Japonec znalazł tutaj czas na rysowanie kolorowych obrazków. Pochyli³ siê. Rysunków by³ ca³y stos. Ten na samej gòrze

przedstawia³ samolot z pomarañczowym kołem na boku; na ziemi stali uŝmiechnięci ludzie i machali do pilota. Na innym widaã by³o rodzinê siedzãcã przy stole z jednym wolnym miejscem. Jeszcze inny przedstawia³ ksiêŜniczkê, a reszta — konie. Jakaŝ dziewczynka rysowa³a koniki i wysy³a³a tatusiowi, prawdopodobnie poległemu na wojnie, którêj losów w Ŝaden sposòb nie mógł zmieniã. Michael od

3 ł

8 o

6 Ŝ

yl rysunki i dał sygna³ do wysadzenia jaskini.

Po powrocie do obozu dowiedzia³ siê, Ŝe Sycylia zosta³a wyzwolona. Michael Corleone nigdy wiêcej nie wziãł od wroga niczego, co nie by³o mu potrzebne do przeŜycia.

W porównaniu z wieloma innymi batalionowi Michaela posz³o łatwo na Guadalcanal. W potyczkach

na sąsiednich wysepkach też

powiodło im się dobrze.

Peleliu to była całkiem inna historia. Tam poszli jako pierwsi.

Mieli być mięsem armatnim.

Masa żołnierzy, która wlała się na pokład okrętu inwazyjnego, wyglądała jak robotnicy w czasie Wielkiego Kryzysu, wędrujący na Zachód. Każdy centymetr pokładu zapchany był ludźmi i maszynami, sięgającymi wysoko, przykrytymi płachtami brezentu.

Panował upał nie do wytrzymania, prawie pięćdziesiąt stopni w dzień i ponad trzydzieści w nocy. Pod pokładem nie było dość miejsca do spania dla wszystkich. Marines układali się na pokładzie, w cięśnarówkach i pod nimi — wszędzie, gdzie można było znaleźć cień. Michael tylko udawał, że śpi. Nawet najbardziej zaprawieni w boju weterani wyglądali blado.

Peleliu ukazała się na horyzoncie jako ściana dymu i płomieni.

Kilkanaście

pancerników

zasypywało

wyspę

czterystumilimetroowymi pociskami, które dudniły jak powietrzne pociągi.

Krąśowniki

strzelały mniejszymi. Wkrótce odgłos dział bombardujących Peleliu zamienił się w jeden wielki, ogłuszający grzmot, wbijający żołnierzy desantu w pokład. Cały statek wibrował. Powietrze cuchnęło

jak o

Z1

ne

ajl n

e a

źl p

i ę

sd

io

ę wy

.s ś

ao

mł

ynie

mrśz

re

od

de

ks

ua

n

ct

hu

a

ow

ss

up

.ieł

Wi

s

pi

o ę

w d

i o

et ra

z m

u fr ib

oi i i

o i p

si r

ę z

y

o -

d

ku

k c

ą sn

a ę

j l

ą i

c z

y a

c w

h y

p s

oo

c k

i i

s m

k i

ó b

w.u

rta

D m

y i

m.

był tak gęsty, że Michael nie umiał

sobie wyobrazić, skąd sternik wie, w którą stronę płynąć. Czuł, jak amfibia ociera się dnem o koralowce. Sierżant Mitchell krzyknął, że mają atakować plażę. Michael wyskoczył i pobiegł. Otoczył go wielki wir dymu. Wiedział, że wokół padają żołnierze, słyszał

okrzyki bólu, ale biegł dalej z nisko pochyloną głową. Razem z dwoma innymi marines przypadł do ziemi za przewróconym drzewem. Na plaży pękały amfibie, stawały w płomieniach, żołnierze wypadali z nich, kule z karabinów maszynowych rozrywały

ich na strzępy. Michael zobaczył śmierć przynajmniej stu towarzyszy broni. Ludzi, których kochał i którym ufał, choć nawet wtedy

387

nie był skory do obdarzania kogokolwiek zaufaniem. A mimo to nic nie czuł. Rozmyta plama. Sam też dostał w szyję. Kula tylko go musnęła, lecz rana krwawiła wściekle. Nie wiedział o tym do chwili, gdy kapral z Connecticut, Hank Vogelsong, zapytał, czy dobrze się czuje.

W boju nikt nie wie dokładnie, co się dzieje. Gdzieś z tyłu był

dowodzący tym chaosem pułkownik, który nie wiedział nawet, w którą stronę żołnierze kierują karabiny. Ktoś, kogo Michael nie znał i kogo nigdy prawdopodobnie nie zobaczy, stwierdził, że można sobie pozwolić na stratę tego żołnierza. Nie jego osobiście.

Wojna nie jest sprawą osobistą. A Michael Corleone był pionkiem.

Na Peleliu walczył tylko o to, by nie zginąć. Nie było to nic mądrego czy odważnego. Po prostu miał więcej szczęścia od tysiąca innych żołnierzy z jego dywizji, którzy polegli tego dnia.

Kiedy na plażę dotarła wystarczająca liczba żołnierzy, mogli posunąć się w głąb wyspy, przyciąć za kamieniami i pniami drzew i odpowiadać ogniem. Ostrzał wroga zelżał, lecz Michael przez całą noc leżał na ziemi. Najwyraźniej Japończycy zrezygnowali z szaleńczych kontrataków, do których w czasie ćwiczeń

przygotowywano oddziały desantowe, więc nie było szansy koszt

O e

ni

b a

r

zn

aa

s c

kie

u raj

sią

ec

r y

Ń c

a h

n tz

ka

M r

i a

t b

c i

h n

e ó

l l w

.

z organizował atak na grzbiet

wzgórza, z którego strzelano najzacieklej. Michael i dziesięciu innych

Ŝołnierzy przebiegli jakieś pięćdziesiąt kroków do kępy drzew i zarośli. Zanim dobiegli, dwóch zginęło, a dwóch zostało rannych.

Amerykański czołg zbliżył się do wzgórza z drugiej strony, ściągając na siebie ogień, tak jak to robią czołgi. Później ostrzał

zamilkł.

Nacierający byli dwadzieścia metrów od grzbietu wzgórza. Hal Mitchell wysłał pięciu Ŝołnierzy z automatami i dwóch z miotaczami ognia. W chwili gdy mieli otworzyć ogień, Japończycy zaczęli strzelać i zabili wszystkich. SierŜant rozkazał Vogelsongowi i Michaelowi pomóc zabrać rannych. Michael osłaniał ich ogniem, a Vogelsong i Mitchell przynieśli jednego rannego. Gdy szli po drugi

G e

d g

y o

,

p p

yt o

a c

n is

o k

g z

o , m

c o

o ź

d

w z

t i

e e

drz

y a

z z

r a

o b

biłł go

— ,

na j M

pi i

e trch

w el

p la

yt i

a

liV

o

prg

z elks

oo

Ŝn

e g

n a

i,

ra

a n

i

o ł .

wiele później dziennikarz z magazynu „Life” — Michael nie umiał wyjaśnić, co go opętało, Ŝeby poszedł po swoich towarzyszy broni, ani powiedzieć, jak uszedł Ŝywy spod ognia. MoŜe wybuch pocisku z moŝdierza wzniecił zbyt duŜo kurzu. MoŜe Japoń-

388

czykom zdawało się, Ŝe zabili juŜ wszystkich piechurów i skoncentrowali ogień na czołgu, który rozwalili, gdy Michael pędził

w stronę bunkra. Nigdy nie miał ćwiczeń z obsługi miotacza ognia.

Po prostu złapał go, nacisnął spust i odskoczył bez zastanowienia, gdy gruby język ognia strzelił nad grzbietem wzgórze.

Z jaskini po prawej stronie szedł ostrzał z karabinu maszynowego; Michael poczuł się tak, jakby odstrzelono mu nogę.

Upadł

i poszukał osłony. Swąd spalonego mięsa i napalmu był straszliwy.

Michael miał jedną kulę w udzie, druga przeszła przez jego łydki

P ę

r .

z ed sobą widział sześciu japońskich Ŝołnierzy z wypalonymi oczami i ustami. Prawie nie mieli

skóry na ciele. Ich mięśnie wyglądały jak na rysunku w podręczniku medycznym.

Michael był unieruchomiony zaledwie przez dwadzieścia minut.

Marines zlikwidowali Japończyków w jaskini, a schlapany od stóp do głów krwią sanitariusz przyszedł po Michaela. Jemu zaś zdawało się, że czasem całe lata mijały mu szybciej niż tych dwadzieścia minut.

Nie pamiętał, jak dostał się na Hawaje.

Pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy, była taka, że matka choruje przez niego ze zmartwienia. Napisał do niej długi list i słodkimi słowami nakłonił pielęgniarkę, żeby przyniosła mu coś, co może wysłać matce jako podarunek. Pielęgniarka wybrała kubek do kawy z namalowanymi wyspami hawajskimi. W dniu, w którym Carmela Corleone go dostała — razem z wiadomością, że syn wraca do domu — napełniła kubek winem, uniosła do góry i podziękowała Najświętszej Paniency za to, że wysłuchała jej modlitw.

Odtąd, ilekroć przechodziła obok zdjęcia Michaela stojącego na kominku, uśmiechała się.

Michael i Hal Mitchell wyzdrowieli. Hank Vogelsong nie miał

tylko szczęścia. Tuż przed śmiercią powiedział sanitariuszowi, że chce, by Michael Corleone wziął jego zegarek. Michael, który prawie nie znał Vogelsonga, opisał w liście do jego rodziców, jak dzielnie zachował się ich syn pod ostrzałem wroga i zaproponował, że przekaże im zegarek. Rodzice Vogelsonga podziękowali listownie, napisali, że woła, by zatrzymał go Michael.

Leżąc jeszcze w szpitalu, Michael dowiedział się, że przyjęto go na kurs pilota. Został też awansowany na podporucznika. Awans był jednak czysto symboliczny, a Michael nigdy nie zgłosił się na kurs. To był koniec pierwszej wojny Michaela Corleone.

389

Tuż przed zwolnieniem ze służby dotarł do niego reporter z magazynu „Life”. Michael uznał, że zorganizował to jego ojciec, podziękował dziennikarzowi za zainteresowanie i stwierdził, że jest osobą prywatną. Miał już medal i nie chciał skupiać na sobie uwagi. Lecz admirał King osobiście polecił mu się zgodzić. Powiedział, że to przysłuży się morale żołnierzy.

Sfotografowano Michaela w mundurze, który na niego pasował.

Artykuł ukazał się w specjalnym wydaniu poświęconym amerykańskim żołnierzom. Na okładce znalazł się Audie Murphy.

Na odwrocie umieszczono zdjęcie Jamesa K. Shei, przyszłego prezydenta

Stanów Zjednoczonych.

KSIEGA VII

Styczeń-luty 1961

Rozdział 22

Przez łańcuch pośredników Nick Geraci dowiedział się, że ma się spotkać z szefem. Geraci wiedział, o co chodzi. Zaproponował

Brooklyński Ogród Botaniczny. Usłyszał, że to zbyt zatłoczone miejsce. Don Corleone nie mógł ryzykować, że jego nominacja do tymczasowego zespołu prezydenckiego stanie się jeszcze bardziej kontrowersyjna, zwłaszcza w przeddzień inauguracji. Spotkanie musi się odbyć w samochodzie, w limuzynie.

Nick nie mógł już mieć żadnych wątpliwości: zamierzają go zabić.

Lecz w takiej sytuacji nie ma innego wyjścia: musisz iść tam, gdzie ci każą. To element życia, Geraci wiedział o tym od dawna.

Jeśli wzywają cwaniaka na takie spotkanie, a on jest naprawdę cwany, przygotowuje się jak adwokat do sprawy. Trzeba przewidzieć każde pytanie, które może paść, i liczyć na szczęście.

Jeśli

uda ci się sprytnie wyłgać, to odchodzisz, udając wkurzonego, a nie

G w

dy d

b z

yi ęc

p z

o n

preg

os o

il. o pozwolenie zabrania na przejażdżkę swojego człowieka, wzbudziłby podejrzenia. To nie wchodziło w grę.

Wzięcie gnata lub nośna było dużym ryzykiem. Gdyby go przeszukano, byłby skończony. A nawet gdyby tego nie zrobiono, w chwili prawdy raczej nie miałyby szans na wyciągnięcie ukrytej broni.

Cały ranek czekał przy narożnym stoliku w knajpie przy Pierwszej Alei razem z Donniem Bagsem,

Eddiem Paradise'em i Momem

Karaluchem. Na zewnątrz kręciło się paru znajomych facetów.

Przy barze siedział rząd chłopaków z dzielnicy, którzy „wypijali”

393

śniadanie. Właścicielem lokalu był Elwood Cusik, bokser, zajmujący się kiedyś wymuszeniami z ramienia rodziny Corleone.

Michael podjął już jedną próbę zabicia Geraciego, a ten pięknie się odplacił. Wykorzystał Forlenzę, żeby ten powiedział

Russowi, jaka jest sytuacja z Fredem i co się dzieje na Kubie.

Później nie musiał nawet kiwać palcem. Fredo nieświadomie zdradził Michaela, całkiem bez powodu. A wszyscy widzieli, że Kuba jest niestabilna i lada chwila eksploduje. Jednak Michael był tak zaślepiony perspektywą zarobienia milionów jako biznesmen prowadzący prawie legalne interesy, że pozwolił

wciągnąć się w sytuację, w której zabił własnego brata. Z tego powodu opuściła go Sona. Zabrała dzieci i przeniosła się na drugi koniec kontynentu. Walcząc o imperium na Kubie, które nigdy nie miało powstać, stracił dwóch *capo* — Rocca i Frankiego Pansa —

którzy byli rywalami Geraciego. Jeśli istnieje los gorszy od śmierci, Geraci rzucił Michaela Corleone w jego objęcia.

Czekając, starał się wykombinować, jak Michael mógł się o tym wszystkim dowiedzieć. Nadaremnie.

Dwie godziny później Donnie Bags, siedzący przy oknie, dał

znak, że podjechała limuzyna Michaela. Karaluch i Eddie Paradise osłaniali Geraciego z obu stron, gdy przechodził przez chodnik.

Był przygotowany na wszystko. Wyobraził sobie twarze córek.

A później sięgnął do klamki limuzyny.

— Cześć, Fausto.

— Don Corleone. — Geraci wsiadł sam do samochodu i usiadł

przodem do Michaela. Oprócz nich w limuzynie był tylko Al Neri, siedzący za kierownicą. — Miałeś dobrą podróż?

Geraci skinął na Karalucha, a ten zamknął drzwi. Neri wrzucił

bieg.

— Świetną. Powinieneś znów usiąść za sterami. Te nowe samoloty praktycznie same latają.

— Nie wątpię — mruknął Geraci. Jednym z podarunków dziękczynnych, które Michael dostał od ambasadora M. Corbetta Shei

był nowy samolot. — Czasem śni mi się, Őe latam. Zabawne, ale te sny nigdy nie są koszmarami. Jednak kiedy się budzę, nawet nie mogę sobie wyobrazić, Őe jestem choćby pasaŐerem. A propos, gratul

— u

ję

T .

o T

t o

yl p

k r

o a

w

ze i

s e

p t

ó a

ł k

t ,

y ja

m k

c

z m

asie

o ć

w p

y aes

— a

o n

d w

pa rB

ł ia

Młiy

c m

h

a D

el.o

mu

— .

SłuŜyłem

jedynie jako doradca. Jeden z wielu.

394

Corleone wyświadczyli rodzinie Shea wiele przysług, między innymi takie, które doprowadziły do wyboru nowego prezydenta.

W zamian Michael poprosił dla siebie o nominację na stanowisko doradcy. Geraci wiedział z dobrego źródła, Ŝe Michael nigdy nie spotkał się twarzą w twarz z Ŝadnym członkiem nowego rządu.

Było samo przez się zrozumiałe, Ŝe będzie członkiem zespołu tylko nominalnie. Michaelowi chodziło wyłącznie o wiarygodność, którą zyskiwał dzięki tej nominacji.

— Myślisz, Ŝe tego doŜyjemy? — spytał Geraci. — Ŝe do-czekamy się Włocha w Białym Domu?

— Jestem tego pewny — stwierdził Michael.

Geraci usadowił się na fotelu, tak Œe Neri, gdyby chciał go zabić, musiałby zatrzymać samochód. Było raczej mało prawdopodobne, Œe Michael zrobi to sam. Gdyby chcieli go zabić, zawieźliby go w wybrane miejsce, gdzie czekali by jacyś ludzie.

— Mam nadzieję, Œe masz rację, don Corleone.

— Wystarczy Michael. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, Fausto, a ja jestem już na emeryturze.

— Tak słyzałem. — Pogłoski o tym, Œe Michael chce zalegalizować działalność, krąŜyły od lat i nasiliły się po zwycięstwie

Shei

w wyborach. — Myślałem, Œe w naszej działalności nie ma emerytury. Co się stało ze starym powiedzeniem: „Wchodzisz Œywy

— , Ja teŜ na to przysięgałem i nigdy nie złamię przysięgi.

a

Z w

a y

w c

s h

z o

e dz

b is

ę z

d

ę m

a

c r

z tw

ęś y

ci ?

ą "

. rW

odsz

zi y

n s

yc

, y n

ka

ó t

r o

ą pr

z z

b y

u s

d ię

o g

w alli

śm

m y

ó .j ojciec —

zapewnił Michael. — Ale mój związek z nią będzie taki sam jak pewnych

ludzi w wieku mojego ojca, którzy dobrze nam służyli, a przeprowadzili się na Florydę lub do Arizony. Ludzi, od których niczego nie w

— y

ma

W g

yj am

śny

i .

j mi, jak to będzie funkcjonować, bo słyszałem różne rzeczy, ale wiele z nich potraktowałem jako plotki.

— To proste. Jak wiesz, obiecałem Clemenzie i Tessiowi, że będą mogli założyć własne rodziny, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Tessio nas zdradził, a Pete nie żyje, ale obietnica wciąż jest aktualna.

— *Ogni promessa e un debito*, tak? — spytał Geraci. — Mój ojciec tak mawiał.

— Dokładnie — potwierdził Michael. — Dzisiaj spłacam dług.

Pod każdym względem jesteś naszym najlepszym człowiekiem w Nowym Jorku. A ja nie potrzebuję już interesów, które prowa-395

dzisz, ani nawet dochodów, jakie przynoszą. Wycofuję się. To ja powinienem cię nazywać donem. Don Geraci. Gratuluję.

Więc już nie żyje.

— Dziękuję — odparł Geraci. — Tak po prostu.

— A jak inaczej?

Nick mimo woli spojrział na Neriego. Jechali na zachód Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicą, w stronę Central Parku. Neri patrzył

prosto przed siebie.

— Jestem głęboko zaszczycony. Wprost przytłoczony.

— Zasłużyłeś na to.

Geraci podniósł prawą dłoń, na której nie było pierścienia.

— Gdybym wiedział, zabrałbym ze sobą pierścień.

— Weź mój — rzekł Michael. — Pobłogosławił go sam papież.

— Zaczął zdejmować duży piękny pierścionek z diamentem otoczonym szafirami.

Nie dawałby tego pierścienia człowiekowi, którego zamierza zabić. Kto oddałby pierścień pobłogosławiony przez samego zasranego papieża?

— śartowałem — powiedział Geraci. — Nie mógłbym go przyjąć. Już okazałeś mi zbyt wielką hojność. — Podniósł prawą pięść, dwa razy większą od pięści Michaela, pokrytą licznymi bliznami od ciosów zadanych w rękawicy i bez niej. — Poza tym pewnie by nie pasował.

Michael się roześmiał.

— Nie zauważyłem. — Wsunął pierścień na palec.

Jak mógł nie zauważyć?

— Wiesz, co powiadają. Duże ręce...

— Duże pierścionki.

— Dokładnie. Michael, to niesamowita wiadomość. Sen, który się spełnił.

— Nie wiedziałeś?

— Oczywiście, że wiedziałem. Ale słyszałem, że powstał jakiś problem z komisją.

— Masz dobre źródła. Komisja poprosiła mnie, żebym został.

Oponowałem, ale decyzja komisji jest obowiązująca. Zostanę doradcą, zarówno ich, jak i twoim. Nie muszę mówić, że ten układ będzie najściślej poufny. Jeśli wyznaczysz kogoś na *capo*, musisz to uzgodnić z komisją, a ja ci radzę, żebyś najpierw poradził się mnie. Zakładam, że będziesz chciał zatrzymać Nobilio?

— Muszę o tym pomyśleć. Rick Dwa Gnaty przejął dawny *regime* Clemenzy. — Geraci wiedział o Ricku same dobre rzeczy: pomógł stworzyć pięciu nowojorskim rodzinom faktyczny monopol na produkcję cementu, liczył się w Fort Lauderdale, ale wskazanie go tak po prostu nie wydawało się mądre. Jeśli to wszystko było prawdą. — Myślisz, że Richie poczuje się pokrzywdzony, że mnie wybrałeś?

— Nie uważasz, że poczuje się o wiele bardziej pokrzywdzony, jeśli go sprzątniesz?

— Nie mówię o sprzątnięciu go. Zastanawiam się tylko, jak przyjmie tę nowinę.

— Jestem pewny, że zbytnio go to nie zaskoczy.

— Porozmawiasz z nim?

Michael pokręcił głową.

— Nie, ale jeśli wyniknie problem, zrobię to.

— Jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze. — Nick rozmawiał z Rickiem o pogłoskach. Rick powiedział, że się ucieszy,

jeśli Geraci zostanie nowym donem i nakłaniał komisję, żeby się zgodziła. Prawdopodobnie mówił prawdę. — Richie wygląda na porzą

— d

n

J e

e g

śło

i g

co

hśc

o i

d a

z .i o twój własny *regime*, nie będę ci niczego sugerował. Tylko daj mi wcześniej znać.

— Tak zrobię.

— Będę ci doradzał w ograniczonym zakresie, ale nie będę twoim *consigliere*. Zamierzam prowadzić inne sprawy i nie chcę, żeby moja przeszłość z nim kolidowała.

— Rozumiem — rzekł Nick, choć nie całkiem rozumiał. —

Czy ten wybór też mam uzgadniać z tobą?

— To już twoja decyzja.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym Toma Hagen na mojego *consigliere*.

— Niestety, mam coś przeciwko temu. Mój brat Tom będzie współpracował ze mną blisko jako mój adwokat.

Kolejny dobry znak. Gdyby Geraci naprawdę miał zostać zabity, Michael mógłby się zgodzić.

— Chciałem spróbować. Ale ty zawsze chcesz mieć najlepszych ludzi.

— Nie lubisz mnie, prawda, Fausto?

Geraci

szybko

ocenił,

że

kłamstwo

byłoby

bardziej

niebezpieczne od prawdy.

397

— To prawda, nie lubię. Z całym szacunkiem, ale nie znam wielu ludzi, którzy by cię lubili.

— Ale się mnie boisz.

— Strach jest wrogiem logicznego myślenia. Ale masz rację.

Boję się ciebie. Bardziej niż śmierci. Wiem, co chcesz powiedzieć, Michael. Jestem gotów. Wiem, co to dla ciebie znaczy poświęcenie, twojej rodziny, żeby zbudować tę organizację. Oddam jej wszystko, co mam. Wszystko.

Michael wyciągnął rękę i czule klepnął Geraciego w kolano.

Wjechali na Broadway, do centrum miasta.

Nie padło ani jedno słowo o byłym *regime* Roccu Lampone.

Rocco został zabity przed dwoma laty w Miami i wciąż nie wyznaczono jego następcy. W Nevadzie byli wtajemniczeni ludzie: Al Neri, jego bratanek Tommy, Figaro, czterech czy pięciu innych, oraz ci, którzy byli pod nimi. Gdyby stanowili część tego porozumienia, Michael by to powiedział. Geraci nie zamierzał

przeciągać

strun

P y

o ,

d rz

aw

p ł

aa

ł s

z

si c

ę z

a

p

ow

b o

r b

o e

d c

zi n

e o

. Źci Neriego. Do diabła z Nevadą.

— MoŜe przyjąłem o kilka ciosów za duŜo — zaczął — ale jestem trochę skołowany. MoŜesz przysiąc przed Bogiem, szczerze, Źe nie potrzebujesz juŜ moich interesów? Będiesz po prostu kierował kilkoma kasynami w Nevadzie i to nazywasz karierą?

Michael skinął głową.

— Słuszne pytanie. Obiecałem rodzinie, Źe się wycofam, i do-trzymuję obietnicy. W gruncie rzeczy wszystko było gotowe dwa lata temu. Kasyna w Nevadzie, te na Kubie i nasze nieruchomości stanowiły imperium, które mogło przetrwać sto lat. Ale na Kubie przejęli władzę komuniści i wszystko straciliśmy. Rozmaite nieszczęścia, które spadły na nas mniej więcej w tym samym czasie, sprawiły, Źe organizacja jako całość potrzebowała dochodów z tych legalnych interesów, a ja nie mogłem ustąpić. Jednak dwa lata i wybór Jimmy'ego Shei na prezydenta wszystko zmieniły. Strata naszych legalnych lokali z hazardem na Kubie była straszna, lecz teraz mamy wpływy w New Jersey. Gubernator stanu został

prezydentem, ale jeszcze waŜniejszy jest wzajemnie korzystny układ,

który stworzyłeś z rodziną Straccich. Odkąd pamiętam, była mowa o legalizacji hazardu w Atlancie, a ja zamierzam zostać w komisji dopóty, dopóki to nie nastąpi — czyli prawdopodobnie rok — tak abyśmy i tam mogli wejść. Jak długo przetrwa komunistyczne państwo sto sześćdziesiąt kilometrów od naszych brzegów? Gdyby 398

nie Rosjanie, odebralibyśmy je w chwili, gdy zaczęło nas okradać, ale różnica między Kubą i wszystkimi innymi państwami komunistycznymi jest taka, Źe Kuba leŜy obok najbogatszego kraju,

a

jej

obywatele mogą tego bogactwa spróbować i juŜ to zrobili. Za dwa, najwyŜej trzy lata znów rozkręcimy tam interes. Mam zapewnienie od rządu Shei, Źe wymuszają zwrot mienia byłym właścicielom.

Chcę powiedzieć, Źe jeśli nie zgromadzimy znacznych środków w banku, nie będziemy mogli prowadzić kasyn, bo tacy jak Louie Russo nas zmiaŜdŜą. A jeszcze nie mamy tych środków. Biorąc pod uwagę to, co mamy, zarówno w sensie finansowym, jak i personelu, i to, co wydaje się teraz nieuniknione, lepiej jest wycof

— ać

W s

i i

e e

c o r

ktok

z

na w

ka c

r ze

miś ni

z e

j

a n

d i Ń

a

c o

z

ym

in

c u

hl t

e e

b z

a a

?

póź

— no

z .a pytał Geraci.

Największym atutem rodziny Corleone była sieć ludzi, których opłacała. — Znam mnóstwo gliniarzy i związkowców, niektórych sędziów i prokuratorów, ale jestem pewien, że nie znam nawet połowy. A, zapomniałem o politykach. Znam tylko plotki.

Geraci prowadził większość interesów rodziny w Nowym Jorku, lecz łącznicy podlegali Michaelowi i Hagenowi.

— Tom pozostanie z tobą w kontakcie — zapewnił Michael. —

Będzie okres przejściowy. Kiedy przejmowałem kierownictwo od ojca, on i Tom wyjaśniali mi wszystko przez pół roku.

— Jeśli jeden przywódca wolnego świata przejmuje od drugiego stery w ciągu dwóch miesięcy, to ja dam radę w sześć.

Michael parsknął śmiechem.

— Naprawdę nie zamierzasz korzystać z usług naszych sędziów, gliniarzy i tak dalej? — dopytywał się Geraci. — Rezygnujesz z nich?

— Czy ja tak powiedziałem? Powiedziałem, że nie potrzebuję dochodów z interesów, które prowadzisz.

— Jasne, rozumiem, wycofujesz się.

— Nie bądź naiwny, Fausto. W tymczasowym zespole prezydenta jest mnóstwo ludzi, którzy się więcej zjadaczy chleba

niem

Wy

i .

ę

c „wycofać się” znaczy dla ciebie coś innego. Rozumiem.

— A miejsce w komisji? Będzie należało do mnie, czy do ciebie?

— Na razie do mnie, ale w końcu przejdzie na ciebie. Zorganizuj się, a później komisja zrobi swoje.

Nie przewiduję tutaj żadnych problemów.

399

Omówili jeszcze kilka szczegółów. Samochód przejechał przez park i ruszył z powrotem Lexington Avenue. Nie była to odpowiednia dzielnica na morderstwo. Michael naprawdę nie zamierzał zabić Geraciego. Wciąż nie dowiedział się, kto stał za zradą

jego b

— ra

J t

ea

ś .l iA

le

m

oN

wic

a k

o n

i

de

o z

s a

k m

onie

ałrz

y a

c ł

h ry

źrzy

ó k

dł o

a w

cha

ć

i .

n formacji — rzekł —

powinieneś o czymś wiedzieć. Oni próbowali zabić twojego brata.

— Kto próbował?

— Louie Russo. Świński Ryj.

— Moi bracia nie Śyją.

— Nie teraz. Jakiś czas temu. Właśnie się o tym dowiedziałem.

— Którego brata?

Geraciego niepokoiło, Őe Michael w jednej chwili nazywa Hageną bratem, a w następnej mówi „Moi bracia nie Śyją”.

— Freda. To było fiasko i Russo odwołał operację. Pamiętasz Święto Pracy?

Geraci nie musiał mówić, o które Święto Pracy chodzi. Michael skinął głową.

— Po ślubie syna Pete'a Fredo wylądował w motelu w Kanadzie z... Nie wiem, jak to powiedzieć. Z innym męŐczyzną. Cyngle mieli to załatwić tak, Őeby wyglądało, jakby Fredo sam się zabił.

Ze wstydu albo czegoś w tym rodzaju. Powiedziałbym ci, Őe to było ukartowane, Őe to była szopka, gdyby nie kilka rzeczy.

Kiedy Michael robił pokerową twarz, dało się to zauwaŐić.

— Po pierwsze — ciągnął Geraci — kiedy ludzie Russa dostali się do motelu, Freda juŐ tam nie było, ale był ktoś inny: akwizytor

— dobra praca, Sona dzieci. LeŜał nago na łóŜku. Po drugie, w chwili gdy cyngle otworzyli drzwi, akwizytor wyciągnął broń i zaczął do nich strzelać. To był colt peacemaker ze spiłowanym numerem seryjnym. To mógł być colt Freda, a mógł nie być, ale Fredo na pewno stracił wtedy pistolet — Figaro mi o tym powiedział — a on uwielbiał colty. W kaŜdym razie akwizytor zabił

jednego faceta, a drugiego ranił. Nazajutrz ktoś usypia pielęgniarkę chloroformem, podcina gardło rannemu, a później wbija nóż w oko po rękojeść i zostawia. Następnego dnia akwizytor idzie na spotkanie ze swoim adwokatem i wtedy jest widziany po raz ostatni.

Nie licząc jego rąk, bo te zostają odcięte i wysłane pocztą Sonie.

— Mówisz, Œe don Russo zatarł swoje ślady.

— To właśnie chcę powiedzieć.

— Dlaczego nie próbowali załatwić Freda po raz drugi?

400

— Chodziło o to, Œeby zhańbić rodzinę. Mianowałeś Freda *sottocapo*, a zaraz potem okazuje się, Œe Fredo jest ciotą. Nie mówię, Œe nią był, okay? Po prostu przekazuję ci informację.

Michael skinął głową.

— Gdyby udało im się upozorować samobójstwo, to byłby koniec sprawy. Nie byłoby zemsty. Nasza organizacja jest osłabiona, a oni zyskują. Byli wściekli z powodu Las Vegas.

UwaŜali

ten

teren za swój. Ale wtedy... sam wiesz. Katastrofa. Moja katastrofa.

Nie było to juŜ konieczne, co najmniej przez jakiś czas. Nie mogę tego udowodnić, ale moŜna przypuszczać, Œe to Russo stał za tragedią twojego brata. Fredo spędzał w Los Angeles połowę czasu i właśnie tam nas zdradził. — Geraci uniósł brwi i wzruszył

ramio

Dl n

a am

wt i.

a

j —

emL

nio

c s

z A

onn

yg

c e

hl es

c

z r

ł ó

o w

n n

k a

ó s

w ię

r

o C

d h

ziic

n a

y g

o

ni ,

e p

r

b a

yw

łod

a

t ?

aj emnicą, Őe

to Michael wydał wyrok na brata.

— Skąd tak duŐo wiesz? — zainteresował się Michael. — Jak dowiedziałeŐ się tych rzeczy?

— Mam swojego człowieka w FBI.

— W FBI? — Michael był wyraŐnie pod wraŐeniem. FBI —

abstrahując od drobnych grzeszków dyrektora — było uwaŐane za niepodatne na korupcję.

— Freda aresztowano w Los Angeles z pistoletem, z którego zastrzelił psa. Mieli teŐ colta ze spiłowanym numerem. W

laboratorium przy uŐyciu kwasu zdołali numer odczytać. Tak samo zrobili

z pistoletem z Windsor. Oba naleŐały do przesyłki, którą dostał

nasz człowiek w Reno i sprzedał nieistniejącym ludziom. Na szczę

G Ő

e c

r i

a e

c

i n

ise

i

ęG

g e

n r

ąa

ł l

do

d w

o i

k O

ie ’

sM

ze a

nlil ey

i ow

w i

y .j A

ął , ji

e je

d s

y z

n c

y z

e

p j

r e

z d

e n

d o.

m .i.

ot, który

miał przy sobie i który w jakikolwiek sposób przypominał broń: wysadzaną klejnotami zapalniczkę, zrobioną w Mediolanie z wy-grawerowanym napisem BOŚE NARODZENIE 1945. Rzucił ją Michaelowi.

— Poznajesz?

Michael się zaczerwienił. Obrócił zapalniczkę w małej wypielęgnowanej dłoni, a później zamknął ją w pięści. Prawie.

— Akwizytor powiedział, Őe naleŜała do tego drugiego —

wyjaśnił Geraci. — Słuchaj, Michael, strasznie się z tym czuję.

Jeśli chcesz, Őebym dopadł Russa, powiedz tylko słowo, a ja go załatwię. Rzucę przeciwko niemu wszystko, co mamy.

Michael odwrócił się do okna. Przejechali kilka przecznic, a on 401

wciąż uderzał się lekko w brodę pięścią, w której trzymał

zapalniczkę.

Geraci blefował. Nie miał nikogo w FBI. Dowiedział się, Őe colty pochodziły od tego samego dealera i miał nadzieję, Őe się nie pomylił. Zapalniczkę dostał od Russa, który wziął ją od zabójcy akwizytora.

Ale o uderzeniu na Russa mówił serio. W jego *regime* od pięciu lat panował pokój. A on zgromadził potężne środki na prowadzenie wojny. Przez ostatnich kilka lat Cesare Indelicato, sycylijski *capo di tutti capi*, dostarczał Geraciemu nie tylko heroinę i inne narkotyki, ale także ludzi. Geraci miał więc całą kompanię cyngli w Bushwick przy Knickerbocker Avenue. Niektórym legalnym imigrantom dawał pracę w pizzeriach na całym Środkowym Zachodzie. Ci ludzie spokojnie zagniatali ciasto na

pizzę i śmiali się z tego, czekając, aż nadejdzie czas, by wyświadczyć przysługę Nickowi Geraciemu. Tacy jak oni, przestrzegający prawa spokojni obywatele, mieszkający przez całe lata w Kenoshy, w Cleveland Heights albo w Youngstown, biorą urlop, załatwiają kogoś, i nikt nawet za sto lat nie skojarzy ich z gangsterem zabitym tysiąc kilometrów dalej. Jeśli Richie Dwa Gnaty jest taki dobry, na jakiego wygląda, Geraci był pewien, że Corleone mogliby poważnie osłabić chicagowską organizację i sprawić, że te dzikusy znów podlegałyby rodzinom nowojorskim. A przy okazji Geraci mógłby, rzecz jasna, zatrzeć ślady tego, że manipulował Fredem, pchając go do zdrady brata. Dla Geraciego lepiej byłoby zrobić to z przyzwoleniem Michaela (bo to on musiałby odpowiadać przed komisją), niż

później się martwić.

— Dziękuję — rzekł po namyśle Michael — ale jak ci już

powiedziałem, jestem teraz na emeryturze.

Samochód się zatrzymał. Znów byli na Pierwszej Alei przed barem Karalucha. Geraci nie wiedział, czy Michael rzeczywiście zastanawiał się przez cały ten czas, czy tylko czekał z odpowiedzią na koniec przejażdżki.

Nick Geraci wyciągnął lewą dłoń, skierowaną w dół, i przytrzymał przy piersi, prawą wskazując wnętrze ręki. *Qui sotto non ci piove.* Tutaj nie spadnie na ciebie deszcz. *Un giorno avrai bisogno di me.* Pewnego dnia będę ci potrzebny.

Stary znak. Tessio usłyszał go, kiedy prosił o ochronę. Michael też

musiał je poznać od swojego ojca.

— Doceniam to, Fausto — rzekł Michael.

402

— Nie ma o czym mówić.

Michael się uśmiechnął. Po plecach Nicka Geraciego przebiegł

dreszcz.

— Myślałeś, że chcę cię zabić, prawda?

— Zawsze myślę, że wszyscy chcą mnie zabić — odparł

Geraci. — Siła przyzwyczajenia.

— Pewnie dlatego wciąż żyjesz.

Co chciał przez to powiedzieć? że prawdopodobnie dlatego nikt go dotąd nie zabił, czy że on sam

nie zabił go teraz? Ale nie zamierzał prosić o wyjaśnienie.

— Dlaczego miałbym uważać, że zamierzasz mnie zabić, Michael? Sam powiedziałeś, że się wycofujesz. Powodzenia w nowym

Śyciu

Michael wciąż trzymał w pięści zapalniczkę.

Objęli się i pocałowali. Geraci odprowadził wzrokiem limuzynę.

Kiedy wszedł do baru, jego ludzie siedzieli razem, jakby coś przeczuwali. Było ich ze trzydziestu albo czterdziestu. Trzęsąc się, wszedł na górę i opadł na duży skórzany fotel w rogu. Jego ludzie weszli za nim. Wsunął obrączkę na mały palec prawej dłoni, a oni ustawili się w kolejce, żeby ją ucałować.

Rozdział 23

— Panie Fontane! Czy obiecano panu posadę w nowej administracji prezydenta Shei?

Hol Sali Konstytucji był pełen reporterów. Johnny Fontane siedział za stołem na zatłoczonym podeście, w otoczeniu kilkunastu gwiazd estrady i ekranu. Jutro będzie ich znacznie więcej. Tworzyli historię. Nie odmówiła Sadna z osób, które poprosił, by wystąpiły na balu inauguracyjnym Jimmy'ego Shei. Gdyby Rosjanie spuścili na Waszyngton bombę, z całego show-biznesu zostałyby tylko szkolne przedstawienia, muzyka rockowa i filmy porno.

— Posadę? — spytał Johnny, udając przerażenie. — Zostałem piosenkarzem salonowym, więc nigdy nie musiałem starać się o posadę.

Odpowiedź wywołała odpowiednią porcję śmiechu. Johnny chciał, by pomyśleli, że odpowiedź mogłaby być twierdząca.

Ambasador wspominał kiedyś o rozprawieniu Fontane, tak żeby mógł ubiegać się o urząd. Sam Jimmy w czasie spotkania w mieszkaniu Fontane w Vegas — w przerwie między jednym a drugim

numerem z Ritą Duvall, która też stała teraz na podium —

zasugerował mianowanie Fontane ambasadorem we Włoszech. A może w jakimś tropikalnym rajku z błękitnym niebem i nieograniczonym dostępem do cipek? On i Johnny byli już wtedy mocno

— Jak to świadczy o prezydenturze Shei, że bal inauguracyjny w

o s

r t

gaw

nie

z n

uji.

e człowiek taki jak pan, słynący ze związków z mafią? —

krzyknął jakiś głos.

Johnny nie mógł w to uwierzyć. Kiedy ten szajs się skończy?

404

Popapraniec, który zadał to pytanie, pracował dla nowojorskiej gazety. Johnny kiedyś mu przywalił. Doszło do ugody bez procesu — odszkodowanie opiewało na dziesięć tysięcy i warto było zapłacić.

Bobby Chadwick, szwagier prezydenta elekta, pochylił się nad mikrofonem.

— Ktoś taki jak Johnny Fontane? MoŜe przyleciał pan z planety Uran i nie wie, co się dzieje tutaj na Ziemi, ale moŜna spokojnie powiedzieć, Ŝe nie ma drugiego takiego jak Johnny Fontane.

Ta odpowiedź równieŜ wywołała śmiech, który jednak szybko ucichł, a pozostali dziennikarze wciãŜ czekali na odpowiedź

Johnny'ego. Gdyby to była restauracja lub nocny klub, wystarczyłoby,

Ŝeby Johnny uniósł brew i ten świr momentalnie wyleciałby na tyłek.

—

„Słynący” to słowo, którego leniwi reporterzy uŜywają, Ŝeby móc zmyślać — zaczął Johnny. — Przytoczę kilka faktów. Ponad pięć milionów Amerykanów ma włoskie korzenie. Według raportu opublikowanego dwa lata temu przez Senat najwyŜej cztery tysiące osób ma związki z tak zwaną mafią. Wykonam to działanie matematyczne za ciebie, chłopczyku. Prawdopodobieństwo wynosi jeden do tysiąca trzystu. Bardziej prawdopodobne jest to, Ŝe zostaniesz zjedzony przez niedźwiedzia. A mimo to, ilekroć wybija się ktoś o nazwisku zakończonym na samogłoskę, dogmatycy tacy jak ty pytają, czy naleŜymy do mafii.

— NaleŜy pan do mafii?

Johnny musiał przyznać, Ŝe sam się podłoŜył.

— Nawet nie zaszczycę odpowiedziã tak ignoranckiego pytania.

— MoŜe jestem w błędzie — odezwał się sir Oliver Smith-Christmas, wybitny brytyjski aktor siedzący na skraju podestu —

ale czy nie myli pan ludzi takich, jacy często są właścicielami amerykańskich nocnych klubów, z moim przyjacielem Johnnym Fontane, który tylko w nich występuje? Gdzie taki piosenkarz ma śpiewać, jeśli nie w nocnym klubie?

— Ollie ma rację — podchwycił Johnny Fontane. — Kiedy era big-bandów dobiegła końca...

— Czy nie jest prawdą, że nieśyjący już Vito Corleone był

pana ojcem chrzestnym? — wpadł mu w słowo reporter.

Nie takim ojcem chrzestnym, tępy zasrańcu.

— Tak, stał przy mnie w czasie chrztu. Był przyjacielem moich rodziców.

405

— Czy prezydent elekt utrzymuje związki ze zorganizowaną przestępczością? — dociekał inny dziennikarz. — Michael Corleone, którego dwa lata temu wezwano przed Komisję Senacką, był członkiem tymczasowego komitetu doradczego...

— MoŜe zapytasz o to Michaela Corleone? — przerwał mu Johnny. — Albo chorych dzieci, które otrzymały pomoc w szpitalu pana Corleone i dzięki organizacjom charytatywnym, które wspierał? Proszę państwa, dla naszego kraju nadchodzą ekscytujące czasy. Myślę, że wyrażę przekonanie wszystkich tu obecnych, mówiąc, że popieramy prezydenta Sheę w stu procentach.

Ale

trzymajmy

się

trochę

bardziej

balu

inaug

— u

rac

Wy

yj

c n

h e

o go

wa,

ł d

o

si b

ę r

z

pe

a?

n w Nowym Jorku — krzyknął namolny

pismak — ale przyjaźni się pan z Louiem Russem z Chicago i Ignaziem Pignatellim w Los Angeles.
— Idiota wymówił

nazwisko Pignatelli, zamiast Piniatelli. — Siostra Pignatellogo figuruje na liście akcjonariuszy nowej firmy nagraniowej, którą pan założył. Chciałem zapytać, czy jest możliwe, by przeniósł pan swoje członkostwo...

— Nie zmuszaj mnie, żebym stąd zszedł i nauczył cię manier —

wpadł mu w słowo Johnny.

— Kąś mnie pan rozwalić? Bo chyba takiego słowa używa się na określenie tej czynności w kręgach mafijnych?

— A skąd, kurwa, mam to wiedzieć? — odpowiedział

pytaniem Johnny. Rzecz jasna, wszyscy wiedzieli, ale to nie miało znaczenia.

Po sali przeszedł szmer.

— Skąd, u licha, miałbym to wiedzieć? — poprawił się Johnny.

Po opuszczeniu męża i przeprowadzce z Nevady Kay Corleone znalazła pracę jako nauczycielka w pierwszorzędnej szkole z internatem w Maine. Zamieszkała w kamiennym domku na terenie szkoły. Michaelowi się to nie spodobało, ale ona potrzebowała pracy — nie ze względów finansowych, lecz po to, by stworzyć własną osobowość odrębną od wszystkiego, co wiązało się z mężem. Złożyła

podanie tylko do takich szkół, które znajdowały się

tysiące kilometrów od Tahoe. Nie spodziewała się, że Michael będzie twardo walczył o opiekę nad dziećmi, a zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy ni stąd, ni zowąd powiedział jej, że przyjrzał się szkole, w której pracuje i uznał, że dla dzieci będzie najlepiej, gdy

będą się uczyły właśnie tam. Kay nie rozumiała, dlaczego zmienił

zdanie. Michael twierdził, że po prostu uświadomił sobie, iż

wykorzystywał dzieci jako pionki w sprawie rozwodowej i stawiał

swoje uczucia przed ich prawdziwymi potrzebami. Kay chciała w to wierzyć. Powściągnęła impuls, by powiedzieć mu, że gdyby zwracał większą uwagę na swoje serce niż na zimny umysł, być może w ogóle nie znalazłby się w tak beznadziejnej sytuacji.

Michael nie widywał zbyt często Tony'ego i Mary. Kiedy się z nimi spotykał, zwykle zabierał je swoim samolotem do Nowego Jorku na weekend wypełniony gorączkową aktywnością: łyżwy, przejażdżki powozem, muzea, filmy, zoo — wszystko, co zdołał

zmieścić. Dzieci wracały do domu wyczerpane. Mary, która miała siedem lat i uwielbiała ojca, tygodniami opowiadała później historie o wspólnie spędzonym czasie. Dziewięcioletni Tony rzadko mówił

o ojcu.

Kiedy Michael pierwszy raz oznajmił Kay, że ma zbyt napięty plan i poprosił, żeby sama zabrała dzieci do Nowego Jorku, odparła, że to niemożliwe. Gdy powiedział jej o balu inauguracyjnym i dodał, że ona też może na niego iść, również odmówiła.

Waszyngton wywoływał wiele złych wspomnień. Wyraziła nadzieję,

że

Michael znajdzie sposób, by jednak zabrać Mary i Tony'ego.

Powiedziała mu też, żeby nie ważył się przysyłać po dzieci do Main

W e

s j

z a

y k

stie

k g

o o

ś

si c

ę yn

z g

m lia

e .

niło, gdy dowiedziała się o Jules'u Segalu, będącym jej lekarzem w Nevadzie. Poleciała go przyjaciółce, która się tam przeprowadziła. Teraz usłyszała, że został zastrzelony ponad rok temu. Według prasy padł ofiarą nieudanego włamania do domu.

W dniu balu inauguracyjnego nowego prezydenta Kay czekała w hotelu Essex House w apartamencie z oknami wychodzącymi na Central Park. Dzieci oglądały telewizję. W domu nie było już telewizora. Widząc, że siedzą przed nim nieruchomo, utwierdziła się w przekonaniu, że był to dobry pomysł. Spojrzała na zegarek. Michael się spóźnił. Pewne rzeczy nigdy się nie zmien

Wria

e j

s ą

z .

c ie usłyszała głosy w korytarzu. Byli to Michael i —jakże by inaczej! — Al Neri.

— Czemu on nie jest ubrany? — zapytał Michael, wskazując Tony'ego. Sam miał już na sobie smoking.

— Nie idę na twój głupi bal — mruknął Tony.

Kay była tak rozkojarzona, że nawet nie zauważyła, że Tony 407

zdjął garnitur i przebrał się w granatową koszulę i spodnie, które nosił do szkoły.

Mary zerwała się z tapczanu, żeby uściskać ojca.

— Ja pójdę! — zawołała. — Czy nie wyglądam jak piękna księżniczka? Bo właśnie piękne księżniczki chodzą na bale.

— A ty jesteś księżniczką, kochanie. No chodź, Tony. Spodoba ci się.

Kay kazała Tony'emu włożyć garnitur. Chłopiec złapał ubranie i mamrocząc coś pod nosem, powlókł się do łazienki. Neri usiadł

na kanapie i zaczął oglądać kreskówkę. Mary okręciła się, prezentując sukienkę. Kay powiedziała jej, żeby poszła obejrzeć końcówkę

programu, bo chce zamienić parę słów z tatą. Wprowadziła Micha

— el

Z a

r d

o o

bi ła

e yp

m ital

o n

, i i

K aza

y. m

k

W n

y ę

c ła

of d

a ńrz

e w

m i.

s ię z... niebezpiecznej części

interesu, którą odziedziczyłem po ojcu. Przynależę ci, Œe zalega-lizuję wszystkie moje sprawy i zrobię to.

Kay zmarszczyła czoło.

— ZłoŒyłeś to przyrzeczenie dziesięć lat temu. — Kay uznała, Œe Michael podjął niezręczną próbę nakłonienia jej do powrotu.

Mimo to przez wzgląd na dzieci miała nadzieję, Œe mówi prawdę.

Prędej czy później zabiją go albo trafi za kratki. Wolała nie myśleć, jak wpłynie to na Tony'ego i Mary. — Ale cieszę się Michael. Naprawdę.

— Œwietnie wyglądasz, Kay. Nauczanie i Œycie w Maine dobrze ci robi.

— Michael, muszę cię o coś zapytać. I chcę, Œebyś powiedział mi prawdę.

W ułamku sekundy twarz Michaela zamieniła się w pozbawioną wyrazu maskę.

— Czy to ty kazałeś zabić Jules'a Segala?

— Nie.

Odpowiedział bez wahania. Czy nie tak właśnie postąpiłby kłamca, gdyby odpowiedź była inna?

— Chyba ci nie wierzę.

— JuŒ dawno powiedziałem ci, Œebyś nie pytała mnie o interesy.

— To nie jest twój interes, tylko nasz. Kazałeś zabić doktora Segala, prawda? Z powodu...

— Nic więcej nie mów. — Teraz przynajmniej jego twarz miała jakiś wyraz. — Nie chcę tego słyszeć.

408

— Aborcji. Znów mnie spoliczkujesz? — Właśnie tak zareagował, kiedy mu powiedziała. Ten policzek zakończył ich małŒeństwo. W innym hotelu, w Waszyngtonie, dokąd Michael właśnie

się w

—y

bi

Ne

i r

ea

, ł.

Kay, nie zrobię tego.

— Bo jeśli to „włamanie” na niby było twoją robotą...

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— ...powinieneś wiedzieć, że to nie on wykonał zabieg.

— Kay, przestań. Oboje wiemy, że kiedy... Kiedy to się stało, poszłaś właśnie do niego. To jest nasz szpital.

— Więc nie powinno być zbyt trudno zajrzeć do mojej karty i zobaczyć, że poroniłam.

— Tak, jasne. Poleciałaś do Las Vegas, żeby poronić, i przypadkiem poszłaś do tego samego lekarza, który robił skrobanki.

Ile kroć

Fred

Ko

a..

y. czuła się tak, jakby ktoś ścisnął mocno jej żołądek.

— O Boże, Michael. Wiedziałałam. Po prostu wiedziałałam...

Nosiłam w sobie tyle gniewu. I strachu. To było straszne, być w strachu, i coś ci się stanie, ale uświadomiłam sobie, że niczego nie bałam się bardziej niż ciebie...

— Mnie? Chroniłem rodzinę, naszą rodzinę. Rodzina była na pierwszym miejscu, ważniejsza od wszystkiego.

— Michael, ty weniłeś się w inną rodzinę na długo przed tym, zanim powstała nasza rodzina. Nawet twoja pierwsza żona była drugą. Ja byłam trzecią.

— Nic nie mogło się stać tobie. I dzieciom. I nigdy nic się nie stanie.

— Przestań, Michael. Nasz dom w Nevadzie został ostrzelany, jakbyśmy żyli w strefie wojennej.

Czy Apollonii teŜ przyrzekłeś, Œe nic jej się nigdy nie stanie? Pewnie powinniśmy dziękować Bogu, Œe nie zostaliśmy rozerwani na drobne kawałki.

— Kay...

— Co masz na myśli, mówiąc: „I nigdy nic się nie stanie”?

Jaką ochronę, jakich zbirów trzymasz jako legalnie działający biznesmen? Jak to brzmi! Legalnie działający biznesmen!

Zobaczmy. Naprawdę spodziewasz się, iŜ uwierzę, Œe coś się w tobie

zmieniło, Œe kiedykolwiek się zmieni? Nazywanie swojej dział

K aln

y o

p ś

ac

t i

r

zle

y g

łaa

, l

n

jaą

k n

ie

Mi z

c m

ha ie

el n
i
s
i t
ęe
gg
ao
,
d c
o o
k z
i r
e o
s b
zeił
n e
i ś.

marynarki. Przez

409

jedną straszną chwilę myślała, że wyciągnie pistolet albo nóż.

Michael wyjął zapalniczkę i zapalił papierosa.

— Skończyłaś?

— Nie rozumiesz. Ja nie jestem taka jak ty. Nigdy nie mogłabym zabić... naszego syna. Poleciałam do Las Vegas, żeby zorganizować zbiórkę pieniędzy na muzeum sztuki i zaraz po przylocie poroniłam.

A ty nie odezwałeś się przez dwa tygodnie. Dwa tygodnie! Śadna kobieta nie powinna przeżywać

tego sama. Postanowiłam od ciebie odejść. Miałam inne powody, ważniejsze, o których rozmawialiśmy, ale to była ostatnia kropla. Wiedziałam, że nigdy nie zgodzisz się na rozwód. Więc powiedziałam ci, że zrobiłam skrobankę.

Chciałam cię zranić i skłamałam, żeby to osiągnąć. Chciałam zobaczyć to spojrzenie i zobaczyłam. Chciałam sprawdzić, co zrobisz, a ty mnie

M u

icd

he

arz

el y

ł

o e

pś.

u

ścił głowę i bardzo lekko skinął.

— Mes Segal był moim lekarzem, Michael. Naprawdę myślisz, że ktokolwiek, a zwłaszcza on, który wiedział, kim jesteś tak samo dobrze jak wszyscy w Las Vegas, zrobiłby skrobankę Sowie człowieka... Człowieka takiego jak ty? Segal... nie zapaliłby papierosa

bez twojego błogosławieństwa. W najbardziej szalonych snach nie przys

— z

łob

M y

us m

i i

m

yd

o

je g

c ł

h o

a w

ć y,

— Ŝ

e

p

r p

z o

erśle

wasłz

j s

e w

j oi

M c

i h

h z

a b

eli.r ów

— ..

I.

dę. — Odwrócił

się i wszedł do drugiego pokoju. — Mary, Tony, kto chce się przelecieć samolotem?

Mary krzyknęła, że ona chce, Tony milczał. Po chwili dzieci pocałowały matkę na pożegnanie. Nikt nie wyłączył telewizora.

Kay Corleone, nieświadoma współsprawczyni morderstwa opadła na łóżko.

Mogła winić tylko siebie. Michael był zabójcą. Zakochała się w nim nie wbrew, lecz właśnie z tego powodu, kiedy powiedział

jej, co robił w czasie wojny. Wiedziała w głębi serca, że to on zastrzelił tych mężczyzn w restauracji. Wiedziała też o wielu innych zabójstwach i udawała, że nie wie. Wyszła za niego i zmieniła wyznanie z takiego, które pozwalało na rozwody, na takie, które ich nie dopuszczało, żeby móc pójść do spowiedzi i znieść siebie za to, że kocha zabójcę. Kiedy zmęczyła Toma Hagenę i wyciągnęła od niego, że dom w Tahoe został podpalony i zrównany z ziemią, bo FBI założyło pluskwy w belkach i fundamentach, pomyślała: To jest ostatnia kropla. Ale nie. Została. Odbudowała. Kiedy nieznani mężczyźni ostrzelali dom i omal nie zabili dzieci, wy-410

prowadziła się z niego, ale trwała przy mężu. Dopiero gdy zostawił

ją samą sobie, kiedy straciła dziecko, a potem ją uderzył i zabił

swojego brata, zrobiła to, co naprawdę niewinna osoba czyniłaby wiele lat wcześniej.

Zaczęły się wiadomości. Najważniejszą było oczywiście zaprzysiężenie nowego prezydenta. Kay podniosła głowę. Wśród tłumu gości dostrzegła Toma i Teresę Hagenów. Przerazliwie samotna, opuściła głowę i płaczem ukołysła się do snu.

Rozdział 24

Ubrana w różową suknię balową, ledwie zakrywającą jej nabrzmiałe piersi, trzymając w rękach piśmę ze znakiem Supermana, Francesca Van Arsdale, w szóstym miesiącu ciąży z drugim dzieckiem, goniła za swoim pierwszym (dwuletnim Williamem Brewsterem Van Arsdale'em IV, którego nazywali Sonny) po labiryncie pudeł w mieszkaniu

na Kapitolu. Sonny był golusieńki, jeśli nie liczyć złotego kasku futbolowego Notre Dame, który dostał na Gwiazdkę od brata Franceski, Frankiego. Usłyszała samochód Billy'ego i wyjrzała przez kuchenne okno. Widok kobiety wysiadającej z kretyńsko drogiego wozu

U

p m

u a

ścrik

ł i

a D

p u

i a

Ŝ 1

a -G

męh

. ia

T s

o p

ra

ni w

e ił

b,

yŜ

ł e

a F

o ra

pi n

e c

k e

usc

n a

k

a z

a

d st

o yg

d ł

z a

i

e b

c e

k z

a .r

uc

T h

o u.

b yła

ona, ta kobieta.

Francesca oparła się o zlewozmywak. Ale nie, to nie była tamta.

Opiekunka miała około piętnastu lat i przypominała kobietę, z którą Billy zdradzał Francescę nie bardziej niż każda inna zwiewna blondynka uosabiająca wszystko, czym Francesca nie była.

— Jesteś gotowa, Francie? — zawołał Billy, otwierając drzwi.

Wniebowzięty Sonny skoczył do ojca i niechcący zadał mu potężny cios głową w krocze. Billy stęknął i osunął się na fotel, a Francesca podniosła piśmę, złapała Sonny'ego i udzieliła dziewczynie, młodszej siostrze kolegi Billy'ego z Harvardu, nieznośnie dokładnych instrukcji.

— Wyglądasz fantastycznie — powiedział Billy, otwierając przed Soną drzwi samochodu. — Po prostu olśniewająco.

Francesca nie miała wątpliwości co do tego, że wygląda jak gruba różowa krowa. Z wysiłkiem, starając się zachować resztki 412

godności, wcisnęła się na niski fotel samochodu. Billy sprawiał

wrażenie, jakby tego nie zauważył. Kiedy Francesca znalazła się w środku, pochylił się i pocałował ją, najpierw przyzwyczajenie, a później namiętnie. A potem jej podziękował!

Tak było od tygodni. Matka Franceski kazała jej zapomnieć o romansie. Mężczyźni zawsze będą mieli swoje *goumada*. Wiesz, dlaczego z ankiet wynika, że pięćdziesiąt procent mężczyzn zdradza żony?, zapytała. Bo drugie pięćdziesiąt procent to kłamcy. Od czasu do czasu, ciągnęła, możesz udać zaskoczenie, gdy dowiesz się o jakiejś kobiecie — jeśli nie będziesz robiła tego zbyt często, możesz wywołać odrobinę wyrzutów sumienia i sprawić, że mąż

będzie cię traktował tak, jakbyś się do niego zalecała. Siostra Franceski dla odmiany poradziła jej, żeby zabiła Billy'ego. Ale Kathy nigdy go nie lubiła. Poza tym (mimo posiadania wianuszka narzeczonych w Londynie, gdzie robiła doktorat z literatury europejskiej) nie była matką. Bycie matką zmienia wszystko bardziej,

nie możesz sobie wyobrazić każdej kobiety, która nią nie jest. Co Francesca miała zrobić — wziąć rozwód? I wychować samotnie dwoje dzieci? Jak dotąd matka pozostawała nieugięta, lecz Francesca z nieufnością traktowała nieoczekiwane względy Billy'ego.

Mimo pełnej skruchy czułości kochał się z nią być może dwa razy od cz

— a

su

P,

o g

w d

i y

n

n z

a a

ś c

zza

o ł

b aro

c s

z n

y ą

ć ć

mje

ó j

j b

g r

a z

b u

i c

n h

et., K

k i

o e

t d

k y

u

był

— a

p w

o

w c

ieią

d Ś

z y

ia łp

o

B irla

l z

y

.

pi

Z e

a r

r w

azs zy

p ,

o po

p d

r n

zeiec

m a

ó ło

wi g

e o

ni t

u o

,i c
n h
a c
u i
g a
u r t
a o
c r
y o
j b
n i
y ć
m b
e z
D
a p
n r i z
e e
l r w
B y
r .

e ndan Shea,

brat prezydenta i nowy prokurator generalny, zebrał cały personel i poprowadził spotkanie. To nie wróżyło, że Billy będzie mógł

pracować mniej godzin niż w czasie kampanii (choć może te nadgodziny będą rzeczywiście

poświęcone na pracę). — Jest mały, ale znajduje się na tym samym piętrze, co gabinet Danny'ego.

— Nazywasz go Danny? — A mnie nazywasz „kotku”?

— Tak kazał się do siebie zwracać. — Billy wypiął pierś z dumy.

Ten gest nie przypadł do gustu Francesce, choć kiedyś reagowała na niego czułością.

— Po imieniu z prokuratorem generalnym — zdziwiła się. Czy do tej kobiety teŜ zwraca się per „kotku”? — Jestem z siebie dumna.

To zaś mimo wszystko było prawdą.

— W historii Stanów Zjednoczonych było tylko dwóch młodszych prokuratorów generalnych — oznajmił Billy. — Nie zdziw

się, gdy jeszcze przed końcem kadencji zostanie uznany za najlep-413

szego. W niesamowity sposób łączy w sobie inteligencję i — to jest komplement, choć wcale tak nie zabrzmia — bezwzględność.

— Z tego, co mówisz, wynika, Œe to odpowiedni człowiek na to stanowisko.

W drodze na bal robili krótkie przystanki, Œeby wstąpić na przyjęcia w kilku ambasadach i hotelach. Billy niczym czarodziej wiedział, dokąd jechać, gdzie znaleźć parkingowego, znał nazwiska gospodarzy i miejsca ich pobytu. Kiedy Francesca wchodziła do środka, musiała się wysikać — ciągle musiała to robić, jakby na jej pęcherzu legł jakiś ogromny cięŜar — i zawsze myliła łazienki. Nie umiała powstrzymać olśnienia na widok tych bogato urządzonych dworów. Szczególnie imponująca była ambasada francuska.

Francesca poczuła niedobry dreszcz na myśl o tym, jak zazdrosna będzie Kathy, gdy o tym usłyszy. W którąkolwiek stronę się zwróciła, widziała twarz sławnej lub wpływowej osoby. A zarazem przez cały czas czuła się okropnie. Obcy ludzie ją obmacywali, zakładając, Œe mogą dotykać jej brzucha, a Billy ani razu nie kazał

im trzymać brudnych łapsk przy sobie. Plecy bolały ją straszliwie.

Czuła się obco i nie na miejscu, jak przez większą część trwania małŜeństwa. Abstrahując od ciąż — a trudno było od niej abstrahować, bo to dziecko zapowiadało się na olbrzymia — nikt nie był do niej podobny (ambasada włoska nie znalazła się na trasie Billy'ego). Kobiety były albo Rodowitymi, Prawowiernymi Amerykankami, długonogimi i efektownymi, z wysoko upiętymi koafiturami (czyli takimi, jak tamta kobieta), albo waszyngtońskimi Œonami — eleganckimi matronami z naszyjnikami z tłustych pereł, którym jakoś udawało się zachować Œywotność, a zarazem nie być nachalnymi.

Jednak na wszystkich przyjęciach Billy trzymał się Œony, z wyjątkiem momentów, kiedy wychodziła do łazienki. Przykro było patrzeć, jak walczy z odruchem, który pchał go do wyruszenia na podbój salonu, lecz nie tak przykro, by Francesca zachęcała go do pójścia za głosem instynktu.

Wreszcie dotarli do Sali Konstytucji i wchodzili po schodach.

Nagle Francesca usłyszała, że jakiś wysoki nieznajomy głos woła ją po imieniu. Odwróciła się, ale nie mogła zobaczyć, skąd dobiega.

— Bii-boy! Bii-boy!

Serce Franceski podskoczyło z radości. To była Mary Corleone z wujkiem Michaeliem. Nie widziała ich od dnia swojego ślubu, czyli ponad trzy lata. Wujek wyglądał tak, jakby postarzał się o dziesięć lat.

414

Francesca wyciągnęła ręce, chcąc podnieść Mary, ale zaraz się zreflektowała.

— Ledwie cię rozpoznałam — powiedziała. — Aleś ty urosła.

— Ty też urosłaś — odparła Mary, głaszcząc brzuch Franceski.

Była jej kuzynką, mogła to robić, ile dusza zapagnie. — Obie mamy sukienki w tym samym kolorze. Tam jest dziecko, prawda?

Jestem mądra. Mam siedem lat.

Wujek Mike zapytał, czy może dotknąć brzucha bratanicy.

— Oczywiście. Pewnie, że jesteś mądra — powiedziała do Mary. — Tam rzeczywiście jest dziecko, i to duże.

Dziecko kopnęło i uradowany Michael cofnął rękę. Francesca zauważyła kuzyna Tony'ego, który stał za ojcem. Pochyliła się, żeby go uściskać. Uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Z tyłu za nimi widać było mężczyznę w długim płaszczu, który musiał być ochroniarzem.

— Mój brat nie mówi duże — odezwała się Mary — ale nie jest niedorozwinięty. Kiedy śpiewa, umie powiedzieć wszystko.

Na tym wielkim balu będą śpiewy, wiesz?

— Sama jesteś niedorozwinięta — odciął się Tony.

— Miałam nadzieję, że was tu spotkam — rzekła Francesca. —

Kiedy przyjechaliście?

Michael zerknął na zegarek.

— Przed kwadransem.

— Długo zostaniecie? Jeszcze się naprawdę nie wprowadziliśmy, ale bardzo bym chciała, żebyście przyszli zobaczyć nasze mieszkanie.

Billy i Michael popatrzyli na siebie, a potem Billy się odwrócił.

Widzieli się wcześniej tylko raz, na weselu. Wtedy też Billy dziwnie się zachowywał. Francesca wiedziała, że chodzi o to, jak przeszłość jej rodziny może wpłynąć na jego przyszłość polityczną. W każdym małżeństwie istnieją tematy tabu, pomyślała Francesca, a u nich był tylko jeden — właśnie ten. Mogli się uważać za szczęściarzy.

— Tylko na jedną noc — odparł Michael. — Może następnym razem, kiedy tu przyjadę. Komitet zakończył działalność, oczywiście, ale i tak dość często będę tu przyjeżdżał służyć.

Billy wyciągnął rękę do ochroniarza.

— Billy Van Arsdale.

— Już się poznaliśmy — odparł Al Neri. Nie powiedział nic więcej.

— No, wujku Michaelu, naprawdę nie masz czasu na zjedzenie domowego śniadania? — zachęcała Francesca.

415

— Właśnie, jesteś pewny? — zawtórowała Mary. — Mamusia mówi, że śniadanie to najwłaśniejszy posiłek dnia.

— A ty jesz na śniadanie sam ser — wtrącił Tony.

— To słowa z piosenki — wyjaśniła z przyganą Mary. — Jem wszystko. Proszę, tatusiu, pójdziemy?

Marguerite Duvall wkroczyła na scenę wraz z dziesięcioma kobietami w czerwonej bieliźnie i dziesięcioma szczupłymi mężczyznanami w obcisłych kostiumach udających odmrożoną skórę,

by

odtworzyć numer z *Chóru debiutantów*. Był nawet płonący burdel i jej słynny, graniczący z wulgarnością, lecz pierwszorzędny popis w finale. Rita grała francuską madame, bliską przyjaciółkę szeryfa.

Była to mała rola, ale dzięki niej otrzymała nominację do nagrody Tony'ego (nie bez znaczenia była też plotka, że Rita sypia z czło

J w

o i

h e

n k

n ie

y m

F ,

o k

n tó

a r

ny

e w

s łtaś

ł ni

ze

a zo

k s

u tła

i ł

s apr

me

i z

, yd

u e

brn

ate

n m

y).

w białą pelerynę z

podszewką z białej satyny i długi biały smoking w paski, uszyty specjalnie na ten wieczór przez najlepszego projektanta z Mediolanu. To, co popijał, wyglądało jak bourbon, ale było herbatą z miodem w szklance z grubego szkła.

— Piękna i utalentowana panna Przeleciałam-Ich-Wszystkich Duvall — wyrecytował Buzz Fratello, kręcąc głową z podziwu.

On i Dotty mieli wyjść na scenę w następnej kolejności. —

Słyszałem, że się pieprzyła ze Świńskim Ryjem.

Johnny przedstawił Ritę Jimmy'emu Shei i Louiemu Russie. Lecz Fontane zaprosił ją do występu z własnej woli, bez zachęty żadnego z nich. Wybór talentów należał do niego. Ambasador poczynił kilka sugestii, lecz Johnny je zignorował. Może Rita nie była największą gwiazdą programu, ale na miłość boską, dostała nominację do nagrody Tony'ego. Fontane traktował ją jak maskotkę przynoszącą szczęście. Poznał Ritę, kiedy Hal Mitchell przyprowadził ją —

wówczas jeszcze biedną francuską tancerkę rewiową — wraz z dwiema innymi dziewczynami do orgietki w nocy przed pierwszą sesją do płyty *Fontane Blue*. Odtąd życie Johnny'ego Fontane zamieniło się w sobotnie noce. Nawet, gdy sprawy z Annie McGowan poszły w cholerę, wystarczył tydzień w Acapulco z Ritą i Złoty

Glob

M z

a a

k

i f

e itlm

a

bo

u d

r e

d t

e e

l k

u ty

stw

a i

ne

ę łp

a i jak

w u

p,

ł b

o y

m ś

i w

en iat

c z

h n

. ów

Pu s

b i

l ę

i

c z

z a

n ró

oś Ŝ

ć o

w

p i

o ł.

Ŝ

erała

scenę wzrokiem.

416

— Spójrz na niego — rzekł Fratello. Prezydent stał na samym środku, trzymając się za ręce z Ŝoną i uśmiechając do niby-dziwek, wyrzucających wysoko długie nogi. — Będę dzisiaj spał o wiele lepiej, wiedząc, Ŝe przywódca wolnego świata to facet, który umie docenić zgrabny tyłeczek.

— To pomaga rozluźnić palec od guzika — zgodził się Johnny.

Buzz wydał lubieŜny dźwięk. Był w tym niezrównany.

— O którym guziku mówimy? — zapytał. Johnny i parsknął

śmiechem.

— Muszę cię o coś zapytać, Buzz — powiedział Johnny. Jesteś *paisano*. Śpiewasz w tych samych knajpach co ja, znasz tych samych facetów. Dlaczego ciebie nie czepiają się o mafię?

— Znasz definicję brudnej świnki? To włoski dŜentelmen, który właśnie wyszedł z pokoju.

— Mówię powaŜnie.

— Jestem śmieszny — wyjaśnił Buzz. — Słyszał ktoś kiedyś o śmiesznym gangsterze?

— W takim razie oświecę cię, koleŜko. Nie jesteś aŜ taki śmieszny.

— Ja teŜ cię kocham, ty makaroniarski draniu.

Nie kaŜdemu wolno było tak mówić do Johnny'ego Fontane, ale w ustach Buzza brzmiało to inaczej.

— Daj spokój, Johnny. Jesteś współwłaścicielem kasyna. Kto może mieć udziały w kasynie, jeśli nie cwaniak?

— Wielu ludzi, i dobrze o tym wiesz.

— Ja wiem, ale ludzie tak na to nie patrzą — odparł Buzz. —

Słuchaj, ja teŜ to słyszę. To, co powiedziałeś wczoraj do tego dziennikarza, było prawdą.

— O tobie nigdy nie piszą w gazetach.

— Pewnie od początku naszej rozmowy sprzedałeś więcej płyt, niŜ ja sprzedam w ciągu roku. Kiwnij małym palcem, a kaŜda laska poleci za tobą do chaty. I jesteŝ gwiazdorem filmowym.

A jeśli tego mało, to masz kumpla, który razem z tobą latał za dupami, a teraz został prezydentem. Jest twoim dłuŜnikiem. Ty siedzisz na szczycie ŝwiata, mój makaroniarski przyjacielu, a małe ludziki siedzą wieczorami w domach i marzą o tym, ŝeby cię stamtąd strącić. Zapomnij o tym. DłuŜej poŜyjesz.

Jimmy Shea był człowiekiem z wizją, który dał krajowi inspirację i zdobył najwięcej głosów. Nikt nie doprowadził do tego,

ŝe

go

wybrano. Johnny cięŜko pracował, ŝeby mu pomóc, ale tak samo 417

postępowało wielu ludzi. Mimo to był dumny, ŝe Jimmy wygrał

i wiązał wielkie nadzieje z tym, ŝe będzie mógł się uwaŜać za jednego z najbliŜszych przyjaciół prezydenta. JuŜ przebudował

swoją posiadłość w Las Vegas: powiększył główny dom i wybudował bungalowy dla gości i tajnej słuŜby. Kazał zbudować drugi

basen, a nawet lądowisko dla helikopterów. Jimmy stwierdził, ŝe to bę

N d

a z

d ie

sz j

ee

dg

ł o

c B

z i

a a

s ły

w D

ie o

l m

ki

e n

g a

o Z

f a

i c

n h

ał o

u d

. zi

Ne

a. scenie unosiły się chmury

dymu, Rita zdarła z siebie sukienkę. Pod spodem miała obcisły stanik.

Prostaki na tanich miejscach mogłyby przysiąc, Œe widziały jej myszkę, ale Johnny Fontane wiedział, Œe nie tak wygląda myszka Rity.

— Wiesz, jaki jest jeszcze jeden powód, dla którego pytają mnie często, czy jestem w mafii?

— Jaki? — spytał Johnny, cofając się. Za chwilę miał wejść na scenę.

— Bo w niej nie jestem.

— Co to ma znaczyć?

Buzz opuścił głowę.

— Przepraszam, jeśli zrobiłem ci przykrość. — Upadł na kolana, złapał prawą rękę Johnny'ego Fontane i pocałował pierścionek, który Annie McGowan podarowała mu w czasie ich krótkiego małżeństwa. — Wybacz mi, ojczyźnie chrzestny.

Billy Van Arsdale tylko raz zapytał Francescę Corleone, czy jej rodzina należała do mafii. Było to w przeddzień otrzymania przez niego dyplomu uniwersytetu stanu Floryda. Jego rodzice zabrali ich na kolację do Klubu Gubernatora, a później, podpicci, wdali się w hałaśliwą kłótnię i wyszli osobno.

— Uwielbiam twoją rodzinę — powiedziała głucho Francesca.

próbując rozładować atmosferę. Wyszło nie tak.

— Ale moi rodzice przynajmniej nie są w mafii — odparł Billy.

— Czy to miał być Sartre?

— Nie wiem. — Twarz Billy'ego rozjaśniła się, jakby chciał

zadać to pytanie od chwili, gdy się poznali, i dopiero teraz nadarzyła się okazja. — Czy twoja rodzina należała do mafii?

— Tak właśnie uważasz, prawda? że wszyscy Włosi należą do mafii? że obieramy się pizzą, ugniatamy ziemniaki...

— Nie wszyscy Włosi — przerwał jej Billy. — Pytam tylko o mężczyzn.

418

— Oczywiście, że nie. — Francesca rzuciła chusteczkę, po czym wstała, rąbnęła go w zęby i wybiegła jak burza.

Francesca wiedziała, że jej rodzina należała do mafii — Kathy ją przekonała — ale nie zamierzała kłamać. Gdy Billy zadał pytanie, usłyszała swój niepokój — lęk, że Billy jest z nią tylko dlatego, że ona, Francesca, wydaje mu się egzotyczna. On ciągle szukał czegoś nowego i innego: zagranicznych filmów, najnowszych płyt, poezji bitników w barze we francuskiej dzielnicy, skupisk murzyńskiej ludności w Tallahassee. Kiedyś jechali samochodem sześć godzin do rezerwatu Seminolów, żeby Billy mógł się nauczyć walczyć gołymi rękoma z aligatorami. Wydawało się, że co kilka tygodni wynajduje sobie nowe hobby. Za każdym razem trochę inaczej obcinał włosy.

„Nie rozumiesz, że Billy przyjechał tu tylko po to, aby zobaczyć na własne oczy, jak wyglądają prawdziwe mafijne święta?”, powiedziała kiedyś Kathy.

Francesca biegła przez gorącą noc, mówiąc sobie, że nie będzie płakała. Wszystko skończone. Dobrze. Świetnie. Był jej pierwszą miłością, ale co z tego? Nie będzie ostatnią. Jesienią wyjedzie na studia prawnicze do Harvardu, a ona tu zostanie. Pewnie i tak nic by z tego nie wyszło. Poza tym, Billy był świrem. Szpanerem. Wspaniale było mu przywalić. Odgłos był imponujący — tak donośny, jakby cios nie został wymierzony przez dziewczynę. Wciąż czuła swędzenie w dłoni. Będzie musiała podziękować swojemu bratu Frankiemu, że dawał jej się we znaki i dzięki temu miała okazję poćwiczyć.

Tej nocy w Tallahassee Billy błysnął tą samą tajemniczą umiejętnością, którą stosował, gdy błyskawicznie wpadali na przyjęcia

z okazji inauguracji nowej prezydentury, a później z nich wypadali.

Francesca nie zmierzała do żadnego konkretnego celu. Zbiegła ze wzgórza w jakiejś dzielnicy mieszkaniowej, której nie знаła.

Pomyślała, że się zgubiła i w tej samej chwili zwolnił koło niej samochód.

Trzasnęły

drzwi.

To

Billy

nadjechał

swoim

thund

— e

rb

R i

a rd

nye

, m

a .

l

eP

o

ci p

o r

s o

! stu

— w

Uś ie

m d

iez

cia

h ł

a ,ł d

s o

i k

ę, ą d

p

o m

kaa

z j

u e

j c

ą h

c a

dć.

u

Śe nieuszkodzone

białe zęby. Francesca była dziewczyną, która umiała znokautować faceta. Inaczej mówiąc, była egzotyczna. — Kocham cię, bokserko.

— Jak twoja rodzina się wzbogaciła? — zapytała Francesca. —

Za kaŜdą wielką fortuną kryje się zbrodnia. — Przeczytała to w książce jednego z francuskich pisarzy, których studiowała Kathy.

MoŜe to był Balzak.

419

— I to nie jedna, jestem pewny — potwierdził Billy. — Te skurczybyki są zdolne do wszystkiego.

Mówiąc: „te skurczybyki”, miał na myśli ojca i dziadka. To było dziwne słyszeć, Śe ktoś w taki sposób wyraża się o rodzinie.

Francesca wsiadła do samochodu.

Pogodzili się w nocy, lecz dramat tego wieczoru określił ton ich narzeczeństwa.

Długotrwały romans miał wszystkie elementy, które cechują takie

związki

młodych

ludzi:

dziesięciostronicowe

listy,

podejrzenia, rozmowy telefoniczne pełne szlochów. W kaŜdym razie

jeśli chodzi o Francescę. Billy utrzymywał, Śe ma na uczelni tyle zajęć, iŚ ledwie znajduje czas na jedzenie i spanie, nie mówiąc o pisaniu do dziewczyny czy długich rozmowach przez telefon.

Później przysłał jej pocztówkę z wydrukowaną wiadomością, że dostał się na staż do kancelarii w Nowym Jorku i latem nie przyjedzie na Florydę. Francesca pożyczycyła volkswagena garbusa od Suzy, współlokatorki z akademika, i przez całą noc jechała do Cambridge, żeby osobiście zakończyć tę farsę. Naturalnie, spała tej nocy z Billym. Wróciła do domu jeszcze bardziej skołowana i, jak s

Bię

l lo

y k

a

c z

h a

ciło

ał , p

Ś r

ez

by

y n

za

r d

o z

b ie

ł i

a . skrobankę.

Nawet załatwił wszystko z lekarzem w Palm Beach, który miał

wykonać zabieg.

Francesca nie mogła znieść takiej myśli. Ale ona też z całą pewnością nie chciała dziecka. Ślub z Billym — nie znaczy to, że go pytała czy nawet wspomniała o takiej możliwości — nie wchodził w rachubę. Kathy — pierwszej i jedynej osobie na świecie, której się zwierzyła — powiedziała, że nie

wyszłaby za tego węża, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi.

Wszystko, co się stało, stało się zdecydowanie wbrew woli Fran

Bc

i e

ll sk

y i.

z łamał nogę, skacząc ze spadochronem (koniec jednego z hobby), i kiedy leżał w szpitalu, nagle, w niewyjaśniony z punktu widzenia Franceski sposób coś mu się odmieniło — choć kto potrafi wyjaśnić zmianę uczuć? W dniu, w którym zwolniono go ze szpitala, przyleciał samolotem i oświadczył się Francesce.

A ona, wniebowzięta, przyjęła oświadczenia.

Pobrali się w lipcu, gdy Billy wciąż jeszcze chodził o kulach.

Denerwowało ją, że musi przeciąć nogawkę garnituru, ale on zapewnił ją, iż stać go na taką drobną krawiecką korektę. Wiele rzeczy ją denerwowało, co być może jest przywilejem cię Sarnej 420

panny młodej, ale naprawdę niepokoiły ją dwie rzeczy: przejście nawą kościoła w jedną i w drugą stronę. Z powrotem będzie to wyglądało śałośnie — Billy o kulach! Ale w tamtą stronę będzie niewykonalne. Czy istnieje ktoś, kto mógłby zająć miejsce jej ojca? Nie Saden z jej młodszych braci, i z pewnością nie Alkoholowy Stan, który wciąż był zaręczony z matką Franceski i wciąż się z nią nie Śenił. Wujek Fredo był starszy od wujka Mike'a i lepiej go znała. Ją jednak zawsze ciągnęło do wujka Mike'a. Był bohaterem wojennym, postacią romantyczną, i doskonale prezentował się w garniturze. Dzięki niedyskrecji Kathy i cioci

Connie znała niektóre z jego ciemnych tajemnic, lecz mimo to był

jedynym mężczyzną, który mógł ją wydać za mąż. „To jego wybrałby tata”, oznajmiła Kathy swojej honorowej druhinie, spodziewając się, że bliźniaczka zaoponuje. „Naturalnie”, przytaknęła

Kathy

W .

u j N

ek i

kt

M i n

k i

e e

, n u

o m

s z i a

ą ł

c

y w

s i y

ę p

o

z w

k r i e

ó ł d

e z i

w e

s ć

k ą s

ł o

w w

p r a

o

s t „

n
g a
o t
du
nra
o l
ś n
ciie
ą,"
stz
a nta
o k
wą
ił
pa
prlą
z c
e ą
ci n
wag
w a
a n
g ą
ę . „

dl K

a tró

oŚ

z tb

r y

z

ęin

si n

o y

n ?

e "

j .

Franceski. Powiedział, że jej ojciec

byłby dumny; zapewnił ją, że Santino tam jest i patrzy. Był jednak na tyle roztropny, by powiedzieć to odpowiednio wcześniej, zanim ruszyli nawet kościoła. Dzięki temu mogli się razem wypłakać i uwolnić od łez. Gdy znaleźli się sami w przedsionku, wziął ją pod rękę i powiedział, żeby się nie martwiła. „Chodzi tylko o resztę twojego życia”, dodał, wzruszając ramionami.

Francesca parsknęła śmiechem. Nie można było w takiej chwili powiedzieć niczego lepszego.

Ruszyła w stronę ołtarza rozpogodzona. Dopiero gdy Michael przekazywał jej rękę Billy'emu, zauważyła, że to twarz wuja jest zalana łzami.

W drugą stronę pomagała Billy'emu, który dał sobie radę bez kul. Nawet tańczył na weselu. Był tak kiepskim tancerzem, że gips przydał się jako wymówka.

Przeprowadzili się do Bostonu. Skończywszy prawo, Billy odrzucił propozycję pracy na Wall Street, gdzie zarobiłby fortunę (bo tę już miał) na rzecz posady sekretarza sędziego Sądu Najwyższego stanu Floryda. Trudno było wrócić do Tallahassee, gdy

jej

klasa kończyła studia (poszła na przyjęcie dyplomowe Suzy Kimball i ledwie rozpoznała układną młodą kobietę, która wyjeżdżała

do pracy misyjnej w Chinach). Lecz Francesca miała już wtedy rodzinę i naprawdę uważała się za szczęśliwą — w każdym razie 4 21

do momentu, gdy Billy rzucił pracę w sądzie i zaczął pracować dla zwolenników Shei na Florydzie. Ciągle go nie było. W końcu Francesca odkryła, że zajmuje się czymś więcej aniżeli kampanią.

Jak dowiedziała się o tej kobiecie?

Francesca pochodziła z rodu Corleone. W rodzinie często powtarzano maksymę, że na dłuższą metę nie można zwieść żadnego

z Corleone. To jedno. Była również najzacieklejszym wrogiem pozamałżeńskich romansów, gdy jej najgorszą obawą była ta, że mąż nie uważa jej za dość dobrą dla siebie.

Ernest Hemingway, ten gość z białą brodą, nie jest ojczulkiem.

Nie jest głosem straconego pokolenia. Nie jest słomianym chochołem — niechlujni hochsztaplerzy, którzy przez całe życie dadzą światu mniej, niż Hemingway dał w ciągu kilku popołudni, nie zbagatelizują go oskarżeniami o seksizm. Na początku swojej drogi napisał wspaniałe książki, i nic więcej się nie liczy.

Einstein nie jest geniuszem z plakatu. Picasso nie jest krzepkim łysym kobieciarzem. Mozart nie jest *enfant terrible*. Virginia Woolf i Sylvia Plath nie są tragicznymi afrontami dla opresyjnej męskiej dominacji. Mahatma Gandhi i Martin Luther King nie są niegroźnymi, uroczymi chłopinami o brązowej skórze, których biali mogą popierać, bez poczucia dyskomfortu. Babe Ruth nie jest opasłym niezdarą zjadającym hot dogi i odwiedzającym chore dzieci w szpitalu. Tak, mafia ustawiła walkę Sonny'ego Listona, która pozwoliła Muhammadowi Alemu zostać mistrzem wagi ciężkiej, Ali zaś stanął w obronie tego, w co wierzył. Lecz przede wszystkim

był facetem, który potrafił powalić na tyłek najtwardszego dryblasa w ok

J o

o l

h i

ncy

n

y i

s

F p

o ra
nt w
a i
n ć
e ,
ŝ
b e
y łw
śyg
wilą
etd
nał
y o
m to
a j
k a
t k
or p
e o
me
, zj
ka
i .

e dy mu się chciało.

Miał duży, godny pozazdroszczenia członek, z którego umiał

świetnie korzystać. Przyczynił się do tego, że Las Vegas zamieniło się z przystanku na pustyni w najszybciej rozwijające się miasto Stanów Zjednoczonych. Był synem imigrantów, ucieleśnieniem amerykańskiego snu. Doskonale wyglądał w kapeluszu. Wynalazł

amerykański styl *cool* (jego białą odmianę).

Wielkie rzeczy.

Co z tego, że Fontane przekazał na kampanię Shei pół miliona dolarów w neseserze, który był podarunkiem od Jackiego Ping-Ponga? Ping-Pong nie miał z samą forszą nic wspólnego. Johnny 422

musiał ją w czymś przytargać. (Poza tym był w świecie, w którym ludzie rozdają mnóstwo podarunków. Kiedyś jeden z jego księgowych powiedział mu, żeby trochę to ograniczył. Fontane wysłał

mu roleksa). Johnny zebrał miliony na kampanię, więc jakie to ma znaczenie, że te pół miliona było częścią zysków z Kasbah, kasyna w Las Vegas, będącego własnością Chicago? Jaką to stanowi różnicę, do kogo w Wirginii Zachodniej trafiły te pieniądze i jak zostały wykorzystane, by zapewnić Jimmy'emu Shei zwycięstwo w st

Fa

onite

a,

nw

e k

p tró

z r

ey

dm

st i

a t

wa

i k

ł m

Ri ó

t g

ę ł w

Du y

vg

a r

l a

l ć?

L

ouiemu Russie i Jimmy'emu

Shei (nie wspominając o Fredzie Corleone, którego dziecko oddała do adopcji w 1956 roku, tuŜ przed prawdziwym początkiem swojej kariery). To, co zdarzyło się później, miało związek z nią, a nie z Johnnym Fontane.

Kiedys pewien zastępca szeryfa, który postanowił odegrać się za to, Őe Fontane przeleciał mu Őonę, zginął na pustyni w tajemniczych okolicznościach. I co z tego? Fontane przeleciał Őony wielu facetów. Na pustyni codziennie ktoś ginie. Nie było cienia dowodu, Őe te dwa straszne, lecz powszechnie znane fakty są ze sobą w jakikolwiek sposób powiązane.

Pewnie, Őe Fontane był chrześniakiem Vita Corleone. Znał się z Michaeliem, a kolegował się z Russem, Tonym Straccim, Gussiem Cicerem i podobnymi ludźmi. Wielu ludzi tak postępowało (na przykład ambasador M. Corbett Shea). Nie naleŜał do Őadnej istniejącej czy nieistniejącej mafii. Johnny Fontane był tylko lojalny wobec ludzi, którzy byli lojalni wobec niego, gdy jego Őycie składało się z samych poniedziałków.

Pa-pa-rappa-pa-pa-pa.

Koniec końców, Johnny Fontane był piosenkarzem. Nigdy więcej nie będzie takiego jak on.

Nazywał siebie piosenkarzem salonowym. Z początku była to sycylijska skromność, potem skromność fałszywa, a później — po arcydziełach amerykańskiej piosenki, które stworzył pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych — przewrotnym Őartem, który podchwycił cały świat.

Za jeden z licznych przykładów niech posłuŜy jego występ na balu inauguracyjnym Jamesa K. Shei.

Pasiasty frak na każdym innym mężczyźnie wyglądałby jak kostium klauna, lecz na nim prezentował się całkiem naturalnie.

Ten wieczór stał się jednym ze zwrotnych momentów mody dwu-

dziesiątego wieku. Przez cały wieczór Johnny pozostawał czarującym i zabawnym mistrzem ceremonii. Nie pozwolił sobie na wygłupy w stylu „chłopcy już tacy są i nic się na to nie poradzi” czy ciekawe monologi, które charakteryzowały końcowy okres jego kariery. Jeśli się o nim mówi, to jako o błyskotliwym partnerze w duetach — zwłaszcza z Ellą Fitzgerald w spokojnym, poruszającym wykonaniu *a cappella* piosenki *Bitewny hymn republiki*.

Występ solowy Fontane tego wieczoru składał się tylko z trzech piosenek. Charakter wydarzenia nie pasował do mocnych stron Johnny'ego. Jego najlepsze nagrania były albo piosenkami o straconej miłości, śpiewanymi z męskiej perspektywy, albo podniosłymi wykonaniami numerów o steranych

facetach, którzy mimo wszystko się nie poddają — klimat jednych i dru

J g

o i

h c

n h

n n

y ie

p w

o j s

a p ó

w i ł

ab

rz

si m

ę ia ł

w b

y
p lz
a n
m a
i s
e t
ro
ś j
we
i m
at
ł w
a. i
ec
S z
a o
mr.u
.

Na stołku obok

niego spoczywa melonik. Zaczyna grać muzyka, pianino i perkusja.

Szczotki. Spowolniona długa aranŜacja piosenki *To musiałaś być*

ty. Fontane trzyma mikrofon z dala od ust, pod kątem, i całą piosenkę śpiewa z głową przechyloną w stronę sufitu. Przesuwa mikrofon, Ŝeby zmienić ton, tak jak Charlie Parker, gdy grał na saksofonie.

Rozlega się burza oklasków. Fontane chwyta melonik i intonuje *Ś miała jazdą*, przemierzając scenę ze zwierzęcą energią, której Cole Porter na pewno by sobie nie wyobraził. Kiedy kończy bez tchu, publiczność zrywa się z miejsc. Fontane uśmiecha się jak dzieciak, który wyrósł, nie mając niczego, a

teraz patrzy i widzi, że ma wszystko i jeszcze więcej.

Niewiele można powiedzieć na obronę podniosłej wersji *Wielkich snów*, którą to piosenkę sztab wyborczy Shei wybrał jako oficjalny motyw przewodni kampanii (z nowym tekstem autorstwa Wally'ego Morgana). Johnny Fontane, uniesiony triumfem chwili, heroicznie podejmuje tę próbę. Sprawia wrażenie całkowicie autentycznego. Po pierwszym wersie unosi się za nim kurtyna, na scenę

wkraczają pozostali artyści i przyłączają się do śpiewu. Zapalają się światła, kamera kieruje się na publiczność. Wszyscy stoją i śpiewają. Prezydent całuje pierwszą damę. Fontane rzuca im swój melonik. Prezydent łapie go i wkłada na głowę. Pasuje idealnie.

Rozdział 25

— Wiem, że masz na imię Billy — powiedziała Mary. —

Nazywam cię Bii-boy tylko dlatego, że moja kuzynka Kathy, która wygląda tak samo jak Francie, tylko bez dziecka w środku, też cię tak nazywa. Ale ja pierwsza to wymyśliłam, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Ale już się urodziłam, oczywiście.

— Podoba mi się, kiedy ty mnie tak nazywasz — rzekł Billy, wprowadzając gości do mieszkania.

Francesca wstała o czwartej. Rozpakowała pudła w kuchni, poszła do sklepu i zajęła się szykowaniem śniadania. Była wyczerpana, ale zdążyła do tego przywyknąć. Dziecko kopało tak mocno,

że i ta

— k n

W ie

szw

y i

s e

t l

ke

o spja

eła

st. już prawie gotowe — oznajmiła. —

Przepraszam za bałagan. Jesteśmy tu dopiero od dwóch dni. Billy, oprowadź gości po pokojach, a później usiądziemy do śniadania.

Hej, Sonny! Chodź tu w tej chwili! Mamy gości!

Malec zerwał się sprzed telewizora, podbiegł i złapał Tony'ego jak zapaśnik. Sonny miał niedługo skończyć trzy lata. Mike z aprobatą patrzył na cierpliwość syna. Francesca nigdy nie zauważyła podobieństwa wujka Mike'a do dziadka Vita, lecz nagle dostrzegła ją w czujnych oczach wuja. Była tak wyraźna, że budziła lęk.

— Więc to jest Sonny — dziwił się Michael, podnosząc chłopca. — Jestem wujek Mike. Twardziel z ciebie, co?

Francesca przewróciła oczami.

— Sonny za nic nie chce zdjąć kasku. Czasem nawet w nim śpi.

To wina Frankiego. W czasie świąt Bożego Narodzenia nie robił nic innego, tylko uczył Sonny'ego grać w futbol.

425

Billy bez żadnego powodu przyglądał się Michaelowi, jakby spodziewał się, że ten nagle upuści Sonny'ego.

— Załóż się, że był dobrym nauczycielem — powiedział

Michael. Frankie Corleone, gdy zdał do drugiej klasy w Notre Dame, zaczął grać na obronie w reprezentacji futbolowej szkoły.

— Lubisz futbol, spryciarzu? — spytał Billy Tony'ego.

Tony wzruszył ramionami.

— Ja też tak mam — odparł Billy, mierzwiąc włosy chłopca.

— On tego nie cierpi — poinformowała Mary.

— Nie przeszkadza mi to — mruknął Tony.

Mary wyciągnęła rękę do włosów brata, a ten ją klepnął. Michael postawił Sonny'ego na podłodze, jedną ręką podniósł Mary, a drugą złapał Tony'ego za rękę.

— Przepraszam — rzekł Michael. Dzieci natychmiast się uspokoiły. Był niesamowitym ojcem.

— Nie ma za co — uspokoiła go Francesca. — To tylko dzieci.

Ty teŹ na pewno bięs się z braćmi i ciocią Connie. A ja mam szczęście, Źe do tej pory nie zabięam siostry.

— Ładne mieszkanie — zauwaŹył Michael.

Budynek miał ponad sto lat. Był kiedyŹ pałacykiem i został

podzielony na cztery duŹe mieszkania. Van Arsdale'owie mieszkali na parterze. W dawnej sali balowej znajdował się teraz ich pokój stołowy, jadalnia i kuchnia. Drewniane podłogi były nierówne i wypaczone, więc zabawki i szklane kulki Sonny'ego zawsze toczyły się po pokojach. Francesce bardzo się tu podobało. Nigdy nie mieszkała w domu, który miał więcej niŹ dwadzieścia lat i tak eleganckim, mimo iŹ nieco juŹ zniszczonym. Wychodziła na dwór kilka razy dziennie, nie mogąc się nadziwić, Źe tu mieszka.

Wyjrzała na ulicę i zobaczyła, Źe Al Neri wciãŹ siedzi w samochodzie.

— Twój kierowca teŹ moŹe wejść, wujku — powiedziała Francesca, kiedy wszyscy usiedli. — Na pewno jest głodny.

— On juŹ jadł — odparł Michael. — WczęŹnie wstaje.

Francesca nie przejmowała się zbytnio śniadaniem — w końcu oprócz wujka Mike'a przy stole siedział tylko Billy i troje dzieci.

Mimo to przeprosiła za parówki, bo tylko takie udało jej się znaleźć — nie wiedziała jeszcze, gdzie chodzić na zakupy — ale wszystkim chyba smakowały. Bułeczki teŹ nie były takie, jakich by sobie Źyczyła, lecz takŹe zostały dobrze przyjęte. Za pudełko z nadziewanymi pączkami mogła winić tylko swoją ciãŹę.

426

Dzięki temu, Źe się usprawiedliwiła, nie musiała mówić o cioci Kay. Nie wiedziała, jak poruszyć ten temat. Rodzina Corleone była katolicka, ale w ciągu kilku ostatnich lat zarówno ciocia Connie (która rozeszła się z Edem Federicim niespełna rok po ślubie), jak wujek Mike wzięli rozwody. Poza tym musiał być jakiś powód, dla którego matka Franceski nie wy-szła za Alkoholowego Stana. I do tego sytuacja Billy'ego.

Wszystko to sprawiło, Źe Francesca się martwiła. Nie wyobraŹała sobie nic straszniejszego niŹ mieszkanie tysiące kilometrów od dzieci.

— Z przykrością dowiedziałem się o tobie i Kay — powiedział

Billy. Tak po prostu. Francesca nie wiedziała, czy podziwiać go za bezpośredniość, czy spoliczkować.

Michael skinął smutno głową.

Francesca wyciągnęła rękę i ścisnęła jego ramię.

— Przez całe dzieciństwo marzyłem o tym, żeby moi rodzice się rozwiedli — ciągnął Billy. — Ale ty i Kay nie...

Francesca kopnęła męża pod stołem.

— Cóż, nigdy nic nie wiadomo — westchnął Billy. — Jak często możesz widywać Tony'ego i Mary?

Palnął prosto z mostu, nie zważając na obecność dzieci.

Zdecydowanie należało go spoliczkować.

— Nie tak często, jak bym chciał — odparł wujek Mike. —

Próbuję zmodyfikować moje obowiązki, tak żeby miał na to więcej czasu.

— Tatuś ma nowy samolot! — zawołała Mary. — Teraz stale będzie do nas przylatywał.

Tony wziął drugiego pączka, mimo że nie zjadł jeszcze tego, który leżał na jego talerzu.

— Wynajmuję niewielkie mieszkanie w Nowym Jorku i korzystam z niego, kiedy jestem tam słusbowo — wyjaśnił

Michael.

—

Może znajdę coś większego, żeby dzieci też mogły tam zostawać, kiedy

— prz

W e

c b

i y

ąśw

am

ma n

m a

W

wr s

a c

Ŗ h

e o

nid

e z

, ie

Ŗ .

e wszyscy mieszkacie w Nowym

Jorku — oznajmiła Francesca. — Jakbyście nigdy nie przeprowadzili się do Nevady.

— To juŖ sześć lat — rzekł Michael. — Prawie cztery w Tahoe.

Zatrzymałem oba domy, w Vegas i w Tahoe. Są większe, niŖ

potrzebuję, ale dla Mary i Tony'ego to domy rodzinne.

— Teraz wszystko się zmieniło — stwierdził Billy. — Ludzie 427

często się przenoszą. Na przykład my, cukiereczku. Trzy lata małŖństwa, trzy adresy.

— To zabawne — powiedziała Francesca. — Tyle lat mieszkałam na Florydzie, a wciãŖ myślę o Nowym Jorku jak o domu.

Powinnam była pójść do tamtejszego college'u, tak jak Kathy.

Bardz

— o j

A e

l j

e si

wę

t

eta

d m

y

nsip

g o

d d

y o

b

b a

y ł

ś o.

m

y się nie poznali — zauwaŜył Billy.

Francesca przechyliła głowę. Billy mówił zupełnie szczerze, wyglądał na zasmuconego, jakby wyobraŜał sobie, Ŝe nigdy nie poznał Franceski. Wydawał się taki bezbronny, Ŝe poczuła się rozbrojona.

— Miłość mojego Ŝycia — rzekła równieŜ całkowicie szczerze, wyciągając rękę i głaszcząc męża po policzku.

— Francie i Bii-boy siedzą sobie na drzewie — zanuciła Mary.

— No, śpiewaj ze mną, Tony.

— Tato, kaŜ jej przestać — poprosił Tony.

Michael Corleone podniósł filiŜankę z kawą.

— Za miłość.

Niczego lepszego nie moŜna było powiedzieć.

Dzieci przestały się kłócić, wszyscy podnieśli naczynia.

Francesca pomyślała, Ŝe obecni czują miłość i nic oprócz niej.

Z wyjątkiem Billy'ego, który wypił ten toast zupełnie bez przekonania.

Kiedy goście wychodzili, Francesca kazała podać ochroniarzowi talerz z jedzeniem.

Stali na białych marmurowych schodach, machając za odjeżdżającym samochodem.

— Zawsze mówisz, że uwielbiasz moją rodzinę — powiedziała Francesca do męża. Sonny biegał w kółko, trzymając misia jak piłkę. — Więc dlaczego nie lubisz mojego wujka?

Tyle już przeszli. Czemu nie mieliby pozbyć się tak tego tabu?

Lecz Billy nie odpowiedział. Krzyknął do Sonny'ego, żeby trzymał się z daleka od ulicy. Sonny nawet się do niej nie zbliżył, ale Billy podniósł syna i wniósł go do środka.

Wieczorem, kiedy Sonny spał, wyczerpana Francesca, podeszła do łóżka i zobaczyła, że jej strona jest zasłana tekturowymi teczkami. Billy leżał podparty na łokciu i czytał.

— Mam spać na kanapie?

Billy spojrzał na nią zaskoczony, błyskawicznie zebrał teczki i rzucił na podłogę. Francesca położyła się, a Billy zgasił światło.

i zaczął jej robić masaż, powoli, nie spiesząc się, zatrzymując na spuchniętych stopach i dolnej partii pleców. Gdy się kładła, ledwie miała siłę, żeby zamknąć oczy, ale kiedy Billy podniósł jej koszulę nocną i wsunął język w jej usta, wydała niskie, pełne podziwienia westchnienie.

— Co to było? — spytał Billy.

— Zamknij się i kochaj mnie — mruknęła Francesca.

Na kilka chwil, na kilka minut zapomniała o wszystkich swoich niepokojach i po prostu istniała.

Później, złana potem, poczuła się wspaniale. Billy oparł opalone ramię o jej wielki jak góra rybiobały brzuch. Leżał tak przez długi czas.

Dziecko zaczęło kopać jeszcze mocniej niż zwykle.

— Pytałaś, dlaczego nie lubię twojego wujka?

— Nieważne — odparła Francesca. Znała odpowiedź, a w każdym razie tak się jej wydawało. — Niepotrzebnie się odzywałam.

Poczuła przenikliwy ściskający ból.

— O rety! — zawołał Billy. — Poczulem to! Ale kopnięcie.

Francesca zacisnęła zęby. Ból zaczął ustępować.

— Pamiętasz, jak zламаłem nogę w czasie skoków? — spytał

Billy.

— Oczywiście, Œe pamiętam. — Mogła juŒ oddychać wolniej.

— To było kłamstwo. Nigdy w Œyciu nie skakałem ze spadochronem.

Biodra Franceski wygięły się od kolejnego skurczu, jeszcze silniejszego.

— To chyba juŒ — stęknęła. — Wydaje mi się, Œe rodzę.

Tej nocy Francesca padła ofiarą ponurej historii swojej rodziny.

Babka ze strony ojca nigdy nie chciała o tym mówić, ale poroniła co najmniej cztery razy. Babka ze strony mamy co rok, dwudziestego drugiego lipca, chodziła na mszę, Œeby opłakiwać jedyne

poronienie, które jej się zdarzyło. Matki Franceski i dwóch ciotek równ

D i

ze

i Œ

e

cto

k

o n

ie

F

r o

a m

ncin

e ę

s ł

k o

i, . urodzone dwa miesiące przed terminem, walczyło dzielnie. Dziewczynka przeżyła prawie cały dzień. Na-dano jej imię Carmela, po prababce. Francesca chciała ją też obok niej pochować, na rodzinnej działce na cmentarzu na Long Island.

Billy się nie zgodził. Uważał, że dziecko powinno spocząć na Florydzie. Okoliczności — cierpienie Franceski wywołane utratą dziecka oraz rozmaite wyrzuty sumienia Billy'ego, które dręczyły 429 go jeszcze przed poronieniem — sprawiły, że w tym sporze mogła wygrać tylko Francesca.

Za wszystko zapłacił Michael Corleone. Francesca wiedziała, że Billy tego nie chce, lecz miał dość rozsądku, by nie obrazić wujka odmową. Francesca przyjęła to z zadowoleniem. Skromny pogrzeb odbył się na cmentarzu podczas szalejącej śnieży.

Rodzice Billy'ego nawet się nie pokazali. Nie pojawiła się też

siostra Franceski — przysłała tylko telegram z Londynu z wyrazami współczucia. Młodszy brat, Frankie, opuścił mecz i nie wypowiedział słowa skargi. Drugi brat, Chip, nie miał z powodu pogrzebu przyjęcia z okazji szesnastych urodzin i też przyjechał bez wahania.

Po prostu rodzina.

To był tradycyjny włoski cmentarz ze zdjęciami zmarłych w owalnych ramkach na marmurowych pomnikach. Odchodząc, Francesca pochylała się i po kolei całowała wszystkie zimne wizerunki. Babci Carmeli. Dziadka Vita. Zii Angeliny. Wujka Carla.

Ojca, Santina Corleone. Spojrzała w jego roześmiane oczy i pomyślała: Do zobaczenia następnym razem, tato.

Wujek Fredo zaginął i został uznany za zmarłego, ale nie było jego zdjęcia. Zdjęcie małej Carmeli nie było również. Nie zostało zrobione. była jeden dzień, ale nie miała ścicia.

Wujek Mike, choć bez wątplenia miał wiele zajęć, przybył

wcześnie i został do późna. Jego obecność była wielkim pocieszeniem. Nawet matka Franceski nie umiała rozmawiać z nią tak

otwarcie o koszmarze utraty dziecka jak wujek Mike. A widok Sonny'ego bawiącego się wesoło z Tonym i z Mary na przyjęciu dał F

Br

ila

ln

y'c

ees

g c

o et n

e a

Ŝ dz

z i

a e

ł j

a ę,

m Ŝ

ał e

a w

ś yt

m r

i z

e y

r m

ć a

d .

z iecka. Zrozumiało, Ŝe trudno

mu było o tym mówić.

A Francesce trudno było go nie obwiniać. Wiedziała, Ŝe to irracjonalne. Ale miała wraŜenie, iŜ
zawitała do nich sprawiedliwość za to, Ŝe Billy chciał, aby zrobiła skrobankę, gdy była

w ciąŜy z Sonnym. I co go, u licha, opętało, Ŝeby powiedzieć jej, Ŝe bardzo nie chciał się z nią
oŜenić i Ŝe zrobił to dopiero po tym, jak ludzie jej wuja złamali mu nogę? Dlaczego uwaŜał, Ŝe ta
histo

Dri

o a

t p

e o

g s

o t a

z w

a i g

k a o

ŝ w

d y d

m o

b

r r

a y

z m

e

mś

, w

g i e

d t

y l e?

n

a niego patrzyła, wyobraŝała

sobie, że Billy martwi się, czy policja lub FBI nie sfotografuje go na

Prawdziwym

Mafijnym

Pogrzebie.

To

chyba

było

niesprawiedliwe. Francesca nie mogła wiedzieć, co myślał jej mąż.

Ale oni

430

faktycznie zostali sfotografowani. Przez podłych drani bez serca.

Zaczynała rozumieć, jaką opresję musiał znosić codziennie jej wujek, że ojciec też musiał się z nią kiedyś zmagać, dzień po dniu.

Nagle, w dniu, w którym Francesca pogrzebała córeczkę, za-

świtała jej prawda. Billy wykorzystał pieniądze rodziców i swoją pracę w kampanii Shei, żeby zdobyć posadę w Urzędzie Prokuratora Generalnego po to, by zniszczyć jej rodzinę.

Natychmiast uświadomiła sobie, że to śmieszne. Nie myślała trzeźwo. Opanowały ją emocje, była zdruzgotana, hormony szalały w jej ciele od stóp do głów. Przecież to Billy, ma swoje wady — bo ktoś ich nie ma? — ale jest jedyną prawdziwą miłością jej życia.

A jednak.

Kiedy zarzuciła mu kiedyś, że za fortuną jego rodziny kryje się zbrodnia, odparł nonszalancko, że musiało ich być kilka. Te dranie są zdolne do wszystkiego, przyznał, wcale nie żartując. Więc dlaczego przejmował się tym, co jej rodzina mogła kiedyś zrobić?

Francesca знаła odpowiedź, której udzieliłaby jej siostra: bo jesteśmy Włochami. To Kathy odkryła, że ojciec prezydenta elekta prowadził interesy z dziadkiem Vitem. Przemysł alkoholu.

Nieistniejące

już

przestępstwo,

które

nie

powinno

być

przestępstwem, ale było. Jedno pokolenie później James K. Shea rezyduje

w

Białym

Domu, a Michael Corleone (dowiedziała się tego od Kathy, która wyciągnęła tę informację od cioci Connie. Od Connie, która wytrzeźwiała i stała się bardziej wiarygodna niż kiedyś) odciął się od swojej przestępczej działalności, a mimo to wciąż był tropiony przez bezduszne larwy z wymiaru sprawiedliwości, nawet na rodzinnym pogrzebie córki bratanicy. Dlaczego? Bo jesteśmy Włoc

Ki h

l a

k m

a it.

ygodni później Francesca zadzwoniła na drugą stronę Atlantyku do Kathy. Przygotowywała się psychicznie do tego telefonu od dnia pogrzebu. Powiedziała siostrze, jak bardzo było jej przykro, że się nie pojawiła.

— Był pogrzeb? Myślałam, że to tylko poronienie.

— Tylko poronienie? A ona była przez...

— Wiesz, która jest tutaj godzina?

— Jak mogłaś nie wiedzieć, że będzie pogrzeb? Kiedy straciłam małą Carmelę...

— Dałaś jej imię? Och, kochanie. Nazwałaś je po babci?

Ja.

Francesca odłożyła słuchawkę.

431

Jimmy Shea uprzedzał, że prawdopodobnie nie uda mu się przyjechać do Las Vegas przed upływem

pierwszych stu dni swojej prezydentury. Mimo to Johnny Fontane natychmiast po powrocie z Waszyngtonu znalazł czas w swoim napiętym kalendarzu, by nadzorować przygotowania w swojej nowo rozbudowanej rezydencji, jakby wizyta prezydenta miała być jutro. Johnny przyjął

do

pracy dziesięciu nowych ludzi, między innymi byłego członka tajnej służby, którego zadaniem było pozostawać w stałym kontakcie ze swoją dawną agencją i być gotowym na przyjęcie prezydenta

z minimalnym wyprzedzeniem, gdyby ten zechciał wybrać się na Zachód i trochę odprężyć. W rezydencji powstała nowa sala, która miała być prezydenckim gabinetem. Można było dostać się do niej przez przemyślnie umieszczoną płytę w ścianie oraz przez schody w garderobie. Agenci tajnej służby mogliby przez podziemny garaż

wprowadzać i wyprowadzać kobiety. Louie Russo dał Ricie Duvall apartament w Kasbah, lecz Fontane miał w odwodzie co najmniej trzy panujące hollywoodzkie królowe seksu, które tak się twierdziły, że są do dyspozycji na każde wezwanie. Danny Shea znów zaczął

spotykać się z Annie McGowan, która była jego kochanką, zanim wyszła za Johnny'ego, a Johnny dał im jasno do zrozumienia, że zawsze są mile widziani, razem lub osobno. Kilku najlepszym kucharzom w Las Vegas dał po pięćdziesiąt tysięcy tylko za to, że zgodzili się rzucić wszystko i stawić na jego wezwanie. Johnny nie przepadał za narkotykami, ale Bobby Chadwick i prezydent mieli słabo

K s

a c

ri e d

r o

a Jko

o k

h a

n i

n n

y'y

e.

gP

o ro
o s
s z
i e
ą k
g,
n ę k
ł t
a ó r
k y
o z
m a
e ł
r a
c t
y w
j i
n ł
e J
s o
z h
c n
z n
y y

t'

ye

. m

J u

e

g G

o u

f s

irsie

m

a

C

p ilc

ye

t r

o o,

w b

a ył

mp

o o

g d

ł o

a bn

b o

y
ć n
ie
wz
ró
jaw
k n
i a
m n
ś e
j
s c
t z
o y
p s
n t
i o
u śc
ui.

b ebezpieczana finansowo

przez Louiego Russa i Jackiego Ping-Ponga, choć nie musiała.

Johnny starał się nie wtrącać w te sprawy, zostawiając prawnikom i księgowym. To samo dotyczyło jego studia filmowego i inwestycji rodziny Corleone. Wiedział tyle, że obie firmy zarabiają krocie.

Jego płyty sprzedawały się jak świeże bułeczki, na tantiemach zarabiał trzy razy więcej niż w National Records. Wyciągnął

Philly'ego Ornsteina z National i zatrudnił do prowadzenia swojej wytwórni. Kręski wydane pod nadzorem Philly'ego stawały się złotymi płytami. Nawet kiepskie filmy wychodzące z jego studia zapełniały sale kinowe (może zwłaszcza złe — jedynym obrazem nakręconym między rokiem 1959 a 1962, który początkowo przyniósł stratę, był film *W obliczu niesprawiedliwości*, opowia-432

dający o czarnoskórym piosenkarzu klubowym, fałszywie oskarżonym o gwałt na białej dziewczynie (Oliver Smith-Christmas

zagrał śmiertelnie chorego adwokata z Południa, a w roli piosenkarza wystąpił J.J. White jr). Jeśli Johnny Fontane kupował

akcje,

ich cena natychmiast wzrastała. To samo było z ziemią. Kasyno w Tahoe, Zamek w Chmurach pełne było frajerów co noc przez okrągły rok. Najgorętszy lokal w mieście. Pewnie, że dobrze było być starym kumplem prezydenta. Ale jeszcze lepiej było być Johnnym Fontane. Johnny nie rozmawiał z Sadnym z braci Shei od inauguracji. Rozumiał to, rzecz jasna, lecz kilka dni przed upływem pierwszych stu nie wytrzymał i zadzwonił na prywatny nume

— r

,

M k

o t

Ś ó

e r

y

p

an d

i o

p s

r t

z a

e ł

ka o

zad

ć wp

i r

a e

d z

oyd

m e

o n

ś t

ć a

? . Sekretarka odmówiła

połąc

— z

en

O i

c a

z g

y o

w .i ście, panie Fontane.

— Przywieź tu swojego ptaka, zanim ci odpadnie. Pozdrawiam, JF. Dokładnie takie słowa.

Później tego samego dnia, kiedy okazało się, że obłąkańcza inwazja na Kubę nie była robotą garstki gniewnych wysiedleńców, lecz miała wsparcie amerykańskiego rządu, Johnny'emu zrobiło się głupio, że zostawił taką frywolną wiadomość. Jego emerytowany pracownik z tajnej służby powiedział jednak, że nie ma

sensu

proszenie sekretarki o zmianę wiadomości. Jeśli trafiła do dzien

W n

k i

r k

ó a

t,

c t

e o

j w

e

d n

n i

am

k zo

nasjta

g n

orie

s .

z y kryzys minął — operacja została

zaaprobowana przez poprzednika Jimmy'ego, a ten ją odziedziczył

i nie miał czasu jej zatrzymać — Corbett Shea przesłał wiadomość, że prezydent planuje pierwszą podróż na Zachód. Podpisał ustawę o stworzeniu nowego parku narodowego nieopodal Las Vegas i chciał wygłosić tam przemówienie. Pragnął też odwiedzić kilka innych miejsc i uśmiechnąć się kilka razy, żeby chłopcy z wieczornych wiadomości mieli co pokazywać i o czym mówić, ale w gruncie rzeczy miał to być urlop.

— Powiedziałbym, że zasłużył na urlop — dodał Johnny, i była to prawda. Nawet polityczni przeciwnicy Jimmy'ego musieli przyznać, że poza kubańską eskapadą młody charyzmatyczny

prezydent rozpoczął swoją kadencję, jak mała który amerykański przywódca.

— Przyjedź wcześniej, jeśli chcesz — zachęcił Johnny. —

Z Soną albo sam. Możesz zostać tak długo, jak zechcesz.

— Z Soną! — roześmiał się ambasador. Kilka razy odwiedził

433

wille Fontane w Beverly Hills i jak na starszego mężczyznę, nieźle sobie folgował.

Zjawił się kilka dni później z samą swiutą tajnej służby. Siedział

na golasa przy basenie, bez przerwy prowadził zamiejscowe rozmowy przez telefon i widać było, że prawie przez cały czas jest wściekły, mimo że nie podnosił głosu. Co jakiś czas robił sobie kilkuminutową przerwę i szedł na górę, by odbyć sesję z jedną z wysokiej klasy profesjonalistek, zorganizowanych przez Johnny'ego. Ambasador ani razu nie wyszedł do miasta na występ albo

choćby po to, żeby dla zabawy obstawić w kasynie. Ani razu nie zagrał też w tenisa, choć podobno wciągał grał, a Fontane zbudował

kort

P z

r

z o

e ś

d w

s ie

p t

o le

d n

zi i

eem

wa .

na wizytą prezydenta pod rezydencję zajęły cię łóżka z jedzeniem i napojami. Dzień przed początkiem podróży prezydenta na Zachód Johnny wziął ręczny wózek i zawiózł

do większego basenu to, co właśnie dostarczono. Była to gruba brązowa tablica o wymiarach dziewięćdziesiąt centymetrów na metr dwadzieścia, z napisem: TU SPAŁ PREZYDENT JAMES

KAV

— A

N

C A

o, U

u G

diH

a

bS

ł H

a, E

c A

hc.

esz z tym zrobić?

— A jak myślisz, Corbett? Już jedzie tu ekipa, która umieści tablicę nad drzwiami pokoju, w którym będzie spał Jimmy.

Zamierzałem wziąć w cudzysłów słowo „spał”, ale to byłby brak szacunku.

Ambasador zmarszczył czoło.

— Trochę duża ta tablica, nie sądzisz?

— Rozejrzyj się, tu wszystko jest największe i najlepsze. Moi przyjaciele tylko na takie rzeczy zasługują.

Ambasador pokręcił głową.

— Musiało zajść jakieś nieporozumienie, John. Jimmy nie przyjedzie.

Johnny nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

— Mówmy poważnie. O której będzie? Muszę coś jeszcze przygotować.

— Głuchy jesteś, tępy makaronie? Jimmy nie przyjedzie. Nigdy nie powiedziałem, że tu będzie. Ma teraz za dużo spraw na głowie.

Wygłosi to przemówienie, ale nie znajdzie czasu na urlop. A nawet jeśli znajdzie, to nie powinien pokazywać się w takim mieście jak Las Vegas albo w domu... w twoim domu.

— Co jest nie tak z moim domem? O czym ty mówisz?

434

Ale odpowiedź nie była potrzebna, sam się domyślił.

— Wiesz, że jesteśmy wdzięczni za wszystko, co dla nas zrobiłeś — powiedział ambasador.

— To brzmi jak kwestia przy pocałunku na poświęcanie.

— Przykro mi, jeśli zaszło nieporozumienie, John. Możesz za to winić tego przydupasa z Kuby. Postawił mojego chłopaka w kłopotliwej sytuacji. Myślimy, jak się zemścić. Wy, Włosi, dobrze to rozumiecie, prawda? Wiecie, co to zemsta?

Co ten przydupas z Kuby miał wspólnego z tak monstrualną niegrzecznością?

— Jak myślisz, dla kogo to wszystko było przeznaczone? Te wszystkie...

— A skąd ja mam, u diabła, wiedzieć? — Shea wstał. Ręcznik spadł na ziemię i ambasador wyprostował się, całkiem goły, rozkładając ręce. Był roslym, ale chudym mężczyzną. Johnny nie mógł zrozumieć, dlaczego taki stary cap paraduje bez przerwy ze skurczonym fiutem fruującym na wietrze. — Wydaje ci się, że mam gdzieś schowany twój kalendarz towarzyski?

Johnny Fontane pokręcił głową. Przełknął burzę gniewu, która w nim wzbierała. Zostawił tablicę, odwrócił się i wszedł do willi.

Pomyślał, że nie byłby to dobry pomysł, sprać ojca prezydenta na krwistą masę. Kusiło go, żeby zadzwonić w kilka miejsc i na dobranoc podesłać Corbettowi Shea dziewczynę z chorobą, ale z tego też zrezygnował. Zaczął po prostu unikać tego parszywego starego pierdziela.

Nazajutrz wcześniej rano ambasador wyjechał bez poświęcania.

Z zewnątrz wyglądało to tak, jakby Johnny przyjął afront z imponującym sycylijskim stoicyzmem. Wynajął nawet ciężarówkę z przyczepą i pomagał pracownikom ładować prowiant. Kierowcy polecił jechać do jadłodajni w ubogiej dzielnicy Los Angeles i surowo nakazał pracownikom mówić,

Se Śywność przekazał

anonimowy darczyńca.

Prezydent wygłosił przemówienie. Johnny Fontane obejrzał je w telewizji. Trudno było gniewać się na człowieka, który w tak fascynujący sposób przedstawiał przyszłość kraju.

Jednak dziennikarz relacjonujący wydarzenie powiedział na sam koniec, Śe w następny weekend prezydent będzie odpoczywał

w Malibu, w domu kolegi ze studiów w Princeton, prawnika, który

— zdaniem dziennikarza — był „potomkiem w prostej linii prezydenta Johna Adamsa”.

435

Fontane słuchał z niedowierzaniem.

Ty tępy makaronie.

Wyłączył telewizor i poszedł do warsztatu, z którego korzystali robotnicy podczas budowy domu. W skrzynce zostały tylko dwie laski TNT, którego uŚywali do kruszenia skały w miejscu, gdzie znajdował się teraz drugi basen. Johnny wziął więc ze sobą dodatkowo młot pneumatyczny. Nigdy nie uŚywał TNT, ale był

zbyt

wściekły, by czuć strach. Poczuł go dopiero, gdy zobaczył płomień śmigający błyskawicznie po lonce. Cisnął laskę materiału wybuchowego, która wylądowała dokładnie pośrodku lądowiska dla

helik

T o

y p

t t

ęe

pró

y w.

m

a Z

ka rog

nó

i r

e y

. posypał się piasek i kawałki cementu wiel

Pk

oo

śc

w i

y p

b i

u ę

c ś

h c

ui .

drugiej laski lądowisko zamieniło się w krater.

Rozdział 26

Tom Hagen przyszedł wcześniej do klubu golfowego i wstąpił

do restauracji na kawę. Zamówił dwie filiżanki, jak to miał w zwyczaju, żeby nie musieć dopraszać się o dolewkę.

— Panie Hagen! — zawołał ktoś.

Hagen się odwrócił.

— Panie ambasadorze — rzekł, zbliżając się do stolika z wyciągniętą ręką. Corbett Shea siedział z członkami tajnej służby.

— Jaka miła niespodzianka. — To, że Shea miał się zatrzymać w rezydencji Johnny'ego Fontane, było tajemnicą, ale dla Toma Hageny w Nevadzie istniało niewiele tajemnic. — Co pana sprowadza

do Las Vegas?

— Moja fundacja rozpatruje prośbę o wybudowanie teatru na terenie tutejszego uniwersytetu — odparł ambasador. — Zaskoczyło mnie, że w Las Vegas jest uniwersytet, a jeszcze bardziej że ten uniwersytet ma wydział teatralny. Musiałem przyjechać i zobaczyć to na własne oczy. Siadaj.

Jakby Hagen był psem. Ale takie zwyczaje miał ambasador.

Hagen zawołał kelnera, a potem usiadł.

— Mam tylko minutę. Niedługo będę grał w golfa.

Ambasador podniósł filiżankę.

— Nigdy nie jest za wcześnie na golfa. I na herbatkę.

— Ja piję kawę — sprostował z uśmiechem Hagen. — Jest pan członkiem tego klubu?

Ambasador wzdrygnął się, jakby Hagen zapytał, czy przeleciał kiedyś kurczaka.

— Pański syn wykonuje wspaniałą robotę — pochwalił Ha-437

gen. — Nie spędziłem wiele czasu w Waszyngtonie, ale dość, by wiedzieć, jak trudno jest tam cokolwiek przeprowadzić, zwłaszcza takie sprawy, które mają znaczenie dla życia zwykłych Amerykanów.

To sprawiło, że ambasador rozpoczął litanię ojcowskich przechwałek (ani słowem nie wspominając o Kubie). Hagen mówił

szczerze. Jego dzieci miały na ścianach zdjęcia prezydenta Shei, obok fotek piosenkarzy rockowych, gwiazd filmu i wizerunków Jezusa. Kampania była podejrzana, Jimmy Shea wydawał się gruboskórnym typem, więc Hagen z tym większym zdumieniem patrzył, jak szybko zmienił się w wielkiego przywódcę. Przypomniawszy

sobie, jak przygotowywał Michaela do przejęcia schedy po ojcu.

Tom dopił drugą filiżankę kawy. Musiał iść.

— Długo zostanie pan w mieście?

— Właśnie wyjeżdżam — odparł ambasador. — Odbędę kilka szybkich spotkań, a potem umykam z tej pustynnej dziury do Kalifornii.

— Musimy kiedyś rozegrać ten mecz tenisowy — powiedział

Hagen.

— Jaki mecz?

— Nieważne.

Proszę

przekazać

prezydentowi

moje

pozdrowienia. Jeśli kiedykolwiek będzie czegoś potrzebował, zostanie załatwione.

— Przekazę.

Tom Hagen znalazł cierpliwość na interesy i rodzinę, toteż nie zostało jej ani trochę na grę w golfa. Kiedy tylko mógł, wynajmował

wózek. Podchodził do piłeczki, robił zamach i walił. Zgodnie z zasadą „uderzyć i zapomnieć”.

Miał smykałkę do znajdowania piłki i doprowadzało go do szału, gdy partner — tak jak teraz — karczował metalowym kijem zarośla niczym wielki odkrywca poszukujący źródła Nilu. Jesteś fajtłapą z robionymi na zamówienie kijami, myślał, uderzając dłońmi w kierownicę wózka. Zostaw tę piłkę.

— Zostaw tę piłkę, na litość boską! — zawołał. Kiedy już

zdarzało się, że Tom musiał szukać piłki dłużej niż dziesięć sekund, zaliczał sobie karę i grał dalej. Ścieżki są krótkie.

— Znalazłem! — krzyknął Michael Corleone. On też dowiedział

się, że Corbett Shea jest w mieście. Podobno prezydent zamierzał

438

zatrzymać się u Fontane, ale musiał odwołać wizytę. Co nie oznaczało, że pogłoska o propozycji wybudowania Sali Corbetta była od początku do końca fałszywa.

— Nie traciłbyś tyle handicapu, gdybyś dłużej składał się do uderzenia i nie zdecydował się tak szybko na przyjęcie kary —

zauważył Michael, z lubością przygotowując się do zamachu.

— Zapomnij o tym. Zamieniałbym tylko jeden handicap na drugi. — Tom miał sześciopunktowy

handicap i był najlepszy z całej czwórki. Hal Mitchell miał piętnaście punktów, a Mike w najlepszym razie dwadzieścia. Przyjaciel Mike'a, Joe, grał

poSyczonymi kijami i będzie miał szczęście, jeśli uda mu się przełamać granicę stu punktów na dziewięciu dołkach. — Znalazłeś tę zasraną piłkę, więc uderz ją i przechodźmy dalej.

Hal Mitchell, który siedział w wózku obok Hagen, pokręcił

głową i zachichotał. W innych okolicznościach nawet Hagen nie ośmieliłby się mówić do Michaela w taki sposób. Ale kiedy uprawiali sport, Tom wciąż był jego starszym bratem, tak jak wtedy, gdy byli dziećmi i próbował uczyć Mike'a gry w tenisa. Ich partnerów nie zaskakiwało to tak jak obcych ludzi. Obaj znali Michaela prawie tak długo jak Tom: Mitchell od wojny, a Joe Lucadello jeszcze dłużej, bo od czasów, gdy Mike pracował w Cywilnym Korpusie Konserwacyjnym. Joe mieszkał w Filadelfii, był chudzielcem w krzykliwym ubraniu, z opaską na oku. Do Vegas przyjechał na urlop i zatrzymał się jako gość w Zamku na Piasku. Hagen poznał go dopiero dzisiaj.

— Mike mówi, że razem wstąpiliście do Kanadyjskich Sił

Powietrznych — rzekł Mitchell. Joe właśnie pokonał czterema klepięciami najbardziej płaski, najwolniejszy odcinek toru golfowego. Jechali do następnego punktu startowego.

— Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych, panie Mitchell

— poprawił go Joe, puszczając oko.

— Mów mi Sarge. Wszyscy przyjaciele tak mnie nazywają.

— Dzięki, przyjacielu.

— Powinieneś być nas widzieć, Sarge — odezwał się Michael.

—

Dwóch

szczeniaków,

którzy

ledwie

panowali

nad

samolocikiem, na którym uczyliśmy się latać. A nie wiadomo dlaczego

zdawało się nam, że jesteśmy gotowi, by zestrzelić Czerwonego Barona

— a.

Wiadomo — rzekł Joe. — Młodość. Czerwony Barona to zła wojna, Mike. On był wielki. A my byliśmy tymi dobrymi.

439

— Zła wojna — mruknął Michael.

Od wydarzeń z Fredem Michael zachowywał się właśnie w ten sposób; często zmieniał mu się nastrój. Na Hagenie też pozostawiło to ślad. Jako *consigliere* zawsze wierzył, że są rzeczy, które trzeba zrobić, a kiedy już są załatwione, nigdy więcej się o nich nie mówi. Zapomina się. Nawet minimalny rozdźwięk między tym, w co się wierzy, i tym, co się robi, może stać się źródłem koszmaru.

Odrzuć to. Uderz i zapomnij.

Hagen miał prawo do pierwszego uderzenia. Zamachnął się mocno i posłał piłkę na odległość stu trzydziestu metrów prosto jak kamień z procy.

— Nie usłyszałem, czym się zajmujesz, Joe — rzekł Mitchell w drodze do następnego dołka. Ich wózki jechały jeden obok drugiego. — Nadal jesteś piratem?

— Bardzo śmieszne — odparł Joe. — Zabawny z ciebie gość.

Wiem, iż kierujesz kasynem, ale nikt mi nie powiedział, że jesteś też komikiem estradowym.

Sierżant miał na myśli pilota, lecz Hagen uświadomił sobie, że zabrzmiało jak pirat. Nie chciał wprawiać Mitchella w zakłopotanie, poprawiając Joego, i nie mógł też nawiązać kontaktu wzrokowego z Mikiem. Przez długą nieprzyjemną chwilę nikt nie wiedział, co powiedzieć.

Właśnie wtedy Hagen pierwszy raz zastanowił się, czy Joe Lucadello jest tylko starym kumplem z CKK, a nie członkiem jakiejś rodziny.

— Nie piratem — warknął Sarge. — Pii-łotem. — Rozłożył

ręce, pokazując samolot. Jego wózek omal nie zsunął się w piaskową pułapkę. — Samo-łoty.

— Ach, tak — westchnął Joe. — Przepraszam. Nie, nie. Tuż po wojnie pracowałem w liniach Eastern. Ale teraz już nie latam.

— Straciłeś je na wojnie, tak? — spytał Mitchell. — To znaczy, oko.

— Powiedzmy.

Powiedzmy? Hagen wysiadł i chwycił swojego drivera. MoŜe to tylko tak dziwnie zabrzmiało. Wielu weteranów w dziwny sposób mówi o wojnie. Hagen nie był weteranem, ale ci trzej, jak najbardziej. Mitchell przyjął brak odpowiedzi za coś naturalnego.

Hagen ustawił piłkę na rzutni.

440

— Więc w czym pracujesz? — spytał Mitchell.

— W tym i owym — mruknął Joe. — Trochę się kombinuje, wiesz. Generalnie staram się być na luzie, tak jak w piosence.

Hagen zrobił krok do tyłu. JuŜ miał uderzyć piłkę, ale to przykuło jego uwagę. Nie zastanowiło go złamanie golfowej etykiety. Nie obchodziło go czyjeś gładzenie. Ale Joe wyraził się w sposób charakterystyczny dla cwaniaków. Michael przyjechał podobno do Vegas na spotkanie akcjonariuszy dwóch spółek naleŜących do rodziny, a Joe rzekomo na wakacje. Co by to znaczyło, gdyby Joe naprawdę był w innej rodzinie? Hagen zawsze zakładał, iŜ Michael nie mianował Geraciego szefem tylko dlatego, Ŝe chciał być szanującym prawo obywatelem, Ŝe kryło się za tym coś więcej.

Jeśli Michael mówił szczerze o wycofaniu się, dlaczego zostawił

sobie tyle sznurków? Z powodu komisji? Szefowie innych rodzin ucieszyliby się, widząc, Ŝe odchodzi. Michael powiedział, Ŝe zrobił

to ze względu na bezpieczeństwo: swoje, rodziny, interesów.

A moŜe nie mógł zmusić się do zerwania powiązań, które zawsze były najcenniejszym kapitałem rodziny Corleone.

A moŜe miało to coś wspólnego z Joem.

Hagen uderzył piłkę.

Wciąż nie przestawał wierzyć, Ŝe Michael stworzył misterną błyskotliwą zagadkę, w budowaniu których specjalizował się Vito, a które Tom uwielbiał rozwiązywać (Hagen rozumiał, a zarazem nie rozumiał, dlaczego nie ma ochoty robić tego z Michaeliem).

CzyŜby ten powietrzny pirat w spodniach Sansabelt był kluczem do rozwiązania tej łamigłówki? Hagen nie sprawdził go zawczasu.

Michael powiedział, Ŝe byli razem w CKK i Hagen przyjął to na wiarę. Joe powiedział, Ŝe jest z Jersey, spod Philly, ale Hagen nie znał nikogo z Filadelfii. Tamtejsza organizacja sama była sobie sterem. Ale New Jersey mogło być wskazówką. Prezydent był

z New Jersey. Michael siedział tak głęboko w tyłku ambasadora, Ŝe jego głowa prawie wystawała z pępka starego. Wszystko to razem do siebie nie pasowało. Linie Eastern? Cwaniak by tego nie

powiedział. Ale Tom Hagen mógł podstawić wiele liczb i sprawdzić, czy pomogą mu znaleźć „x” w tym równaniu.

Wciąż ubrany w sportowe spodnie i sweter, Tom Hagen zapalił

światło w swoim gabinecie w Vegas, znajdującym się nad sklepem obuwniczym niedaleko Fremont, i usiadł przy biurku — tym 441

samym, które należało niegdyś do Genca Abbandanda. Zostało tu przywiezione z domu Vita Corleone. Hagen był już w takim punkcie kariery, miał tyle kontaktów, że wystarczyły trzy lub cztery telefony, by historia dowolnego człowieka błyskawicznie znalazła się na jego biurku, opakowana niczym prezent. Jeśli trwało to godzinę, uważał, że poszło kiepsko. Znał już informacje, które Lucadello podał w recepcji w Zamku na Piasku, poza tym dowiedział się kilku rzeczy rano, podczas gry w golfa. Oceniał, że na Lucadella wystarczą trzy telefony, a więc zajmie to jakieś dwadzieścia minut.

Spojrzał na zegarek i podniósł słuchawkę.

Cztery godziny później nie miał niczego. Nikt o tym nazwisku nigdy nie pracował w liniach Eastern, nie latał w Królewskich Kanadyjskich Siłach Powietrznych i nie należał do CKK. W Philly nikt o nim nie słyszał. Nigdzie w Stanach Zjednoczonych nie pobrano jego odcisków palców. Nigdy nie zarejestrował samochodu, łodzi, broni ani nie zgłosił żadnego pozwu. Nigdy nie zapłacił federalnego podatku od dochodu. Tośśamość była przypuszczalnie fałszywa, lecz nawet taka zostawia więcej śladów.

Z tego, czego dowiedział się Hagen, wynikało, że nie istniał nikt o nazwisku Joe Lucadello. Przez cały ranek grał w golfa z Casperem, Jednookim Duchem.

żeby nie spisać popołudnia na straty, sprawdził historyjkę ambasadora. Wszystko okazało się prawdą: Shea był u Johnny'ego, ale wyjechał, i rzeczywiście spotkał się z władzami uniwersytetu.

Ludziom tym bardzo zależało, żeby pan ambasador zaaprobował

plany budowy teatru. „Ambasadora bardzo trudno rozgryźć”, stwierdził Hagen. „Ale śyczę wam powodzenia”.

Tom znów spojrzał na zegarek. Zostało mu niewiele czasu na to, by się przebrać i zdążyć na otwarcie muzeum.

Popędził do hotelu i spieszył się, jakby był już okropnie spóźniony, ale jak zwykle zjawił się przed czasem. Otwarcie miało nastąpić za dwadzieścia minut. Theresa, przewodnicząca komitetu artystycznego muzeum, pojechała na lotnisko powitać gościa, malarza. Pomarszczona przewodnicząca trzymająca straż przy pluszowym sznurze pokiwała palcem na Toma i kazała mu wstrzymać

konie, lecz natychmiast podbiegł do niego dyrektor muzeum i zaczął

Tął

o g
m or
niąc
g o
d
y p
r
n z
i e
e p
s r
ł a
y s
s z
z a
a ć
ł .

o tym malarzu, lecz na pierwszy rzut oka

zorientował się, że eksponat był kompromisem, tak jak rozumiała go Theresa, zaprawionym przewrotnym poczuciem humoru. Hagen 442

musiał się uśmiechnąć. Jego Sona była absolwentką historii sztuki, a jej gust kierował się w stronę malarstwa abstrakcyjnego. Wiele pań z komitetu, z włosami ufarbowanymi na niebiesko, było Sonami ranczerów, nie znały się na sztuce, lecz wiedziały, co im się podoba.

A podobały im się posępne wizerunki Indian. Podobał im się Norman Rockwell. Podobały im się niektóre wczesne dzieła Picassa. Wystawa nosiła tytuł: *Koty, samochody i komiksy — świat popkultury Andy'ego Warhola*. Samochody wyglądały tak, jakby skopioowano je z reklamy w kolorowym magazynie — ten sam wizerunek sportowego wozu, wielokrotnie powielony, w równych rzędach i wielu kolorach. Komiksy były powiększonymi, wyglądającymi jak zbiór kolorowych plam

podobiznami Popeya i Supermana. Jednak niebieskim koafiurcom najbardziej przypadły do gustu koty. Hagen spojrział na zielonego kocura z czerwonymi ślepiami i dreszcz przebiegł mu po plecach.

Sznur poszedł w dół, a Teresy wciąż nie było. Zebrał się niewielki tłumek.

— Ładny wóz — rzucił Michael, wskazując obraz. Zjawił się w towarzystwie grupy akcjonariuszy i lipnych właścicieli największej firmy obrotu nieruchomościami, należącej do rodziny.

Był

te

z nim Al Neri i paru mięśniaków. Po wizycie w muzeum wybierali się na prywatną kolację, którą Enzo Arguello miał podać w obrotowej sali w Zamku na Piasku. — Ale tyle różnych kolorów, — Wydaje mi się, — o to właśnie może chodzić — stwierdził

tru

H d

a n

g o

e

n w

. ybrać.

Wreszcie pojawiła się Theresa z wątym młodzieńcem z różowymi blond włosami, o twarzy bez wyrazu, w czerwonych okularach. Natychmiast obiegly ich niebieskie koafiury.

— Twój przyjaciel Joe wygląda na porządnego gościa — rzekł

Hagen.

— Bo jest porządny — odparł Michael. — Jeden z najlepszych, jakich znam.

— Naprawdę?

— Przyjemnie spędziłeś popołudnie? — odpowiedział niezbyt przyjaznym tonem Michael.

Jak, u diabła, mógł się dowiedzieć o tym dealerze blackjacka z Bonanza Village? Hagen podjął wszelkie środki ostrożności.

Czyby to były kwiaty? Podłuch?

— Niczego nie znalazłeś, prawda?

443

A więc Michael mówił o Lucadellu.

— Wykonałem tylko kilka telefonów — odparł Tom. — Miałem trochę papierkowej roboty. Ale faktycznie niczego nie znalazłem.

— Jeśli chciałeś dowiedzieć się czegoś o moim przyjacielu Joem, wystarczyło mnie spytać.

— Po prostu byłem ciekaw.

Michael podniósł kieliszek z winem i skinął w stronę zielonego kota.

— Za ciekawość — rzekł, nie wypijając trunku.

— Coś do ciebie dotarło?

— Nic do mnie nie dotarło — odparł Michael, przechodząc na sycylijski. — Znam twój sposób myślenia, Tom. Wiedziałem, co zrobisz. Właśnie dlatego jesteś takim dobrym prawnikiem.

— Więc do jakiej rodziny naleŜy? — zapytał Tom, teŜ po sycylijsku. — Skontaktowałem się z Nunziem z Filadelfii...

— Dlaczego od razu wyciągasz wniosek, Őe Joe jest częścią naszej wspólnej sprawy, Tom? Bo ma włoskie nazwisko? Bardzo mnie rozczarowujesz.

— Włoskie nazwisko nie ma z tym nic wspólnego. Do kogo ty mówisz?

— Nie masz się czym przejmować. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o Joem, on sam ci wszystko powie. — Michael przeszedł

na angielski. — Albo raczej wszystko, co powinieneś wiedzieć.

Tak czy inaczej, spotkamy się z nim o północy w moim apartamencie.

Theresa wyrwała się z kręgu osób otaczających malarza i przemknęła do meŜa i Michaela.

— I co sãdzicie?

— Wspaniale — stwierdził Michael.

— Wizjonerskie.

Theresa otoczyła meŜa ramieniem, jakby wciąż byli dziećmi.

— Ja teŜ uwaŜam, Őe te obrazy sã okropne — powiedziała. —

Ale wierzcie mi, one zrobią furorę. On teŚ.

— Samolot się spóźnił? — zapytał Tom, rozkładając ręce jak sierŜant. Nawet Mike się uśmiechnął.

Theresa pokręciła głową.

— Nasz gość kazał mi się zatrzymać, wysiadł i zrobił sobie spacer pasaŚem. Zaczął przyglądać się jednej markizie, po prostu stał i się gapił, nie wiem, jak długo. W nieskończoność. Tak samo zrobił przed wystawą sklepu z upominkami. Zbierał kaŜdą ulotkę 444

prostytutki, jaka wpadła mu w ręce. Były ich setki. Zbierał

je do celów artystycznych, oczywiście. A kto musiał je później nieść? *Moi*.

— Naprawdę do celów artystycznych? — zapytał Tom.

— Wydaje mi się, Őe on nie interesuje się dziewczynami —

oznajmiła Theresa scenicznym szeptem.

Tom odwrócił spojrzenie od Michaela.

— A teraz stoi tam i opowiada wszystkim, Őe w przyszłości Ameryka będzie taka jak Las Vegas. Nie podobna, tylko taka sama. A jest tutaj od trzech godzin.

Michael wzruszył ramionami.

— Niektórzy ludzie załapują szybciej.

Po spotkaniu przy kolacji Tom poszedł z Michaelem do jego apartamentu. Joe Lucadello juŜ tam był; siedział bez koszuli przy barku i stawiał pasjansa.

— Tom! Jak się cieszę. Wchodź. — Jakby był u siebie. — Mike mi powiedział, Őe chcesz dowiedzieć się o mnie czegoś więcej.

Tom był z Michaelem przez cały czas od wizyty w muzeum.

W Őaden sposób nie mógł powiedzieć Joemu czegokolwiek.

Do apartamentu weszli teŜ Al i Tommy Neri. Michael skinął

głową, a ci skierowali się do sąsiedniego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

— Mike ci powiedział, tak? — Hagen rozejrzał się i zrozumiał, dlaczego pokój wygląda tak znajomo. Stół bilardowy. To był

ten sam apartament, w którym mieszkał Fredo, zanim się oŜenił.

Został odnowiony, lecz stół był ten sam. Michael włączył

telewizor i nastawił głośno dźwięk. Odbiornik też był nowy. Fredo nigdy nie wyłączał telewizora, lubił, jak coś grało. Teraz Michael otwierał go tylko ze względu na możliwość podsłuch. Akurat szedł jakiś stary film z mężczyźnami w togach.

Joe jedną ręką podniósł otwartą butelkę pernoda, a drugą zakorkowaną butelkę Jacka Danielsa i uniósł brwi. Hagen spróbował

zajrze

— ć

J z

a a

ro

e p

z a

y s

gk

nę

u n

jęa

ok

— u,

o

zb

ne

az

j p

mo

ił w

o

T d

o z

me

. n

ia.

— Nie chcę cię urazić, ale

miałem długi dzień, który jeszcze się nie skończył, więc mógłbyś mi powiedzieć, co się dzieje?
Kimkolwiek jesteś.

— Jest Joem Lucadellem — odparł Michael, układając bile na stole. — To szczerza prawda, Bóg mi
świadczy.

445

— Choć nie byłem nim od piętnastu lat — przyznał Joe.

— Ach, tak — mruknął Tom. — Więc kim jesteś?

— Nikim. KaŜdym. Mike zna mnie jako Joego Lucadella, bo byłem nim, kiedy się poznaliśmy.
Oczywiście wciąż nim jestem, ale jak się dowiedziałeś z własnej inicjatywy, poza meldunkiem w
hotelu — który zniknie, nawiasem mówiąc — nigdzie nie ma po mnie śladu. Kilku ludzi pamięta tego
młodego człowieka, ale to wszystko.

— Jasne. Jesteś duchem.

Joe parsknął śmiechem.

— Brawo, Tom! Ciepło, bardzo ciepło.

Trzask rozbicia bil po uderzeniu Michaela Corleone przestraszył

Toma, który aŜ podskoczył na stołku.

Wtedy do niego dotarło. Kto jest najbardziej podobny do ducha?

Szpieg. Joe był agentem CIA.

— Na pewno nie chcesz drinka? — spytał Joe. — Jesteś trochę roztrzęsiony.

— Pije mnóstwo kawy. — Michael wbił dwie bile bezpośrednio z rozbicia i uderzał dalej. — Całe galony. Nie uwierzyłybyś.

— Kawa cię wykończy — orzekł Joe.

Hagen odwrócił się do Michaela.

— Co się tutaj dzieje? Ten jednooki koleś, którego nie widziałeś od czasu, gdy w Chicago widziano Chrystusa, wpada do nas na urlop, twierdząc, że jest w...

— W firmie — dokończył Joe.

— I my mamy mu uwierzyć? Bez sprawdzenia?

Michael wpakował bilę do narożnej łuzi o wiele mocniej, niż

było to konieczne.

— Wypłynąłeś na obce wody, Tom — rzekł Michael po sycylijsku. — Wyciągasz pochopne wnioski. Czemu zakładasz, że nie

widziałem Joego od lat? Powiedziałem ci tylko, że to jest mój przyjaciel Joe, którego poznałem w CKK. Dlaczego zakładasz, że nie sprawdziłem, dla kogo pracuje? Dlaczego zakładasz, że wpadł

tu na urlop, a nie, iż przyjechał, by porozmawiać z nami o interesach

H s

a a

g c

e h

n ?

ś ciągnął brwi. Z nami?

Skąd Hagen — albo Michael — mógł mieć pewność, że Joe nie rozumie sycylijskiego dialektu?

Michael wykonał trudne uderzenie o bandę, jakby to była łatwizna.

446

— Tom, byłeś moim adwokatem w czasie przesłuchań w Senacie — powiedział Michael po angielsku — i doskonale się spisa

T ł

r e

z ś

y. ...

bile do bocznej łuzi.

— ...ale ja na swoje szczęście miałem jeszcze jedną linię obrony.

— Obrona to za duŜo powiedziane — sprostował Joe. — To było tylko zabezpieczenie. Przyjacielska pomoc. Wykonałeś taką doskonałą robotę, Tom, Œe my nie musieliśmy do niczego sięgać.

Do czego mieliby sięgać?

Michael odłoŜył kij i opowiedział Tomowi, jak było.

Joe skontaktował się z nimi niedługo po nalocie na dom w stanie Nowy Jork, gdy FBI zapoczątkowało Program Ścigania Największych Bandytów i stało się jasne, Œe coraz mocniej będzie naciskać

na tak zwaną mafię. Michael nie widział Joego od dnia, gdy Billy Bishop poprosił Michaela o licencję pilota, a ten, chcąc ochronić Joego, przyznał się, Œe nie ma licencji. W tym czasie Joe został zestrzelony nad Remagen, uciekł ze stalagu, a później przydzielono go do oddziału wywiadowczego. Tak to się zaczęło. Mnóstwo zadań w Europie. Od kilku lat Joe znów działał na ojczystej ziemi.

Krótko mówiąc, Joe — który wciąż był wdzięczny Mike'owi za tamtą przysługę — pomyślał, Œe moŜe zdoła pomóc staremu przyjacielowi. Znał wiele sposobów uchronienia człowieka od więzienia i ścigania przez prokuraturę. Gdyby kiedykolwiek do tego doszło, FBI nie wiedziałoby, kto za tym stoi — nie miałyby nawet pojęcia, co zaszło. Michael chciał wiedzieć, gdzie tkwi haczyk. Nie ma haczyka, odparł Joe. Inaczej niŜ FBI, my nie szukamy informatora. Nie chcemy niczego, co mogłoby wpakować cię w kłopoty w twoim świecie. Gdybyśmy o coś poprosili, to tylko o przysługę kurierską, o doręczenie komuś gotówki. Gdyby Michael, poproszony o wykonanie takiej roboty, nie chciał wyznaczyć do niej swoich ludzi, wystarczy powiedzieć i sprawa zamknięta. Joe nie szukał niewolnika lub pokornego sługi, tylko wyko

H n

a a

g w

en c

y

z.

a czał sobie przypominać roboty z ostatnich trzech lat, które budziły jego wątpliwości, ale zaraz się powstrzymał. Nie powinien o tym myśleć.

— Więc dlaczego teraz nagle mnie w to wprowadzasz? —

zapytał.

— Joe ma propozycję — odparł Michael. — A ja potrzebuję twojej rady. To duŜy krok. Jeden krok w tył na drodze do tego, co chcieliśmy osiągnąć, Őeby zrobić kilkanaście kroków do przodu.

447

Jeśli przyjmiemy tę propozycję, będę potrzebował twojego pełnego udziału.

— Chodzi o propozycję?

Michael wskazał kijem Joego, oddając mu pole, a sam zaczął

się przymierzać do pozornie niewykonalnego uderzenia w cztero-punktową bilę.

Joe cięŜko połoŜył rękę na ramieniu Toma.

— Albo spodoba ci się to, co teraz powiem, i zgodzisz się wziąć w tym udział, albo potraktujesz, jakbyś nigdy tego nie usłyszał. Albo jedno, albo drugie. To jasne, Őe rozmawiam z ludźmi, którzy wiedzą, jak postępować w takich okolicznościach.

Michael chybił, ale minimalnie.

— Dawno temu — zaczął Joe Lucadello — powiedziałem Michaelowi — załoŜę się, Őe to pamiętasz, Mike; rozmawialiśmy o Mussolinim — Őe w historii nie było ani jednego bohatera, ani jednego zbrodniarza, ani jednego przywódcy, którego nie moŜna byłoby zabić.

Michael skinął głową.

— Tak, zrobiło to na mnie wrażenie.

— Pozwólcie, Őe streszczę propozycję władz. Wyszła od samego Alberta Soffeta — Soffet był wówczas dyrektorem CIA — i uzyskała akceptację prezydenta. Czy chcielibyście w związku ze swoim

biznesem wrócić na Kubę i wznowić działalność na etapie, na którym ją zakończyliście? Chcielibyście otrzymać zapłatę za wykonanie pewnego zlecenia, które by to umoŜliwiło? Ogromną zapłatę, naleŜy dodać. KaŜdy cent będzie w stu procentach legalny i moŜemy to załatwić tak, Őeby

pieniądze były wolne od podatku.

Pomoglibyśmy nawet przeszkolić waszych ludzi. Uważalibyśmy to naw

— et

P rza

e k

szo

kn

oile

i c

ć z

n

n e

a .

s

zych ludzi?

— Rewolucja wiele zmieniła. Ludzie, których wysłalibyście do wykonania tej roboty, musieliby o tym wiedzieć. Kubańscy patrioci mieszkający za granicą też mogliby pomóc. Znamy ich. Znamy ich umiejętności i ograniczenia. Trzeba też przestrzegać pewnych procedur, nikt nie pójdzie do więzienia ani w Ameryce, ani, broń panie Boże, na Kubie. Ryzyko jest takie — niech to będzie jasne

— Jeśli gdyby coś poszło źle, my nie mamy z całą sprawą nic wspólnego. Gdyby Rosjanie pomyśleli, jeśli stoi za tym nasz rząd, moglibyśmy stanąć wobec groźby trzeciej wojny światowej.

Naturalnie gdyby wasi ludzie wpadli w tarapaty, zrobimy wszystko, co

448

możliwe, jeśli im pomóc, ale nie za cenę ujawnienia naszych związków z projektem. Wasi ludzie będą działali jako prywatni obywatele. Nigdy mnie nie spotkaliście. Ja nie istnieję.

Hagen uśmiełby się z tego, co powiedział Joe — człowiek z pewnością niezwiązany z organizacją — gdyby nie ogrom spisku, który sugerował. Zabicie prostego policjanta było wbrew tradycji, pomyślał Hagen, a oni chcieli zabić przywódcę obcego państwa i uniknąć konsekwencji?

I wbrew opinii publicznej, FBI i CIA zabójstwa zdarzały się z jakiegoś powodu — dla ochrony samych siebie, dla zemsty —

a nie za pieniądze.

Ale czy to nie była zemsta? Ludzie ginęli za to, że ukradli sto dolarów lichwiarzowi pracującemu dla rodziny Corleone. Czy przejęcie i zamknięcie kasyn przez kubański rząd różniło się od ukradzenia milionów?

A jakimi zasadami kierował się emerytowany don?

Michael Corleone wykonał efektowne kombinacyjne uderzenie, wbijając bilę do narożnej ławy.

— O rany — westchnął Joe. — Teraz widziałem już wszystko.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Oczekujemy kogoś? — spytał Hagen.

— Spóźnił się — odparł Joe, choć to Michael poszedł otworzyć drzwi. — Wybacz. Jak pewnie wiesz, on zawsze się spóźnia.

Był to ambasador M. Corbett Shea.

— Przepraszam panów — powiedział. Ludzie z tajnej służby zostali w holu, co oznaczało, że pozwolono im przeszukać pomieszczenie wcześniej. — Miałem coś do załatwienia z synami.

Czy

mogę poinformować prezydenta i prokuratora generalnego, że umowa stoi? A może macie jakieś pytania, które powinienem przekazać? Jak pan to ująłeś, panie *con-sig-llii-eril*? Jeśli prezydent kiedykolwiek będzie czegoś potrzebował, zostanie załatwione.

Rozdział 27

Kiedy Lucadello i Shea się pośgnęli, Hagen zrobił sobie mocnego drinka i wyszedł na balkon. Neon na markizie Kasbah, kasyna po przeciwnej stronie ulicy, wyświetlał nazwisko Johnny'ego Fontane. Chicagowska knajpa. Śaden wykonawca nie należał do śadnej rodziny, lecz od wielu lat drażniło Hageną, że pozwolili, by największy gwiazdor Las Vegas występował w kasynie największych rywali rodziny Corleone. Hagen nie lubił

Johnny'ego tak jak Vito i Fredo. Nawet Michael go nie lubił, choć tylko do pewnego stopnia. Michael miał rację, mówiąc, że rodziny nie mogły walczyć między sobą o sprawy tak drobne jak to, w którym kasynie występuje który piosenkarz. W istocie Mike krył

też Freda, który odpowiadał wówczas za rozrywkę w hotelach rodziny Corleone. Uważając, że przyjaźń z Johnnym zastępuje negocjacje, Fredo dał się zaskoczyć, gdy Fontane — który przecieś

przyjaźnił się teŜ z Russem — podpisał szeŝcioletniã wyãacznã umowã z Kasbah. Do diabã z przyjaźniã, tam chodziã o interesy.

Tu teŜ chodziã o interesy. Hagen wziã głãboki oddech. Nie mógã pozwoliã ponieŝã siã emocjom.

Drzwi balkonu siã otworzyã i Michael podszedã do Hagenã.

W pokoju znajdowã siã system stereo wbudowany w ŝcianã.

Michael wããczyã radio, pewnie po to, by zagãuszyã rozmowã.

Muzyka operowa. Hagen nie przepadaã za operã i Michael o tym wiedziã. Ale Tom nie oponowã.

— Nie usãyszaãesã tej propozycji po raz pierwszy — stwierdziã

Hagen. — Od kiedy o niej wiesz?

Michael pstrykniãciem otworzyã wysadzanã drogimi kamieniami 450

zapalniczkã, na ktãrej byã coŝ wygrawerowane. Płomieã oŝwietliã

jego twarz. Zaciãgnã siã mocno papierosem.

— Od ostatniego pobytu na Kubie.

— Kiedy ostatni raz poleciaãesã na Kubã... — Byãesã z Fredem.

Hagen wolaã nie poruszaã tego tematu. — Rewolucja dopiero siã zaczãła. Wiãc oni juŜ wtedy wiedzieli? Ty teŜ wiedziaãesã?

— Rozmawialiŝmy o tym. Wtedy brzmiaã to raczej jak pomysã

niŜ propozycja. Jego propozycja. Tylko rozmawialiŝmy. Wtedy uwaŝãem, ŝe ta rewolucja jest znacznie wiãksza niŜ charyzma jednego czãowieka. Nie sãdziãem, ŝe zabicie go cokolwiek zmieni.

— A teraz?

— Myŝlã tak samo. Tylko ŝe teraz nie uwaŝãm, iŝ zmiana czegokolwiek cokolwiek zmieni.

Kolejna zagãdka. Tom pociãgnãã łyk drinkã.

— Kocham ciã — rzekã Tom — ale moŝe nadszedã czas, ŝebyŝmy poszãli swoimi drogami. Przynajmniej w sensie zawodowym.

— Ja myŝlaãem coŝ wprost przeciwnego.

— Myŝl sobie, co chcesz, ale powiem ci, ŝe mam potãd tego, iŝ

trzymasz mnie w niewiedzy. To jestem w grze, to w niej nie jestem, potem znowu jestem, a potem znowu nie jestem. Jestem twoim bratem, a później tylko adwokatem. Jestem *consigliere*, a później tylko jeszcze jednym politykiem na liście płac. Kieruję wszystkim, kiedy nie ma cię w kraju, a potem jestem nikim, z którym niczego się nawet nie konsultuje. Wiedziałaś, że nie powiem tak albo nie o... Właściwie o niczym w obecności człowieka, którego poznałem rano, bez porozumienia z tobą. A tym

bardziej w obecności Corbetta Shei. A mimo to z jakiegoś powodu zaara

—n

Œo

T w

o a

mł,e

ś

n

i t

eo

t

mak

,

Œ Œ

a e

d b

n y

ejm

z m

ag u

a s

d ia

kił. sa

C m

hc iro

ał z

e w

mi,ą

z

Ŝ y

e w

bya

ś ć

utę

sł z

y a

s g

z a

ał d

tk

oę

.

od

niego, bo to jest jego operacja, nie moja. Będziemy wykonywali usługę. Mikey Shea daje ci rękojmię, Őe prezydent teŜ za tym stoi.

Widziałeś, jaki był wściekły. Dla nas to interes. Pieniądze, okazja, władza. Dla nich to kwestia

zemsty. Sam nie byłem tego pewny, ale tylko w ten sposób można było dowiedzieć się z pierwszej ręki.

Mickey Shea. Hagen nie słyszał, by ktokolwiek oprócz Vita go tak nazywał.

— Jeśli chcesz o tym porozmawiać Tom, porozmawiajmy. Samo wykonanie tej roboty to wielki krok. Fakt, że musimy to zrobić razem z Geracim, czyni go jeszcze większym. Teoretycznie możemy

wykorzystać naszych ludzi w Nevadzie, ale jedynym do tego przygotowanym jest Al Neri, a nie możemy ryzykować utraty Ala.

Jest więcej niż prawdopodobne, że to misja samobójcza. Jeśli zlecimy sprawę ludziom Geraciego, albo im się uda, albo nie. Jeśli zawiodą, przedstawimy to tak, jakbyśmy nie mieli ze sprawą nic wspólnego. Jeśli będą jakieś reperkusje, to spadną na niego, a nie na nas. W końcu jestem na emeryturze.

Hagen przegryzł grudkę lodu z drinka. Jego wzrok utkwiony był

w ciemność pobliskiej pustyni.

— Niewykluczone, że misja się powiedzie, a komuniści i tak utrzymają się przy władzy — ciągnął Michael. — I co z tego?

Świat nie będzie ani lepszy, ani gorszy, a my dostaniemy niewiele za nasz wysiłek. Ale pomyśl, Tom, wyobraź sobie, że coś się jednak zmieni. Wróci wolność, a my znów będziemy robili interesy na Kubie. Legalne, większe niż wszystkie, które teraz prowadzimy.

Nasz rząd i marionetkowy reżim, który Stany Zjednoczone za-instalują na Kubie, będą naszymi dłużnikami i dopilnują, żebyśmy weszli tam przed wszystkimi innymi rodzinami. Łatwo przekonamy pozostałych członków komisji, że Geraci i jego ludzie byli naszymi marionetkami.

Wszelka

niechęć

do

nas

za

to,

że

współpracowaliśmy z rządem, rozplynie się wobec milionów, które inne

rodziny

będą mogły zarobić dzięki nam, kiedy Kuba znów się otworzy. Tak czy inaczej, bez względu na to, jak się sprawy potoczą, dostaniemy połowę pieniędzy, które rząd gotów jest zapłacić, a Geraci dostanie drugą połowę. Nigdy się nie dowie, że to my wszystko ustawiliśmy.

Joe i jego współpracownicy nawiąŜą z nim kontakt, nie wspominając o nas. Dostaniemy połowę tak samo, jakby Geraci przekazał

nam naszą część wpływów z duŜej umowy, tyle że w tym wypadku Joe przyniesie pieniądze prosto do nas. Geraci jest zbyt wielkim oportunistą, jest zbyt ekspansywny, by odrzucić taką szansę. I ma Sycylińczyków, których może wykorzystać do tej roboty — za-wziętych śmiałków, nie znających zasady niezabijania gliniarzy czy urzędników. Gdyby stała się nieprawdopodobna rzecz, to znaczy gdyby Geraci zwrócił się do nas o radę lub błogosławieństwo, powiemy mu po prostu, że juŜ nie zajmujemy się

takimi

sprawami. Jeśli zaproponuje nam udział w zysku, grzecznie od-mówimy. Tylko jeśli jego działania okaŜą się skuteczne, dowie się czegoś, prawdopodobnie od swojego ojca chrzestnego, dona Forlenzy. I co z tego? Wtedy będzie juŜ bohaterem i będzie to za

4 w

5 d

2 zięczał nam. Ale najważniejsze jest co innego, Tom: potrzebuję u mojego boku kogoś tak inteligentnego i lojalnego, że będę — my będziemy — myśleć dwoma mózgami. Nie mogę się w to zaangażować i nie zaangażuję się bez ciebie.

— Całkiem dobrze to przemyślałeś beze mnie — stwierdził

Hagen. — Będzie przy tobie twój stary kumpel Joe. I Neri. Nick Geraci wykona mokrą robotę. Nie jestem niezbędny, Mike. Spójrz na listę ofiar tej naszej sprawy. Powiększa się od wieków, każdego roku. Nie jesteśmy do tego potrzebni.

— Ale ty jesteś mi potrzebny, Tom. Od wielu lat kontaktowałeś się z ambasadorem. Prezydent nie zrobi dla nas nic wbrew woli starego.

— Możesz posłać kogoś innego. Prawnika, sędziego, kogoś w tym rodzaju.

— Jesteś jedynym człowiekiem na tym świecie, któremu ufam.

Wiesz o tym. Nigdy nie izolowałem cię dlatego, że cię nie ceniłem albo nie potrzebowałem. Próbowałem tylko cię chronić.

— Chronić mnie? Wielkie dzięki.

— Co chcesz, żeby powiedział? Mam powiedzieć, że jestem tylko człowiekiem? że popełniałem błędy, zwłaszcza wobec ciebie, i że jest mi przykro. Czy o to ci chodzi?

Tom westchnął.

— Oczywiście, że nie. Chcę tylko prostych odpowiedzi.

Michael wykonał ręką gest, jakby przepuszczał Toma przed siebie.

— Pytaj, mecenasie.

— Czy ta opaska na oku jest prawdziwa?

— To jest twoje pytanie?

— Rozgrzewam się przed ważniejszymi.

— Joe powiedział mi, że odniósł ranę w czasie wojny. Nigdy więcej się nad tym nie zastanawiałem.

— A on jest prawdziwy? Jesteś pewien, że to wszystko nie jest lipą? Ambasador mógł pomóc synowi w wyborach, ale nie ma żadnego oficjalnego stanowiska. Nigdy mu nie ufałem i jestem pewny, że ty też nie.

— Z Joem skontaktowałem się najpierw — odparł Michael —

ale kiedy uznałem, że możemy w to wejść, nalegałem na spotkanie z Albertem Soffetem. Będąc w Waszyngtonie w czasie prac komitetu wyborczego, w ogóle nie spotkałem się z jego członkami, o czym wiesz. Ale spotkałem się z dyrektorem Soffetem. Nawet wtedy uważałem, że ryzyko może być zbyt duże. Tak samo jak ta 453

partacka inwazja, projekt został zatwierdzony przez poprzednią administrację. To, co powiedział Joe, było prawdą. Soffet powtórzył

mi to samo. Armia amerykańska nie może zaatakować Kuby, bo wtedy Rosjanie przeprowadzą odwet. Jeśli Stany Zjednoczone ograniczą się do sankcji ekonomicznych, kraj wciąż będzie w rękach komunistów. Ale nasz rząd nie ośmielił się zrobić niczego wprost. Muszą więc znaleźć inną metodę. Spróbowali planu A i nie udało się. My jesteśmy planem B.

— Mam więc uznać, że to był prawdziwy powód twojego niby-odejścia na emeryturę?

— I tak, i nie. Wiesz już prawie wszystko. Wiesz więcej o finansach legalnych interesów niż ja. Wiesz wszystko o działaniach,

które podjęliśmy, żeby pomóc prezydentowi wygrać wybory.

Umieściliśmy wszystkich naszych łączników w jednym zespole, tak

abyś

T m

o y

m m

u p o

i ł g

l

n i

a s z

t

ę n

p i

n c

y h

d ł k

u o

g r i z

ł y s t

k a

. ć niezaleŚnie, ja i Geraci. Tom,

gdyby

— ś b

T y

o ł S

m i y

a ł c

y

b l i

y j

ć c

z

ŝ y

ark

t i e m

— , n

m r a

u z

k w

n a

ą l

ł i

b y

M i ś

c m

h y

a

e t

l o

. regime.

Hagen poruszył szklanką, a szklanki zaczęły się zgrzechotały kostki lodu.

— Słyszysz? To mój śmiech.

Zawyła syrena, a potem druga. Ulicą przemknęły dwa wozy strażackie. Na skraju miasta wybuchł duży pożar.

— Okay, masz rację, nie mówiłem ci wszystkiego. Miałem dwie inne sprawy, którymi musiałem się zająć. Nie mogłem ich załatwić

jako

całkowicie

prywatny

obywatel,

więc

wykombinowałem

układ

z

komisją...

Ale

to

te

ty

przep

— r

oJw

e a

d d

n z

ą a

zł e

t ś

y .

ch spraw, o których mówisz, jest Kuba?

— Nie. Kuba to tylko środek prowadzący do celu.

Tom poklepał się po płaszczu, szukając cygar. Zaczynał mięknać.

Jako sierota nie wierzył w stabilność wszelkich ludzkich związków, lecz w głębi serca wiedział, że jego przeznaczeniem jest rola *consigliere* Michaela, teraz i zawsze.

Michael zapalił zapalniczkę. Jej płomień był o wiele za wysoki jak dla palacza papierosów.

Hagen odgryzł czubek kubańskiego cygara.

— Dzięki — rzekł Hagen. — Ładna zapalniczka.

— To prezent — odparł Michael.

— Więc co to były za sprawy?

Przypalając papierosa, Michael wskazał Kasbah.

— Oto pierwsza.

454

— Fontane? — zdziwił się Hagen. — Zaczyna mnie męczyć ta zgadywanka.

— Fontane? — parsknął drwiąco Michael. — Nie, nie. Miałem na myśli Russa. Gdybym odszedł, gdybym naprawdę odszedł, Louie Russo wzmocniłby się tak, że za kilka lat komisja mianowałaby go szefem szefów, a to byłby wielki cios w nasze interesy, zwłaszcza tutaj i w Tahoe. Na Kubie też, jeśli się otworzy. Zaczęłyby się do nas dobierać, a my nie mielibyśmy siły, żeby go powstrzymać. Mamy tu grupę swoich ludzi, ale jest dość mała i jej większość

stanowią mięśniaki. Bez miejsca w komisji, z Russem w roli *capo di tutti capi*, zostalibyśmy pokonani politycznie, a to byłby nasz koniec

— c

To prawda — zgodził się Hagen.

W radiu odezwał się głos spikera, powiedział, że przed chwilą odtworzono fragmenty opery *Rycerskość wieś niacza* Mascagniego, a następnie z wielką radością anonsował reklamę piwa.

— I jeszcze coś. Obaj wiemy, jak myśli ambasador. Obawiam się, że jeśli Świński Ryj naprawdę zostanie szefem szefów, to będzie miał lepszy dostęp do prezydenta niż mamy my.

— Tego już się prawie domyśliłem — rzekł Tom. — Nigdy nie słyszałem, żebyś tak go nazywał. Nigdy nie słyszałem, żebyś mówił

o którymkolwiek z donów, używając przezwiska.

— Jest po temu powód, od tego możemy przejść do drugiej sprawy. — Michael uśmiechnął się smutno. — Chcesz wiedzieć, kto dał mi tę zapalniczkę?

— Niech zgadnę. Russo.

— Nagle masz ochotę zgadywać? Nie, to nie był Russo.

Michael opowiedział Tomowi o Geracim.

Opowiedział o tym, że podjął próbę zabicia go.

Powiedział, że trzeba spróbować jeszcze raz, kiedy przyjdzie właściwy czas.

Hagen słuchał w milczeniu, wiedząc, że powinien być zły, bo tak długo był pomijany, a tymczasem walczył z uniesieniem, które go ogarniało.

Przygotował sobie drugiego drinka. Michael, który prawie nigdy nie pił nawet wina, poprosił, żeby Tom też mu nalał.

— Pytanie — rzekł Tom, podając Michaelowi szklanekę. — Co powstrzyma CIA od zrobienia nam tego samego, co ty zamierzasz zrobić Geraciemu? Mogą nas wykorzystać, a potem się pozbyć, kiedy sprawa zostanie załatwiona.

455

— Dobrze jest znów z tobą współpracować.

— A więc?

— Trafiłeś — przyznał Michael. — To wątpliwy punkt. Ale mamy powiązania i możemy napuścić FBI na firmę i vice versa, przynajmniej do pewnego stopnia. I nie zapominaj, że mamy członka rodziny w Departamencie Sprawiedliwości.

— Kogo? Bilhy'ego Van Arsdale'a? — parsknął Hagen. — Ten chłopak wciąż myśli, że dostał tę posadę dzięki koneksjom rodziców. Zrobi wszystko, co może, żeby trzymać się od nas z dala.

— Zrobi to, co będziemy chcieli — zapewnił Michael. — To znaczy będzie naszym kanarkiem w kopalni. Jest ambitny i nie cierpi nas. Boi się, że jego związek z nami z powodu małżeństwa z Francescą jest powodem, dla którego tkwi w bibliotece, zamiast prowadzić konferencje prasowe czy występować w sądzie. Nie potrzebujemy korzystać z naszych koneksji, żeby ułatwić mu awans. Wykorzysta nas — to, co jego zdaniem o nas wie — żeby to osiągnąć. A wtedy my poprosimy go grzecznie o pomoc.

— Innymi słowy — rzekł Hagen, zagryzając wargę, żeby się nie roześmiać — złożymy mu propozycję nie do odrzucenia.

Wspaniale, Mike. Staruszek byłby dumny.

Vito Corleone nigdy nie postawił stopy w Las Vegas, lecz dwaj mężczyźni stojący na balkonie poczuli na sobie siłę jego dziedzic-twa niczym ciepłą mocną dłoń.

— Zobaczymy — odparł Michael. — Ostateczną próbą każdego planu jest jego egzekucja.

— Za egzekucję — powiedział Hagen. Stuknęli się szklankami i wypili za ponurą grę słów.

KSIĘGA VIII

1961-1962

Rozdział 28

Tak oto Michael Corleone i Nick Geraci zaczęli ostatni rok współpracy, pogrążeni w stagnacji zimnej wojny.

Przypuścili na siebie atak i każdy był przekonany, że drugi nic o tym nie wie.

Obu zmroziła tajemnica, którą uważali tylko za własną. Ciągłe byli w obawie, że niechcący odsłonią swoje karty.

Z pewnością też bardzo pragnęli się nawzajem pozabijać, ale nie mogli tego zrobić.

Byłoby niebezpieczne dla Geraciego, gdyby wyruszył przeciwko Michaelowi (albo Russowi) bez błogosławieństwa komisji, ale by je uzyskać, trzeba było zasiadać w komisji. Co równie ważne, zabicie Michaela Corleone oznaczałoby zagładę armii opłacanych polityków, sędziów, działaczy związkowych, gliniarzy, dowódców straży pośarnej, inspektorów budowlanych, koronerów, redaktorów gazet i magazynów, producentów wiadomości telewizyjnych oraz umieszczonych

w

strategicznych

miejscach

urzędników

maszynistów — najpotężniejszej tego rodzaju armii, jaką widział

świat.

Nikt oprócz Michaela i Hageny nie znał wszystkich ludzi, których opłacała rodzina, a także szczegółów działania układu, a Hagen wyglądał na nieprzekupnego. Michael igrał z poczuciem godności Hageny, lecz ci dwaj potrzebowali się tak, jak potrzebują się starzy małżonkowie. Nawet jeśli Geraci mylił się w swojej ocenie, miał

rację: ryzyko związane z próbą przekabacenia Hageny było zbyt duże. Szansa, że się uda, wynosiła jeden do tysiąca; szansa, że próba zakończy się śmiercią Geraciego, wynosiła dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć do tysiąca. Nawet gdyby Geraci zdołał

459

pozbyć się Michaela, trudno było wyobrazić sobie, że Hagen —

nie-Włoch, mieszkający w Nevadzie, niemogący przejąć organizacji — powie: „No dobrze, Nick, powiem ci teraz, jak to wszystko działa”. Nawet pośredni dostęp do maszyny powiązań, który miał obecnie Geraci, był zbyt cenny, by narażać go na niebezpieczeństwo.

Michael natomiast za bardzo potrzebował Geraciego, żeby go zabić. Kto inny mógł nadzorować operację na Kubie? Michael potrzebował kogoś, kto wybierze odpowiednich ludzi, wykona robotę, a po jej zakończeniu będzie można się go bez śladu pozbyć.

Geraci i nikt inny.

A co jeszcze ważniejsze, kto w tej przejściowej fazie byłby wiarygodnym szefem w oczach innych donów? Zabicie Geraciego teraz oznaczałoby zabicie przyrzeczenia, które Michael złożył Sonie i ojcu.

Byłej Sonie. Nieświątecznemu ojcu.

Nieważne. Rozwód i śmierć to straszne rzeczy, lecz mężczyzna, który wykorzystuje je do złamania obietnicy, nie może uważać się za człowieka honoru.

Nick Geraci zauważył u siebie drżenie rąk dopiero w dniu, w którym Michael Corleone oznajmił mu, że jest nowym szefem.

Drżenie nie zniknęło później całkowicie, ale było ledwie zauważalne i dało się łatwo wytłumaczyć (dreszcze, za dużą ilość kawy) aż do tego lata, gdy po raz pierwszy pojechał do New Jersey z Joem Lucadellem (którego uważał za „agenta Ike'a Rosena”), by zobaczyć bagnisty kawałek ziemi, który znalazł w czasie, kiedy Fredo

planował cmentarz Colma Wschód. Bez względu na wartość planu Freda ziemię udało się zdobyć prawie za darmo. Geraci wykorzystywał stodołę jako magazyn rozmaitych rzeczy i trzymał działkę.

W k

P a

ojŜd

ece

h j

al c

i hw

ta ili

m m

ra ó

z g

e ł

m, j ą

D s

op

nrz

nied

ać

B

a i

g s d

o

p s

r t

oać

w a d

d w

zi a

ł, r

aa

zy

o

b t

o y

kl e,

n i i

e le

g

o

zsa

i p

e ł

da

zc

i i

ał. Carmine Marino, cyngiel o twarzy dziecka. Rosen nosił

opaskę na oku i w ogóle nie wyglądał na żyda. Zabrał ze sobą drugiego agenta, prawowiernego Amerykańca, który nazywał

się ponoć Doyle Flower. Ten sam kongresman, który powiedział

Geraciemu, że Michael nigdy nie spotkał się z nikim ze sztabu wyborczego prezydenta, rozmawiał z dyrektorem Albertem Sof-460

fetem, a ten potwierdził podobno, że Rosen i Flower rzeczywiście są agentami polowymi CIA. Mimo to Geraci zabezpieczył się, kładąc jechać za sobą samochodem terenowym Eddiemu Paradise'owi i paru cyngłom.

Skręcili w błotnistą, zrytą koleinami drogę prowadzącą do stodoły. Kierowcy śmieciarek i prywatni obywatele przez lata wykorzystywali ten teren jako wysypisko. Wszędzie wały się piece, muszle klozetowe i rdzewiejące wraki samochodów i maszyn. Z bajora ze ściekami sterczała wyspa gruzu i opadów.

— Świetne miejsce spoczynku dla waszych sztywniaków —

zauważył Rosen.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł Geraci i była to prawda. Zwłoki, które zostały ostatnio porzucone na terenie posiadłości, były robotą cywilów. Ludzie z organizacji — głównie Stracciego — wiedzieli, kto jest właścicielem ziemi i szanowali to.

—

Jesteśmy najlepszymi straszakami, jakich gliny kiedykolwiek wynalazły. Kiedy tylko znajdziecie nieboszczyka zawiniętego w dywa

—n

, w

Ni i

e n

j a

e s

stp

e a

ś da

m

y n

a

gl n

i a

n s.

mi — zaznaczył Rosen.

— Moja babcia coś takiego miała — rzekł Flower, mając na myśli kolostomię Donniego.

— Człowiek się do tego przyzwyczaja — powiedział Donnie. —

Tak samo jak do pirackiej opaski, którą nosi twój kolega.

— Zrobiłeś kupę? — spytał Rosen. — Bo coś śmierdzi.

Donnie wziął zakręt tak ostro, że spod kół trysnęła fontanna błota, i właśnie miał powiedzieć coś głupiego, ale Carmine go uprzedził.

— To nie jego kupa śmierdzi. To New Jersey.

Doyle i Geraci parsknęli śmiechem i atmosfera się rozluźniła.

Carmine był urodzonym przywódcą. Dobiał trzydziestki, lecz wyglądał o dziesięć lat młodziej. Spokrewniony z rodziną Bocchicchich przez matkę, był chrześniakiem Cesare Indelicata, dona

z Palermo, wspólnika Geraciego w narkotykowym biznesie od samego początku. Przybył do Ameryki jako zakładnik w czasie pierwszego spotkania rodzin. Pięć lat później kierował grupą cyngli na K

D ni

w c

a k

e

s r

a b

mock

her

o

dA

y v

se

t n

ału

ye

.

j uŚ zaparkowane za stodołą. Było widno,

lecz oba auta podskakiwały w rytm ruchów frykcyjnych.

— Jedyne prawdziwe problem z tubylcami, jaki tutaj mamy, to właśnie to — oznajmił Geraci.

461

Samochód terenowy stanął za tamtymi dwoma. Wsiadł tylko Eddie Paradise.

— Trzęsiesz się tak samo jak tamte dwa auta — zauwaŚył

Rosen. — Dobrze się czujesz?

— To przez tę zasraną klimatyzację w samochodzie Donniego — odparł Geraci, choć w środku nie było zbyt zimno. Wsiadł.

Ruch pomagał powstrzymać drŚenie.

Carmine równieŚ wysiadł. Płynnym ruchem wyciągnął zza spodni pistolet i zrobił trzy okrągłe dziury w ścianie stodoły.

Samochody znieruchomiały. W środku przeraŚeni kochankowie łapali pośpiesznie rozrzucone ubrania. Carmine strzelił jeszcze raz.

— Cztery kule w dłuŚszej ścianie stodoły, jedna obok drugiej —

zauwaŚył Flower. — To robi wraŚenie, przyjacielu. Ale muszę cię ostrzec, Śe testy bywają trudniejsze.

Carmine machnął ręką za odjeżdżającymi w pośpiechu autami.

Wszyscy szczerze się uśmieali, nawet agenci. Geraci przestał się trząść.

— Kiedy ostatnim razem tak zrobił — rzekł Donnie —

zasrańcy ugrzęzli w błocie. Chcieliśmy ich popchnąć, ale wyskoczyli

z samochodu i uciekli. To było jedno z aut, które wpadły w ręce glin, kiedy przyskrzynili naszego kumpla. Można to chyba nazwać kradzieżą

samochodu

porzuconego

przez

wykolejeńców

seksu

Ma

o In

my

o c

h.

Karaluch był akurat w dziupli samochodowej, kiedy policja zrobiła nalot. Odsiadywał teraz wyrok za kradzież.

— Nieźle cycki miała ta dziewczyna w fordzie — zauważył

agent Flower.

— Przy takich cyckach facet mógłby zapomnieć o jutrze —

zgodził się Carmine.

Rosen skinął głową, miał nieobecne spojrzenie.

— Nieźle, nieźle — mruknął. Dopiero po chwili Geraci uświadomił sobie, że agent nie mówił o biuście rudej dziewczyny, tylko

o pos

— i ad

Ił

j o

a ś

k c

ti.

o wygląda? — zapytał.

Rosen kiwał głową, zbyt zatopiony w myślach, by odpowiedzieć.

Geraci wprowadził ich do stodoły. Rosen chrząknął na znak aprobaty. Budynek tylko z zewnątrz wyglądał na zaniedbany. Od środka został wzmocniony, zajął się tym człowiek, który dbał

o opancerzenie samochodów rodziny Corleone.

— Ma ktoś papier? — spytał Rosen, podnosząc ołówek.

462

Flower wyciągnął notes z kieszeni koszuli.

— Większy. — Rosen zabębnił ołówkiem w powietrzu z szybkością, której mógłby pozazdrościć Buddy Rich.

— Mamy skrzynkę po pieczywie — powiedział Eddie Paradise.

Rosen ściągnął brwi. Kiedy to robił, prawie można było zajrzeć za opaskę.

— To musi być papier.

— Szkoda — westchnął Eddie. — Ja niczego nie zapisuję.

W ten sposób niczego nie gubię.

Geraci zajrzał do samochodu i znalazł zeszyt do biologii Beverly.

— Może to?

Rosen podziękował. Usiadł na posadzce i narysował plan przekształcenia wnętrza stodoły w salę gimnastyczną. Wydawało się, że rysuje tak szybko, jak porusza ręką. Wyszedł na zewnątrz, znalazł miejsce, w którym mógł stanąć barak, i też sporządził plan.

Bez wątpienia zainspirowany widokiem Carmine i Baga, stojących nad brzegiem bajora ze ściekami i strzelających do rybitw i szczurów, Rosen odszedł kilka kroków i nakreślił plan strzelnicy.

Donnie ciągle chybiał, lecz Carmine strzelał jak Buffalo Bill.

Rybitwy rozpryskiwały się niczym kule krwawego pierza. Geraci uprzedzał, że poza tymi, którzy byli kiedyś glinami lub walczyli na wojnie, większość facetów w tym biznesie nie umiałaby trafić w dłuższą ścianę stodoły. Jeśli dochodziło do strzelaniny, strzelało się z bliskiej odległości. Geraci nigdy nie słyszał o kimś, kto został

zastrzelony z karabinu, a prawdopodobnie właśnie tego będzie wymagać zadanie na Kubie. Czy słyszał ktoś kiedyś o snajperze naleśającym do organizacji? Zatem, czy istnieje ktoś lepiej nadający się do tego, by polecieć na Kubę i rozwalić zaprzysięgłego wroga wolności niż Carmine Marino?

— Widziałeś kiedyś coś takiego? — spytał Flower, szturchając łokciem Geraciego i wskazując ruchem głowy rysującego jak szalony partnera.

Rosen wręczył Geraciemu zeszyt Beverly. Rysunki były niesamowicie czytelne, zwaśywszy na tempo, w jakim je sporządził.

Na

ich podstawie bez trudu można było budować. Projekt baraku był

prosty

— i j p

e r

stzeer

m zsy

f s

r t

uy

s. t rowanym architektem — wyjaśnił Rosen, jakby się usprawiedliwiając.

Geraci powiedział, że ma ekipę, która odwali tę robotę w trzy 463

dni. Rosen ściągnął brwi i odparł, że to o wiele bardziej skomplikowane. Okazało się, że istnieje wiele różnych przepisów, uniemożliwiających to z przyczyn finansowych (Geraci mógł

wszystko zbudować, ale miał prawo przy tym zarobić), a takŜe ze względów bezpieczeŃstwa.

WłaŃnie wtedy Geraci nabrał pewnoŃci, Ńe plan jest prawdziwy.

Ci klauni naprawdę pracowali dla władz.

Rosen wziął zeszyt i przekartkował z zaciekłoŃcią starej panny rozwalajacej wystawę sklepu z sukienkami Ńlubnymi.

— Hm, gdyby tylko tubylcy nie stanowili takiego problemu —
mruknał.

— Jakiego problemu? — spytał Geraci.

— Likwidacja miejsca, w którym ludzie pozbywaję się swoich najbardziej niepotrzebnych Ńmieci albo przyjeŃdŃaję rŃnać opiekunki swoich dzieci, musi zwrócić uwagę — wyjaŃnił Flower.

— ZwłaŃszcza w New Jersey — wtręcił Carmine, który wrócił
do samochodu po amunicję.

— Ja jestem z New Jersey, kolego — rzekł Rosen.

— Więć wiesz — odparł Carmine, wzruszaję ramionami i za-trzaskuję drzwi.

— Podobasz mi się — potwierdzi Flower, klepię Carmine po plecach. — WłaŃnie takiego jak ty potrzebujemy.

— Nigdy więcej nie dotykaj moich pleców.

— On dziwnie reaguje na klepanie po plecach — wyjaŃnił

Geraci.

— Dziwnie — powtórzył Carmine. — Niejeden sztywniak wcię się nad tym zastanawia.

— Teraz mam jeszcze większę pewnoŃć — rzekł Flower. —

Panie Marino, jest pan na pierwszym miejscu mojej listy. PaŃski stosunek do ludzi i te martwe szczury Ńwiadczę o tym, Ńe trudno będzie pana z niego usunąć.

Carmine uŃmiechnę się szeroko i klepnę Flowera w plecy.

Flower udał, Ńe chce odpowiedzieć tym samym, ale zatrzymał

rękę. Obaj zaczęli Ńmiać się jak szaleni.

— To jedyny znany mi Włoch, któremu przeszkadza dotyka-nie — podsumował Rosen. Geraci zastanowił się, czy agent jest Włochem i czy ktoś, kto nie jest Włochem, powiedziałby coś takiego.

— Tubylcy nie będą problemem — zapewnił Geraci. —

MoŜecie mi zaufać.

464

Nazajutrz przy szosie stała tablica z napisem LUKSUSOWE

DZIAŁKI NA SPRZEDAŚ OD CZERWCA 1962! Za rok. To powinno sprawić, Ŝe ciekawość okolicznych mieszkańców stanie się czynnikiem pozytywnym. Być moŜe warto będzie zająć się infrastrukturą terenu: osuszyć, wynająć prawników i architektów, przekupić komisję gospodarki przestrzennej. Wszyscy stosują tę samą procedurę bez względu na to, czy są szefami mafii, czy nie.

Tego wieczoru przy kolacji Nick Geraci zaczął się trząść, tak Ŝe przestraszył Barbarę i Beverly. Charlotte chciała dzwonić po karetkę.

— To nic — mówił Geraci. — Dostaję dreszczy po kawie. —

Charlotte odparła, iŜ zdawało jej się, Ŝe Nick przestał pić kawę. —

No właśnie. Po południu wypilem espresso w klubie. — Ale Geraci nie pił tego dnia kawy. Jedząc, skoncentrował się na ruchu rąk i szczęki. DrŜenie ustało. Lecz kiedy wróciło nazajutrz rano, Charlotte zagroziła, Ŝe jeśli Nick nie pójdzie do lekarza, weźmie nóż i zrani go w nogę, tak by nie miał wyjścia. Nick odpowiedział, iŜ to przejdzie, Ŝe czuje się dobrze. Charlotte przyniosła z kuchni największy nóż. Nick uśmiechnął się i zapewnił, Ŝe ją kocha.

Charlotte machnęła nim i ostrzegła, Ŝe mówi serio.

— Ja teŜ — odparł Nick. Podniósł drŜące ręce. — Bądź dobrą dziewczynką i zadzwoń po niego, dobrze?

Ale w chwili gdy Charlotte odłoŜyła słuchawkę, Nick juŜ czuł się dobrze.

Lekarz dokładnie zbadał Nicka i zasypał pytaniami, lecz ten był jak pień.

— MoŜe to siedzi w twojej głowie? Masz kłopoty w pracy?

Presja, napięcie, coś w tym rodzaju? W domu wszystko w po-rządku?

— UwaŜasz mnie za czubka, czy o to ci chodzi?

Lekarz skierował Geraciego do specjalisty.

— Jeśli specjalista oznacza świrołapa, wrócę tu, ale nie jako pacjent.

Doktor odparł, że z całą pewnością to rozumie.

Specjalista, podobno światowej sławy neurolog, miał nieco mniej niż metr pięćdziesiąt. Stwierdził u Geraciego łagodną odmianę choroby Parkinsona, spowodowaną, licznymi uderzeniami w głowę, które wywołały wstrząśnienie mózgu, gdy był bokserem.

— Nie dostałem w głowę aż tyle razy — odparł Geraci.

— Wy, bokserzy, wszyscy jesteście tacy sami. Pamiętajcie tylko 465

to, jak tamten drugi wyglądał. Proszę mi opowiedzieć o tym wstrząsie mózgu. To było całkiem niedawno, prawda?

Geraci nawet nie wspomniał lekarzowi o katastrofie samolotu, w której omal nie zginął.

— Chyba tak, jeśli siedem lat temu to całkiem niedawno.

— Co się stało siedem lat temu?

— Spadłem i się potłukłem. Parszywa sprawa.

Lekarz zajrzał Geraciemu w oczy, świecąc w nie miniaturową latarką.

— Z czego pan spadł? Z Empire State Building?

— Coś w tym rodzaju — mruknął Geraci.

Z okna na piętrze Antica Focacceria Nick Geraci patrzył, jak umięśniony mężczyzna z wąsami, jego przyjaciel i partner w interesach, Cesare Indelicato, przechodzi przez plac św.

Franciszka.

Teoretycznie Cesare był sam. Plac był oazą światła ukrytą w samym środku labiryntu ciemnych wąskich uliczek najstarszej części Paler

D m

ono

Cesare nigdy nie był naprawdę sam. Nauczył swoich *soldati* i ochroniarzy wtapiać się w tłum. Przypadkowy obserwator nigdy by się nie domyślił, że młodzi mężczyźni opierający się o vespy przed katedrą są ludźmi dona Cesare, podobnie jak czterech innych, którzy kręcili się obok

restauracji i kłócili na temat piłki nożnej.

Ów przypadkowy obserwator pomyślałby raczej, że niepozorny mężczyzna w zwyczajnym garniturze, idący przez plac, jest raczej nauczycielem historii, któremu zostało kilka lat do emerytury, a nie bohaterem alianckiej inwazji na Sycylię i najpotężniejszym szefem mafii w Palermo.

Choć jest to prawda, że Palermo to miasto, w którym przypadkowe obserwacje należą do rzadkości.

O trzeciej po południu restauracja była zamknięta. Kelner obsługujący stół został przeszukany przez ludzi don Cesare, z których jeden ustawił się w drzwiach. Kilku zajęło pozycje na dole, obserwując kucharzy i tylne drzwi.

Przy winie i słynnych kanapkach z wołowej śledziona Geraci i

Indelicato

omawiali

szczegóły

kwitającego

interesu

narkotykowego, który wspólnie prowadzili. Rozmawiali wyłącznie po angielsku, nie ze względów bezpieczeństwa, lecz dlatego że po dziesiątkach wizyt na Sycylii przez tyle lat otoczony rdzennymi

Sycylijczykami Geraci wciąż beznadziejnie mówił po włosku, a po sycylijsku jeszcze gorzej. Rozumiał ten język, lecz nie potrafił nim mówić. I nie umiał tego wytłumaczyć. To było coś w rodzaju psychicznej blokady.

— Dobrze, że jesteś w moim mieście, mój olbrzymi przyjacielu

— rzekł don Cesare, połykając ostatni kęs i oblizując palce. —

Ale zdaje mi się, że nie przyleciałeś tak daleko po to, aby rozmawiać ze mną o tych sprawach.

— Tym razem zabrałem ze sobą rodzinę — odparł Geraci. —

synem i córkę. Starsza idzie jesienią do college'u. Ty powiedziałabyś pewnie, że na uniwersytet. Być może są to nasze ostatnie wspólne wakacje. One nigdy nie były na tej pięknej wyspie, a teraz zwiedziły całą, w każdym razie tyle, ile można zwiedzić w ciągu dziesięciu dni. — Zabawiliby dłużej, ale przypłynęli statkiem oceanicznym.

Nick Geraci nigdy więcej nie zamierzał wsiąść na pokład samolotu. — Ja też nigdy nie zwiedzałem.

Pierwszy raz byłem na Taorminie, jeśli możesz w to uwierzyć.

Don Cesare wznosił ręce w śalobnym geście.

— Jestem właścicielem najlepszego hotelu na Taorminie. Czemuś mi nie powiedział, że tam będziecie? Dopilnowałbym, żeby potraktowano was jak rodzinę królewską.

— Don Cesare, robisz już dla mnie tak wiele, że nie śmiałbym jeszcze bardziej się narzucać.

Lecz don Cesare nie ustąpił, dopóki Geraci nie obiecał, że najpóźniej za rok znów przybędzie na Taorminę i zatrzyma się w hotelu Indelicato na szczycie góry.

— Ale mam jeszcze jeden powód, żeby zobaczyć się z tobą osobiście, don Cesare. Ma to związek z twoim młodym chrześniakiem, Carmine Marinem.

Don ściągnął brwi.

— Nic mu nie jest?

— Świetnie sobie radzi — uspokoił go Geraci. —

Prawdopodobnie jest moim najlepszym człowiekiem. I właśnie dlatego chciałem z tobą pomówić o zadaniu, które chcę mu zlecić.

To cenne i ważne zadanie, ale bardzo niebezpieczne.

Korciło Geraciego, by zwierzyć się donowi. Indelicato był

wartościowym, a nawet zaufanym sojusznikiem: Poza tym był

jedynym znanym Geraciemu człowiekiem, który wcześniej współ-

pracował z CIA. W czasie wojny członkowie mafii niezestani przez faszystów na wyspę Ustica działali na Sycylii w taki sam

sposób, jak Resistance we Francji. Indelicato szybko wyrósł na jednego z przywódców skutecznego bezwzględnego podziemia.

Dzięki

pośrednictwu

Lucky'ego

Luciana,

deportowanego

amerykańskiego dona, Indelicato spotkał się z agentami OSS, poprzedniczki CIA, by udzielić Amerykanom informacji, które pomogły

przygotować inwazję na wyspę. Podobno to właśnie Indelicato wpadł na pomysł zrzucenia dziesiątków tysięcy czerwonych chustek ze sławnym L, emblematem Luciana, które ostrzegły Sycylijszczyków — lecz nie faszystowskich najeźdźców z Północy —

o inwazji. Brytyjczycy, niewspółpracujący z mafią, ponieśli ciężkie straty w bitwach na wschodniej części wyspy, tymczasem Amerykanie, którzy szturmowali dwie trzecie terytorium Sycylii na zachodzie, dzięki doskonałym informacjom zanotowali stosunkowo niewielkie straty, zwłaszcza w regionach stanowiących twierdze mafii. Po inwazji, w wielu miastach okupowanych przez Amerykanów, tymczasowymi burmistrzami mianowano mafiosów.

Po

wycofaniu się aliantów burmistrze zostali na stanowiskach.

Uwolnieni z Ustiki donowie wrócili w rodzinne strony i odkryli, że dzięki uprzejmości Stanów Zjednoczonych i OSS wpływy polityczne mafii niepomiernie wzrosły. Wkrótce potem Cesare Indelicato został wybrany do włoskiego parlamentu i stanął na czele

zaska

G k

e u

rają

cic

o

p

o p

st o

a p

n u

o la

w r

iln

e

j g

e o

d

na ru

k c

n h

i u

e

r d

yząŜ

y ą

k c

o e

wg

a o

ć . do tego, by Sycylia

odłąc

—z yła

Ni s

e ię

mod

g W

ę ł

p o

o c

d h

a

ó i z

c o

i st

s a

z ł

ca

z c

e z

g t

ó e

ł r

ódz

w iesty

— m

rz ed

kz

ł i

. e

wią

— ty

Mm

o

g s

ę t a t n e

y l m

k

o

A

p m

o e

w r i y

e k

d i

z i e ć, Œe Carmine chce tego zadania i zostanie dowódcą ludzi, którym je zlecę.

— Dlaczego mi to mówisz? Z jakiego powodu? Chcesz mojego błogosławieństwa, ale jak mogę go udzielić, jeśli nie wiem, co błogosławię?

— Jeśli kaŒesz mi odsunąć Carmine od tej roboty, zrobię to.

Ale nie mogę powiedzieć więcej o naszym zamierzeniu. O tym, co musimy zrobić.

Don Cesare się zastanowił.

— Sądzę, Œe prosisz mnie, abym się zgodził, by mój chrześniak Carmine, który co miesiąc przysyła matce pieniądze, podjął się zadania, podczas którego zginie, tak? Jeśli tak nie jest, nie musisz mnie o nic prosić.

Jedyną odpowiedzią Geraciego było milczenie.

468

— I wiesz, *Œe* jest spokrewniony z klanem Bocchicchich? Nie chciałbym być na miejscu tego, na kogo spadnie wina, jeśli coś mu się stanie.

Don Cesare powiedział to bez przekonania, najwyraźniej szukając punktu zaczepienia. Geraci doskonale wiedział, kim są krewni

Carm

C i

z n

e e

k

aM

ł a

w r in

m a

il.

czeniu na to, co powie don Cesare.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł po chwili don Cesare. —

Carmine wie o tym tyle, co ty, to znaczy o niebezpieczeństwie. Wie, dlaczego podejmujesz się tego zadania, i mimo to chce je wykonać, *si*?

— Tak. Absolutnie tego chce.

Don kiwnął kilka razy głową, jakby chciał pokazać, *Œe* zastanawia się nad skutkami tego, co powie.

— Carmine jest męŒczyzną — stwierdził. — Nie muszę mu mówić, jakich odwaŒnych czynów moŒe się podjąć, a jakich nie moŒe.

— Dziękuję ci, don Cesare. — Geraci poczuł nadchodzące drŒenie. Przeprosił, mówiąc, *Œe* chce wyjść do łazienki. Naprawdę chodziło mu tylko o to, *Œe*by się poruszać i skoncentrować na ruchu, tak by drŒenie ustało. Z jakiegoś powodu niewiele rzeczy skutkowało lepiej niŒ to, co mógł zrobić za pomocą fiuta. Odlanie się było na ogół łatwiejsze od innych czynności.

— Jest wiele powodów — rzekł Geraci, siadając z powrotem a jednym z nich jest to, że dowódcą będzie Carmine. Uważam, że najlepiej wyznaczyć do tego zadania Sycylijczyków. — Drugim spośród tych powodów było to, że Sycylijczycy nie uznawali zasady niezabijania glin i urzędników.

— Chcesz ludzi, to ci ich znajdę — zapewnił Indelicato.

— Dziękuję. Ale nie mogę ryzykować, sprowadzając ludzi wyłącznie do tego zadania. Potrzebuję takich, którzy od pewnego czasu są w Stanach. Nie chcę tego wykorzystywać zbyt wielu ludzi Carmine, zwłaszcza gdyby broń Boża coś mu się stało. Zamierzam wezwać piekarzy z pizzerii, najlepszych. Jakies zastrzeżenia?

— Jeśli nie do trudnej roboty, to kiedy?

Prawie wszyscy mężczyźni ulokowani w pizzeriach zostali bezpośrednio lub pośrednio wysłani do Ameryki przez Cesare Indel

—i cata

Wi .

elu z nich w ogóle nie znam — oznajmił Geraci.

— Oczywiście, że ich nie znasz. Nie pakują się w kłopoty, nie stwarzają problemów, dlaczego miałbyś ich znać?

— Otóż to. Mam ludzi, którzy są w Ameryce od siedmiu lat.

Nigdy w Sycylii ich nie widziałem. Potrzebuję twojej rady, don 469

Cesare. Gdybyś miał polecić, powiedzmy, czterech najlepszych ludzi, których mi przysłałeś, najlepszych pod względem twardości, charakteru, sprytu — których byś wskazał?

Geraci spodziewał się, że don Cesare będzie się musiał zastanowić, lecz ten odpowiedział od razu, podając nawet krótkie charakterystyki swoich ludzi. Gdyby byli w połowie tak dobrzy, jak to wynikało z opisu dona, zadanie zostałoby wykonane bez udziału Carmine.

— Jest jeszcze jedna sprawa, niezwiązana z poprzednią —

powiedział Geraci. — Chodzi o zdrajcę w waszych szeregach.

Człowieka przysłanego tu z Ameryki. Niewygodnego dla naszej komisji. Tak w każdym razie orzekła komisja.

Geraci nie mógł załatwić tego sam i don Cesare to rozumiał. Był

szefem. Takie zadania wykonują inni.

Wąty mnich z zakonu kapucynów schodził z trudem po schodach do katakumb klasztoru. Miał jaskrę i biodro zdeformowane

reumatyzmem, lecz nie chciał stać się ciężarem dla zakonu. Wciąż

potrafił wykonać wszystkie zadania, którymi się zajmował, gdy przybył do Palermo jako młodzieniec — od tak subtelnych jak uprawa ogrodu, przygotowywanie posiłków dla braci w Chrystusie i namaszczanie zmarłych, którzy mieli być pochowani na sąsiadującym

z

klasztorem

miejskim

cmentarzu,

do

bezsensownych,

takich

jak sprzedawanie pocztówek turystom i zbieranie śmieci, które po sobie zostawiali. Puszki po napojach, butelki po winie, wypalone flesz

De

oc (

hro

o b

d i

z e

iłn

a i e

t

rz z

e d

c j

i ħ

a.ć

B b

y y

ł ł

o o

j u w

Ŝ y

p r

o a

ż

l n

u i

n e

c

h z

u a

i b

r

k o

a t n

a i o

k n

u e

m).

b y R

l a

a z

d

a n

c a

h w

w e

il t

a

z d

ma

i r

a z

ł y

y ł a s

z i

o ę

s t z

a u

ć Ŝ

yt

o a

t p

w r

a e

rtz

ee

rw

d a

l t

a y

w

za.

w iedzających. Za okratowanymi

drzwiami kręciła się grupa niemieckich turystów. Mnich zszedł

niŜej

i

ich

wulgarnie brzmiące rozmowy ucichły. Uśmiechnął się i podziękował Bogu wszechmogącemu za
umiejętność dostrzeŜenia, Ŝe nawet osłab

N i

a o

n

p y

o

d s

ełu

ścc

i h

e m

sc o

h Ő

o e

d b

ó y

wć

l d

e a

Ő r

a e

ł m

c .

u kierek. Mnich schylił się, Őby go

podnieść. Strzeliło mu w kolanach.

W tunelach leŐały rozpadające się, pięknie przyodziane szczątki ośmiu tysięcy Sycylijczyków. Wiele wisiało na hakach w długich szeregach z pochylonymi czaszkami. Mnich chętnie uznawał tę pozę za znak pokory. Inni leŐeli na półkach i w niszach w ścianie, 470

od podłogi do sufitu. Kilkoro spoczywało w drewnianych trumnach z głowami opartymi na poduszkach pokrytych warstewką kurzu, który kiedyś był skórą. Za Őycia byli ksiąŐetami i księŐnymi, kardynałami i

waŐnymi księŐmi, bohaterami

wojennymi

walczącymi u boku Garibaldiego oraz tymi, którzy wystąpili zbrojnie

przeciwko niemu. Niektórzy, między innymi dziadek mnicha, zhańbili się za Śycia związkiem z organizacją nazywaną przez Sycylijczyków Braterstwem. Osiem tysięcy zmarłych, ludzi, którzy sporo zapłacili zakonowi, by zwłoki ich samych i ich bliskich mogły być tutaj wystawione. Stary mnich dostrzegł obłąd takiego postępowania. Zakon przestał przyjmować zwłoki w roku 1881

i uczynił tylko jeden wyjątek osiemdziesiąt lat temu, dwa lata po tym, jak mnich przyszedł na świat: tym wyjątkiem była *la bambina*, a w umieszczeniu jej w katakumbach mnich miał swój udział.

O większość tych ludzi, tak bardzo pragnących zostać zapamiętanymi, zapomnieli wszyscy oprócz Stwórcy. Niewiele spośród

dzieci

złożonych w katakumbach — jeśli w ogóle takie były — zostało oplakanych przez choćby jedną Śywą duszę, a cała jedna komnata była nimi zapełniona. Fizyczny rozkład tych ciał został

spowolniony dzięki umiejętnościom kapucynów oraz przez suche chłód

M n

nie

c h skręcił w lewo, spoglądając na podłogę w poszukiwaniu p

ś ow

mi i

e e

c tir

zie

,

c le

z c

ęsz

c ig

n

cic

aile

i

z z

m ap

rło

ym

c n

h. i en

J i

e e

g

op

rz

d y

zisz

a ł

d y

k

oi t

w a

i k

e,

d

po w

ch s

ozy

dzst

ą k

c i

yc

h

z

z w

ma y

l j

e ą

ń t

kk

i i

ee

gm

o la

mi b

a a

st m

e b

c i

zn

ky

a.

Corleone, byli wśród tych, którzy wisieli.

Dziadek ubrany był w zielony zamszowy surdut (pod którym w plecach ziała dziura od kuli; tylko stalowy pręt powstrzymywał

tę część ze sproszkowanymi kośćmi przed rozpadem). Babka (ręka odpadła od ciała jakiś czas temu i została przymocowana luźno za pomocą drutu) miała na sobie suknię ślubną. Kiedy mnich przybył

do klasztoru, oboje mieli jeszcze twarze, podobnie jak wielu innych nieboszczyków. Przez pół wieku dzień po dniu obserwował znikanie ich oczu i skóry. Pocałował palce, przyłożył je delikatnie do

czół przodków, wymamrotał modlitwę za ich dusze i pospieszył dalej.

Na końcu tunelu spoczywała *la bambina*, śliczna dwuletnia dziewczynka zmarła w roku 1920 i stała się jedną z największych atrakcji turystycznych Sycylii. Lekarz, który ją balsamował, rzucił

mnichom wyzwanie, oznajmiając, że wynalazł nową metodę.

Zanim ktokolwiek zdążył poznać jego sekret, on też zmarł (z powodu śmiertelnego grzechu pychy, mówił mnich młodszym bra-

ciom, choć prozaiczną przyczyną śmierci było pęknięcie śledziony).

Stary mnich spędził wiele godzin na studiowaniu śmiertelnych zapisków lekarza i oglądaniu dziewczynki, bez powodzenia próbując

rozwikłać zagadkę doktora. Dziecko z długimi jasnymi włosami spoczywało w przykrytej szybą trumnie od czterdziestu jeden lat, a wyg

M l

n a

i d

c a

h ło

z t

b a

lik

ŝ ,

a j

ł a

k

s b

ię y

z

d m

o atrło

u p

mirz

e e

n d

ki ,k

il

ak

o

j m

ega

o dn

slia

a m

bo i . widzące oczy

zwodziły go. Przy ścianie obok biednej dziewczynki znajdowały się zwłoki tak samo dobrze zachowane jak ona.

Zakonnik przetarł oczy. Widział łysego męŜczyznę w płaszczu.

Na jego palcach lśniły sygnety z diamentami, a w szerokim krawacie błyszczała spinka. W katakumbach nie umieszczano nieboszczyków z biŜuterią. Wtedy mnich dostrzegł wyraźne czarne linie po obu stronach ust męŜczyzny i poczuł ulgę.

Była to duŜa kukła. BiŜuteria musiała być fałszywa. Dziwny wybryk, lecz mnich mieszkał w Palermo od bardzo dawna i nauczył

się niczemu nie dziwić.

Podszedł bliŜej.

Linie koło ust Rechoczącego Sala Narducciego były struŜkami krwi.

Sznur, którym go uduszono tuŜ przed południem, w porze lunchu, gdy zamykano katakumby, leŜał obok błyszczących butów nieboszczyka.

Mnich objął spojrzeniem ponury widok w tym osobliwym i świętym miejscu i coś w jego sercu pękło. Pospolity złodziej zabrałby

klejnoty. Zwykły zabójca ukryłby zwłoki, a nie zostawiał je tutaj, w tej samej komnacie, w której spoczywała *la bambina!* Mnich wykrzyczał

stek obelg pod adresem Braterstwa. Bo któŜ inny zrobiłby coś takiego?

Poświęcił Ŝycie, płacąc karę za pełną przemocy historię rodziny, a ona wciąż go odnajdywała. A teraz, pod sam koniec Ŝycia, musiał patrzeć na to okropieństwo. Nieuniknione okrucieństwo. Gniew przepełnił go niczy

Zam

k

otr

n u

n c

i i

c z

y n

, a

k t C

ó r o

z r

ya

z

p rg

z ło

y ś

bin

eie

glji wy

m r

u zu

n c

a a

r ł

a tz

u s

n ie

e b

k, i

e

p k

o lą

wi tw

ed y

z .

i

eli policji,

Śe gdy ukochany brat runął na ziemię i zmarł, jego twarz była tak czerwona jak pasek na włoskiej fladze.

Kiedy Cesare Indelicato, siedząc na tarasie willi na szczycie klifu, z którego mógł obserwować średniowieczne miasto będące praktycznie w jego władaniu, usłyszał z ust samego zabójcy, co 472

zaszło, zdumiał się na myśl o ponurym poczuciu humoru Boga.

Don Cesare nigdy nie spotkał biednego mnicha, lecz rozpoznał

jego nazwisko. To dziadek dona Cesare, Felice Crapisi, zabił

zdrajcę, dziadka zakonnika. Co jeszcze dziwniejsze, don Cesare był dwa razy proszony o zabicie Narducciego, najpierw przez Thomasa Hagenę, a później przez Nickę Geraciego. Zaufany *soldato*, wysłany, by zabić Narducciego, zrobił to tylko raz, lecz Stwórca, kierując się jakąś skłonnością do krwawej poezji, uznał, Śe naleŚy zamienić jedno zabójstwo w podwójną śmierć.

Don Cesare podziękował zabójcy i odprawił go.

Zostawszy sam, potrząsając w zdumieniu głową, wznosił kielich grappy w stronę Palermo i ciemniejących niebios.

Jaki toast mógł wnieść na cześć tego świata i tego Boga, który uczynił go tak bogatym i szczęśliwym, który nagradzał kaŚdy jego podstępny czyn, zarazem zsyłając karę na małe mrówki tam w dole, starające się czynić dobro?

Był tylko jeden taki toast.

— *Salut!* — zawołał don Cesare i wypił.

Toast odbił się od skał. Don Cesare usłyszał go i wypił jeszcze raz.

Rozdział 29

W posiadłości rodziny Corleone w Tahoe Theresa Hagen i Connie Corleone (która wróciła do panińskiego nazwiska) wspólnie

szły gotować kolację. Robiły tak zawsze, gdy były razem w domu, a przeważnie były. Raz gotowały w jednej kuchni, a raz w drugiej bez żadnego porządku, który Michael umiałby określić. Czasem odbywało się to w jego domu, a czasem — tak jak tego wieczoru

— w domu Hagenów. W ciągu tych dwóch lat, odkąd Connie przestała się bawić w damę z najlepszego towarzystwa i wróciła do domu, zaszła w niej niezwykła zmiana. Wróciła, by służyć bratu, tak jak czyniły niezamężne krewne, które *de facto* funkcjonowały jako pierwsze damy owdowiałych lub samotnych prezydentów. Theresa odegrała znaczną rolę w tej przemianie.

Stała

się starszą siostrą, której Connie nigdy nie miała — nawet kłóciła się z nią ciągle jak siostra. Było jednak jasne, że się kochają.

Z powodu Theresy Connie zainteresowała się sztuką i pomagała jej zbierać fundusze na stworzenie stałej orkiestry symfonicznej w Lake Tahoe. Obie zasiadały w Kobiecej Lidze Wyborców.

W ciągu ostatniego roku Connie zaczęła się nawet ubierać bardziej tradycyjnie

T c

o yj

m n

i

i e

. O

Mi b

c i

h e

a eslz

y

uły

kr u

yl b

i ra

s n

i i

ę a u

w te

g g

a o

bi nsa

e m

ciee

go

T

o kr

ma

a wc

w a

,

ku

a k

mi tó

e r

ne

n g
y o
m
za
d o
o p
mat
k r
uy
w
naa
ł
t a
y łs
a ię
c
h p
i r a
c w
z d
e z
k i
a w
li a

n p

a ie

k r

o w

la s

c z

j a

ę. da

D m

zi a

e .

c i Connie doprowadzały

Michaela do obłądu, nawet jego chrześniak Mickey Rizzi, który miał sześć lat i wiecznie płakał. Connie zajmowała się domem, ale Michael mógł kogoś do tego wynająć. Przez to, Źe miał w domu dzieci siostry, jeszcze bardziej tęsknił za Tonym i Mary, niż gdyby 474

obiął się tam samotnie. Nie wspominając o dzieciach Hagen, mieszkających po sąsiedzku. Gianna Hagen i Mary były w tym samym wieku, chodziły do tych samych szkół i były najlepszymi przyjaciółkami. Michael nie mógł patrzeć na Giannę i nie czuć tęsknoty choćby do zwykłej przyjemności czytania bajki na dobranoc nieobecnej córce.

Rzecz jasna, mieli też z Tomem sprawy do omówienia. Tom rozmawiał z ambasadorem o tym, Źeby Billy dostawał bardziej odpowiedzialne zadanie w Departamencie Sprawiedliwości.

Ambasador twierdził, Źe rozmawiał o tym ze swoim synem Dannym,

lecz Tom miał wątpliwości. Najwyraźniej Billy'ego wciąż trzymano w urzędzie z dala od czegokolwiek, co mogłoby być użyteczne dla rodz

Bin

yły

a Cto

e r

Śl eo

s n

p e

r .

a wa zabicia dawno deportowanego *consigliere* Vincenta Forlenzy, której uzasadnienie Forlenza sfabrykował oraz wiadomości od Nicka Geraciego, Œe chce rozmawiać sam na sam z Michaeliem Corleone.

— Czy Geraci powiedział, o co chodzi? — Michael zakładał, Œe ma to coś wspólnego z Narduccim.

— Nie — odparł Tom. — Powiedział, Œe moŒe tu przyjechać, jeśli chcesz... Cholera jasna.

Na krótko przyszyŒonym trawniku do ćwiczenia gry w golfa przed biurem Toma Victor Rizzi, jego dwunastoletni siostrzeniec, niedawno zawieszony w szkole za bijatyki i picie, wykonał rzut na Andrew Hagenie. Andrew był o siedem lat starszy i miał rozpocząć drugi rok nauki w liceum Notre Dame, a jego głównym przedmiotem była teologia. W przyszłości zamierzał zostać księdzem.

Prawdopodobnie to nie on zaczął bójkę. Andrew odrzucił kij do golfa i przygwoździł Victora do ziemi.

Michael uniósł brew.

— Zapomnij o tym — uspokoił Tom. — Andrew sobie poradzi.

— To nie o niego się martwię.

Zaniepokojony owczarek szkocki Hagenów, szczekając, po-pędził do tylnych drzwi domu. Po chwili wybiegła w brudnym fartuchu Connie, krzycząc na Victora. Andrew wykorzystał

długość ramion i praktycznie podał Victora rozjuszonej matce.

— Przypomina ci to kogoś? — spytał Tom.

Michael wiedział, Œe Tom ma na myśli jego lub Freda, lecz Œaden z nich w taki sposób się nie zachowywał. Ani Michael, ani Tom nigdy nie wypowiedali imienia Freda. Są rzeczy, które trzeba

475

zrobić, więc robi sieje i nigdy o tym nie mówi. Nie próbuje się ich usprawiedliwiać. Nie moŒna ich usprawiedliwić.

— Masz na myśli mnie? — spytał Michael. — Czyja kiedykolwiek...

Tom przewrócił oczami. Więc jednak próbował nawiązać do Freda.

— Czy on... rzucił się kiedyś na ciebie albo Sonny'ego?

Tom pokręcił smutno głową.

— Nie powinienem był tego mówić. Starzeję się.

Po chwili Michael uświadomił sobie, że Tom nie myślał o Fredzie. Miał na myśli Carmelę, która przerwała więcej drobnych bójek w dzielnicy niż dziesięciu gliniarzy.

— Trochę potrwa, zanim Geraci się tutaj dostanie — powiedział Tom. — Będzie musiał przyjechać samochodem albo po-ciągim.

— Za dwa tygodnie mam odwiedzić dzieci.

— Jeśli w ogóle zamierzasz to zrobić, to właśnie wtedy. Ale...

— Zamierzam to zrobić.

— To może być pułapka. Zwłaszcza gdyby do spotkania miało dojść w Nowym Jorku.

— W porządku — rzekł Michael. — Zajmę się tym. Przypilnuję, żeby Al podjął wszelkie środki ostrożności.

— Co będzie, jeśli się dowiedzą, że załatwiliśmy sprawę z Narduccim przed nimi?

Sal Narducci nie wyglądał na takiego, który dobrze zniesie tortury. Michael nie zamierzał podejmować tego ryzyka. Tamci mogli podejrzewać Narducciego o wszystko, ale nie usłyszą tego z pierwszej ręki.

— Skąd się dowiedzą? — spytał Michael. — Skontaktowaliśmy się z tym samym człowiekiem. Indelicato poczekał, aż się do niego zgłoszą, o czym go uprzedziliśmy, a później wykonał robotę zgodnie z naszą prośbą.

— Ufasz Cesare Indelicato? Ja widziałem go wtedy po raz pierwszy. Współpracował z Geracim od lat.

— Z rodziną Corleone współpracował o wiele dłużej —

zauważył Michael. — Gdyby nie pomoc mojego ojca w czasie wojny,

Cesare Indelicato wciąż porywałby wozy z pomidorami. Poza tym co może go skłonić do sprzymierzenia się z kim innym? Zwrócono się do niego dwa razy, otrzymał podwójne wynagrodzenie za jedną prostą robotę. Nie będzie sobie więcej zaprzętał tym głowy.

— Po tych wszystkich głupstwach, które Forlenza wcisnął

komisji na temat działalności Narducciego na Sycylii — rzekł

Hagen — dziwię się, że nie posłał swoich ludzi do wykonania tej roboty. A przynajmniej nie skontaktował się z donem Cesare.

— Forlenza powie po prostu, że Geraci pochodzi z Cleveland, jest jego chrześniakiem i akurat wybierał się na Sycylię w interesach, co jest prawdą. To podejrzane, ale don Forlenza nie krył się z tym. Powiedział komisji, że tak chce to załatwić. Bardzo sprytnie.

Wyglądało to tak, jakby nie miał niczego do ukrycia.

— A ty wciąż jesteś pewny, że oni mają coś do ukrycia. — Oni, to znaczy Forlenza, Geraci i Russo.

— Co jest pewne w tym Syciu? — odpowiedział pytaniem Michael. — Mam wystarczającą pewność.

— Gdyby mówił to ktoś inny, powiedziałbym mu, żeby uważał.

Michael się uśmiechnął. — Gdybym usłyszał to od kogoś innego, obraziłbym się.

— Chyba mam pomysł, jak rozegrać sprawę z Russem — powiedział Hagen.

Nie dokończył, bo właśnie w tej chwili Connie uderzyła w gong, jakby wzywała kogoś na ratunek, a nie na wieczorny posiłek.

Zasiedli do stołu, a posiniaczony i zrugany Victor zachowywał

się wzorowo.

Francesca Van Arsdale przez cały ranek przygotowywała piknik, ponieważ chciała zrobić mężowi niespodziankę. Lecz kiedy zjawiła się z małym Sonnym w jego gabinecie, Billy zaczął mamrotać o tłumie turystów na pasażu i o upale. Wreszcie podziękował Sonie za gest i zgodził się pójść.

— Nie chodzi o to, że jestem zbyt zajęty — powiedział.

Billy rozpoczął pracę w Departamencie Sprawiedliwości z nie-realistycznie wysokimi nadziejami i mimo że spędził w urzędzie siedem śmiślnych miesięcy, wciąż nie był gotów, żeby przyznać się do tego przed sobą, a tym bardziej przed Soną. Francesca przypomniła mu, że dopiero dwa lata temu skończył prawo. To jednak sprawiło, że zaczął wymieniać nazwiska nieznanych jej ludzi, którzy tak jak on kierowali gazetą prawną w Harvardzie i opowiadać, jakie wspaniałe i lukratywne posady mieli dwa lata później.

— Otóż to — rzekła Francesca. — Kiedyś jacyś inni, młodszy 477

redaktorzy gazety umieszczą cię na takiej samej liście. Wiesz, co senator Van Arsdale robił...

— Daj spokój, Francie.

— ...dwa lata po studiach? Pracował w Departamencie Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, i nie u byle jakiego prokuratora generalnego, tylko u Daniela Brendana Shei! U

najwybitniejszego prokuratora generalnego w historii Ameryki, trzydziestego siódmego prezydenta albo któregoś tam w kolejności.

Sonny skakał po trawie, wykonując słynny małpi taniec z programu *Jojo, pani Serek i Annie*. Gdyby nie złoty kask futbolowy, podskakujący na głowie chłopca, wyglądałby jak imitacja Joja. Turyści zatrzymywali się, by na niego popatrzeć.

— Kiedy on się tego nauczył? — spytał szeptem Billy, rozkładając koc.

— Z telewizji — odparła Francesca. Prawdziwa odpowiedź

brzmiała: wiele miesięcy temu. Billy ściągnął brwi, Francesca nie chciała wiedzieć, czy oznacza to zmieszanie, czy dezaprobatę.

Sonny skończył, gapie zaczęli klaskać. Francesca zdecydowanie oznajmiła synowi, że nie może zaśpiewać teraz jak Jojo, bo nadszedł czas na posiłek.

Usiedli razem jak rodzina. Dlaczego on nie umie się tym cieszyć? - zastanawiała się Francesca - Czemu nie chce przyjąć do wiadomości, że właśnie o to w życiu chodzi i czerpać z tego radość? Billy bez przerwy opowiadał o tym, że jest nieszczęśliwy w pracy; o wspólnym nieszczęściu, którym była strata dziecka, nie mówili nigdy, Francesca zaś coraz wyraźniej czuła, że muszą uciekać z tego zapomnianego przez Boga miasta. Billy był dla niej bardzo dobry od czasu, gdy odkryła jego romans, a do tej nocy, gdy stracili dziecko. Ale od tej chwili prawie jej nie dotknął. Tylko raz próbowali się kochać, lecz on nie mógł stwardnieć, a ona była zbyt słaba, żeby mu pomóc. Zsunął się z niej i zrobił to ręką. Kiedy wytrysnął, zaczęła płakać, choć jednocześnie poczuła dziwną ulgę.

Od tego czasu bez powodu co drugą noc spędzał na kanapie przed telewizorem, na ekranie którego widać było tylko planszę kontrolną.

— Nie rozumiesz, Francie — mówił Billy. — To bardzo skomplikowana sprawa. — Złoty kilka serwetek, żeby nie zabrudzić

garnituru z serwetkami, mimo że siedział na kocu. — Przez cały dzień siedzę na tyłku w bibliotece — klepnął się w pośladek — i czytam cytaty z innych ludzi. Niektórzy ich autorzy, prawnicy, są w moim

wieku, a większość nie odróżniliby poprawnego angielskiego zdania od małpiego tańca...

— Małpi taniec! — wykrzyknął Sonny. Rzucił kanapkę *bologna*, złapał kask, zerwał się i zaczął pisać. Billy nawet nie drgnął.

Francesca wstała, wzięła chłopca w rzy i zapędziła go z powrotem do jedzenia, ustępując synowi

tylko w tym, że nie kazała mu zdjąć kasku.

— Kiedy redagowałem gazetkę prawną — ciągnął Billy — ktoś inny robił takie rzeczy dla mnie.

Dopiero po chwili Francesca uświadomiła sobie, że ma na myśli pracę w bibliotece, a nie wysiłek, który włożyła w to, by okiełznać fiksję dwulatka na punkcie małpiego tańca. Do tego Billy też miał ludzi, czyli ją. Normalne, zdrowe, dwuletnie dziecko było dość męczące, nawet bez konieczności znoszenia śalów męża.

Miała zaledwie dwanaście lat, gdy zginął jej ojciec. Wiedziała, że prawdopodobnie zrobiła z niego bohatera, który nigdy nie istniał, lecz nie pamiętała, by ojciec choćby raz uśalał się przed matką.

— Cóż, nie jesteś redaktorem gazetki prawnej.

— Jak mogę o tym z tobą rozmawiać? Nie skończyłaś nawet college'u. Nikt z twojej rodziny nie skończył.

— To śmieszne. Ciocia Kay skończyła, wujek Tom i ciocia Theresa.

Billy się roześmiał.

— Ale oni nie są z waszej krwi, prawda? Oprócz Teresy żadne z nich nie jest nawet Włochem.

Francesca przywaliłaby mu — przynajmniej słownie — gdyby Sonny nie siedział tuś obok.

— Moja siostra bliźniaczka skończyła college i robi doktorat.

Mój brat Frankie świetnie sobie radzi w Notre Dame...

— Frankie gra w futbol. Jakie są jego najtrudniejsze zajęcia, teoria gimnastyki?

— To podłe. — Głównym przedmiotem Frankiego było wychowanie fizyczne. Nigdy nie radził sobie dobrze w szkole.

Francesca była dumna, że dobrze mu idzie choćby w tej dziedzinie.

—

Ja też skończyłabym uczelnię, gdybyś nie... — Sonny pochłaniał

właśnie kanapkę, ale Francesca nie chciała ryzykować, mówiąc coko

B l

i w

ll i

y e

k

w w

zr

uje

s g

z o

ył o

r b

a e

mc

i n

o o

n ś

a ci

m.i.—

Sam wiesz.

— Do tanga trzeba dwojga. Jeśli miałaś coś przeciwko temu, to mogłaś to załatwić.

479

Po twarzy Franceski przemknęło przeraŜenie. Billy momentalnie uświadomił sobie, co powiedział.

— Załatwić! — krzyknęła.

— Przepraszam! — Wyciągnął rękę, ale Francesca ją ode-pchnęła. Prawie przez cały lunch Billy przeproszał. Umiał gadać i w końcu ją zmęczył.

— To przez tę pracę — mówił Billy. — W końcu zaczęła wpływać na moje zachowanie wobec ciebie. Muszę coś znaczyć w świecie i pewnie nie będę szczęśliwy, dopóki tego nie osiągnę.

Możesz to zrozumieć?

Francesca odparła, że rozumie i przypomniała to, co mówiła od tygodni: i że powinien ujawnić swoje niezadowolenie prokuratorowi generalnemu. Nie rozumiała, dlaczego Billy nie chce tego zrobić.

Wychowano ją w przekonaniu, że jeśli masz problem, idziesz do człowieka, który siedzi na samym szczycie. Billy został wychowany, mając wszelkie przywileje, więc uważała, że on też w to wierzy.

Mogła jedynie przypuszczać, że lęka się Daniela Brendana Shei, choć to też stanowiło dla niej zagadkę. Danny Shea, blada i chuda kopia brata, ciągle mrugał oczami niczym przestraszony człowiek, któremu zerwano okulary z twarzy. W rzeczywistości miał doskonały wzrok, choć nie dało się powiedzieć tego samego o jego wizji.

Gdy skończyli jeść, Billy pocałował syna i obiecał Francesce, że spełni jej życzenie: pójdzie prosto do prokuratora generalnego i spróbuje pomówić z Dannym Sheą.

— Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy — odparła Francesca.

Było to kłamstwo. Zaczynała dostrzegać wiele rzeczy leżących poza horyzontem szczęścia swojego ślubnego męża. — Tak jak powiedziałeś.

Razem wrócili do siedziby Departamentu Sprawiedliwości. Billy niósł śpiącego syna w jednej ręce, a w drugiej trzymał kask. Złapał

taksówkę, żeby Francesca nie musiała nieść chłopca do domu.

Pocałował ją na pożegnanie, lecz z uczuciem nie większym, niż

gdyby była przyjaciółką rodziny. Powiedział dziękuję, ale nie pamiętał, jaki to dzień.

Taksówka włączyła się do ruchu w Alei Konstytucji.

— Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy — szepnęła Francesca.

— Słucham panią? — powiedział taksówkarz.

— Nie, nic — odparła, przyciskając do piersi Sonny'ego i siłą woli powstrzymując łzy. — Nic się nie stało.

480

Po południu Billy faktycznie zdołał zobaczyć się z Dannym Sheą. Z zapisu stenograficznego sekretarki prokuratora generalnego wynika, że zdarzyło się, co następuje:

PG [prokurator generalny Daniel Brendan Shea] znalazł

czas dla młodszego pracownika prokuratury Billa V.

Airdale'a [sic!] w czasie dziesięciminutowej przerwy w po-południowym rozkładzie zajęć, pod warunkiem że BVA będzie mu towarzyszył w jego codziennym treningu, składającym się z dziesięciu przebiegów w górę i w dół

główną

klatką schodową gmachu. [Wiele ksiąg poświęconych rodzinie Shea zawiera wzmianki o tym, że sekretarka biegała za PG w czasie takich spotkań, choć technika stenografii, którą wówczas stosowała, nie jest znana historii]. BVA zgod

B z i

V ł

A s i ę n

m a

ó t

w o

i .

ł

o swoich kwalifikacjach i pragnieniu

większego zaangażowania w działania prokuratorskie, dzięki

czemu mógłby spędzać więcej czasu w sali sądowej, a mniej w bibliotece. BVA zastanawiał się, czy fakt, iż posiada dyplom Harvardu, ma coś wspólnego z obecnym niesatysfakcjonującym go układem, gdyś wie, że wielu wysokiej

rangi pracowników urzędu PG jest absolwentami Princeton.

PG kategorycznie odrzucił ten zarzut, wymieniając przykłady sędziów i Murzynów z państwowych szkół, piastujących wysokie stanowiska w administracji JKS, a także posadę u senatora [ocenzurowano], o którą PG osobiście wystarał

się dla panny [ocenzurowano] z uniwersytetu w Miami, nazw

M a

i n e

m j

o

tp

or

ze

Bz

VP

AG

wy „

rd

az

ziite

w

nic

ezy

an

dą

o"

wB

olV

eA

ni .

eB

zeV

sA

w o p

j r

e z

j e

o p

bro

ecsi

n ł

e.j

P

pG

ra p

c r

y z

iy

j

s ą

p ł

y p

t r

a ł z

e

o p

ro

ms

oi

Ńn

liy.

w ość przeniesienia. PG skierował BVA

do jego bezpośredniego zwierzchnika. BVA wyraził

rozczarowanie niechęcią PG do osobistego działania w tej sprawie,

zwłaszcza wobec [tu następuje kilka mocno ocenzurowanych wierszy; wśród kilku niezamazanych słów widnieje nazwa

„Van Arsdale Citrus Co.”, napisana poprawnie w odró

P Ńn

G ie

o n

d i

p u

a rł o

, d

Ń e w

n c

i z

e e

r ś

o n

z ie

u js

miz

ee

. g

o błędu w zapisie nazwiska

Billy

B 'e

V go

A]. wyjaśnił, że jego rodzice [tu znów dwa ocenzone wiersze].

481

PG wyraził zdumienie, stwierdzając, że ten czynnik nie towarzyszył jego decyzji o zatrudnieniu przezeń BVA. PG

przyznał, że MCS [jego ojciec, były ambasador w Kanadzie, M. Corbett Shea] był pierwszym, który namawiał go do zatrudnienia BVA. PG uznał, że ojciec kierował się znakomitymi wynikami BVA na Harvardzie, a także świetną pracą

wraz ze wspomnianą panną [ocenzurowano] w czasie kamp

B a

V n

Ai, i p

ktre

ó z

rejd

m e

u n

c

z k

acie

z j

y J

n K

ał S

o .

nieco brakować tchu, w związku

z czym trudno było zrozumieć jego słowa, wyraził

sceptycyzm co do tego, że jego rodzinne koneksje nie odegrały

roli w

P t

G e

d

pry

z i

y n

z i

n e

a

ł m

, że

eg

tą

o j

e

p j r o

a d

w e

d g

a r

, alć

e t

c a

z k

Ŧ

k e

o

n t e

e r

k a

s z

j .

e

te występowały

między MCS i rodziną Ŧony BVA, której nazwisko panieńskie brzmi [ocenzurowano].

BVA zapytał, czy został „wciśnięty" PG.

PG odparł, Ŧe sprawa jest bardziej złoŦona. Przypominając BVA o jego obowiązku zachowania tajemnicy słuŦbowej, PG wyjawiał, Ŧe przygotowuje szeroko zakrojony plan

[ścigania] „krewnych [ocenzurowane nazwisko panieńskie Ŧony

BVA

B]

Vi

Al ud

o z

d i

p i

a m

rł, p

Ŝ o

e d

o

prb

an

gy

nc

i h

e "t.

ego samego i z całą pewnością

nie przekaŜe informacji Ŝonie ani Ŝadnemu członkowi jej rodziny.

PG wyraził zaskoczenie i zapytał, czy to prawda.

Trening dobiegł końca.

BVA stwierdził, Ŝe jest zdecydowany „uczynić absolutnie wszystko”, aby wszelkie przestępstwa popełnione przez rodzinę Ŝony były ścigane przez prawo w najpełniejszym wymiarze, i Ŝe w innym przypadku jego przyszłość polityczna będzie [nic niewarta]. BVA dodał, Ŝe posiada wiedzę

z pierwszej ręki o tajnych aspektach nielegalnej działalności rodz

P in
G y
Ŝ
wo
yn
r y
a ,
z ik
ł tó
zra
a
d m
o o
w g
o ł
l a
e b
n y
i
e s
ię
z p
t r
e z

j y

d

i a

n ć

f

o P

r G

m

a w

cj ij eg

i o

d p

o la

d n

ał i,e

.

Ńe

prawdopodobnie uda mu się coś zrobić w związku z wyra-

Ńonym przez BVA pragnieniem przeniesienia. Podał BVA ŃwieŃy biały ręcznik i podziękował mu za czas i gorliwość.

Spotkanie zakończyło się o godzinie 15:47 czasu wschodnio-amerykańskiego.

482

Lotnisko, z którego Michael Corleone korzystał, przylatując do Nowego Jorku, leŃało prawie na końcu Long Island. Kiedyś było prywatne, lecz od drugiej wojny Ńwiatowej przeszło pod kontrolę rządu. Przed kilkoma laty Nick Geraci, który rzecz jasna juŃ nie latał, załatwił, by rozmaite samoloty, naleŃące do rodziny Corleone lub przez nią wykorzystywane, mogły tam lądować.

Michael podkołował do hangaru, przy którym czekał Geraci.

Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów przed hangarem. Geraci ruszył

mu samotnie naprzeciw. Al Neri wysiadł i go przeszukał. Geraci wziął głęboki oddech i wszedł po schodach.

— Zostaw drzwi otwarte — rzucił Geraci do Neriego.

Neri zerknął na Michaela, a ten skinął głową. Neri spełnił polecenie i zajął miejsce przed drzwiami.

— Więc tak teraz jest między nami? — spytał Michael.

— Jak?

— Ja kazałem cię przeszukać, a ty nie chcesz ze mną rozmawiać za zamkniętymi drzwiami — odparł Michael.

— Na temat przeszukania nie będę się wypowiadał, ale nie mam argumentów przeciw. A ponieważ jestem pewien, że uroczy i utalentowany pan Al Neri, który tam stoi, ma przy sobie co najmniej jeden egzemplarz śmiertelnej broni, moje zaufanie do ciebie pozostaje tak samo niewzruszone jak zawsze. Po prostu...

Nie wiem, czy jesteś tego świadom, ale pierwszy raz siedzę w samolocie od... no, wiesz.

Michael wiedział. W milczeniu wypełnił plan następnego etapu podróży.

— Nawet gdy zabieram dzieci na Coney Island — ciągnął

Geraci — jeśli idą na jakąś przejażdżkę nad ziemią, ja zostaję.

Uważałbym za osobistą przysługę, gdybyśmy mogli zostawić drzwi otwarte, a ty — jeśli ci to nie przeszkadza — gdybyś mógł zgasić silnik.

Michael słyszał o drgawkach Nicka Geraciego, lecz widział je po raz pierwszy. Nie były tak silne, jak sobie wyobrażał.

— Wybierzmy kompromis — zaproponował Michael, kończąc wypisywanie formularza i rzucając go Neriemu, który miał zanieść go do wieży. — Ty nie zamykaj drzwi, a ja nie zgaszę silnika.

Czy Geraci naprawdę myślał, że Michael wystartuje bez Neriego? Z otwartymi drzwiami? że będzie tak nieostrożny, by spróbować czegoś takiego w zamkniętej przestrzeni z byłym bokserem

wagi ciężkiej, który — niezależnie od drgawek — utrzymywał się 483

w dobrej formie i wyglądał tak, jakby mógł jednym uderzeniem wybić mu mózg z czaszki?

— Dobrze, tylko coś powiem i sobie pójdę. Chciałem po prostu, żebyś o czymś wiedział. Nie wiem, jak zacząć, więc powiem wprost.

Opracowałem plan, dzięki któremu będziemy mogli wrócić na Kubę.

Zdziwienie Michaela było prawdziwe, choć Geraci nie powiedział niczego nowego. Wiedział o propozycji jednookiego

„Sydowskiego” agenta CIA, o ogrodzonym terenie w New Jersey, pilnowanym przez agentów federalnych i stado rottweilerów.

Wiedział

o wybuchowej mieszance sycylijskich najemników i gniewnych, bogatych niegdyś Kubańczyków, którzy pokonali dzielące ich różnice (język, kultura, motyw i wiele innych) oraz niefortunny incydent z uścieniem nożem (jeden z ludzi Geraciego wracał

szczęśliwie do zdrowia w Toledo w stanie Ohio), i tylko tygodnie dzieliły

ich od dnia, w którym wkradną się na wyspę w dwu- i trzyosobowych oddziałach zabójców. Z nadzieją, że zabicie jednego człowieka

— iek

P a

o

wiedziałeś, że opracowałeś plan dla nas — przypomniał

prz

Miy

c n

h ie

a s

eli.e

po

— Są

Ni d

e a

jn

e e

s ts

e ku

m tk

p i

e . M

wie ic

n,h

a

c e

z l

ya

r z

o a

z s

uko

m c

i z

e y

mł,o

c to

o, S

me

a

s N

z i

nc

ak

G

me

yśrla

i c

. i

opow

— i

ad

Na

i ł

e m

ch u

t o

o t

z y

n m

ac w

zys

z

ty

o,s

tck

oi m

c .

hcesz. Wiem, że się wycofałeś i tak

dalej, ale ja nie siedzę w biznesie kasyn, a ty tak. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć zawczasu o możliwościach, które być może się pojawią, i o konkurencji.

Konkurencji?

— Konkurencji w czym?

— No właśnie. Gdybym wiedział o wszystkim, co jest grane, od razu przyszedłbym do ciebie. Kazano mi wierzyć, że cała operacja odbywa się u mnie w New Jersey, ale słyszę różne rzeczy.

Podobno Sammy Drago w Tampie dostał dokładnie to samo zlecenie i szkoli swoich ludzi na plaży na południe od Miami, tuż

za

miastem. To mnie nie zmartwiło, zacząłem się martwić dopiero wtedy, gdy doszło do mnie, że pięćdziesięciu facetów ćwiczy w zamkniętej części bazy morskiej w Jacksonville, z której sam czasem korzystam w interesach. Wszyscy cwaniacy w bazie, o których udało mi się czegoś dowiedzieć, są powiązani z Carlem Tramontim i Nowym Orleanem, ale... — Geraci odwrócił do góry drżącą rękę i się uśmiechnął. — Tramonti to marionetka. Drago to pusty garnitur. Jeśli złożyć wszystko do kupy, to co wychodzi? —

Geraci odliczał litery na palcach lewej ręki. — R.U.S.S.O.

484

Michael zakładał, że mówiąc „doszło do mnie” i „udało mi się czegoś dowiedzieć”, Geraci kryje prawdziwe źródła swoich informacji, albo Vincenta Forlenzę, który spędzał zimę w Key Biscayne,

lub sa

— me

Wg

yo

s tL

a o

rcu

z ie

y go R

— u

u s

cisa

ął . Michael. — Wiem, Őe mówisz mi to

wszystko z szacunku dla mnie i ze względu na naszą przyjaźń, i jestem ci za to wdzięczny. Ale juŜ powiedziałeś za duŜo. Nie mogę się w to włączyć. Rozumiem, Őe stawia cię to w trudnym połoŜeniu, ale mówię ci, Őe wbrew temu, co być moŜe usłyszałeś od swojego ojca chrzestnego w Cleveland, robię wszystko, Őebyś mógł zająć moje miejsce w komisji i Őebym mógł wycofać się całkowicie. Jestem juŜ blisko. My jesteśmy blisko. Ty i ja chcemy tego samego. To byłby straszny moment na jakiegokolwiek zatargi z którąś z rodzin.

Michael nie wiedział, czy Geraci kiwa głową, czy się trzęsie.

— Wiem, Őe nie potrzebuję twojego błogosławieństwa —

oznajmił Geraci, wstając. — Staram się tylko uniknąć tego drugiego, czyli kłatwy.

Michael myślał, Őe tak tchórzliwe posunięcie było niegodne Geraciego.

— Őyczę powodzenia tobie i twoim ludziom na Kubie.

Przywitaj się ze wszystkim, co nam ukradziono. Wszystko między nami

jasne?

— Przywitam się. Tak, wszystko jasne.

Tydzień później Joe Lucadello zjawił się w Tahoe, tak jak to było umówione. Przyplłynął małą

zdezelowaną łódką i zacumował

przy kładce obok domu Corleone. Capra i Tommy Neri obszukali go i dali Michaelowi znak, że jest czysty. Michael zadzwonił do Toma Hagena i powiedział mu o przybyciu Joego. Poczekał, a

Hagen zejdzie, i dopiero wtedy ruszył po pochyłym trawniku do aluminiowej ławki na końcu kładki. Usiadł w środku.

— Tom chyba nie chciał mi powiedzieć — zaczął Joe. — Może ty wiesz, Mike, kto wymyślił ten numer z pizzeriami? Bo muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

To był pomysł Geraciego, ale Michael nie sądził, by w jakikolwiek sposób skorzystał, mówiąc to Joemu.

— Powiedz, czy to, co usłyszałem od Fausta Geraciego, jest prawdą?

485

— To mnie zawsze zaskakuje — odparł Joe. — Nikt inny go tak nie nazywa.

Michael wbił wzrok w starego przyjaciela.

— Tak, to prawda — przyznał. — Są inni. Nigdy nie powiedziałem, że ich nie ma.

— Wiedziałeś o tym i...

— Nie, nie wiedziałem. W każdym razie, nie od początku. Im więcej dowiaduję się o waszej... jak by to nazwać... tradycji, tym więcej dostrzegam podobieństw. Tajne stowarzyszenia, śluby milczenia, kodeksy honorowe *et cetera*. Ale w tej sytuacji się różnimy. Wy macie sposoby, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co chcecie wiedzieć, ale w mojej robocie jest tak, że nikt nie wie wszystkiego o czymkolwiek.

— To nie do przyjęcia — stwierdził Michael.

— Nie ja ustalam zasady. Chociaż, szczerze powiedziawszy, nie sądzę, żeby to miało na was wpływ. Jesteście częścią projektu.

Można bezpiecznie powiedzieć, że kiedy robota zostanie wykonana, wszyscy uczestnicy dostaną prezent gwiazdkowy za swój wkład.

Poza tym nasza operacja jest zdecydowanie najlepsza. Oni nie mają ochoty tracić ludzi w wojnie z komunizmem, nawet jeśli to będzie konieczne, a wy, dzięki wojskowemu wyszkoleniu, jesteście na to gotowi, co daje nam ogromną przewagę. Nie znam od podszewki planów tamtych, ale słyszę to i owo. Mówią o wkradnięciu do studia radiowego, z którego nasz cel wygłasza przemówienia do narodu kubańskiego, i rozpyleniu w powietrzu jakiegoś

aerozolu, jakiegoś halucynogennego narkotyku o nazwie LSD, który sprawi, że mowa zabrzmii jak

bełkot szaleńca. Obmyślają sposoby zatrucia jego cygar lub wyczyszczenia butów środkiem chemicznym, który wsączy się w skórę i sprawi, że wypadną mu włosy, również z brody, co wprawi go w wielkie zakłopotanie.

Zabili ze sto świń i małp, testując pigułki, które rozpuszczą się w koktajlu *daiquiri* z lodem. Najnowszy pomysł, o jakim słyszałem, to wykorzystanie miniaturowej łodzi podwodnej do podrzucenia wyjątkowo ładnej muszli na rafie, gdzie nasz cel nurkuje z akwalungiem. Muszla będzie połączona z bombą i gdy cel ją podniesie, zmieni się w hamburgera. Innymi słowy, to banda cip. My wybra

Wsl

z ś

ym

scy

yp

tr

ro

zs

et

jy

ds

łp

uo

gs

o ó

sb

i .

e Z

dza

i s

e tlr

i z

e

wl im

mi y

l

c k

z o

e m

ni u

u.c ha.

— Więc jak? — zapytał w końcu Joe. — Chcecie się wycofać?

Bo inni się nie wycofają, to pewne.

486

— A moŜesz zagwarantować, Ŝe nasi ludzie wejdą pierwsi?

— Zagwarantować?

Czyja

wyglądam

na

firmę

ubezpieczeniową? Ale mogę wam powiedzieć, Ŝe wasz człowiek, Geraci,

jest

najlepszym, jakiego mamy. Jako pierwszy zorganizował ośrodek i ma najlepszych ludzi. Słyszałem z samej góry, Ŝe są najlepiej przygotowani do akcji. Będę z wami szczerzy. Zastanawiam się, czy

niektórzy wasi konkurenci po prostu biorą forszę, nie mając zamiaru robić czegokolwiek. Więc tak, jestem pewny, że nasi ludzie będą pierwsi, ale nie mogę zagwarantować wam nawet tego, że słońce jutro wzejdzie. Dam wam znać, czy i kiedy ludzie Geraciego zostaną przerzuceni na miejsce akcji. To obietnica, nie gwara

— nc

J j

a a

s .

ne — wyraził zrozumienie Michael.

Omówili szczegóły tego, co się stanie, kiedy ludzie Geraciego dotrą na Kubę. Wreszcie Michael był usatysfakcjonowany — uznał, że powinien dać przyzwolenie.

— Nigdy nie myślałem, że będziemy mieli po naszej stronie tak dobrych ludzi jak ci, przeciw którym wyruszamy — powiedział

Joe. — Nie dlatego, że nasi ludzie są gorsi — bo nie są — ale dlatego, że pracują wyłącznie dla pieniędzy. Jeśli coś nie wypali, tracą trochę forsy, awans czy coś w tym rodzaju. A ci, których ma ten skurczybyk na Kubie, wiedzą, że jeśli coś spieprzą, dostaną czapę. Właśnie dzięki temu dysponuje tak dobrym wywiadem. Ale teraz mamy waszych ludzi, którzy są najlepsi, z którejkolwiek strony nie patrzeć. — Joe pokręcił z podziwem głową.

Michael nie miał nic więcej do dodania. Mógł mu tylko podziękować.

Joe wstał.

— Nie wiem, kto wpadł na ten pomysł z pizzeriami — rzekł, gdy Hagen odwiązywał jego łódkę — ale to diabelnie dobry pomysł. Nie słyszycie tego, co teraz mówię, ale my mamy coś podobnego. To nowość. Najlepsi Towarzysze, tak ich nazywamy.

Nie ma znaczenia, że wam to mówię, bo nigdy o tym nie usłyszycie.

Firma ich ustawia, dba o to, żeby im się dobrze powodziło, a później zostawia w spokoju na długie lata, dopóki nie stają się do czegoś potrzebni. Ja w ogóle w tym nie uczestniczę, ale zapamiętajcie moje słowa, przyjdzie kiedyś czas, kiedy amerykański prezydent będzie jednym z Najlepszych Towarzyszy. Oczywiście nie będziecie wiedzieli, kiedy to się stanie.

Michael odprowadzał łódkę wzrokiem, a na jego twarzy błąkał

487

się ledwie widoczny uśmiech. Już wiedział o co najmniej trzech takich Towarzyszach: przegranym

rywalu Jimmy'ego Shei w wyborach, synu senatora będącego na liście płac rodziny, który teraz objął się w Teksasie, udając nafcjarza, oraz synu Petera Clemenzy Rayu, właścicielu wielkiej sieci handlowej.

— Czas odwiedzić Russa — rzekł Michael do Hageny. — Teraz masz powód.

— Jesteś pewny?

Michael skinął głową.

— Ludziom Geraciego albo się powiedzie, albo nie, a my ubezpieczyliśmy się na obie możliwości. Ta nowina, którą zdradził

nam Joe, trochę utrudnia sprawę, ale nie mamy powodu do zmartwień. Oznacza po prostu, że musimy wykonać następny ruch.

Jedyną, z czym nie jesteśmy jeszcze gotowi, to nasz kanarek w Departamencie Sprawiedliwości, ale wiemy, że wykorzystał

szansę zdradzenia nas, żeby zdobyć zaufanie prokuratora generalnego. Musimy poczekać, aż dowie się wystarczająco dużo, żeby warto było go wykorzystać. Więc zaczynaj z Russiem. Jeśli jesteś gotów.

— Jestem gotów.

— To duży krok.

— Czekałem na to nie wiem jak długo. — odparł Tom —

Bardzo długo.

— A więc chwila nadeszła — powiedział Michael. Później pocałował starszego brata w policzek i powlókł się w stronę pustego domu.

Rozdział 30

Nie upłynął rok od dnia, gdy na terenie posiadłości Geraciego stanął ośrodek, gdy zjawiała się ekipa, by go zburzyć. Dolary podatników przy pracy. Geraci powiedział, że ma ludzi, którzy wykonają tę robotę za umiarkowaną opłatę, lecz „agent Ike Rosen”

odparł, iż muszą to zrobić zgodnie z pewnymi wymogami. Poza tym w grę wchodziły względy bezpieczeństwa. Adepti, którzy jeszcze tam byli, zostali odesłani do domów. Miano ich wezwać do miejsca stacjonowania w willi na Bahamach.

Pierwsi mieli zostać przerwani trzej kubańscy uchodźcy, podobno z rozkazu samego dyrektora CIA Alberta Soffeta.

Uzasadnienie było takie, że Kubańczycy lepiej znają kraj i gdyby coś poszło źle, zdołaliby zniknąć lepiej od ludzi Geraciego. Nick Geraci

był wściekły. Chciał, żeby wysłano jednego Kubańczyka (ze względu na język i ogólną orientację) i dwóch Sycylijczyków. Jeśli zrobicie to w ten sposób, nic nie pójdzie źle. Kubańczycy wylądowali na nienazwanej wysepce koralowej tuż za kubańskimi wodami

terytorialnymi, przeszli na motorówkę zabraną z posiadłości Ernesta Hemingwaya i zginęli w drodze do brzegu, kiedy łódź eksplodowała w podejrzanych okolicznościach. Podobno pilot był kubańskim szpiegiem, ale Geraci niczego nie dowiedział się z pierwszej ręki.

Powiedział agentowi Rosenowi, że go uprzedzał. Nie chciał tracić ludzi, ale nie chciał też, żeby ktoś z innej grupy był tym, który zabije złodziejskiego dyktatora. A nie było sposobu sprawdzenia, co

Tię

y

d d

ziz

ei e

ń je

p

ó w

ź

ni ta

ej m

t

R y

o c

s h

e

n o

pb
oo
iz
na
fc
oh
r.
mP
oo
w
ac
lo
Gw
er
ao
ci g
e ó
gle
o, s
Ť z
ek
doli
s ć
t

ał u

p d

o z

- i

,

zapytał, skoro zadanie i tak mają wykonać Kubańczycy?

489

zwolenie wysłania kolejnych trzech ludzi, tym razem na pokładzie hydroplanu. Samolot miał lecieć nisko, tak aby uniknąć wykrycia przez radar, i dostarczyć zabójców na plażę, gdzie będzie czekał zaufany agent. Geraci miał wyznaczyć jednego człowieka. Nalegał, żeby pozwolono mu wybrać dwóch. Jeden albo wcale, odparł agent.

Geraci wybrał Carmine. Sycylijski *soldato* uspokoił Geraciego —

powiedział mu, że jest tak dobry jak dwóch, obojętnie jakich.

Kilka dni później Geraci siedział w swoim gabinecie obok basenu i czytał dwutomową historię wojen rzymskich, z którą zmagał się z przerwami od siedmiu lat. Charlotte zapukała do drzwi. Była poruszona.

— Ktoś dzwonił. — Im dłużej trwało ich małżeństwo, z tym większą niechęcią odbierała wiadomości dla Nicka, zwłaszcza gdy dzwoniący nie chciał się przedstawić. — Nie wiem, kto to był, ale powiedział, że już tam są. To wszystko. „Już tam są”. Czy to coś dla ciebie znaczy?

— Tak. — Są na Kubie, rzecz jasna. A to znaczyło dla niego bardzo dużo.

— Jak ci idzie z książką? — spytała Charlotte.

— Z książkami — poprawił ją Nick. — Dwa tomy. Kiedy ostatnio czytałaś coś, co nie było wyświetlone na ekranie telewizora? W zasadzie można powiedzieć, że posuwam się do przodu.

Na zewnątrz panowała jeszcze ciemność, gdy Tom Hagen wyszedł z Palmer House i złapał taksówkę, by dojechać do Louiego Russa. Theresa jeszcze spała w hotelowym pokoju na piętrze.

Późnym rankiem miała spotkanie w Instytucie Sztuki w Chicago.

Była to jakaś konferencja rad artystycznych muzeów z całego kraju. Jutro pojedą do South Bend, żeby zobaczyć się nie tylko z Andrew, lecz także z Frankiem Corleone, najstarszym dzieckiem Sonny'ego, który grał na środku obrony w drużynie Walecznych Irlandczyków. Zdobył bilety dla Toma i Theresy

na ostatni mecz sezonu na swoim boisku przeciwko Syracuse, Alma Mater Teresy.

Hagen od dawna cieszył się na ten weekend.

Tom wolałby pojechać limuzyną, ale nie mógł ryzykować, ustalając plany z dużym wyprzedzeniem. Taksówkarz był typowym mieszkańcem Chicago — bluzgał przekleństwami i wesoło zrzędził

na drużyny sportowe. Hagen myślał o wielu rzeczach. Wypił tylko dwie filiżanki kawy. Pocił się. Nie był zdenerwowany, a w samo-490

chodzi nie było gorąco. Pewnie miało to coś wspólnego z wysokim ciśnieniem krwi. Lekarz powiedział — i pewnie nie śartował — że pewnego dnia Hagen po prostu wybuchnie jak napęczniały kleszcz.

Kierowca wciąż gadał. Hagen w śaden sposób go nie zniechęcał.

Im więcej mówi, tym gorzej zapamięta pasażera.

Russo miał prywatny klub na odludziu, prawie w Wisconsin.

Mimo że taksówka jechała w przeciwną stronę niż masa samochodów, dotarcie na miejsce i tak zabrało ponad godzinę.

Dojazd

od

bramy i przez ogromny parking do budynku klubu — białej stodoły z pomalowanymi pustaków ze szlaki — też trwał długo. Lokal nie wyglądał imponująco, a jednak ściągał wykonawców takich jak Johnny Fontane, najlepszych komików, a nawet grupę Ice Capades.

Na tablicy nad wejściem widniał napis: HECTOR SANTIAGO, KRÓL RUMBY! Nigdy nie reklamowano występów, a jednak bilety były zawsze wyprzedane. Ze stodołą sąsiadował prostokątny staw o powierzchni czterech miejskich kwartałów, otoczony sosnami.

Ledwo widoczna woda była czarna niczym smoła. Po drugiej stronie stawu

stał

nieciekawie

wyglądający,

pozbawiony

okien,

trzykondygnacyjny magazyn zamieniony w kasyno. Wieczorem gondolierzy

przewozili gości na drugi brzeg. Russo był nadzwyczaj dumny z tego kompleksu. Ponoć nie dało się przyjechać tu w interesach i wyjść, nie zwiedziwszy jego ukochanego kasyna. Mimo to Hagen podziwiał

Russa za wysiłek, który musiał włożyć w przekupienie glin, żeby jego

Za k

li

k e

l n

u c

b i

e m

m o

z g

n l

a i j d d

o o c

w i

a e

ł r a

sić

ę d

s o

ta r s

y t

oj

d a

o ce

m go

f a r n

ma

e r o

s t

k w

i, ar

r t

o y

z m

b

udte

o re

w n

a i

n e

y

n

i i el

perg

z a

e ln
kse
zg
to
a k
ca
os
ny
yn
a
wt ak
p w
en o
s l
j n
o y
n m
at. śro
R d
u k
s i
s e
o m
l

u o

r k

z a o

d m

z i o

ł c j i

s

o j a

b k

i e g o

b n

i d

u o

r l

o e .

w

największym pokoju na piętrze. Źeby się tam dostać, Hagen musiał

przejsć przez wykrywacz metalu, a później przez stalowe drzwi, takie same jak w podziemiach banków. Zgodnie z przewidywaniami Hagena dwa draby Russa siedziały w przedsionku z pistoletami maszynowymi na kolanach. Jeden wstał, przeszukał leniwie Hagen, a później machnął ręką w stronę jaskini szefa.

— A niech mnie, jeśli to nie jedyny na świecie Mick *consigliere!* — zawołał Russo. W mankietach miał dwie diamentowe

spink

H i

a .

g —

en C

p o z

d a

zi z

ę a

k s

o zc

w z

ały

t.

i

usiadł. Russo stał, w ten małosłowny

i prymitywny sposób okazując, że kontroluje sytuację.

— Michael Corleone jest gotów poprzeć twoją kandydaturę na *capo di tutti capi* i zrezygnować z miejsca w komisji — zaczął

491

Hagen — jeśli ty i ja dojdziemy do porozumienia w kilku drobnych sprawach.

— Hej, słyszycie tego gościa? — krzyknął Russo do swoich drabów. — Słuchaj, Irlandczyku. Takim, skąd ja pochodzę, żeby kogoś wypieprzyć, trzeba najpierw dać mu buzi. Kapujesz?

Hagen zrozumiał.

— Jestem pół-Niemcem, pół-Irlandczykiem — sprostował. —

I nie chciałem cię obrazić, don Russo. Wiem, że jesteś zapracowanym człowiekiem, więc pomyślałem, że wolałbyś, abym od

razu

przes

—Z

ed

Kł

a do

wa r

? z

ec

Oz

y.

k urwa, gdzie moje maniery? MoŜe koktajl, Irlandczyku?

— Proszę o kawę. — Napój był z automatu, ale dobre i to. —

Dziękuję.

Russo zmarszczył czoło.

— Dobrze się czujesz? Bo tu nie jest gorąco.

— Czuję się świetnie.

— Moja mama mówiła, Ŝe to, czy czujemy się świetnie, zaleŜy bardziej od naszej decyzji niŜ od stanu zdrowia.

— Mądra kobieta.

— Wygląda na to, Ŝe albo boisz się jak cholera, albo masz tę, jak jej tam, tropikalną febrę. Chorobę dŜungli. Hej, chłopcy!

Mojemu irlandzkiemu przyjacielowi chyba przydałby się ręcznik.

— Potrzebuję tylko kawy — odparł Hagen, opróŜniając filiŜankę dwoma długimi łykami.

— Jedyne człowiek, który pocił się tutaj tak jak ty, miał na sobie druty.

— Naprawdę?

Russo skinął głową.

Hagen podniósł ręce.

— Przeszukaj mnie. Nie krępuj się.

Russo nie miał ani tyle dumy, ani szacunku, żeby odmówić.

Przeszukał Hagen. Oczywiście niczego nie znalazł. Skinął głową, żeby Tom usiadł. Hagen poczekał na niego.

— W kilku drobnych sprawach, tak? — rzekł Russo, siadając za biurkiem. — Na przykład jakich?

Carmine Marino stał koło balkonu na drugim piętrze biblioteki w centrum Cienfuegos i ładował rosyjski karabin, który dostał na 492

akcję. Czekał na kawalkadę samochodów, mającą tędy przejechać.

Dwaj gniewni Kubańczycy, z którymi przybył na wyspę, zginęli tej samej nocy, której wylądowali. Hiszpański Carmine był

łamanym włoskim, a jednak Sycylijczyk zdołał pokonać ponad trzysta

kilometrów rządzonego przez dyktatora kraju i dotrzeć do dwóch kobiet szpiegów, które przekazały mu dalsze instrukcje. Naturalnie Carmine był bardzo rozczarowany, gdy nie odbył z nimi stosunku w ciemną, parną, kubańską noc. Słyszał ktoś kiedyś o kobiecie szpiegu, która nie chce uprawiać seksu z oszałamiająco przystojnym zamachowcem, takim jak Carmine? Po co w takim razie w ogóle być zamachowcem? Kobiety były dwie, a mimo to nic się nie działo. Carmine czuł się zdezorientowany. Może były lesbami?

A może on nie jest takim mężczyzną, za jakiego się uważa?

Obiecał sobie, że jeśli wyjdzie żywy z tej eskapady, to pójdzie do jednookiego syda i powie, żeby w nagrodę znalazł dzielnemu Carmine Marinowi piersiastą, napaloną babę szpiega. Carmine nie był Ulice pełne były żołnierzy i wiwatujących Kubańczyków.

głu

W pce

mi m

ar .

ę W

j i

a e

k d

z

kia

a ł,

w Ŝ

ale

k t

a a

dk

a i e

s is

ę t ni

z e

b j l ą

i .

Ŝ a ła, okrzyki wydawane przez

ludzi stawały się dziwnie metaliczne niczym płyta z nagraniem aplauzu tłumu, odtwarzana zbyt głośno i trochę za szybko. Jako dziecko Carmine słyszał na Sycylii powitanie innego despoty, Mussoliniego.

Samochody skręciły obok katedry i ruszyły w stronę budynku, w którym znajdował się Carmine. Zabawne, bo były to amerykańskie samochody. Ci ludzie nienawidzą Amerykanów, a tu patrzcie.

Carm

W i n

ce

z p

wo

a d

rtn

yió

ms ł

s k

a ar

m a

o b

c in

h .

o dzie — niebieskim kabriolecie, tak jak zapowiedziano — stał cel: brodaty męŜczyzna w pełnym wojskowym umundurowaniu, uśmiechający się radośnie do swojego

ucisk

M an

rieg

n o

o l

o u

d d

etu

c.

hnął płynnie i nacisnął spust.

Głowa brodatego męŜczyzny odskoczyła w tył, na maskę trysnęła fontanna krwi. Szofer wcisnął gaz.

Rozległy się wrzaski. Policjanci machali rękami na pozostałe samochody, między innymi na czarnego sedana, jadącego dwa auta za kabrioletem. Właśnie w nim siedział kubański przywódca.

Samochody przyspieszyły i wyjechały z miasta.

MęŜczyzna w niebieskim kabrioecie, ulubiony sobowtór dyktatora, nie Őył.

493

Carmine Marina schwytano w drodze do zatoki Guantanamo, przebranego za kobietę.

Louie Russo przystał na wszystko. Rodzina Corleone mogła zarządzać hotelami i kasynami w Nevadzie bez przeszkód ze strony Chicago. To samo dotyczyło Atlanty, jeśli otworzą się tam możliwości, zgodnie z oczekiwaniami. Hagen przyznał, Őe oddział

zabójców Geraciego był w rzeczywistości kierowany przez Corleone, a Russo, uŐywając wielu słów, przyznał się, Őe kontroluje

grupy Tramontiego i Draga. Rodziny rywalizowały, lecz miały ze sobą więcej wspólnego niŜ z cynicznymi oportunistami z CIA i z B

P i

oa

łe

k g

r o

ót D

ki o

m m

ou.

mówieniu szczegółów z Tomem Russem zgodził

się, Őe jeśli jego ludzie załatwią sprawę na Kubie pierwsi, rodzina Corleone przejmie kontrolę nad Capri i Sevilla Biltmore i będzie nimi zarządzała zgodnie z prawem, bez przeszkód ze strony Russa i wszystkich innych organizacji — Russo z pewnością będzie miał

władzę, by to zapewnić, kiedy Michael pomoŐe mu zostać pierwszym oficjalnym szefem wszystkich szefów od Őmierci Vita Corleone przed siedmioma laty.

Hagen osobiŐcie będzie nadzorował organizację ludzi opłacanych przez rodzinę Corleone. CzęŐ tej działalności stopniowo przejdzie pod opiekę Nicka Geraciego, ale Louie Russo równieŜ od czasu do

czasu będzie mógł z niej skorzystać w związku z pomocą, której udzieli Michaelowi Corleone w jego dążeniu do całkowitego zalegalizowania swojej działalności.

Russo tak się zgadzał chętnie, że dla Toma Hagena stawało się coraz bardziej jasne, że nie zamierza wypuścić go żywego. Przewidzieli z Michaeliem taką ewentualność. Ale wiedzieć, że coś takiego może się zdarzyć, to coś zupełnie innego niż czuć, iż się zbliża. Hagen nie przestawał się pocić. Dałby tysiąc dolarów za kąpiel i suche ubranie.

— To wielki dzień, Irlandczyku — oznajmił Russo. —

Powinniśmy go uczcić. Ja też się z tobą napiję, ale niestety śartowałem

wcześniej na temat koktajlu. Nie mam tu niczego mocniejszego od kawy i nieświeżych oddechów tych dżentelmenów w przedpokoju.

W klubie jest bar, ale pierwszorzędne trunki, najlepsze w całym Illin

J o

e i

s s

z,

c s

zą

e ta

nim

e , p

mio

n d

ęru

a g

d i

ze

i j

e st

w r

i o

ątn

a i.e

jeziora Louie.

494

— Dziękuję — odparł Hagen. — To kusząca propozycja, ale muszę wracać.

— Daj spokój, Irlandczyku. Umowę trzeba opić, bo inaczej nie ma umowy. Poza tym, skoro zamierzacie prowadzić tylko legalne kasyna — szkoda tej forsy, której nie zarobicie, ale nikt was do tego nie namawiał — powinieneś zobaczyć mój lokal, z którego jestem dumny. Choć może nie powinienem tego mówić, żeby nie narazić się na zarzut nieskromności. Jeszcze przez jakiś czas będzie zamknięty, ale... — Russo zdjął ciemne okulary, pod którymi ukazały silnie zaczerwienione podkrążone na zielono oczy.

Uśmiechnął się.

Dreszcz, który przebiegł po plecach Hagen, nie miał nic wspólnego z potem i klimatyzacją, mimo że tym właśnie Tom go sobie

tluma

— c

z

.. y

.jł.

a znam pewnych ludzi — dokończył Russo. — Płynąłeś kiedyś gondolą?

— Niestety, nie — odparł Hagen.

Russo poprowadził go w stronę drzwi. Mężczyźni z pistoletami maszynowymi wstali.

— Wyobraźcie sobie, że ten oto Irlandczyk nigdy nie płynął

gondolą — zakomunikował Russo. — Jeśli to nie jest jedna z tych rzeczy, które człowiek powinien zrobić przed śmiercią, to ja już

niczego nie wiem.

Joe Lucadello w samym środku nocy podszedł do frontowych drzwi domu Nicka Geraciego i zadzwonił. Geraci usnął na fotelu w gabinecie w budynku koło basenu. Charlotte wzięła tabletkę nasenną i umarła dla świata. Barbara wyjechała do college'u. Po kilku dzwonekach odezwała się Beverly, ale tylko przez domofon.

— Powiedz ojcu, że przyszedł Ike Rosen.

— On będzie wiedział, o co chodzi?

— Jasne, czemu nie?

— Co się panu stało w oko? — spytała Beverly. — To prawdziwa opaska?

— Tak. Rana z wojny.

— Nie wierzę.

Lucadello podniósł opaskę. Beverly zobaczyła pusty oczodół

tylko przez judasza, a mimo to uciekła z krzykiem. Lucadello westchnął i usiadł na schodach ganku, żeby poczekać na przyjazd

495 policji. To był jeszcze jeden doskonały układ, jaki wypracowali sobie ludzie z organizacji. Policja działała jako ich prywatna ochrona, a cywile wzywali ją w razie potrzeby.

Nadjechały dwa radiowozy. Wysypali się z nich gliniarze z pistoletami. Lucadello podniósł ręce. Pokazał policjantom prawo jazdy na nazwisko Ike Rosen i wyjaśnił, że prowadzi razem z panem

Geracim firmę eksportowo-importową. Zjawił się o tak niewiarygodnej godzinie wyłącznie z powodu niefortunnego incydentu w Izbie Celnej. Zamieszanie obudziło Nicka, który podziękował

glini

L a

urz

c o

a m

de

l i

l

ou

sp

u o

sik

ao

d iłł có

n r

a k

ę

j .

e P

d o

n s

y zł

m i

z ag

ke

r n

z t

ee

sm

eł do

u rg

a a

t b

o in

w e

a t

n u

y .

ch przez

Geraciego ze stadionu Ebbets Field i opowiedział o Carmine.

— Reszta jest oczywista — rzekł Geraci. — Ten chłopak nie będzie gadał, bez względu na to, co mu zrobią.

— To, czy będzie gadał, może być najmniejszym z twoich problemów.

— Taak? — Geraci nie wiedział, o czym agent mówi, ale uśmiecha się zaimka „twoich”, a nie „naszych”, nie wróciło dobrze.

— Kubańskie władze musiałyby oszaleć, żeby go torturować.

Byłyby szalone, gdyby zrobiły cokolwiek innego prócz wielkiego rabanu o to, że cudzoziemiec próbował zabić ich brodatego ukochanego wodza. Rosjanie staną po ich stronie. Wciągną ONZ.

Kiedy go deportują, nie pozostanie nam do zrobienia nic innego, jak tylko wpakować go za kratki albo zabić.

— O to się nie bój — uspokoił go Geraci. — Carmine Marino wciąż jest obywatelem Włoch. Jeśli go tam pošlą, ma potęgę ojca chrzestnego.

Lucadello pokręcił głową.

— Nie rozumiesz. Musimy się go pozbyć na długo, nim dojdzie do którejkolwiek z tych ewentualności. I obawiam się, że właśnie w tym miejscu zaczynają się twoje kłopoty.

Geraci byłby skończonym głupcem, gdyby pozwolił temu jednookiemu draniowi zabić się na własnym podwórku.

— Wstawaj. Muszę cię przeszukać.

— Jak chcesz. Ale gdybym chciał cię zabić, już byłbyś martwy.

A jeśli tracisz cenny czas na takie głupstwa, to pewnie tak skończysz.

Geraci i tak go obszukał i uwolnił od pistoletu i dwóch noży.

— Zatrzymaj je sobie z najlepszymi Śyczeniami — mruknął

Lucadello. — Jestem po twojej stronie, zapomniałeś?

496

Geraci wskazał mu gestem krzesło.

— Jest późno. Spałem. Wybacz, ale nie mogę zrozumieć, dlaczego Marino jest moim problemem, a twoim nie.

— Och, moim też. Dowiedziałem się od kogoś na szczycie —

nie od mojego szefa — Śe FBI wie o obozie w Jacksonville, którym kierował Tramonti. JuŚ wszczęli śledztwo. Słyszałem krąŚącą plotkę, Śe biuro dostało cynk o naszej operacji, ale nie uznało go za wiarygodny. Ale po tym incydencie to nie ma znaczenia. Ryzyko, Śe ktoś w FBI złoŚy wszystko w całość, jest zbyt duŚe.

— A wy nie możecie mnie przed tym ochronić? Nic nie możecie zrobić?

— W tych okolicznościach bardzo niewiele — przyznał

Lucadello. — Chciałbym zabić tych drani.

— Więc zabij ich wszystkich. Nie będę cię powstrzymywał.

— Niestety, to nie wchodzi w rachubę. A nawet gdyby, to i tak nie rozwiązałyby wszystkich twoich problemów. Posiadamy wiarygodne informacje, Śe twój były wspólnik, Michael Corleone, zamierza cię zabić. Czekał tylko dlatego, by pozwolić ci wykonać zadanie. A teraz, skoro wiadomo, Śe go nie wykonasz, uważamy, iż twojemu Śyciu zagraŚa bezpośrednie niebezpieczeństwo. Poza tym mamy nieco mniej wiarygodną informację, Śe Louie Russo również zamierza cię zabić, podobno dlatego, Śe... Nie wiem, jak wszystko w waszych organizacjach funkcjonuje, ale istnieje ponoć jakaś komisja...

Geraci wzruszył ramionami.

— Nigdy o niej nie słyszałem.

— Oczywiście. W kaŚdym razie Russo uzyskał aprobatę tej komisji na wszystkie swoje zamierzenia, a twoja operacja — nie.

Podobno jest to tak poważne złamanie protokołu, Śe udzielili pozwolenia... Nie jesteśmy pewni komu. Prawdopodobnie panu Russowi. Pozwolenie na zlikwidowanie ciebie. Nie trzęsiesz się.

— To pojawia się i znika.

— Gdyby coś takiego mnie dotyczyło, teŜ bym się trząsł.

— To odmiana Parkinsona. Nie strach. Nie ma nic wspólnego ze strachem. A w ogóle, skąd wiesz, Œe coś takiego nie dotyczy ciebie?

— Och, jestem pewny, Œe dotyczy. Tak czy inaczej, wszystko dzieje się szybko, a ty musisz działać jeszcze szybciej.

— Nie my?

497

— Nie. My nigdy nie mieliśmy z niczym nic wspólnego. Ty i ja nigdy się nie spotkaliśmy. Nie ma kogoś takiego jak „my”. Mnie teŜ nie ma. Agent Ike Rosen nie istnieje.

Lucadello wyjaśnił, Œe najlepsze, co moŜe zrobić, to zabrać stąd Nicka Geraciego i jego rodzinę. Bilet w jedną stronę na inne nazwiska, do dowolnego miejsca na ziemi. Być moŜe uda się zorganizować to tak, Œeby na lotnisku, na którym wylądują, czekał

na nich agent i udzielił kilku wskazówek, jak mogą zacząć nowe Œycie. Nie wszędzie będzie to moŜliwe, ale jeśli Geraci poda kilka krajów, to Lucadello powie mu, czy to dobry wybór.

Geraci spojrział na pistolet leŜący na biurku. Miło byłoby rozwalić tego typu. Nie wiadomo, czy pogorszyłyby tym swoją sytuację.

Nagle olśniło go i zobaczył wyjście z matni, a przynajmniej sposób na zyskanie na czasie.

— Dobrze — zaczął Geraci, wyciągając rękę. Œwiadomie naśladował swojego ojca chrzestnego, Vincenta Forlenzę. —

Cztery

rzeczy. Pierwsza — palec wskazujący — wyjeŜdŜam na Sycylię.

Nie potrzebuję twoich ludzi. Mam swoich. Druga — palec środkowy — nie lecę samolotem. Kropka. Ale pomoŜcie mi dotrzeć

tam, dokąd zechcę. I mojej rodzinie teŜ, jeśli będą chcieli mi towarzyszyć, w co wątpię. Trzecia — palec serdeczny — daję ci słowo, Œe mój przyjaciel Michael Corleone nie zamierza mnie zabić, więc lepiej, jeśli sprawdzisz swoje wiarygodne źródło i dowiesz

—

si

Tę

r ,

z k

y to

z za

c w

z t a

e l

r i

eł.

c l

h cz

w w

ar a

u rt

n a

k —

ów mał

o y

ŝ

e pa

m l

ye

cs —

peł d

ni o
ć b
. rz
J e
e
ś c
li i r
ca
hd
ozę
d ,
z
i
Ŝe
o by
C ś
ar n
mie
n z
e a
, b
j i
a j
a

t l

e ŜC

a

b r

a m

rd izn

oe

M

go a

l r

uin

bia

ę .a

ni

N

i n

e ie

z

r k

o a

b z

ila

ł

ng

ico

zz

ł a

e b

g i

oć

..

Dotarł tam,

gdzie miał dotrzeć, oddał świetny strzał do celu, który mu wskazaliśmy, i okazał się wystarczająco sprytny, by przełknąć męską dumę i uciekać w kobiecym przebraniu. Gdyby to ode mnie zależało, zatrudniłbym go, ale... Mogę tylko powiedzieć, że to już

nie zależy od nas.

Geraci się uśmiechnął.

— Panieńskie nazwisko matki Carmine brzmi Bocchicchio.

Opowiedział o niezrównanej, przedziwnej umiejętności klanu Bocchicchich mszczenia się, lecz Lucadello wciąż był nieporuszony.

— Więc kogo zacząć ścigać? — spytał agent. — Rząd Stanów Zjednoczonych?

Geraci pokręcił głową.

— Oni traktują to jak sprawę osobistą.

498

— To znaczy wezmą się za mnie? Zaczekaj, wiem! Wezmą na cel prezydenta!

Nagle Geraci zaczął się trząść. żeby to powstrzymać, przeszedł

przez gabinet, złapał Lucadella za koszulę i poderwał go na nogi.

— Carmine wciąż żyje — wyszeptał. — Niech tak zostanie, a nikomu nie stanie się krzywda.

Było tak wcześnie, że pracował tylko jeden gondolier. W długich szerokich łodziach było dużo miejsca. Zgodnie z przewidywaniami Hageny ludzie Russa zabrali ze sobą pistolety.

— Nie patrz tak, Irlandczyku — parsknął Louie Russo, siadając na dziobie. — Wiem, że nie zajmujesz się siłową robotą. Cholera, wy nawet nie będziecie mieli nikogo od siłowej roboty. Ale rozluźnij się. Ja ci to mówię, że jeszcze trochę pośpisz.

Ochroniarzy bardzo to rozbawiło. Gondolier odwrócił głowę i nic nie powiedział. Poruszył wiosłem i łódka zaczęła płynąć po cuchnącym sztucznym stawie. Wreszcie nawiązał kontakt wzrokowy z Hagenem i prawie niedostrzegalnie skinął głową.

Hagen przestał się pocić. Ogarnął go spokój. Russo opowiadał

o tym, jak przejął tę posiadłość, lecz Hagen nie słuchał. Przyglądał

się drzewom rosnącym na brzegach, czekając, kiedy łódź znajdzie się w połowie drogi. Pochylał się, żeby nikt nie zauważył, jak rozpina pasek.

Kiedy dotarli na środek stawu, gondolier wyjął wiosło z wody.

Przepląnął ten staw dziesiątki tysięcy razy i jego ramiona miały siłę dźwigu. Kiedy Hagen wyprostował się i zerwał z siebie pasek, gondolier zamachnął się wiosłem, dając upust nagromadzonemu przez lata pragnieniu zrobienia tego każdemu nadętemu bydlakowi, którego woził. Wiosło trafiło jednego z ochroniarzy w głowę.

Drugi obrócił się błyskawicznie, lecz zanim zdążył oddać strzał, pasek Toma Hageny wbił się w jego szyję.

Gondolier złapał pistolet zabitego wiosłem ochroniarza i skierował go na Louiego Russa.

Drugi ochroniarz wierzgnął nogami, a jego twarz zrobiła się czerwona. Hagen usłyszał, jak pęka jego krtań. Męszczyzna ze-sztyniała. Tom opuścił go na dno gondoli.

Russo chciał wyskoczyć i płynąć, lecz zanim znalazł się za burtą, gondolier złapał go z tyłu za koszulę i przytrzymał. Ciemne okulary wpadły do wody.

499

— Dałem ci wszystko, czego chciałeś — jęknął don. — A ty mi tak odpłacasz?

— Nie obrażaj mnie — warknął Hagen. Założył na pistolet kalibru 22 tłumik wyjęty z kieszeni martwego ochroniarza.

Ulubione narzędzie zabójcy. Ręce drżały mu od wysiłku włóśonego

w uduszenie goryla. — Zamierzałeś mnie zabić — wycedził, mach

— a

ją

Oc

sp

zi

as

lt

ao

łl

ee

śtem

— p

zr

az

se

kd

ot

ww

ya

cr

zz

aą

łR

Ru

us

ss

s a

o . — To tylko pistolet. Nic

nie znaczy.

— A nawet gdybyś nie zamierzał, nie obchodzi mnie to. To ty podsunąłeś Rothowi pomysł nakłonienia Freda, aby zdradził

rodzinę i ustawiłeś wszystko ze swoimi ludźmi z Los Angeles.

Dałeś

mi sto

— in

T n

y y

? ch p

— o

Ł w

zyo

d

Ró

uw

s ,

s Ŝ

a e

zb

ł y

a m

go c

d i

z ę

i ł z

y a

b

w i ł

y .r az jego diabelskich oczu.

Z jego wygiętego niczym penis nosa spływał śluz. — Chcesz mnie zabić? Przecież ty się tym nie zajmujesz, Irlandczyku. Byłeś pieprzonym kongresmanem. Myślisz, że pozwolą ci się wkupić?

Jesteś Irlandczykiem.

Przez całe dorosłe życie ludzie niewłaściwie oceniali Toma Hagen. Przede wszystkim był biednym irlandzkim chłopakiem z ulicy. Spędził całe długie zimy w Nowym Jorku, mieszkając w krzakach i kanałach, wygrywał walki na pięści z dorosłymi mężczyznami o pół bochenka spleśniałego chleba. Podniósł pistolet.

Teraz on mógł się uśmiechnąć.

— Jeśli wystarczająco długo żyjesz w wilczej jaskini, w końcu musisz nauczyć się wyc.

Strzelił. Pocisk wdarł się w mózg Russa, odbił od czaszki i nie wyszedł na zewnątrz tak jak kula większego kalibru.

Hagen wrzucił broń do stawu.

Razem z gondolierem przywiązali cię sarki do ciał trzech mężczyzn i wyrzucili je za burtę. Nikt ich nie widział. Gondolier odwiózł Hagen na brzeg i zaczął czyścić wnętrze łodzi wybielaczem. Nie widział nigdzie śladów krwi, ale zawsze lepiej się

zabezpieczyć. Hagen odjechał samochodem Russa. Gondolier przysięgnie

na

nieśmiertelną

duszę

matki,

że

widział

wyjeżdżającego Russa. Auto zostało znalezione dwa dni później na

parkingu

lotniska. Gazety doniosły, że tego dnia na pokłady różnych samolotów wsiedli mężczyźni o nazwiskach takich samych jak fałszywe nazwiska, którymi posługiwał się Louie Bużka. Jeden z tych

50

0p

0ó

w do nikogo nie doprowadził.

Ochroniarze byli lojalnymi zaufanymi *soldati* Russa, których Corleone trudno byłoby przekupić. Jeśli w ogóle było to możliwe.

Jednak gondolier zarabiał rocznie mniej, niż kosztowały spinki do mankietów Louiego. Miesiąc później znaleziono zwłoki Russa i dwóch jego ludzi. I nie były to jedyne ciała w stawie. Zakwaszona woda przyspieszała rozkład. Kiedy go osuszono, policja zaczęła przeszukiwać wierzchnią warstwę szlamu. Policjanci znaleźli zwłoki kości w obciążonych workach, walizkach i beczkach po ropie.

Gondolier zdał już wtedy zniknąć.

Nie znalazły go ani władze, ani nikt z organizacji Chicago.

Dożył swoich dni pod zmienionym nazwiskiem w małym miasteczku w Nevadzie, prowadząc sklep z bronią i prywatny cmentarz na działce kupionej (za cudze pieniądze) od rządu federalnego,

tylko trzydzieści kilometrów od wietrznych, napromieniowanych przedmieść miasteczka Doomtwn.

Joe Lucadello zadzwonił z automatu znajdującego się mniej niż

półtora kilometra od domu Geraciego i opowiedział o wszystkim Michaelowi Corleone. O kłamstwie na temat Russa, o prawdzie na temat Michaela. Podał dane statku, który miał zabrać Geraciego na Sycylię. Samego. Żona i dzieci nie zamierzały z nim płynąć, co ułatwi sprawę.

— Przykro mi, że nam nie wyszło. — Lucadello miał na myśli Kubę. — Wiem, że na to liczyłeś.

— Przeżyliśmy i będziemy walczyli jeszcze jeden dzień —

odparł Michael. — Czego jeszcze człowiek może oczekiwać od Sycia?

— DuŜo wiêcej — rzekł Joe. — Ale tylko, kiedy jest młody.

W willi w Chagrin Falls Vincent Forlenza obudził się w ciemności, ledwo mogąc oddychać. Dobrze znał to uczucie, jakby słoń

stał mu na piersi. Zdołał pociągnąć za sznurek dzwonka, wzywając pielęgniarkę. Potrafił rozpoznać atak serca. Ten nie był

pierwszy i przy odrobinie szczęścia nie będzie ostatni. Nie był tak okropny jak poprzednie. To musiał być mały słoń. A moŜe Forle

Pi n

e z

l a

ę

g z

na

i c

a z

r y

k n

a ał

w s

e i

z ę p

warłz

a y

z

k w

ar y

e c

t z

k a

ę j

. ać

Z r obiała, co mogła, i zapewniła

podopiecznego, że wszystko będzie dobrze. Nie była kardiologiem, 501

ale naprawdę tak myślała. Objawy czynności Syciowych Forlenzy były względnie dobre.

Vincent Forlenza był człowiekiem ostrośnym. Wydawało się, że zabicie go nie przychodzi Bogu łatwo, a on nie zamierzał

ułatwiać tego zadania zwykłym śmiertelnikom. Posiadłość Forlenzy w Chagrin Falls i dom na Wyspie Grzechotników były silnie

ufortyfikowane i dobrze strzeżone. Od lat nie wsiadł do samochodu czy łodzi, które wcześniej nie zostały dokładnie sprawdzone przez jego ludzi w poszukiwaniu bomb. Zwykle zlecał to zadanie dwóm ochroniarzom znanym z wzajemnej antypatii, tak aby każdy szukał okazji, by przyłapać drugiego na zdradzie don.

Przestał jeść to, co nie było przygotowane na jego oczach. Lecz nawet Vincent Forlenza w godzinie medycznej potrzeby nie pomyślałby o tym, by sprawdzać ludzi, którzy przyjechali ratować mu życie. Nie pomyślał też o tym nikt spośród ochroniarzy pilnujących willi. Ani pielęgniarka, która nie dopatrzyła się niczego niezwykłego w zachowaniu mężczyzn zajmujących się starcem. Nie było też nic dziwnego w samej karetce — może tylko to, że niemal natychmiast po jej odjeździe zjawiała się druga, praw

Piie

e

r id

w e

s n

z t

ą yc

k z

a n

r a

et .

kę znaleziono nazajutrz o jedną przecznicę od miejsca, z którego została skradziona. Vincenta „śyda” Forlenzy nigdy więcej nie widziano.

W sektorze stadionu przeznaczonym dla rodzin Tom i Theresa Hagenowie oraz ich przystojny syn Andrew wstali, kiedy rozległy się dźwięki hymnu. Tom przyłożył rękę do piersi i zaczął śpiewać.

Po chwili spostrzegł, że śpiewa sam.

— Zwykle tylko mruczysz pod nosem — zauważyła Theresa.

— To taki wspaniały kraj — odparł Tom. — Nikt nie powinien tylko mruczeć.

Frankie Corleone był najniżejszym zawodnikiem w obronie Notre Dame, lecz po pierwszym młynie przedarł się przez linie i wpadł

na olbrzymiego stopera drużyny Syracuse Orangemen z taką siłą, że tamtemu odskoczyła głowa, a później runął całym ciałem na ziemię. Publiczność oszalała z zachwytu, ale Frankie wrócił na pozycję, jakby nie zrobił nic nadzwyczajnego.

— Frankie! — krzyknął Andrew.

— Mój bratanek! — podchwyciła Theresa.

502

Tom i Theresa objęli się, a stoper Syracuse zszedł z placu gry o własnych siłach.

Po następnym wznowieniu zawodnicy Syracuse próbowali podać piłkę. Odbierający podanie czekał zupełnie wolny na środku boiska.

Piłka już do niego dolatywała, gdy nagle jak spod ziemi wyrósł

Frankie i ją wybił.

— Uuu! — wrzasnęła Theresa. — Dawaj, Frankie!

— Zabójca! — krzyknął Tom. Taki przydomek nosił jego bratanek. Tom nie chciał się nad tym zastanawiać.

— Czy ty aby nie powinnaś kibicować Syracuse, mamó? —

spytał kpiąco Andrew.

Był rześki listopadowy dzień, idealny do gry w futbol. Słońce próbowało przebić się przez mgliste powietrze. Wszyscy przyszli na mecz drużyny Notre Dame. Złota kopuła. Boskie przyłóśenie.

— Tam gra ktoś z rodziny — odparła Theresa. — A to zmienia postać rzeczy.

W porcie w Palermo Michael Corleone siedział na pokładzie jachtu należącego do starego przyjaciela jego ojca, Cesare Indelicata. Michael nigdy nie podróżował z tyłoma ochroniarzami, lecz don Cesare nie poczuł się obrażony. Czasy były niespokojne.

Michael ułożył się wygodnie, spokojny, że nie zostanie zauważony. Podejmował ryzyko, przebywając kilkaset metrów od Geraciego, który przypląwał na Sycylię. Nie mógł sobie jednak

satysfakcji obserwowania, jak najlepsi zabójcy na Sycylii zabierają Gera

Mc

i i

ce

hg

a o

e lz

bp

ę o

d k

z ł

i a

e d

u

m.

usiął wrócić do Nowego Jorku. Oprócz Hagena

najlepsi ludzie, którzy zostali w rodzinie Corleone, stanowili ryzyko nie do przyjęcia ze względu na

powiązania z Geracim. Reszta to były miernoty w rodzaju Eddiego Paradise'a i braci DiMiceli.

Michael znów będzie musiał kierować rodziną, wszystkimi aspektami jej działalności. Był pewny, że jego powrót będzie wyglądał

jak triumf, przynajmniej w oczach innych szefów nowojorskich rodzin — sprawi to usunięcie Louiego Russa i Vince'a Forlenzy.

Lecz tak wiele rzeczy, których Michael pragnął — legalizacja działalności, pokój, miłość Sony i rodziny, inne rzeczy, które miał jego ojciec — znalazły się teraz poza jego zasięgiem. Na lata, może na zawsze.

503

Zabicie Geraciego nie uśmierzy tego straszego bólu. Wiedział

o tym.

Z czegoś takiego nie można było czerpać przyjemności. O tym wiedział również.

A jednak.

Gdy czekali, don Cesare, w błyskotliwie oględny sycylijski sposób opowiadał o korzyściach płynących z przynależności do rzymskiej organizacji masońskiej, której nazwy, Propaganda Due, nie wymienił. Nie było to nawet konieczne, jeśli rozmawiał z tymi ludźmi. LoP2, bo tak ją zwykle nazywano (także i tej nazwy Indelicato nie użył), była tajnym stowarzyszeniem, według pogłosek potężniejszym od mafii, Watykanu, CIA i KGB razem wziętych. Kandydatura Michaela została już zgłoszona i jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, Michael zostanie jej pierwszym amerykańskim członkiem. Nawet jego ojca nie brano pod uwagę.

Był to znak, że nawet tuż po fiasku misji Carmine Marina ludzie sprawujący prawdziwą władzę rozumieli, że przeznaczeniem Michaela Corleone jest rola dominującej siły w świecie amerykańskiego podziemia. Każdy inny mężczyzna na miejscu Michaela

czułby się zaszczycony, więc Michael zgodnie z oczekiwaniami udał,

W

r

e

s

z

ci

ew

ł

s a

t ś

atn

e ie

k s

p ię

oj c

a zu

wi j

ł e

s ię w zasięgu wzroku. Michael wypił

łyk wody z lodem i obserwował męŜczyzn, których Indelicato umieścił na początku nabrzeŜa.

Statek przybił do brzegu.

PasaŜerowie powoli schodzili z pokładu.

Nigdzie nie było śladu Nicka Geraciego.

Indelicato skinął na męŜczyznę siedzącego na dachu jachtu, a ten zamachał pomarańczową flagą. Był to znak, Ŝe grupa na brzegu ma wejść na statek i szukać celu.

— Znajdą go — zapewnił don Cesare. — To dobrzy fachowcy, a on nie ma gdzie uciec.

Lecz wkrótce zatrzeszczała krótkofalówka i szukający przekazali złe wieści. Cel najwyraźniej się wymknął.

Wściekły Michael nawiązał przez radio łączność ze Stanami.

Nie zdołał pomówić z Joem Lucadellem, ale jego asystent zapewnił Michaela, Ŝe wszystko poszło zgodnie z planem. Trzeba było uŜyc kilku ogniw pośrednich, by ukryć toŜsamość Geraciego.

Jednak asystent potwierdził, że jeśli facet nie wyskoczył z pokładu na Morzu Śródziemnym, jest na statku.

504

— Zapewniam pana, że to był on — powiedział asystent. —

Papiery leżą przede mną. Fausto Geraci. Paszport, zdjęcia, wszystko.

Gwiżdżąc melodię, którą matka śpiewała mu, kiedy był małym chłopcem, Fausto Geraci zniknął pod starym kamiennym łukiem nieopodal portu i znalazł się w otoczonym niegdyś murem mieście Palermo.

Cesare Indelicato twierdził, że jest tak samo zbulwersowany sytuacją jak Michael.

Rozdział 31

Telefon w domu Michaela Corleone zadzwonił w środku nocy.

Michael wciąż odczuwał skutki różnicy czasu po nieznośnie długim locie z Palermo.

— Przepraszam, że cię budzę, wujku. Zdarzył się wypadek...

Michael nigdy nie potrafił odróżnić Franceski od Kathy ani przez telefon, ani po głosie.

— Francie! — zawołała Kathy z kuchni. Maszyna do pisania Billy'ego i kilka schludnych stosów książek stało na kuchennym stole Franceski. Kathy zgromadziła je w ciągu kilku godzin po przyjeździe pociągiem do stolicy, żeby móc pisać swoją pracę doktorską. — Telefon!

— Kto to? — zapytała Francesca, która strzygła Sonny'ego na krzeselku w łazience.

Z ust Kathy wypłynęły słowa, które zgodnie z umową między Francesca i Billym nigdy nie miały paść w tym mieszkaniu.

Nazwisko dziewczyny, wysokiej blondynki z Florydy, pracującej dla Shei.

Francesca upuściła nożyczki. Przez chwilę była wściekła na siostrę za ten okrutny śmiech, lecz oczywiście to nie był śmiech. Kathy nawet nie wiedziała, że Billy miał romans.

—

Nie ruszaj się — poleciła Sonny'emu. — Siedź tutaj.

Chłopczyk musiał coś usłyszeć w głosie matki, ponieważ

znieruchomiał.

Do pewnego wieku Kathy i Francesca znały nawet najbardziej 506

trywialne szczegóły swojego Śycia. Kiedy to się zmieniło? Nie stało się to dlatego, Śe poszły do róŜnych college'ów, pomyślała Francesca, stojąc nad czarnym telefonem w sypialni. Krew szumiała jej w uszach. Chłopcy, myślała. MęŜczyźni. Czy największe problemy w Śyciu są powodowane przez coś innego? Francesca zapragnęła wrócić do łazienki, zamknąć drzwi, wziąć synka w ramiona i siłą woli sprawić, by nie stał się jednym z tych czaru

A j

l ą

e cy

ni c

e h

zrobiła tego, tylko znieruchomiła, zaczerpnęła głęboko etg

c o

h is

u tiy

c

p z

o n

d y

n c

i h

o

s s

ł o

a c

s j

ł o

u p

c a

h t

a ó w

w k.

ę.

— Przepraszam, Œe dzwonię do pani domu — powiedziała tamta głosem, który brzmiał tak, jakby przed chwilą przestała płakać.

Poza tym wydawało się, Œe kobieta nie dzwoni z daleka. — To nie jest dla mnie łatwe.

— Gdzie pani jest? — zapytała Francesca.

— Łatwiej byłoby mi nie dzwonić — mówiła kobieta. —

O wiele łatwiej. Próbuję tylko postąpić słusznie.

— Trochę na to za późno, ty dziwko — syknęła Francesca. —

Nie okłamuj mnie, Œe nie jesteś w Waszyngtonie.

— Nie mam zamiaru kłamać. Nie naraŒałabym się na to, gdybym nie chciała mówić prawdy.

Francesca przewycięŒyła pragnienie, by odłoŒyć słuchawkę.

Instynktownie wyczuła, Œe to, co ta kobieta zamierza powiedzieć, ona powinna usłyszeć, choć nie ma na to ochoty.

— Proszę poczekać. — Zakryła dłonią słuchawkę i powiedziała Kathy, Œeby dokończyła strzyŒenie Sonny'ego. Później zamknęła drzwi sypialni na klucz. Trzasnęła nasadą dłoni w gipsową ścianę, wybijając w niej dziurę. Kathy zapytała głoŒno, czy wszystko w porządku. Francesca skłamała, Œe tak. Podniosła słuchawkę i usiadła. — Teraz słucham — powiedziała, zakrywając oczy drŒącą ręką, jak gdyby chciała uniknąć widoku przejechanego psa na ulicy.

— Po pierwsze, ma pani rację — zaczęła tamta. — Jestem w Waszyngtonie. Pracuję w biurze kongresmana. Kiedy się tu sprowadziłam, to nie z powodu Billy'ego, tylko ze względu na pracę, ale...

— Naprawdę pani myśli, Œe ma prawo płakać z tego powodu?

— spytała Francesca.

Kobieta opanowała się i mówiła zwięźle dalej. Zaczęli znów spotykać się z Billym wkrótce po tym,

jak Francesca straciła dziecko. Spotykali się z przerzwanami, ale jakiś czas temu zaszła

w ciążę, a Billy tak beztrząsowo mówił o aborcji, że się zgodziła.

Jednak trudno było jej z tym wytrzymać, więc postanowiła rzucić pracę i wrócić do domu, do Sarasoty.

Francesca zacisnęła zęby i ścisnęła ręką słupek łóżka, a palce nabrzmiały jej krwią. Chciała powstrzymać bólem eksplozję gniewu, który w niej narastał. Jeszcze nie teraz. Nie dawaj tej dziwce

satys

K fa

o k

bi c

ejtia. powiedziała, że dzwoni z biura. W czasie lunchu poszli z Billym do hotelu przy Dupont Circle. Tam — nie ma teraz znaczenia, w jaki sposób to się stało — to, co między nimi było, zakończyło się wśród łez. Twierdziła, że Billy płakał nie mniej niż

ona.

— Czujesz się lepiej, prawda? — spytała przez zaciśnięte zęby Francesca. — Teraz możesz ze sobą wytrzymać? — Trzęsła się.

Gdyby była z tą kobietą w tym samym pomieszczeniu, bez trudu by ją zabiła. Przewróciłaby ją i skakała po jej ślicznej czaszce, a

ta pękałaby niczym pomarańcza. Albo jeszcze lepiej — wbiłaby jej tasak w samo serce.

— Nie — odparła tamta. — Może pani mówić, co pani chce.

Zasłużyłam na to. Ja naprawdę... — Znow zaczęła szlochać. —

Nie jestem kobietą, która...

— Podli ludzie zawsze uważają, że nie są takimi, którzy zrobili to, co zrobili — przerwała jej Francesca. — Mam dla ciebie nowinę, ty dziwko. Nie jesteś tą, za którą się uważasz. Nikt z nas nie jest.

Jesteś tym, co zrobiłaś, niczym więcej. Jeśli postępujesz jak dziwka, to jesteś dziwką. Muszę kończyć.

— Nie, proszę poczekać — rzekła kobieta. — Jest coś jeszcze, co muszę pani powiedzieć. To może być jeszcze gorsze niż to, co pani do tej pory usłyszała. Wydaje mi się, że jest gorsze.

— Wątpię, czy jest pani osobą, która potrafi odróżnić dobro od zła.

— Chodzi o pani rodzinę.

— Znam to spojrzenie — powiedziała Kathy. — Nie myśl, że go nie znam.

— Pomóż mi obandaśować rękę — poprosiła Francesca.

— Musisz iść do lekarza. Co się takiego stało, że...

— Pomóż mi.

Po czasach drobnych konfliktów i odpływającego uczucia siostry 508

poczuły nagle, że łączy je nic porozumienia. To było jak szok.

W ciągu ostatnich kilku lat istniały między nimi różnice, lecz więź

nigdy nie zanikła. A kiedy została wezwana, zjawiała się posłusznie.

Nie ma nic bardziej, a zarazem mniej skomplikowanego niż rodzina, nic łatwiejszego, a jednocześnie trudniejszego do zrozumienia.

W odniesieniu do bliźniąt prawidłowość ta przejawia się ze zdwojoną siłą.

Francesca w rozmowie z Kamy nie zagłębiała się w szczegóły, lecz ta rozumiała to, co powinna zrozumieć. Pomogła siostrze opatrzyć rękę, ubrać się, a później wysłuchiwała instrukcji w związku z Sonnym (zjedźcie obiad w Eastern Market Lunch, jemu tam smakuje, lubi to miejsce, ale ubierz się ciepło, bo wieczorem ma padać śnieg). Kathy próbowała ją pocieszać, lecz bez większego powodzenia.

Francesca pocałowała synka i złapała kluczyki do samochodu Billy'ego. Mieli tylko jeden — dualghia — choć kosztujący więcej niż dwa inne ładne auta. Oczywiście, był to samochód tego samolubnego gnoja — wielki, szpanerski, z wyposażeniem na zamówienie. Billy zwykle nie pozwalał jej go prowadzić. Dobrze, że chociaż dzisiaj go zostawił, więc mogła przywieźć Kathy z dworca.

— Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła! — zawołała Kathy, kiedy siostra zatrzasnęła za sobą drzwi mieszkania.

— Może jestem tobą! — odkrzyknęła Francesca.

Dojechała na miejsce i musiała długo krążyć wokół gmachu, szukając miejsca do parkowania, bo tylko Billy miał prawo korzystać z garażu. Ból pulsował w jej ciasno zabandażowanej dłoni.

Za

kaŚdym razem, gdy zmieniała bieg, czuła gwałtowne ułkucie. Nie był nieprzyjemny. W jakiś sposób powstrzymywał ją od płaczu.

A pł

Ta

r c

z z

a sb

ny

ę ł o

a st

n a

i t

e n

o ią

b

a r

n z

de

ac

Ŝą

o ,

w n

a a

n

ą k

tró

ę rą

k

ą c

h

wc

ia

o ła

wi s

n o

ięb

t i

ą e

sp

ko

óz

r w

ą o

klić

er.

ownicę,

chcąc opanować gniew. Tylko pogorszyła sprawę. Jesteś tym, co czynisz, niczym więcej. Czują do siebie odrazę, Œ szuka przepisowego miejsca do parkowania w takiej chwili. Warknęła niczym

osaczony wilk i wjechała na puste miejsce w strefie dla samochod

Z ó

d w

ec t

y ra

d n

o s

wp

a o

n r

i t

eo

wych

w .

k roczyła

do

gmachu

Departamentu

Sprawiedliwości, ale po schodach szła, nie biegła.

— Przykro mi, pani Van Arsdale — oznajmiła recepcjonistka w biurze Billy'ego. — Pan Van Arsdale jest na wyjazdowym 509

spotkaniu z prokuratorem generalnym. Przypuszczam, że wrócą dopiero jutro.

Francesca wiedziała o tym. Miała spotkać się z Billym w barze nad rzeką w Georgetown, który on i jego koledzy z pracy lubili.

Później mieli się wybrać na kolację i do kina.

— Billy zapomniał paru teczek — odparła. — Powiedział mi, gdzie ich szukać.

W następnej chwili Francesca znalazła się sama w gabinecie Billy'ego. Szukała tam, gdzie kazała jej szukać ta dziwka: w ostatniej teczce najwyższej szuflady. Teczka była gruba i wytarta opatrzona

wykonanym ręką Billy'ego napisem „Ubezpieczenie”.

Nie mogła pozwolić, Ŝeby ktoś zobaczył, jak przegląda papiery.

Nie tam. Wzięła ją pod pachę, podziękowała recepcjonistce i wyszła. Wróciła do samochodu. Nie został odholowany. Za wycieraczką nie było mandatu. To dobry znak, pomyślała bez prawdziwej

nadzi

W e

i

t .

e czce, zgodnie z tym, co powiedziała dziwka, znajdowały się informacje o jej rodzinie. Wycinki z gazet, które kaŜdy mógł

mieć, ale te zebrane zostały z gazet w całym kraju. Setki starannie ułoŜonych i skatalogowanych zdjęć, między innymi sporo takich, które Francesca zrobiła swoim aparatem jeszcze przed poznaniem Billy'ego. Były tam fotografie wszystkich członków rodziny, zwłaszcza tych ze strony ojca. Zdjęcia wujków i dziadka z wesela cioci Connie, które stały na toaletce Franceski i podobno zginęły w czasie jednej z przeprowadzek. Były cztery skoroszyty, takie same, jakich Francesca uŜywała w college'u na zajęciach angielskiego, zapełnione notatkami na temat jej rodziny, oraz kilku-stronicowe streszczenie zawartości skoroszytów. Próbowwała odgadnąć, kiedy zaczął je robić. Pierwsze zapisy były datowane na rok 1955, dzień po tym, jak pierwszy raz się kochali. Nie było o tym Ŝadnej wzmianki, był za to opis wszystkiego, co zdarzyło się w domu babci Carmeli. Nie był to dziennik, lecz notatki, takie jakie robi się na lekcji. Nie były podróbką. Zawierały informacje, które tylko Billy mógł znać, zapisane jego szczególnym charakterem pisma (pisał wtedy ukośne A i M, które kilka lat późn

„ ie

Nij

e rozumiesz, Ŝe Billy przyjechał tu tylko po to, Ŝeby zobaczyć us

n t

a ą

p

wiły

as m

ne i e

o js

c c

z a

y, ljit

a e

kr om

wy d

gl r

ą u

dk

a o

j w

ą a

p n

raym

wd).

z

iwe mafijne święta?".

Billy powiedział tej blond dziwce z Sarasoty, Œe ma tę teczkę.

Prawdopodobnie jej ją pokazał. Pewnie nieźle się z tego uśmiali, 510

leŒąc nago w hotelowym pokoju z oknami wychodzącymi na Dupont Circle.

Francesce zakręciło się w głowie. Upadła bokiem na dźwignię biegów i nie dbała o to. Pozwoliła sobie zapłakać, ale nie poczuła się lepiej. Chciała coś zrobić, a nie siedzieć w szpanerskim aucie niewiernego męŜa, zalewając się łzami jak bezradna baba.

Nie była bezradną babą.

Pochodziła z rodziny Corleone.

Była córką wielkiego króla wojownika, Santina Corleone.

Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że raz po raz mamrocze cicho: „Tatusiu, pomóż”.

Policjant ze stołecznej drogówki zbliżył się, żeby wypisać jej mandat, lecz gdy Francesca usiadła z twarzą ściągniętą cierpieniem, z potarganymi włosami i dzikimi oczami, gliniarz schował bloczek.

Wyglądał, jakby zobaczył ducha. Odwrócił się i odszedł, kręcąc głową.

Francesca siedziała w czerwonym samochodzie męża na ciemnym parkingu nad Potomakiem, i obserwowała bar po przeciwnej

stronie ulicy, gdzie miała się spotkać z Billym. Była tam wystarczająco długo, by zdążyć przeczytać każdą spekulację, każdą

półprawdę i każdy protekcyjny komentarz znaleziony w znieawidzonej teczce. Nie miała zegarka, a ten, który był na tablicy

rozdzielczej, źle chodził. W torebce miała kiedyś garść aspiryny (obok kuchennego noża, prezentu ślubnego od Freda Corleone i Deanny Dunn), ale tabletki się skończyły. Ręka bolała ją jeszcze bardzo

M i

ne

i j

e j n

iś

w i p

ę r

c z

e e

j dt

p e

r m

ze .

d Le

g c

o z

d

z b

i ó

n l

ą

em

Bilo

l c

y j

on

w a

s l

z n

e y

d

ł i f

d i

o z

y

bc

az

r n

u y

z w

s

k p

il ó

k ln

o ie

m

a

p

i o

n w

n s

y tr

m z

i ym

mł y

o w

d a

y ły

m

i j

p a

r

a p

w r

n z

i e

k d

a

m u

i. t ra

Ntia

e p

zarz

u y

wto

a m

Ŝy n

ł oś

F c

rai,

n c t

e a

s k

k i. jak

G

dy d

b w

y ie

j

ą

śm

zo ie

b r

a t

c e

z ln

ył e

, t

p r

euc

w i

nz

i n

e y

mw

iee

l

i k

b r

y w

t i

o m

juo

Ŝ g

ą

z

a ut

s r

o z

by

ą m

. yw

Ni a

e ć

u c

Ŝ z

yłło

a w

by i ek

n a

o

Ŝ p

a rz

(y

n

a

ŝy

peci

wu

n.

o?), a nie była ponad to, ŝeby zrobić męŝowi scenę. Nie mogła się jednak do tego zmusić. Od tej chwili przez cały czas była o krok od tego, by wysiąść z samochodu. Uczyniłaby to, gdyby wiedziała, co zrobi później. A ona nie wiedziała nawet, czego pragnie.

To ŝałowała, ŝe zabrała ze sobą nóż, to znów bała się, iŝ nie będzie umiała się nim posłużyć lewą ręką.

511

Myślała o swoim zabawnym twardym chłopcu i raz ogarniała ją chęć działania, a raz znikiała.

Myślała, ŝe gdyby tylko umiała się uspokoić, myślałaby jaśniej.

Uprzytomniła sobie, ŝe jest to równie absurdalne jak myślenie, iŝ gdyby ojciec był teraz przy niej, całe jej ŝycie byłoby inne i lepsze.

Pomyślała, ŝe zmięknie, kiedy znów zobaczy Billy'ego, ale gdy wyszedł w końcu z baru, sam, stojąc niepewnie na nogach, podnosząc kołnierz, by osłonić szyję przed zimnem, stało się coś przeciwnego.

Ubezpieczenie.

Jej serce zaczęło bić jak szalone. Ręka bolała ją tak bardzo, ŝe Francesca skomlała jak umierające zwierzę. Billy skręcił w wąską, stromą, brukowaną uliczką ruszył w stronę M Street. Francesca wiedziała, co myśli. Był bogatym chłopakiem, który kupił ten szpanerski wóz, bo takimi jeździli Johnny Fontane, Bobby Chadwick i Danny Shea, ale był jednocześnie zbyt skąpy, by zatrzymać

taksówkę, jeśli oznaczało to, ŝe niepotrzebnie przejedzie nią jedną przecnicę. Na M Street złapie taksówkę, która nie będzie musiała zawr

F a

r c

a a

n ć

c .

e

sca włączyła silnik. To był szybki wóz, dual-ghia, jeden z najszybszych, jakie zostały wyprodukowane. Doskonała kombinacja włoskiej myśli technicznej i amerykańskiego rozm

Ma

och

m u

e .

ntalnie, po kilku piekielnie bolesnych manewrach zmiany biegów, Francesca mknęła ulicą jak rakietka.

Billy odwrócił się, zasłaniając oczy przed blaskiem reflektorów.

Francesca oparła rękę o duŜą kierownicę z imitacji drewna. Billy był tuŜ przed nią. Przez ułamek sekundy na jego ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Francesca uderzyła w niego. Spadły mu buty, nogi ugięły się raptownie, tors przechylił, a głowa trzasnęła o maskę z taką siłą, jakby runął z dziesiątego piętra.

Samochodem zarzuciło, ale jechał dalej. Francesca zwolniła, lecz nie wcisnęła z całej siły hamulców. Billy wciąż leŜał na masce, jakby został do niej przytwierdzony.

Francesca złapała teczkę i wyskoczyła z samochodu. Zamknęła drzwi, jakby nie stało się nic nadzwyczajnego i bez wahania oddaliła od auta.

Nie była ranna. Wydawało się, Ŝe nikt jej nie widział. Jedyne uczucie, które jej towarzyszyło, było zdumienie. Nie krzyczała i nie płakała. Miała dość psychicznej siły, Ŝeby to zrobić, i dość 512 fizycznej, by zaprzeć się o kierownicę mimo zranionej ręki. Teraz dłoń bolała ją przeraźliwie, ale w czasie uderzenia nie czuła nic.

Jakieś pięćdziesiąt metrów przed wrakiem zobaczyła but Billy'ego, lecz nawet nie zwolniła kroku.

Powiedziała sobie, Ŝe nie wolno jej patrzeć. Ale kiedy miała skręcić w M Street, nie zdołała się powstrzymać.

Ze szczytu wzgórza, gdzie stała, wóz nie wyglądał wcale na bardzo zniszczony. Billy wciąż leżał nieruchomo na masce. Na bruku zebrała się plama krwi. Z początku Francesca nie wiedziała, skąd się ta krew bierze. Dopiero po chwili spostrzegła, że nogi Billy'ego nie utkwily pod zderzakiem samochodu. Daleko z tyłu, pod samotną latarnią leżała dolna część jego ciała.

Francesca nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia.

Powrót pieszo do domu mógł zająć jej minutę albo dzień.

Francesca nie umiała tego stwierdzić. Przez całą drogę męczył ją ból ręki i niemal tak samo dotkliwy ból serca, które skakało, ilekroć słyszała syrenę. Mimo to ani razu się nie odwróciła.

Kamy siedziała przy stole, pochłonięta pisaniem, a Sonny spał w swoim pokoju.

Francesca usiadła ciężko na kanapie.

— Billy dzwonił?

— Nie wiem — mruknęła Kathy, nie podnosząc głowy. —

Wyłączyłam telefon, żeby móc spokojnie pracować. Mam nadzieję, że się nie martwiłaś. Sonny był bombowy. Po prostu laleczka.

Wszystko poszło świetnie. Jak twoja ręka?

— Pamiętasz, jak odkryłam, że Billy mnie zdradza, a ty powiedziałaś, że powinnam go zabić? Zrobiłam to.

Kathy zaczęła się śmiać, a potem przyjrzała się uważnie siostrze.

Jej oczy się rozszerzyły, śmiech zamarł. Podbiegła do kanapy.

— O mój Boże, ty...

— Spójrz na to — powiedziała Francesca, podając siostrze teczkę.

— Mów wszystko. Wszystko mów, i to szybko.

Policja zjawiała się około godziny po powrocie Franceski do domu, może pięć minut po tym, jak Kathy wsiadła do autobusu jadącego w stronę Union Station, gdzie miała wsiąść w ostami 513

pociąg do Nowego Jorku. W mieszkaniu Franceski nie było ani śladu po jej pobycie. Kathy nie powiedziała o swoim wyjeździe do Waszyngtonu nawet matce i jej narzeczonemu, Alkoholowemu Stanowi, bojąc się, że Sandra natychmiast zacznie się śmiać, że Kathy tak dawno nie odwiedziła ich na Florydzie.

Kiedy policjanci przekazali wiadomość Francesce, ta pobiegła do sypialni, krzycząc w nie do końca udawanej hysterii. Uderzyła lewą ręką w ścianę, mocno, ale oczywiście nie tak mocno, żeby coś sobie zrobić. Jednak odgłos uderzenia zabrzmiał przekonująco.

Policjanci pospieszyli za nią i zobaczyli dziurę w ścianie. Ręka Franceski zaczynała puchnąć. Uznali, że jest złamana. Łód, który bardzo zmniejszył opuchliznę, został spuszczonej z wodą w muszli klozetowej.

Sonny wszystko to przespał, co zakrawało na cud. Po wyjściu policji i lekarza przysłanego przez sekretarkę Danny'ego Sheę, Francesca wyciągnęła z gniazdka wtyczkę telefonu. Stała nad łóżkiem syna i patrzyła, jak śpi. Złoty kask futbolowy leżał na poduszce koło jego głowy.

Będzie musiała mu powiedzieć. Zadzwoi do Kathy do Nowego Jorku, a Kathy powtórzy wszystkim: matce, nawet bratu Billy'ego i jego rodzicom. Jednak Francesca jakoś będzie musiała udźwignąć ciężar powiedzenia tego Sonny'emu.

Wróciła do kuchni i wyjęła teczkę zza garnków, gdzie ją ukryła.

Przekartkowała skoroszyt jeszcze raz, dziwiąc się, że ktoś mógł w taki sposób zdradzić swoją rodzinę. I po co? Dla kariery? Był

bogaty. Rodzina Franceski miała koneksje. Jej rodzina mogła być zabezpieczeniem Billy'ego.

Francesca wiedziała, jak to jest dorastać bez ojca. Nie wiedziała, co to znaczy dorastać z ojcem, który był gotów zniszczyć swoją rodzinę.

Mimo to wciąż nie czuła wyrzutów sumienia.

Na razie powie Sonny'emu, że tatuś miał wypadek i jest w niebie razem z małą Carmelą. Ale kiedyś powie chłopcu prawdę, przyrzekła to sobie.

Włączyła telefon, zadzwoniła do Kathy i opowiedziała jej, co się stało. Przed kilkoma godzinami Kathy obmyśliła plan; kazała Francesce niczego nie zdradzać przez telefon, na wypadek gdyby Billy był podsłuchiwany. Przeprowadziły lipną rozmowę o wypadku, a potem prawdziwą o tym, do kogo Kathy ma zadzwonić.

514

Nadchodził świt. W Nevadzie też jest pewnie późno. Mimo to zadzwoniła. On na pewno chciałby wiedzieć.

— Przepraszam, że cię budzę, wujku. Zdarzył się wypadek...

Nazajutrz, zgodnie z przewidywaniami Kathy, sekretarka Billy'ego wspomniała, że Francesca przysłała do biura po teczkę.

Nie

było to nic obciążającego czy niezwykłego. Nie wyszła z biura rozgniewana ani wzburzona. Billy miał w domu kilka różnych teczek sfabrykowanych przez Francescę. Ta zatytułowana

„Ubezpieczenie” była osobistą teczką Billy'ego. Nikt spoza najbliż

U i

d s s

o z

we

oj

dnienie, dokąd poszła Francesca po wyjściu z gmachu ro

D d

e z

p in

ar y

t

a Fr

ma

e n

n c

t e

u sk

S i

p rn

aig

w d

i y
e
d o
li n
w ią
o
ś n
c i
i,e
z
nia
ep
y
b ta
ył ł.

o trudne. Obsługa Eastern

Market Lunch stwierdziła, rzecz jasna, że Francesca jadła tam wczoraj wieczorem razem z małym Sonnym.

Sąsiedzi z góry zeznali, że widzieli Francescę wracającą z synkiem do domu niedługo po zapadnięciu zmroku. Później przez prawie dwie godziny z dołu dochodził odgłos stukania na maszynie.

Francesca to potwierdziła, mówiąc, że pisała list do siostry przebywającej w Nowym Jorku, który wysłała niedługo przed przybyciem policji. Powiedziała to w obecności najlepszego adwokata do spraw karnych w Nowym Jorku (załatwił to po cichu Tom Hagen). Kilka dni później Kathy (reprezentowana przez tego samego adwokata) zeznała, że list do niej dotarł, ale go wyrzuciła.

Kilkoro przyjaciół i krewnych (między innymi matka, Sandra) stwierdziło, że w ciągu ostatnich kilku lat bliźniaczki oddaliły się od siebie. Szczęśliwym skutkiem tej nieszczęśliwej historii będzie to, że siostry znów staną się sobie bliskie tak jak kiedyś.

Odciski palców z kierownicy i dźwigni zmiany biegów samochodu dual-ghia zostały starte (bez wątpienia bandaSem, który Francesca miała na ręce). Jednak detektywi zdołali zidentyfikować cztery zestawy. Trzy pochodziły od członków rodziny, która posiadała tylko ten jeden samochód: Billy'ego, Franceski i Sonny'ego

Van Arsdale'ów (Kathy pamiętała, że w czasie krótkiej jazdy z dworca Union Station do mieszkania siostry nie zdejmowała rękawiczek). Czwartym, znalezionym zarówno na przednim siedzeniu, jak i na tylnym, pochodził od kobiety, z którą Billy Van Arsdale miał romans.

515

Policjantom udało się znaleźć kilka osób, które widziały tę kobietę po południu w dniu śmierci Billy'ego. Najpierw meldowała się w hotelu przy Dupont Circle, a około półtorej godziny później wychodziła z niego zapłakana. Kobieta wyznała kilku osobom z biura, że tego dnia Billy zakończył z nią romans. Kilka miesięcy wcześniej tym samym przyjaciółom powiedziała, że Billy ją zapłodnił, a później zmusił do aborcji.

Kiedy detektywi ją o to zapytali, była wyraźnie wzburzona.

Aresztowano ją i postawiono zarzut popełnienia morderstwa drugiego stopnia.

KSIĘGA IX

Lato 1962

Rozdział 32

Aresztowanie Carmine Marina okazało się międzynarodowym incydentem, którego wszyscy ludzie mający związek z jego eskapadą na Kubę tak bardzo się obawiali.

Rozmiar tego, czego CIA zamierzała dokonać na Kubie, zaszokował prezydenta Sheę. Publicznie dał do zrozumienia, że Stany Zjednoczone zrobią wszystko, by doprowadzić Marina, obywatela włoskiego, przed oblicze wymiaru sprawiedliwości (włoskie władze ze swej strony ogłosiły, że mają w archiwach akta kilku Carmine Marino w, ale że aden nie pasuje do rysopisu osławionego zamachowca). Marino mieszkał w Stanach od sześciu lat.

Kubański

dyktator

ogłosił, że obwinia osobiście prezydenta Sheę. Sowiecki pierwszy sekretarz przybył do Hawany na wystawny pogrzeb sobowtóra Fide

P Ira

e C

zya

dst

e r

no

t.

Shea spędził wiele godzin na spotkaniach z zespołem do spraw bezpieczeństwa narodowego i dyrektorem CIA, na które-go bardzo krzyczał. Ale zanim prezydent zdołał zweryfikować swoje podejrzenia co do jego udziału w sprawie, były ambasador dostał rozległego zawału. Przeżył jeszcze kilka lat, ale nie mógł

mówić.

Związki Marina z organizacją nazywaną w prasie „przestępczą rodziną Corleone” były łatwe do udokumentowania. Nawet gazety kontrolowane przez rodzinę nie miały wyboru: musiały w ślad za konkurencją badać pogłoski, według których młody gangster nie działał sam.

Publicznie prokurator generalny drwił z domysłów o jakichkolwiek związkach rządu federalnego z organizacją, którą nazywał

519

teraz mafią. Na prywatnym spotkaniu z personelem ujawnił nowy agresywny plan ścigania przestępczości zorganizowanej. Billy'ego Van Arsdale'a nie można zastąpić, lecz wysiłki departamentu będą poświęcone jego pamięci.

Dyrektor FBI nie zapomniał spotkania przed laty z Tomem Hagenem, w czasie którego przyszły kongresman pokazał mu ziarniste, czarno-białe zdjęcie dyrektora klęczącego na kolanach i robiącego fellatio pierwszemu asystentowi. Teraz znalazł się w sytuacji, która nadawała nowy, ponury, a zarazem komiczny wymiar powiedzeniu „między młotem a kowadłem”.

W Organizacji Narodów Zjednoczonych typowi w takich sytuacjach pośrednicy — małe kraje posiadające rozwinięte systemy

edukacyjne, za to nie mające armii — zostali oddelegowani do negocjacji w sprawie ekstradycji Carmine Marina albo do przypuszczalnego

kraju

pochodzenia,

albo

do

Stanów

Zjednoczonych,

których obywatelstwo miał otrzymać za kilka miesięcy. Minimum, do którego uzyskania dążyli negocjatorzy, był szybki i sprawiedliwy proces na Kubie. Kubański rząd z wielką pompą spotkał się z nimi, ale dla Kubańczyków Marino był najbardziej przydatny tam, gdzie prze

Tb

oy

, w

c a

z ł

y : M w

ari no d

o

b b

y ł r

z

t e

or turst

o rz

w e

a Ŝ

n o

y, n

y

d m

o

dzi w

ś i

p ę

ozie

o n

st i

au

j ,

e k z

w est m

ią ie

s c

p z

o e

r m

ną.

sp

L r

e a

c w

z ie

w d

e l

d ilw

e oś

wsc

zi

e w

lk is

e z

gą

oc

y

p m

ra n

w a

d d

o

p je

o g

d o

o

b o

ieb

ń

s a

t S

wo

a n

ą

ni s

c z

z y

e j

g ą

o .

nie powiedział.

Wkrótce inne kryzysy, zwłaszcza jeden, bardzo złowieszczy, do którego doszło między Stanami Zjednoczonymi i Kubą, zepchnął

sprawę zamachu na dyktatora i jego następstw ze stron światowych gazet. Pojawiła się ona jeszcze raz na pierwszej stronie oficjalnego państwowego dziennika kubańskiego rządu, gdy Carmine Marino został zastrzelony podczas próby ucieczki. Niewiele amerykańskich gazet zamieściło wzmiankę o tym na którejs z czołowych stron.

W telewizji ledwie o tym wspomniano. Nikt nie zakwestionował

oficjalnej wersji wydarzeń.

Na dwie godziny przed koncertem Johnny'ego Fontane w Madison Square Garden, na który wszystkie bilety zostały wyprzedane,

Michael Corleone czekał ukryty w tunelu pod salą na swojego *consigliere*. Miał na sobie nowy frak o klasycznym kroju. Zapalił

papierosa zapalniczką brata. Tak to jest, kiedy przychodzi się za wcześnie. Trzeba czekać.

520

Od miesięcy krążyły pogłoski o powrocie Michaela do Nowego Jorku. Ludzie z jego rodziny i innych pragnęli jego powrotu.

Właściwie, dlaczego nie? Ci, którzy trzymali z Michaeliem, wzbogacili się. Ale nie tylko oni

spekulowali na temat jego następnego

posunięcia. Opinia publiczna była równie zaintrygowana. O pogłoskach donosiły wszystkie gazety w mieście. Ku swemu przerażeniu Michael stał się kimś w rodzaju ludowego bohatera.

Mówiło

się, że ma na koncie setki zbrodni, a o śladną nie został nawet oskarżony. Łotry takie jak Louie Russo i Emilio Barzini zniknęli, a Michael wciąż żył, i to jak. Większość amerykańskich donów zostało aresztowanych w białym farmerskim domku w północnej części stanu Nowy Jork, a Michaela, który — jak podpowiada zdrowy rozsądek — musiał tam być, nie widziano w promieniu dwóch tysięcy kilometrów od tego miejsca. Spryciarze z jego własn

Niej

pr

ro

zd

yz

pi

an

dy

k—

owoś

a

tl

el

Źy

T

Me

is

cs

h i

ao

e, l N

p i

r c

e k

z

e G

nt e

ora

wc

a ił —

się zta

ek

r w

aze

s

dti

oo

s n

k o

o w

n a

al li

e.

je

J g

e o

g

ow

ła

g d

a z

r ę

ni ,t a

u l

r e

y nie

b

y m

ły o

gli

w k

y św

me

i s

e ti

n o

i n
ci o
e w
a
s ć
k
r je
ojj
o d
n ł u
e, Ŝ
ej.

w łosy doskonale

utrzymane, a zęby białe jak zęby prezydenta. Był bohaterem wojennym, latał własnym samolotem. Gdyby powiedział:

„Podskocz”, nawet ikona luzu, Johnny Fontane, zapytałby: „Jak wysoko?”. Zniósł Ŝałobę po dwóch sympatycznych braciach. Dwa razy stracił dwie kochane osoby i umiał Ŝyć dalej. Niemal codziennie gazety pisały o jego romansie z piękną laureatką nagrody Tony, aktorką Marguerite Duvall, która mieszkała obecnie w Nowym Jorku. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy Michael się tam przeprowadzi.

Bystrzy nowojorczyki pamiętali o czymś jeszcze: o legendarnej umiejętności Michaela Corleone, który umiał sprawić, Ŝe dzielnice miasta stawały się bezpieczniejsze od małych, luterańskich miasteczek w Iowa. Deweloperzy w całym mieście kombinowali, jak

sprzedać mu swoje budynki, wiedząc, Ŝe dobrze zarobią, gdy sasia

T d
o uj
m ąc
H y

a t
g e
e r
n e
n
z
a zy
w s
o k
ł a a
ł n a
M
i w
c a
h r t
e o
l ś
a c
p i.

o imieniu.

Zostawił swoich ochroniarzy z ludźmi Michaela i podszedł do niego. Uścisnęli się.

— Jesteś gotów?

Michael skinął głową.

— To tylko kolacja, tak?

— Tylko kolacja — potwierdził Tom. — Tędy.

Ruszyli w stronę szatni, którą zajmowały drużyny koszykarskie, 521

przyjeżdżające, by zmierzyć się z New York Nicks. Tam właśnie szefowie pięciu nowojorskich rodzin oraz ich *consigliere* mieli się spotkać na uroczystej kolacji. Po raz pierwszy wszyscy czterej donowie — Czarny Tony, Leo Mleczarz, Gruby Paulie Fortunato i najmłodszy, Ozzie Altobello, który przejął władzę po Ricku Tattaglii, zmarłym z przyczyn naturalnych — byli przyjaciółmi Corle

— o

ne

N.

o, Mike. - Tom otoczył brata ramieniem. — Wszystko będzie dobrze. Robiłeś rzeczy, których nikt przedtem nie zrobił.

Próbowałeś osiągnąć to, co niemożliwe, i prawie ci się udało.

Byłeś diabelnie blisko. Nie możesz się z tego powodu zadręczać.

— Czy wyglądam na takiego, który się zadręcza?

— Nie dla niewprawnego obserwatora. — Tom ścisnął ramię Michaela tym samym czułym gestem, wykorzystywanym przez Vita Corleone, kiedy prosił o przysługę. — Jesteś jednym z tych ludzi, którzy zwracają uwagę tylko na to, czego nie mają. To czyni cię wielkim, ale przychodzi czas, kiedy trzeba zrobić krok w tył

i docenić to, co się ma.

Michaela kusiło, by powiedzieć, że nie ma ani jednej rzeczy, której naprawdę pragnie. Ale to nie była prawda i wiedział o tym.

Miał dwoje wspaniałych dzieci, brata i siostrę, którzy go kochali.

Wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. Wolę przegrupowania sił

i podjęcia jeszcze jednej próby. Nieopisane bogactwa w największym kraju świata, który praktycznie wymaga od każdego człowieka, by na nowo stworzył samego siebie.

Tom opuścił rękę. Stali na progu sali, w której miała się odbyć kolacja.

— Jeśli on gdzieś jest, znajdziemy go — zapewnił Tom. Nie wymienił nazwiska Geraciego. Teraz nie wolno go było wypowiadać. — Nikt nie może ukrywać się w nieskończoność.

Michael nie był tego całkiem pewien. Obaj słyszeli o mafiosach na Sycylii, o których słuch zaginął

przed dwudziestoma lub trzydziestoma laty, a Ameryka jest o wiele większa niż Sycylia.

— Mieszka tu teŹ mnóstwo ludzi, którzy mają o wiele większe gęby. Jeśli on tu jest, muszę wierzyć, Źe w końcu go znajdziemy.

— Musisz w to wierzyć, tak?

— Chłopak musi mieć nadzieję, Mike.

Z góry dobiegł dźwięk kontroli nagłośnienia. To był donośny arogancki hymn Fontane, który zawsze utrzymywał, Źe go nie cierpi.

— Ja mam nadzieję — rzekł Michael.

522

Tom Hagen otworzył drzwi.

Donowie zaczęli wykrzykiwać imię Michaela i rzucili się, by go przywitać.

W przestronnej jaskini pod domkiem na Wyspie Grzechotników Nick Geraci wreszcie zdołał dokończyć czytanie dwutomowej historii wojen rzymskich, jedynej ksiąŜki, którą zdołał zabrać.

Przygotował się psychicznie na to, Źe zostanie tam tak długo, jak to

będzie

moŹliwe. Były tam inne ksiąŜki — tanie czytaŹla i pornograficzne wypociny. Geraci nie mógł się zmusić do ich czytania nawet w chwilach sŹabości. Stracił rachubę czasu, nie wiedział, kiedy jest dzieŹ,

a kiedy noc. Jeśli się znudził, kŹadł się spać, a później, po przebudzeniu, parzył sobie kawę, jakby to było rano. Wyjmował

zeszy

C t

o ja wiem o pisaniu ksiąŜek? i

pisał.

Zatyt

D u

o ł

o

d w

ia a

b l t

a ę

z k

t s

y ią

mŃ

. k

ę

C

z G

y a

k m

t b

o i

k t

ol Fa

wi u

e s

k t a

s . i ęK

i

ne

ad

tyu

mj

r

zzy

naś

?w

Tira

zł

eo

bd

az

zi

ae

cn

zn

ąe

ć,.

od

Ts

ył

lo

kn

o i t k

y u

l e l i s

n y

a

l a

e m

ŝ y e

r y

w i k

e a

d ń

z s

i k

e i

ć e

. g o

W i ś

ę w

c i a

z t

a a

c

z p

ą rłz

. estępczego.

ś yjemy według kodeksu, czego nie moŜ na powiedzieć o waszym rzą dzie, a znam go od podszewki, więc c mogę coś powiedzieć .

W czasie, który zabierze ci czytanie tej ksiąŜ ki, wasze władze wezmą udział w wię kszej liczbie zabójstw i innych przestę pstw niŜ

ludzie naleŜą cy do mojej tradycji popełnili w cią gu siedmiu stuleci jej istnienia. Wierz mi, choć pewnie nie uwierzysz. Jak chcesz.

Z całym szacunkiem, ale właś nie dlatego, mój drogi czytelniku, jesteś frajerem. W imieniu moich byłych współników, a takŜ e, oś miałę się powiedzieć , w imieniu waszego prezydenta, dzie kuję ci.

Nick przerwał pisanie. Nie mógł tu zostać na wieki, ale po-czyniono przygotowania, Őeby mógł zostać bardzo, bardzo długo.

Z pewnością wystarczająco długo, by napisać ksiąŜkę.

Czasem w nocy zdawało mu się, Őe słyzy wiercenie. To ekipa draŜyła tunel, który pewnego dnia miał połączyć piwnicę z Cleveland. A moŜe coś mu się roilo? MoŜe zanim ukończą, juŜ go tu

nie

będzie albo będzie martwy. Szanse nie wyglądały dobrze. Słabe albo Őadne, a jak mawiają ludzie ulicy, słabeusze muszą zginąć.

Michael Corleone i Francesca Van Arsdale wyszli z windy i znaleźli się w pustej, oślepiająco białej garsonierze. Za nimi 523

wszedł Roger Cole. Al Neri wcisnął czerwony guzik i czekał

w windzie. Kathy Corleone została na dole z małym Sonnym w mieszkaniu, które, jeśli Michael kupi budynek, będzie przeznaczone dla bliźniaczek.

Garsoniera zajmowała całe szczytowe, czterdzieste piętro, ale był to mały budynek. Michael przeszedł po lśniącej marmurowej posadzce do okien wychodzących na rzekę East i dzielnicę Queens.

Budynek był prosty, z zewnątrz prawie brzydki, wciśnięty za wyŜszy wieŜowiec na ślepym zaułku Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. NiŜsze piętra zajmowały biura. Przy windzie na najwyŜszych piętrach stali ochroniarze. Bez trudu moŜna załatwić, Őeby zostali zastąpieni przez ludzi wybranych przez Ala Neriego. Garsoniera wymagała specjalnego klucza. To lokum będzie bezpieczniejsze niŜ kompleksy nad jeziorem Tahoe i na Long Beach. Firma Cole'a wyburzyła ściany i przebudowała całe wnętrze, zanim Michael powiedział mu, czego szuka, więc nie było obawy, Őe powtórzy się cyrk z

pluskwami, taki jak w Tahoe.

Francesca z otwartymi ustami podziwiała mieszkanie i wspaniały widok. Michael przez kilka miesięcy spodziewał się, że szok wywołany śmiercią Billy'ego ją załamie, ale tak się nie stało.

Zaczął rozumieć, że nie stanie się to nigdy. Francesca okazała się ucieleśnieniem prostej twardości Sonny'ego, jeszcze bliższym niż

jej brat, gwiazdor amerykańskiego futbolu. Zabicie męża było czynem gorącej głowy—jej ojciec uczyniłby dokładnie to samo.

Nie mogła wiedzieć, że Michael już zajął się jej mężem. Tom Hagen przedstawił Billy'emu propozycję nie do odrzucenia. Nie stałby się zwiastunem zagłady rodziny, byłby dla niej pożyteczny.

Przez krótką chwilę mieli swojego człowieka w Departamencie Sprawiedliwości. I nagle Billy został przecięty na pół przez Sonę swoim własnym samochodem. Michael postara się, żeby Francesca nigdy nie poznała prawdy.

Wskazał ręką w stronę holu.

— Pokoje dzieci będą...?

— Tak, tędy — odparł Cole.

Cole był prawdopodobnie najbardziej znanym nowojorskim deweloperem i spekulantem w sektorze obrotu nieruchomości.

Urodził się jako Ruggero Colombo i wychował w suterenie w Hell's Kitchen, niedaleko od miejsca, w którym mieszkała rodzina Corleone. Często słyszał miłą sercu opowieść o rym, jak pewnego dnia

Vito Corleone przekonał właściciela kamienicy, żeby ten nie

wyrzucał rodziny Colombo, ignorując zakaz trzymania zwierząt i okazję wynajęcia mieszkania innej rodzinie za większe pieniądze.

Dzięki temu mały Ruggero mógł zatrzymać swojego ukochanego, hałaśliwego szczeniaka kundelka (firma Cole'a, King Properties, została nazwana od jego imienia). Vito zapłacił też Rogerowi Cole'owi za dyplom nauk ekonomicznych na uniwersytecie Fordham. Cole natomiast zarobił miliony dla Michaela, najpierw po

cichu, a potem jawnie. Gdyby Michael miał czas, żeby nawiązać jeszcze kilka podobnych znajomości, być może zdołałby dotrzymać obietnicy złożonej Kay i ojcu. Jeszcze nie było za późno. Może sprób

—o

w

J a

a ć

k j

c e

z s

ę z

s c

t z

o e s i r a

ę z. A

n i l e

m

i t

y

w m

i d c z

u j a

e s e

z m

? wrócił.

— Z kim?

— Z rodziną — odparł Cole. — Z Tonym i Mary.

Przez chwilę Michael myślał, że Roger ma na myśli jego teoretycznie byłych współników.

— Jutro mam się z nimi spotkać.

Pokoje były duże jak na Manhattan, ale małe w porównaniu z tymi, które mieli w Tahoe.

— Myślę, że im się tu spodoba.

— A tobie się podoba? Bo jeśli nie, to mam jeszcze kilka innych lokali. Możemy je obejrzeć, jeśli znajdziesz czas.

— Kto jest sprzedającym? — zapytał Michael.

Cole się uśmiechnął.

— King Properties, nikt inny.

To oznaczało, że Michael, jako cichy wspólnik Cole'a, już jest właścicielem części nieruchomości.

— Cały budynek jest na sprzedaż?

— Oficjalnie, nie. Tylko mieszkania. Ale dla ciebie, jak najbardziej.

Michael mógł mieć rodzinę bliżej niż kiedykolwiek. Kathy znalazła pracę wykładowcy w City College. Miały mieszkać razem z Francescą i zajmować się wychowaniem małego Sonny'ego.

Connie

z dziećmi wprowadzi się do innego dużego mieszkania na tym samym piętrze. Tom i Theresa wzięliby całe piętro poniżej. Wszyscy mogli się tu

O w

mópr

w o

ilw

i ad

waz

r ić

u ,

n a

ki .M

Michael mógł zapewnić im bezpieczeństwo.

— To doskonale miejsce, Roger.

Francesca przyklasnęła. Michael i Roger ucałowali się w policzki. Wszyscy ruszyli w stronę windy.

525

— Kiedyś byłeś nowojorczykiem, co? — przypomniał Cole. —

Wiedziałem, że wrócisz. Witaj w domu, przyjacielu!

— Dobrze jest wrócić — odparł Michael głośniej, niż chciał.

Gdy drzwi windy się zamykały, te puste słowa wciąż

rozbrzmiewały echem w kamiennym holu jego nowego pustego domu.

Podziękowania

Pragnę wyrazić gorące podziękowania osobom, które pomagały mi w czasie pisania tej książki, a są to: Dottie Ames, Lynn Anderson, Ignazio Apolloni, Rachel Bernstein, Thomas Bligh, Kate Blum, Christine Cabello, Felice Cavallaro, Giną Centrello, Roger Cole, Anthony Corleone, Sanyu Dillon, Deanna Dunn, Magee Finn, Francesca Fontane, Rino Francaviglia, Buzz Fratello, ojciec Andrew Hagen, Theresa Hagen, Cesare Indelicato, jr, Jonathan Jao, Jonny

„Ołówek” Karp, Barbara (Geraci) Kennedy, J.A. Kriausky, Mike Lauer, Carole Lowenstein, kongresmanka Winifred „Annie” McGowan, Elizabeth McGuire, Daniel Menaker, Kay Michaelson, Hal Mitchell, Beverly Moonflower® (z domu Geraci), Gene Mydlowski, Tom Nevins, Neil Olson, Leoluca Orlando, Phil Ornstein, Allyson Pearl, Beth Person, Thomas Peny, dr Katherine (Corleone) Pietralunga, Anthony Puzo, Jillian Quint, Kelle Ruden, Donald „Donnie Bags”

Serio, sir Oliver Smith-Christmas. Willie „Podróżnik” Tonelli.

gubernator George Van Arsdale, Harriet Wasserman, Don Weisberg, Anthony Ziccardi i Andy Warhol.

Przy pisaniu niniejszej książki cennego wsparcia udzieliły następujące instytucje: Korporacja Yaddo, Centrum Sztuki Hambidge, Fundacja Ragdale, Centralna Agencja Wywiadowcza oraz Instytut Drugiej Wojny Światowej na uniwersytecie stanowym Florydy w Tallahassee. Dziękuję wszystkim.

Spis treści

Układ chronologiczny 9

Postacie 11

KSIEGA I

Wiosna 1955	15
KSIĘGA II	
Wrzesień 1955.....	37
KSIĘGA III	
Wrzesień-grudzień 1955.....	181
KSIĘGA IV	
1956-1957	225
KSIĘGA V	
1956-1959	295
KSIĘGA VI	
1920-1945	359
KSIĘGA VII	
Styczeń-luty 1961	391
KSIĘGA VIII	
1961-1962	457
KSIĘGA IX	
Lato 1962	517
Podziękowania	527